

SUSAN ISAACS

Po kompromitacji

Przełożyła Anna Palmowska

*Larry 'emu Ashmeadowi,
mojemu redaktorowi i przyjacielowi
z wyrazami miłości*

Rozdział 1

W Halloween, wyjątkowo ciepły w tym roku, czytałam kaśliwą rozprawę na temat poparcia Wendella Willkiego dla polityki wojennej Franklina Delano Roosevelta, od czasu do czasu wydając torebkę M&M-ów poprzebieranym dzieciakom domagającym się cukierków. W tym czasie Courtney Logan, blondynka z dołeczkami w policzkach, absolwentka Princeton wyróżniona dyplomem *magnea cum laude*, była konsultantka banku inwestycyjnego Patton Giddings, żona przystojnego Grega, matka pięcioletniej Morgan i osiemnastomiesięcznego Trávisa, smażąca wspaniale dzemy z brzoskwini, kolekcjonerka starych haftów krzyżykowych, była prezeska Towarzystwa Miłośników Shorehaven, zniknęła z Long Island bez śladu.

Dziwne. Bogate przedstawicielki klasy średniej z przedmieść, które noszą roleksy i dwa razy w tygodniu idą do kosmetyczki na depilację górnej wargi, nie znikają bez śladu. Choć nigdy jej nie spotkałam, Courtney wydawała się kobietą twardo stąpającą po ziemi. Niecały rok wcześniej w lokalnej gazecie na pierwszej stronie ukazał się artykuł o jej firmie. StarBaby kręciła filmy wideo o pierwszym roku życia dzieci. „Pomyślałam, że to się musi udać, bo w głębi serca wiedziałam, że takich osób jak ja są tysiące”, opowiadała Courtney. „Wszystko zaczęło się, gdy oglądaliśmy z Gregiem film, który nakręciliśmy o Morgan, naszej córce. Piętnaście minut o tym, jak wpatruje się w zabawki zawieszane nad jej kołyską! Oczywiście ślicznie, bardzo rezolutnie się wpatruje, ale... A potem przez kolejne piętnaście minut ssie kciuk! I niewiele więcej. Nagle uderzyło mnie, że przy Travisie, naszym synku, włączyliśmy kamerę, dopiero gdy skończył sześć miesięcy!” (Nigdy nie mogłam zrozumieć mody na nadawanie dzieciom jako imion nazwisk. Choć przyznaję, że takie imiona inaczej się nosi, bo przecież trudno sobie wyobrazić małych Greenbergów Johnsonów taplających się w kałuży w marynarskich ubrankach.) A wracając do wypowiedzi Courtney: „Zrobiło mi się smutno. Poczułam się winna! Tyle straciliśmy! Właśnie wtedy przyszło mi do głowy, że dobrze by było, gdyby jakiś profesjonalista zjawiał się u nas raz na miesiąc i kręcił film o naszym dziecku!”

Oczywiście wzięłam poprawkę na afektowany styl „Shorehaven Beacon”, jednak wyczułam, że to od Courtney Bryce Logan pochodzi przynajmniej połowa tych wykrzykników. Najwyraźniej była jedną z tych nieuleczalnych optymistek, których nigdy nie potrafiłam zrozumieć, a tym bardziej naśladować. Courtney zrezygnowała z ciekawej, intratnej posady na Manhattanie. Zamieniła towarzystwo błyskotliwych, eleganckich kolegów z banku inwestycyjnego na dwoje osobników zainteresowanych głównie badaniem zawartości swoich nosów. I co? Czy choćby jedna łza żalu spłynęła po jej policzku, gdy oglądała z dziećmi *Ulicę Sezamkową*? Czy odczuwała ucisk w gardle, gdy pociąg o ósmej jedenaście, wypełniony jej rówieśnikami w garniturach od Dany Buchman, odjeżdżał do miasta? Nie. Najwyraźniej damom takim jak Courtney, dla których nie ma rzeczy niemożliwych, bycie pełnoetatową mamą sprawiało niezmierną rozkosz. Jakież mieszane uczucia? Dajcie spokój! Dla nich emerytura to tylko kolejny etap w karierze, macierzyństwo – kolejna szansa na

popisanie się swoimi możliwościami.

Podobało mi się jednak w Courtney to, że mówiła o Shorehaven nie tylko z sympatią, ale także z uznaniem i znajomością jego historii. No dobra, właściwie jego legend. Wspomniała reporterowi, że jedna ze scenerii, którą wykorzystuje StarBaby, to nasze doki. I dodała, że właśnie tam Walt Whitman napisał swój słynny dwuwiersz *Do ciebie!* Tak naprawdę Courtney tylko powtarzała bzdurną miejscową legendę. Mimo to byłam jej wdzięczna, że ceniła sobie nasze miasto (i urodzonego na wyspie poetę).

Chyba nawet powiedziałam do siebie: Hm, powinnam ją poznać. Cóż, jestem historykiem. Czuję sympatię do każdego, kto przywołuje przeszłość na forum publicznym. Pracuję w St. Elizabeth College, gdzie większość czasu spędzam na pyskówkach w katedrze historii. Jestem profesorem i pracuję na kontrakcie w tej tak zwanej placówce szkolnictwa wyższego, dawniej żeńskiej, prowadzonej przez zakonnice, pierwszorzędnej szkole przy granicy hrabstwa z dzielnicą Queens miasta Nowy Jork. Zresztą nieważne. Tak więc przez dwie i pół sekundy nawet myślałam o tym, by zadzwonić do Courtney i powiedzieć: „Cześć”. Albo nawet: „Cześć! Nazywam się Judith Singer, może poszłybyśmy razem na lunch?” Jednak jak o większości tego typu wspaniałych pomysłów, natychmiast, bez najlżejszego drgnienia serca, o nim zapomniałam.

A skoro o sercu mowa... Zanim przejdę do zdumiewającego zniknięcia Courtney, nie zaszkodzi powiedzieć kilku słów o sobie. Jestem, jak to mówią Francuzi, *unefemme d'un certain age** [*Unefemme d'un certain age* (fr.) – kobietą w pewnym wieku.]. W moim wypadku *age* to pięćdziesiąt cztery lata, który to fakt przyjmuję z niedowierzaniem, że nie wspomnę o gniewie. Niemniej, choć nadal mam gładką, oliwkową cerę, ciemne włosy i oczy w kształcie migdałów jak dojrzała piękność z filmów Felliniego, to moje najlepsze lata już minęły. Moje dzieci mają po dwadzieścia kilka lat. Kate jest prawnikiem i zajmuje się spółkami handlowymi w kancelarii Johnson, Bonadies i Eagle, firmie z Wall Street, której założyciele dawno temu opracowywali ustawy, które miały nie dopuścić do osiedlania się moich dziadków w ich sąsiedztwie. Joey robi okropnie drogi ser mozzarella sprzedawany w ekskluzywnych włoskich delikatesach w Greenwich Village. Jest też krytykiem filmowym w nadspodziewanie inteligentnym, niemal deficytowym magazynie internetowym o nazwie „night”.

Jeśli chodzi o mnie, to od dwóch lat jestem wdową. Mój mąż Bob, zwolennik zdrowego odżywiania, mężczyzna o płaskim brzuchu i muskularnych udach, który z trudem tłumił westchnienie rozczarowania, ilekroć po obiedzie sięgałam po kartę deserów (przyznaję, że z deseru nigdy nie rezygnowałam), zmarł w wieku pięćdziesięciu pięciu lat, półtora dnia po tym, jak przebiegł maraton miasta Nowy Jork w cztery godziny i dwanaście minut. Jeszcze chwilę wcześniej ścisnął mnie za rękę na pogotowiu, dodając mi otuchy, choć w jego oczach widziałam lęk. Gdy odwzajemniłam uścisk, odszedł. Tak po prostu. Umarł, zanim zdążyłam powiedzieć: „Nie martw się, Bob, wszystko będzie dobrze”. Albo: „Kocham cię, Bob”.

Z wyjątkiem przypadków, gdy miłość twojego życia wcale nią nie jest, taka strata to prawdziwa katastrofa. Jakieś czułe wspomnienia? Nie, jedynie niewyraźne migawki z gorączkowych dyskusji na uczelni, noc poślubna tak namiętna, że pościągaliśmy pościel z

łóżka. Niestety, tamte obrazy znikwały w niepamięci tym szybciej, im dłużej trwało nasze małżeństwo. Po ponad ćwierć wieku razem pozostały nam sporadyczne przyjemne pogawędki i zbliżenia dwa razy w miesiącu, wpasowane między prognozę pogody i początek wieczornego serialu.

Wróćmy jednak do zniknięcia Courtney Logan. „Coś mi tu bardzo nie pasuje”, oznajmiłam mojej przyjaciółce Nancy Miller kilka dni później. Spacerowałyśmy w Gatsby Plaza, ekskluzywnym centrum handlowym nazwanym, bez cienia ironii, od nowobogackiego bohatera powieści Fitzgeralda. To jedno z tych miejsc, które kobiecie pragnącej wydać dwa tysiące dolarów na torebkę oferuje niezliczone możliwości.

Tak więc wieczór był piękny, bezchmurny, choć może trochę zbyt ciepły jak na początek listopada. Gwiazdy na niebie przyćmiewało tylko migotanie lampek rozwieszonych na wypielegnowanych drzewkach, które przez cały rok mienią się światełkami jak na Boże Narodzenie. Powietrze ciężkie od mocnego zapachu chryzantem wydawało się gęste i wilgotne, jakby przywieziono je ze szklarni wraz z kwiatami. Zdaje się, że byłyśmy w drodze do restauracji. Dla mnie wpół do siódmej to pora kolacji. Dla Nancy – późnego lunchu. Oczywiście zanim dotarliśmy do miejsca, gdzie dają łososia z grilla, Nancy zatrzymała się przed wystawą sklepu, zahipnotyzowana obcisłą, rurowatą sukienką z kapturem, z białego kaszmiru, która wisiała na jednym z tych nowomodnych manekinów. Miał głowę z drutu kolczastego i piersi wielkości piłek do ping-ponga, których sutki z niewiadomego powodu były tak długie i sterczące, że kojarzyły się z lufami karabinów maszynowych.

– Podoba ci się ta sukienka? – zapytałam.

– Bardziej niż podoba – odparła. W jej ustach zabrzmiało to jak „bahziej nih podhoba”. Nancy przez ostatnie trzydzieści lat rzadko bywała w rodzinnej Georgii, jednak zachowała gardłowy akcent, słusznie przekonana, że dodaje jej uroku. – Jestem nią zachwycona.

– To zwykła biała rura.

– I właśnie o to chodzi – powiedziała z przesadną cierpliwością.

– Pewnie kosztuje fortunę – ostrzegłam.

– Oczywiście, że kosztuje fortunę!

– W tym kapturze będziesz wyglądała jak ta twoja biała hołota z KuKlux-Klanu.

Westchnienie pełne chrześcijańskiego miłosierdzia wydarło jej się z piersi.

– Judith, jest kilka rzeczy, na których się znasz. Moda do nich nie należy.

– Co sądzisz o nagłym zniknięciu Courtney Logan? – nie ustępowałam, podczas gdy Nancy otwierała ciężkie drzwi sklepu. Był czwartek, sklepy były otwarte do dziewiątej.

– Pewnie prowadziła podwójne życie – wypaliła Nancy bez ogródek. – Ta biała sukienka z wystawy – mruknęła do sprzedawczyni, która naturalnie podeszła do niej, mijając mnie obojętnie, jakby to, że mam na sobie płaszcz z podróbki wielbłądziej wełny czynił mnie niewidzialną. Kobieta oceniła rozmiar Nancy jednym drgnięciem rzęs, które wydawały się utuszowane każda z osobna, po czym oparła podbródek na palcu wskazującym. Paznokcie miała długie, prostokątne, pomalowane na fioletowo. (Prosto spiłowane paznokcie napawają mnie dziwnym lękiem.) „Prawdziwy rozmiar osiem”, oznajmiła. Nancy, która nigdy nie zdołała do końca uwolnić się od wysysanego z mlekiem matki stereotypu Piękności z Południa,

nie powiedziała nic, tylko spuściła oczy ze słodszą niż melasa skromnością: nie zaprzeczę. Tamta oddaliła się w wiadomym celu.

– Do diabła, co to jest prawdziwy rozmiar osiem? – spytałam. – Niby jaki inny mógłby być? Falszywy rozmiar osiem? A może szóstka czy dziesiątka udająca ósemkę?

– Myślałam, że chcesz porozmawiać o tej Courtney.

– Chcę – powiedziałam szybko.

– Nie ma o czym rozmawiać.

– Masz początki arteriosklerozy?

– Gardzisz zwykłym, codziennym życiem, prawda? – zauważyła Nancy. – Nie mam o to do ciebie pretensji. Rzeczywistość rzadko kiedy jest zabawna. Gdybym miała zgadywać, co się wydarzyło, to powiedziałabym, że Courtney Logan, kobieta z wieloma sekretami, uciekła z facetem, który urządzał jej kuchnię. – Potrząsnęła głową. – Pieprzona nuda. Wszystkie te dziwki szukają sensu życia z czymkolwiek, co ma przynajmniej dwadzieścia centymetrów.

– Po pierwsze, nic nie wskazuje na to, że Courtney miała jakiegoś...

– Skąd wiesz, że nie miała? – przerwała mi Nancy zaczepnie.

– Nie wiem. Ale kobiety takie jak ona nie znikają bez śladu. Gdyby chciała odejść, zwierzyłyby się przyjaciółce, porozmawiałyby z prawnikiem... albo, do cholery, powiedziałyby o tym mężowi wprost. Przecież nie była jakąś ofiarą losu, tylko konsultantką banku inwestycyjnego. Gdyby miała uciec, to czy wróciłyby z córką po odwiedzinach sąsiadów w polowaniu na słodczyce, zostawiła ją w domu i wyszła bez słowa?

– A co miała robić? Zabrać dzieciaka ze sobą? – Nancy skrzyżowała szczupłe ręce na piersi w prawdziwym rozmiarze osiem, najwyraźniej wkurzona, że nie oczekiwałam przybycia Jej Sukienki z należyтым entuzjazmem.

– Nancy, skup się. Wyczytałam w gazetach i obejrzałam w telewizji wszystko o tej sprawie.

– Moim zdaniem ta sprawa nie jest zbyt ciekawa – oznajmiła. – Ty masz na jej punkcie obsesję. Martwi mnie, gdy widzę cię...

– Uspokój się. Ze mną wszystko w porządku. Posłuchaj, oto, co tam się podobno wydarzyło: Courtney wraca z córką do domu i mówi do *aupair*. „Zapomniałam o czymś. Muszę na chwilę wyskoczyć do supermarketu”. A potem nie wraca. – Na chwilę zagryzłam wargę. – Słyszałaś może jakieś plotki czy coś, czego gazety nie wydrukowały?

Kilka lat wcześniej Nancy przestała pisać artykuły na zlecenie i została najpierw asystentką, a potem zastępcą redaktora „Viewpoints”, działu komentarzy gazety „Newsday”. Zanim zdążyła mi odpowiedzieć, że jest zbyt zavalona pracą, by słuchać plotek reporterów, co oczywiście byłoby beczelnym kłamstwem, wróciła sprzedawczyni. Trzymała wieszak wysoko nad głową. Biała sukienka powiewała w rytm jej kroków. Obie z Nancy dotknęły jej ze czcią, pewnie bliską tej, jaką katolicy oddają Całunowi Turyńskiemu. A potem poszły do przymierzalni.

Bez entuzjazmu przejrzałam wieszak z szarymi strojami, które najwyraźniej zaprojektowano z myślą o rzeźbach Giacomettiego i pomyślałam o Courtney. Według gazety „Newsday” i Kanału 12, lokalnej stacji kablowej nadającej wiadomości, nikt jej nie widział

ani w supermarkecie, ani na parkingu obok. Nie było w tym nic szczególnego, ponieważ sklep znajdował się około dwóch kilometrów od jej domu, a samochód Courtney, land rover rocznik 1998, został później znaleziony tam, gdzie zwykle stał, czyli w garażu. Nikt z sąsiadów nie widział ani nie słyszał niczego niezwykłego. Co też nie dziwiło. W tej części miasta, w Shorehaven Farms, domy stały od siebie w odległości przynajmniej kilometra.

Następnego dnia w gimnazjum i liceum na apelu wezwano wszystkich, którzy wędrowali od domu do domu, polując na słodczyce w Shorehaven Farms między piątą i szóstą po południu, czyli w porze, gdy według au pair Courtney wyszła do supermarketu, by jak najszybciej zgłosili się do gabinetu dyrektora. Krótco przed trzecią, gdy przez radiowęzeł zapewniono o pełnej nietykalności, sześciu uczniów z młodszych klas, którzy pracowicie spędzili noc, przewracając skrzynki pocztowe, w końcu się ujawniło. Wszyscy przysięgli, że w ogóle nie widzieli Courtney.

Nancy wróciła z przymierzalni. Jej szarozielone oczy lśniły, policzki pałały rumieńcem. Było jasne, że sukienka leży na niej dokładnie tak, jak się spodziewała. Coś, co mnie nie zdarzyło się jeszcze nigdy w życiu. Ale też Nancy jest jedną z tych naturalnych... Nie, nie piękności. Jedną z tych kobiet, które po pięćdziesiątce zachowują urodę, brzoskwiniową cerę, długie nogi, rude włosy, wielkie oczy i talię osy, choć akurat to ostatnie było dziełem Jasona J. Mittelmana, lekarza medycyny, najlepszego na Long Island chirurga plastycznego i jego żarłocznej maszyny do liposukcji.

– To mąż – stwierdziła Nancy.

– A fe.

– Niby dlaczego „A fe”?

– Zbyt oczywiste – powiedziałam.

– Najwyraźniej nie jesteś taka bystra, jak ci się zdaje. Tak się składa, że ta teza jest tak oczywista, że aż wyrafinowana.

– Błąd – wytknęłam jej. – Gdyby istniał choć cień dowodu, już by go aresztowali – zaczęłam się zastanawiać na głos: – Ciekawe, czy i co oni w ogóle mają.

– Judith, chyba nie zamierzasz...

– Daj spokój! Oczywiście, że nie. Tylko się zastanawiam. To oznaka intelektualnego zainteresowania, nie żebyś ty coś o tym wiedziała. No, to co z tym mężem?

– Jakiś Logan.

– Greg Logan – podpowiedziałam zachęcająco.

– Hm, pytałaś, czy słyszałam jakieś plotki – ciągnęła Nancy, odrzucając głowę do tyłu tak, że jej włosy ładnie zafalowały. Typowy gest Piękności z Południa, mogący oznaczać wszystko, począwszy od lekkiej irytacji, a na totalnej hysterii skończywszy. – Coś słyszałam. Nie przyszedł na świat jako Gregory Logan. Zmienił nazwisko. Przedtem nazywał się... Jesteś gotowa? – przytaknęłam. – Greg Lowenstein. – Nancy zaczęła literować nazwisko.

– Daruj sobie – przerwałam jej. – I co z tego. Ludzie zmieniają nazwiska, żeby brzmiały bardziej po angielsku. Trzy pokolenia temu połowa imigrantów z Europy Wschodniej i ćwierć Włochów, którzy przeszli przez Ellis Island...

– Ojcem Grega jest Lалуś Phil Lowenstein. Ten gangster, który obwiesza się biżuterią.

Negocjował zawieszenie broni między włoską i rosyjską mafią i jest tak blisko – Nancy uniosła do góry kciuk i palec wskazujący mocno ściśnięte ze sobą – z rodziną Gambello.

Na chwilę przestałam zagryzać wargę i zaczęłam ssać kostki palców.

– Do czego zmierzasz? – zapytałam w końcu, akurat gdy pojawiła się sprzedawczyni. Torbę z sukienką z Ku-Klux-Klanu trzymała w jednej ręce, w drugiej – paragon i kartę kredytową Nancy. Zbliżała się do nas powolnym krokiem panny młodej idącej do ołtarza, więc nie przerywałam. – Chcesz powiedzieć, że jakiś nędzny bandyta z idiotyczną ksywką został wysłany, by udusić Courtney Logan, matkę wnuków Phila Lowensteina, i wrzucić jej ciało do zatoki Long Island?

– W kręgach Phila Lowensteina uważa się to za szybki rozwód – odparła Nancy.

To, czego Nancy nie dopowiedziała, wyczytałam następnego ranka z gazet. „Newsday” opisał pochodzenie Logana na pierwszej stronie, zamieszczając również zdjęcie Grega niosącego synka i trzymającego córeczkę za rękę w drodze do stojącego na podjeździe bmw. Zdjęcie mogło być zrobione przez teleobiektyw, ponieważ Greg nie wydawał się zaskoczony czy rozgniewany. Tylko smutny. I chyba zmęczony. Całkiem przystojny, choć w niekonwencjonalny sposób. Twarz miał raczej w kształcie serca, a nie przeciętnie prostokątną. Z wydatnymi kośćmi policzkowymi i gęstymi, ciemnymi, uniesionymi w górę brwiami przyciągał wzrok tymi nieco mongolskimi rysami, mimo że jak zwykle kiepskie kolory druku nadawały jego cerze dziwny odcień, który można tylko określić jako lilaróż.

Zdjęcie Lalusia Phila, czarnobiały portret z rejestrów policyjnych, umieszczono w rogu. Stanowczo nie wyglądał na modela Cahlina Kleina. Nagłówek w niezbyt zawoalowany sposób nawiązywał do rodziny, co każdy mający więcej rozumu niż półtoraroczny Travis odczytał nie tylko jako grupę osób skoliigaconych przez przodków, małżeństwo lub adopcję, ale także jako „la famiglia”, ulubiony zwrot ze starych filmów o mafii, któremu nieodmiennie towarzyszy unoszenie do góry kieliszków chianti, trzymany przez facetów o wyjątkowo owłosionych rękach.

„New York Times” naturalnie upchnął tę historię głęboko na stronach lokalnych, poświęcając jej trzy krótkie, nudnawe akapity. „Shorehaven Beacon”, który wylądował na moim trawniku jak zwykle w piątek, nie dodał nic nowego o koligacji Grega z Lowensteinem. Wspomniał tylko, że przedstawiciel rodziny Loganów zaapelował do miejscowej społeczności o modlitwę, by Courtney wróciła cała i zdrowa. Zamieścił też zdjęcie Courtney, które drukował już wcześniej, przy okazji artykułu o StarBaby, zatytułowane: „Gdzie ona jest?”

Na zdjęciu Courtney ze szczerym, serdecznym uśmiechem, ubrana w spodnie i bliźniak, opierała się o drzewo przed na oko całkiem ładnym domem w stylu georgiańskim. Trudno było dokładnie określić, jak wyglądała, bo „Beacon” jest drukowany na kiepskim papierze, w rodzaju tych, które w krajach rozwijających się używa się jako papieru toaletowego i farba zawsze się rozmazuje. Nos i oczy miała zmarszczone w uśmiechu, widać było głównie nos, oczu prawie wcale. Nie potrafiłam rozpoznać miny. Courtney miała jednak tak wyraźne dołeczki, że nawet w obecnych, smutnych okolicznościach mimowolnie uśmiechnęłam się do zdjęcia. Jej jasne włosy do ramion były niespodziewanie gęste i kręcone, bardziej w stylu

Oprah Winfrey niż absolwentek Princeton, choć może po prostu spowodowała to wilgotność powietrza.

Pytanie: „Gdzie ona jest?” było na ustach całego miasta. W cukierni sąsiad, łakomie przyglądając się sernikowi, oświadczył, że Courtney padła ofiarą seryjnego mordercy. W multikinie Shorehaven stojący za ladą dzieciak z wielkim kubkiem sprite'a, opierając się o automat do popcornu, nieczyszczony od czasów prezydentury Cartera, stwierdził, że Courtney była tajną agentką FBI, zbierającą dowody przeciwko Lowensteinom-Loganom i pewnie właśnie w tej chwili składa raport w Waszyngtonie. A może nie żyje. Wśród członkiń mojego dyskusyjnego klubu książki największą popularnością cieszyła się teoria, że ciało Courtney leży w bagażniku forda lincolna, należącego do jakiegoś bandziora. Oczywiście na zlecenie Lalusia Phila, który chciał, by jego syn ożenił się z córką jakiegoś żydowskiego gangstera ze Scarsdale, co pozwoliłoby mu stworzyć potężną oś zorganizowanej przestępczości na linii Long Island-Westchester. (Co było równie idiotyczne, jak ich interpretacja *Pani Dalloway*.) W pracy jak zwykle podenerwowana sekretarka katedry historii zasugerowała zdławionym głosem, że może to au pair żywcem pogrzebała Courtney na cmentarzu, „bo nikt nie będzie jej tam szukał”.

Przez następne kilka tygodni z rosnącą desperacją czytałam gazety i oglądałam wiadomości z nadzieją na choćby strzęp informacji o śledztwie w sprawie Courtney Logan. Niestety, Courtney zniknęła bez śladu także z mediów. Ludzi, którzy do tej pory non stop plotkowali tylko o Loganach, znowu zaprzętało „usunięcie strzałki do skrzyżowania Main Street i Harborview Road. Na spotkaniach w ratuszu sąsiedzi wymachiwali do siebie pięściami, kłócąc się, czy ta strzałka jest środkiem kontroli ruchu drogowego, czy też zamachem na wolność gwarantowaną przez konstytucję Stanów Zjednoczonych. Z kim jeszcze mogłabym porozmawiać o zagadce kryminalnej? Moje dorosłe dzieci miały swoje życie. Nancy poświęcała mi jeszcze mniej czasu niż zwykle, ponieważ straciła głowę dla nowego mechanika swojego jaguara. Reszta moich przyjaciółek zajmowała się własnymi, dalekimi od sensacji i pikanterii sprawami.

Tak bardzo potrzebowałam jakiegokolwiek drugiej osoby, by z nią przeanalizować sprawę Courtney, że w końcu zagadnęłam wręcz Śliskiego Sama, to znaczy Samuela P. B. Braddocka III, kierownika katedry. Jak zwykle, ponieważ uważał się za jaśniepana, a mnie za pospólstwo, Sam bez pukania uchylił drzwi mojego pokoju i wsunął w nie głowę. Nie był to przyjemny widok, bo Sam ma ciężkie, półprzymknięte powieki i mocno obwisłą wargę. Wygląda, jakby w jego DNA zaplątało się parę genów krokodyla.

– Proszę, zastanów się – rzucił.

Hm, przyszedł do mojego pokoju, by jeszcze raz spróbować mnie przekonać, że prowadzenie przeze mnie w semestrze wiosennym dodatkowych dwóch godzin wykładów z historii Stanów od zakończenia wojny secesyjnej do zimnej wojny będzie z korzyścią nie tylko dla ogółu, ale też dla mnie osobiście.

– Zanim do tego dojdziemy, może przypadkiem słyszałaś, że kobieta z mojej okolicy zniknęła bez śladu? – spytałam z niestosownym ozywieniem. Zanim Sam mógłby wtrącić choć jedno słowo, przedstawiłam streszczenie wszystkich doniesień na ten temat.

Sam rozumiał, że musi pozwolić mi się wygadać, zanim będzie miał szansę przekonać się, czy z entuzjazmem przyjmę jego propozycję.

– Czy ten Greg Logan jest podejrzany? – spytał nosowym głosem. Mówił z zaciśniętymi zębami, z charakterystycznym dla Long Island akcentem, który przetrwał jeszcze u graczy w polo, niektórych pańek debutujących w towarzystwie i pozerów. – A przy okazji, czy ten Logan jest spokrewniony z Loganami z Oyster Bay? – dociekał Sam.

– Nie, jest spokrewniony z Lalusiem Philem Lowensteinem, facetem z mafii. A dokładnie Lalus Phil to jego ojciec.

– Aha. – Śliski, jak było do przewidzenia, starał się, jak mógł, by ukryć, że jest zde gustowany osobami mojego pokroju. Mimo wysiłku, jak zwykle, nie udało mu się. Ten człowiek nie tylko uczył historii Stanów, ale też wierzył, że to on ją wymyślił. W dzisiejszych czasach przenikania się różnych kultur był chodzącym reliktem. Jako WASP* [WASP – skrót od White AngloSaxon Protestant – biały, wyznania protestanckiego, potomek pierwszych osadników, często członek anglosaskiej elity (przyp. tłum.)] ze Wschodniego Wybrzeża, nie dość, że był głęboko przekonany, iż on sam i jemu podobni są lepsi niż, powiedzmy, ja i mnie podobni, to jeszcze wierzył, że dla naszego własnego dobra trzeba nam nieustannie przypominać, gdzie jest nasze miejsce. Czy ten jego akcent był naturalny? Czy Sam rzeczywiście pochodził z arystokratycznej rodziny? Nikt z nas nie miał pojęcia. To fakt, że trzymał ołówki i długopisy w kubku z herbem szkoły St. Paul i przynajmniej raz na tydzień wplatał w jakieś zdanie zwrot „gdy uczyłem się w Sę Polu”. Rzecz jasna cała katedra trwała w pogotowiu, by wyłapać owe „Sę Pole”, a każdy poprzysiągł informować resztę o kolejnym, jak tylko wydobędzie się spomiędzy jego wąskich warg.

– Czy możemy wrócić do wykładów? – spytał Sam. – Twoich wykładów, albo raczej, że pozwolę sobie na śmiałość, ich braku?

Zatem moja potrzeba porozmawiania o Courtney i o tym, co się z nią stało, znów pozostała niezaspokojona. Po wyjściu Śliskiego powiedziałam sobie, że może to i lepiej, że nie był zainteresowany. W życiu przecież wiele zagadek pozostaje nierozwiązanych. Bez względu na to, jak bardzo tego pragnęłam, było dla mnie niewskazane pakować się w absolutnie nie moje sprawy, nawet jeśli każda cząstka mojego ciała, a miałam tego ciała sporo, krzyczała, bym właśnie to zrobiła.

Przydałoby się kilka słów wyjaśnienia? Proszę bardzo: kocham zagadki kryminalne. Te literackie. Dajcie mi książkę Agathy Christie albo powieść Johna Dicksona Carra z zagadką typu „Co się wydarzyło w zamkniętym pokoju?”, a sprawicie mi tym ogromną przyjemność, nawet jeśli czytałam ją już trzy razy. Ale jeszcze bardziej kocham kryminały z życia wzięte. Jakies dwadzieścia lat temu, gdy wchodziłam w niewesoły wiek trzydziestu pięciu lat, a moja córka, obecnie prawniczka, i syn, obecnie krytyk filmowy, byli tylko maluchami, został zamordowany miejscowy specjalista od paradontozji M. Bruce Fleckstein. Pamiętam, że usłyszałam o tym w radiu i pomyślałam: Kto mógł coś takiego zrobić? Zanim się obejrzałam, zaczęłam prowadzić prywatne śledztwo i poczułam, że jestem w swoim żywiole.

Nie wiem dlaczego. Może miało to związek z moim poczuciem sprawiedliwości, by naprawić zło wyrządzone w świecie. Morderstwo to atak na społeczeństwo, nie tylko na

konkretnego człowieka. Być może czułam potrzebę przywrócenia równowagi między dobrem i złem w moim mieście. Być może spodobało mi się dociekanie rozwiązania zagadki, a może pociągała mnie mroczna strona życia. Pewnie trudno w to uwierzyć, ale naprawdę walnie przyczyniłam się do znalezienia zabójcy. Poza tym podczas mojej detektywistycznej pracy poznałam policjanta z wydziału zabójstw, porucznika Nelsona Sharpe'a z komendy głównej policji hrabstwa Nassau.

Żeby nie przedłużać, powiem krótko: miałam z nim romans. I już. Sześć miesięcy niewierności na dwadzieścia osiem lat małżeństwa. Dla mnie jako historyka, świadomego, że wszystko przemija, nasz związek powinien już dawno pograżyć się w mrokach dziejów. Tyle że ja się w Nelsonie zakochałam. Z wzajemnością. Przez pewien czas nawet zastanawialiśmy się, czy nie zostawić naszych współmałżonków i się nie pobrać. Nie tylko ze względu na fantastyczny seks, i to w obfitości, ale dlatego, że było nam razem cudownie. W głębi serca wiedziałam jednak, że małżeństwo zbudowane na gruzach dwóch innych związków było z góry skazane na niepowodzenie. Poza tym oboje jasno zdawaliśmy sobie sprawę, jak nasze odejście wpłynie na dzieci. Kate miała wtedy sześć lat, Joey cztery. Nelson miał troje dzieci. On został więc ze swoją żoną June, a ja z Bobem Singerem. Po rozstaniu Nelson i ja więcej się nie widzieliśmy i nie rozmawialiśmy ze sobą. Przez prawie dwadzieścia lat.

Aż niecały rok temu zauważyliśmy się w tłumie. Tylko na krótką chwilę. Przypadkiem. Nelson wydawał się jeszcze bardziej wstrząśnięty niż ja. Zdołał tylko szybko skinąć mi głową i poszedł dalej. Następnego ranka o ósmej trzydzieści – o tej godzinie zwykle dzwonił kiedyś Nelson, wiedząc, że Bob jest już w drodze do pracy – zadzwonił telefon.

Niestety, te trzy sekundy, gdy go widziałam, bardzo krótka rozmowa telefoniczna to było o trzy sekundy i o jedną rozmowę za dużo. Po śmierci Boba nie byłam w najlepszej formie psychicznej. Minęło wiele miesięcy, zanim doszłam do siebie po tym przelotnym spotkaniu z Nelsonem. Parę tysięcy razy podnosiłam słuchawkę, by do niego zadzwonić. Jedynym powodem, dla którego odkładałam słuchawkę, zanim uzyskałam połączenie, było to, że on jako policjant mógł niewątpliwie namierzyć numer każdego, kto dzwonił. Oczywiście nie mogłam spać. Byłam ciągle wewnętrznie rozdygotana. Jakiś głos wewnętrzny nie przestawał krzyżeć: walcz albo uciekaj! Ale i przed walką, i przed ucieczką powstrzymywała mnie mgła przygnębienia tak gęsta, że nie mogłam znaleźć w niej drogi do wyjścia. Już niemal uzależniona od prozacu musiałam pomóc sobie w inny sposób. Kasety relaksacyjne. Podręczniki pracy nad sobą. Wideo z jogą. Lody bananowe z toffi marki Ben & Jerry. Najlepszym lekarzem okazał się czas. Tak więc nie dla mnie już zabawa w detektywa. W zasadzie obiecałam to Nancy. W zeszłym tygodniu, gdy odkryłam, że mój dżip zjechał na Bluebay Lane, ulicę, przy której mieszkali Loganowie, natychmiast zawróciłam i pojechałam prosto do domu.

Gdy Śliski już sobie poszedł, odwróciłam się z powrotem do ekranu komputera. Widniały na nim wciąż te same trzy akapity tego, co miało być dziesięciostronicową recenzją książki o ustawie GlassaSteagalla, którą obiecałam wysłać mejlem dwa tygodnie temu. Jednak zamiast napisać czwarty akapit, zrobiłam zestawienie tego, co wiedziałam z gazet, radia i telewizji:

„Greg... Czy może mieć coś wspólnego ze zniknięciem Courtney?”

1. Mąż to zwykle podejrzany numer jeden.
2. Właściciel niewielkiej sieci barów zjedzeniem na wynos Soup Salad Sandwiches. Jeden w Huntington, reszta na South Shore.
 - a. Inteligentny, absolwent uniwersytetu Browna, MBA na uniwersytecie Columbia.
 - b. Wszedł w biznes zjedzeniem, gdy Laluś Phil podarował mu dwa fast foody Mr Yummy's w Nowym Jorku. Sprzedał je za X dolarów, by zacząć zera.
3. SSS Codziennie sprzedają trzy rodzaje zup, sałatek i kanapek. Bardzo dbają o jakość składników. Sklepy w miastach, gdzie przychody wyższe niż średnia krajowa.
4. Au pair mieszka z Loganami. Studentka. Zależnie od źródła – z Austrii albo Niemiec. To do niej Courtney powiedziała: »Zapomniałam o czymś. Muszę na chwilę wyskoczyć do supermarketu«. Jakiś romansik między au pair i Gregiem???"

Spisałam też wszystko, co mogłam sobie przypomnieć o Courtney i jej firmie StarBaby. Następnego ranka po drodze do pracy dołączyłam do tych politowania godnych łowców sensacji i przejechałam (żenująco powoli) wzdłuż Bluebay Lane. To było w przededniu Święta Dziękczynienia. Powinnam była spędzić te kilka minut w domu i pochylić się nad pomarańczą, by zgodnie ze starym rodzinnym przepisem dorzucić garstkę pasieczków otartej skórki i wlać łyżkę grand marnier do sosu żurawinowego z puszki. A tymczasem złapałam się na tym, że oglądam należący do Grega i Courtney dom z czerwonej cegły, zbudowany w stylu gregoriańskim.

Dom, odsunięty od ulicy, stał na aksamitnym dywanie trawnika. Z obu stron ciemnozielonych drzwi wyrastały dumnie po trzy wysokie kolumny. Okiennice pomalowano na ten sam kolor co drzwi, sugerujący zamożność od wielu pokoleń. Mimo cech stylu georgiańskiego proporcje budowli zostały jednak zaburzone. Budynek postawiono na półhektarowej działce i chociaż architekt na szczęście nie wyciął rozłożystych starych drzew na jej terenie, dom Loganów wydawał się stanowczo za duży dla jednej rodziny. Wyglądał bardziej jak wydział romanistyki w college'u w Nowej Anglii.

Zawsze mnie irytuje, gdy w kryminałach domy, w których zdarzyły się dziwne rzeczy, są określane jako „osobliwie zmarłe w bezruchu”. A niby co miałyby robić? Tańczyć czacze? Tu jednak, w tym domu, który „Post”, najwyraźniej chcąc wygrać w rywalizacji tabloidów na najbardziej wydumane określenie, nazwał „luksusową rezydencją Lowensteinów-Loganów na Long Island” rzeczywiście nie było najmniejszych oznak życia. Naprawdę był zmarły. Ani śladu bmw na podjeździe, czy trójkołowego rowerka zostawionego na noc na dworze. Zasłony były zaciągnięte. Na krótkim drążku nad drzwiami, na którym umieszcza się flagi wciskane ludziom przez firmy wysyłkowe, nie było sztandaru Dyniolandii czy Stanów Zjednoczonych Purytańskich Pielgrzymów ani tym podobnych paskudztw wywieszanych przez mieszkańców przedmieść na Święto Dziękczynienia. Jeśli jednak wierzyć „Postowi”, Greg nadal tu mieszkał, ponieważ „policja hrabstwa Nassau zaleciła mu, by nie opuszczał hrabstwa”. Hm, Courtney zaginęła prawie miesiąc temu, ta sugestia nie była więc niespodzianką.

Prawdziwą niespodzianką było to, że upadłam tak nisko. Zamiast po pracy jechać prosto do domu, by przygotować coś, co moje dzieci nazywały „sekretnym przepisem mamy na

bataty” (które nawet po ewentualnym dodaniu posiekanego ananasa z puszki niczym się nie różniły od trzydziestu milionów zapiekaneek z żółtawej packi zwieńczonej warstwą pianek, królujących na amerykańskich stołach w każdy czwarty czwartek listopada), pojechałam prosto do Mary Alice Mahoney Schlesinger Goldfarb. Nancy i ja znałyśmy Malice* [Malice – skrót od imion Mary Alice (M. Alice); także gra słów, *malice* znaczy złośliwość (przyp. tłum.)] od czasów studiów na Uniwersytecie Wisconsin. Była chyba kimś pomiędzy wieloletnią, niezbyt mile widzianą znajomą dla Nancy i niby przyjaciółką dla mnie.

Mary Alice mówiła więcej niż wszyscy razem wzięci w całym Nowym Jorku, ale treści było w tym tyle, co kot napłakał. Czy była irytująca? Na ogół. Bezmyślna? Niewątpliwie. Głupia? Prawdopodobnie. Niemniej jej kurzy mózdzek miał wielkość optymalną do absorpcji i retencji absolutnie każdej plotki z Shorehaven, bez względu na to, jak była absurdalna.

– Kto przygotowuje ci jedzenie? – spytała Mary Alice, gdy znalazłyśmy się u niej w jadalni. Miała na sobie złocisto-biały strój, składający się z obcisłych spodni i haftowanego bolerka, który wyglądałby lepiej na matadorze. Przypuszczałam, że był dziełem jednego z awangardowych projektantów, których niestety zaczęła ostatnio preferować. Oczywiście ona nie gotowała. Na szczęście jej trzeci mąż, Lance Goldfarb, urolog leczący śmietankę towarzyską North Shore, był na tyle drobnomieszczański, że rozumiał, iż tylko pierwsze żony same gotują.

Jednak Mary Alice przygotowywała się do jutrzejszego święta. Pochyliła się nad stołem (połyskliwe czarne drewno z czerwonymi i żółtymi refleksami, niewątpliwie pochodzące z zagrożonych gatunków drzew z lasów deszczowych Amazonii) i długimi, szczupłymi palcami zaczęła układać dynie, fioletowe winogrona, które chyba miały wyglądać na lekko omszałe, gałązki psianki i jakieś ciemnoczerwone kwiaty, które przypominały żeńskie narządy płciowe w przekroju. Kompozycja wylewała się ze srebrnej wazy wielkości małego brodzika. Pierścionek zaręczynowy podarowany Mary Alice przez Goldfarba połyskiwał w łagodnym świetle weneckiego żyrandola jak brylantowy reflektor.

– Nikt nie przygotowuje mi jedzenia – odparłam. – Sama gotuję.

Smutne „Och” wydobyło się z jej lśniących od błyszczycy warg. Szybko przyłożyła do ust palec wskazujący, jakby była przedszkolakiem, któremu kazano być cicho. Jak na kobietę pod pięćdziesiątkę Malice miała w repertuarze zdumiewająco szeroki wachlarz gestów małej dziewczynki. Wiedziałam, co ona o mnie myśli: Bob zostawił mnie prawie w nędzy, bo jak widać nie mogłam sobie pozwolić na wynajęcie firmy cateringowej, która przygotowałaby

dla mnie gołębnie faszerowane polentą z grzybami, zachwalane przez kelnerów-aktorów z Manhattanu jako bardziej tradycyjne i amerykańskie niż jakiś tam indyk. Jednak pieniądze czy ich brak nie stanowiły problemu. Bob nigdy nie mógł sobie odmówić lunchu z agentką firmy ubezpieczeniowej, z którą żartobliwie flirtował. Zaplanował wszystko, z wyjątkiem własnej przedwczesnej śmierci, i pozostawił mnie wprawdzie nie bogatą, jednak na tyle dobrze sytuowaną, że mogłam się szarpnąć na parę gołębi.

Powstrzymałam jednak przemożne pragnienie entuzjastycznego zaszczębiotania na swoją obronę: „Ja po prostu lubię gotować”. Zamiast tego spytałam: „Jakieś nowiny?” Potem, zanim Malice zdążyłaby wypowiedzieć pierwsze słowo tyrady, będącej niezwykle szczegółową

opowieścią, jak to kazała sobie wymienić podszewkę w kurteczce z szynszyli, błyskawicznie dorzuciłam: „Ach, Mary Alice, ciągle zapominam się spytać... Czy ktoś widział Grega Logana w mieście?”

– Nic takiego nie słyszałam – odparła. Odsunęła jedno z empirowych krzesel (po mężu Mahoneyu) i usiadła. Zrobiłam to samo, choć duża napoleońska pszczoła na bordowym adamaszku na środku siedziska wydawała mi się groźna. – Ale za to wiesz, kogo widziano w mieście? – zaczęła cierpliwie. Ja też uzbroiłam się w cierpliwość, więc w końcu oznajmiła: – Tę au pair! W piekarni. Kupowała żytni chleb. – Zauważyłam, że Mary Alice nadal mówi to swoje francuskie „r”, więc „piekarnia” zabrzmiała trochę po galijsku. Niedawno wróciła z mężem Goldfarbem z Lyonu, gdzie odbywała się tygodniowa konferencja poświęcona cewce moczowej. – Miała apaszkę, zdaniem wszystkich, od Hermesa. Wiesz, co to oznacza. – Oparła na stole lewą rękę, a palcami prawej głaskała złote nitki czegoś, co było albo liściem, albo kaczątkiem wyhaftowanym na rękawie żakietu.

– Że umie dobierać dodatki? – zasugerowałam.

– Nie. Większość ludzi stwierdziła: „Ach, to już wiemy, kto grzebał w szufladzie z apaszkami Courtney Logan”.

Czekała na moją reakcję, więc powiedziałam: „Aha”. Szczerze mówiąc, byłam pod wrażeniem, że ktoś może mieć oddzielną szufladę na apaszki. Ja swoje trzymałam w dwóch dużych, zamykanych na suwak saszetkach, które leżały na półce obok koszul nocnych i zebranej w ciągu całego mojego życia kolekcji półhalek, której jakoś nigdy nie potrafiłam wyrzucić.

– A potem usłyszałam, że nie, ona nie kradnie. To jeden z mnóstwa prezentów. – By upewnić się, że zrozumiałam, dodała: – Od Grega Logana.

– Więc ludzie mówią, że on romansuje z au pair?

– Już nie. Przedtem. – Malice wzięła głęboki oddech, by uspokoić się po przekazaniu tak elektryzującej wiadomości. Jeśli o mnie chodzi, to już wydałam z siebie „Aha”, a westchnienie byłoby przesadą, więc tylko siedziałam w milczeniu. – Zanim Courtney zniknęła – wyjaśniła Mary Alice. – Niektórzy twierdzą, że pewnie Courtney wróciła z Morgan z wyprawy po łakocie i zgadnij, kogo przyłapała na gorącym uczynku.

– Grega Logana i opiekunkę? – Malice przytaknęła.

Nadal próbowałam się przyzwyczaić do myśli, że „Morgan” to nie tylko nazwa instytucji finansowej czy nazwisko, ale także imię, które były konsultantki banku inwestycyjnego nadają swoim córkom. Spytałam:

– A gdzie był synek podczas tej schadzki? – Mary Alice wzruszyła ramionami. – A czy przypadkiem tamtego wieczoru Greg Logan nie był w mieście na służbowej kolacji? – ciągnęłam. – Czytałam, że gdy Courtney nie wróciła, au pair nie próbowała się z nim skontaktować. Położyła tylko dzieci do łóżka i czekała, aż Greg wróci do domu. I dopiero wtedy powiedziała mu, że nie wie, dokąd poszła Courtney.

– Nie według moich źródeł.

– Kim są te twoje źródła?

– Wszyscy – poprawiła kolczyk z trzykaratowym brylantem od męża Schlesingera. –

Judith, wszyscy o nich wiedzą.

– Dobrze, powiedzmy, że Courtney natknęła się na tego rodzaju scenę – ustąpiłam. – Co niby miała zrobić? Albo co niby jej zrobiono?

– Ha!

– Niby że Greg i opiekunka zamordowali Courtney?

– To teoria numer jeden. Zrobili to, być może dlatego, że zaczęła krzyczeć i chcieli ją uciszyć albo co i...

– A gdzie upchnęli małą dziewczynkę z torbą słodyczy, podczas gdy mordowali Courtney Logan?

– Nie wiem – próbując wyglądać na obojętną, udawała, że pochłaniają skórka przy paznokciu, choć znając Malice, może naprawdę się nią zainteresowała.

– A potem? – zapytałam.

– Hm, gdzieś ukryli ciało. Wszyscy wiedzą, że policja przeszukała z psem las między posesją Loganów i zdaje się domem Judy i Eda Lanesów. On jest od ucha, nosa i...

– Ale nic nie znaleźli.

– Druga teoria mówi, że to ojciec Grega, mister Mafioso zrobił coś z ciałem – powiedziała, szybko odzyskując pewność siebie. – Przecież dla niego to jak zjeść krwisty befsztyk. – Mary Alice miała talent do nie najszcześniejszych porównań. – Albo... Choć mało kto w to wierzy.

– Co takiego?

– To teoria psychoanalityczna. Pewnie będziesz się śmiała.

– Mary Alice, powiedz mi.

– Courtney mogła doznać szoku. Gdy zobaczyła ich razem, pobiegła, gdzie ją oczy poniosą. Szok był tak wielki, że straciła pamięć. Może być wszędzie, ale nie wie, kim jest. Do licha, musisz przyznać, że to lepsze niż pobicie ze skutkiem śmiertelnym, zakłucie nożem, uduszenie czy co tam bądź przez własnego męża i zagraniczną opiekunkę do dzieci, która potem może swobodnie korzystać z twoich apaszek. I z całej reszty, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

– A co powiesz na to: może Courtney wyszła za próg i natknęła się na jakiegoś wariata. Halloween to jedyna noc w roku, gdy nawet w najspokojniejszej okolicy kręci się mnóstwo ludzi, wielu z nich w maskach.

– Ale wszyscy mówią, że w tego rodzaju sprawach to zwykle mąż jest sprawcą. Prawda?

– Mary Alice sięgnęła do swojej dekoracji na Święto Dziękczynienia i podciągnęła gałązkę psianki o trzy milimetry do góry. – Prawda?

Tak? Wprawdzie przez sześć miesięcy sypiałam z policjantem z wydziału zabójstw, ale to nie czyniło ze mnie eksperta od śledztw w sprawach kryminalnych. Podobnie jak lektura kryminałów Agathy Christie i Joe Aleksa. Nawet to, że raz pomogłam rozwikłać zagadkę morderstwa. A jednak, gdybym nie odwróciła uwagi bezmyślnej Mary Alice Mahoney Schlesinger Goldfarb i nie zapytała, co, jako gospodyni, zamierza na siebie włożyć w Święto Dziękczynienia (a następnie nie wysłuchała jak fałdka po fałdce opisuje spódnice od Issey Miyake), musiałabym odpowiedzieć, że tak, oczywiście, zwykle to mąż jest pierwszym

podejrzany, gdy nagle znika jego żona.

Przez całą zimę słyszałam szepty i pomruki, że aresztowanie Grega Logana jest nieuniknione. Żadna z tych pogłosek się nie potwierdziła. Nie zapomniałam o Courtney. Którejś zimnej nocy, gdy na świerk rosnący przed oknem mojej sypialni napadało tyle śniegu, że mój lekki sen został przerwany złowieszczym trzaskiem gałęzi, która zaraz miała się złamać, leżałam w łóżku i w głębi serca czułam, że Courtney nie została w Halloween porwana przez jakiegoś psychopatę i nie jest przetrzymywana wbrew swojej woli, tylko że leży w płytkim, zimnym grobie gdzieś w okolicy. Myślałam o jej dzieciach: jednego dnia miały matkę, która je uwielbiała, a następnego dnia już jej nie było. Czy tym biednym dzieciom powtarzano, że mama wróci, czy też: „Och, nie wiemy, gdzie mama jest, ale mamy nadzieję, że zadzwoni?” Czy w ogóle coś im powiedziano?

Ponieważ wyglądało na to, że sprawa Courtney pozostanie niewyjaśniona, lepiej było wyrzucić ją z głowy. Pograżyłam się w pracy i żyłam od spotkania do spotkania z Kate, Joeyem lub moimi przyjaciółmi. Gdy byłam sama, przeważnie myślałam o Bobie. To prawda, że nasze małżeństwo nie było bajką. Jednak nawet wtedy, gdy wszystko, co zeń pozostało, to uprzejme rozmowy i ledwo ciepły seks małżeński, powinnam pamiętać (tak sobie powtarzałam przez te wszystkie lata, gdy byliśmy razem), że kiedyś, dawno temu, to musiał być wspaniały romans. Chyba zawsze w głębi serca oczekiwałam, że w którymś momencie ten romans znów nabierze rumieńców. Jakiś incydent wywoła wielkie ożywienie w naszych relacjach. I nagle nie tylko powietrze między nami wreszcie się oczyści, ale też znów zapachnie namiętnością. Trzymając się za ręce, pójdziemy w stronę zachodzącego słońca i będziemy żyć długo i szczęśliwie, a przynajmniej dopóki jedno z nas nie odejdzie spokojnie w noc, gdzieś po siedemdziesiątce czy osiemdziesiątce. Wyobraźcie sobie moje zdziwienie, gdy Bob nagle zmarł na moich oczach w izbie przyjęć szpitala North Shore.

Więc nie tylko nie miałam męża. Także żadnych perspektyw na następnego. Żadnych randek w ciemno, to na bank. Nie po tych dwóch zdziwiających lowelasach, których Nancy ochrzciła „Stary” i „Starszy”. Po feriach bożonarodzeniowych zaczęłam od czasu do czasu spotykać się z Geoffem, postmodernistą z katedry języka angielskiego w St. Elizabeth. Rzadko rozumiałam, o czym on mówi, jego ubrania pachniały, jakby prał je w taniej pralni chemicznej. Niestety, miał też niezdrowy apetyt na seks. Poza tym nikt więcej nie pukał do moich drzwi.

Już dawno temu nakazałam sobie nie myśleć o Nelsonie Sharpie. A zastanawianie się nad sprawą Courtney Logan by mi o nim przypominało. Co on by z tym wszystkim zrobił? Czy przycisnąłby męża? Czy badałby inne tropy?

Nie chciałam znów burzyć życia, które sobie poukładałam, bo jakiegokolwiek było, jakoś się toczyło. Miałam dzieci, przyjaciół, bibliotekę i karnety do wypożyczalni wideo. Miałam pracę, która wzbudzała komentarze w rodzaju: „O rany” albo „Och, to musi rozwijać intelektualnie”. Prawda była taka, że od czasu do czasu oddawałam się swojej pracy umysłem. Nigdy sercem.

Ociepliło się i zima ustąpiła miejsca wiosnie. Wczesnym wieczorem w połowie maja wróciłam do domu z St. Elizabeth i popędziłam prosto do ogrodu, by naciąć bzu. Gdy

weszłam z powrotem do środka, zwyczajem wielu ludzi, którzy mieszkają sami, odruchowo włączyłam radio dla towarzystwa. Twarz miałam zanurzoną w naręczu liliowych, fioletowych i białych kiści i byłam z lekka otumaniona upojną wonią pierwszych kwiatów. Upłynęło więc kilka sekund, zanim dotarło do mnie, co mówi szorstkim głosem Mack Dooley, konserwator basenu u Loganów. Opowiadał radiu WCBS: „No, dzisiaj rano, około jedenastej, zdejmuję pokrywę z basenu Loganów, z tym dzieciakiem, co to u mnie pracuje. No wiecie, żeby wypompować wodę, wymyć roztworem kwasu, przygotować go i... „ Reporter próbował zadać pytanie, ale Dooley ciągnął dalej. „I słuchaj pan. Pokrywa w porządku, naprawdę dobrze umocowana, tak jak ją zostawiłem w połowie września, gdy zakryłem basen na zimę. Dzieciak i ja odwijamy ją i nagle coś widzę. Mówię sobie: Jasna... Wie pan, jakie wielkie potrafią być szopy pracze? Tyle że ni czorta nie potrafię sobie wyobrazić, jak taki szop w ogóle mógłby się dostać pod pokrywę. No i zaraz widzę, no wie pan, że to... że to ciało! O Jezu. Nie uwierzy pan, do tej pory się trzęsę”.

Rozdział 2

Wiadomość o znalezieniu ciała w basenie Grega Logana zalała lokalną telewizję i radio jak wielka, obejmująca trzy stany plama bełkotu informacyjnego, która przysłoniła wieści o gwałtownie spadających notowaniach Ala Gore'a w sondażach i pożarach szalejących w Los Alamos. Nadawali wszyscy: usłyszałam o tym w długiej aż do bólu zębów relacji od mieszkającej obok sąsiadki, Szykowej Cheryl, ubranej w obcisły srebrny dres, który uwydatniał jej pośladki, jakby każdy z osobna był wart uwagi. Mary Alice Mahoney Schlesinger Goldfarb zostawiła na mojej automatycznej sekretarce trzy wiadomości. Podczas odsłuchiwania ich podziękowałam Bogu za wynalazek wyświetlacza pokazującego, kto dzwonił.

Wiadomość usłyszałam też od dwóch koleżanek z St. Elizabeth, promotora mojego doktoratu na Uniwersytecie Nowojorskim i Claymore'a Katza, współlokatora Boba z college'u, specjalisty od prawa karnego. Nie muszę dodawać, że postmodernistyczny Geoff też zadzwonił; chciał się dowiedzieć: a. Czyż to nie graniczy z ironią, że modelowa mieszkanka przedmieścia została znaleziona martwa w basenie na tyłach domu, oraz b. Czy chciałabym zobaczyć nową inscenizację *Ostatniej taśmy Kruppa*? Oddzwoniłam i na jego poczcie głosowej zostawiłam wiadomość, że a. Nie jestem pewna, gdzie przebiega granica ironii oraz b. Nie, dziękuję. Nancy zadzwoniła z „Newsday”, ale tylko po to, by sprawdzić, że jestem w domu, a nie czaję się gdzieś za krzakiem w stroju Sherlocka Holmesa, próbując przyciągnąć uwagę pewnego funkcjonariusza policji z komendy hrabstwa Nassau. Nikt z wyżej wymienionych nie dodał ani jednego szczegółu do tego, co usłyszałam w radiu, ale i tak nie powstrzymało to ich (ani mnie) od dyskusowania o sprawie.

Późnym rankiem następnego dnia siedziałam w kuchni, oceniając prace egzaminacyjne moich studentów, z postanowieniem, by odsunąć od siebie wszystkie myśli dotyczące morderstwa, głównie dlatego, że czułam się zobowiązana potraktować moich uczniów sprawiedliwie. W większości były to albo miłe dzieciaki świeżo po szkole, albo mozolnie uczący się emeryci, pragnący zdobyć wyższe wykształcenie. Nikt z nich nie urodził się akademikiem. (Z czterech poleceń w pracy, na najbardziej podstawowe: „Opisz programy wprowadzone przez pierwszą administrację Franklina D. Roosevelta, by pomóc »człowiekowi na dole piramidy ekonomicznej«, uzyskałam wyczerpujące odpowiedzi w rodzaju „Trust mózgow FDR” Darcy Lundgren oraz „nadzw. ustawa o bankowości + zatrudnienie ludzi do robót publicznych + pomoc farmerom” Seymoura Myrona Bleibermana.) Tak na marginesie, muszę przyznać, że jak tylko osiągnęłam cel i zaczęłam uczyć w college'u, odkryłam niepokojącą prawdę. Nie lubię uczyć. Wolałabym badać historię i o niej dyskutować, najlepiej z kimś, kto wie więcej ode mnie.

Po godzinie zrobiłam sobie przerwę na kawę, zajrzałam do Internetu i odkryłam, że koroner hrabstwa Nassau skończył już sekcję zwłok. Stwierdził (niewątpliwie wykonując czynności tak obrzydliwe, że nawet nie chciałam o nich myśleć), że kobieta w basenie Loganów zginęła od strzału w głowę. Stan ciała wskazywał, że śmierć mogła nastąpić mniej

więcej wtedy, gdy Courtney zaginęła. W wieczór Halloween. Co więcej, sprawdzenie kartoteki dentystycznej potwierdziło to, co wszyscy z satysfakcją sami byśmy mu powiedzieli: to naprawdę był trup Courtney Logan. Potem, dzięki Bogu, zadzwonił telefon. .

– Hej! – mój syn mówił tak donośnym basem, że niemal spodziewałam się, że zaraz zaczniesz śpiewać arię z musicalu *South Pacific*. Jednak nie. Joey nie gustował w repertuarze Rodgersa i Hammersteina. – Mamo, słyszałaś? Znaleźli tę kobietę. Była w swoim własnym basenie, na Shorehaven Farms! – Jak na kinomana i ironistę, który nigdy nie włożył ubrania w niestosownym kolorze na pogrzeb, brzmiał nadzwyczaj radośnie. – Znałaś ją?

– Nie – odparłam z zalem. – Chyba nawet nigdy jej nie widziałam. – Położyłam czerwony flamaster na niebieskim zeszytce, na którym napisałam duże „3”. Potem, a co mi tam, chwyciłam pisak i dodałam za trójką duży plus. – Jest chyba jakiś film, który zaczyna się od ciała w basenie – dumalam na głos.

– *Bulwar zachodzącego słońca* – zasugerował delikatnie.

– To tylko lekka demencja starcza – zaśmiałam się, ale nie usłyszałam nawet grzecznego „he he” w odpowiedzi. – Z... Wiesz, o kogo mi chodzi. Williamem jak mu tam.

– Holdenem. – Westchnienie znudzenia z ust dziecka jest niesłyszalne dla ludzkich uszu, z wyjątkiem uszu rodzica. Znużenie dziecka, które w pewnym momencie swojego życia uważało cię za cud świata, jest upokarzające. – Więc co o tym sądzisz? – spytał Joey, gładko zmieniając temat, zanim zdążyłabym rzucić, że reżyserem był William Wyler, zamiast Billy Wilder, tym samym pograżając się jeszcze bardziej. – No, o tej kobiecie, którą znaleźli.

– Nazywała się Courtney Logan – powiedziałam.

– Kto to zrobił? Mąż?

– Tylko jeśli jest kompletnym durniem. – Przez chwilę, obgryzając flamaster, zastanawiałam się, czy nie uciąć dyskusji o morderstwie. Pewnie zaraz ogarnie mnie podniecenie, a z doświadczenia wiedziałam, że na ogół rozemocjonowanie u kobiet po menopauzie wydaje się mało interesujące osobom, które niedawno przeszły okres dojrzewania. Mimo to zaczęłam gadać jak najęta: – Posłuchaj, mały, gdy znika żona, natychmiast zaczynają się spekulacje o winie męża. Załóżmy jednak na chwilę, na użytek tej dyskusji, że Greg Logan, absolwent Uniwersytetu Browna, nie utracił instynktu samozachowawczego i jest sprytniejszy niż Fred MacMurray *vi Podwójnym ubezpieczeniu*. Dobrze? Załóżmy też, że planuje morderstwo.

– Dobrze – powiedział Joey z radosnym wyczekiwaniem, tak samo jak wtedy, gdy miał dziesięć lat i pozwoliłam mu po raz kolejny obejrzeć *Powrót Jedi*.

– Nie chodzi mi o to, że Greg usiadł i coś zaplanował. Powiedzmy, że była to zbrodnia w afekcie. Wyjaśnij mi, po co miałby ukryć ciało żony w miejscu, gdzie na bank wiadomo, że zostanie ono znalezione w maju, jeśli nie wcześniej? Na własnej posesji? Dlaczego nie zaaranżować tego tak, by nadal uważano ją za zaginioną? Nawet jeśli wszyscy uznaliby, że ona nie żyje, nikt nie miałby najbledszego pojęcia, gdzie jest.

– Więc jeśli nie byłoby ciała... – zastanawiał się głośno Joey.

– Gdzie jest dowód, że popełniono morderstwo? Nigdzie. Nie ma go. Byłyby tylko przypuszczenia, że Courtney nie żyje. We wszystkich sprawach, o których do tej pory

czytałam, było mówione, że bardzo trudno jest uzyskać wyrok skazujący bez *corpus delicti*. A teraz jej śmierć, morderstwo, jest faktem.

– A może ten Greg jest kompletnym idiotą – zastanawiał się Joey. – Albo jakimś psychopatą. Dobrze, a może to była chwilowa niepoczytalność, a potem spanikował i po prostu chciał się pozbyć ciała. A jak już się uspokoił, to nie potrafił wymyślić sposobu, by wyciągnąć ciało z basenu.

– A może on tego nie zrobił – podsunęłam.

– Może zrobił i było to częścią jakiegoś planu – odparował Joey.

– Chcesz wysnuć teorię spiskową w stylu Olivera Stone’a?

– Nie. Posłuchaj, mamó. Może zdecydował się na tak ogromne ryzyko, bo potrzebował ciała, by dostać pieniądze z polisy ubezpieczeniowej, a te kilka miesięcy spożytkował na upewnienie się, że zatarł wszystkie ślady. A może to nie mąż, tylko jego stary, ten mafioso, zlecił zabójstwo.

– Dlaczego? Bo Courtney zapomniała wysłać mu życzenia z okazji urodzin? Joey, nawet jeśli Lalus Phil Lowenstein chciał zabić synową, to czy ukryłby ciało w miejscu, które wskazuje, że należy podejrzewać jego syna?

– Może Lalus Phil ma jakieś porachunki z Gregiem.

– Nawet jeśli, to czy umieściłby ją tam, gdzie, uchowaj Boże, jego wnuki mogłyby przez przypadek zobaczyć trupa własnej matki?

– Mówisz, jakby Lalus był normalną istotą ludzką. A jeśli jest potworem? Myślisz, że przejmowałby się zdrowiem psychicznym swoich wnuków?

Przez kilka kolejnych minut wymienialiśmy się jeszcze kilkoma teoriami, przedyskutowaliśmy, czy fabuła *Wielkiego snu* ma jakikolwiek sens, zgodziliśmy się, że raczej nie ma i w końcu się pożegnaliśmy. Potem chyba na jakąś minutę straciłam kontakt z rzeczywistością, bo gdy się ocknęłam, zauważyłam, że nadal trzymam w ręce flamaster. I że napisałam nim, co następuje:

„1. Greg Logan?

2. Au pair?

3. Courtney miała faceta???

4. Jakiś wróg z czasów pracy w banku inwestycyjnym??? Albo wcześniej???

5. Przyjaciółka Grega??? + była zazdrosna???

6. Psychopata???

7. Zabójstwo zlecone przez Lalusia Phila lub jego wrogów???”

Nagle zdałam sobie sprawę, że pisałam na zeszytce egzaminacyjnym niejkiej Amandy Gerrity, wiotkiej, bladej jak ściana młodej kobiety, która miała zatrważająco wiele części ciała przekłutych kolczykami i kółkami. Oderwałam okładkę z moimi notatkami, przepisałam „3+” i dodałam przeprosiny za rozlaną kawę. Starając się nie myśleć, jak wygląda umieszczanie srebrnej kulki w języku, przyglądałam się mojej liście potencjalnych przestępców. Wracaj do pracy, nakazałam sobie w końcu. Zgniotłam okładkę zeszytu Amandy, przesłałam energicznie przez kuchnię i wrzuciłam ją do śmieci.

Trzy godziny później, gdy zadzwoniła moja córka Kate, jeszcze żyłam po lunchu, na

który zjadłam podejrzanej świeżości, kupioną przed trzema dniami w delikatesach sałatkę z tuńczyka i zdążyłam ocenić kolejnych siedem prac egzaminacyjnych.

– Mamo – zaczęła Kate bez ogródek. Kancelaria prawna, w której pracowała Kate, kazała sobie płacić dwieście sześćdziesiąt dolarów za godzinę pracy aplikantów z dwuletnim stażem, a ponieważ Kate zawsze była uczciwa, nie traciła czasu na zbędne słowa w rodzaju „Cześć”, gdy dzwoniła w godzinach pracy.

– Witaj, kochanie!

– Nie mogę uwierzyć, że do mnie nie zadzwoniłaś – powiedziała.

– W jakiej sprawie?

– W sprawie, kto to zrobił. – Głos Kate zabrzmiał figlarnie. Czasem się obawiałam, że utraci tę cechę, zajmując się obsługą prawną spółek handlowych. Klienci kancelarii Johnson, Bonadies i Eagle nie wyglądali na gromadkę wesołych kumoszek. Rozciągając przewód telefonu do granic możliwości, wyjęłam ze śmieci spisana czerwonym flamastrem listę. Zajeżdżała oczywiście kupioną przed trzema dniami w delikatesach podejrzanej świeżości sałatką z tuńczyka. Trzymając kartkę jak najdalej od nosa, odczytałam możliwości. – Co podpowiada ci twój instynkt detektywa? – spytała moja córka.

– Trudno powiedzieć. Nie mam pojęcia, jaki jest ten mąż. Możesz teraz rozmawiać?

– Oczywiście – odparła spokojnie i wielkodusznie.

– Ta au pair, Niemka albo Austriaczka. Może jest piękna. A może brzydka jak noc. Kto wie? Ale ludzie ostro plotkują o niej i mężu. Niestety, jak dotąd, jedyne, co wiadomo na jej temat, to to, że ma dwadzieścia dwa lata.

– W Nowym Jorku to nie jest przestępstwem – zasugerowała Kate niespiesznie, jakby restrukturyzacja długu Southeast Pulp and Paper, nad którą pracowała po czternaście godzin na dobę, nie wyłączając weekendów, była tylko błahostką, którą może się zająć w wolnej chwili.

Już miałam zacząć omawiać kolejne pozycje z mojej listy przestępców, gdy nagle, choć z opóźnieniem, mnie olśniło. To nie przypadek, że moje dzieci zadzwoniły do mnie tego samego dnia i chciały rozmawiać tylko o morderstwie Courtney Logan. Kate i Joey odbyli naradę i najwyraźniej doszli do wniosku, że po zakończeniu semestru w St. Elizabeth zabraknie mi rozrywek. Rozrywek? Bardziej prawdopodobne, że gdy widzieli mnie ostatnim razem kilka dni temu w Dzień Matki, zauważyli, że wpływ farmakologii na samopoczucie jest jednak ograniczony. Oto więc teraz moje kochane dzieci wskazywały mi sposób na to, by moje życie znów nabrało rumieńców. Trzeba zainteresować się śledztwem w sprawie morderstwa. Kilka minut później powiedziałam mojej pierworodnej uspokajająco optymistyczne (taką przynajmniej miałam nadzieję) „do widzenia”. I poszłam poszukać książki telefonicznej.

Dwa dni później Mack Dooley z firmy Pools, Etc, bardzo niski człowiek z bardzo długą taśmą mierniczą w ręce, stał na podwórku, na tyłach mojego domu.

– Pani Singer, mam nadzieję, że myśli pani o betonie natryskowym – mówiąc te słowa, raz za razem machał ręką, nakazując swojemu pomocnikowi, ostrzyżonemu na jeża jasnowłosemu podrostkowi o bezmyślnym spojrzeniu, żeby cofnął się jeszcze dalej z końcem

taśmy, by pokazać mi długość basenu.

– No cóż, panie Dooley...

– Proszę mi mówić Mack – rzucił wesoło. Jak na tak niskiego człowieka, miał zdumiewająco długie ręce. Pominąwszy brak owłosienia, przypominał te zabawne szympany w czapkach bejsbolowych, nieustannie pokazywane w telewizji przez antropologów jako dowód, że istoty ludzkie to niejedyne ssaki naczelne, które potrafią porozumiewać się werbalnie i wytwarzać narzędzia.

– Jak panu mówiłam przez telefon, w tej chwili dopiero zastanawiam się nad basenem – powiedziałam. – Nie jestem jeszcze zdecydowana...

– Tak, tak, ale z takim domem jak pani... – Mack zerknął na dom. To budynek w stylu Tudor, z cegły i kamienia, ze szprosami w wykuszowych oknach. Niezbyt duży, ale solidny, taki dom, w którym mógłby mieszkać na przykład ulubiony kuśnierz Henryka VII. – ... jak można wybrać winyl? – Mack niezbyt skutecznie ukrył wzdrygnięcie, wywołane tą myślą. – Pewnie myśli pani o brodziku, głębokim na metr dwadzieścia, prawda? I długim na piętnaście metrów, choć spokojnie zmieści się osiemnaście. Potem będzie mi pani wdzięczna, że ją namówiłem na osiemnaście.

– Może przygotuje mi pan wycenę dla obu wariantów – zasugerowałam. Odrzuciłam głowę do tyłu i spojrzałam na niego. – Czy... czy to pana widziałam w telewizji? – Skromnie kiwnął głową, choć jego jasne oczy, wyraźnie odbijające się od spalonej na brąz skóry aż się roziskrzyły, że został rozpoznany.

– Boże, to musiało być dla pana okropne, gdy ją pan zobaczył.

– Taa, przyjemne to to nie było. To fakt, że mniej więcej raz na dwa lata trafia się, że zdejmuję pokrywę i znajduję zdechłego kota. Ale niech mi pani wierzy, nigdy dotąd nic podobnego.

– Mógł pan rozpoznać, kto to jest? Mack Dooley pokręcił głową.

– Ona unosiła się na wodzie... Nie przeszkadza pani, że opowiadam takie rzeczy? – Zachęcająco pokręciłam głową. – Ale widziałem tylko plecy. Najpierw pomyślałem, że to jakieś duże zwierzę, szop pracz czy taki wielki pies, co to kosztuje osiemset dolarów i pada trupem, gdy skończy siedem lat, nie pamiętam, jaka to rasa. Ale potem patrzę, Jezu Chryste, to człowiek. Zobaczyłem szyję i kawałek ucha... Więc mówię do Johna – ruchem podbródka wskazał pomocnika na drugim końcu taśmy – „Wynoś się stąd”. Rzuciłem mu komórkę i powiedziałem: „Zadzwoń pod 911”. Lepiej, żeby dzieciak nie musiał oglądać takich rzeczy.

– Czy zwłoki były w stanie rozkładu?

– Co mogę powiedzieć? Leżała twarzą do dołu. Ale z tego, co widziałem, to raczej nie była w dobrym stanie. – Mack nie miał nic przeciwko moim pytaniom. Po trzech dniach przesłuchań, nie tylko przez policję, ale także reporterów i sąsiadów, chyba już się pogodził z szumem, który towarzyszy znanym osobom.

– Była ubrana? – spytałam.

– Tak, ale to, co miała na sobie, też nie wyglądało najlepiej.

– A w co była ubrana?

Zaczeplił kciuki na pasku szarych spodni od dresu, ściągnął wargi i wykrzywił je na

prawo i lewo, gdy rozmyślał. Tego pytania chyba nikt dotąd nie zadał.

– To mi wyglądało na jakieś wdzianko. Żakiet, jakbym miał obstawiać.

– Jakiego koloru?

– Trudno powiedzieć. Pewnie kiedyś był czarny, ale już wyblakł. Pewnie od chloru. Z początku widziałem tylko kształt. Zarys pleców. To dlatego pomyślałem, że to może szop. Nie widziałem reszty. Pamięta pani, że przy nauce pływania mówią, by unosić się w wodzie jak topielec?

– Tak.

– Hm, z jakiegoś powodu pani Logan tak się nie unosiła. Nie widziałem jej rąk i nóg. Pewnie zwisały w wodzie w dół, a po – ile to czasu upłynęło?

– tych wszystkich miesiącach, woda raczej nie należy do kryształicznie czystych. Tylko niech pani nie myśli, że jeśli chodzi o pani basen, to będzie z tym problem, pani Singer. We wszystkich basenach przez zimę rozwijają się glony i inne takie, bez względu na to, ile się wleje chemikaliów na jesieni. Jedno przepłukanie kwasem chlorowym w maju, co trwa tylko chwilę, i przez całe lato ma pani czyściutką wodę.

Musiałam przyznać, że pomysł z basenem już nie wydawał się taki idiotyczny. Kilka długości basenu przed pracą, kilka wieczorem. Mogłabym sobie doskonale ujędrnić mięśnie ramion i być jedną z tych kobiet, które noszą golfy bez rękawów. Mogłabym zaprosić przyjaciółki na pływanie i grilla, albo pływać samotnie na materacu z plastikowym kieliszkiem chardonnay w ręce i podziwiać zachód słońca. Moja głowa zaczęła się automatycznie poruszać w górę i w dół, jakbym już doszła do porozumienia z Maćkiem Dooleyem.

– Pan ją znał? – spytałam szybko, by odwrócić uwagę od mojej kiwającej głowy. – Znaczą się Courtney Logan.

– Tak. Bo to z nią miałem do czynienia, gdy budowałem basen. Ona też umawiała się z nami na konserwację.

– Jaka była? – przerwałam na chwilę. – Pewnie pytano o to pana już wiele razy?

– Nie szkodzi – odparł uprzejmie. – Była naprawdę miła. Ale rzeczowa. Wie pani, o co mi chodzi? Prawdziwa dama. Witam, jak się pan ma, jak minął weekend – tego typu rzeczy. Nie przemądrzała czy zadzierająca nosa, czy jak to jeszcze określić, jak niektóre – mam nadzieję, że pani wybaczy, pani nie jest jedną z nich... Te młode, ambitne na stanowiskach. Odchodzą z biznesu, by wychowywać dzieci, ale wie pani co? Nadal muszą pokazać, jakie z nich pistolety. Są takie... ostre. Ale nie pani Logan. Z nią miło było mieć do czynienia.

– Bardzo się targowała? Zgodziła się na pierwszą ofertę? – Mack lekko się zawahał. – Proszę się nie obawiać – uspokoiłam go. – Jeśli zdecyduję się na basen, dam panu zarobić. Nie jestem zbyt dobra w negocjacjach.

Mack nacisnął guzik i taśma miernicza ze świstem wsunęła się do obudowy. Jasnowłosy młodzian wolnym krokiem ruszył do samochodu.

Mack znów się miło uśmiechnął. Zęby miał lekko krzywe. Przyjemna odmiana w świecie wszechobecnej ortodoncji.

– Miała głowę do interesów, to trzeba przyznać. Za każdym razem, gdy jej mąż już był

gotów podpisać umowę, mówiła: „Greg, jeszcze to przemyślmy”. Ale mówiła to w bardzo miły sposób. Zachowywała się tak sympatycznie, że trudno było mieć do niej żal.

Przypomniałam sobie zdjęcie wydrukowane w „Beacon”. Courtney rzeczywiście wydawała się sympatyczna.

- Czy wyglądało na to, że trzyma męża pod pantoflem? Mack pokręcił głową.
- Chyba nie. Doszedłem do wniosku, że on po prostu ma mniejsze wymagania.
- Czy policja chciała się o nim wszystkiego dowiedzieć?
- Pewnie!
- Na przykład czego?
- Czy wpadał w złość. Czy widziałem, jak się kłócili. Jak ze sobą żyli.
- A jak żyli?

– Z tego, co widziałem, to dobrze. – W zamyśleniu potarł podbródek. Szczecina zachręściła jak papier ścierny. – Co jeszcze? Aha, czy zauważyłem coś pomiędzy nim i tą zagraniczną opiekunką do dzieci. – Uniosłam brwi w subtelnym, jak miałam nadzieję, zapytaniu. – Widziałem ją kilka razy na basenie z tą małą dziewczynką. Spokojny typ. Raczej trudno powiedzieć, że ładna. Miała takie włosy, co się zlepiają w strąki. Wygląda to jak mop, zanim wyschnie. Chociaż, bo ja wiem, może w dzisiejszych czasach włosy dziewczyn powinny tak wyglądać i jest to uważane za ładne.

– Co pan powiedział policji, gdy pytali o tę opiekunkę i Grega Logana?

– Prawdę. Nic nie widziałem. Gdybym ja był na miejscu Logana, gwarantuję, że przy takiej miłej żonie, jasnowłosej, z dołeczkami, wcale by mnie nie kusiło. Tyle że ta dziewczyna była nawet zgrabna. Zresztą, skąd ja mam wiedzieć, co się może podobać facetom, prawda?

Prawda. Trzy dni później w ponure niedzielne popołudnie pod stalowoszarym niebem nie wspomniałam Nancy o tym, co się komu może podobać i Maćku Dooleyu. Nie chciałam usłyszeć kolejnego wykładu o mojej obsesji. Nie na punkcie rozwiązania zagadki, czyli ustalenia, kto zabił, tylko Nelsona Sharpe’a. Zamiast tego grzecznie zapytałam:

– A oprócz tego, że się na nią patrzy, to do czego ci altana? – szłyśmy przez pół hektara lasu, rosnącego przy jej domu, podskakując lekko, tak by uniknąć kontaktu z sumakiem jadowitym i pokrzywami, które zaczynały już dławić na śmierć wiosenne kwiaty. – Poza tym, jeśli postawisz ją tutaj, nie będziesz jej widziała z domu. – Odwróciłyśmy się, by spojrzeć za siebie. Przez świeżo rozwinięte liście na drzewach widać było tylko krawędź wyłożonego ciemnymi dachówkami dachu rozległego wiktoriańskiego domu Millerów. – Pewnie mogłabyś tu przyjść z książką. Ale czy chciałabyś czytać na drewnianej ławce albo jednym z tych żeliwnych krzesełek ogrodowych, na których cierpnie dupa? Nie mówiąc o tym – spjrzałam na strzeliste dęby, klony i różne inne drzewa – co mogłabyś przeczytać w tym świetle? Pierwsze dwie linie tablicy u okulisty?

– Potrzebuję jakiegoś miejsca dla siebie. – Nancy wydawała się nie tyle rozdrażniona, co zdesperowana. – Larry znów zamierza zdemolować dom. – Co pięć, sześć lat jej mąż architekt dawał się porwać nowej artystycznej wizji: „Oto jak powinien wyglądać świat”. Wówczas wybebeszał wspaniały, stary dom, malował na biało ściany i podłogi, ustawiał

wyłącznie białe meble. Albo projektował ogromną, wyłożoną terakotą przestrzeń, będącą jednocześnie kuchnią, jadalnią, salonem, gabinetem i biblioteką. Albo rokokowe stiuki i wyposażenie, które sprawiały, że nawet łazienka dla gości wyglądała tak, jakby król z dynastii Burbonów miał tam za chwilę podpisywać traktat.

– Cóż – westchnęłam, zatrzymując się na chwilę, by popatrzeć na miniaturowy las wysokich do kolan paproci – lepiej że Larry, gdy się nudzi, znajduje sobie nowy gust estetyczny, a nie nową żonę.

Nancy wzruszyła ramionami.

– Nie jestem już pewna, że to lepsze. A do czego mi on potrzebny?

– Kochasz go.

– Judith, jesteś niepoprawną romantyczką – pokręciła głową, zasmucona moją głupotą. – Oczywiście bycie romantyczką to pestka, gdy się już nie ma męża. Powiedz mi, jak mogę kochać kogoś, kto chce jako wyraz swojego talentu pozostawić potomności gotycki pokój do oglądania telewizji? Wiesz, co mi powiedział ostatniego wieczoru jak zwykle *post coitus nauseus**? [*Post coitus nauseus* (łac.) – po stosunku przyprawiającym o mdłości.] „Nancy, styl gotycki to jedyna moralnie uzasadniona forma budowania”. Lada moment wygoli sobie tonsurę i włoży włosiennicę – wzruszyła ramionami. – Ten facet ma pięćdziesiąt osiem lat. To prawdopodobnie początki starczej demencji. Wkrótce będę mu zmieniać pieluchy.

– Czy to jeszcze pogorszy ci nastrój, jeśli przypomnę, że różnica wieku między tobą i Larrym wynosi trzy lata, a nie trzydzieści trzy? Zresztą co z tego? Jak na kobietę po pięćdziesiątce wyglądasz fantastycznie. Wyglądasz świetnie nawet jak na kobietę po czterdziestce. Po co zawracać sobie głowę wiekiem...

Nancy oparła dłonie na biodrach obciążonych odsłaniającymi smukły brzuch dzinsami i ucieła:

– Cicho bądź!

– Wiesz, jak brzmi moja nowa dewiza życiowa? – spytałam.

– Bezmyślnie powtarzać każdą sylabę pseudopsychologicznego bełkotu, który usłyszysz w programie Oprah Winfrey?

– Nie – odparłam. – Nie bać się prawdy.

– Prawda to viagra trzy razy w tygodniu. Jedyna rzecz, która jeszcze Larry’emu nie sflaczała, to jego fiut. Poza tym jest cały sflaczały. A skoro o sflaczeniu mowa, to już czas, byś przemyślała marzenia o tym gliniarzu. Jeśli myślisz, że on nie musi sobie tego nosić na temblaku, to się okłamujesz. Zresztą i tak żyjesz złudzeniami. Kilka miesięcy romansu dwadzieścia lat temu i facet już jest miłością twojego życia?

Podparłam się pod boki.

– Nawet o nim nie wspomniałam.

– On wisi w powietrzu. Wyczuwam jego stałą obecność w twojej głowie.

– Grubo się mylisz – skłamałam.

– Zastanawiasz się, dlaczego nie spotykasz żadnych porządnych facetów...

– Nie, nie zastanawiam się. To ty się zastanawiasz.

– Judith, on jest żonaty.

– Ale już z inną.

Nancy zatrzymała się w pół kroku przed bambusowym zagajnikiem.

– Tak, masz rację. Z nową kobietą.

– I im nie wychodzi.

– Skąd wiesz? Wpadliście na siebie rok temu i widzieliście się przez zaledwie parę sekund.

– Ale potem on zadzwonił – argumentowałam nieudolnie.

– Rozmawialiście przez cztery sekundy.

– To trwało kilka minut. Słyszałam to w jego głosie. Nie jest szczęśliwy. Zresztą on już nie jest w wydziale zabójstw. Jest szefem czegoś innego, jakiejś jednostki śledztw specjalnych. Czy coś takiego. A jeśli myślisz, że mam obsesję, to tak się składa, że to ja powiedziałam do słuchawki: „Miło było znów z tobą porozmawiać” i się rozłączyłam.

– Jasne. Żebyś mogła zemdleć.

– Ja nie mdleję. – Nienawidzę się z nią kłócić. Co innego postawić się w pracy i powiedzieć kierownikowi katedry historii, że najbliższej jesieni nie będę w czterech grupach uczyć historii Ameryki, od pierwszych osadników do zakończenia wojny secesyjnej, zwłaszcza jeżeli wtryni do każdej po czterdzieści osób. A co innego stanąć do konfrontacji z najbliższą przyjaciółką. Nancy posiadała właściwą dziennikarzom, jak sądzę, umiejętność, by nie zważać na przykrości i przeć do przodu. Konfrontacja wręcz dodawała jej skrzydeł. Odwróciłam się od niej i zaczęłam przyglądać się domowi. Widać było tylko dach i coś, co niemal na pewno (ale nie na sto procent) było czubkiem lipy. Nie chciałam pytać, czy to rzeczywiście lipa, bo to by Nancy dało do zrozumienia, że rozpaczliwie próbuję zmienić temat. Ona naturalnie wiedziałaby, czy to lipa. Od zawsze byłam przekonana, że protestanci mają wrodzoną wiedzę na temat wszystkich roślin i mimo woli źle o kimś myślą, jeśli o nie zapyta.

– Przez trzy kwadransy nie usłyszałam od ciebie ani słowa o Courtney Logan – zauważyła. – Dlaczego? Chcesz mi udowodnić, że naprawdę nie jesteś zainteresowana morderstwem, co znaczy, że nie obchodzi cię też on.

Właśnie. Parsknęłam więc:

– Nie. Po prostu słuchałam twojego gładzenia o altanie. – Postanowiłam nie dodawać: „i nie mogłam wtrącić ani słowa”.

– Spodziewałam się, że będziesz mnie prosić, bym zapytała naszych reporterów o niepublikowane szczegóły o ranach głowy.

– Ranach? – zdziwiłam się. – Słyszałam o jednej kuli. – Nancy urządziła mistrzowski pokaz obojętności. Zdjęła sweter i starannie zawiązała go sobie wokół talii. Sweterek był lekki jak mgła, morelowy, zrobiony z bardzo modnej przędzy, strzyżonej zdaje się z gonad indonezyjskich kóz, będącej obecnie obowiązującym trendem w dzianinie, skoro kaszmir już się znudził, a kaszmir z jedwabiem już się opatrzył. – Ranach? – powtórzyłam. – Czyżbym słyszała liczbę mnogą?

– Podobno były dwie kule w głowie. Pierwszy strzał ją zabił. Drugi był... czy ja wiem. Pewnie na wszelki wypadek.

- Czy wiedzą z jakiej broni strzelano? – spytałam.
- Koroner pewnie wie. Ja nie.
- Jesteś pewna, że oba strzały oddano z tej samej broni?
- Nie.
- Możesz się tego dowiedzieć?

– Nie, Judith. Nie pracuję w dziale kryminalnym. Przydzielam i redaguję artykuły w dziale komentarzy, na przykład diatryby na temat opieki medycznej. Albo dwujęzycznej edukacji. W piątek pean o odsalaniu wody przycięłam z tysiąca słów do siedmiuset – potrząsnęła głową. Jej idealnie ostrzyżone rude włosy zakołysały się wdzięcznie centymetr nad jej ramionami. – A i tak był do dupy.

– Mogłabyś zapytać reportera, który zajmuje się sprawą Courtney...

– Posłuchaj. Ty uważasz, że picie mi nie służy. A ja sądzę, że ta zabawa w detektywa nie służy tobie. W porządku, dwadzieścia lat temu miałaś sporo zabawy, ustalając, kto zabił tego zboczonego dentystę. To ci pokazało, że świat nie ogranicza się do wożenia dzieci do przedszkola i z powrotem. Przespałaś się też z facetem. Może nawet się z nim kochałaś. Świetnie. Ja to robię non stop. – Według Nancy na górze Synaj Bóg dał Mojżeszowi tylko dziewięć przykazań. W ciągu trzydziestu jeden lat małżeństwa miała przynajmniej osiemdziesięciu kochanków. – To działa na cerę lepiej niż kompres z parafiny. Ale ty nie jesteś mną. Ty do pieprzenia podchodzisz poważnie. – Gdzieś na dalekim Południu Stanów jest chyba jakaś szkoła, która uczy młode damy tysiąca sztuczek, począwszy od rozchylania ust, jakby z propozycją seksu oralnego, przy jednoczesnym wsłuchiwaniu się z uwagą w każde wypowiedane słowo, aż po pokazywanie niby niechcący rowka między piersiami. Dopiero gdy te ślicznotki po mistrzowsku opanują ów tysiąc sztuczek, dostają *carte blanche*, by mówić wszystko, co przyjdzie im do głowy, w każdym miejscu i o każdej porze, nieważne, jak bardzo jest to obrzydliwe czy szokujące, wraz z gwarancją, że i tak zostaną uznane za bardziej czarujące niż konwencjonalne, trzepoczące rzęsami różane pączki, które uważają na to, co mówią. – Nic zresztą w tym złego, że traktujesz pieprzenie się serio, chociaż to dosyć uciążliwy sposób patrzenia na świat.

– Wcale nie – powiedziałam, chyba tylko po to, by podtrzymać dyskusję. Kto wie, może Nancy miała rację, że zmarnowałam moje najlepsze lata. A teraz mogłam jedynie liczyć na zainteresowanie kogoś takiego jak postmodernistyczny Geoff, z włosami sterczącymi z uszu. – Ale jeśli uważasz, że nie ma sensu tego robić, bo byłoby to nudne, albo Nelsonowi stanąłby tylko z pomocą dźwigu, to dlaczego nie mielibyśmy się spotkać, choć przysięgam, że wcale tego nie planuję.

– Bo jesteś teraz rozchwiana emocjonalnie.

– Mam się całkiem nieźle.

– Czy mam zanucić walca z *Wesołej wdówki*, żeby ci przypomnieć? – podniosła patyk i rzuciwszy ostatnie spojrzenie w stronę domu, wbiła go w ziemię. Tu stanie jej altana. – Straciłaś męża. Zmarł, a nie odszedł do dwudziestolatki z jędrnymi cyckami i dyplomem z prawa na Harvardzie. Nie możesz go więc nienawidzić za to, że cię zostawił, nie czując przy tym wyrzutów sumienia, do czego, jako Żydówka, i tak masz skłonność. Straciłaś go ot tak –

pstryknęła palcami. – Bez względu na to, co do niego czułaś, nadal usiłujesz pogodzić się z tą stratą. Gdybyś nawiązała znajomość z przystojnym facetem z wypchanym rozporkiem, by chwilowo cię zaspokoił, to co innego. Ale nie ten gliniarz. Z nim czeka cię tylko Sturm und Drang, ewentualnie seks wieku średniego i w sylwestra szampan pity do lustra. Na co ci to? – wyciągnęła patyk z ziemi i ruszyła przed siebie. – Więc zero gliniarza.

– Zero gliniarza – powtórzyłam cicho.

– I zero morderstwa.

– Dobra.

Trzydzieści godzin później zadzwoniłam do drzwi frontowych Grega Logana.

Rozdział 3

Nazywam się Judith Singer.

Przećwiczyłam to, co powiem Gregowi, gdy obrysowywałam oczy kredką. Nieźle, pomyślałam, i makijaż, i przedstawienie się. Jeśli chodzi o makijaż, choć raz oboje oczu wyglądało, jakby należało do tej samej osoby. Jeśli chodzi o to drugie, pomyślałam, że prosty wstęp brzmi swojsko i pewnie. Wcale nie bezczelnie. Bezczelność to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje facet tydzień po tym, jak jego martwa żona została znaleziona w basenie za domem.

Tyle że gdy się przedstawiałam, głos mi zachrypnął, albo ze zdenerwowania, albo z powodu taniego estrogenu, którym się faszerowałam w ramach zaleceń lekarza. Moje „Judith Singer” zabrzmiało jak Don Corleone Marlona Brando i nie była to sprzyjająca okoliczność na progu domu syna Lalusia Phila. Odchrząknęłam i ofiarowałam Gregowi Loganowi smutny półuśmiech. Stał w drzwiach i wpatrywał się w coś za moimi plecami, więc się odwróciłam.

Nic. Teoretycznie po ósmej to była noc, ale pas nieba tuż nad horyzontem był nadal rozświetlony od zachodzącego słońca. O zmierzchu chodnik z niebiesko-czarnych kamieni wyglądał jak zalany wodą. Na zewnątrz nie paliły się żadne światła, ale pewnie nie były potrzebne. Nikt nie przychodził do tego domu. Byliśmy tylko my dwoje, ja i Greg.

Czekałam, aż zapyta: „Czym mogę pani służyć?” albo odwzajemni mój nieśmiały uśmiech. Ale nic nie powiedział. Jego twarz pozostała nieruchoma. Powiedziałam więc: „Dobry wieczór”. Było tak cicho, że słyszałam szum silników samolotu, kierującego się na lotnisko La Guardia, a potem pstryknięcie, gdy na trawniku włączył się automatyczny system zraszania. I znów cisza. Żadnego świergotu ptaka, szumu samochodu, szelestu liści. Cisza tak gęsta, jakby życie zamarło. Instynkt zaczął mi podpowiadać: Uciekaj! Rozum uspokajał: Rozluźnij się. Co on ci może zrobić? Przystawił pistolet do głowy?

Wdowiec Greg w oliwkowej koszuli z wyhaftowanym emblematem klubu golfowego na sercu stał przede mną w spodniach khaki, bosy. Stał we framudze zielonych drzwi na tle szarzielonej tapety w holu wejściowym. Chciałam, żeby na mnie spojrział? O Boże, właśnie patrzył mi prosto w oczy. I nawet mu powieka nie drgnęła, chyba że zamrugaliśmy w idealnej synchronizacji.

Starając się odnaleźć człowieka, zajrzałam mu głębiej w oczy. I zobaczyłam pustkę. Ani intelektu, ani znużenia, ani współczucia, agresji czy bólu straty. Tylko same oczy w nieciekawym kolorze pomiędzy szarym i niebieskim. To prawda, że były w oprawie gęstych rzęs, z gatunku tych wiecznie wilgotnych, które w przypadku niektórych mężczyzn budziły skojarzenia erotyczne. Tyle że jakakolwiek sugestia, że Greg mógłby być ognistym ogierem, zostałaby natychmiast zredukowana do zera nie tylko wskutek jego milczenia, ale także przez jego włosy. Odchrząknęłam. Właściwie były to cudowne włosy, bardzo ciemne, prawie czarne, lśniące, gęste, które każdy zigolo nosiłby długie i zaczesane na żel do tyłu. Greg Logan miał je jednak tak krótko przystrzyżone z boków i z tyłu, że wyglądał nie na kochasia, a raczej na świeżo upieczzonego rekruta. Mało który widok jest mniej seksowny niż błada

skóra głowy z brązowym pieprzykiem, przeświecająca przez podgolone baczki.

Poza tym Greg wyglądał zbyt intrygująco, by można go było uznać za klasycznie przystojnego. Oczy i kości policzkowe miał lekko skośne, nos nieco zadarty, co dodawało twarzy delikatności. Zwróciłam na nią uwagę już wcześniej na okładce „Newsday”. W świetle mosiężnego żyrandola jedyne, co sprawiało, że jego twarz nie wydawała się dziewczęca, to popołudniowy zarost i brwi, gęste, kędzierzawe, wyglądające jak dwie gąsienice, które wypełzły mu na czoło.

Staralam się obserwować go tak, by tego nie zauważył. Mimo twarzy w kształcie serca Grega Logana raczej nie można było określić słowem „niewieściały”, bo delikatność rysów aż nadto równoważyła atletyczna budowa. Miał szeroki kark osiłka, muskularną pierś i nogi jak dwie gigantyczne sekwoje. Wyglądał na człowieka, który musi dwa razy więcej ćwiczyć na siłowni, by przekształcić tłuszcz na mięśnie, a i tak nie udaje mu się uzyskać właściwego efektu. Jego potężna budowa sprawiała, że czuło się przed nim respekt. Na szczęście nie musiałam za bardzo zadzierać głowy. Nie miał więcej niż metr osiemdziesiąt wzrostu.

Spotkanie z niezręcznego stawało się wręcz przykre. Przełknęłam ślinę z wysiłkiem. Moje nadnercza produkowały dwa razy więcej adrenaliny niż zwykle. Ogarnęła mnie fala mdłości, której towarzyszyło mrowienie skóry i uderzenie gorąca, sprawiająca, że pot spłynął mi między piersiami.

Ciszę przerwało ogłuszające dźwięczenie poruszonych wiatrem japońskich dzwonek. Zaraz potem usłyszałam głośny, szybki oddech Grega Logana. Jak przez mgłę pamiętam, że pomodliłam się: „Och, błagam, niech to będą tylko jego migdałki, a nie preludium ataku szału; tylko niezręczna cisza, gdy oboje zaniemówiliśmy z paraliżującego strachu, że zaraz zaczniemy w tym samym momencie gadać coś bez sensu”. Nie reagował jednak zbyt długo. Gdybym nie była zmrożona jego spojrzeniem, pewnie pisałabym: „Oj, pomyliłam domy!” i pędem pobiegła do mojego dzipa. Jak mogłam nie przygotować czegoś więcej oprócz „Nazywam się Judith Singer”?

W końcu, dzięki Bogu, Greg odetchnął ciszej i głębiej. Iskierka nadziei. Może to, że zapomniał języka w gębie na widok gościa było spowodowane przeżytym szokiem. Szokiem wskutek kontaktu z drugim człowiekiem. Był przecież głównym podejrzanym. Miałam wątpliwości, czy po zniknięciu Courtney w Halloween, przez całą zimę i wczesną wiosnę aż do tej chwili ktokolwiek z mieszkańców Shorehaven stanął na jego progu z dobrym słowem i pierniczkami domowej roboty. Ci, którzy dzwonili do jego drzwi – gliniarze, dziennikarze lub świry – zwykle oznaczali kolejne kłopoty.

W tej chwili Greg Logan pokazał mi, że bez względu na to, czy był mordercą, czy ofiarą, nadal trzeźwo myślał, przynajmniej na tyle, by przypomnieć sobie obowiązującą na przedmieściach zasadę: „Uprzejmość na co dzień i od święta”. Nawet teraz, zaledwie tydzień po znalezieniu ciała jego żony, potrafił rzucić mi wystudiowany, lśniący wyjątkową bielą uśmiech. Czas znów biegł.

Odetchnęłam z ulgą tak głośno, że niemal jęknęłam. Doszłam do wniosku, że to nie najlepsza chwila, by rozpraszać się rozważaniami, czy na zębach Greg ma koronki, czy też je wybielił. Zmusiłam kąciki swoich ust do uniesienia się w górę i oznajmiłam dziarsko:

– Jestem w zarządzie biblioteki publicznej Shorehaven. Co przecież jest prawdą.

– Aha – odparł. Otworzył drzwi szerzej i cofnął się w progu, pozwalając mi wejść do środka.

Dom pachniał zapiekanką z makaronu i sera. Ktoś próbował zamaskować to sprayem do odświeżania powietrza. Ale nie takim, który rozpyła sztuczny zapach truskawek, tylko takim droższym, który ma aromat prawdziwych moreli. Greg Logan i ja staliśmy pod żyrandolem w holu wejściowym, w odległości dwóch kafelków na ułożonej w szachownicę podłodze z ciemnozielonej i białej terakoty. Spojrzałam w górę, ponad jego głowę. Na końcach ramion mosiężnego żyrandola każda żarówka w kształcie płomyka miała mały szarozielony klosik, który z kolei był obramowany ciemniejszą lamówką, wyciętą w muszelki, wyglądająca jak łańcuszek miniaturowych uśmiechów.

– W czym mogę pani pomóc? – spytał Greg przesadnie uprzejmie. Najwyraźniej spodziewał się, że poproszę go o darowiznę. Albo że wygłoszę groteskowe zdanie w stylu: „Pańska żona pożyczyła w październiku *Radosną sztukę rzeźbienia w dyni* i przetrzymuje ją od siedmiu miesięcy”.

– Panie Logan, przepraszam, że zjawiłam się bez uprzedzenia. Wiem, że spotkała pana tragedia i pewnie nadal przeżywa pan trudne chwile... – Czekałam, że powie: „Dziękuję za troskę” czy coś w tym rodzaju. Ale nie zareagował. Udało mi się wykrztusić: – Chciałam z panem kilka minut porozmawiać.

Spojrzałam na niego śmieiej. To mu najwyraźniej nie przeszkadzało, natomiast mnie po raz kolejny pustka w jego oczach wytrąciła z równowagi. Odwróciłam wzrok i patrzyłam w dół, dopóki znów nie zaczęłam się denerwować, że on pewnie sobie myśli, że gapię się na jego genitalia (nie patrzyłam, nie żeby cokolwiek można było zobaczyć przy luźnych spodniach khaki) albo , na kępki włosów rosnące mu na stopach, które wydawały się nienaturalne jak *i* dwie przyklejone miniperuczki. Potem, wciąż nie tracąc nadziei, znów spojrzę – i łam w górę. Nie powinnam była. Wzrok miał nadal tak martwy jak Courtney.

Szybko zerknęłam na cztery ryciny, oprawione w złoczone ramki, wiszące na satynowych wstążkach, by móc skupić uwagę na czymś innym niż oczy Logana i włosy na jego stopach. Czy on pomyślał, że jestem wariatką? Głos rozsądku znów zaczął krzyczeć: „Ty idiotko, uciekaj! To świr! Uśmiechnięty, z dyplomem Ivy League* [Ivy League – osiem prestiżowych uniwersytetów we wschodniej części Stanów Zjednoczonych (przyp. tłum.)] psychopata , którego puste oczy roziskrzają się radośnie, gdy będzie upychał twoje poćwiartowane ciało w beczce z kompostem”. W tym momencie mój intelekt słodkim głosem rozsądku spytał: „Judith, czy chcesz wyjść na jeszcze większą wariatkę, niż jesteś?”

Greg zlustrował mnie od stóp do głów. Ubrałam się tak, by wyglądać na typową członkinię zarządu biblioteki, a nie luzacką sąsiadkę: granatowa spódnica, jasnoniebieski bawełniany sweterek i dopasowana odcieniem apaszka z jedwabiu w motylki i tylko minimum makijażu, by jako tako wyglądać.

Mój błękitny, godzien zaufania wygląd najwyraźniej podziałał, ponieważ Greg w końcu się odezwał:

– Proszę dalej.

Poprowadził mnie długim, biegnącym środkiem domu korytarzem do salonu, który był tak przepastny, że mieścił cztery komplety wypoczynkowe jak w holu hotelu RitzCarlton. Dom o wielkich pokojach i wysokich sufitach musiał chyba ucieleśniać ambicje ludzi robiących karierę, zbyt młodych, by pamiętać kryzys naftowy z 1973 roku. Greg zapalił lampę czy dwie i zaproponował, bym usiadła na szerokiej, miękkiej kanapie, obitej grubym, supelkowym jedwabiem w zielone, kremowe i żółte paski. Niestety, było na niej tyle poduszek, że mimo jej rozmiarów, pozostawało zaledwie tyle wolnego miejsca, że zmieściłyby się najwyżej dwie anorektyczki. Skończyło się na tym, że siedziałam z wielką żółtą poduchą na kolanach. Z każdego jej rogu zwiisał duży frędzel, podobny do tych, jakie striptizerki przymocowują sobie do sukien, by rytmicznie nimi potrząsać (tę umiejętność, podobnie jak gry na ksylofonie, zawsze pragnęłam posiadać). Kolejna poduszka, obszyta gęstymi frędzlami prostokąt z wyhaftowanym krzyżykami złotym pieskiem, walczyła o miejsce z moim prawym biodrem.

– Uczę historii w college’u St. Elizabeth. Pomyślałam, że pańska opowieść... – w tym momencie Greg Logan znieruchomiał, z plecami o kilka centymetrów od oparcia ciemnozielonego fotela stojącego pod kątem prostym do kanapy. – Zdaję sobie sprawę, że moja wizyta może wyglądać na naruszanie prywatności, ale miałam nadzieję, że ma pan coś ważnego do powiedzenia naszej społeczności o tym, jak działa wymiar sprawiedliwości. Czy też może raczej jak nie działa.

Greg w końcu usiadł, ale w zdumieniu tak wysoko uniósł kędzierzawe, ciemne brwi, że wyglądały niemal na kręconą grzywkę.

– Nie rozumiem – odparł, nadal grzecznie. A przynajmniej bez wyraźnych oznak agresji.

Z głębin torby wyjęłam kopię swojego CV w przezroczystej koszulce. Przy okazji niechcący wyciągnęłam zeschniętą gumę do żucia owiniętą w starą listę zakupów. Wsunęłam gumę z powrotem do torebki i podałam mu CV, odpowiadając równocześnie na niezadane pytanie:

– Mam wrażenie, że padł pan ofiarą przecieków do prasy i stereotypowych skojarzeń, które mają więcej wspólnego z uprzedzeniami niż z rzeczywistością.

Oczy Grega nie zaszyły łzami wdzięczności, na co podświadomie bezczelnie liczyłam. Zamiast tego zareagował na moją propozycję w zasadzie w ten sam sposób jak w chwili otwarcia mi drzwi. Można powiedzieć, że takiego zachowania należało się spodziewać po facecie z dyplomem MBA. Grzeczna obojętność, która tak naprawdę nie była żadną reakcją. Równie dobrze można było to uznać za zachowanie dobrze ułożonego psychopaty. Zerknął na moje CV. Już nie był tak niepewny, zachowywał się bardziej jak profesjonalista. Przebiegł po nim wzrokiem ze zdumiewającą prędkością. Miałam nadzieję, że nie jest jednym z tych biznesmenów, którzy uczą się szybkiego czytania, bo na nic nie mają czasu. Najwyraźniej jednak tak. Po siedmiu sekundach wiedział, co mam mu do zaoferowania i uznał, że tego nie potrzebuje.

– To bardzo miłe, pani, hm, doktor Singer.

– Nie używam tytułu doktora – powiedziałam. – I proszę mi mówić: Judith. Nie zwrócił się do mnie ani tak, ani tak.

– Doktorat z historii na Uniwersytecie Nowojorskim. Szczerze mówiąc, jestem pod wrażeniem. – Nie był ani szczery, ani pod wrażeniem. Byłam ogromnie rozcieszona. Mówił jak dobrze zaprogramowany automat. – Doceniam pani współczucie. Jednak naprawdę nie rozumiem, co moja opowieść miałyby zmienić – wzruszył, zapewne przepraszaając, ramionami, choć wyglądało to raczej na krótki, mimowolny skurcz mięśni.

– Może wzbudzić nieco zrozumienia dla tego, przez co pan przechodzi. Być może nawet współczucie, które zmanifestuje się wsparciem ze strony lokalnej społeczności. – Czekałam, by zaczął kiwać głową ze zrozumieniem. On jednak siedział nieruchomo, ze sztywnym karkiem i rękami przyklejonymi do podłokietników fotela. Brnęłam więc dalej: – Wydaje mi się, że został pan skrzywdzony. Skazano pana bez rozprawy. – W tym momencie wreszcie kiwnął głową, ale tylko lekko, zaledwie by pokazać, że mnie słucha, podczas gdy równocześnie próbował ustalić prawdziwy powód mojej wizyty i kto mnie przysłał. – Jestem tu także dlatego, że nie wierzę, by miał pan cokolwiek wspólnego z morderstwem swojej żony. – W chwili gdy wypowiedziałam słowo „morderstwo”, przesunął prawą dłoń do lewej i zaczął powoli obracać obrączkę na palcu. Zaszcło mi w ustach. Język przyłgął do podniebienia, co sprawiło, że moje następne słowa zabrzmiały niewyraźnie. Udało mi się wykrztusić: – Pan jest zbyt inteligentny, by zrobić to w tak głupi sposób.

– Przepraszam – warknął ostro. Wreszcie miał jakiś wyraz twarzy. Pogardliwy. Nozdrza mu się rozděły w zniecierpliwieniu, jakbym przysłała do niego z propozycją sprzedaży jakiejś tandety. – Nie mam na to czasu. – Z każdym słowem tego zdania jego głos stawał się coraz głośniejszy i bardziej lekceważący. Powoli zacisnął ręce w pięści.

– Nie rozumie pan? – starałam się wytłumaczyć. – Policja skupia się wyłącznie na panu. A tym samym nie szuka osoby, która naprawdę popełniła tę zbrodnię. Poza tym proszę mnie wysłuchać, jestem doskonałym pracownikiem naukowym. Jeśli pan się zgodzi, mogę się przyjrzeć sprawie, sprawdzić, czy da się znaleźć coś, co doprowadzi do właściwego sprawcy.

Teraz pokręcił głową. Nie. Stanowczo nie. Gorzej, wstał.

– Mój prawnik wynajął prywatnego detektywa. – Słyszałam pogardę w jego słowach.

– Proszę mi dać jeszcze minutę – poprosiłam, patrząc mu w oczy. – Gdy powiedziałam, że mogłabym się przyjrzeć sprawie, nie miałam na myśli przeczesania okolicy i wypytania, kto co widział w Halloween. Albo co, i czy w ogóle coś, pańscy sąsiedzi powiedzieli policji. To praca dla pańskiego prywatnego detektywa. To, co ja mogę zrobić, to zagłębić się w szczegóły, przeanalizować dane, poszukać czegoś w przeszłości innych osób. Poza tym mam pewne doświadczenie w prowadzeniu śledztwa w sprawie morderstwa i...

To okropnie upokarzające patrzeć, jak osoba, która próbowała cię rozpracować, wreszcie dochodzi do wniosku: „O cholera! To wariatka!” Wstałam więc. Byłam o krok od chwycenia go za koszulę, by potrząsnąć nim i wrzasnąć: „Proszę, niech mi pan uwierzy. Nie jestem wariatką!” Co pewnie byłoby równie przekonujące, jak oświadczenie Nixona, że nie kłamie.

W sumie nie wiadomo, od czego, być może tylko od przeciągającego się milczenia, uratowało nas skrzywienie grubych, gumowych zelówek. W jadalni, potem w holu wejściowym, aż w końcu stłumione przez puszystą wełnę perskiego dywanu. Na moment zerknęliśmy na siebie zmieszani, jakby przyłapano nas na robieniu czegoś nieprzyzwoitego.

Wysoka, koścista kobieta przeszła przez salon i stanęła przed Gregiem. Wyglądała jak Janet Reno z ostrzyżonymi po męsku, ufarbowanymi henną włosami. Jej jasnobrązowe, wysoko sznurowane buty miały grubą na trzy centymetry, karbowaną podeszwę z pomarańczowej gumy. Spodnie i dopasowany odcieniem podkoszulek były w kolorze łososia z puszki. Natychmiast przyszły mi na myśl słowa „starsza pani” i „poliester”, jednak szybko zdałam sobie sprawę, że nie jest wiele starsza ode mnie, tyle że to sztuczne włókno, w które była ubrana, okropnie ją postarzało.

– Panie Looogan?

Dziwaczna wada wymowy? Silny szkocki akcent?

– Tak, panno MacGowan?

Akcent. Greg nawet się nie wysilił, by nas sobie przedstawić.

– Dzieciaczki już śpią. – Uśmiechnęła się dobrotliwie jak zawodowa niania, ale tylko na chwilę. Aha, zamyśliłam się, więc tamta au pair już nie mieszka u Loganów. Dlaczego odeszła? Czy została odprawiona? Czy au pair i Greg naprawdę byli kochankami i teraz zachowywali się, jakby nigdy nic? A może przyczyną jej odejścia było co innego? Na przykład strach przed Loganem? Czy byłam pozbawiona rozumu, że zignorowałam mój własny przed nim lęk? Naoglądałam się dostatecznie dużo telewizji, by wiedzieć, że najbardziej niebezpieczni ludzie to nie maniacy z oczami jak wirujące spirale, ale ci, którzy wyglądają tak porządnie, że chętnie zaprosiłabyś ich do domu na obiad.

– Pomyślałam, żeby pojechać do Dairy Barn i kupić te lizaki jagodowe, o które prosiła Morgan.

– Świetnie! – oznajmił Greg. Już nie miał martwych oczu, iskrzyły się humorem. Był pełen energii. Miałam wrażenie, jakby Greg Logan zniknął, a na jego miejsce pojawił się jego ekstrawertyczny bliźniak. – Doskonale! Bardzo pani dziękuję. – Panna MacGowan ściągnęła wargi, co u Szkotów być może oznaczało „proszę bardzo”. Potem nawet na mnie nie spojrzawszy, pospiesznie się oddaliła. Słysząc było tylko skrzyknięcie jej butów.

W ciągu tych kilku sekund przeniosłam wzrok na stół obok fotela, w którym siedział Greg. Leżało tam kilka starych, oprawnych w skórę książek, obok ciężkiego, onyksowego wazonu. Ciemne brązy i zieleń lśniły w złocistym świetle lampy zrobionej z porcelanowej urny, przyozdobionej smokami. Z drugiej strony lampy, w starej, szylkretowej ramce (zapewne zrobionej ze skorupy jakiegoś nieszczęsnego żółwia z epoki edwardiańskiej) stała fotografia Grega i Courtney Loganów. Mieli na sobie białe stroje do tenisa. Objęci, przytuleni do siebie tak mocno, że nie zostawała między nimi odrobina wolnej przestrzeni. Jej blond głowa opasana frotową przepaską spoczywała na jego piersi obciągniętej bawełnianym swetrem. Jego ciemniejsza skóra stanowiła miły kontrast dla jej pastelowej urody. Nie uśmiechali się do zdjęcia. Oni wręcz się śmiali. Dwoje ludzi stworzonych dla siebie niczym kawałki układanki, które razem tworzyły obraz małżeńskiego szczęścia. Boże, jaką straszliwą stratę musiał ponieść ten człowiek.

Nagle Greg zgasił lampę i powiedział:

– Mam dużo pracy, pani...

– Wołałabym, żeby mówił pan do mnie Judith – poprosiłam. Jednak Greg Logan nie

odpowiedział. Światło padające z holu aż nadto wystarczyło, bym zobaczyła, że kręci głową. Nie.

– I do widzenia.

Noc minęła mi na wierceniu się w łóżku w mojej sypialni. Skóra mi cierpła na wspomnienie wizyty u Grega. Na okrągło zadawałam sobie pytanie, co mnie, do diabła, opętało, by wykonać tak idiotyczny ruch? To, że się zbłądziłam, to drobiazg. Gorzej, że to syn Lalusia Phila. Jego tatuś bez trudu może zorganizować kogoś, kto zajmie się J. Singer zamieszkałą przy Oaktree Street numer 63. Mój adres jest powszechnie dostępny w książce telefonicznej Shorehaven. Zresztą nawet gdyby Greg okazał się wcieleniem słodyczy i dobroci, to i tak na pewno uważa mnie za ostatnią wariatkę i kompletne zero. Pogrzebałam całe to cholerne śledztwo.

Starłam się nie wsłuchiwać w dźwięki dochodzące z domu. Stuknięcie, gdy wyłączyła się lodówka na dole, skrzypienie nie wiadomo czego w podłodze. Nienawidziłam być sama w nocy w łóżku. W życiu też, jakby się nad tym zastanowić.

Było nie najgorzej, gdy pracowałam albo spotykałam się z dziećmi czy przyjaciółmi. Ale randki, przynajmniej te z różnego kalibru kretynami, których poznałam, sprawiały, że moja samotność wydawała mi się nie tylko bolesna, ale i żałosna. Postmodernistyczny Geoff nie był wcale miły, był tylko najmniej okropny. Zaproponował mi, bym w czerwcu pojechała z nim do Lake District („Naturalnie pokryjemy koszty po połowie”, powiedział już w drugim zdaniu). Odmówiłam jednak. Po prologu – całowaniu się z nim na Long Island – wiedziałam, że nie ma sensu decydować się na całą sztukę, tym razem w trzech aktach, w drodze do Windermere.

Tak, oczywiście, to prawda, że mimo samotności nadal byłam kimś. Nauczycielką historii. Matką. Przyjaciółką. Czytelniczką. Maniaczką uzależnioną od kanału CSPAN. Wielbicielek kina. Członkinią zarządu biblioteki publicznej. Wolontariuszką Koalicji przeciw Przemocy Domowej w hrabstwie Nassau. Jednak pragnęłam znów być żoną, słyszeć, jak Bob mruczy sennie „branoc”, gdy odwraca się na bok, czuć ciepło męskiego ciała o kilka centymetrów ode mnie, wdychać znajomy zapach płynu do płukania tkanin na jego piżamie, wiedzieć, że będziemy co dwa tygodnie uprawiać nudny seks. Oczywiście, gdybym odeszła od Boba i wyszła za Nelsona, pewnie nadal pławilibyśmy się w zachwyceniu po stosunku i siedzieli w łóżku, omawiając sprawę Courtney Logan i... Dość!

Z czasem stałam się sama dla siebie surową policjantką, pilnując się, by nie przekroczyć granicy pomiędzy sporadycznymi przyjemnymi lub pożądanymi wspomnieniami o Nelsonie a bolesnym rozmyśleniem. Co on robi w tej chwili? Czy jest szczęśliwy? Czy byłoby to coś strasznego, gdybym zadzwoniła do niego i bezceremonialnie rzuciła: „Akurat wczoraj pomyślałam o tobie i zastanawiałam się, jak ty... „ Dość! Godzinę później kołysana myślami, kto mógł zabić Courtney Logan, wreszcie zdołałam zasnąć.

Następnego rana musiałam się zająć pewnym zadaniem. Detektywistycznym. Przyczałam się przy końcu podjazdu do mojego domu, udając zainteresowanie losem miniaturowego jałowca i młodego cisu, z którymi tak naprawdę wcale nie byłam emocjonalnie związana. Cóż, desperacko potrzebowałam jakiegoś tropu, a wiedziałam, że o

tej porze Szykowna Cheryl, moja sąsiadka, po odwiezieniu Spike'a (męża) na pociąg o ósmej jedenaście wraca pędem do domu. I oto jej mercedes kombi, tak wielki, że zmieściłby się w nim batalion SS, z rykiem sunął ulicą. Szykowna Cheryl musiała gnać do domu, by spędzić trochę czasu z TJ i Skipem (dziećmi) oraz Dannym, Colleen i Bridget (irlandzkimi spanielami wodnymi), a za chwilę znów przycisnąć gaz do dechy, by nie spóźnić się na lekcję golfa o dziewiątej.

Hamulce jej samochodu nie tyle zapisały, co wydały jęk paniki, gdy nacisnęła je z całej siły, kiedy była o pół metra ode mnie.

– Ju! – wrzasnęła. Potem modulując swój normalny wrzask, zawołała: – Jak się masz?

– Doskonale – powiedziałam. Ze smutkiem pokiwała głową, czerpiąc poczucie bezpieczeństwa ze świadomości, że wcale tak nie jest. Nie wiedziałam, dlaczego Cheryl zawsze traktowała mnie z góry. Może dlatego, że nie miałam faceta, choć pewnie bardziej prawdopodobne było to, że jeździłam amerykańskim samochodem terenowym. Wiedziałam, że nie warto jej pytać o Loganów, ponieważ jedyną nową informację przekazała mi już wiele miesięcy temu (równocześnie wyliczając zalety podeszew swoich nowych butów Nike model Streak Vengeance), a mianowicie fascynujący fakt, że Courtney Logan gotowała na kuchence La Cornue z płytą o automatycznie regulowanej mocy grzania. – Cheryl, znasz może kogoś, kto korzystał z usług StarBaby, firmy Courtney Logan? – spytałam.

– Ja nie – zagrzmiała, kręcąc głową tak energicznie, że promienie porannego słońca załśniły na bordowych pasemkach, które robiła sobie na Manhattanie co sześć tygodni. Cheryl, choć nigdy o to nie pytałam, cierpliwie wyjaśniła mi, że na wschód od Madison Avenue aż do Francji nie da się nigdzie zrobić | naprawdę porządnych pasemek. – Znaczy się, nie uważasz, że to – jej głos ! stał się jeszcze bardziej donośny – w złym guście, pokazywać wideo własnych ‘ dzieci, które wygląda profesjonalnie? – nie wiedziałam, czy Szykowna Cheryl mówi do mnie tak głośno, bo uważa, że donośny głos to normalka, czy też z jakiegoś powodu doszła do wniosku, że w wieku pięćdziesięciu czterech lat jestem tak stara, że już niedosłyszę. – Wyobrażasz sobie? Czołówka „StarBaby Production”? Do licha, czy to Long Island, czy Hollywood?

– Właśnie. Czy znasz kogoś, kto kiedyś korzystał... ? Następnego dnia wybrałam się z wizytą do Jill Badinowski.

Dom Badinowskich w ekskluzywnych magazynach o wnętrzach, zwłaszcza tych, które prezentują domy par tak bogatych, że od razu wiadomo, że ze sobą nie śpią, zostałyby nazwane „małym klejnocikiem”. Kiedyś była to stróżówka w posiadłości wyzyskiwacza z końca XIX wieku, ale teraz posiadłość (Greenbough) i wyzyskiwacz (Jeremiah Eccles Stumpf) byli już historią, a należąca do Badinowskich miniwilla w stylu normandzkim stała w cieniu XVIII-wiecznych drzew, przyzwoite pięćdziesiąt metrów od muru, który oddzielał patrycjuszowskie (czytaj: o wiele droższe niż gdzie indziej) rezydencje Shorehaven od reszty miasta.

Przygotowałam wyjaśnienie, dlaczego interesuję się StarBaby i Courtney Logan, które zadowoliloby każdą dociekliwą osobę, jednak jak tylko Jill Badinowski zobaczyła mnie na progu i usłyszała „Zarząd biblioteki publicznej Shorehaven”, zaprosiła mnie do środka bez dalszych tłumaczeń z mojej strony.

Jill miała trzydzieści kilka lat, jednak jej wyraźne piegi, szeroko rozstawione oczy i spora nadwaga nadawały jej słodki, gapowaty wygląd rozkosznych dzieciaków rysowanych na pocztówkach z życzeniami. Zanim skończyłam mówić, że próbuję uzyskać trochę informacji o StarBaby i Courtney, siedziałam przy dużym, okrągłym, robionym na stary, drewnianym wiejskim stole w jej cudownej kuchni z granitowymi blatami i dębową podłogą. Przyglądałam się, jak miele ziarna kawy, by zaparzyć świeży dzbanek. Ta czynność nie była prosta, ze względu na pulchne, stawiające pierwsze kroki dziecko, albo dziewczynka z krótkimi, albo chłopiec z długimi włosami, które czepiało się jej nogi i piszczalo: „Chlupki! Chlupki!” niezależnie od tego, ile razy Jill łagodnie odpowiedziała: „Nie dostaniesz więcej chrupków!” (Ja oczywiście dałabym za wygraną i wręczyła dziecku wielką torbę jakichkolwiek węglowodanów z dużą zawartością soli i konserwantów, byle tylko powstrzymać działający na nerwy duet żalonych szlochów i czkawki. Jill jednak najwyraźniej należała do tych spokojnych matek, które są bardzo czułe, ale nie przejmują się krzykiem, zanoszeniem, a nawet zsinieniem dziecka.)

– Przyjaźniłaś się z Courtney? – powiedziałam głośniejszym głosem, by przekrzyczeć dzieciaka. – Czy to dlatego zamówiłaś film?

Odpowiedzią Jill był krótki, gardłowy śmiech w rodzaju „chyba żartujesz”.

– Nie – zawołała. – Daj spokój. Wyobrażasz sobie kogoś takiego jak Courtney Logan i mnie jako przyjaciółki? Chociaż była nawet miła.

Krzyk dziecka ucichł, mogłam więc odezwać się normalnie:

– Dlaczego nie mogłybyście się zaprzyjaźnić?

– Pozwól, że ci wyjaśnię – zaczęła Jill powoli. – W każdym mieście są dwa rodzaje kobiet, które siedzą w domu z dziećmi. Typowe kobiety jak ja, które nie potrafią sobie wyobrazić, że nie siedzą w domu. I te, no wiesz, te ambitne. Te, które były menedżerami, dziennikarkami czy pracowały w finansach jak Courtney. – Ostrożnie, jakby z obawą, że maszyna może ją opluć, wsypała zmieloną kawę do pojemnika. – Ich motto to „Non stop sukces” – wydała z siebie na wpół rozbawiony, na wpół szyderczy dźwięk, który od biedy mógł ująć za chichot. – Co, jeśli ich mężowie zarabiają duże pieniądze, przekłada się na „Non stop zakupy”, gdy zostają mamami na cały etat. Nie żeby macierzyństwo zabierało im dużo czasu. Służące. Opiekunki. Nianie. Au pair. Wierz mi, te dwa typy nigdy się nie spotkają, jeśli tylko miałyby to zależeć od nich.

– Ale przecież wszystkie jesteście po prostu matkami.

– Tak – odparła jeszcze wolniej. Chyba się zamyśliła. Między jednym a drugim zdaniem można się było właściwie zdrzemnąć. – Jednak urodzenie dziecka i siedzenie w domu nie... , no wiesz, nie zabija wirusa wybujałej ambicji, prawda?

Uśmiechnęłam się, jak miałam nadzieję, znacząco i szybko zmieniłam temat.

– Jak długo mieszkasz na Long Island?

– Od niedawna. – Jill uznała chyba, że powinna powiedzieć coś więcej, więc prostując skreconą gumkę w pasku swoich jaskrawożółtych szortów, dodała serdecznie: – Bardzo nam się tu podoba.

– Skąd jesteście?

– Chcesz wiedzieć od samego początku? Z Indianapolis. Pete, mój mąż, pracuje w Delcie. W klejach, a nie w liniach lotniczych czy w armaturze – dodała od razu. – Przeprowadzaliśmy się siedem razy. – Mówiła o Delcie przesadnie lekko, jak ktoś, kto zmęczył się wyjaśnianiem tego po raz setny. – Zaczęliśmy w Houston, potem Pittsburgh, Chicago... – Jedno z kolejnych miast było albo tak okropne, albo tak nudne, że zamiast nazwy, zostało skwitowane tylko westchnieniem. – Skorzystałam z usług StarBaby, ponieważ Luke, ten mały tutaj – krzyki dziecka o chrupki przycichły do jęczenia, a teraz stały się zaledwie piśnięciami – miał już pięć miesięcy, a my nie mogliśmy nawet znaleźć naszej kamery. Jest pewnie w którymś z tych kartonów, których nie zdążyliśmy rozpakować jeszcze w Denver. Mieszkaliśmy tam przed przyjazdem na Long Island.

– Skąd się dowiedziałaś o StarBaby?

Jill odwróciła się, by nalać wody do pojemnika w wielkim ekspresie do kawy. Nawet od tyłu wyglądałaby jak pulchne dziecko z komiksu, gdyby nie żyłaki na nogach.

– Sekundę – mruknęła. Zastanawiała się przez chwilę, zanim zorientowała się, który guzik nacisnąć, by uruchomić urządzenie. To była jedna z tych wielkich, błyszczących machin z tyloma zaworami, guzikami i rurkami, że pewnie mogłaby nawet zagrać włoski hymn narodowy. – Jest nowy – wyjaśniła, choć wyglądało na to, że odnosi się to do wszystkiego, z wyjątkiem domu, choć nawet on przesycony był zapachem świeżo położonych tapet. – Aha, StarBaby. Zobaczyłam reklamę w jednej z darmowych gazetek. Pete, mój mąż, i ja to omówiliśmy. Potem zadzwoniłam.

Niestety, saga Jill Badinowski, poczynwszy od klejów Delta aż do jej związku ze StarBaby rodziła się nieznośnie wolno. W czasie, którego Jill potrzebowała, by przejść od jednego zdania do drugiego, zdążyłoby wyrosnąć ciasto drożdżowe. Nie wiedziałam, czy to sposób mówienia typowy dla środkowych stanów (w przeciwieństwie do Nowego Jorku, gdzie wystrzeliwuje się każdą frazę w histerycznym pośpiechu, by przejść do następnej, jeszcze bardziej odkrywczej), czy też Jill czuła się tak samotna, że chciała mnie zatrzymać u siebie dłużej. Moje pragnienie, by warknąć na nią „Szybciej!” rosło wprost proporcjonalnie do rozwijania się jej opowieści.

– Przyjechała tu następnego dnia. To znaczy Courtney Logan – ciągnęła Jill. Wzdrygnęła się, zapewne na wspomnienie morderstwa, choć mógł to też być skutek zbyt podkreślonej klimatyzacji, niepotrzebnej w ten piękny majowy poranek. Jill miała na sobie pasującą do szortów koszulkę na ramiączkach w białe i żółte paski, skórę na jej okrągłych ramionach pokrywała gęsia skórka. – Pisziesz coś o niej dla biblioteki?

– Nie. Tak się składa, że jestem historykiem. Chciałabym zebrać jakieś ustne relacje. – Jill pokiwała głową, najwyraźniej pod wrażeniem. – Zanim zacznę spisywać jej historię, chcę poznać różne aspekty życia Courtney – ciągnęłam. – Szukałam kogoś, kto skorzystał z usług StarBaby. Moja sąsiadka wspomniała o tobie.

– TJ, dziewczynka Cheryl, jest w klasie z moją córką Emily. W pierwszej klasie. – Lekki uśmiech rozjaśnił jej twarz. Ponieważ to niemożliwe, by taką czułość wzbudziły myśli o Szykowej Cheryl, uznałam to za wyraz uczuć kogoś, kto nie tylko chce mieć dzieci, ale także naprawdę lubi z nimi przebywać. Jill bezwiednie pogłaskała Luke'a po głowie.

– Masz dwoje dzieci? – spytałam, gdyż wyczułam, że tego po mnie oczekuje.

– Nie. Mamy jeszcze dziewięcioletnich bliźniaków, Michaela i Matthew. Ach, wszyscy są na tym wideo! Wideo ze StarBaby. Chcesz je zobaczyć? – wyglądała na tak spragnioną mojego „tak”, że mimowolnie, z przesadnym zapałem zaczęłam kiwać głową, choćby tylko po to, by jej udowodnić, że my, mieszkańcy Long Island, jesteśmy miłymi ludźmi.

Usiadłam na pachnącej nowością, nabijanej mosiężnymi guzami skórzanej kanapie w wyłożonym boazerią pokoju telewizyjnym, który kiedyś był niewielką biblioteką. Półki przewidziane dla setek tomów wypełniały teraz rodzinne fotografie, puchary sportowe i kompozycje ze sztucznych kwiatów z jedwabiu. Gałązki bluszczu i wistarii spływały z półki na półkę, przysłaniając grzbiety książek Toma Clancy’ego, Jude Deveraux i poradników na temat diety i wychowania dzieci, które stanowiły bibliotekę Badinowskich. Razem z Jill obejrzałyśmy sześćdziesiąt minut o Luke’u i jego rodzinie.

Jestem zapaloną kinomanką, ale nie ekspertem od filmów. Mimo to z tego co zobaczyłam na ogromnym ekranie telewizora, film wyglądał mi na robotę profesjonalisty, prezentując naprawdę ciekawe fragmenty z całego roku kręcenia. Oczywiście, czy ta jedna kasetka była warta trzy tysiące dolarów, bo tyle kosztowała, jak powiedziała Jill, to inna sprawa. Na początku pojawiło się zgrabne logo. Pięcioramienna gwiazda kołysała się na półksiężycu z taśmy filmowej. Za chwilę pojawił się pod nimi napis „StarBaby” z okrągłych różowych i błękitnych liter. Potem gwiazda rozplynęła się, odsłaniając zdjęcie bezzębnego, uśmiechniętego Luke’a Badinowskiego, i zaczął się film.

Zimą, wiosną, latem i jesienią pojawiło się stosunkowo niewiele typowych scen, które większość rodziców pokazuje wyrozumiałym krewnym i przyjaciołom. Żadnych niemowlaków machających rączką na pożegnanie, żadnego bobasa ostrożnie dotykającego kózki w zoo czy gryzącego nową zabawkę, otrzymaną w prezencie na Boże Narodzenie czy święto Chanuka. Zamiast tego cała rodzina i Lukę spacerowali wzdłuż plaży Shorehaven i przyglądali się, jak pełźnie krab podkowiasty, jedli rożki z mrożonym jogurtem i z miejskich doków patrzyli na łodzie, poszli razem do lekarza na badania kontrolne i zwiedzili każdy pokój w swoim domu. Domyśliłam się, że siedmiokrotna przeprowadzka jednak się Badinowskim opłacała. Ostatni awans Pete’a musiał chyba być poważny, bo wszystkie meble, dywany i zasłony były nie tylko nowe, ale także kosztowne.

– Czy Courtney sama filmowała? – spytałam. Przez chwilę Jill wydawała się rozkojarzona, jakbym zaczęła głośno mówić w czasie seansu i wytrąciła ją z równowagi, odciągając od czarownej opowieści na ekranie. Przecząco pokręciła głową. Najwyraźniej chciała dalej oglądać wideo i chyba miała nadzieję, że ktoś obcy będzie się razem z nią zachwycał jej rodziną. Siedem miast, pomyślałam. Jeśli ciągle musisz się żegnać z przyjaciółmi, pewnie nadchodzi jw końcu taki moment, gdy już nie można sobie pozwolić na przyjaźń. Nie potrafiłam wyobrazić sobie życia, w którym byłabym zmuszona prosić obcych, i by oglądali ze mną filmy o mojej rodzinie.

Wróciłam do oglądania Luke’a, gdy zerka na program dla dzieci, wyciąga marchewkę z grządki w przydomowym ogródku, gra w dziecięcą piłkę nożną z dwoma braćmi, z pomocą siostry uczy się wspinać na zjeżdżalnię na placu zabaw. Oglądanie nie było wielkim

poświęceniem. Badinowscy wydawali się miłą rodziną, choć ostrzyżony najeża Pete z Delta Adhesives zachowywał się tak sztywno, jakby podczas jakiegoś obozu treningowego dla komandosów myśliwiec M16 wleciał mu w dupę.

StarBaby nie tylko wykonało robotę w sposób profesjonalny, ale także inteligentny. Przez całe wideo ktoś spoza kadru musiał zadawać konkretne pytania, ponieważ wszyscy, od pediatry przez rodzeństwo i listonosza, aż po wyprostowanego Pete'a z zadartą brodą, mówili o Luke'u z czułością i na ogół sensownie, bez typowego „Cześć, to ja, chciałem tylko powiedzieć, eee, cześć mojemu, eee, małemu bratu w dniu jego urodzin”.

Gdy film się skończył, pochwaliłam Luke'a, który siedział teraz na podłodze i rozkładał na części żółtoczerwony plastikowy samochód, który, miałam nadzieję, był przeznaczony do rozkładania. Potem spytałam Jill:

– Dużo czasu spędziłaś z Courtney?

– Taa, pewnie – odparła. Przy jej akcencie ze środkowych stanów jej sarkastyczna odpowiedź złała się w jedno słowo. – Przyszła z próbką wideo i rozmawiała o tym, czego oczekuję. Była tutaj jakąś godzinę.

– Jaka była?

– Właściwie trudno mi powiedzieć. Zdaje się... Chyba jest, była mniej więcej w moim wieku. Czułam się jednak, jakby była o wiele starsza. – Jill pociągnęła luźną nitkę zwisającą z jej szortów i niechcący zrobiła wielką falbanę. – Była taka szykowna. Miała na sobie spodnie i gładką, białą bluzkę.

To musiał być jedwab. Złoty zegarek i żadnej innej biżuterii. Tylko obrączka i pierścionek zaręczynowy. Wyglądała... cudownie. Nie jak w „Vogue'u”. Ale znasz tę dyskretną elegancję, dobry gust, który mają ludzie na wschodzie Stanów? Ona była taka pewna siebie, że nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, że nie zamówię u niej wideo.

– Uważam, że film jest świetny.

Jill uśmiechnęła się do mnie promiennie.

– Ja też.

– Powiedziałaś: „szykowna”. Czy w Indianapolis oznacza to „zimna”? Jill zaczerwieniła się i przekrzywiła głowę na bok, by zastanowić się nad moim pytaniem. Miałam dość czasu, by zauważyć, że jeśliby połączyć ciemniejsze piegi na jej lewym policzku, powstanie rysunek bałwana.

– Nie, nie zimna – odparła w końcu. – Była miła. Nie czułam, że traktuje mnie z góry czy coś takiego. Ale też chyba nie brała mnie pod uwagę jako ewentualnej przyjaciółki. Można by ją nazwać czarującą. Ale był to czar wystudiowany, na użytek biznesu. Wiedziałam, że nie powinnam odbierać tego tak osobiście. Nie byłaby mną zainteresowana – zerknęła na Luke'a. – Dlaczego miałaby się mną zainteresować? Nawet jeśli Pete jest teraz w Delcie dyrektorem wykonawczym, moja pozycja się nie zmieniła. „Non stop sukces” to nie jest moje motto. Dlaczego miałabym wzbudzić zainteresowanie kogoś takiego jak ona? – Jill być może oczekiwała, że zaprotestuję, ale zbyt długo zwlekałam, więc ciągnęła: – Nie żebym miała coś Courtney za złe. To po prostu taki typ. Kobieta interesu. Nie przyszła tutaj, by się ze mną zaprzyjaźnić.

– Ale przecież jej interes kręcił się wokół dzieci – stwierdziłam. – To chyba dosyć ciepły i sympatyczny sposób zarabiania na życie.

– W dzisiejszych czasach ciepło i sympatia służą temu, by coś sprzedać – warknęła Jill. Tak ostro, że zamarłam na skórzanej kanapie, usiłując ochłonąć z wrażenia wywołanego przez jej ton, podczas gdy ona schyliła się, by odebrać Luke’owi kawałki żółtoczerwonego samochodu, którymi zaczął rzucać w czarny ekran telewizora. – Courtney Logan po to tu przyszła. Żeby coś sprzedać. Zarobić pieniądze na towarze. Na dzieciach. Ale jej interes mógłby równie dobrze kręcić się wokół wyrobu foremek do ciastek. – A potem dodała w ten swój ciepły, typowy dla środkowych stanów sposób: – Albo cyklonu B.

Ten „cyklon B” Jill chodził mi po głowie przez cały dzień, gdy czytałam artykuł, krytyczną analizę nadzoru Harry’ego Hopkinsa nad wykonaniem ustawy LendLease, napisany przez historyka z Uniwersytetu Tulane, zachwyconego własną arogancją, i gdy sadziłam sałatę i rukolę. Nie opuszczał mnie, gdy pchałam wózek w supermarkecie, czytając na opakowaniu tofu przepis na kotlety po francusku, w głębi serca czując, a jednocześnie pragnąc, by było inaczej, że wcale nie okażą się *delicieux*. Gdziekolwiek się obróciłam w Shorehaven, słyszałam o Courtney tylko, że była „bystra” i „miła”. Bardzo miła. Naprawdę miła. Autentycznie miła. Jill pierwsza powiedziała coś niemiłego. Nie musiałam otwierać puszek z migdałowowaniliową herbatą liściastą z mojego koszyka, by wywróżyć z fusów niechęć ukrytą w „cyklonie B”.

Była już prawie siódma, gdy wstawiłam torbę z zakupami do bagażnika dżipa. Zbyt dużo czasu spędziłam na oglądaniu mrożonych serników i kontemplacji mopów z gąbką. Wiodąc samotne życie, zauważyłam u siebie tendencję, by kilkakrotnie sprawdzać cenę jednej rolki papieru toaletowego i obmacywać tony nektarynek, aby odwlec moment powrotu do pustego domu. Jadąc Main Street i Beacon Road, rozmyślałam, czy zachowanie Jill było po prostu reakcją na rzeczywistą czy urojoną pogardę okazaną kurze domowej przez Courtney? Czy też, choćby podświadomie, Jill wyczuła bezwzględność, o której wszyscy inni, wzdychając i cmokając nad zamordowaną Courtney, skwapliwie zapomnieli?

Wieczór był piękny, powietrze pachniało słodko od kwitnących jabłoni, derenia i wiśni. A ja nie mogłam przestać myśleć o cyklonie B. Jak dla mnie to lepsze niż „miła”. Bo, powiedziałam sobie, naciskając pilota do drzwi garażu, miłe kobiety faktycznie też padają ofiarą morderstw, ale to „miła” bardzo ogranicza liczbę motywów.

Pytanie: Czy Courtney Logan coś ci kiedyś zrobiła? Odpowiedź: Nie. Była niesamowicie miła.

Natomiast kobieta zimna, bezwzględna, kobieta od cyklonu B, już dawała jakiś punkt zaczepienia.

Wjechałam do garażu, wysiadłam i otworzyłam bagażnik dżipa, myśląc: Hm, sałata rzymska z grzybami pokrojonymi w plasterki, hm, a jak mogłabym skontaktować się z konsultantami bankowymi, z którymi pracowała Courtney i, hm, z jej najbliższymi przyjaciółkami, i...

– Ty jesteś Judith? – zapytał ktoś obcesowo. Z zarośniętego pajęczynami, ciemnego kąta w głębi garażu wynurzył się Lulu Phil Lowenstein.

Rozdział 4

Głosem, który miał łagodność kwasu siarkowego Lalus Phil Lowenstein zażądał odpowiedzi:

– Ty jesteś Judith Singer?

Jednocześnie położył mi na ramieniu rękę, która ważyła dość, by sprasować mi wszystkie dyski pomiędzy kręgami. Pomyślałam o filmach, w których bohaterka sięga do torebki po jedno z tych damskich akcesoriów, na przykład metalowy pilnik, które natychmiast można wykorzystać jako broń. Jednak myśl: „Ha, dźgnę go w oko kluczem do dżipa, by odwrócić jego uwagę” nawet nie przyszła mi do głowy. Mój mózg, zmartwiały ze strachu tak, że działał jak na zwolnionym filmie, nie nakazał mojej ręce, by rozpięła suwak torby na moim ramieniu, sięgnęła do niej i wyjęła klucze do domu, wraz z pilotem do alarmu, wiszącym na tym samym kółku. W zasadzie jedyne, o czym zdołałam pomyśleć, to to, by kiwnąć potakująco jak głupia kukła z głową na sprężynie, która porusza nią w górę i w dół: to ja, tak, właśnie, ja jestem Judith Singer.

Lalus Phil wymamrotał:

– Pytam się... – jego głos przycichł, gdy zerknął w górę na automat otwierający garaż. Potem obejrzał ścianę na tyłach, grabie, łopatę do odśnieżania i zwisające z tablicy na narzędzia tajemnicze obiekty pozostawione przez dzieci, które być może służyły do pompowania piłki do siatkówki albo jako nargile, czy jak to się tam nazywa. Najwyraźniej podejrzewał, że mój garaż jest na podsłuchu, bo wyszeptał: – W związku z tym szukaniem tropów, o którym rozmawiałaś z... – uniósł brwi w wyrazie, który w gangsterskim języku zapewne znaczył „moim synem”.

Jednocześnie byłam transportowana w kierunku drzwi prowadzących z garażu do domu. Nie tyle popychał mnie czy ciągnął, ile po prostu zmieniał moje położenie z siłą nieokiełznanego żywiołu.

– Wiesz, kim jestem? – spytał Lalus Phil, łapiąc mnie za ramię. Miałam wrażenie, że chwyciło mnie pięć żywych serdelków. Na najmniejszym błyszczał pierścień z brylantem wielkości jednego z pomniejszych księżyców Jowisza.

Stałam przed wejściem do mojej kuchni, a serce tłukło mi się w piersi jak jakaś zdesperowana istota, waląca do drzwi i błagająca, by ją wypuścić. Chciałam wejść do środka. Wiedziałam jednak, że i tam nie znajdę bezpiecznego schronienia. Garaż czy kuchnia, ten facet mógł mnie zabić wszędzie. Stałam sparaliżowana, z twarzą o kilka centymetrów od drzwi, ściskając pod pachą torebkę. Kluczyki trzymałam tak mocno, że ich metalowe ząbki wbiły mi się w dłoń. Nie zdawałam sobie sprawy, że bezwiednie ściskam również torbę z zakupami, dopóki nie usłyszałam głuchego trzasku pękającego plastiku i zaraz potem nie poczułam zapachu jogurtu waniliowego. W końcu wydusiłam z siebie jakieś słowa:

– Pan nazywa się Lowenstein – powiedziałam.

– Tak, Phil Lowenstein. I wiesz, czym jestem ojcem. – Kiwnęłam głową. Jestem pewna, że nie odwróciłam się, by na niego spojrzeć, choć jak przez mgłę przypominam sobie, że

zerknęłam na niego kątem oka. Głowa Lalusia została umieszczona pośrodku jego ramion z pominięciem szyi, więc jego drugi podbródek opierał się na ciężkim, złotym łańcuchu widocznym w rozpiętym kołnierzyku koszuli. Sporo przytył od czasów ostatniego więziennego zdjęcia. – Mów mi: Phil.

– Puścił moje ramię i otarł czoło. Jego lśniąca od potu skóra, pociemniała w złowieszco purpurowym rumieńcu, na moich oczach zaczęła robić się fioletowa.

– Gorąco tutaj – zauważył. Przed oczami mignął mi złocisty błysk. Bransoletka w kształcie węża obejmowała jego gruby nadgarstek. Pysk i ogon dzieliło kilka centymetrów nadmiernie opalonej skóry, pokrytej siwiejącymi włosami.

– Wiem, że jest tu gorąco – przyznałam. – A pan musiał stać w garażu i na mnie czekać, a drzwi były zamknięte i brak świeżego powietrza...

– Pozwól, że pomogę ci z tą torbą.

– Nie. Nie, dziękuję – zaświergotałam zbyt szybko. – Naprawdę, dam sobie radę! – Mój głos zabrzmiał okropnie głośno.

– Żebyś mogła sięgnąć po klucze. – Najwyraźniej Lalus Phil zauważył odrobinę niepewności z mojej strony, bo cofnął się o krok, choć nadal pozostał w odległości umożliwiającej szybkie zadżganie. – Moglibyśmy usiąść wewnątrz, tam jest chłodniej. Nie musisz się mnie bać. Przyszedłem porozmawiać o interesach.

– Interesach?

– Tak, przyszedłem tu w interesach. Ty jesteś tą kobietą od historii, prawda? – Słowo „historii” wymówił bardzo starannie. Lalus Phil nie będzie prze – I cięż mówił „historyji”. Przypuszczałam, że nauczył się wymowy, chcąc nie chcąc, oglądając telewizję publiczną podczas ostatniego pobytu w zakładzie penitencjarnym w Elmirze. Dwa i pół roku, jak podali w wiadomościach. Za czynną napaść na niejakiego Ivana „Chicky” Itzkowitza podczas scysji o pewne fundusze uzyskane z niepłacenia podatku od sprzedaży benzyny w stanie Nowy Jork. – Jesteś profesorem historii.

– Zgadza się.

Pachniał czystością, ale z jakąś obłądną cytrusową nutą. Cholernie mocna limonkowa woda kolońska, perfumy dla mafiosów i raperów.

– Doktorem historii.

– No to posłuchaj, pani doktor. Nie przejmuj się, że Gregory powiedział, że nie jest zainteresowany.

Bóg jeden wie, co się stało w tej chwili. Być może zrozumiałam, że Lalus Phil pofatygował się, by użyć wody kolońskiej, czy też specjalnie się postarał, żeby prawidłowo wymówić „historii”. Nagle uświadomiłam sobie, że nawet jeśli nie jestem bezpieczna, to przynajmniej on nie ma zamiaru od razu mnie zamordować, choć zdawałam sobie sprawę, że może zlecić tę robotę jakiemuś podrzędnemu płatnemu zabójcy, który pałętał się przy włoskiej czy rosyjskiej mafii. Moje gardło chciało coś przełknąć, choć cała ślina nadal przelewała się w sekretnym zbiorniku, do którego trafiają wszystkie płyny ustrojowe w chwilach przerażenia.

– Być może posunęłam się za daleko – zaczęłam przeproszać. – Poszłam do niego...

Przerwał mi w pół zdania.

– Nieważne, że Gregory nie jest zainteresowany. Ja jestem.

I już byliśmy w środku. Laluś Phil zaproponował, że pomoże mi rozpakować zakupy, ale chyba poczuł ulgę, gdy powiedziałam: „Nie, dziękuję”. Posadziłam go przy stole kuchennym, bardzo długim, wąskim, rachitycznym pseudoantyku z ciemnego drewna, który bardziej pasował do kastylijskiego klasztoru niż domu w stylu Tudor na Long Island. Kupiłam go (wraz ze szwedzkim piecykiem na drewno i okropnym stojakiem na parasole w stylu Art Nouveau) w tamtym roku po śmierci Boba, gdy postradałam zmysły.

Otworzyłam drzwi kuchenne, mamrocząc coś bez sensu, że Kocham zapach wieczoru o tej porze roku, choć oboje wiedzieliśmy, że po prostu potrzebowałam mieć jakąś drogę ucieczki. Powietrze na dworze szybko się ochładzało, lato miało się zacząć dopiero za miesiąc. Rozejrzałam się po kuchni. Zbyt zdenerwowana, by myśleć o wykwintnych przekąskach, które zadowolilybyby subtelne podniebienie kryminalisty, przyrządziłam w mikrofalówce torbę prażonej kukurydzy i wsypałam do salaterki w kształcie zdeformowanej stokrutki, jednego z tych okropnych, niezniszczalnych prezentów ślubnych, które trwają dłużej niż małżeństwo. Laluś Phil na ułamek sekundy kiwnął kłocowatą głową, co, jak mniemam, znaczyło „Dziękuję”. Zaakceptował również jedyne piwo, jakie miałam w lodówce, jakąś warzoną w mikroskali odmianę pitą przez Joeya, należąca do tych kompozycji, które mają kolor i aromat skisłego placka z dyni.

– Zasadniczo twój syn nie potrzebował mojej pomocy – powiedziałam, odzyskawszy zdolność wygłoszenia zdania oznajmującego. , – Powiedział, że wynajął detektywa.

Po paru łykach piwa pulchne policzki i wypukłe czoło Lalusia Phila straciło ten niepokojący fioletowy kolor, jakby znajdował się o krok od zawału serca. Pozostał tylko różowy rumieniec, niemal idealnie pasujący do amarantowej kratki na jego bawełnianej koszuli z krótkim rękawem. Trochę dziwny wybór materiału, ale być może jeden z kumpli Phila napadł na niewłaściwą ciężarówkę. Spodnie miał z białego lnu. Ich biel uwypuklała białe kwadraciki na koszuli i pasowała do białych mokasynów. A także paska z białej skóry. Doszłam do wniosku, że nierozsądnie będzie nadmieniać, że nie powinno się nosić takiego stroju przed końcem maja, a jeszcze lepiej w ogóle go nie wkładać.

– Prawnik Gregory’ego wynajął jakiegoś detektywa, z którym współpracuje – ciągnął Laluś Phil. – Ten prawnik to kobieta. No więc ona mówi, że jej facet, ten były policjant, potrafi odróżnić gówno od miodu. Wybacz moją łacinę. Ale słuchaj, były policjant... Co ja ci będę mówił. Wiesz, jak stoją sprawy.

– Mam ogólne pojęcie – przyznałam.

– Chodzi mi o to, że nie jesteś dzieckiem. – Przytaknęłam z rezygnacją. – To miał być prawdziwy komplement. – Laluś Phil przygładził włosy, co, jak się domyślałam, miało być eleganckim gestem. Na czubku głowy włosy już się przerzedziły, ale z boków i z tyłu były gęste i bardzo ciemne, czernią, jakiej nie spotyka się w naturze. Fryzurę utrzymywał żel, który po zastosowaniu najwyraźniej stwardniał jak pleksiglas. – No bo na przykład nie wrzasnęłaś, gdy zobaczyłaś mnie w garażu, czego trochę się obawiałem, jeśli mam być szczerzy. Nie mógłbym mieć ci tego za złe. No bo zjawia się gość, którego nigdy nie widziałas

na oczy. Tyle że pomyślałem sobie, skoro ona wie dość, by myśleć, że powinniśmy ją wynająć, to pewnie widziała moje zdjęcie w telewizji czy gazecie, przy całym tym szumie w związku z... – Odwrócił wzrok i zapatrzył się ponad swoją wężową bransoletką na popcorn i żalobnym tonem dodał: – Courtney.

Przez chwilę po wypowiedzeniu jej imienia wydawał się zafascynowany biało-żółtymi chrupkami, z których każda miała inny kształt. Potem zaczął się bawić, trącąc jedno z nieuprażonych, bursztynowych ziarenek. W końcu wzruszył ramionami i ciągnął dalej, jakby nie było żadnej przerwy:

– Tak wyдумаłem, że nie pomyślisz sobie, że to jakiś niebezpieczny maniak w twoim garażu. Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem. Ale to nie byłoby najlepsze rozwiązanie, gdybym siedział przed domem w swoim samochodzie. Wiesz, jacy są ludzie – potrząsnął głową, rozczarowany zachowaniem bliźnich. – Ktoś z twoich sąsiadów mógłby zadzwonić pod 911.

– Gdzie zostawiłeś samochód?

– Przyjaciel mnie tu podrzucił. Nie chcę mieć kłopotów z gliniarzami. Wiesz, o co mi chodzi?

– Wiem. – Z ulgą zauważyłam, że popcorn był strzałem w dziesiątkę, choć jakiś spec od żywienia, albo któraś kobieta w życiu Lalusia Phila najwyraźniej nauczyła go, by jadł tylko po jednej chrupce, a nie od razu całą garścią. Jednak jego ręka tak szybko poruszała się między miską a ustami, że była niemal niewidoczna.

Wzięłam dietetyczną colę i dołączyłam do niego przy kuchennym stole.

– Poza tym – ciągnął Phil – nie jesteś dzieckiem, ale doktorem historii. Pewnie mogłabyś wygrzebać w bibliotece, komputerze, czy gdzie tam jeszcze, rzeczy, o których ten były gliniarz nawet by nie pomyślał.

– Próbowалам opisać moje umiejętności badawcze twojemu synowi – powiedziałam. – Poza tym wiem, jak obracają się tryby tej społeczności. Sąsiedzi twojego syna mogą przekazać mi informacje, których nie powierzyliby byłemu policjantowi.

– Tryby – mruknął. Widziałam, że stara się przypomnieć sobie, czy Greg coś mu wspominał o jakichś trybach w Shorehaven. Zresztą Lalus Phil wcale nie był głupi. Wręcz przeciwnie. Nawet tam w garażu wyczułam, że nie tylko mnie obserwuje, ale wykorzystuje każde moje słowo i gest, by lepiej mnie poznać. Krok po kroku coraz bardziej precyzyjnie mógł ocenić, kim i czym jestem.

– Tryby – powtórzyłam bezceremonialnie. – Miejscowe zwyczaje. Poza tym mam trochę doświadczenia w prowadzeniu śledztwa...

– Tak, wiem. Ten zabity dentysta. Doktor Świntuch. Pamiętam twoje zdjęcie w gazecie. – Chyba zrobiłam zdziwioną minę, bo Lalus Phil błysnął zębami pełnymi popcornu, w niespodziewanie sympatycznym uśmiechu. – Mam niewiarygodną pamięć – wyjaśnił ze skromnością człowieka wyznającego najprostszą prawdę o sobie. – Powiedziałem sobie, już wtedy, dawno temu: „To szczywana sztuka”. Pani doktor, chcę więc, byś zajęła się sprawą. Chcesz dla mnie pracować?

– Masz na myśli, dla twojego syna.

– Nie. Gdy mówię „dla mnie”, mam na myśli siebie. On nie chce w ogóle się z tobą zadawać. – Potem, uświadamiając sobie, że raczej nie wykazał się galanterią, Lalus Phil uniósł przeproszająco brwi. – Ot, dzieci. Nie muszę ci tłumaczyć, nie?

– Czy on sobie pomyślał, że jestem jedną z miejscowych wariatek, gdy pojawiłam się znikąd i zapukałam do jego drzwi?

– Dorastają i cóż więcej można zrobić? – Odpowiedź godna Kissingera, pomyślałam. – Zatem, doktor Singer, stawka za godzinę czy za całość wykonanej roboty?

– Proszę, mów mi Judith – spojrzałam prosto w ciemne oczy. Pochłaniały światło i nic w nich nie było widać. – Od ciebie nie wezmę pieniędzy.

– Dlaczego nie weźmiesz pieniędzy? Nadal się mnie boisz?

– Mniej niż w garażu. – Phil kiwnął powoli głową, by pokazać, że rozumie i nadal słucha. – Myślę, że najlepiej dla mnie będzie, jeśli nie będę przez ciebie zatrudniona. Ale z przyjemnością podejmę się tej pracy.

– Dlaczego miałabyś pracować za darmo?

– Z intelektualnej ciekawości.

Kącik ust Lalusia Phila zaczął się unosić, ale zamarł, zanim usta rozciągnęły się w uśmiešku.

– W porządku. Rozumiem ciekawość. Ale powinnaś coś wiedzieć. Przeszedłem na emeryturę. Nie mam już do czynienia z moimi dawnymi znajomymi. – Skrzyżował ręce na brzuchu, który był tak wielki, że spotkały się dopiero w nadgarstkach. – Mam wnuki. Ty też?

– Jeszcze nie – odparłam.

– Hm, gdy ma się wnuki, całe życie się zmienia. Nie chcesz, żeby myślały: „Ech, z powodu dziadzia Phila nie zaprosili mnie na urodziny kolegi”. Więc musiałem przestać być tym, kim byłem. Wiesz, o co mi chodzi?

– Jasne. – Nie byłam pewna, czy to rzeczywiście szczerza przemiana. Właściwie nie byłam nawet pewna, czy to w ogóle odmiana, czy też po prostu tekst, który gangsterzy wciskają kobietom z doktoratami. Nie miałam czasu dalej się zastanawiać, bo Phil czekał, bym powiedziała coś więcej. – Rozsądna decyzja – dodałam. Za mało. – Założę się, że ciężko było ją podjąć, nie tylko wybrać inny sposób na życie, ale także rozstać się z dotychczasowymi przyjaciółmi.

Lalus Phil wydał dolną wargę i powoli pokiwał twierdząco głową, w niemym wyrazie „Tak, właśnie”.

– Więc proszę bardzo. Pytaj, o co chcesz – rzucił.

– Hm, jak już powiedziałam twojemu synowi, policja myśli, że ma winnego. Nie próbują oczyścić Grega z zarzutów. – Wstałam, by przynieść mu następne piwo. – Więc poza faktem, że jest mężem, co automatycznie czyni go głównym podejrzanym... – Podałam mu butelkę i otwieracz, usiadłam i pochyliłam się do przodu, by móc spojrzeć mu prosto w oczy. – Powiedz mi, Phil. Dlaczego policja jest tak cholernie pewna, że to twój syn?

– Z powodu pieniędzy. – Podał mi to wyczerpujące wyjaśnienie z dumą, a potem przycisnął zimną butelkę do czoła z cichym sapnięciem, by pokazać mi, jak zmęczyła go ta szczerłość.

– To wszystko?

– To wszystko. Z powodu pieniędzy. – Phil zajął się studiowaniem etykiety, zapewne by dowiedzieć się, co, do licha, piwowarzy z Bronksu dodają do swojego piwa.

– Im więcej informacji mi udzielisz, tym głębiej zacznę kopać – powiedziałam. – Im mniej się od ciebie dowiem, tym dłużej potrwa moje dochodzenie i tym gorsze będą efekty. Sam dobrze o tym wiesz.

– Jest tak. – Lalus Phil to jeden z tych mężczyzn, którzy potrafią zdjąć kapsel z butelki jedną ręką. – Halloween było w niedzielę, nie? Więc w poniedziałek przed poniedziałkiem przed Halloween... Gliniarze dowiedzieli się, że Gregory przelał w tamten dzień pieniądze. – Rozparł się na krześle i pociągnął łyk piwa. Wydawał się szczęśliwszy, rozluźniony, jakby w końcu wyznał prawdę, całą prawdę i tylko prawdę.

– Przelał czyje pieniądze skąd dokąd?

– Większość tego, co była na ich wspólnym koncie.

– Dokąd?

– Na swoje własne konto.

– Ile? – nie ustępowałam.

Lalus Phil wydał z siebie ciche parsknięcie, jak mniemam, by pokazać mi, że jest raczej rozbawiony niż rozdrażniony moją dociekliwością. – Czterdzieści z groszami – powiedział w końcu.

– Czterdzieści tysięcy? Greg zabrał czterdzieści tysięcy ze wspólnego konta? Swojego i Courtney?

Phil przytaknął. Słońce już zaszło. Patio i trawnik za otwartymi kuchennymi drzwiami kryły się w mroku, ale okno nad zlewem było jeszcze granatowe.

– Gliniarze uważają, że to podejrzone – mruknął.

– Jak wyjaśnił przelanie pieniędzy?

– Powiedział prawdę. – Czekałam. – Słuchaj, kochanie, eee, pani doktor, co mam ci powiedzieć? On przecież prowadzi interes.

– Soup Salad Sandwiches – rzuciłam.

– Właśnie. Ale ma pewien kłopot.

– Jaki?

– Mnie. – Lalus Phil zaczął się bawić sprzączką paska, kołem wielkości średniego grejpfruta. – Biegły księgowy nie zapisałby mnie na plus. Dlatego zmusiłem Gregory'ego, by przed pójściem do college'u zmienił nazwisko na Logan. Skończył Uniwersytet Browna z Ivy League. To tak jak Harvard, tylko na Rhode Island. Gregory to dobry dzieciak. Przysięgam na Boga. I łebski. Chce tylko, żeby jego interes dobrze się kręcił. Ale oprócz problemu ze mną, jest jeszcze jeden haczyk, a mianowicie Courtney.

– Dlaczego haczyk?

Phil ze znużeniem potrząsnął głową.

– StarBaby. Wiesz, co to jest?

– Jej firma – odparłam. – Filmy z pierwszego roku życia dziecka.

– Właśnie. Tak więc mój chłopak pertraktuje z bankami, wszystko absolutnie zgodnie z

prawem. Jeśli chce rozwijać interes legalnie, banki muszą mu pożyczyć pieniądze. Rozumiesz?

– Oczywiście.

– Więc jeśli mają pożyczyć mu pieniądze, muszą obejrzeć wszystkie jego księgi dotyczące interesu. Plus jego osobiste konto. To się nazywa wartość netto.

– Wiem, co to jest wartość netto. Mów dalej.

– Musi udowodnić, że jest porządnym obywatelem. Odpowiednio zamożnym, który nie okradnie Soup Salad Sandwiches, by, no nie wiem, na przykład przepuścić na wódkę. Nie żeby pił, najwyżej parę kieliszków wina. Żadnego gówna w rodzaju single malt, jak te japiszony.

– Co ma wspólnego StarBaby z Soup Salad Sandwiches?

– Courtney uważała, że wspólne konto oznacza „Bierz mnie, jestem twoje”. Dwa czy trzy razy wzięła pieniądze ze wspólnego konta. A także z rachunku w domu maklerskim. Sprzedała akcje z konta w Smith Barney, które też było wspólne. Raz pieniądze zwróciła. W pozostałych przypadkach... Problem w tym, że nie powiedziała: „Hej, Gregory, pożyczam z rachunku maklerskiego, bo muszę kupić za ileś tam tysięcy dolców...”, – na chwilę wydatne usta Phila ścisnęły się w wąską linię. – „... kamery czy inny złom, by filmować dzieci i się reklamować”. Nie, ona je po prostu wzięła. Jakby to należało tylko do niej. Pompowała wielkie pieniądze w to cholerne StarBaby. Gregory powie – H działał mi o tym dopiero później, gdy zaginęła. Nigdy nie był, no wiesz, mazgajem. Cokolwiek się działo, zostawało między mężem i żoną.

– A jego zdaniem, co się działo?

– Powiedział, że wtedy miał wrażenie, że Courtney trochę straciła kontrolę nad interesem.

– Dlaczego nie poszła do banku po pożyczkę?

– Wierz mi, kochanie, poszła. A oni powiedzieli: „Ani grosza więcej, dopóki biznes nie zacznie przynosić konkretnych zysków”.

– Czy StarBaby groziło bankructwo?

– Nie. Ale też Courtney nie przynosiła do banku ciężkich worków z forszą. Szło jej tak sobie. – Na twarzy Phila, gdy mówił o swojej synowej, nie było nienawiści, ale też nie było ciepła i czułości.

– Być może z czasem rozkręciłaby biznes.

– Może. Być może też z czasem bank udzieliłby jej dużej pożyczki. Tak naprawdę ona nie mogła zrozumieć, dlaczego interes szedł nie najlepiej. Bo to po prostu był głupi pomysł na robienie pieniędzy. Ale nie, Courtney była przekonana, że potrzebny jej tylko kapitał. Kapitał, kapitał. Buzia jej się nie zamykała na temat powiększenia kapitału.

– A co na to Greg?

– Greg był przerażony, że ona przepuści wszystko, co mają, nie wspominając mu o tym nawet słowem. A potem bank sprawdzi jego wartość netto i powie: „Słuchaj, Logan, gadasz bzdury. Nie masz pięćdziesięciu pięciu tysięcy na koncie i osiemdziesięciu na rachunku maklerskim”.

Chyba zamrugałam ze zdumienia. Młodzi ludzie po trzydziestce i mają tyle pieniędzy.

Mimo że Bob nieźle zarabiał, były lata, zwłaszcza na początku, gdy musieliśmy wybierać, i to nie między nowym bmw a mercedesem. Wybór był inny: nowy dach albo nowe szambo. A Loganowie mieli wszystko, i jeszcze pieniądze w banku.

– Według Grega ile pieniędzy wzięła Courtney bez pytania?

– Piętnaście z konta. Dwadzieścia z rachunku w Smith Barney. W sumie wzięła trzydzieści pięć. Ale oddała... zapomniałem. Chyba dziesięć. Więc byli do tyłu w sumie dwadzieścia pięć kawałków, wydanych na kamery i reklamę.

– Kiedy to się stało?

– W zeszłym roku, mniej więcej o tej porze – odparł Phil.

– Pozwól, że sobie to uporządkuję – wstałam, sięgnęłam po leżący koło telefonu notes do robienia listy zakupów i długopis i wróciłam do stołu, by wszystko podliczyć. – Courtney majstrowała przy pieniądzach mniej więcej rok temu. A dwa tygodnie przed jej zniknięciem – i morderstwem – Greg przelał czterdzieści tysięcy dolarów ze wspólnego konta na swoje własne.

– Tak. To zbieg okoliczności. Mam na myśli to, że przelał pieniądze, a potem Courtney została zabita. W październiku potrzebował kolejnej pożyczki z banku.

– Podliczmy to wszystko. Jeśli wzięła z ich wspólnego konta piętnaście tysięcy, to znaczy, że na początku mieli tam pięćdziesiąt pięć.

– Tak.

– A ile było na ich rachunku maklerskim w Smith Barney?

– Osiemdziesiąt odjąć dwadzieścia. Plus te dziesięć, które zwróciła – przyglądał się cierpliwie, dopóki nie zapisałam „70. 000, Smith B”. – Nie masz doktoratu z arytmetyki, co?

– Nie. Phil, powiedz mi, myślisz, że Greg był bardzo zły z powodu machinacji finansowych Courtney?

Laluś Phil energicznie pokręcił głową, jakby słowa „Greg” i „zły” nie mogły się nawet pojawić w jednym zdaniu.

– Nie. Zmartwiony. Wiedział, że Courtney przeżywa trudne chwile, bo siedzi w domu z dziećmi i zamiast robić karierę próbuje się przyzwyczaić do bycia matką. I robi biznes, ale tylko na małą skalę. Nie potrafiła pogodzić się z faktem, że teraz Gregory zarabia pieniądze. Nie mógł jej pozwolić, by nadal podbierała forszę na interes, który był – nie cierpię mówić tego o zmarłej – idiotyczny. Każde młode małżeństwo ma kamerę wideo. I na okrągło kręci filmy, jakby sami wymyślili dzieci i musieli pokazać je światu. Mały Wacuś w wysokim krzeselku. Mały Wacuś bez krzeselka. Mały Wacuś w sklepie. Do ciężkiej cholery, zabierają dzieci wieczorem do restauracji, by każdy mógł dzielić z nimi ich szczęście. Mały Wacuś drze się i wypluwa białą papkę na polentę, doprowadzając wszystkich do szału, a oni dalej kręcą film. „A tu mały Wacuś wydziera się w restauracji U Maria”.

– Mimo to uważasz, że małżeństwo Grega i Courtney w zasadzie było w porządku, że tylko przechodzili trudny okres?

– Tak.

– Jesteś pewien? Żadnych poważnych kłopotów? – Laluś Phil uniósł prawą dłoń, jakby składał przysięgę. Dłoń miał tłustą od popcornu. – A co z tą au pair?

– Jak to co z nią? – warknął. – Na świecie są setki języków, a oni wybrali dziewczynę, która mówi po niemiecku. Uczy dzieci: *Auf Wiedersehen, Grossvater** [*Auf Wiedersehen, Gmssvater* (niem.) – do widzenia, dziadku.]

Twarz miała taką, że diabeł by się przestraszył. Wcale bym się nie zdziwił.

– Być może. Ale może była zgrabna, albo miała miły charakter, które zauroczyły twojego syna. Nie wiem. Policja i połowa Shorehaven jest przekonana, że między nią i Gregiem coś było.

– Nie było. Wykreśl to ze swojej listy. Gregory kochał Courtney. Nie zdradzał jej.

Nozdrza Lalusia Phila rozszerzyły się. Wyczułam, że nie jest to oznaka zadowolenia. Postanowiłam więc zrezygnować z dalszych pytań o au pair. Mimo to, jeśli wziąć pod uwagę, że byłam w domu sam na sam z gangsterem skazanym za czynną napaść, czułam się nadzwyczaj bezpiecznie. Oto mój pierwszy klient siedzący u szczytu wąskiego stołu kuchennego. Laluś Phil najwyraźniej był człowiekiem przyzwyczajonym do traktowania go z szacunkiem, a nie protekcjonalności, czy tym bardziej stawiania mu niewygodnych pytań. Ale nawet gdybym wdała się z nim w spór, czułam że nie skończyłabym jako spuchnięty trup dryfujący East River, główna atrakcja Nowego Jorku dla turystów z Toronto podczas przejażdżki statkiem. Uznałam jednak, że muszę to powiedzieć:

– Phil, od czasu do czasu będę musiała zadać ci pytanie, które ci się nie spodoba.

– W porządku.

– To dobrze. Nie chcę się zamartwiać, że możesz mieć mi coś za złe.

– Czego się boisz?

– Nie powiedziałabym, że się boję. Myślę tylko o tych dwóch i pół roku, które spędziłam na państwowym wikcie, z powodu czynnej napaści i pobicia niejakiego...

– Chicky Itzkowitza? – roześmiał się lekceważąco. – Dla mnie to już przeszłość. Poza tym mówiłem ci, przeszedłem na emeryturę. Jestem innym człowiekiem. Zresztą z Chickym to były porachunki dotyczące interesów.

– Hm, ciebie i mnie też łączą interesy, nawet jeśli nie biorę od ciebie pieniędzy.

– Ależ doktor Judith.

– Co?

– Nie masz się czego bać.

Rzeczywiście wyglądał dobitnie jak podchmielony Budda. Spytałam więc:

– Co myślisz o Courtney?

– Ja osobiście? – Przytaknęłam. Pomyślał minutę, a potem ze smutkiem pokręcił głową. –

Lukshen. Wiesz co to jest?

– Kluski?

– Tak, ale kwestia w tym, że *lukshen* bez masła, soli i pieprzu są... Jakie to słowo? Hm... na „m”.

– Mdłe?

– Właśnie! Mdłe – położył łokcie na stole i oparł podbródki na dłoniach. – Wysyłam swojego chłopaka do college’u w Ivy League, bo chcę, żeby miał lepiej ode mnie. A on łąduje z miską *lukshen* z Zachodniego Wybrzeża, z jasnymi włosami i niebieskimi oczami, która też

skończyła jakiś college w Ivy League, jest konsultantką w banku inwestycyjnym i gra w tenisa. Nawet ładniutką, jeśli się lubi ładniutki. Wszystko wygląda pięknie. A potem szukasz charakteru, a tam nie ma nic. Zero.

– Może to taka powściągliwość, typowa dla Zachodniego Wybrzeża? – Nie zamierzałam dodawać, że jego syn też nie jest duszą towarzystwa, choć trzeba przyznać, że poznałam Grega w trudnych okolicznościach, gdy przeżywa straszny okres w życiu.

– Wybacz mi, pani doktor, ale to gówno prawda – powiedział Lalus Phil. – Powściągliwość, dystans, mokasyny bez skarpetek, wszystko rozumiem. Ale przecież ludzie z Zachodniego Wybrzeża mają jakiś charakter.

– Czy była dobrą matką?

– Tak. Niezłą. Na przykład potrafiła do znudzenia głądzić o ząbkowaniu Travisa. Na okrągło wołała do Morgan: „Potrzebuję przytulaska” i Morgan już do niej biegła. – Pomasaował kciukiem i palcem wskazującym grzbiet nosa. Miał szeroki, lekko zadarty nos, taki jak wiele osób zrobiło sobie u chirurgów plastycznych w latach pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych, w okresie pospiesznej asymilacji. Taki nos sprawiał, że tysiące żydowskich imigrantów, Amerykanów w drugim i trzecim pokoleniu, wyglądało, jakby było potomkami Świnki Piggy. – I była dobra dla Grega, jeśli pominąć podbieranie pieniędzy z kasy. Zwracała się do niego „kochanie” albo „misiu”, albo „Greggy”, ale słuchaj, była dobrą żoną. Widziałaś ich dom?

– Śliczny.

– Sama go urządziła. Żadnego dekoratora wewnątrz czy co.

– A z drugiej strony... – podsunęłam.

– A z drugiej strony – ciągnął Lalus Phil – skoro odchodzi z pracy, by siedzieć w domu z dziećmi, to dlaczego z nimi nie siedzi? Całymi dniami nie ma jej w domu. Dzwonię do nich i zawsze odbiera ta Niemra. „Pani Logan poszła na lekcje gimnaztyki” – przedrzeźniał, naśladując chyba, w jego mniemaniu, niemiecki akcent. – Lekcje? Co to za wygłupy? Ktoś ma cię uczyć, jak dosięgnąć rękami palców stóp? Albo jest na spotkaniu, albo je lunch z przyjaciółkami, albo poszła biegać, albo pracuje w swoim gabinecie...

– Miała gabinet poza domem?

– Nie. Zaanektowała jedną z sypialni. No więc siedzi w swoim gabinecie, zajmuje się interesami i nie można jej przeszkadzać.

– Poznałeś rodzinę Courtney?

– Tak. To, czego się można było spodziewać. Kluchy rodzą kluchy.

– Gdzie mieszkają?

– Olympia w stanie Waszyngton. Nie wiem dokładnie, gdzie to jest.

– Oboje rodzice żyją?

Lalus Phil wydał z siebie przesadne westchnienie znudzenia.

– Jeśli nazywasz to życiem, to żyją. Stary jest księgowym w jakimś kiepskim tartaku. Matka projektuje kompozycje z kwiatów. Układa je w wazonach lub coś takiego.

– Przyjechali tu, na Wschód, na pogrzeb? – Kiwnął głową. Na jego nalanej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień, ale wyczułam jakąś zmianę. – Jak się zachowywali? – Wzruszył

ramionami. – Phil, chciałabym się dowiedzieć, jaka jest rodzina, z której pochodziła Courtney. Czy znalezienie ciała było dla nich wstrząsem? Czy też myślisz, że już wcześniej, w ciągu tych miesięcy, gdy uważano ją za zaginioną, przeczuwali, że ona nie żyje?

– Oni myślą, że ja maczałem w tym palce – powiedział Phil głosem tak bezbarwnym, że niemal przypominał komputerowy generator mowy. – Na pogrzebie, w kościele, podszedłem do matki, żeby ją uściskać. – Opuścił ręce i wyprostował je sztywno wzdłuż ciała. – A ona tak. Miałem wrażenie, jakbym ścisnął mały blok betonu. Jest niewysoka jak Courtney. I żadne z nich, ani ona, ani jej mąż, w ogóle nie spojrzeli w moim kierunku. Nie odezwali się nawet słowem.

– Skąd im przyszło do głowy, że ty masz z tym coś wspólnego?

– Po prostu... no wiesz, dlatego, że niby jestem, kim jestem.

– Nigdy się nie kłóciłeś z Courtney? Albo z Gregiem o Courtney?

– Nie!

– Czy oni myślą, że Greg ma z tym coś wspólnego?

– Nie wiem. Z nim przynajmniej rozmawiali.

Nocny wiaterek powiał przez otwarte drzwi kuchenne i przejął mnie chłodem. Pies jednego z moich sąsiadów zaczął histeryczne, szczekane staccato, typowe dla świniętych psów, albo psów świniętych właścicieli. Luluś Phil spojrzał na swoją butelkę piwa. Wydawał się zdumiony, że jest pusta.

– Czy protestowali przeciwko temu, że Greg sprawuje opiekę nad dziećmi?

– O czym ty mówisz? – spytał rozdrażniony. Potem sam sobie odpowiedział na pytanie. – Chodzi ci o to, że gdyby myśleli, że Greg to zrobił, to chcieliby mu zabrać dzieci? Nie. Nie pisnęli nawet słowem na temat dzieci.

– W porządku. Teraz pierwsze kilka dni po zniknięciu Courtney. Czy policja pytała, czy zginęły jakieś rzeczy Courtney?

– Tak, i o ile się orientował, powiedział, że nic nie zginęło. Jedyne pieniądze, które były ruszane to te, które Gregory przelał z ich wspólnego konta dwa tygodnie wcześniej. Kolczyki z szafirami, które dał jej na trzydzieste urodziny, były tam, gdzie zwykle, w małym sejfie w szafie. Razem z resztą biżuterii. Jej futro z norek wisiało w szafie.

– Miała pierścionek zaręczynowy?

– Tak, pewnie. Był na ręce, no wiesz, gdy ją znaleźli. Rolex też.

– Więc brakowało tylko tych dwudziestu pięciu tysięcy, które wzięła ze wspólnego konta i z rachunku maklerskiego wiele miesięcy wcześniej, zanim zniknęła?

– Tak – przyznał.

– Teraz więc muszę się dowiedzieć, czy te dwadzieścia pięć tysięcy wydała na kamery i reklamę.

– A jeśli nie?

– Wtedy będę musiała ustalić, co się działo w życiu Courtney tuż przed jej śmiercią.

Rozdział 5

Zee Friedman, operatorka StarBaby, wychyliła się ponad poręczą podestu na piątym piętrze.

– Jeszcze tylko jedne schody! – zawołała zachęcająco, by dodać mi otuchy. Mieszkała w zapuszczonej okolicy na północ od wspaniałych, wysokich apartamentów stojących wokół Uniwersytetu Columbia i na południe od odnowionych budynków z piaskowca, przeżywających obecnie w Harlemie swój renesans. Klatka schodowa jej budynku przesiąknięta była typowym dla Nowego Jorku zapachem, niemającym nic wspólnego z Henrym Jamesem i lawendą. Przez prawie sto lat żółtobrązowe ściany wchłaniały opary czosnku i cebuli z kuchni najróżniejszych grup etnicznych, które wykorzystywały to miejsce jako pierwszy przystanek po przeprowadzce z najbardziej ponurych kamienic czynszowych. A teraz pełni optymizmu dwudziestoparolatki i rozczarowani trzydziestolatkowie płacili prawie tysiąc dolarów miesięcznego czynszu za każdy pokój.

Zee uprzejmie udała, że nie słyszy charczenia, wydobywającego się z mojego gardła z każdym oddechem, gdy pokonywałam kolejny ciąg idiotycznie stromych schodów, zaprojektowanych chyba dla gatunku o dłuższych nogach niż *homo sapiens*. Gdy się wychyliła, burza czarnych włosów opadła do przodu, tworząc zasłonę wokół jej twarzy. Dopiero gdy dotarłam na górę, mogłam się jej wreszcie dobrze przyjrzeć. Zee o niebo przewyższała klasą swoje otoczenie. Miała okrągłe policzki jak u lalki z epoki wiktoriańskiej, ale zamiast spodziewanych pustych, niebieskich oczu jej czarne oczy były błyszczące i pełne życia.

– Witam! – uściśnęła mi rękę mocno jak doker, choć miała niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu.

– Cześć – sapnęłam.

– Pół Chinka, pół Żydówka – odpowiedziała na moje niezadane pytanie, prowadząc mnie do niewielkiego mieszkania. Pokiwałam tylko głową, bo nie miałam pewności, czy zdołam wypowiedzieć dwa słowa bez zakrztuszenia. – Dwadzieścia cztery. Tyle mam lat. Zee to skrót od Zeldy. Zeldy Fitzgerald. Mogłabyś spytać, dlaczego moi rodzice uznali to za dobry pomysł, by nadać mi imię jakiejś biednej, szalonej kobiety, która spaliła się żywcem w domu dla obłąkanych? Odpowiedź brzmi: nie wiem.

Otwarta przestrzeń jej niewielkiego mieszkania została podzielona na trzy części: kuchnię, na którą składało się kilka półek nad zlewem i dwupalnikowa kuchenka, jak się domyślałam sypialnię, ukrytą za zasłoną, zrobioną chyba z cygańskich spódnic, i kwadrat pięć na pięć metrów, czyli salon. Zee wprowadziła mnie do środka i wskazała mały jak dla dziecka fotelik. Przykryty był uniwersalnym, pasującym na każdy mebel bladozielonym pokrowcem, który lepiej wygląda w katalogu niż w rzeczywistości, choć akurat tutaj całość wydawała się urocza, niczym malec przebierający się w rzeczy matki. Zee usiadła naprzeciw mnie na dwuosobowej kanapie przykrytej kilkoma ozdobionymi frędzlami kwiecistymi chustami, jakie widuje się na pianinach albo u wróżki, ‘ przy czym deseń na każdej był inny.

Najwyraźniej Zee Friedman posiadała dar, który ja zawsze chciałam mieć: styl, instynktowne wyczucie, kiedy mniej znaczy mniej, a kiedy mniej to więcej. Jej ubiór – proste, czarne bawełniane rybaczki i zwykły biały podkoszulek były minimalistyczne w stylu. Ja z kolei miałam na sobie granatowe spodnie, mój nieśmiertelny błękitny sweterek, apaszkę w motyle i małe złote kolczyki. Pomyślałam, że może przy odrobinie szczęścia uzna mój staromodny wygląd za zamierzony.

Dwa poprzednie dni spędziłam na poszukiwaniu informacji i wykonywa – jniu telefonów. W końcu dzięki przyjaciółce przyjaciółki sąsiadki Badinowskich dotarłam do innej klientki StarBaby, która zapisała numer telefonu Zee.

– Przepraszam, że zawracam głowę w majowy weekend – powiedziałam.

– Drobiazg – zapewniła Zee. Miała głos pasujący do kobiety o bardziej imponującej posturze, kontralt, którego nie powstydziliby się Statua Wolności, gdyby mogła mówić. Podciągnęła stopy na kanapę tak, że piętami dotykała pośladków i objęła rękami kolana. Paznokcie stóp miała pomalowane na bladoniebieski kolor spranych dżinsów. – Czy pani jest detektywem? – spytała z nadzieją.

– Powiedzmy, że zostałam wynajęta, by zebrać jak najwięcej informacji o Courtney. – Zee z entuzjazmem kiwnęła głową. Jej ciemne włosy zakołysały się radośnie, jakby w oczekiwaniu na dalszy ciąg. – Czy wiesz kogo jeszcze, poza tobą, zatrudniała?

– Przynajmniej jeszcze jednego faceta, ale czy był ktoś jeszcze, tego nie mogę powiedzieć na pewno. Pracowałam na zlecenie w weekendy.

Pomiędzy nami stał stolik do kawy, stara skrzynia na zabawki, z łuszczącymi się kalkomaniami w misie i lalki.

– Tylko w weekendy? – spytałam.

– Tak, bo wtedy rodzice są w domu. Chcemy, żeby oboje bawili się z dzieckiem, skoro wideo ma przynajmniej w jakiejś mierze pokazać dziecku, jak wspaniali byli jego rodzice, niezależnie od tego, co ono pamięta. Zresztą ja w tygodniu pracuję na pełny etat, więc mogłam kręcić tylko w sobotę i niedzielę.

– Czym się zajmujesz?

– Jestem asystentką producenta w Crabapple Films.

Kiwnęłam głową z uznaniem, jakbym chciała powiedzieć „Ach tak, oczywiście, Crabapple”, choć nigdy o nim nie słyszałam. Miałam tylko nadzieję, że nie robili filmów, w których nastolatki są ćwiartowane piłą łańcuchową.

– Co tam robisz?

– To, czym nikt nie chce się zająć – odparła Zee, uśmiechając się radośnie. Wyglądała na nadzwyczajnie zadowoloną z życia, jakby była jedną z tych osób cudownie pozbawionych genu urazy. Nie tylko jej głos był imponujący, także uśmiech, od ucha do ucha, jak na rysunku przedszkolaka. – Na przykład staram się o pozwolenia w urzędach, kopiuję i kataloguję dokumenty, biegam na planie w tę i we w tę. Tak trafiłam do Courtney. Jeden z chłopaków z ekipy, który kręcił dla niej filmy, przeprowadzał się do Los Angeles. Przekazał więc tę robotę mnie.

– Chcesz być filmowcem? – korciło mnie, by napomknąć, że mój syn jest krytykiem

filmowym, ale doszłam do wniosku, że zabrzmiało to mało profesjonalnie. Poza tym na wypadek gdyby jej radosne usposobienie było tylko grą i to ona wpakowała dwie kule w Courtney, im mniej o mnie wiedziała, tym lepiej.

Zee energicznie pokręciła głową.

– W sumie o wiele bardziej podoba mi się zarządzanie, kontrolowanie, co się dzieje z pieniędzmi, dopilnowanie, by dwudziestometrowy dźwig znalazł się na Grand Army Plaža w Brooklynie we wtorek o szóstej rano. – Zee zaplątała nogi w tak skomplikowany węzeł, że widać było tylko jeden niebieski paznokieć. Jednocześnie szeroko rozłożyła ręce na oparciu kanapki, jakby miała objąć dwoje niewidzialnych przyjaciół. – Jeśli chodzi o Courtney, dziwiłam się, że się na mnie zdecydowała. Jestem tylko absolwentką Wydziału Filmowego Uniwersytetu Columbia, której rodzice po dyplomie kupili kamerę cyfrową.

– Czy Courtney kiedykolwiek rozmawiała z tobą o sobie?

– Nie. Po twoim telefonie zaczęłam się zastanawiać. Uświadomiłam sobie, jak mało o niej wiem. Tylko najprostsze fakty. Mężatka, dwoje dzieci. Konsultantka w banku inwestycyjnym. Trochę rozmawialiśmy. O tym, jak bardzo podobało się nam w college'u, a jak okropnie było w liceum. Ale komu było fajnie w liceum? Może jakimś głupim osiłkiem albo prymusowi przed maturą. Każdy, kto choć trochę pamięta czasy liceum, wie, że tam było okropnie.

– Dlaczego Courtney nie podobało się w liceum?

– Zdaje się... To, co zwykle. Jesteś za chuda albo za gruba, mała albo duża i nie masz chłopaka. I lubisz czytać. Courtney była niska i płaska, choć, jak mówiła, potem, w college'u, zaokrągliła się, gdzie trzeba. Ale na ogół rozmawialiśmy o pracy.

– Była dobra w biznesie?

– Na pewno nie znała się na filmach. To dlatego uznała, że jestem dobrym filmowcem. Wydawała się miła. Tak jakby.

– Co masz na myśli, mówiąc: tak jakby?

Zee wydeła umalowane błyszczącym wargi i kilka sekund zastanawiała się nad odpowiedzią.

– To zabrzmiało okropnie w stylu New Age, zwłaszcza że mam do tego ciągoty. Ale niektórzy ludzie wysyłają miłe sygnały. Wiesz, o co mi chodzi?

– Czy Courtney wysyłała niemiłe sygnały? Zee pokręciła głową.

– Nie. To nie to. Ale na początku pomyślałam: „O rany, co za kobieta!” Wulkan energii. Opowiadała o StarBaby i brzmiało to, jakbym przyłączała się do niej w jakiejś krucjacie. Fantastyczna przygoda Courtney i Zee. Że StarBaby naprawdę osiągnie jakiś cel. Ludzie będą mogli zobaczyć, jacy byli, jacy byli ich rodzice i rodzeństwo. Może wyidealizowaną wersję, bo przecież byli filmowani, ale przynajmniej nie przez filtr wyobraźni czy niedoskonałej pamięci. Courtney zamierzała spopularyzować swój pomysł na zasadzie franczyzy w całym kraju. A może nawet na świecie, choć tego nie mówiła.

– Miała taki plan? – spytałam.

– Pamiętam, że pokazała mi statystykę ze wszystkich stanów wraz z dochodem na głowę i mnóstwo innych nudnych danych demograficznych. Była tak pełna optymizmu, tak pewna sukcesu. Niemal widziałam ją już na okładce „Time'a”. – Zee znów podciągnęła nogi na

kanapę, objęła je rękami i oparła brodę na kolanach. Ten popis elastyczności zrobił na mnie duże wrażenie. – Przynajmniej na początku.

– W którymś momencie się zmieniła?

– Tak, zdaje się zeszłego lata, mniej więcej w lipcu. Parę miesięcy wcześniej powiedziała, że lato może być trochę słabsze, jeśli chodzi o biznes, bo rodzice są więcej czasu w domu, dzieci bawią się na dworze i tak dalej. Myślałam, że to akurat bardzo dobry czas na filmowanie, ale czułam, że jeśli nie chcę stracić pracy, to nie powinnam zaprzeczać. Ale gdy zaczęła się szkoła, biznes wcale nie zaczął się kręcić lepiej. – Zanim zdążyłam zapytać, dodała: – Ale też i nie szedł gorzej. Courtney po prostu wydawała mi się jakaś przybita, choć może to tylko moje podświadome wrażenie. Być może zupełnie źle ją rozgryżłam. Bo w sumie nie tak łatwo było ją rozgryźć. Nigdy nie rozmawiała o drobiazgach. Zero ciekawości.

– Co masz na myśli?

– No, na przykład, gdy spotykam ludzi i słyszą moje nazwisko, zwykle widzę, że mrużą oczy, bo myślą sobie: „Adoptowana Azjatka? Jakaś mieszanka?” Albo ze względu na studia na Wydziale Filmowym są ciekawi, jaki jest mój ulubiony film. A z Courtney nic takiego, ściana. Przeczytała moje CV, obejrzała pierwsze dwie minuty mojego filmu dyplomowego i powiedziała, ile wynosi płaca. Byłam nie tyle człowiekiem, co automatem, który obsługiwał kamerę. Była całkowicie skupiona na biznesie.

– Zimna?

– Większość ludzi nie określiłoby jej jako zimną. Z naprawdę zimną osobą zawsze się zastanawiasz „Cholera, co zrobiłam źle?” Przy niej wcale nie czułam się niekompetentna. Właściwie mogę nawet powiedzieć, że moja praca jej się podobała. Czasem nawet mówiła: „Dobra robota!”, i brzmiało to szczerze. Wyczułam więc, że miała tylko wyznaczone granice własnej prywatności i nie było to nic związanego ze mną.

– Czy była przygnębiona tym, jak idą interesy? – spytałam.

– Niezupełnie. Gdzieś tak w połowie września... No, naprawdę nie wiem. Robiła to, co zwykle, omawiała o co chodzi każdej rodzinie, ile materiału kręcić. Ale nie angażowała się, jakby myślami była gdzie indziej. Przedtem, nawet w tej fazie, gdy była przygnębiona, zawsze rzucała pomysłami, gdzie filmować albo wymyślała, jak skłonić rodziców, by chcieli dłuższy film, co oznaczało pieniądze, a tu w zasadzie powiedziała: „Rób, co chcesz”.

– Próbuję ją sobie wyobrazić – wyjaśniłam Zee. – Nie sprawia wrażenia bardzo ciepłej osoby – zastanawiałam się na głos.

– Nie, to niezupełnie tak, bo ze swoimi dziećmi była wręcz uosobieniem ciepła, kwintesencją mamy. Na przykład któregoś razu Travis, jej synek, wszedł do pokoju. Wyciągnęła do niego rękę, a twarz miała rozpromienioną najwyższym szczęściem. Madonna z dzieciątkiem. Znaczy się Matka Boska, a nie ta piosenkarka. I jej dom był tak urządzony, że widać było, że wczuła się w rolę pani domu. Nie miała oka do filmów, ale miała... Chyba można by to nazwać: dobry gust zamożnej pani domu z przedmieścia. – Na twarzy Zee pojawił się wyraz zażenowania.

– Nie przejmuj się – uspokoiłam ją. – Ja nie jestem zbyt zamożna. A gdyby to ode mnie zależało, choć na szczęście moje przyjaciółki mnie powstrzymują, pewnie położyłabym sobie

na ścianach amarantowe tapety w kratkę. Wiem, o co ci chodzi. Wszystko spokojne i stonowane.

– Właśnie. I bez wyobraźni. Żadnych osobistych akcentów. Wszystko dopracowane. Mam na myśli, że nawet sikanie było wysmakowane. Przepraszam. Moja mama nie lubi, gdy mówię: „sikanie”. Na przykład, wchodzę do łazienki. Łazienki dla gości na dole. Courtney ułożyła tam stos ręczniczków, z rodzaju tych, co to boisz się ich użyć, bo trzeba je prasować, ale też nie możesz ich nie użyć, z obawy, że ona sobie pomyśli, że nie umyłaś rąk. Na blacie umywalki z różowego marmuru stał koszyczek, a w nim małe buteleczki z paracetamolem i ibuprofenem i minizestaw do szycia. Tampony, każdy przewiązany różową wstążeczką. Przysięgam na Boga! – pokręciła głową i dodała: – Courtney wyłożyła dno kosza na śmieci ozdobną, papierową serwetką.

Bezpośredniość i pogodny usposobienie Zee w zasadzie nie było aż tak odległe od raczej ironicznego, typowego dla Long Island sposobu bycia moich dzieci. Obie postawy wiernie odzwierciedlały credo Pokolenia X: gdy się totalnie wyluzujesz, życie niczym cię nie zaskoczy, więc nie ma powodu czymkolwiek się ekscytować.

– Gdy wchodziłaś do tego domu, ogarniał cię podziw – ciągnęła Zee raczej bez podziwu. – Był apoteozą swojego własnego stylu. Słyszałaś? Apoteoza. To te cztery lata studiów na Columbii. Jej dom jest wśród innych podmiejskich domów bogatej klasy średniej tym, czym Partenon dla architektury doryckiej.

Przytaknęłam, przypominając sobie klosiki na każdej żarówce żyrandola w holu wejściowym, idealną kompozycję fotografii, lampy i oprawione w skórę książki na małym antycznym stoliku w salonie. Jakże Courtney musiała kochać to, co stworzyła.

– Widziałam twój film z Lukiem Badinowskim – powiedziałam. Zee uśmiechnęła się szeroko i równocześnie przycisnęła czubki palców do skroni, jakby Lukę lub jego rodzice przyprawili ją o ból głowy. – Twoja praca wydała mi się bardzo profesjonalna.

Zee pokręciła głową.

– Dzięki, ale jestem tylko sprawnym rzemieślnikiem. Mam przyjaciółkę montażystkę, której rodzice są bardzo bogaci. Ona ma Avid, potwornie drogi sprzęt komputerowy do montażu materiału. Wierz mi, gdy się go użyje, każdy film wygląda na dzieło KarWai Wonga.

– Jaki sprzęt miała Courtney Logan?

Zee zanurzyła palce we włosach, odgarnęła je z twarzy i ramion i zwinęła w węzeł.

– Właściwie nic specjalnego. Światła do zdjęć we wnętrzach. Ale nie te duże i drogie. Nie pamiętam, jak się nazywają, takie, jakich używają ludzie filmujący na ślubach. Warto w sumie może osiemset, dziewięćset dolarów.

Pomyślałam o piętnastu tysiącach, które według Lalusia Phila zniknęły z konta Loganów i tych dziesięciu, które Courtney ostatecznie zabrała z rachunku maklerskiego w Smith Barney. Lalus Phil powiedział, że ta suma, dwadzieścia pięć tysięcy, została wydana na kamery i inny złom oraz na reklamowanie firmy.

– A co z kamerami?

– Ja używałam własnej – odparła Zee. Puściła włosy, by z powrotem opadły na ramiona.

– Jeszcze jakiś sprzęt?

– Nie. Facet, który też filmował dla Courtney, trzymał sprzęt StarBaby u siebie. Podobno studiował na Uniwersytecie Wesleya.

– Poznałaś go?

– Nie. To typowe dla Courtney. Właściwie nic mi o nim nie powiedziała. Odniosłam wrażenie, że nie chce, byśmy się kontaktowali, co zapewne znaczyło, że jednemu z nas płaciła więcej niż drugiemu. W każdym razie oczekiwała, że będę używać własnego sprzętu. Musiałam jednak wypożyczyć mikrofon, bo ten w mojej kamerze sprawia, że wszyscy mają głos jak King Kong.

– Czy Courtney dużo wydała na ogłoszenia czy reklamę? – spytałam.

– Tego nie wiem. Jeśli to zrobiła, to nie zauważyłam żadnych wyraźnych efektów. Przez cały czas, gdy dla niej pracowałam, liczba zamówień była mniej więcej taka sama.

– Czy kiedykolwiek rozmawiała z tobą o firmie?

Zee odchyliła głowę na oparcie kanapy i popatrzyła na stiuki pod sufitem. Dekoracje kiedyś pewnie były wstęgą winorośli albo rozetek, teraz zniekształcone przez liczne warstwy farby, nakładanej przez cały wiek, zmieniły się w pasmo regularnie następujących po sobie wybrzuszeń.

– Tylko raz. Powiedziała, że firmy upadają z dwóch powodów. Braku kapitału i jeszcze czegoś tam. Cierpliwości, planu albo co – spojrzała przepraszająco. – Mnie interesuje proces produkcji, a to, co ona mówiła, brzmiało trochę jak lekcja ze szkoły biznesu, więc się wyłączyłam.

– Co sprawiło, że nagle zaczęła rozmawiać o biznesie?

– To było chyba wtedy, gdy zapytałam, czy nie ma dla mnie pracy, gdzieś tak w lipcu, gdy zaczęła sprawiać wrażenie przybitej. Miałam nadzieję, że da mi coś więcej do roboty. Ale ona jakby dała do zrozumienia, że chce to, co jest, rozdzielić, by nie musiała polegać na jednej osobie.

– Czy to dla ciebie miało jakiś sens?

– Jeśli wierzyć obiegowym opiniom o filmowcach, że jesteśmy narcystyczni i nie można na nas polegać, to tak, choć prawda jest taka, że robienie filmów wymaga dobrego zorganizowania. Jeśli na kimś nie można polegać, to oznacza, że nikt go więcej nie zatrudni. Jednak dla mnie ta gadka o cierpliwości i tak dalej brzmiała jak usprawiedliwianie się. Na moje oko to daleko jej było do popularyzacji pomysłu i tej franczyzy.

– Jak często dla niej pracowałaś?

– Dwa, trzy weekendy w miesiącu.

– Co sądzisz o StarBaby? – spytałam. – Jako ktoś zainteresowany produkcją filmów.

– To chyba niezły pomysł w bogatych dzielnicach, gdzie mieszkają ludzie mający za dużo pieniędzy, a za mało czasu. Na przykład bogate pary z małymi dziećmi, które kupują kamerę, ale brak im czasu, by przeczytać instrukcję obsługi. Tyle że dopóki Courtney nie obniżała ceny, StarBaby nie miało szansy stać się McDonald'sem dziecięcego wideo. A Courtney mówiła o tym, by zarejestrować jako znak towarowy wszystko, co miało „Star” w nazwie: StarChild, StarKid, StarGirl, StarBoy. Zanim przyszło lato, wymyślała przeróżne rzeczy.

Namówiła dwóch pediatrów, by pozwolili filmować badanie dzieci, co było nie lada wyczynem, ze względu na obawę lekarzy przed oskarżeniem o zaniedbania lekarskie. Myślała też o wynajęciu albo kupieniu jakiegoś ładnego psa, owczarka collie albo beagle'a, żeby dzieciaki mogły się do niego przytulać, jeśli rodzina nie miałaby własnego zwierzaka. Zauważyła jednak, że mógłby pojawić się problem, gdyby kochany piesek uznał, że StarBaby to jego obiadek.

– A jej mąż?

– Widziałam go tylko raz, podczas mojego ostatniego spotkania z Courtney. Wrócił do domu z golfa. Patrzyła na niego tak, że można by pomyśleć, że był mieszanką, boja wiem, Gary'ego Coopera i Jude'a Lawa. Pytałaś o ciepło. Do niego odnosiła się niezwykle ciepło, jakby ją naprawdę rajcował. Dla mnie to był bardzo nudny, grający w golfa facet o ciekawej urodzie.

– Myślisz, że to rajcowanie było z jej strony udawane?

Zee przekrzywiła głowę i na chwilę się zamyśliła. W końcu powiedziała:

– Nigdy nie czułam, że znam Courtney naprawdę, więc trudno mi powiedzieć, czy Courtney coś udawała, czy nie. Na ile mogę ocenić, równie dobrze mogłabym powiedzieć, że miała głębokie wnętrze i była skryta. Albo też płytka i nic nie kryło się pod atrakcyjną powierzchownością.

– A wobec ciebie zawsze zachowywała się jak bizneswoman?

– Tak, chociaż... Przez ostatnich kilka miesięcy wydawała się jakby nieobecna. Nie zmartwiona czy smutna, że interes nie idzie lepiej. Obojętna. Myślami była gdzieś indziej.

– Gdzie?

Zee wzruszyła ramionami, co znaczyło, że nie wie.

– Nawet nie próbuję się domyślić. Ale Courtney przeszła od stanu, gdy niemal próbowała za mnie oddychać, co było dosyć uciążliwe, bo jestem bardzo dobrze poukładana, do w zasadzie zostawienia mnie, bym radziła sobie sama.

– Może cierpiała na depresję?

– Zawsze była pełna werwy. Więc trudno powiedzieć, co się za tym kryło. Na powitanie mówiła „Cześć”, a brzmiało to jak „Cześć ci!”, z fajnym zaśpiewem na końcu. Powiedziałabym, że w lipcu była mocno przygnębiona, ale nadal z zaśpiewem. A we wrześniu ciągnęła zaśpiew, ale myślami była gdzieś indziej, daleko od StarBaby.

– Czy wyglądało na to, że się czegoś boi? Była czymś zdenerwowana?

– Nie zauważyłam, ale też nie wiem, na ile by się przede mną odsłoniła.

– Czy mogła być zakochana? Miała romans? – Zee wzruszyła ramionami, że nie wie. – Czy kiedykolwiek widziałaś, by coś ją poruszyło?

Zee powoli pokręciła głową, ale widziałam, że nadal zastanawia się nad moim pytaniem. Tymczasem ja ostatecznie doszłam do wniosku, że nie jest psychopatyczną morderczynią i świetnie pasowałaby do Joeya.

– To było dziwne – powiedziała w końcu. – Któregoś dnia odebrała telefon. Byłyśmy w jej gabinecie, to znaczy w sypialni na górze, którą przemeblowała. Całkiem fajnie. Jako biurko służył jej stary stół, na pewno antyk. Mnóstwo świeżych kwiatów w wazonach. Ten

pokój był dopracowany do ostatniego szczegółu, jak wszystko w tym domu. No więc zawiesiła połączenie i poszła rozmawiać do innego pokoju. Ale na tym samym piętrze, może do sypialni, bo słyszałam ją, choć dosyć niewyraźnie. Wydawała się mocno zdenerwowana: „Dlaczego nie możesz...”, „I co jeszcze? Aha: „A twoja obietnica...”, Tyle usłyszałam, ale, o rany, była naprawdę zestresowana. Niemal zdesperowana. Nie wiem, może przesadzam.

– Potrafisz określić, czy rozmawiała z kobietą, czy mężczyzną? – Zee pokręciła głową. – Pamiętasz może kiedy to było?

– Późnym popołudniem, gdy wypisywała mi czek. To dlatego byłam w jej gabinecie. To chyba był mój ostatni czek, to była niedziela. Niedziela przed Halloween. Tydzień przed jej zniknięciem.

– Przed czy po tym, jak widziałas jej męża tamtego popołudnia?

– Potem. Na pewno potem.

Po wizycie u Zee przejechałam z Manhattanu przez most Williamsburg, konstrukcję, która raczej nie wzbudza zaufania do umiejętności inżynierów lądowych, do Brooklynu, by spotkać się z Joeyem na lunchu, na który umówiłam się dwa tygodnie temu. Po śmierci Boba zmuszałam się do wychodzenia z domu, by prowadzić coś, co choć trochę przypominało życie towarzyskie.

Tyle że ilekroć byłam poza domem, to zaraz chciałam do niego wracać. W dni, gdy miałam zajęcia w St. Elizabeth's, nie było jeszcze tak źle, bo wszystkie moje wykłady były rano. Już o wpół do pierwszej mogłam spokojnie wrócić do domu. Przez pierwszych kilka miesięcy po śmierci męża, gdy miałam wolny dzień i czy to pracowałam jako wolontariuszka, czy też robiłam zakupy, zawsze w porze lunchu odruchowo biegłam do samochodu i pędziłam do domu. A jak już się tam znalazłam, ciężko zdyszana i spocona... to co? Czego się spodziewałam? Rozmowy zamiejscowej z bardzo daleka?

Z tego powodu przez ostatnich osiemnaście miesięcy zmuszałam się, by wrócić między ludzi, umawiałam się na lunchy i kolacje z kilkutygodniowym wyprzedzeniem. Czasami wieczorem wychodziłam na spotkania, wykłady, koncerty. Zapisywałam się na konwersacje dla dorosłych z hiszpańskiego. Pozwalałam się Nancy wyciągnąć do galerii albo do teatru. Gdy byłam sama, zagłębiałam się w stosy wypracowań albo testów egzaminacyjnych. Albo czytałam jeszcze raz ulubioną książkę, nic nowego, żadnych niespodzianek. W nieskończoność, aż do oglupienia, układałam na komputerze pasjansa. Albo oglądałam ulubione stare filmy, dopóki hart ducha Rosalind Russell tak mnie nie zmęczył, że zasypiałam.

Być może Sokrates miał rację, że bezmyślnym życiem człowiekowi żyć nie warto, więc starałam się, jak mogłam. Weekendy były trudniejsze. Wszyscy leniuchowali aż do znużenia. Ja jednak, chyba że Nancy lub któreś z dzieci było wolne, albo umówiłam się na randkę, nie miałam odpowiedzi na powszechne w pracy w poniedziałek rano pytanie: „Co robiłaś w weekend?” Przez pewien czas wypisywałam drukowanymi literami długie listy rzeczy do zrobienia i przyklejałam je taśmą na lodówce. Niestety, w niedzielny wieczór okazywało się, że jedyne wykreślone pozycje to zadania w rodzaju „Znaleźć wideo Jane Fondy z łatwym aerobikiem”, którą zresztą, zamiast włożyć do odtwarzacza, jak to sobie

przysięgałam, wyrzuciłam do śmieci. Chyba jedyne, co byłam w stanie robić, to sprzątanie. Wraz ze wspomnianą kasetą wyrzucałam rzeczy, z którymi wcześniej nie potrafiłam się rozstać. Na przykład worek z ziemią do kwiatów z czasów walki o prezydenturę między Carterem, Reaganem i Andersonem, pół tony magazynów kulinarnych i usztywniacze do kołnierzyków koszul Boba.

Joey zabrał mnie do nowej, modnej restauracji w pobliżu swojego mieszkania. Kelnerzy w białych koszulach z krótkim rękawem, czarnych spodniach i wąskich czarnych krawatach wyglądali jak grabarze z Tuscaloosa. Jedzenie nie było jednak typowe dla Południa, tylko w stylu fusion, połączenie kuchni kalifornijskiej i kubańskiej, co oznaczało wysokie wieże z warstw półsurowej ryby, zieleniny i rozmaitych warzyw strączkowych na ryżu ugotowanym al dente. Joey nie tylko słyszał o wytwórni Crabapple Films, ale nawet o ich ostatniej produkcji. Filmowi rozgrywającemu się na Staten Island, ale nakręconemu na podstawie *Jak wam się podoba* dał cztery i pół z pięciu gwiazdek. Powiedział jednak: nie, nie mogę zadzwonić i zapytać Zee, czy chciałaby się z nim umówić. I nie, krytycy filmowi nie wchodzi ot tak do biur wytwórni filmowych i nie wypytyują asystentek producenta, pół Chinek, pół Żydówek o informacje na temat ich najnowszych projektów.

Po powrocie do domu pełam warzywa i rabaty z kwiatami, aż zrobiło się tak ciemno, że już nie widziałam chwastów. Weekendy były szczególnie trudne nie tylko z powodu śmierci Boba i zmiany mojego stanu cywilnego z żony na wdowę. Ciężła mi też ta druga strata w moim życiu – Nelsona Sharpe’a. W ciągu ostatnich dwudziestu lat spędziłam zbyt wiele sobót i niedziel w sennym zamyśleniu, przywołując każdy epizod naszego związku, a było ich sporo. Co gorsza, w zeszłym roku przypadkiem wpadłam na niego. Z uporem maniaka wciąż i wciąż wracałam do tej sceny, bez namysłu przedkładając ją ponad wszystko, co przynosił mi bieżący dzień.

Dobrze, opiszę, co się wydarzyło. Minęło dwadzieścia lat od chwili, gdy Nelson i ja widzieliśmy się po raz ostatni. I nagle go zobaczyłam, przechodził tuż obok mnie. Szczerze? Wyglądał tak sobie. Jego niegdyś szpakowate włosy już prawie zupełnie posiwiały. Twarz miał kredowobiałą, typową dla urzędników, którzy całe życie spędzają w zamkniętych pomieszczeniach, choć później próbowałam sobie wytłumaczyć, że po prostu doznał wstrząsu i zbladł na mój widok. Nie miałam czasu ani dość przytomności umysłu, by mu się dokładnie przyjrzeć, ale sylwetkę miał chyba nadal w porządku. Oczy, wciąż piękne, wielkie, brązowe i aksamitne miał szeroko otwarte, ze zdumienia albo przerażenia. Przez te trzy sekundy nie odrywał ich od mojej twarzy.

Zadziwiające, jak długo mogą trwać trzy sekundy. Oczywiście natychmiast pomyślałam, że zauważył jakąś okropną skazę, jedną z tych koszmarnych niedoskonałości, związanych z wiekiem średnim, której nie dostrzegłam, bo piekielnie popsuł mi się wzrok, na przykład wielki włos rosnący mi na brodzie albo plamę wątrobową na policzku. Mocno przycisnęłam ręce do boków, by nie sięgnąć dłonią do twarzy i sprawdzić, co jest nie tak. Potem pocieszyłam się, że jak na kogoś, kto w młodości uważał, że po pięćdziesiątce będę przypominać Alberta Einsteina, nadal byłam całkiem atrakcyjna. Zanim jednak zdążyłam wymyślić jakąś niezbyt żenującą kwestię albo kiwnąć mu spokojnie głową, on już mnie

minął.

Gdy zrelacjonowałam to spotkanie Nancy (z encyklopedyczną dbałością o szczegóły niczym nastolatka), ona kazała mi przysiąc, że nie zrobię nic głupiego, na przykład że do niego zadzwonię. Przysięgam. Mimo to insynuowała, że na pewno spróbuję jakiejś sprytniej sztuczki, która pozwoli mi obejść przysięgę, na przykład wyślę mu nekrolog Boba faksem, więc z hukiem odłożyłam słuchawkę.

To Nelson zadzwonił do mnie następnego ranka. Wyjaśnił, że nie chciał być niegrzeczny, ale na mój widok doznał takiego szoku, że nie potrafił znaleźć najprostszych słów. Rozmawialiśmy tylko kilka minut. Powiedział, że u niego na komendzie są nowe porządki. Przenieśli go z wydziału zabójstw i zrobili szefem jednostki śledztw specjalnych. Powiedział też, że on i June rozwiedli się piętnaście lat temu. Od trzech lat jest żonaty z kobietą o imieniu Nicole, która pracuje jako psycholog w liceum. Naturalnie, jak ostatnia kretyńka spytałam, ile ona ma lat. Trzydzieści dziewięć, co znaczyło, że właściwie mógłby być jej ojcem. Zaniemówiłam, prawie pogrążając się w rozpacz. Przerwał ciszę pytaniem, co u mnie, więc odparłam, że zrobiłam doktorat i uczę w college'u. Ani słowem nie wspomniałam o Bobie. Nelson rzucił, że może umówilibyśmy się któregoś dnia na kawę. Powiedziałam: nie, to chyba nie najlepszy pomysł.

To wszystko. Koniec rozmowy. Potem byłam pewna, że gdy mówił o swojej żonie, głos miał bezbarwny, jednak Nancy oświadczyła, że jestem *non compos mentis** [*Non compos mentis* (łac.) – niespełna rozumu.] albo też wypowiadam żalosne pobożne życzenia. Więc zapytałam, dlaczego w takim razie on chce się ze mną umówić na kawę. Odparła, że pewnie jest starym świntuchem, który chce przewietrzyć swojego wacka za każdym razem, gdy obok przechodzi kobieta. Nie jest taki stary, wtrąciłam, i nigdy nie był świntuchem. Daj sobie spokój, ostrzegła Nancy. Cokolwiek było między wami, dla niego nigdy nie znaczyło to tyle, co dla ciebie.

Wróćmy do Courtney Logan. Był długi majowy weekend, Memoriał Day* [Memoriał Day – Dzień Pamięci ofiar wojen, wolny od pracy, świętowany w USA w ostatni poniedziałek maja (przyp. tłum.)], więc w poniedziałkowy rano miałam czas, by spróbować znaleźć innego podejrzanego, który mógłby zająć miejsce Grega. Niestety, szybko dotarło do mnie, że wciąż jeszcze za mało wiem o przyjaciółach i znajomych Courtney, bym w ogóle mogła od czegoś zacząć. Ponieważ nie mogłam przepytać Grega, zdecydowałam się na rozwiązanie zastępcze i zadzwoniłam do mojego klienta, Lalusia Phila Lowensteina. Powiedział, że spotka się ze mną w nowej restauracji La Luna Toscana w Port Washington. O ósmej. „Jeśli zjawisz się przede mną, powiedz Antoniowi: Słuchaj, ja jestem tą doktor historii, która przyszła do Phila. On się tobą zajmie, dopóki ja nie przyjadę”.

Laluś Phil zjawił się jednak pierwszy i został posadzony przy stoliku w rogu. Siedział twarzą do sali, a plecami do fresku przedstawiającego gaj oliwny w świetle księżycy, z niewiadomego powodu nawiedzony przez stado zezowatych owiec. Z początku widziałam tylko ogromną czerwoną serwetkę na piersi Phila. Potem zobaczyłam, że jest zatknięta w rozpięcie czarnej sportowej koszuli w desień ze, zdaje się, seledynowych bumerangów. Miał na ręce złotą bransoletkę z łańcuszka i złoty zegarek, z dwunastoma brylantami zamiast cyfr. Zapewne aby dopełnić całości z zegarkiem, włożył też wielki sygnet z brylantem.

Przed Philem stało tyle antipasti, że wielki owalny półmisek, na którym leżały, był zupełnie niewidoczny. Ser walczył o miejsce z papryką. Serca karczochów próbowały się wcisnąć pomiędzy bresaolę i pepperoni. Phil grubymi palcami pracowicie zwijał w rulon plasterki szynki prosciutto i sera provolone. Wepchnął cały walec do ust, raz przeżuł, przełknął z wysiłkiem i rozkazał:

– Usiądź, kochana. Zamówiłem co nieco. Jeśli nie będzie ci smakować, Antonio powie kucharzowi, by przyrządził to, co zechcesz. A więc, czy masz jakąś, hm, teorię?

– Pracuję nad tym – odparłam, podczas gdy Phil nalał mi czerwonego wina. Uniósł kieliszek do światła.

– Rosso di Montalcino – powiedział to z takim akcentem, że każdy Włoch wybuchnąłby śmiechem. Oczywiście nie w jego obecności. Być może ktoś odważyłby się pośmiać z Lalusiem Philem, ale nigdy z niego. – Pochodzi z Toskanii. To właśnie po włosku znaczy Toscana. Toskania. Nie żadna papuga.

Postanowiłam nie pytać, dlaczego ktoś mógłby coś takiego pomyśleć.

– Muszę jeszcze porozmawiać z innymi ludźmi, którzy znali Courtney – powiedziałam. – Uruchomiłam kontakty, żeby dowiedzieć się, jak nazywały się jej przyjaciółki, ale poszłoby mi szybciej, gdybyś mi pomógł.

– Nie ma problemu. – Podniósł czarną oliwkę tak wielką, że wyglądała jak serce pomniejszego ssaka. Wrzucił ją do ust i zniknęła. Phil chyba nie wiedział, albo nie przejmował się tym, czy była w niej pestka.

– Na kiedy mógłbyś przygotować jakąś listę?

– Od ręki.

– Masz wszystko zapisane?

– Nie zapisane. Wszystkiego się dowiedziałem. Po twoim telefonie rozmawiałem z Gregorym, a potem pojechałem do niego.

W żelaznych kandelabrach na ścianach umieszczono migające żarówki, które zapewne miały imitować płomień świec. Jednak zamiast łagodnego blasku efektem było nieustanne pulsowanie światła, które sprawiało, że zaczynałam się obawiać, że zaczyna mi się odklejać siatkówka. La Luna Toscana. Z nieznanego mi powodu, ilekroć na Manhattanie pojawiał się jakiś trend kulinarny, na przykład kuchnia toskańska, to najpierw rozprzestrzenił się na cztery sąsiednie dzielnice, potem na zachód, hen, aż do Kansas City, czasem nawet zbaczał do Emporii, zanim zdążył pokonać czterdzieści kilometrów na wschód, na północny brzeg Long Island.

– Czy Greg podał ci imiona i nazwiska? – spytałam, przypatrując się kawałkowi białego sera, który wyglądał na tak twardy, że pewnie złamałabym na nim ząb. Odłożyłam go na bok talerza i sięgnęłam po paluszki grissini.

Laluś Phil ze znużeniem pokręcił głową. Naturalnie ani jeden kruczoczarny włos na jego głowie nie zmienił położenia.

– Nie. Spytałem go, co powiedział prawnicze. Między innymi podał jej nazwiska przyjaciółek i znajomych z pracy oraz partnerów w interesach. Potem, gdy byłem na górze i grałem z Morgan w grzybobranie, wyszedłem na kilka minut i zajrzałem do gabinetu

Courtney. – Na chwilę zawiesił głos. – To zostanie między nami.

– Jasne.

– No więc jestem w jej gabinecie. Nie znam się na komputerach, ale przejrzałem jej grubo skórzany notatnik, z kalendarzem, adresami i innymi bzdetami. I mapą londyńskiego metra.

– To tak zwany filofax. Produkują go w Anglii.

– Też mi coś!

– Więc spisałeś to, co było w jej filofaksie?

– Nie, nie. Nie potrzebowałem nic spisywać. Nigdy niczego nie zapominam. – Odlamał łydę selera i pomachał mi nią przed nosem jak nauczyciel wskaźnikiem w stronę ucznia, który udaje, że nic nie rozumie. – Powinnaś to sobie zapamiętać, pani doktor.

– Czy to zawołowana pogrożka, która ma mi zmrozić krew w żyłach?

Laluś Phil roześmiał się głębokim, rubasznym śmiechem, powiedział „A gdzie tam” i zasugerował, bym spróbowała pieczeni po toskańsku.

Następnego dnia poranek był wyjątkowo piękny, powietrze słodkie od zapachu świeżo skoszonej trawy i tak przejrzyste, że z najwyższego wzgórza Shorehaven można by było zobaczyć panoramę Manhattanu. Ja jednak siedziałam przy stoliku w bibliotece. Przy wtórze nieustannego skrzypienia windy transportującej książki wpatrywałam się w listę nazwisk podanych przez Lalusia Phila. W przeciwieństwie do niego ja musiałam wszystko zapisać. Byłam pod wrażeniem, że zdołał zapamiętać nie tylko imiona i nazwiska z właściwą pisownią, ale też numery telefonów i adresy, które podejrział w filofaksie Courtney.

Nie wiedziałam, od czego zacząć, więc zanim zabrałam się do przyjaciółek Courtney, kobiet, które być może również obowiązywały tampony wstążeczkami, rzuciłam ćwierćdolarówką. Reszka oznaczała, że Steffi Deissenburger, au pair Loganów, była Niemką. Orzeł, że to Austriaczka. W mediach wymieniano oba te kraje. Wygrała Austria. Wyjęłam komórkę, zadzwoniłam do konsulatu na Manhattanie.

– *Mein Gott* – w końcu połączyli mnie z człowiekiem, który najwyraźniej wiedział, kim jest Steffi.

Niemniej Herr Tosty, a przynajmniej tak usłyszałam jego nazwisko, bo miał fatalny akcent, oświadczył mi wyniosłym tonem, który zdawał się niemal mówić *Dummkopf*. *[*Dummkopf* - (mem.) – idiotka], że wizy obywatelom austriackim wydaje Ambasada Stanów Zjednoczonych w Wiedniu, a nie austriacki konsul w Nowym Jorku. Na to ja zwróciłam się do niego jeszcze bardziej wyniosłym tonem: „Wybacz pan, Herr Tosty, ale niewinna obywatelka austriacka, która padła ofiarą naszych mediów to jedno, ale (podniosłam głos) cudzoziemka korzystająca z naszych bibliotek, a potem znikająca z książkami, będącymi własnością instytucji publicznych to całkiem co innego!” Po pomrukach po obu stronach Herr Tosty obiecał, że jeśli w ogóle uda mu się znaleźć kogoś, kto może wiedzieć, gdzie w tej chwili przebywa Fraulein Deissenburger, co jest raczej mało prawdopodobne, to wspomni o bibliotece publicznej Shorehaven i niezwróconych książkach i poda moje nazwisko.

Oczywiście rozważyłam wszystkie powody, dla których nie powinnam przyzywać imienia biblioteki publicznej w Shorehaven na daremno dopiero po rozmowie z Herr Tostym. Na przykład taki, że Steffi Deissenburger faktycznie pożyczyła książkę *Madeline i brzydkie*

kapelusz, by poczytać ją małej Morgan, ale zrobiła to na kartę Courtney, zatem będzie wiedziała, że jej imię i nazwisko w kartotece biblioteki to sprawa jeszcze bardziej śmierdząca niż ryba sprzed tygodnia. Albo że Steffi (albo, co gorsza, jej prawnik) rzeczywiście zadzwoni.

ale nie do szkoły, tylko do biblioteki i zażąda rozmowy z kierowniczką, w rezultacie czego zostanie wyrzucona z zarządu biblioteki i wybuchnie skandal. Oczywiście pozostawało jeszcze pytanie, którego skrzętnie unikałam: czy ja zwariowałam? Kompletnie zwariowałam, myśląc, że sprawdzę się w roli detektywa. Zwariowałam, szukając mordercy. A już na pewno zwariowałam, że przyjąłem zlecenie od kogoś takiego jak Laluś Phil Lowenstein.

Większość ludzi tego rodzaju niepokoje doprowadzają do stwierdzenia: jestem zbyt podenerwowany, by cokolwiek zjeść. Dla mnie zwykle znaczy to: jestem tak podenerwowana, że muszę zjeść grillowaną kanapkę z serem i pomidorem, popić szklanką mleka i zagryźć ciasteczkami figowymi. Stąd, gdy w końcu wybrałam się na kolację z historyczką, która uczy w college'u w Queens, mogłam już tylko patrzeć w brązową masę pikantnego soong z kurczaka i czuć coś pomiędzy egzystencjalnymi a czysto fizjologicznymi mdłościami. Jednak to nieprzyjemne uczucie ulotniło się, gdy zajęłyśmy się porównywaniem afery Watergate i fiaska Whitewater/Lewinsky, na przemian wyjąc ze śmiechu lub z pobłażaniem kiwając głowami z pasją właściwą dwóm historyczkom opróżniającym małą butelkę chardonnay.

Tak więc nawet jeśli po powrocie nie wyśpiwywałam *Taki dzień się zdarza raz*, to byłam w całkiem dobrym nastroju. Żadnych wiadomości na sekretarce w domu. Z nadzieją zaczęłam odsłuchiwanie jednej na poczcie głosowej w college'u, spodziewając się usłyszeć dziewczęcy głos Steffi Deissenburger z niemieckim akcentem mówiący, że nie ma żadnych książek z biblioteki i podający numer telefonu. Niestety, to był tylko Patrick Daley, emerytowany komandor marynarki Stanów Zjednoczonych, jeden z moich najstarszych uczniów, który informował mnie, że zdobył kolejne wspomnienia o admirale Hymanie Rickoverze i pracach przy budowie „Nautilusa” i czy może nie zechciałabym razem z nim napisać jego własnych pamiętników?

Snułam pseudo-głębokie myśli o tym, jak wielu starszych studentów z St. Elizabeth's wynajduje preteksty, by przyjść do mojego pokoju i rozmawiać nie o wykładzie, ale o swoich osobistych historiach. Nie tylko dlatego, że czuli się samotni. Potrzebowali utwierdzenia w przekonaniu, że ich życie miało jakieś znaczenie. Gdy zadzwieczętał dzwonek do drzwi, nie pomyślałam: „Hm, jest dziewięta czterdzieści pięć, o tej porze nikt ot tak nie wpada z wizytą”. Wolnym krokiem podeszłam do drzwi i zerknęłam przez wizjer, który kazałam zamontować po śmierci Boba, wraz z systemem alarmowym i nadgorliwym czujnikiem ruchu, który ostrzegał mnie, gdy jakieś wiewiórki zaczynały się pieprzyć w promieniu ośmiu kilometrów od domu. Najpierw zobaczyłam tylko oko. A potem nagle dotarło do mnie, że to Nelson Sharpe.

Rozdział 6

Nelson Sharpe.

W chwili, o której marzyłam przez ostatnich dwadzieścia lat, oczywiście byłam nieprzygotowana. Całe moje ciało, od skóry głowy do podeszew stóp przeszył prąd. Z każdym uderzeniem serce biło mi coraz mocniej, aż czułam w piersi jedno wielkie, niemal śmiertelne łomotanie. Tyle że to nie serce, a gejzer krwi wybuchającej mi w głowie, sprawił, że zaczęłam się obawiać, że na moim akcie zgonu jako przyczyna śmierci będzie widniał „udar mózgu” zamiast „zawał mięśnia sercowego”.

Po paru sekundach, czując ulgę, że nadal żyję, zdołałam założyć łańcuch na drzwi i otworzyć je na szerokość ośmiu centymetrów. Nelson wyglądał znacznie lepiej niż rok temu, gdy wpadłam na niego w tłumie. Rozpięta sportowa marynarka w pepitkę (okropny wzorek, można dostać oczopląsu) odsłaniała godny podziwu szeroki tors w białej koszuli, i ewidentnie nadal płaski brzuch. Cera nie miała już typowego dla urzędników koloru pergaminu, który zszokował mnie rok temu. W zasadzie teraz bliższa była wścieklej purpurze.

– Daj spokój, Judith. Otwórz te cholerne drzwi!

Nigdy nie potrafiłam odegrać roli dziewczyny, którą trzeba zdobywać, więc zdjęłam łańcuch, wdzięczna losowi, że nadal mam na sobie spodnie i jedwabną bluzkę, że nie przebrałam się w swoją zwykłą, seksowną bieliznę, czyli za duży podkoszulek i wytarty frotowy szlafrok, które raczej nie były w stanie ukryć faktu, że moje piersi już nie sterczą dumnie. W każdym razie, kiedy tylko zdjęłam łańcuch, Nelson zamiast pchnąć drzwi całym ciałem, jak mają w zwyczaju policjanci w serialach, dyskretnie wsunął ramię i kolano, drzwi uchyliły się na tyle szeroko, bym nie mogła już zmienić zdania, czy chcę go wpuścić do środka, czy nie.

Jakbym chciała zmienić zdanie. Tyle że jego pierwsze słowa, gdy stanął w holu koło stojaka na parasole nie brzmiały: „Judith, moja jedyna miłości”, tylko: „Do diabła, co ty wyprawiałaś wczoraj wieczorem?” Hm, pomyślałam, przynajmniej nie wrzeszczy. W zasadzie mówił podejrzenie cicho.

– O co ci chodzi? – odszepnęłam. Niezbyt inteligentna odpowiedź, ale byłam tak poruszona przebywaniem z nim sam na sam, iż zakrawało na cud, że wydobyłam z siebie aż cztery słowa. W sumie nie mogłam słuchać jego odpowiedzi, bo zbyt byłam zajęta skupianiem się na spokojnym oddychaniu, by nie pomyślał sobie, że dyszę z pożądania do niego, albo też z hysterii, właściwej kobietom po menopauzie. Poza tym uradowana obecnością Nelsona, nie mogłam myśleć na tyle rozsądnie, by przypomnieć sobie, co robiłam poprzedniego wieczoru. Do tego jeszcze jego marynarka w pepitkę nie sprzyjała moim procesom myślowym. Przeleciała mi przez głowę myśl: jeśli masz zamiar wpaść do bylejakiej kochanki, to nawet jeśli już nic do niej nie czujesz, powinieneś się odpicować. Co go opętało, by wkładać sportową marynarkę rodem z taniego teatryku?

Przez nieskończenie długą chwilę, która trwała pewnie jakieś cztery sekundy, gapiliśmy się sobie w oczy, chyba oboje zażenowani odkryciem, że mimo upływu dwudziestu lat,

kurzych łapek w kąciakach oczu i obrzydliwej pepitki, stara miłość nie zardzewiała.

Odchrząknęłam raz i drugi. Nelson tymczasem starał się ukryć zdenerwowanie, zachowując się jak detektyw, to znaczy zerknął na moją korespondencję, rozrzuconą na małym półokrągłym stoliku na cienkich nogach, stojącym naprzeciw stojaka na parasole. Ponieważ na widoku leżał tylko rachunek za elektryczność, podziękowanie z Humań Rights Watch za darowiznę, czerwcowy numer „Historii Ameryki” i katalog firmy WilliamsSonoma, odwrócił się do mnie i warknął:

– O wczorajszy wieczór.

Jego warknięcie było jednak nadal ledwo słyszalne. Co mu się stało? Kiedyś nie miał w zwyczaju mówić półgłosem, gdy był w nastroju na warczenie. Nie żeby się wydierał, ale, o tak, potrafił być głośny.

Potem zaświtało mi, że powodem jego opanowania było przekonanie, że nie jestem sama, że Bob jest na górze. W naszej najkrótszej z krótkich rozmów telefonicznych w zeszłym roku powiedział mi o swojej nowej żonie. Ja nie wspomniałam o zmarłym mężu. Jednak skoro stałam teraz podparta pod boki (co oznacza, że jestem mocno wkurzona) i mój pozbawiony obrączki palec serdeczny był wyraźnie widoczny, doszłam do wniosku, że jego zdolność dedukcji chyba się nieco przykurzyła.

– W porządku – powiedziałam. – Poddaję się. Co z tym wczorajszym wieczorem?

– Widziano cię w towarzystwie niejakiego Philipa Josepha Lowensteina.

– Niejakiego Philipa Josepha Lowensteina? Chcesz powiedzieć, że ze wszystkich Philipów Josephów Lowensteinów z hrabstwa Nassau...

– Lalusia Phila Lowensteina, do diabła! – zacisnął rękę w pięść, zanim jednak walnął nią w ścianę, co, o ile dobrze pamiętam, było jedną z pierwszej dziesiątki jego najlepiej zastraszających sztuczek, zreflektował się i wcisnął rękę do kieszeni. – Słuchaj – powiedział spokojnie. – Wiem, co lubisz robić. – Potem, zmieszany, dodał szybko: – Czy zajmujesz się śledztwem w sprawie morderstwa jego synowej? Czy też... Czy Phil Lowenstein jest jakimś twoim znajomym albo partnerem w interesach?

– A czemu nie moim kochasiem?

– Daj spokój, Judith.

– Dlaczego pytasz mnie o morderstwo Courtney? Czy sam nie powiedziałaś mi, że nie pracujesz już w wydziale zabójstw?

– Jestem szefem jednostki prowadzącej śledztwa specjalne.

– Która czym konkretnie się zajmuje? Bada, z kim twoje, hm, były przyjaciółki jedzą kolację?

– Zajmuje się przestępczością zorganizowaną. Podobnie jak Lalus Phil.

– Zastanówmy się... Co się wydarzyło? – spytałam. – Śledziliście go i... Daj mi chwilę, by to przemyśleć. Ty albo ktoś z twojej jednostki zobaczyliście go, jak wychodzi ze mną z La Luna Toscana. Lalus Phil jest dżentelmenem, więc odprowadził mnie do samochodu...

Wkurzony, że nie jestem pod wrażeniem sprawności śledczej jego jednostki, przerwał mi:

– Właśnie. Mój człowiek sprawdził numer rejestracyjny twojego samochodu. Twoje dane wylądowały dziś rano na moim biurku – pozwolił sobie na uśmiezek. – W raporcie opisano

cię jako „domniemaną profesorkę historii”.

– Tam, gdzie uczę, też używają takiego określenia. Słuchaj, chcesz wejść i usiąść, by było ci wygodniej mnie przesłuchiwać?

– Nie chcę cię przesłuchiwać – powiedział, idąc za mną do kuchni. Usiedliśmy naprzeciw siebie przy stole, co wydaje się przyzwoite, ale ponieważ stół był wąski jak w refektarzu, siedzieliśmy tak blisko siebie, że czułam ciepło emanujące z jego kolan. Co kilka sekund Nelson rozglądał się po kuchni, być może szukając jakichś znanych, zapamiętanych sprzed dwudziestu lat szczegółów. Niestety, blaty z beżowego laminatu w białe cętki zastąpił niebiesko-czarny granit, a w miejscu lodówki z przyklejonymi rysunkami dzieci stała lodówko-zamrażarka wielkości szafy. A może sprawdzał, czy w pobliżu nie snuje się Bob w bamboszach i szlafroku. Zaproponowałam coś do jedzenia czy picia, ale odmówił. Otworzyłam puszkę dietetycznej oranżady Dr. Browna i wypłam łyk. – Wiesz kim jest Phil Lowenstein? – ciągnął Nelson. – To znaczy oprócz tego, co wyczytałaś w gazetach?

– Nie wątpię, że mnie uświadomisz. – Natychmiast ogarnęła mnie panika, że on doszuka się w moich słowach podtekstu, więc z wielką nonszalancją upiłam kolejny łyk, co naturalnie okazało się zbyt ambitnym posunięciem. Zerwałam się, by sięgnąć po serwetkę, czując, że otarcie mokrej brody o rękaw mojej turkusowej jedwabnej bluzki będzie mało eleganckie.

– Ma powiązania z grubymi rybami z włoskiej i rosyjskiej mafii – powiedział Nelson, gdy z powrotem usiadłam przy stole. – Zajmował się różnymi brudnymi interesami. Kradzione czeki, brylanty, manipulacje giełdowe, nielegalna benzyna i inne grzeszki. Phil Lowenstein śmierdzi przestępstwem na kilometr.

– Można by go nazwać uosobieniem amerykańskiego ducha przedsiębiorczości.

– Przestań się wygłupiać, Judith. Słuchaj, został skazany za czynną napaść, jednak jesteśmy przekonani, że stoi za przynajmniej pięcioma zabójstwami na zlecenie.

– Chcesz powiedzieć, że Lалуś Phil sam pociągnął za spust?

– Lалуś Phil pociąga za sznurki w różnych paskudnych sprawach.

– Kiedy? – spytałam. – Ostatnio?

– Od wielu lat – odparł spokojnie. Potarł dolną wargę. Dałam sobie ostrzeżenie: tylko nie zaczynaj wyobrażać sobie, jakby to było, gdybyś go tam pocałowała. Jednak oczami duszy zobaczyłam oczywiście bardzo wyraźnie, jak całuję jego palec, potem odsuwam go na bok i całuję akurat to miejsce, którego dotykał.

– Dlaczego go nie aresztowaliście? – spytałam.

– Nie bądź dzieckiem.

– Nie jestem. I wiem, że gdybyście mieli jakiegokolwiek dowody, zostałby skazany za morderstwo. Prawda jest jednak taka, że jedyne przestępstwo, za które skazano Phila, to czynna napaść. Jeden wyrok. W porządku, ja pierwsza przyznam, że to nieładnie bić bliźnich.

– Zwłaszcza cegłą w twarz – zauważył Nelson.

– Ale Phil spłacił już swój dług wobec społeczeństwa. Teraz jest dziadkiem i chce prowadzić przykładowe życie ze względu na wnuki.

– Nie mogę uwierzyć, że dałaś się na to nabrać.

– Także ze względu na swojego syna, zwłaszcza od kiedy padło na niego podejrzenie o

zamordowanie Courtney. Phil chyba czuje, że gdyby nie jego życiorys, władze robiłyby to, co do nich należy i szukały mordercy Courtney Logan, a nie prześladowały Grega.

Nelson odchylił się do tyłu tak, że krzesło stało tylko na tylnych nogach, i skrzyżował ręce na piersi.

– Powiedz mi, że nie jesteś aż tak naiwna – rzucił cicho.

– Wcale nie jestem naiwna – odparłam, patrząc na puszkę oranżady. Pomyślałam, że to dobrze, że światło nad stołem jest na tyle silne, by pokazać mu, że nie zamieniłam się w pomarszczoną wiedźmę, gdy nagle spojrzałam na jego ręce tuż przy brzegu stołu i na moment wróciła przeszłość – jak Nelson mnie rozbierał, gdy się kochaliśmy, jak często patrzyłam na te ręce rozpinające mi bluzkę.

– Phil Lowenstein to bestia – powiedział szorstko. – Nie udawaj, że tego nie wiesz.

– Phil Lowenstein jest istotą ludzką.

– Oszczędź mi tego liberalnego gówna, Judith. Nie podoba mi się, że zadajesz się...

– Potrafię o siebie zadbać. – Pokręcił głową „Nie, nie potrafisz”. – Czy Phil też jest podejrzany w sprawie Courtney, czy tylko Greg?

– Co cię obchodzi ta sprawa? – zapytał.

– Jestem ciekawa. Nie odpowiedziałeś mi na pytanie.

– Nie pracuję już w wydziale zabójstw.

– To nie jest odpowiedź.

– Twoje „Jestem ciekawa” to też żadna odpowiedź. – Pochylił się, aż krzesło znów stanęło na czterech nogach i wstał. – Słuchaj, wiem lepiej niż ktokolwiek inny, że nie brak ci rozumu i odwagi. Jeśli więc chcesz się bawić w detektywa, to świetnie. Jako mężczyzna i policjant ostrzegłbym cię, byś trzymała się od tego z daleka, ale jeśli chcesz to robić, to proszę bardzo. – Z ociąganiem ja również wstałam. – Tylko znajdź sobie inną sprawę – ciągnął. – Kontakty z tym facetem ... Posłuchaj mnie. Niektórzy potężni mafiosi tak bardzo boją się Lalusia Phila, że omijają go szerokim łukiem. Ty też powinnaś. – Odwrócił się i ruszył do drzwi. Gdy do nich dotarł, odetchnął głęboko i powiedział: – Ktoś taki jak ty, osoba w twojej sytuacji nie powinna figurować w raporcie, który co rano łąduje na moim biurku. I jeszcze jedno...

– Mów dalej – powiedziałam.

– Jeśli razem z nim złamiesz prawo, to nie licz na jakąkolwiek taryfę ulgową, ze względu na stare dobre czasy – powiedziawszy to, miał choć tyle przyzwoitości, by okazać zażenowanie. Ale z drugiej strony nie cofnął swoich słów.

Ponieważ nie mogłam wymyślić jakiegokolwiek, ciętej czy głupiej, odpowiedzi, po prostu otworzyłam drzwi.

– Czy twój mąż wie, że się w to bawisz? – spytał, wychodząc na dwór, w spokojną majową noc.

– Szczerze w to wątpię – odparłam. Szybko, zanim zdążyła nastąpić chwila niezręcznego milczenia, przerwana czymś, czego on mógłby żałować, a ja nie, zamknęłam za nim drzwi.

Oczywiście niewiele spałam tej nocy, zajęta odgrywaniem w głowie setki razy sceny z Nelsonem, wymyślając przeróżne powody jego wizyty, począwszy od ściśle służbowych, a

skończywszy na „Chce być absolutnie pewny, zanim zostawi żonę dla mnie”. W większości przypadków to, co powiedziałam w rzeczywistości, zastępowałam błyskotliwą ripostą. W każdym razie gdy budzik zadzwonił o siódmej, nie włączyłam drzemki, by śnić o Nelsonie. Zamiast tego odsłuchałam swoją pocztę głosową w St. Elizabeth’s.

Ku mojemu zdumieniu Herr Tosty z austriackiego konsulatu stanął na wysokości zadania! Steffi Deissenburger z lekkim niemieckim akcentem, powodującym, że rozmówca brzmi jak Amerykanin, który tylko powinien poćwiczyć dykcję, nagrała się, że jest pewna, że oddała wszystkie książki do biblioteki Shorehaven, ale żeby do niej zadzwonić. Zostawiła numer z kierunkowym do Connecticut. Gdy zadzwoniłam dwie godziny później, wyjaśniłam, że Herr Tosty musiał mnie źle zrozumieć. Jestem historyczką, która jest też w zarządzie biblioteki. Zostałam poproszona o napisanie szkicu historycznego dla periodyku akademickiego o zbrodniach popełnionych na zamożnych mieszkańcach Long Island. Czy mogłabym zająć jej kilka minut, by dowiedzieć się paru szczegółów o Courtney Logan?

Hm, Steffi zaczęła się zastanawiać na głos, pani Leeds, u której pracuje, zabiera bliźniaczki do hodowcy psów, by obejrzeć szczeniaczki. Około pierwszej. Będzie więc wolna między pierwszą a drugą. Wprawdzie nie powinna przyjmować gości w domu, ale ma niesprawny samochód, więc nie może się nigdzie ruszać. Więc gdybym się pospieszyła...

Jechałam półtorej godziny na północny zachód, do najdalszej sypialni Manhattanu. Whitsbury było miasteczkiem nienaganych trawników, przystrzyżonych do aksamitnej gładkości, dumnych drzew i domów tak dostojnych, że same mogłyby przekonać swoich właścicieli, że wywodzą się oni z arystokracji. Od korzeni angielskiego bluszczu aż po wierzchołki kamiennych kominów domy i teren wokół nich były jednostajnie wygładzone, jakby swobodny luz został zakazany lokalnymi przepisami. To było miejsce, gdzie dbano o pozory. Żadnych imigrantów, którzy mogliby przedefiniować kształt amerykańskiego snu, jak to się dzieje na Long Island. Żadnych domów w stylu Tudor ze świetlikiem, który oburzy sąsiadów. Żadnych domków typowych dla holenderskich osadników, zbudowanych z pseudootoczek. Nawet jednego zameczku z podgrzewanym basenem do hydromasażu. Whitsbury było ortodoksyjnie anglosaskie.

Podjechałam po kocich łbach do domu z czerwonej cegły tak niesamowicie obszernego, że imponujący georgiański dom Loganów wydawał się przy nim zabawką z klocków Lego. Steffi Deissenburger stała przy drzwiach, patrząc z lękiem, jak omal nie rozjeżdżam prawym przednim kołem pół rabaty. Wsiadając z dżipa, pomachałam do niej na znak, że wszystko w porządku, jednak chyba trochę zbyt entuzjastycznie, bo nieznacznie cofnęła się, być może z obawy, że zrobię coś krępującego, typowego dla Long Island, na przykład zgniotę ją w niedźwiedzim uścisku albo krzyknę: „Hej, ślicznotko!”

– Dzień dobry – powiedziała ostrożnie.

– Dzień dobry – odparłam grzecznie i nadzwyczaj ciepło, zgodnie z moją zasadą: „Bądź miła dla ludzi mówiących po niemiecku, by sobie nie pomyśleli, że uważasz ich wszystkich za nazistów”. Na podstawie tego, co słyszałam, wyobrażałam sobie, że Steffi będzie szarą myszką, i w spodniach khaki, białej koszuli i tenisówkach faktycznie nie wyglądała na niewolnicę mody. Ale też nie można było uznać jej za powściągliwą arystokratkę. W

przeciwieństwie do naturalnego, pozbawionego makijażu, końskiego stylu Connecticut, gdzie dama usiłuje upodobnić się do swojej klaczy, Steffi była umalowana do entej potęgi. Jej wyglądająca na kremową cera połyskiwała od grubej warstwy tłustego podkładu i różu, który w założeniu ma chyba sprawić, że młoda dziewczyna wygląda świeżo, a w praktyce niestety przypomina dziwkę z rozszerzonymi porami. A szkoda. Steffi miała klasycznie owalną twarz i ładne szare oczy, aż wzruszające w swojej łagodności. Nos niestety był w kształcie stożka, położony trochę za blisko ust. Ale nawet jeśli nie była ładna, to przynajmniej wyglądała lepiej, niż ją opisywano, emanowała też spokojem i dobrocią.

Pracowała jako au pair u właściciela agencji reklamowej i jego żony, mających trzyletnie bliźniaczki.

– Gwendolyn i Gwyneth – poinformowała, prowadząc mnie przez dom. Gdy przechodziłyśmy na paluszkach przez salon, który był tak wielki, że potrzeba było trzech orientalnych dywanów, by przykryć podłogę z ciemnego drewna, zatrzymała się, by podać mi oprawioną w srebrną ramkę fotografię. Czekala na moją reakcję, jakby chciała się upewnić, że okazała sympatię swoim podopiecznym.

– Milutkie – rzuciłam. Gwen i Gwyn były pucołowate i rumiane, z identyczną zmarszczką nad nosem. Przypominały mi raczej przestraszone karzełki, a nie przedszkolaki. Oddałam fotografię. Steffi odruchowo przetarła ramkę brzegiem koszuli, a potem zaprowadziła mnie na oszkloną werandę, którą nazywała ogrodem zimowym.

Kanapa i fotele z białej wikliny były wyściełane perkalem w tulipany, hiacynty i żonkile, które niemal wyśpiewywały „Już wiosna!” Kosztowne albumy o kwiatach i błyszczące magazyny rozłożono w wachlarz na marmurowym blacie stołu wspartego na niskiej, neoklasycznej kolumnie. Liście i kwiaty spływały kaskadą z wysokiej, kilkustopniowej konstrukcji niczym girlsy w musicalu. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby zabrać ten pokój ze sobą na Long Island.

– Tęsknisz za Travisem i Morgan?

– Oczywiście – odparła szybko. – Hm, jesteś tutaj, bo chciałyś się dowiedzieć, jaka była Courtney?

– Właśnie. Jako wstęp do mojego szkicu. – Steffi, podobnie jak Gwen i Gwyn wydawała się starsza, niż była. W brązowych włosach jaśniały blond i miedziane pasemka, podobne do tych, które kobieta w moim wieku robi sobie z rozpaczliwej tęsknoty za włosami rozwianymi na wietrze, szybką jazdą samochodem i młodością. Słońce błyszczało na jej włosach, zapalając w pasemkach zielone, neonowe refleksy. – Tak jak mówiłam przez telefon, ta rozmowa może być zupełnie nieoficjalna – ciągnęłam. – Tylko na mój użytek, żebym była lepiej przygotowana, gdy zacznę pisać.

– Tak, dobrze.

– Pomówmy więc o Courtney.

– Hm, ja też mówię o niej „Courtney”, bo poprosiła mnie, bym nie zwracała się do niej „pani Logan”. Była bardzo miła. – Steffi zacisnęła wąskie, czerwone usta, starannie obrysowane ciemniejszą kredką, i rozważała, jaka była Courtney. Tymczasem jej palec wskazujący przesunął się wzdłuż konturów dużego, różowego hiacynta na kremowym

perkalu na oparciu jej fotela. – Była bezpośrednia. Ale też mało... przyjacielska. Nie, nie oto słowo mi chodzi.

– Choć poświęcała dużo czasu na dobieranie określeń, to nie wydała mi się pedantyczna; raczej zatroskana o jasność przekazu informacji. – Przystępna, to miałam na myśli – powiedziała w końcu. – Ludzie w Stanach na ogół swobodnie mówią o sobie. A Courtney nie. Powiedziałabym, że była damą.

– Mogłabyś podać przykład?

Steffi pomasowała czoło kciukiem i palcem wskazującym. U Amerykanki uznałabym to za dosyć pretensjonalny gest, ale u Austriaczki równie dobrze mogło to oznaczać zwykłe zamyślenie.

– Przepraszam, ale... Nie żeby nie rozmawiała. Czasami mówiła bardzo dużo. Pytała mnie o mój kraj i opowiadała, jak jest tutaj. – Pocieranie palcami pozostawiło dwie matowe smugi w jej błyszczącym makijażu. – Jednak z jej słów niewiele się dowiedziałam o niej samej, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Mówiła o rządzie albo gospodarce, albo oczywiście o dzieciach. Więc na przykład nie wiedziałam, że pochodzi ze stanu Waszyngton, dopóki, no wiesz, nie przeczytałam tego w gazetach po jej zniknięciu. Chyba wiedziałam tylko tyle, że studiowała w Princeton College i pracowała jako konsultantka w banku inwestycyjnym.

– Czy szczegółowo sprecyzowała wymagania i zakazy, jeśli chodzi o dzieci i twoje obowiązki?

– O tak. Bardzo szczegółowo. Między posiłkami tylko owoce. Godzina telewizji dziennie. Ona musi wyrazić zgodę na oglądanie danego filmu czy zabawę z danym dzieckiem. To w odniesieniu do dzieci. Poprosiła mnie, bym nie jadła słodczy w obecności dzieci. Albo nie oglądała przy nich telewizji. Miałam telewizor w swoim pokoju, więc mogłam oglądać, gdy one już zasnęły. Ale była przy tym bardzo miła. Powiedziała: „Mam nadzieję, że to cię nie zrazi, Steffi”, a ja odpowiedziałam: „Nie, oczywiście, że nie, Courtney”.

– A Gregory Logan? – spytałam.

– Jego widywałam rzadko. – Wydawało mi się, że pod warstwą makijażu zauważyłam u Steffi rumieniec. Nie potrafiłam ocenić, czy to skutek jakiegoś intymnego wspomnienia, podkochiwania się w swoim pracodawcy, czy też zażenowanie z powodu plotek na temat jej związku z nim. – Często pracował do późna. Gdy był w domu, oczywiście przebywał z dziećmi albo z Courtney.

– Zwracałaś się do niego: Greg czy panie Logan?

– Ani tak, ani tak. – Zamrugała umalowanymi na fioletowo powiekami. – Nigdy nie powiedział, że mogę się do niego zwracać po imieniu, ale ponieważ Courtney mi na to pozwoliła w stosunku do siebie, to nigdy nie wiedziałam, co mam mówić – wruszyła ramionami. Przez chwilę wydawała się niepewna, jak dopiero co dojrzała nastolatka, którą przecież była. – Nie zwracałam się do niego w żaden sposób.

– Co się wydarzyło tamtego wieczoru, gdy Courtney zaginęła? – spytałam łagodnie, modląc się, by uznała to pytanie za właściwe do zadania przez historyka.

– Wróciła z Morgan z wyprawy po słodczyce i poszła do kuchni. Powiedziała, że nie mamy już ekologicznych jabłek. Widzisz, ona nie chciała, żeby dzieci zjadły za dużo

słodczy w Halloween. Powiedziała, by dać im na deser jabłko, a potem po jednym cukierku. Po jabłku nie będą głodne i nie będą chciały więcej cukierków. Zaproponowałam, że pojedę do supermarketu i kupię jabłka. Nie, powiedziała, w ten jeden wieczór w roku na ulicach jest pełno dzieci domagających się łakoci. Mają na twarzach maski, więc kiepsko widzą. Lepiej, żeby ona pojechała. Widzisz? Zawsze bardzo przewidująca.

– O której to było?

– Między wpół do szóstej i szóstą.

– Słyszałaś, jak odjeżdża samochodem? A może widziałaś?

– Tak. – Steffi, z łagodnymi oczami i cichym, jednostajnym głosem, wydawała się naturalnie spokojna. Dopóki nie spojrzano się na jej dłonie. Były w ciągłym ruchu. Położyła je na nogach i zaczęła pocierać kolana. – Zawsze patrzyliśmy, jak odjeżdża, bo kiedyś, na początku, Travis płakał, gdy ona wychodziła z domu. Courtney powiedziała, że powinniśmy zrobić z tego zabawę w pożegnanie mamy. Morgan wdrapywała się na parapet okna w salonie, z którego było widać samochód wyjeżdżający z garażu. Ja brałam Tralisa na rękę. Razem machaliśmy i mówiliśmy: „Pa pa, mamusiu. Do zobaczenia wkrótce”.

– A wtedy w Halloween, gdy pojechała po jabłka... Czy Courtney wydawała się czymś pochłonięta, czy przestraszona, albo pod jakimś względem zachowywała się inaczej niż zwykle?

Steffi zdjęła ręce z kolan i zaczęła ugniatać uda.

– Nie, jestem pewna. Myślałam o tym wiele, wiele razy. Bawiła się z nami w pożegnanie mamy jak zawsze. Pomachała na do widzenia. Uśmiechnęła się.

– Co się wydarzyło potem?

– Nic. Czekałam. Była siódma. Potem siódma trzydzieści. Nie mogłam zrozumieć, ale dałam dzieciom po snickersie, z torby, którą kupiłam dla dzieciaków, przychodzących po słodycze, nie z tej, którą przyniosła Morgan, bo wiedziałam, że Courtney nie chciała, by jadły słodycze, które dostały od obcych. Położyłam je do łóżek – Gdzie w tym czasie był Greg Logan?

Steffi złożyła dłonie jak do modlitwy i oparła podbródek na czubkach środkowych palców.

– Na Manhattanie. Na służbowej kolacji.

– Zadzwoiłaś do niego?

Pokręciła głową ze znużeniem. Najwyraźniej na okrągło powtarzała tę relację policji.

– Nie, nie zadzwoniłam.

– Dlaczego?

Staralam się wyglądać na życzliwie zaciekawioną niczym przyjaciółka w reklamie środków przeczyszczających. Courtney ściągnęła czerwone usta w wąski dzióbek.

– Bałam się, że Courtney się, jak to się mówi, na mnie zdenerwuje.

– Że zawracasz głowę jej mężowi?

– Nie, nie. Że mówię mu, że Courtney nie ma w domu. Na początku października on raz zadzwonił. Powiedziałam, że nie wiem, dokąd pojechała Courtney. To było około czwartej po południu. Dzwonił potem kilka razy. Gdy w końcu wróciła do domu, o siódmej, była na mnie

zła. W taki cichy, spokojny sposób. Tak to okazywała. – Steffi objęła się rękami na pocieszenie, jakby nadal była wstrząśnięta. – To była moja wina. Zapomniałam, co mi poleciła.

– Co takiego?

– Że gdy nie wiem, gdzie ona jest, mam mówić, że jest na zakupach, żeby jej mąż się nie denerwował. – Chyba uniosłam sceptycznie brwi. – Courtney się denerwowała, że on się zdenerwuje – wyjaśniła. – Powiedziała mi: „Mój mąż ma dosyć zmartwień”.

– Co miała na myśli?

– Że miał wiele spraw na głowie. Jak to się mówi, był w stresie.

– Czy tak, twoim zdaniem, wyglądał? Zestresowany biznesmen?

– Nie.

– Jaki był?

– Spokojny.

– Miły dla ciebie?

Steffi kiwnęła głową, ale zauważyłam, że z trudem przełknęła. Czy Greg nie był miły? Czy między nią i jej pracodawcą coś było, czy przed, czy po zaginięciu Courtney? Czy może po prostu podkochiwała się w swoim szefie, jak to się zdarza samotnym młodym kobietom? Czy też może chodziło o te pogłoski krążące po Shorehaven? Czy mógł być jakiś głębszy powód tego przełknięcia?

– Tak. Miły. Bardzo grzeczny.

– To atrakcyjny mężczyzna o ciekawej urodzie.

– Tak, atrakcyjny. Moim zdaniem ma trochę azjatyckie rysy, ale w zachowaniu bardzo amerykański.

– Jacy byli, on i Courtney razem? Pytam, bo we wstępnych rozmowach słyszałam kilka różnych opinii. Ty masz tę przewagę, że mieszkałaś w ich domu.

– W porządku. Zakochani. – Steffi odwróciła wzrok ode mnie i zerknęła przez okno na wysoki gazon z różowymi rododendronami na przeciwległym końcu czegoś, co było albo wielką kałużą, albo małą sadzawką z rybkami. – Jej twarz... Gdy on wchodził do domu, ona wyglądała jak... panna młoda w dniu ślubu. Taka szczęśliwa. Zawsze całował ją w czubek głowy i pytał: „Jak się ma moja Courtney?”

– Jakaś przemoc albo groźby przemocy? Czy on ją kiedykolwiek uderzył albo groził...

Szarpnęła głową, zdumiona tą sugestią.

– O nie!

– Czy często była poza domem? To znaczy chodzi mi o przypadki, gdy nie wiedziałaś, gdzie ona jest.

– Nie. – Z ociąganiem znów spojrzała mi w oczy. – Hm, w tygodniu czy dwóch przed Halloween trochę częściej. Chyba trzy czy cztery razy. Pan Logan nie wracał przed ósmą, więc do tego czasu mogła być poza domem.

– Jak była wtedy ubrana?

– Nie rozumiem.

– Czy miała na sobie zwykle, codzienne ubranie? Czy też bardziej eleganckie? Steffi

nabrała powietrza i powoli wypuściła.

– Zdaje się... Była w... tak, w kostiumie i butach na wysokich obcasach. Przypomniałam sobie, jak Jill Badinowski opowiadała o tym, jak elegancko Courtney była ubrana, w spodnie i jedwabną bluzkę.

– Taki strój, jaki wkładała na spotkania z ludźmi, by opowiedzieć im o StarBaby? Czy bardziej elegancko?

– Jakby szła na ważne spotkanie. Powiedziałabym, że na Manhattanie, ale oczywiście nie mam pojęcia gdzie.

– Jakiś seksowny strój?

– Nie, nie. Raczej na spotkanie biznesowe. Piękny kostium. I robiła sobie makijaż, a raz nawet upięła włosy. Ale miała na sobie zwykłą bluzkę, nie seksowną. No wiesz, nie było widać jej piersi.

– Wróćmy do Grega Logana. W tygodniu wracał do domu około ósmej? – Steffi przytaknęła. – Codziennie?

– Tak. Jego firma zajmuje się jedzeniem na wynos. Ludzie kupują w jego sklepach świeże, gotowe dania, musiał więc być w swoim biurze nad kantyną, gdzie przygotowywana jest żywność, gdyby coś szło nie tak. W tych dniach, gdy nie było jej w domu tak długo, wychodziła po śniadaniu, a wracała o siódmej, raz nawet o wpół do ósmej. Gdyby dzwonił, miałam od razu dzwonić na jej pager. Ale on miał numer jej komórki, więc na pewno mógłby się z nią skontaktować.

– A na co dzień?

– Była w domu. W swoim gabinecie. Courtney spędzała tam wiele, wiele godzin. Bardzo ciężko pracowała.

– Tamtego wieczoru, gdy zniknęła, o której Greg Logan wrócił do domu? Nie pracował, prawda? Halloween wypadło w niedzielę.

– Miał spotkanie w mieście z kimś z Chicago. Wrócił do domu jakieś piętnaście po ósmej. – Głos Steffi był bez wyrazu, jakby powtarzała tę historię tyle razy, że słowa przestały mieć znaczenie.

– Czy wyglądał tak jak zwykle?

– Na twarzy tak. – Czekałam. – Zwykle do pracy wkładał taką sportową koszulę. Tamtego wieczoru miał na sobie garnitur i krawat.

– Jak się zachowywał? Tak jak zawsze?

– Tak.

– Nie był wzburzony albo zmartwiony? Jego ubranie nie było w nieładzie? Chciałam poznać prawdę, mając nadzieję na oczyszczenie Grega z podejrzeń. Ale chciałam też wiedzieć, co Steffi powiedziała policji.

– Nie. Zachowywał się jak zwykle. – Splotła dłonie i położyła je na kolanach jak uczennica. – I wyglądał tak jak zwykle.

– To znaczy?

– Porządnie. Bardzo porządnie. Przyjemnie. I, no wiesz, na trochę zmęczonego.

– Czy zaniepokoił się, gdy mu powiedziałaś, że Courtney pojechała po jabłka... jak długo

jej nie było?

– Wyszła między wpół do szóstej a szóstą.

– Czy się zaniepokoił?

– Z początku nie. Ale gdy zaczęła dochodzić dziewiąta, to chyba zaczął się martwić.

Powiedział, że może spotkała się z przyjaciółkami.

– A potem?

– Poszedł na górę. Dzieci już spały. Chyba siedział na górze w swojej sypialni.

– Swojej sypialni? Czy nie dzielił sypialni z Courtney?

– Och, tak. Miałam na myśli ich sypialnię.

– Czy okna sypialni wychodzą na basen?

Steffi zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu, by pomyśleć. Na jej podbródku widać było linię beżowego, błyszczącego podkładu, odcinającą się od białej skóry.

– Nie. Okna ich sypialni wychodzą na front i bok domu. Basen jest na tyłach.

– Czy Greg zszedł znów na dół?

– Tak. Około wpół do dziesiątej albo za piętnaście dziesiąta. Wyglądał na zdenerwowanego. Powiedział, że zadzwonił na policję, ale nie było żadnych wypadków samochodowych, więc nie ma powodu do niepokoju. Mogła pojechać do przyjaciółki i zapomnieć mu o tym powiedzieć. Tak powiedział.

– Próbował dzwonić na jej pager albo komórkę?

– Tak, powiedział, że to zrobił. Nie oddzwoniła. Nagrał się na jej pocztę głosową w komórce, ale się nie odezwała. – Steffi opuściła głowę, jakby chciała się przyjrzeć swoim dłoniom, leżącym na kolanach. – Potem był na dole. Chodził z pokoju do pokoju. Nie wiedziałam, co robić. Ciągle patrzył na zegarek. Pomyślałam, żeby zejść mu z drogi. Poszłam na górę...

– Mniej więcej o której? – spytałam łagodnie.

– Około dziesiątej. Z mojego pokoju można było usłyszeć, jak otwierają się drzwi garażu, ale nic nie słyszałam.

– Czy twoje okna wychodziły na basen?

– Nie.

– Okej. Proszę, mów dalej.

– Zeszłam na dół około wpół do jedenastej. Spytałam go, czy nie powinien zadzwonić na policję, by zgłosić zaginięcie Courtney. Powiedział, że nie, jeszcze nie, że może poszła na kolację albo do kina z którąś z przyjaciółek i byłaby zła, gdyby zadzwonił na policję. Wiesz, wydawał się spokojny. Ale potem zaczął chodzić od pokoju do pokoju w poszukiwaniu kartki, którą mogła zostawić. Kilka razy spytał mnie: „Jesteś pewna, że nie wyrzuciłaś jakiejś kartki?” Powiedziałam mu, że jestem pewna, ale kilka minut później weszłam do kuchni, bo usłyszałam dochodzące stamtąd szelesty, i zobaczyłam, jak przegląda zawartość kosza na śmieci.

– Dzwonił do swojego ojca?

– Nie wiem. Korzystał z telefonu, ale nie wiem, z kim rozmawiał. Widziałam tylko, że dioda sygnalizująca połączenie zapala się raz po raz. Potem poszłam na górę, bo pomyślałam,

że jeśli Courtney wróci, to nie powinnam być przy tym, jak będzie się z nią witał. Tuż przed północą ktoś zapukał do moich drzwi. To był pan Logan. Powiedział: „Żadna z przyjaciółek Courtney nie wie, gdzie ona jest. Zadzwoń na policję. Już jadą”.

Rozdział 7

To mi wygląda na gównianą sprawę – zauważył Claymore Katz, prawnik, specjalista prawa karnego i *bon vivant*, gładząc swoje wypielegnowane wąsy.

Clay przypominał Theodore'a Roosevelta albo morsa, zależnie od tego, czy miał okulary na nosie, czy nie. Był współlokatorem Boba w college'u na Uniwersytecie Columbia. Gdy żył Bob, mniej więcej co sześć miesięcy umawiali się na obiad, by rozmawiać o interesach, polityce i na nowo przeżywać mistrzostwa w bejsbolu z 1975 roku. Co roku odbywała się na Manhattanie kolacja, na której byłem również ja i jego obecna przyjaciółka czy żona. Zwykle przed podaniem przystawek Clay pochylał się do mnie na chwilę szczerzej rozmowy i pytał: „Powiedz mi, Judith, jak tam dzieci?”

Clay zamieszał martini palcem wskazującym. Dwie malutkie cebulki koktajlowe zawirowały szaleńczo wokół kostki lodu, jakby w nadziei na zbliżenie, rozmnożenie i stworzenie sznurka niepięknie pachnących pereł.

– A z drugiej strony – ciągnął Katz (oderwałam wzrok od jego kieliszka) – widziałem paru facetów takich jak Greg Logan, wsadzonych do więzienia tylko na podstawie idiotycznych poszlak. – Oderwał kawałek bułki z fenkułem i włożył do ust.

– Absolutna racja – przytaknęła Heather PetersKatz, najnowsza żona, sięgając poprzez stół, by troskliwie strzeżnąć kilka okruchów z mężowskich wąsów. Heather coś o tym wiedziała. Była prokuratorem federalnym i zastępcą prokuratora stanowego. Teraz najwyraźniej była młodszym współnikiem Claya, zarówno w firmie, jak i w życiu. Nie dając nawet znaku, że słyszał, co powiedziała żona, Clay prawnik odchrząknął, by kontynuować.

Państwo Katz z Wschodniej Sześćdziesiątej Ósmej Ulicy i East Hampton prowadzili tak ożywione życie towarzyskie, że właściwie nie liczyłam na spotkanie z nimi na kolacji. Zadzwoiłam do Claya, by zaprosić go na lunch i w zasadzie spodziewałam się: „Cholera, jestem strasznie zajęty, co powiesz na środę, siedem po trzeciej w moim biurze?” Skąd więc zaproszenie na kolację? Zgaduję, że czuł się winny, że w ciągu ponad dwóch lat od pogrzebu zadzwonił ledwie parę razy, by dowiedzieć się, jak sobie radzę bez Boba. A może obawiał się, że przesunę ręką po jego grubym udzie w popołudniowym paroksyzmie wdowiego pożądania, zanim on skończy jeść palię alpejską grillowaną bez masła. Jego donośny głos, rodem z sali sądowej, zadudnił w słuchawce: „Judith, Heather nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym zaanektował cię tylko dla siebie. Ona umiera (skoro już mu się wypsnęło to »umiera«, Clay nie przerwał, był na to zbyt opanowany, ale wyczułam króciutką pauzę) z chęci, by cię poznać”. Restauracja, którą wybrał, była jednym z tych nowych, modnych lokali z krótką nazwą – Esplanada, Tymianek albo Gala, z gołymi, kremowymi ścianami i taką ilością świec, że miało się wrażenie, że w powietrzu brakuje tlenu, tak jak podczas długich lotów samolotem.

– Policja najwyraźniej uważa, że zrobił to mąż – powiedziałam energicznym tonem. Wspomniałam sprawę Courtney Logan, jakby to była ciekawa ploteczka z życia przedmieścia ku uciechu bogatych mieszczuchów, a nie śledztwo, które prowadzę. – Wszyscy mówią, że

przestali szukać zabójcy, tylko uparli się oskarżyć tego Grega Logana.

– Kolejne Boulder – westchnął Clay, kładąc do ust ostatnią porcję sałatki, złożonej głównie z buraków i czerwonej fasoli. Najwyraźniej w kulinariach zaczął się festiwal koloru bordo.

– Boulder ze sprawy JonBenet Ramsey? – spytałam.

– W tym sensie, że gliniarze nie chcą robić tego, co do nich należy, tylko wybierają najbardziej oczywiste rozwiązania. – Moim zdaniem tamta sprawa wyglądała na robotę kogoś z rodziny, ale zachowałam swoje uwagi dla siebie.

– Jakie są dowody? – zażądała wyjaśnień Heather. Clay, wydymając dolną wargę w lekkim rozdrażnieniu, rozejrzał się po restauracji, jakby ktoś przy sąsiednim stoliku odezwał się za głośno. Zaczynałam współczuć Heather. Jej mąż na ogół wybierał piersiaste trzydziestodwulatki, a Heather wyglądała, jakby lada moment miała zacząć dostawać kartki urodzinowe, z kiepskimi dowcipami w stylu: „Uwaga! Za chwilę wynik będzie 4:0!”

– Dowody? – powtórzyłam. – Hm, Greg przelał ponad czterdzieści tysięcy dolarów ze wspólnego konta na swoje własne. Wyjaśnił, że Courtney podbierała pieniądze na wydatki własnej firmy, a on potrzebował mieć określoną ilość gotówki pod ręką, by jego bank się nie przyczepił. Najwyraźniej policja nie kupuje tej historii. Aha, a jej ciało zostało znalezione w basenie przy domu.

– Miał romans? – spytała Heather.

– Cóż, jak zwykle po mieście krążą pogłoski, że kręcił z au pair, albo przed morderstwem, albo po morderstwie. Ale wątpię w to.

– Dlaczego nie? Wiadomo, że takie rzeczy się zdarzają. – Heather PetersKatz miała zwyczaj akcentowania przynajmniej jednego słowa w każdym zdaniu, co sprawiało, że wszystko, co mówiła, brzmiało sarkastycznie, choć wyczuwałam, że nie było to jej intencją. Właściwie była całkiem miła, nawet jeśli niezbyt wylewna.

Wyglądała jak wcielenie dobrodusznej prostoty. Przypominała mi Truskaweczkę, lalkę z pulchną, miękką buzią i śmiesznie czerwonymi włosami, którą miała kiedyś moja córka Kate. Jednak w przeciwieństwie do panny Truskaweczki pani PetersKatz była zbudowana jak buldożer. Prezentowała swoje wdzięki w jaskrawozielonej jedwabnej sukni, tak obcisłej, że widać było przedziałek nie tylko z przodu, ale i z tyłu.

Siedząc obok niej zauważyłam jednak, że z wyblakłymi oczami i z dziurkami w nosie o średnicy szlauchy, nie była specjalnie ładna. Podejrzewałam, że Clay, jak wielu mężczyzn w średnim wieku, cierpiących na starczą ślepotę, zapewne nie wiedział dokładnie, jak wygląda jego najnowsza żona, z wyjątkiem kilku co bardziej widocznych cech: wielkości piersi, grubości kostki i koloru włosów.

– Mogę tylko podzielić się z wami moimi spostrzeżeniami – odparłam, tu i tam dodając „hm” i „eee”, by pokazać, że dopiero teraz zaczęłam się zastanawiać nad morderstwem Courtney Logan. – Nie wiem, co policja ma na Grega. Ale au pair pracuje teraz w Connecticut. Podobno nadal wyraża się o nim z szacunkiem, jak o byłym pracodawcy, a nie jak o kochanku, starym zbrojeńcu czy kimś takim. – Mąż i żona podparli brody rękami i czekali na moje następne pytanie, które rzuciłam w wąską neutralną przestrzeń pomiędzy

nimi. – Oboje jesteście prawnikami. Gdybyście mieli bronić Gregory’ego Logana, jak byście podeszli do sprawy?

– Ja bym... – zaczęła Heather.

Clay jednak zdążył ją już wyprzedzić.

– Ja bym dał popalić prokuratorowi rejonowemu i policji. Dlaczego, do diabła, miałbym im ułatwiać sprawę? Pogrzebałbym w przeszłości Courtney. – Zamiast zrobić wściekłą minę, że ją zagadał, Heather kiwała głową, zgadzając się z każdym zdaniem męża, jakby chciała powiedzieć: „Właśnie to chciałam powiedzieć”. Tak jakby nigdy nie słyszała o feminizmie. – Jacyś faceci w jej życiu? – spytał Clay. – Podejrzone typy? Przystępcze kontakty? Powiedziałam mu o Lalusiu Philu.

– Ach – westchnął. Z wyraźnym upodobaniem przyglądał włosy opuszkami palców. Włosy i wąsy miał czarne, ale z tym tajemniczym, rudym odcieniem w stylu Ronalda Reagana, który pojawia się, gdy mężczyźni zaczynają je farbować. – W porządku, więc wziął te czterdzieści tysięcy. A ile ona wzięła z ich konta?

– W sumie z konta i rachunku maklerskiego podobno zebrałoby się tego dwadzieścia pięć tysięcy. Powiedziała Gregowi, że to na StarBaby, tę jej firmę, na kamery i zdaje się promocję, reklamy i temu podobne.

– I co? – spytała Heather, niecierpliwie obracając nóżkę kieliszka między kciukiem i palcem wskazującym. – Czy ktoś widział kamerę za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów albo reklamę na całą stronę w „Timesie”?

– Nic o tym nie wiem – odparłam.

– Właśnie o to mi chodzi! – zawołał Clay, dla lepszego efektu waląc w stół pustym kieliszkiem po martini. – Zbyt wiele niewyjaśnionych kwestii. – Co ty powiesz, powiedziałam do siebie. – Zbyt pochopnie wyciągnięto wnioski – perorował. – Kazałbym prywatnym detektywom i biegłym księgowym przetrząsnąć teren i okolice, by dowiedzieć się więcej o tej kobiecie, ustalić, co z pieniędzmi, sprawdzić, z kim się bliżej przyjaźniła. Oczywiście, ponieważ stary Logana to Lowenstein, sprawa może być związana z przestępczością zorganizowaną, a Courtney była czysta i nieskalana jako ta lilija. Ale grałbym na zwłokę, żądając sprawdzenia różnych tropów. I szukałbym kogoś, kto mógł mieć motyw, by ją zabić.

Kelner, prawdopodobnie aktor, którego kariera już się skończyła, ponieważ wyglądał na starszego, mniej przystojnego brata Leonardo DiCaprio, postawił przed nami przystawki i zniknął.

– Kto miał powód, by chcieć ją wyeliminować? – spytał Clay. Zacisnął ręce na brzegu stołu i pochylił się, wysuwając głowę w moim kierunku, jakby był prokuratorem Jej Królewskiej Mości w jakimś brytyjskim dramacie sądowym, a ja współwinną morderstwa, stojącą na miejscu dla świadków. – Kto? – powtórzył.

– Na ile potrafię ocenić, to nikt – odparłam. – Bo kto by chciał zabić kobietę, która wyszła kupić jabłka dla dzieci? Z drugiej strony strzelono jej w głowę dwa razy.

– Czy mąż ma przynajmniej dobre alibi? – wtrąciła Heather. Clay na chwilę zamilkł, zajęty ceremonią wachania, oglądania w kieliszku, przetykania, smakowania i akceptacji burgunda, o którym wcześniej drobiazgowo rozmawiał z sommelierem. Gdy ja wypięłam łyk,

smakowało jak koszerne wino pozbawione cukru.

– Greg tamtego wieczoru był na kolacji – powiedziałam. – Niestety, dopiero na nią jechał, gdy Courtney wybierała się do supermarketu, czy gdzie tam, między piątą trzydzieści i szóstą. – To wiedziałam od Steffi, która wydawała się dosyć spostrzegawcza. – Wrócił do domu około ósmej piętnaście...

Mówiłabym dalej, ale nagle jakiś mężczyzna mniej więcej w moim wieku stanął przy czwartym, pustym krześle przy naszym stole.

– Dopiero co przyleciałem z Waszyngtonu. Wszystkie loty były opóźnione. Czekałam, by Clay powiedział mi, że jest przy niewłaściwym stoliku. On jednak zerwał się na nogi, zamasyżuje potrząsnął jego ręką i oznajmił mi:

– To jest Dan... – nie usłyszałam nazwiska, bo Heather zaświergotała: „Dan!”, wstała z krzesła i pochyliła się, nadstawiając policzek. Cmoknęli powietrze, potem zmienili policzki i ponownie cmoknęli, kończąc rytualny pocałunek na powitanie. Zaraz potem Clay i Heather zaczęli się przekrzykiwać:

– Judith, to jest nasz najlepszy przyjaciel...

– Dan Steiner – dokończył Clay. – W zeszłym roku przeszedł na emeryturę, ale wcześniej kierował własnym, pozwolę sobie dodać, bardzo dochodowym, funduszem hedgingowym...

Dan Steiner miał niemal metr osiemdziesiąt wzrostu. Górował nad Clayem, który speszony obecnością człowieka o wiele wyższego i bogatszego od siebie, zaczął niepewnie wygładzać swój i tak gładki krawat.

– A co więcej, Dan chce na Yale zrobić doktorat z historii rosyjskiej... Heather jest po prostu rozkoszna, pomyślałam. Uznałam, że jej zachwyt nie był spowodowany talentami akademickimi Dana. Nie wyglądał bowiem na mężczyznę, który mógłby wzbudzić tego rodzaju entuzjazm. Można by go spokojnie opisać jako szczupłego, a przynajmniej w dobrej formie, jednak twarz miał jak gąbka, typową dla wielu mężczyzn po pięćdziesiątce. Nie tylko straciła kolor, ale też kształt. Od miejsca, w którym szczęka łączyła się z podbródkiem, przypominała rozgnieciony placek ciasta, uwieńczony rzadkimi, siwymi włosami. Sam podbródek, kanciasty prostokąt, wystawał z twarzy, jakby był spadkiem po zupełnie innym gatunku. Był tak długi, że zachodziłam w głowę, dlaczego Dan nie zapuścił brody, by go ukryć, zwłaszcza że teraz miał ambicje akademickie.

– Co tydzień jeździ do New Haven, by...

– Dan, mam nadzieję, że Clay ci powiedział. Judith ma doktorat z historii amerykańskiej i uczy w bardzo prestiżowym, małym katolickim college'u...

Ponieważ wszyscy troje stali, doszłam do wniosku, że będzie niegrzecznie tak dalej siedzieć. Jednak gdy już miałam się podnieść, Dan sięgnął ręką przez stół i lekko potrząsnął moją dłońią w zdawkowym uścisku mężczyzny, który był przekonany, że kobiety to słabsza płeć. Patrzył tuż koło mnie. Ktoś obserwujący z boku mógłby pomyśleć, że Dan kieruje grzeczne „Miło cię poznać” do mojego ucha. Potem zajął wolne krzesło. Teraz, gdy Heather i Clay mogli już patrzeć tylko na siebie, oni również szybko usiedli. Już po dwóch sekundach Dan pytał Claya o jedną z jego spraw w Komisji Nadzoru Finansowego, a Clay na jednym oddechu ochoczo odpowiadał i łamał kodeks etyki:

– Ten facet ma kłopoty. Jest niewiarygodnie zadłużony. Dan zaintonował:

– Wiesz, przy tego rodzaju dźwigni finansowej, pewne ruchy na rynku ulegają zwielokrotnieniu i...

Nie żebym się przejmowała, że byli: a. nudni, b. niegrzeczni. No, dobrze, przejmowałam się. Poza tym byłam tak wzburzona tym, że jestem, jak się domyśliłam, ofiarą randki w ciemno, że mogłam tylko gapić się na moje „delikatne kurczę w marynacie rozmarynowo-musztardowej, grillowane na drewnie jabłoni” i próbować się uspokoić. Równie irytujący jak pomysł, by nas kojarzyć bez pytania mnie, czy tego chcę, był fakt, że Dan wydawał się absolutnie niezainteresowany. Głędził z Clayem o zignorowanych lekcjach, jakie „udzielił” inwestorom skandal z funduszem LTCM, a równocześnie nie zwracał na mnie uwagi z taką konsekwencją, że wiedziałam, iż został do tej kolacji zmuszony. Pewnie wolałby być albo w domu z książką o okropnościach, jakich dopuścił się Iwan IV, albo w mieście z jakąś ostrą laską, nieważne, jak ją sobie wyobrażał.

Heather przechyliła się do mnie tak bardzo, że lewą pierś dotknęła owocowej salsy na stojącym przed nią halibucie, o czym świadczyła ciemna plama i odrobina czegoś, co było chyba brzoskwinia, ale mogło też być jakimś nowomodnym owocem, o którym nigdy nie słyszałam.

– Judith – szepnęła Heather, nieświadoma tego, co działo się na jej lewym sutku. – Nie powiedzieliśmy ci o Danie, bo nie chcieliśmy, żebyś robiła sobie nadzieje. – Ponieważ zaniemówiłam ze zdumienia, dokończyła: – Gdyby się nie pokazał. – Po czym rozparła się na krześle, czekając, bym spróbowała zwrócić uwagę Dana.

Siedziałam tam i patrzyłam na dwóch ważniaków w średnim wieku, usiłujących na przemian powiedzieć coś tak błyskotliwego, by tamten drugi zaniemówił z wrażenia. Patrzyłam na Heather z kuszącym przedziałkiem między piersiami, prawniczkę, która w sali sądowej odważnie stawiała do konfrontacji, jak teraz trzy razy bąka „eee”, próbując włączyć się w rozmowę, a jej mąż i Dan odruchowo podnoszą głos tak, by mogli zignorować to jej „eee” otwarcie, nie okazując chamstwa. Uświadomiłam sobie, że nic, co powiem albo zrobię nie zwróci uwagi Dana.

Ktoś mógłby spytać, dlaczego, do diabła, miałabym chcieć, by zainteresował się mną facet, którego ja omijałabym z daleka, nawet gdyby miał maniery lorda Chesterfielda i wacka jak stąd do Cleveland. Cóż, dlatego, że był świetną partią, na punkcie której ktoś taki jak ja powinien dostać bzika. Na tyle inteligentny, by dostać się na Yale, albo tak bogaty, że mógł otworzyć sobie doń drzwi pieniędzmi. Sądząc po warstewce potu lśniącej na czole Claya i błysku w nieciekawych, brązowych oczach Heather, dostatecznie bogaty, by uważano go za magnata, podziwianego ze względu na opanowanie i klasę, a nie za zimną rybę, którą faktycznie był.

Najbardziej zasmuciło mnie to, że Dan w fantastycznym bladoszarym garniturze ze wspaniałej cienkiej welenki w prążki, skrojonym tak idealnie, że (niemal) ukrywał wałeczki tłuszczu w pasie, których nie mogły zniwelować żadne ćwiczenia czy dieta, był dokładnie takim mężczyzną, jakim mój zmarły mąż zawsze pragnął być.

A co najgorsze, ciągle próbował wypląnąć mi na twarz głupawy uśmiech, w żalostnej

próbie zwrócenia uwagi mężczyzny, który mnie ignorował. Jeszcze dwie sekundy, a zaczęłabym trzepotać rękami, zgodnie z Damskim Kodeksem, punkt 2: „Jeśli on cię nie chce, tym bardziej się staraj”. Musiałam sobie wręcz rozkazać: „Zetrzyj z twarzy ten przypochlebny uśmiezek”.

– Przepraszam – zwróciłam się do Dana bardzo stanowczym tonem. – W moim mieście na Long Island popełniono morderstwo. Pytałam Claya i Heather, jak by bronili głównego podejrzanego.

– Morderstwo? – powtórzył. Nastąpiła chwila ciszy, w której słychać było dźwięczenie o talerz widelca, którym kelner przy sąsiednim stoliku usuwał ości z ryby. Dan chyba zrozumiał, że powinien powiedzieć coś jeszcze. To go zirytowało. Dla niego to był okropny wieczór po ciężkim dniu w Waszyngtonie. Nadał policzki, by prychnąć z rozdrażnieniem. Najwyraźniej instynktownie wyczuwał (wspierany wiedzą o dynastii Rurykowiczów i Romanowów), że jako osoba bogata i wpływowa ma absolutne prawo zachowywać się arogancko. W końcu jednak westchnął i zrezygnowanym tonem spytał: – Kogo zabito?

Tak więc gdy kelner poszedł po „sałatkę z młodej zieleniny z kaczką na cztery sposoby”, nie, nie więcej, dziękuję, co prawdopodobnie było sposobem Dana na utrzymanie formy, streściłam sprawę Courtney Logan.

– Clay powiedział, że prawnik Grega, męża denatki, powinien wynająć biegłego księgowego, by wysledził pieniądze.

– Nikt nie wie, na co poszło te dwadzieścia pięć tysięcy, które wzięła? – spytał Dan.

Garnitur, który miał na sobie, był zapinany na trzy guziki. Odslaniał koszulę i krawat tylko do połowy mostka. Dan wyglądał w nim jak skrupowany kaftanem bezpieczeństwa, a podkreślał to jeszcze sposób, w jaki trzymał ręce, blisko boków, nawet gdy sięgał po szklanekę i pił wodę. Nie była to postawa faceta, który mógłby być choć trochę zabawny.

– Z tego, co słyszałam, Courtney powiedziała, że potrzebuje tych pieniędzy dla swojej firmy – odparłam.

– Jeśli ich głęboko nie ukryła, to łatwo będzie je odnaleźć – wtrącił Clay.

– Żaden problem dla adwokata męża.

Zaczęłam się zastanawiać: w StarBaby ani śladu drogich kamer, prawda? Zee Friedman mówiła, że używała własnej. Czy ten sprzęt, przechowywany w domu faceta z Uniwersytetu Wesleya, o którym Courtney opowiadała Zee, był tylko fikcją? Jeśli tak, to na co mogła wydać pieniądze? Dlaczego kłamała na ten temat?

– Tak z ciekawości – rzuciłam. – Na co kobieta w jej sytuacji potrzebowałaby wielu tysięcy dolarów, jeśli nie na swoją firmę? – przerwałam na wymowną chwilę, choć efekt mógł być nieco zbyt dramatyczny. – Szantaż? – podsunęłam. Nikt nie powiedział: nie. Ale też nie usłyszałam: tak.

– Operacja twarzy – rzuciła Heather, by przerwać ciszę. – Serio, to może spokojnie kosztować jakieś trzydzieści pięć tysięcy. A może lubiła kupować biżuterię?

– Nie wygląda na to.

Czy ten facet z Wesleya mógł być fikcją?

– Narkotyki? – zasugerował Clay.

– Courtney chyba świetnie dawała sobie radę. Ze wszystkim – odparłam. Pragnęłam już tylko zapłacić wygórowaną cenę za parkowanie mojego dzipa w garażu na Manhattanie, pojechać na Long Island i od nowa przejrzeć notatki. Może tym razem coś mi przyjdzie do głowy. Mimo to dalej rozmawiałam z Danem, próbując coś z niego wyciągnąć, choćby jakieś strzępy wiedzy na temat finansów, które mogłyby rzucić nieco światła na sprawę Courtney Logan.

– Zanim zaczęłaś karierę akademicką byłeś biznesmenem? – Dan kiwnął głową, ale tylko raz. Oszczędny w gestach. A jednak wydawał się tak zadowolony ze słowa „akademicki”, iż zaczynałam żałować, że go użyłam. (Jednocześnie, stwierdzam ze smutkiem, byłam dumna, że wreszcie udało mi się zrobić coś, co mu się spodobało.) – Zapomnijmy, na co ofiara morderstwa potrzebowała pieniędzy – ciągnęłam. – Powiedzmy tylko, że ich potrzebowała, rzekomo na potrzeby firmy. Gdyby banki odmówiły jej pożyczki, a ona potrzebowała więcej pieniędzy, to skąd mogłaby je wziąć?

– Rodzinny majątek? – zasugerował Dan. Pokręciłam głową, co chyba zbiło go z pantafelów. Potarł wielki jak łopata podbródek. – Sprzedaż akcji?

– rzucił po paru sekundach.

– Trochę miała. Jakies osiemdziesiąt tysięcy na jednym koncie. – Dan zamrugał, zapewne zszokowany tak mizerną kwotą. – Wzięła dwadzieścia, potem oddała dziesięć. Mąż nie pozwolił jej dobrać się do reszty.

– Może potrzebowała tylko trochę – odparł ściszym głosem. – Jej biznes nie był przecież zbyt wielki – wyglądał na nieco oszołomionego, że bierze udział w dyskusji, której sam nie zainicjował.

– Ale miała wielkie ambicje – wyjaśniłam. – Franczyza i temu podobne.

– Może lichwiarska pożyczka na wysoki procent? – podsunął Clay. – Od kogoś, o kim napomknął jej teść?

– Była konsultantką w banku Patton Giddings – wyjaśniłam Danowi.

– Może potrzebowała pieniędzy na operacje giełdowe online? – wtrąciła Heather. – A może po prostu na giełdzie?

– To możliwe – przyznał Dan. – Ale mało prawdopodobne. Większość tych ludzi, nawet ci tak zwani obeznani... Pieknie pewni siebie. Kończy się na tym, że tracą o wiele szybciej, niż zyskali. Musiałyby być naprawdę bardzo, bardzo dobra, by wyjść na swoje w dłuższym czasie. Grający na giełdzie to nałogowcy, nie lepsi od robociarzy trwoniących zarobki na wyścigach.

– Ale z jej znajomością rynków finansowych? – zwróciłam mu uwagę.

– Daj spokój – powiedział z przesadną cierpliwością kogoś, kto chce wyjść raczej na wolnego od uprzedzeń, a nie na wyniosłego. Wycelował we mnie widelec. Oderwałam wzrok od ociekającego sosem młodego szpinaku, zwisającego z zębów widelca i spojrzałam mu prosto w twarz. Usta zacisnęła w wąską kreskę. Mimo bezkształtnej twarzy miał pełne usta i dobrze umięśnione, co świadczyło, że Dan miał z natury pogardliwą minę, a lekceważenie nie dotyczyło konkretnie mnie. – Sama sobie odpowiedz – dodał. – Gdyby naprawdę była świetna, czy zrezygnowałaby z pracy w Patton Giddings? By mieszkać na przedmieściach?

Być mamuszką?

Dan był tak nieznośny, że zrezygnowałam z deseru. A z całego wieczoru najgorsze było to, że zrobiło się zbyt późno, bym mogła zadzwonić do Nancy i wszystko jej opowiedzieć. Nie dane jej więc było wystąpić w roli najlepszej przyjaciółki, powściekać się na chamstwo i seksizm Claymore'a Katza, który umówił mnie na randkę, nawet nie pytając o zgodę, perorować na temat Heather pozwalającej się poniżyć i wygłosić diatryby o chamstwie, egotyzmie i pompatyczności Dana, zakończonej kilkoma zjadliwymi, wypowiedzianymi z południowym akcentem zdaniem o tym, jak mały musi być jego penis, czyli uniwersalną zniewagą stosowaną przez kobiety. Niestety, zawsze czułam, że to mało skuteczna (choć dająca pewną satysfakcję) forma zemsty.

Jadąc do domu autostradą Long Island, wyrzuciłam Dana z myśli, usiłowałam nie zaprzętać sobie Nelsonem ani jednej szarej komórki i nawet przez ułamek sekundy nie myślałam o postmodernistycznym Geoffie. Doszłam do wniosku, że zastanawianie się nad okropnym morderstwem uspokoi mnie o wiele bardziej niż kontemplowanie nieświętej trójcy czyli mnie, mężczyzn i przyszłości. Niestety, nie zaznałam zbyt wiele spokoju. Zaczęłam mieć wątpliwości co do całej sprawy. Im więcej się dowiadywałam, tym mniej wiedziałam, a nie takie ustalenia chciałabym przekazać klientowi takiemu jak Laluś Phil.

Co mogłam mu powiedzieć? Że spędziłam dzień w bibliotece, przeszukując bazy danych dla kombinacji słów: „Courtney Bryce Logan”, „Courtney Bryce”, „StarBaby”, „Courtney + Princeton” oraz „Courtney + Patton Giddings”? Pojawiło się tylko zawiadomienie o ślubie, informacja, że Courtney była skarbnikiem rocznika '86 w Princeton oraz artykuł z „Olympian”, gazety z rodzinnego miasta Courtney w stanie Waszyngton, która zrelacjonowała sprawę zabójstwa, dodając komentarze jej koleżanek i kolegów z klasy w liceum Summit High; jedna z nich użyła określenia „cwana”, gdy bardziej na miejscu byłoby chyba „bystra”.

Gdy późnym popołudniem wróciłam z biblioteki do domu, na poczcie głosowej zastałam wiadomość: „Czas ucieka. Masz już coś?” Oczywiście bez żadnego przedstawiania się, ale nie miałam wątpliwości, że to Laluś Phil. Z więcej niż cieniem nadwreżonej cierpliwości w szorstkim barytonie. „Masz już coś?”

Czy mój klient naprawdę chciał odkryć prawdę? Czy też wynajął mnie i kazał mi szukać, bym znalazła wszystko, co się tylko da, bo chciał sprawdzić, czy są jakieś dowody, które przeciętny detektyw przeoczył, a które mogłyby doprowadzić do Lalusia Phila albo Grega? Dowody, które Phil mógłby następnie zniszczyć. Wraz z historyczką, która je odnalazła.

Nelson Sharpe nie ostrzegał mnie przed Philem Lowensteinem, żebym zemdląła i rzuciła się mu w ramiona. Nelson zasadniczo powiedział tak: „Ten facet nie tylko ma parszywy charakter. Ten facet może zlecić morderstwo, choć jeśli cię polubi, być może poprosi kogoś ze swoich znajomych, by cię tylko okaleczył”. Cóż to za niebotyczne szaleństwo czy może zarozumiałość podkusiła mnie, bym najpierw zapukała do drzwi Grega, a potem lekkomyślnie uznała, że dam sobie radę z jego starym?

Następnego ranka, trochę roztrzęsiona, zadzwoniłam do Mary Alice Mahoney Schlesinger Goldfarb i do mojej sąsiadki Szykowej Cheryl, mając nadzieję, że wskażą kilka

przyjaciółek Courtney. Mary Alice powiedziała, że zna ich „całe tony”, ale w niezbyt krzyżowym ogniu pytań nie potrafiła podać żadnych nazwisk. Z kolei Szykowna Cheryl wyrzuciła z siebie do słuchawki nie tylko nazwiska, ale też ich dochód netto i przynależność do różnych klubów. Poza tym według Cheryl podział młodych, siedzących w domu matek na grupy, dokonany przez Jill Badinowski, był błędny. Tworzyły grupy nie w zależności od tego, czy i jaką zrobiły karierę, kosmetyczka kontra prawniczka, ale od tego, jak bogaci byli ich mężowie. Ta myśl pewnie by mnie przygnębiła na wiele tygodni, gdybym nie miała na głowie pilniejszej sprawy, mianowicie zebranie informacji dla Lalusia Phila, zanim on zdecyduje się zabrać do mnie.

Zapisując sobie dane Kellye Ryan, typowaną przez Szykowną Cheryl kandydatkę na najlepszą przyjaciółkę, spodziewałam się chyba zobaczyć jakiś stereotyp irlandzkiej urody, ponieważ wysoka, opalona, szczupła, długonoga niemal piękność, która zadzwoniła do moich drzwi tego piątkowego popołudnia była niespodzianką.

– Cześć – rzuciła na powitanie.

– Dziękuję, że się pofatygowałaś – powiedziałam.

– Nie ma sprawy – odparła krótko. – Ładny dom. Wiesz, cieszę się, że robisz coś, by... jak to się nazywa... nieważne, uczcić pamięć Court. – Chyba miała problem z budowaniem dłuższych zdań, ale wyglądała na osobę sprawną umysłowo i pewną siebie. Przeszliśmy przez dom, wyprowadziłam ją tylnymi drzwiami na dwór i zaproponowałam, by usiadła na starej cedrowej ławce. Dyskretnie strzepnęła jedną czy dwie drobiny pyłku i wykonała zgrabny manewr ze zginaniem kolan i umieszczeniem pupy na ławce, który osobom o naturalnym wdzięku pozwala w niezauważalny sposób zmienić pozycję ze stojącej na siedzącą. – Tyle szumu w mediach. Fuj. To miłe, że ktoś chce usłyszeć o niej coś miłego.

– Tak, rzeczywiście chcę usłyszeć coś miłego – zapewniłam ją. – Jeśli jednak mam napisać jej historię albo zrobić coś w rodzaju reportażu, to będę zmuszona zadawać najprzeróżniejsze pytania. Moim zadaniem nie jest upamiętnienie Courtney Logan, choć jestem pewna, że na to zasługuje.

– Jasne – odparła. Kellye Ryan nie wyglądała na przeciętną mamuszkę z Shorehaven, w podkoszulku i spodniach khaki z dodatkiem lycry, by po obiedzie w Burger Kingu nie trzeba było rozpinąć guzika w talii. Była ubrana w sukienkę z blado-brzoskwiniowego jedwabiu i koronki, wyglądającą raczej na dłuższą halkę. Kellye miała przynajmniej metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, więc halka kończyła się jej w połowie uda, ale w jej przypadku było co pokazać.

Z ciemnymi włosami zwiniętymi w węzeł na karku i niemal czarnymi oczami Kellye wyglądała jak tancerka flamenco. Dopóki się nie uśmiechnęła. Wtedy wyglądała jak tancerka flamenco z Transylwanii. Zęby miała jak Dracula. Górne kły były tak wydłużone, że zdawały się kaleczyć dolne dziąsła. Musiałam się powstrzymać przed opuszczeniem podbródka, by zasłonić szyję.

– Powiedz mi coś o sobie – poprosiłam. – O twojej przeszłości.

– No, wiesz – czując, że to chyba za mało, ciągnęła: – Bard College. Potem Bill Blass.

– Byłaś modelką?

– Eee tam – powiedziała, wruszając skromnie ramionami, by podziękować za komplement. Potem zajęła się wyrównywaniem cienutkich ramiączek sukienki.

– To co tam robiłaś?

– Marketing.

Pomyślałam, że potrzebna jest dłuższa rozmowa o niczym, zanim zacznę ją pytać o zamordowaną przyjaciółkę.

– Podobała ci się praca w domu mody?

– U Billa Blassa? Absolutnie. Praca jak marzenie.

– Aha – wyrwało mi się.

– Cała kolekcja. Jakość. Aż do szwów. Piękne wykończenie. Można bez żenady zdjąć żakiet.

– Racja. A teraz?

– Zameżna, dwoje dzieci. – Jej uśmiech powoli zbladł, a twarz wydłużyła się w wyrazie żalu. – Tak samo jak Court.

– Jak ją poznałaś?

– Turniej tenisowy. Rolling Hills.

– To nazwa klubu? Przytaknęła.

– Tak. Połączyli nas w parę. W deblu. Trochę jak Flip i Flap. Mała i duża. Ale byliśmy świetne. We dwie. Zaczęłyśmy grę pojedynczą. Wulkan energii z tej dziewczyny! W każdy piątek. Non stop strategia. I niesamowity, mocny serw.

– Zaprzyjaźniłyście się?

– Tak.

– Jaka była? – spytałam.

Kellye zastanawiała się chwilę, czubkami pomalowanych na perłowo paznokci małych palców usuwając z kącików ust niewidoczną szminkę albo okruszki.

– Court? Bystra. Cudowna. Czasem z niej żartowałam. Nazywałam ją Panną Perfekcjonistką – powiedziała ze smutnym uśmiechem. – Ale taka była. Zawsze miała dla mnie czas. Absolutnie, totalnie zakochana w swoich dzieciach.

– Ajej mąż?

– W nim też zakochana – odparła szybko, ale zauważyłam, że pominęła „absolutnie, totalnie”. – I śliczna. Ale na tyle inteligentna, by nie nosić falbanek, wiesz? Princeton. Niełatwo jest zrzucić z siebie ten nudny styl Ivy League, więc jeśli chodzi o modę za bardzo nie ryzykowała. Ale kto by się krzywił na Armaniego?

– Ja nie – rzuciłam.

– I zawsze... ciągle w ruchu. StarBaby. A przedtem w Towarzystwie Miłośników Shorehaven, prezesowała jedną kadencję. Wolontariuszka w szpitalu Long Island. Coś tam jeszcze z rakiem. Tenis, biegi, nauka golfa. I różne rzeczy dla Trav i Morgie. Na przykład któregoś dnia... – Kellye nagle zabrakło tchu. Przycisnęła rękę do piersi i przerwała, by się opanować. – Tamtego dnia, gdy Court zaginęła. Czy może została zamordowana, ale kto to wtedy wiedział? Zrobiła ciasto dyniowe na Halloween. Nie do wiary! Dwie babki. Złożyła je razem, no wiesz, szerszą stroną do siebie, jako kleju użyła kremu. Naprawdę wyglądało jak

dynia. Pomarańczowy lukier, oczy z czarnego lukru. Zgniotła na miazgę zielone żelki i ulepiła z nich łydżkę. Powiedziałam: „Court, mało masz do roboty?“, a ona na to: „No tak, ale poczekaj, aż zobaczą to dzieciaki. Będą... „, Jakies tam słowo, chyba „... takie szczęśliwe”. – Oczy Kellye zwilgotniały. Łza spłynęła na jej czarne dolne rzęsy. Ostrożnie otarła ją opuszką palca wskazującego, by nie rozmazać tuszu.

– Tak mi przykro – powiedziałam.

– W porządku. – Łzy płynęły nadal. Kellye być może była upośledzona językowo, ale chyba nie pod względem bystrości umysłu, a na pewno nie uczuciowo. Znalazłam w tylnej kieszeni spodni wymiętą chusteczkę higieniczną i podałam jej. – Gdy zaginęła, nie mogłam przestać myśleć – podjęła w końcu. – Pełno jest świrów, nie? Jak ten facet, który zabił Versace. Nie tylko gejów. I strasznie pokręconych. Byłam sparaliżowana strachem. Co się mogło z nią stać? O Jezusie, nie chciałam myśleć o tych wszystkich rzeczach, które ktoś mógłby z nią wyrabiać. Ale nie mogłam się od tego uwolnić. A potem, gdy znaleźli jej ciało... Teraz tylko się modlę, by się okazało, że ten, kto strzelił jej w głowę, nieważne kto, po prostu to zrobił od razu, a nie dopiero potem, jak zmuszał ją do seksu albo torturował. – Zwinęła chusteczkę i przytrzymała ją przy rzęsach najpierw jednego oka, później drugiego, dopóki łzy w końcu nie przestały płynąć. – Przepraszam.

– Nie przepraszaj – odparłam. Kellye na chwilę zamknęła oczy, by się uspokoić. Potem kiwnęła głową, już w porządku, wytarła nos i z wysiłkiem przelknęła. Skrzyżowała nogi w kostkach i przesunęła je w lewo, w tej niewygodnej pozycji, zalecanej przez magazyny dla pań, by wyglądać jak dama. – Czy Courtney mówiła kiedyś o swojej przeszłości? – Kellye pokręciła głową. – Byłych chłopakach?

– Hm... Jakiś facet w Princeton. Chip? Chuck? Tego typu imię.

– Jakies nazwisko? – spytałam.

– Nie.

– Czy kiedykolwiek mówiła o swojej rodzinie?

– Tak. Jedyne dziecko. Miała hopla na punkcie gimnastyki, ale mimo że była wtedy chuda... Wiesz, jak to jest. Jeszcze za mało chuda.

– Coś jeszcze?

– Jej matka przez pewien czas przeżywała duchowe odrodzenie. Bardzo głośno mówiła o Jezusie w Taco Bell czy tym podobnym miejscu. Courtney powiedziała, że było jej tak wstyd, że najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

Czekałam. Kellye zaczęła obracać srebrną bransoletkę na przegubie ręki.

– Chciałabym ci zadać brutalne pytanie.

– Okej.

– Opisujesz wspaniałą osobę. Kto zatem, na Boga, mógłby chcieć zrobić Courtney krzywdę, albo się jej pozbyć? Próbuję ją rozgryźć, by wiernie przedstawić, i nie mogę znaleźć odpowiedzi na to pytanie.

– Ja też nie. Myślę... może... jakiś seryjny morderca.

– Czy właśnie to powiedziałaś policji, gdy cię przesłuchiwali?

Kellye pokręciła głową. Jej kolczyki z białego złota albo platyny zadźwięczały cichutko.

– Nie przesłuchiwali mnie.

– Dzwonili do ciebie, albo... ?

– Nie, nic. Byłam zdziwiona. Najbliższa przyjaciółka. Dzwonili do paru innych. Ale nie do mnie. Spytałam Denny'ego, mojego męża, czy sama nie powinnam do nich zadzwonić. Byłam u Court tamtego dnia, gdy zaginęła. Lub została zabita. Ale wcześniej, gdy robiła ciasto. Mój Dexter ma siedem lat, a jej Morgan pięć, więc... Czego chceć. Tu chłopiec, tam dziewczynka, różnica wieku. Czy poszliby razem po słodycze? Oczywiście, że nie. Więc Denny, mój mąż, powiedział: „Czy masz coś do powiedzenia gliniarzom? Coś, co mogłoby im pomóc?” Odparłam, że nie. Na to on: „Więc się nie mieszaj, kotku”. Denny jest prawnikiem. Od podatków, ale... Chyba się orientuje, prawda?

– Prawda. Czy Courtney jakoś się zmieniła w ciągu kilku ostatnich miesięcy przed zniknięciem?

Kellye zagryzła wargę w zamyśleniu. Dziewczęcy gest, który byłby czarujący, gdyby nie jej kły.

– Tak i nie – odparła w końcu. Czekałam. – Mówiłam, że była perfekcjonistką. – Kellye znów zagryzła wargę. – Ale to się widzi, gdy najlepsza przyjaciółka wykonuje czynności czysto mechanicznie. Court robiła to przez wiele tygodni. Pod koniec. Może nawet miesięcy. Podczas gry w tenisa wołała: „Dobra piłka”, ale ja wiedziałam. Nie wkładała w to serca. I ciągle odwoływała spotkania. Myślni była gdzie indziej. I w Halloween z tym ciastem. Nie mogła go nie upiec, no wiesz, ciasto na Dzień Zwycięstwa, babeczki na chiński Nowy Rok, a czy ona jest Chinką? W każde święto. Ale robiła to, no wiesz, na pół gwizdka. Przez jakiś miesiąc, może dwa czy trzy przed.

– Pytałaś ją, co jest nie tak?

– Pewnie.

– I co odpowiedziała?

– Że jest, jak to się mówi, pochłonięta sprawami StarBaby. Ale już zaczyna się układać. Wszystko w porządku.

– A w małżeństwie?

Kellye wzruszyła pięknie opalonymi ramionami.

– Powiedziała, że też okej. Znaczący się, wołałaby, żeby Greg miał, jak to ona mówiła, szerszą wizję. Chciała, by otworzył sklepy na Zachodnim Wybrzeżu. Nowy Jork jest w porządku, ale taki jakby tradycyjny, chcą, żeby obiad wyglądał jak obiad. A nie jak zupa, sałatka lub kanapka. Albo nawet i kanapka. A w Kalifornii mają bzika na punkcie lekkiego jedzenia. Jednak Greg powiedział: nie.

– Dlaczego?

– Kapitał.

– Tak ci powiedziała Courtney?

– Aha.

– A poza tym?

– W porządku – kiwnęła głową, zadowolona ze swojej relacji. Ale chwilę później pokręciła głową.

– Dlaczego uważasz, że coś było nie w porządku? – spytałam.

– Podświadomy przekaz. – Kiwnęłam głową nieco bardziej przekonująco niż ona. – Zresztą sama sobie zadaj to pytanie. Dlaczego ludzie działają na pół gwizdka?

– Myślisz, że się czegoś bała? – spytałam. – Albo była zestresowana?

– To nie to.

– Chcesz powiedzieć, że Courtney mogła mieć kogoś innego?

– Przykro mi to mówić, ale pomyślałam: „Jakiś facet?” Bo niby co mogło sprawić, że Court tak jakby wszystko odbębniała. Nie wkładała serca w ciasto dyniowe. A kostium dla Morgan kupiła. Królowej Amidali. – Próbowałam wymyślić, w jaki sposób wypytać Kellye, kto to mógł być, gdy dodała: – Gdybyś powiedziała mi: „Hej, masz tu miliard dolarów. Powiedz, na kogo mogła się ewentualnie napalić Court, choć zawsze twierdziła, że to Greg ją rajcuje?” – Na tę myśl Kellye przycisnęła dłonie do szyi, a potem wystawiła język, jakby się dławiła. Potem, na wypadek gdybym nie zrozumiała, dodała: – Rzyg na miejscu.

– Co z Gregiem jest nie tak?

– Cichy.

– Co?

– Za cichy. Aż ciarki chodzą po plecach. Denny, mój mąż, mówi, że to dlatego, że jego ojciec to ten Żyd z mafii. Ojciec Grega. Nie Denny’ego. Ojciec Denny’ego ma w Glen Cove firmę instalującą klimatyzację. I nie jest Żydem. Pół Irlandczyk, pół Polak, albo jakaś inna zagranica. Chyba. Nieważne. Ale Greg chce, by wszyscy myśleli, że ma klasę, że nie jest gangsterem. Więc musi być spokojny i cichy. Gdy jest w towarzystwie, zachowuje się tak dyskretnie, że zdaje się, jakby go w ogóle nie było. Aby ludzie sobie nie pomyśleli, że on jest... jakie to słowo? Gdy się rozstawia ludzi po kątach i temu podobne.

– Arogancki? Agresywny?

Kellye posłała mi wdzięczny uśmiech narzeczonej Draculi.

– Właśnie! Ale też może Courtney po prostu się nie znała.

– Na czym?

– Na seksownych facetach. Może zresztą Greg naprawdę taki był? Jest. Czy ja wiem? Tyle że ja tak nie uważam, a zaklinam się na Boga, że mam co do tego radar. Wszystkie przyjaciółki mi to mówią. Pytają: „Kellye, czy taki owaki jest seksowny?”, a ja odpowiadam...

– Więc jeśli twoja teoria jest prawdziwa i Courtney zaangażowała się w związek z kimś innym...

– Tylko z kim? – rzuciła Kellye, ze smutkiem kręcąc głową. – Nawet za miliard nie potrafiłabym powiedzieć, kto by to mógł być.

Rozdział 8

I oto znów znalazłam się na ścieżce, co do której miałam coraz mniej pewności, że doprowadzi mnie do zabójcy. Wszyscy wokół Courtney byli tacy mili i bez morderczych skłonności. Na Boga, kto by mógł zamordować kobietę, która wycinała szablon z króliczkami, by zrobić babeczki na Rok Królika? Nawet męski duet LowensteinLogan, dwóch moich najlepszych kandydatów (gdyby Lalus Phil nie był moim klientem) wydawał się niezdolny do takiej potworności.

Jednak dwie kule w głowie nie figurowały na liście nieszczęśliwych wypadków. Ktoś pociągnął za cyngiel, dwa razy, a ja musiałam się dowiedzieć kto. Tak więc siedziałam w kolejnej kuchni, z kolejną, jak to politycy i media powszechnie, aż do obrzydzenia, nazywali teraz „mamą”. Przypuszczam, że w którymś momencie uznano, że „matka” brzmi trochę staroświecko. Albo zbyt sztywno. A może w umysłach młodego pokolenia słowo to automatycznie kojarzyło się z „mac” i wszystkimi zawierającymi je wyrażeniami.

Rzeczona mama, Susan Viniar, siedziała u szczytu stołu. Ja, jako gość honorowy, siedziałam po jej prawej ręce. Dłonie mi niemal przymarzły do oszronionego kufła, do którego wlała gęsty, mrożony napój, który dla mnie zrobiła.

– To orzeźwiający koktajl z limonki – wyjaśniła, zdecydowanym ruchem zadzierając do góry brodę.

Muszę przyznać, że ja na jej miejscu nie byłabym taka pewna siebie. Jaskrawozielony płyn z drobinkami szronu wyglądał jak trucizna szalonego naukowca w horrorach z lat pięćdziesiątych. Czując jednak, że w kwestii Courtney nadal błędę we mgle, nie mogłam zbyt wybrzydzać. Zaczekałam więc, aż Susan zacznie saczyć swoją porcję i wtedy sama się napiłam. Smakowało to jak mieszanka Zelków, red bulla i kruszonego lodu. Brzmi to dosyć obrzydliwie, jednak ku mej uldze nie tylko nie umarłam, ale przekonałam się, że ten koktajl istotnie był orzeźwiający.

– Przyjaźniłaś się z Courtney? – spytałam.

W przeciwieństwie do Kellye Ryan Susan nie roniła łez nad swoją przyjaciółką. Ale też wyjaśniła, że ona i Courtney właściwie nie były przyjaciółkami.

– Mój syn Justin i Travis Logan są w tej samej grupie w żłobku – wzruszyła ramionami, przepaszając, że nie może więcej pomóc. Przy tym ruchu zarysowały się mięśnie jej ramion pod ramiączkami zielonej koszulki wykończonych seledynową lamówką. Doszłam do wniosku, że w zawodach w przeciąganiu liny nie chciałabym się znaleźć naprzeciw tej damy. Rękawy seledynowego sweterka miała modnie zawiązane wokół muskularnych ramion. Choć szczupła, Susan Viniar wyglądała na bardzo silną. W podnoszeniu ciężarów byłaby pewnie lepsza od Lalusia Phila.

Błyskawica podświetliła nisko wiszące chmury za oknem jej kuchni. Zamiast się wzdrygnąć, tak jak ja, moja gospodyni najwyraźniej po cichu liczyła sekundy, dopóki nie rozległ się grzmot. Potem kiwnęła głową, jakby chciała dać Bogu znak, że jest zadowolona z jego występu.

Sosnowy stół kuchenny został postawiony we wnęce z wykuszowymi oknami, obramowanymi jasnymi i ciemnymi liśćmi pnących roślin. Na zewnątrz, za wyłożonym cegłą patio, widać było ciągnący się w nieskończoność, zroszony deszczem aksamitny trawnik. Jego idealną powierzchnię zaburzał tylko otoczony płotem basen i ciemnozielona huśtawka z drążkami, tak skomplikowana, że wyglądała, jakby Justin miał na niej trenować gimnastykę na olimpiadę w 2016 roku. Cudowna zieleń. Zdawało się, że nawet ciężkie, szare, burzowe chmury nabrały oliwkowego odcienia. W koszuli w czerwone prążki czułam się jak intruz w Szmaragdowym Grodzie.

– Raz jeden rozmawialiśmy, by zapisać chłopców na pływanie dla maluchów – powiedziała Susan, najwyraźniej czując, że jest mi winna jeszcze zdanie czy dwa. – Ale to była ogólna rozmowa w grupie matek jedno – i dwulatków.

– Och, ktoś mi mówił, że byłaś jej dobrą przyjaciółką – westchnęłam, czując się, jakbym wprosiła się do niej na koktajl podstępem.

Susan znów wzruszyła ramionami. Była tak idealnie zbudowana, że gdyby pominąć jej ciemnobrązową skórę, mogłaby być wzorem do tablicy z rozrysowanymi mięśniami, używanej przez nauczycieli na lekcjach biologii w liceum.

– To właściwie zrozumiałe, że ktoś uznał nas za przyjaciółki. Obracamy się w tym samym towarzystwie.

– Co to za towarzystwo?

Wytarła kciukiem resztki koktajlu z brzegu swojego kufla.

– Może towarzystwo to niewłaściwe słowo. Zabrzmiało to jak klasa społeczna w powieści z epoki. A to tylko grupa siedmiu czy ośmiu kobiet. Na ogół po trzydziestce, z dziećmi w wieku Traversa i Justina.

– Lepiej trzymać się w grupie, niż radzić sobie samej – zauważyłam.

– Chyba tak. Zgodnie z hasłem: W jednośi siła.

Na dwie sekundy nauczycielka wzięła we mnie górę nad detektywem. Uśmiechnęłam się do niej szeroko, dając jej celujący za skojarzenie. Nie chciałam jednak, by Susan Viniar doszła do wniosku, że zaprosiła do domu uśmiechniętą od ucha do ucha wariatkę, tak jak zrobił to Greg Logan. Spróbowałam więc zmienić mój uśmiech w spokojny wyraz twarzy, który miał pokazać, że zamieniam się w słuch.

– Ale nie jesteś z tymi kobietami naprawdę blisko?

– Mam jedną dobrą przyjaciółkę. Ale widzisz, to jest tak – mówiła w stronę coraz bardziej ciemniejszego nieba. – Gdy zostaje się mamą – zwróciła spojrzenie na mnie – nawet jeśli się kocha dzieci ponad wszystko, to słuchanie, jak twoje dziecko mówi: „lala” daje ograniczoną satysfakcję. – Nie tylko pamiętałam tamte czasy, ale jeszcze zaczęłam przytakiwać tak energicznie, że omal nie wypadł mi kolczyk. Susan nie potrzebowała więcej zachęty, by ciągnąć dalej. Najwyraźniej myślała o tym od dawna. Wskazała panoramę za oknem, połąć trawnika, którego dotąd świeża, wiosenna zieleń pociemniała, nabierając czerwcowej soczystości, choć głębia koloru mogła być tylko cieniem burzowych chmur. – Mieszkając tutaj, czujesz się oderwana od rzeczywistości. Zadajesz sobie pytanie: A gdzie to życie na przedmieściach, te ploteczki w kawiarniach, spotkania z przyjaciółkami, które miało

mnie tu niby czekać?

Przelknęłam łyk koktajlu z limonki.

– Pamiętam. Dopóki nie spotkałam kobiety, która do dziś jest moją najlepszą przyjaciółką, byłam cholernie... Odizolowana, to jest chyba właściwe słowo. Nie. Samotna.

– Myślę, że wiele z nas tak się czuje – przyznała Susan. – Zwłaszcza jeśli pracowałeś w dużej firmie, tak jak ja. Zamieniasz przebywanie wśród interesujących ludzi na przecieranie groszku w malakserze, mając za towarzystwo samą siebie. Nie ma nikogo, oprócz twojego męża, by porozmawiać o innych niż dzieci sprawach, które cię obchodzą. Poza pampersami on staje się twoim jedynym łącznikiem ze światem. – Chciałam ją zapytać: Kira byłaś wcześniej? Zaniepokoiłam się jednak, że może dojdzie do wniosku, że jej obecna pozycja jest nieciekawa. Tymczasem ona ciągnęła: – Zaczynasz zadawać sobie pytanie: O mój Boże, co ja zrobiłam, odchodząc z pracy i skazując się na życie na przedmieściach? Więc trzymamy się razem, wożąc dzieci na różne zajęcia.

– A Courtney Logan była członkinią tej grupy? – Susan przytaknęła, kołysząc końskim ogonem. Miała jedwabiste, czarne włosy, charakterystyczne dla Afroamerykanek o sześciocyfrowych dochodach. – Ale nie była twoją przyjaciółką?

– Nie.

– Wiesz może, czy policja wypytywała którąś z osób z twojego kręgu o zwyczaje i znajomych Courtney?

– Rozmawiali z paroma kobietami.

– I?

– I co można było powiedzieć? Że Courtney kochała swoją rodzinę. Że była bystra. Że StarBaby to był świetny pomysł, który nawet udało się jej zrealizować, więc może potrafiła się bardziej zmobilizować niż reszta z nas. I że była miła.

– To dlaczego ty i Courtney nie zostałyście przyjaciółkami?

– Bez szczególnego powodu. – Czekałam. – Nie odbierałyśmy na tych samych falach.

– A na jakich falach ona odbierała?

– Czy to jakaś praca dla biblioteki? Wspominałaś, że jesteś w zarządzie. – Susan zadała to pytanie ze spokojem osoby, która już zna odpowiedź, więc nie próbowałam kłamać.

– Nie, bardziej dla mnie. Nie potrafię wyrobić sobie zdania, jaka była Courtney Logan. Pewnie nie powinnam...

Susan Viniar nie pośpieszyła z zapewnieniem: „Nic nie szkodzi, że pytasz o osobiste sprawy, które nie powinny cię obchodzić”. Przez chwilę, która mnie wydała się krepująco długa, chociaż jej najwyraźniej nie, patrzyła na parę z klimatyzatora, osiadłą na wykuszowych oknach i rozważała moje słowa. Doszłam do wniosku, że „mamy”, takie jak Susan i jej znajome, obracały się w świecie dłużej niż my, matki. Dłużej pracowały, później wyszły za mąż, później też urodziły dzieci. Miały więcej luzu niż ja i moje rówieśnice. Te młode kobiety zastanawiały się, rozmyślały i rozważały. Nie były w takiej desperacji, a przynajmniej dawały sobie więcej czasu, by kogoś zadowolić.

W końcu, gdy mój koktajl zaczął się rozwarstwiać na dosyć groteskowo wyglądające składniki, Susan doszła chyba do wniosku, że: a. można mi zaufać, b. nie zaszkodzi, jeśli mi

pomoże i będę miała u niej dług wdzięczności i c. ta rozmowa o Courtney może mieć posmak wspomnianych plotecek w kawiarni. Wyczuwałam w niej pewność siebie dyplomaty. Nie Talleyranda. Łuki jej nienagannie wyregulowanych brwi i czekoladowo-brązowe oczy zdradzały zbyt wiele, by mogła wynegocjować traktat o ograniczeniu zbrojeń strategicznych z, powiedzmy, ministrem spraw zagranicznych Ukrainy. Jednak czułam, że dla osoby takiej jak Susan, sfinalizowanie umowy handlowej z jakimś kapryśnym klientem było kaszką z mlekiem.

– Nie można powiedzieć, że z Courtney coś było nie w porządku – zaczęła dyplomatycznie. – Właściwie wszystko było w porządku. Dobra szkoła, świetna praca na Wall Street. Potem miły mąż, dwoje cudownych dzieci, bycie mamą. Co jeszcze? Jej dom. Boże, gdy spotkałyśmy się u niej z dziećmi! Był tak pięknie wykończony i urządzony, ale dyskretnie i w gustowny sposób, typowy dla rodzin zamożnych od pokoleń. Wyglądał, jakby Loganowie mieszkali w nim od wieków. I pewnie wiesz, że udzielała się jako wolontariuszka, więc była bardzo szanowana w naszej społeczności. Poza tym stworzyła firmę, która mogła odnieść ogromny sukces. Była też niezłą sportsmenką i ładną kobietą, jeśli podobają ci się pełne entuzjazmu blondynki. Z tego, co się orientuję, jedynym jej problemem był teść.

– Jak to? Czy wtrącał się w ich życie?

– Nie. A przynajmniej nic o tym nie wiem. Mówię o nim jako takim. On jest... gangsterem czy kimś w tym rodzaju. W niektórych kręgach to nie jest plus. Ale podobał mi się sposób, w jaki Courtney sobie z nim radziła. Bezpośrednio. Wręcz mówiła o nim Lалуś Phil Lowenstein i przedrzeźniała go, choć pewnie nie przy Gregu. – Susan odchrząknęła, a potem odezwała się niskim, gardłowym, złowrogim tonem: „Cześć, kochanie, jak leci?”

– Chyba lubiła żartować – zauważyłam. Susan przychyliła głowę na bok i się zamyśliła.

– W zasadzie nie. Nigdy się z nią nie śmiałam do rozpuku. Ale Courtney na pewno była optymistką.

– Więc jeśli wszystko było w porządku, to co ci nie pasowało? Odwróciła się i wyjrzała na dwór, przez chwilę pochłonięta kontemplacją masy zieleni porastającej trejaż, tworzący wejście na podwórko. Na moje oko to mogła nawet być prawdziwa winorośl. W końcu odwróciła się do mnie.

– Widziałaś film *Inwazja pożeraczy ciał*? – spytała niepewnie.

– Jasne! – uznałam, że skoro Susan wyglądała na przekonaną o moim zdrowiu psychicznym, nie powinnam wspominać, że widziałam wszystkie trzy wersje, a tę z Donaldem Sutherlandem dwa razy. – Co chcesz powiedzieć? Że w Courtney żyła jakaś obca istota?

Susan powoli obrysowywała palcem wskazującym słoje wokół sęka w sosnowym stole.

– Chcę chyba powiedzieć, że Courtney, którą znałam, wydawała się nie do końca prawdziwa. – Pokręciła głową, niezadowolona z odpowiedzi. – Nie, nie fałszywa. Ale było w niej coś... dziwnego. Wyczuwałam, że jest jakieś inne, sekretne życie, które prowadzi tamta istota. Istota, która zbadała kulturę i obyczaje na północnym wybrzeżu Long Island, ale na egzaminie dostała tylko piątkę z minusem. Prawie idealnie, ale niezupełnie. Albo że jeśli tej istoty nie było, to może Courtney Logan czegoś brakowało i dlatego wydawała się nie do

końca prawdziwa.

– Czego brakowało? – spytałam.

– Tego czegoś, co czyni nas nie wyjątkowymi, ale podobnymi do innych. – Kolejna błyskawica. Światła zamigotały, ale nie zgasły, choć cyfrowe zegary na wbudowanym w ścianę piecyku i mikrofalówce zaczęły szaleńczo migać, usiłując zwrócić na siebie uwagę. Susan tego nie zauważyła. – Tego czegoś, co sprawia, że mamy poczucie, że ktoś obcy jest w porządku, że on czy ona jest podobnym do nas człowiekiem, że nie jest wariatem, że ma osobowość i nie stanowi zagrożenia. – Odstawiła szklankę na serwetkę, skrzyżowała na piersi silne ramiona i zwróciła się twarzą do mnie. – Wypowiedziane na głos, to brzmi idiotycznie.

– Nie, wcale nie brzmi idiotycznie. – Łatwo przyszło mi to powiedzieć, bo, pominąwszy jej widoczne umiłowanie własnej muskulatury, tak wiele w Susan, jej przeżywanie macierzyństwa na przedmieściach, historyczne i filmowe aluzje, świadomość własnego odizolowania, jej przemyślenia, przypominały mi mnie samą w jej wieku. – To brzmi, jakby twój intelekt potrafił się dobrze komunikować z twoim instynktem. Wiesz, im dłużej żyję, tym bardziej się przekonuję, że jeśli instynkt mówi ci, że coś jest nie tak, to coś rzeczywiście jest nie tak. – Zaraz dodałam: – Tylko jedno pytanie. Czy wyjaśnienie mogłoby być bardziej przyziemne? Że Courtney mogła być myślami gdzie indziej? Kłopoty finansowe firmy? A może romans?

Susan próbowała znaleźć odpowiedź, ale w końcu tylko wzruszyła imponującymi ramionami.

– Trudno powiedzieć, bo naprawdę jej nie znałam. Nigdy nie prowadziłam z nią dłuższej rozmowy sam na sam. Być może miała jakiś problem, który ją przygniatał. Ale romans? Mój instynkt, któremu, jak twierdzisz, powinnam ufać mówi: niemożliwe.

– Dlaczego?

– Ten wymiar człowieczeństwa, który sprawia, że wydajemy się sobie nawzajem prawdziwi? – Przerwała na chwilę, by zebrać myśli, potem ciągnęła ostrożnie. – Seksualność jest jednym z jego aspektów. Seksualność, którą wyczuwamy w innych ludziach jako oznaka tego, że są normalni. No wiesz, fakt, że osoba w ogóle przeżywa seksualność. Nieważne, czy ktoś jest oziębły czy ma ogromny temperament, albo praktykuje różne dziwaczne zachowania. Prawdziwi ludzie podświadomie wysyłają sygnały, że na przykład pewne aspekty seksu, to, że go potrzebują lub nie, albo że mogą to robić tylko w szpilkach, mają dla nich jakieś znaczenie. W przeciwieństwie do tych obcych istot.

– A w przypadku Courtney?

– Niech jej ziemia lekką będzie i tak dalej, ale była najbardziej rozswiergotaną i niemal aseksualną istotą ludzką, jaką znałam.

Nie tylko wspaniale umięśnione ciało sprawiało, że wokół Susan Viniar roztaczała się aura władzy. W przeciwieństwie do mówców i pyszałków, których celem jest zrobienie wrażenia, Susan mówiła ze spokojną prostotą, jakby jej słowa płynęły z serca i z głowy, z tak uczciwego serca i tak mądrej głowy, że po prostu musiały być prawdziwe.

– Dobrze – powiedziałam. – Jeśli więc przyjmiemy, że nie było kochanka, tylko mąż, który ją uwielbiał, sąsiedzi, którzy ją bardzo szanowali, przyjaciółki, które ją lubiły, a

przynajmniej uważały, że jest w porządku, to znów wracamy do pytania: Kto mógł chcieć ją zabić?

Susan jeszcze mocniej zacisnęła ramiona, jakby wykonywała ćwiczenia izometryczne albo poczuła chłód.

– Na podstawie tego, co widziałam? Co wiedziałam o Courtney? – Kiwnęłam zachęcająco głową. – Absolutnie nikt – oznajmiła.

Zatem nikt nie miał nic za złe Courtney Logan. To dlaczego w tym roku nie zrobi z bananów, truskawek i jagód ciasta na Dzień Flagi Narodowej? – pomyślałam.

Tej nocy, około wpół do jedenastej, burza wreszcie się skończyła, pozostawiając po sobie oszałamiający zapach ozonu i mokrej trawy. Lekki wiatr zawiewał przez otwarte okno sypialni i głaskał mnie delikatnie, jakby wiedział, że potrzebuję wyjątkowego traktowania. Nacisnęłam guzik i taśma z filmem *Stara znajomość*, który nagrałam wiele lat temu, wysunęła się z wideo. Chyba westchnęłam, jako wyraz uznania dla Bette Davis, Miriam Hopkins i damskiej przyjaźni. Nacisnęłam kolejny guzik i wyłączyłam telewizor.

To była jedna z tych rzadkich, cudnych nocy, gdy nie czułam samotności, przygnębienia czy przerażenia. Przygnębienia, że skończę w domu starców, pełnym stukających sztucznymi szczękami i palących lucky strike, trockistowskich brydżystów i republikańskich antysemitów. Przerażenia, że dostanę wstrząsu po ukąszeniu pszczoły, która wleci przez półcentymetrową szparę w ekranie w oknie sypialni. Znajdą mnie tydzień później, ze słuchawką ściśniętą w jednej rozkładającej się ręce, podczas gdy drugiej wystarczyło tylko siły, by wystukać 9-1...

Ta noc była przyjemna. Leżałam spokojnie na łóżku, poduszka była idealnie miękka, a koc lekki. Rozkoszowałam się słodyczą nadchodzącego lata, w sennym rozmarzeniu przenosząc się w przeszłość, aż na podwórko mojego dzieciństwa w Brooklynie. O ile dobrze pamiętam, chyba nawet nie myślałam o tym, kto zabił Courtney Logan, choć być może podświadomie rozważałam teorię znajomej (Susan Viniar) „Żadnych pozamałżeńskich przygód” przeciw hipotezie dobrej przyjaciółki (Kellye Ryan) „Courtney miała romans”. Przewróciłam się na bok, odwróciłam poduszkę, by dotykać policzkiem chłodnej poszewki i zamknęłam oczy. Ach. Gdy więc zadzwonił telefon, dźwięk przeszył mnie niczym prąd skazańca na krześle elektrycznym. Wierzgnęłam nogami, wydałam z siebie dziwny pomruk: „No nie!” i wychrypiałam do słuchawki: „Halo”.

– Cześć – powiedział.

– Cześć. – Nawet gdybym była bardziej przytomna, nie sądzę, bym udawała, że nie wiem, że to Nelson Sharpe.

– Jak leci? – spytał.

– Nieźle.

– To dobrze. Czy nie dzwonię za późno? – nie bełkotał, ale mówił bardzo wolno. Wypił chyba odrobinę za dużo. – Możesz teraz rozmawiać?

– Pewnie.

– Jak się masz?

– Dobrze – powiedziała. Wyobraziłam go sobie, jak opiera się o wyłożoną ciemnym

drewnem ścianę w zadymionym irlandzkim barze i rozmawia z automatu. Tyle że on nie był Irlandczykiem. Był z dziada pradziada protestantem, metodystą. Nie potrafiłam sobie jednak wyobrazić baru metodystów. Albo siedzi w biurze śledztw specjalnych, przy swoim biurku, którego dolna szuflada z na wpół opróżnioną butelką whisky jest nadal wysunięta. Potem dotarło do mnie, że wyobrażam sobie wszystko czarnobiało, co bez wątpienia było skutkiem zbyt częstego oglądania czarnych kryminałów. Otworzyłam oczy na rzeczywistość mojej ciemnej sypialni i zapytałam:

– Jak się masz, Nelson?

– Dobrze. Posłuchaj. Poszedłem spotkać się z paroma facetami.

– Tak? – rzuciłam zachęcająco.

– Paroma kumplami z wydziału zabójstw. Ta Courtney, ta która była synową Lalusia Phila. Miała samochód, land rovera.

Najwyraźniej czekał, że coś odpowiem, więc powiedziałam:

– Tak.

– Nie słyszałaś tego ode mnie, ale ta au pair, co u nich pracowała, zeznała, że widziała, jak Courtney nim odjeżdża. Ale później tej nocy, gdy mąż zadzwonił i przyjechała policja, to on tam stał, w garażu. W garażu w ich domu.

– Tak – powtórzyłam. Serce biło mi szybciej, niż powinno, choć pewnie mniej dlatego, że Nelson do mnie zadzwonił, a bardziej dlatego, że dzwonił w sprawie Loganów. Chyba. W każdym razie sięgnęłam ręką, by włączyć lampę i przegonić ewentualne fantazje. – Czy oni mają jakieś przypuszczenia, kto odstawił ten samochód z powrotem? Morderca z ciałem Courtney? Żywa Courtney, a morderstwa dokonano w domu?

– Jedyne ślady, jakie znaleziono w samochodzie, należały do Courtney. a także męża i au pair. Z tyłu mnóstwo odcisków palców dzieci.

– Mężowie jeżdżą samochodami swoich żon – powiedziałam. – W Nowym Jorku to nie przestępstwo.

– Tak. Pewnie. Ale nie ma śladów, by był w nim ktokolwiek dorosły, poza nimi obojgiem i au pair.

– Ale jeśli ktokolwiek choćby przez dwie sekundy planował ją zabić, to na pewno włożyłby rękawiczki – zaprotestowałam. – A fakt, że w samochodzie były odciski palców Grega Logana, mogą oznaczać, że wziął jej samochód, by zawieźć do naostrzenia kosiarkę czy coś takiego.

– Faceci z wydziału zabójstw mówią, że tamtego dnia było ciepło. – Pominął „d” w słowach „wydziału” i „dnia”, jakby uniesienie języka do podniebienia wymagało zbyt wiele wysiłku. – Ciepło jak na Halloween. Ktokolwiek miałby na sobie rękawiczki, wyglądałby dziwnie.

– Może to był ktoś w kostiumie na Halloween – zasugerowałam.

Czekałam, by Nelson, którego znałam, zaczął się ze mną spierać. Ale słyszałam tylko jego bardzo wolny oddech, więc pomyślałam, że chyba zasnął. I wtedy mnie zaskoczył.

– Jak dla mnie, to możesz mieć rację – powiedział. – Nie w kwestii kostiumu. Pewnie czytasz różne idiotyczne książki o seryjnych mordercach.

– Nie czytam.

– Ale dostatecznie dużo mówi się w telewizji o DNA, że, tak, jeśli nie była to decyzja pod wpływem chwili, nawet dureń by się zabezpieczył i włożył czapkę, aby nie zostawić nigdzie włosów. Może też rękawiczki i wsunął ręce do kieszeni czy co, żeby nikt nie zwrócił na nie uwagi.

– Albo wsunęła. – Po drugiej stronie zapadła cisza. Wyczułam, że Nelson czeka, bym mówiła dalej. Był chyba na tyle podпиты, że zapomniał, że to on zadzwonił. – Zatem samochód był w garażu – przypomniałam. Nie zamierzałam śpiewać „hosanna” z wdzięczności, bo informacja o land roverze stojącym w garażu była właściwie w każdej relacji, na którą się natknęłam. – Coś jeszcze?

– Z czym? – spytał zirytowany, jakbym próbowała wyciągnąć z niego policyjne sekrety. – Aha, robiła przegląd samochodu czternastego października.

– Tak. A zniknęła trzydziestego pierwszego.

– A wiesz, ile kilometrów przejechała tym samochodem między czternastym a trzydziestym pierwszym października?

– Ile? – spytałam, chyba zbyt gorliwie.

– Tysiąc sto czterdzieści trzy.

– O rany. Ale się musiała najeździć po mieście.

– Tak, Judith. Najeździła się po mieście.

I zanim zdążyłam spytać go o coś więcej, albo przynajmniej powiedzieć „dziękuję”, odłożył słuchawkę.

I na tym pewnie wszystko by się skończyło. Następnego ranka, w sobotę, nawinęłam włosy na gorące wałki. Wybierałam się na wystawę kobiecych alegorii Ameryki, organizowaną przez Nowojorskie Towarzystwo Historyczne. Pomyślałam sobie, że przy odrobinie szczęścia i dużej ilości lakieru, która niewątpliwie jeszcze powiększy dziurę ozonową, może uda mi się dotrzeć do mieszkania mojej córki z gładko ułożonymi włosami, a nie z sianem na głowie. Tam córka i jej chłopak podadzą mi obiad złożony z horrendalnie drogich, dziwnie zestawionych zagranicznych dań, kupionych w miejscowych delikatesach i restauracji na wynos. Ostatnim razem zaserwowali mi *bouillabaisse*, kurczaka *tandoori* i gnocchi wielkości piłek do tenisa.

Adam, chłopak Kate, szczupły, młody człowiek pracował w dziale prawnym MTV. Ubierał się w spodnie z tak nisko wiszącym krokiem, że wyglądały, jakby chodził z pełną pieluchą. Nosił tylko czarne koszule jak siepacze Duce. Zero krawatów. Jaki trzydziestoletni facet (który mówił, jakby spędził młodość w grupie raperów, a nie w liceum Palos Verdes Peninsula jak przeciętny biały chłopiec) tak hołdowałby modzie, że włożyłby na siebie raperski garnitur z watowanymi ramionami i bufiastymi spodniami? Czy będzie dobrym mężczyzną dla mojej pięknej, genialnej Kate? Za każdym razem, gdy ich odwiedzałam (bo on i jego szafa pełna faszystowskich koszul wprowadzili się do niej), wpadałam w ciężką melancholię, już nie mówiąc o niestrawności.

Tyle że o dziesiątej zadzwoniła Kate i powiedziała, że musi odwołać spotkanie, bo wezwano ją do biura, by zapobiegła próbie wrogiego przejęcia. Powstrzymałam się od

zapytania o to, o co chciałam zapytać, to znaczy, co, do diabła, jest takiego ważnego w tym przejęciu, że nie może ono poczekać do poniedziałku. Ani razu nie westchnęłam, by nie wzbudzić w Kate poczucia winy. Kobiety bez mężów są skazane na łaskę i niełaskę swoich dzieci. Powiedziałam więc, że czekam na spotkanie z nią, jak tylko zażegna kryzys. Poszłam do łazienki, wyjęłam z włosów lokówki i rozczesałam włosy palcami. Zerknąwszy w lustro, ucieszyłam się, że nie przypominam Mike'a Myersa odgrywającego swoją teściową. Wyglądałam na kobietę zmysłową, choć jakby nieco zmęczoną życiem, połączenie Anny Magnani i Simone Signoret, choć przyznaję, na moją korzyść działał półmrok, bo zapomniałam zapalić światło.

Potem zeszłam na dół, zdecydowana nie rezygnować z pójścia na wystawę tylko dlatego, że nie miałam w perspektywie kontaktu z człowiekiem. Postanowiłam jednak pojechać późniejszym pociągiem. Gdy więc nieco po wpół do jedenastej zadzwonił dzwonek u drzwi, zdążyłam się już spocić i zirytować, bezskutecznie próbując pożenić swojego nowego palmtopa z komputerem.

Oczywiście wołając: „Kto tam?” obrzydliwie melodyjnym tonem, wyobrażałam sobie, że przed drzwiami stoi Nelson. Usłyszawszy ubiegłej nocy mój syreni głos w słuchawce, nie mógł się powstrzymać, by nie przyjść. Gdy więc wyjrzałam przez wizjer i go zobaczyłam, a potem usłyszałam: „Nelson Sharpe”, przez chwilę stałam jak ogłupiała, zdumiona, że to naprawdę on. Szybko osuszyłam spoconą twarz ręką spodnicy, odchyliłam dekolt podkoszulka, by chłodne powietrze owiało mi pachy i otworzyłam drzwi.

– Ja, hm... – zaczął. Tym razem nie miał na sobie marynarki w pepitkę, która mogłaby mnie zniesmaczyć. Najwyraźniej w jednostce śledztw specjalnych w soboty obowiązywał strój swobodny. Nelson w kraciastej koszuli i dżinsach wyglądał tak smakowicie, że na pewien czas zapomniałam o złotej obrączce na jego lewej ręce.

– Wejdziesz?

– Nie chcę przeszkadzać.

Znałam go na tyle dobrze, by wiedzieć, że chce się tylko upewnić. Nelson był bardzo skrupulatny. Prawdopodobnie już kilkakrotnie przejechał koło domu, jakiś czas go obserwował, a potem zajrzał do garażu, gdzie zobaczył tylko jeden samochód. Mój samochód, zarejestrowany na mnie, którego numer sprawdzili ludzie z jego jednostki po mojej kolacji z Lalusiem Philem. Niewątpliwie doszedł do wniosku, że prawie na pewno Bob jest w mieście i w sobotni poranek porządkuje biurko.

No dobrze, naprawdę zdziwiło mnie, że Nelsonowi nie przyszło do głowy, że styl pracy mojego męża mógł się zmienić w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Z drugiej strony gdyby Bob żył, bez wątpienia byłby teraz w swoim biurze.

Minutę później obrączka na palcu Nelsona błysnęła do mnie zimnym światłem, gdy usiedliśmy o metr od siebie na kanapie w salonie.

– Słuchaj – powiedział. – Jeśli chodzi o wczorajszy wieczór...

– Nie jesteś pewien, co mi powiedziałaś. Boisz się, że mogłeś mi szeptać do ucha słodkie głupstewka? Spokojnie. Nie zbłąźniłeś się.

– Nie, nie – zaprotestował ze śmiechem z lekka szyderczym. Potem z pasją detektywa

zajął się splotem tkaniny na podłokietniku kanapy. – Martwię się, że mogłem powtórzyć pewne, hm, luźne rozmowy z paroma facetami o sprawie Courtney Logan.

– Facetami z wydziału zabójstw.

– Facetami z wydziału zabójstw – powtórzył cicho.

– Hm, nie wypaplałeś żadnych tajemnic państwowych... Przestań ciągnąć za tę nitkę. Rozprujesz mi całą kanapę.

– Wcale za nią nie ciągnąłem.

– A co robiłeś? Szukałeś na niej śladów?

Przesunął się tak, że teraz siedział przodem do mnie. Nogi miał rozsunięte. Zorientowałam się, że gapię mu się w oczy, by się zahipnotyzować i nawet przez chwilę nie zerknąć na wypukłość w jego dzinsach. Źle, gdy facet ci się po prostu podoba. Ale jest o wiele gorzej, gdy już wiesz, jaki to skarb kryje się w jego spodniach. A czego się spodziewałam? Że mu się skurczy, gdy Nelson przekroczy pięćdziesiątkę?

Gapienie mu się w oczy stanowiło pewien problem, bo miał je wielkie, piękne, brązowe i aksamitne. Łagodne, prawie jak krowie, choć to sugeruje nierozgarnięcie, a jego były, tak jak kiedyś, nadal inteligentne i ożywione. I seksowne. Kobiety wiedzą, o czym mówię. Niektórzy faceci mają w oczach ogień, który przydaje ich spojrzeniu żaru, gdy patrzą na kogoś, kogo pragną. Nelson miał takie oczy pewnie już w wieku dziesięciu lat. Stanowczo miał je przed czterdziestką, gdy byliśmy kochankami. Wiedziałam, że będzie je miał do końca życia.

– Słuchaj, Judith, czy moglibyśmy porozmawiać szczerze? Przestałam patrzeć mu w oczy.

– Nie.

– Nie? – Wydawał się zszokowany, jakbym powiedziała coś, co zbulwersowałoby każdego przyzwoitego człowieka.

– Chyba że chcesz szczerze rozmawiać o sprawie Courtney Logan – dodałam.

– Słuchaj, czy nie sądzisz... Gdy wpadliśmy na siebie przypadkiem w zeszłym roku, nie sądzisz, że to było przeznaczenie? – Głos Nelsona był tak cichy, że wpadał w sypialniany szept.

– Przeznaczenie? Co się z tobą dzieje? Kupujesz płyty z szumem fal i dźwiękami japońskich dzwonek? Odpowiedź brzmi: nie, to nie było przeznaczenie. Spotkaliśmy się przypadkiem, bo mamy te same zainteresowania.

– Zmrużył oczy, co chyba znaczyło, że wkurzył się, bo skojarzyłam go z na – jgraniami fal i dzwonek, więc szybko dodałam: – Mówiąc zainteresowania, \ mam na myśli zabójstwo.

– Nie pracuję już w wydziale zabójstw. Mówiłem ci o tym.

– Dlaczego odszedłeś? – Nie odpowiedział. – Nelson, sam odszedłeś? Czy cię wypchnięto?

– Wypchnięto – powiedział cicho do swoich kolan.

– Co się stało?

– Nic ważnego. – Chyba czekał, że coś powiem. Gdy milczałam, dodał:

– Polityka wydziałowa. Powiedzieli, że to nie w porządku, że ja jestem tam już tak długo,

a tylu facetów chce się dostać i czyż to nie jest wspaniała okazja, bym stworzył własną jednostkę, elitarną i takie tam gówno.

– Jak należało to rozumieć?

– Bierz to albo nic.

– Myślałeś o tym, by odejść, przejść na emeryturę i robić coś innego?

– Wydział zabójstw to najlepsza robota. Co mógłbym robić, gdybym przeszedł na emeryturę? Być szefem ochrony w jakimś centrum handlowym i przymknąć nastolatkę za kradzież szminki?

– Podoba ci się to, co teraz robisz?

Pokręcił głową, zanim zdążyłam ułożyć zdanie, że praca przy śledztwach specjalnych może być ciekawym zajęciem.

– To bardziej siedzenie niż prowadzenie śledztwa – powiedział. – Podśluchy, obserwacja, szukanie śladów machlojek finansowych, które nudzi mnie aż do obrzydzenia. W dzisiejszych czasach faceci tacy jak twój przyjaciel Lалуś Phil zajmują się głównie operacjami giełdowymi z rosyjską mafią, więc te sprawy bierze FBI, a nie my. Oczywiście, jeśli Phil chce komuś rozwalić łeb, to nie robi tego sam. Wynajmuje faceta, który wynajmuje faceta, który znajduje jakiegoś głupiego dzieciaka, który to robi.

– Czy to dlatego za nim łazicie? Myślisz, że zlecił zabójstwo?

– Wiesz, że nie mogę ci tego powiedzieć.

– Nie uważasz, że twoja praca jest nadal ważna? Tropisz przestępców. Usta mu się rozciągnęły w czymś, co było chyba cynicznym uśmiechem.

– Przynajmniej nie jestem w mundurze i nie opowiadam dzieciakom: Dzień dobry, dziewczynki i chłopcy, witajcie w bezpiecznym mieście.

To zdumiewające jak szybko, nawet po dwudziestoletniej przerwie, dawni kochankowie mogą się porozumieć i znów być parą. Zasady zostały dawno ustalone, parametry jeszcze się nie zmieniły. Poza plusami i minusami związanymi z wiekiem, pewnością siebie, którą przykryliśmy jak plastrem rany dzieciństwa oraz starzeniem się ciała i naszych marzeń, nadal pociągało nas w sobie to samo.

Gdy ręka Nelsona sięgnęła przez dzielącą nas poduszkę kanapy, moja już czekała, by ją z troską uścisnąć i poczuć znajomą wielkość i ciepło jego dłoni. Niestety, wyciągnął do mnie lewą rękę, tę z obrączką z jego obecnego małżeństwa. Splotłam ręce na kolanach i powiedziałam:

– Wyczuwam, że to niejedyna rzecz w twoim życiu, która cię unieszczęśliwia.

– W wydziale zabójstw czułem się absolutnie na swoim miejscu. Gdy stworzyli dla mnie tę nową jednostkę, to było jak wygnanie z raju. Powtarzałem sobie: „Cóż, mam jeszcze coś innego, co daje mi szczęście. Jestem Adamem i nadal mam swoją Ewę”. Tak naprawdę ma na imię Nicole. A potem któregoś wieczoru oglądaliśmy telewizję i spojrzałem na nią... Wcale nie była. Nie była moją Ewą. Gdy rozmawialiśmy, cały czas myślałem, kim, do diabła, jest ta kobieta i...

– Nie mogę ci pomóc.

– A najgorsze jest to, że ona chyba czuje to samo, ale...

– Nie chcę słuchać o twoim małżeństwie. Ani tym, ani poprzednim.

– Judith, uwierz mi. Nie jesteś dostatecznie wyluzowana, byś mogła wygłaszać gadki w stylu „nie chcę się angażować”.

– Jak pewnie wiesz, darzyłam cię uczuciem. Być może nadal tak jest, albo mogłoby być. A jeśli tak, to najprawdopodobniej już zawsze tak będzie. Ustaliliśmy, by się nigdy więcej nie spotykać, nie dlatego, że już się sobą znudziliśmy albo zaczęliśmy się nawzajem nie znosić. Nadal byliśmy zakochani. Więc nawet mimo tego, że tak wiele wody upłynęło, i w twojej, i mojej rzece, kusząca jest myśl, że moglibyśmy zacząć tam, gdzie skończyliśmy, albo przynajmniej zacząć coś na nowo. Może nie powinnam tego mówić. Może ty potrzebujesz jedynie, by ktoś cię po przyjacielsku poklepał, a moje myśli, że chcesz czegoś więcej, okropnie cię krepują, bo obecnie gustujesz w apetycznych dziewiętnastolatkach.

– Daruj sobie te bzdury.

– Pozwól, że ci wyjaśnię, dlaczego tak się nie stanie. Westchnął znudzony, jakby już wiedział, co powiem.

– Zrozumiałaś, że naprawdę kochasz Boba i mimo, że nadal czujemy do siebie psychiczny i fizyczny pociąg, to nie usprawiedliwia ple, ple, ple.

– To ple, ple, ple sprowadza się do tego, że Bob zmarł nagle dwa lata temu. – Oslupienie sprawiło, że przez chwilę jego inteligentna twarz wydawała się bezmyślna i tępa. Opuścił głowę. Nie widziałam jego twarzy, ale rumieniec na policzku rozszerzał się mu na ucho, więc domyśliłam się, że jest mu głupio z powodu tego ple, ple, ple. – Nie jest już ze mną tak kiepsko jak na początku – ciągnęłam.

– Ale nie mogę sobie pozwolić na uczucie do żonatego faceta, który ma problemy.

– Spodziewałam się, że i tak opowie mi o problemach w swoim małżeństwie, ponieważ wielu mężczyzn wierzy, że kobiety nie mogą działać wbrew swojej naturze, która każe im się wszystkim opiekować, począwszy od złotej rybki w akwarium, a skończywszy na gliniarzach w średnim wieku, cierpiących na depresję.

Zamiast tego powiedział:

– Przykro mi z powodu twojej straty. Naprawdę przykro. Wstał. Ja też.

– Dziękuję.

– Nie będę ci więcej zwracał głowy.

Te ostatnie słowa omal nie wywołały zamierzonego efektu, czyli żebym pociągnęła nosem, załkała i rzuciła się mu w ramiona, by mnie pocieszył. Ale nie mogłam sobie na to pozwolić. Od początku liceum należałam do tych dziewczyn, które tracą wszelki rozsądek, gdy pojawia się miłość. Pozwalałam, by facet zajmował w mojej głowie tyle miejsca, że nie mogłam wykonać żadnej czynności, od krojenia selera naciowego po obronę pracy doktorskiej, nie poświęcając mu przy tym trzech czwartych moich myśli. Tym razem nie dopuszczę, by do tego doszło.

– Doceniam to, Nelson.

Powoli, jak dwaj badacze wycofujący się po nieudanej próbie zdobycia bieguna, powlekliśmy się do drzwi wejściowych.

– Och, zapomniałem ci powiedzieć to, z czym tu przyszedłem. – Kiwnęłam głową, żeby

mówił. – Niewiele tego. Powinienem trzymać buzię na kłódkę, ale nic się nie stanie, jeśli nie będę. Jest tak: chłopaki w zasadzie przestali już szukać broni, z której zastrzelono Courtney.

– Co to było?

– Prawdopodobnie walter PPK/S. Wiesz, co to jest?

– Mogę sprawdzić. Dlaczego przestali? A gdzie szukali?

– Nie wiem. Zapewne w domu i wszędzie na terenie wokół, na parkingu przed sklepem, dokąd podobno pojechała.

– Czy w jej samochodzie były jakieś zakupy?

– Nic o tym nie wiem. Wyczułam, że to oznacza „nie”.

– Mam wrażenie – powiedziałam – że albo masz obsesję na punkcie tego, co się dzieje w wydziale zabójstw, albo wiesz o tej sprawie więcej, niż szef jednostki do spraw przestępczości zorganizowanej wiedzieć powinien.

– Ty jesteś w nią zamieszana. A ponieważ ojcem Grega Logana jest Laluś Phil Lowenstein, mam powód, by się nią interesować. – Rękawy kraciastej koszuli miał podwinięte. Teraz je rozprostował i zaczął z powrotem podwijać.

– Myślisz, że powinni nadal szukać narzędzia zbrodni?

– Bez komentarza.

– Nelson, nie jestem reporterką podstawiającą ci mikrofon pod nos. Jestem...

Pokręcił głową.

– Bez komentarza.

– Dobrze, pozwól więc, że ja będę mówić. Wydaje mi się, że ktokolwiek prowadzi to śledztwo, porucznik Jakiśtam, mam gdzieś zapisane jego nazwisko, nie jest zbyt dokładny. Może powinien poszukać trochę staranniej.

– Dlaczego to mówisz? – spytał, w końcu zadowolony z ułożenia rękawów.

– Gdybyś to ty prowadził sprawę, czy nie przyszyłoby ci do głowy, gdy nagle zaginęła wzorowa obywatelka miejscowej społeczności, żona i matka i nie można było jej odnaleźć, że warto by szybciotko zajrzeć pod pokrywą basenu na jej podwórku, nawet jeśli wyglądała na porządnie umocowaną. Czy też może się myłę? – Nie odpowiedział, ale zmarszczył nos w taki sposób, że wiedziałam, że coś mu nie daje spokoju. – Gdybyś ty był szefem, czy nie pomyślałbyś sobie:” A co tam, do diabła, zajrzę szybko, by sprawdzić, czy nie ma tam ciała. A może broni”.

– To bardzo niechlujne śledztwo – powiedział Nelson tak cicho, że ledwo go słyszałam.

– Pytali sąsiadów, czy tamtego wieczoru widzieli kogoś podejrzanego w pobliżu?

– Nie zadaje się takich pytań. Bardzo często przestępcą jest ktoś z sąsiedztwa. Pytamy: „Co pan/pani widział/ła?”

I zanim mogłabym zapytać o coś więcej, nacisnął klamkę, wyszedł na słońce i cicho zamknął za sobą drzwi.

Następny dzień, niedziela, był mniej nudny niż zwykle, bo Larry, mąż Nancy, wyjechał. Jego najnowszy klient, jakiś prawie miliarder z firmą internetową, który w młodości chyba za dużo grał w Dungeons and Dragons, chciał z Larrym skonsultować projekt gotyckiego zamku o powierzchni prawie czterech tysięcy metrów kwadratowych, gdzieś w północnej Wirginii.

Odrzuciłam pomysł gry w tenisa, a Nancy zawetowała mój ulubiony sport, czyli siedzenie na werandzie. Skończyło się więc na tym, że spacerowałyśmy po plaży wzdłuż zatoki Shorehaven, fragmentu cieśniny Long Island, która w trakcie odpływu zamienia się w płaski trakt z mokrego, ubitego piasku i połyskujących wodorostów, wysypany czarno-niebieskimi muszelkami małży zjedzonych na obiad przez mewy.

– To nieważne, że gliniarze są niechlujni – powiedziała Nancy. – Martwię się tym, że unikasz prawdy jak starego, parszywego, wściekłego psa.

– Cicho! Mówisz jak pewien rasistowski senator.

– Nie rozumiesz, o co mi chodzi.

– To znaczy? – spytałam.

– Ze nawet jeśli wydział zabójstw jest tak niechlujny, jak go określa porucznik Przystojniak...

– Jest teraz kapitanem.

– Nawet jeśli kapitan Przystojniak ma rację co do niechlujności metod, to ci faceci z wydziału zabójstw pewnie mają rację, że to Greg Logan zabił Courtney. Po co mieli zdejmować pokrywę z basenu i zadawać irytujące pytania połowie Shorehaven? Aż za dobrze wiedzą, kto to zrobił. – Przez kilka sekund cieszyłam się ciszą, gdy ostrożnie wspinałyśmy się na śliskie od wodorostów skały. Popołudniowe czerwcowe słońce, wcześniej żółte i ciepłe, rozżarzyło się do białości i paliło zaciekle jak w najgorętsze dni sierpnia. Osuszało maleńkie kałuże w pustych muszlach małży, wypełniając plażę odurzającym zapachem martwych ryb. Odwróciłam się od fal leniwie uderzających o brzeg i spojrzałam na dom w kształcie białych prostopadłościanów na wspornikach, zbudowany na skarpie nad plażą. – Przestań się gapić na nieruchomości i unikać tego, co musisz zrobić – rozkazała Nancy.

– To znaczy?

– Zadzwoń do Lalusia Phila i powiedz mu wprost: „Kochanie, wygląda na to, że to robota synalka”.

– Wiesz co, nawet jeśli się mylisz, to masz rację – powiedziałam. – Bo pomijając Grega, rozmawiałam prawdopodobnie z większością ludzi, z którymi rozmawiała policja. I jak dotąd nie mogę zrozumieć, dlaczego tak kurczowo trzymają się pomysłu, że zrobił to Greg, że nie szukali gdzie indziej. Mogą być niechlujni, Nancy, ale nie są głupi.

– Mówisz to z przekonaniem osoby niezwiązanej blisko z organami ścigania hrabstwa Nassau. A przynajmniej już nie.

– Potrafię całkiem trafnie odgadnąć, dlaczego uczepili się Grega, poza tym że on jest mężem ofiary. Ktoś powiedział im coś, czego nie powiedział mnie. Coś, co sprawiło, że w wydziale zabójstw zaczęli myśleć: „Stanowczo, to musiał zrobić mąż”.

Nancy westchnęła zniecierpliwiona.

– Na litość boską, to policjanci! Autentyczni przedstawiciele prawa. Nie bierz tego osobiście, laleczko, ale dlaczego spodziewałaś się, że ludzie będą tak otwarci wobec jakiejś historyczki jak wobec policji hrabstwa Nassau?

– Po pierwsze, ja nie jestem tylko jakąś historyczką. Jestem wrażliwą istotą ludzką, która potrafi pytać i słuchać. Dlaczego ktoś z nich miałby mnie okłamać?

– Może nie było to celowe wprowadzenie w błąd, tylko przeoczenie.

– Nancy, rozmawiali ze mną szczerze i otwarcie, bez żadnych zahamowań. A przynajmniej tak mi się wydaje. I wiesz, czego się dowiedziałam o Courtney? Miła, energiczna. I zimna, upośledzona uczuciowo. Zmysłowa i kompletnie aseksualna. Szaleńczo zakochana w swoim mężu, a może miała romans.

– Jedno z drugim łatwo pogodzić – zapewniła mnie Nancy ochoczo.

– Posłuchaj, po tych wszystkich wywiadach, także z ludźmi, do których policja nigdy nie dotarła, na przykład z jej najlepszą przyjaciółką, po całym tym węszeniu, nie mogę zrozumieć, kim naprawdę była Courtney Bryce Logan. Poza tym bez względu na to, czy była zagadką, aniołem czy ostatnią dziwką, kto mógł skorzystać na jej śmierci? Nikt.

– Tyle że Greg miał powód, by chcieć jej śmierci. Zabrał przecież ich wspólne pieniądze i przelał na własne konto.

– Ale to była reakcja na jej podbieranie pieniędzy z ich wspólnego konta. Wziął czterdzieści tysięcy dolarów. Dla niektórych ludzi może i duża kwota, ale nie dla niego. – Nancy przyglądała się ruinom starego falochronu niedaleko nas, z miną jakby chciała się na nie wspiąć, razem ze mną. Usiadłam więc na piasku i mówiłam dalej: – Chyba że uważasz, że w tej sprawie nie chodziło o pieniądze. Może on miał romans i chciał być wolny. Ale mogłabyś powiedzieć, że w tym wypadku wziąłby dobrego adwokata od rozwodów. Chyba że... lepiej, by nie żyła, niż gdyby miała wypaplać sekrety Laiusia Phila, rzeczy, które podsłuchiwała w domu.

– Podczas gdy ty, bez mojego udziału, prowadzisz ze mną ten błyskotliwy dialog, ja pójdę sprawdzić ten falochron – rzuciła Nancy.

Pokręciłam głową i poklepałam piasek obok mnie. Z ociąganiem, słusznie zgadując, że to tylko jedna z moich sztuczek, by uniknąć przejścia jeszcze jednego kilometra, usiadła koło mnie, odpięła rogową spinkę, która przytrzymała jej włosy i skręciła je w coś w rodzaju francuskiego koka.

– Nie sądzę, by Courtney Logan z Olympii w stanie Waszyngton znała jakieś gangsterskie sekrety. Nancy, posłuchaj. Głównym celem Laiusia Phila było trzymać swojego syna z dala od mafiosów, rosyjskich zbirów i całej tej bandy szumowin. On jest dumny, że Greg studiował na Uniwersytecie Browna. Dumny, że Greg na swoją firmę, pożycza pieniądze w normalnym banku.

1 dumny ze swoich wnucząt.

– Może Luluś Phil sam miał romans z Courtney i szeptał sekrety do jej różowego uszka – zasugerowała Nancy. – I dlatego ona musiała umrzeć.

– Nie. On by nigdy nie zdradził swojego syna.

– Dlaczego nie? Tak było w tym filmie, który widziałyśmy razem. O teściu i synowej. Taki krótki tytuł. Grał Jeremy Irons. I ta aktorka z ustami. – Nancy, która nigdy nie potrafiła usiedzieć zupełnie bez ruchu, zaczęła wyciągać dłonie w kierunku palców stóp. – A może Courtney wywieriała na Grega zbyt dużą presję. Zdobądź majątek, kup mi mieszkanie w Nowym Jorku albo biurko w stylu Ludwika XV.

Przypomniałam sobie, co mówiła Kellye Ryan o tym, że Courtney chciała, by Greg

otworzył kolejne Soup Salad Sandwiches na Zachodnim Wybrzeżu, ale raczej nie wyglądało to na wywieranie takiej presji, która popchnęłaby męża do zamordowania żony.

– Wiesz, policja nawet nie rozmawiała z wszystkimi przyjaciółkami Courtney. Myśleli... myślą, że mają mordercę i motyw.

– Spójrz prawdzie w oczy. To Greg jest zabójcą – upierała się Nancy. – Choć przy takim rezultacie śledztwa Lalus Phil raczej nie napisze ci referencji.

Na moje oko mogła mieć rację. Jednak zapytałam głośno samą siebie:

– Z kim rozmawiała policja? Z sąsiadami. Gregiem. Lalusiem Philem. I z kim jeszcze? Kto mógł rzucić na Grega cień podejrzenia? – Nancy nie odpowiedziała, ale westchnęła triumfująco, gdy czubkami środkowych palców udało się jej w końcu dotknąć palców stóp. – Powiem ci kto. Steffi, au pair.

– Ależ z nią też rozmawiałaś i ona mówiła tylko same miłe rzeczy...

– Cóż, to była dopiero nasza pierwsza rozmowa.

Rozdział 9

Nie mogę powiedzieć, że na wyścigi pogałam do Connecticut, bo to by sugerowało jazdę porsche sto dwadzieścia na godzinę autostradą 1-95. Eee tam, porsche. Oprócz tego, że droższy o czterdzieści tysięcy od mojego dzipa, to łatwiej też mi było wyobrazić sobie siebie w roli bogini seksu z przedmieścia, gdy wysiadam z samochodu terenowego, niż jak gramolę się z czegoś z niskim zawieszeniem, wściekle zielonego i kształtem przypominającego penisa. Prawda jest jednak taka, że po spacerze z Nancy po plaży wskoczyłam pod prysznic, ubrałam się i ruszyłam w drogę. Właśnie mijałam niezwykle nobliwy napis „Witamy w Whitsbury” (przy czym litery miały dosyć staroświecki kształt, więc Whitsbury wyglądało jak Whitfbury), gdy uświadomiłam sobie dwie rzeczy. Nie zadzwoniłam do Steffi Deissenburger, by zapytać, czy mogę z nią jeszcze raz porozmawiać i że czwarta trzydzieści w niedzielę po południu to chyba nie najlepszy moment, by tak po prostu do kogoś wpadać. Wygłosiłam więc pod swoim adresem wykład, mający mi dodać pewności siebie, który zapożyczyłam z jednej z książek z cyklu „Kobiety, które siebie nienawidzą/kobiety, które siebie kochają”. Zamawiam te książki przez internet, bo wstydę się o nie pytać w księgarni Dolphin w mieście.

Zanim się obejrzałam, już mówiłam Andrei Leeds, pracodawczyni Steffi, że nazywam się Judith Singer, tak, tak jak maszyna do szycia, a ona mówiła mi, że niedziela to dla Steffi dzień wolny, więc pojechała (między brwiami Andrei powstały dwie pionowe zmarszczki złych przeczuć) na Manhattan.

– Pani Leeds, przepraszam, że wpadłam bez uprzedzenia, ale odwiedzałam przyjaciół w New Canaan i zapomniałam notesu z telefonami. – Trzy kłamstwa w jednym zdaniu. Nie żałowałam, że wpadłam bez uprzedzenia, nie znałam nikogo w New Canaan i spędziwszy zwariowaną sobotnią noc na próbach zmuszenia do współpracy mojego palmtopa i komputer, stałam się supercyberbabeczką, która nie potrzebuje żadnych notesów. – Jestem w zarządzie biblioteki Shorehaven. To stąd znam Steffi. Często tam przychodziła z dziećmi Loganów.

– Proszę, wejdz. – Pani Leeds miała na sobie żółtą koszulkę polo i krótką żółtą spódniczkę w zielone żabki, uznałam więc, że właśnie wróciła z lekcji golfa. Była wyższa ode mnie o głowę i chyba można by ją nazwać smukłą. Dosyć kanciasta, prawie koścista, z wystającymi łokciami i kolanami. Twarz miała owalną, ale z szerokim czołem i wydatnymi kośćmi policzkowymi, więc był to raczej owal ułożony w poprzek. Z nieskazitelną fryzurą na pazia, kończącą się równo z jej szeroką szczęką, ogólnie sprawiała wrażenie kobiety, która wydaje się większa, niż jest w rzeczywistości.

– A tak na marginesie, mów mi Andy. – Poprowadziła mnie holem, robiąc tak wielkie kroki, że musiałam przebierać nogami dwa razy szybciej niż ona, by dotrzymać jej kroku. Ściany były pokryte oprawionymi w ramki dziecięcymi rysunkami. – Zajmuję się teraz moimi dziewczynkami. – Uśmiechnęła się na znak, że zdaje sobie sprawę, jak to pompatycznie zabrzmiało, więc odpowiedziałam uśmiechem, by pokazać, że zrozumiałam.

Zaprowadziła mnie do pokoju, którego nie widziałam podczas poprzedniej wizyty.

Biblioteka. Wspaniała. Przez wysokie okna i drzwi balkonowe wpadało popołudniowe słońce. Światło odbijało się od jasnej boazerii, nadając jej złocisty odcień. Kanapa kryta końską skórą była tak częstą używana, że wyglądała, jakby na jej gustownie popękanych poduszkach rozsiadł się niewidzialny człowiek. Na półkach stały książki, prawdziwe książki, z załamaniem przez środek grzbietu, które świadczyły, że zostały przeczytane, albo przynajmniej otworzone. Wystarczyło raz wciągnąć powietrze, by wiedzieć, że to nie zapleśniałe tomy, które właściciele domów kupują na metry, by sprawiać wrażenie odczytanych. Czułam, że gdyby Courtney zobaczyła bibliotekę u Leedsów, w ułamku sekundy zrozumiałaby, że mimo botanicznych rycin na wstążkach i serwetek w koszach na śmieci, to Andy Leeds tym pokojem pełnym książek (na oko dobry, ale mało zaskakujący zbiór utworów białych, anglojęzycznych pisarzy) osiągnęła właściwy efekt.

– Gwendolyn, Gwyneth, to jest pani Singer.

Identyczne bliźniaczki jednocześnie pisały wesołe „dzień dobry” i coś, co brzmiało jak „pani Singer”, bardzo grzeczne powitanie, które moje dzieci zdołały opanować dopiero po dwudziestce. Potem siedząc razem w fotelu, wróciły do oglądania książeczki *Sion, który wysiedział jajko*. Gwen i Gwyn nie tylko miały słowiańskie rysy, jasnobrązowe włosy i długie kończyny swojej matki. Ubrane były w takie same żółte stroje w żabki. Wątpiłam, by trzylatki grały w golfa, nawet w Whitbury, doszłam więc do wniosku, że te żabki u matki i córek były chyba jakimś trendem w modzie, który, jeśli Bóg dopomoże, nie przeżyje podróży przez cieśninę Long Island do Shorehaven.

Pogratulowałam Andy Leeds oglądy dziewczynek, uznawszy, że słowo „ogląda” bardzo się spodoba. Andy powiedziała:

– Gwendolyn i Gwyneth, powiedzcie pani Singer „dziękuję”.

Cała procedura zajęła pół godziny, po czym Andy zaproponowała, bym usiadła przy małym stole, zapewne antyku, przy którym ona i pan Leeds wieczorami grali pewnie w wista.

– Tak się cieszę, że Steffi znalazła miłą rodzinę, dla której pracuje – powiedziałam.

– Bardzo ją lubimy.

Pod właściwą wyższym sferom uprzejmością wyczułam w Andy autentyczną dobroć. Jednak odkryłam też niezadane wprost pytanie. Każdy rodzic, który zostawia swoje dzieci pod opieką właściwie obcej osoby, nawet tej z porządnym CV i entuzjastycznym listem polecającym, szuka dodatkowego zapewnienia. Zwłaszcza wtedy, gdy rzeczona młoda kobieta przychodzi z domu, w którym popełniono morderstwo.

– Wydaje się wspaniałą młodą kobietą – powiedziałam tylko tyle, bo nie chciałam wygłaszać pochwał o kimkolwiek związanym z Courtney Logan.

– Jaki to musiał być dla niej koszmar! – Moja gospodyni się wzdrygnęła. Żabki na jej spódnicy zatrzęśły się ze współczuciem.

– Zobaczyć, jak ktoś tak po prostu odjeżdża – cmoknęłam – i nigdy...

– Napijesz się lemoniady? – spytała Andy Leeds, wymownie spoglądając na córki. Opuściliśmy pełną złocistego blasku bibliotekę i bliźniaczki, na które najwyraźniej można było liczyć, że nie pozabijają się ściągniętymi z półek książkami Trollope’a i Updike’a, i przeszliśmy do kuchni.

Kolejna mama, kolejna kuchnia. Kolejna skomplikowana kuchenka z sześcioma palnikami i kilkoma dziwnymi piecykami, jakby wszystkie te kobiety z przedmieść starały się o trzy gwiazdki Michelina. Andy Leeds wyjęła dzbanek z lodówki i wlała lemoniadę na kryształowe kostki lodu w wysokich szklankach.

– Nadal podejrzewają męża? – spytała.

– Z tego, co słyszałam, tak.

– On się wydaje... – zawahała się. Kiwnęłam głową, jakbym już wiedziała, co powie. Jednak serce mi mocniej zabiło, jakby próbowało wyprzedzić strach, który zaczął mnie ogarniać. Zaraz usłyszę wieści, które nie spodobają się Lalusiowi Philowi. Miałam rację. – Mówiąc brutalnie, ten Logan musi być okropny – powiedziała Andy stanowczo. Cóż, stwierdziłam, Lalus Phil będzie sobie musiał z tym poradzić, choć nie cieszyłam się na myśl, że będę świadkiem jego próby opanowania gniewu. W każdym razie gdybym miała wybrać jakieś motto, które chciałabym umieścić na koszulce, to brzmiałoby ono: „Nie bój się prawdy”. – Po prostu wstrętny – powtórzyła.

Zatem główny świadek w sprawie, au pair Loganów, Steffi Deissenburger powiedziała, że Greg był okropny? No tak, to nie plus. Czy Steffi zwierzyła się z okropności Grega tylko Andy Leeds? Czy także wydziałowi zabójstw policji hrabstwa Nassau? To byłby duży minus. A jednak lepiej znać prawdę i próbować się z nią uporać. Udałam więc, że dobrze przyjąłam słowo „okropny”. Nawet pokiwałam głową. Jakie to okropne, że Greg Logan był okropny! Potem westchnęłam z, jak mam nadzieję, współczuciem. Czułam, że Andy Leeds jest poruszona i o krok od zapomnienia, że ludzie dobrze wychowani zachowują dyskrecję. Najlepiej, jeśli moim największym wkładem w rozmowę będzie trzymanie buzi na kłódkę.

W odpowiedzi usłyszałam westchnienie typu „dziękuję, że rozumiesz”. W końcu, zanim byłabym zmuszona wydać z siebie pomruk w rodzaju „proszę bardzo”, dodała:

– Nie mieści mi się w głowie, że to mógłby być tylko zbieg okoliczności. Jego żona zaginęła zaledwie trzy czy cztery dni wcześniej, a on, no wiesz, że Steffi... – Przełknęłam z wysiłkiem. Czekałam. – Chyba że, no wiesz, przez cały czas miał na tę dziewczynę ochotę i tylko czekał, aż jego żona w cudzysłowie „zniknęła”. Przejmuje mnie lodowate zimno za każdym razem, gdy o tym myślę.

– Zdumiewające, że Steffi dała jeszcze radę tam zostać – mruknęłam. Nic dziwnego, że policja nie szukała zabójcy Courtney gdzie indziej.

– Była bardzo oddana tamtym dzieciom. Przypuszczam, że czuła się moralnie zobowiązana.

– Pewnie tak – powiedziałam.

– Czy nie pęka ci serce, gdy o nich myślisz, że ich matka tak po prostu zniknęła, a potem... ?

Przytaknęłam. Pękało.

– A potem Steffi odeszła – podpowiedziałam.

– Jak mogła nie odejść? – odparła Andy Leeds. Sączyłam lemoniadę, załując, że nie podała do niej ciasteczka. – Anonimowe telefony. Policja pukająca do drzwi trzy, cztery wieczory w tygodniu, by go przesłuchać.

– Wiem – powiedziałam. – A gdy Steffi w końcu zeznała policji, że Greg Logan ją, no wiesz...

– Napastował – odpowiedziała moja gospodyni.

– Napastował. Właśnie. – Więc Steffi powiedziała policji o Gregu. Czy był tak głupi, czy też kompletnie pozbawiony zasad, że w kilka dni po zniknięciu żony próbował dobierać się do au pair? – Po tym, jak ją napastował, władzom pewnie wydało się podejrzane, że Steffi nie odeszła natychmiast – ciągnęłam.

– Powiedziała ci, jak się zachował? – spytała Andy. Nie skłamałam i nie powiedziałam: tak. Z drugiej strony przyznaję, że moja głowa poruszyła się w górę i w dół. – Co za okropność! – usłyszałam drżenie w jej głosie, a nie wyglądała mi na histeryczkę, więc opowieść Steffi o Gregu najwyraźniej nią wstrząsnęła. Spojrzałam na plasterek cytryny, leżący na kilku kostkach lodu na dnie mojej pustej szklanki. – Steffi to silna dziewczyna – ciągnęła. – Ale załamała się, gdy mi o tym opowiadała. Była w obcym kraju, przeżyła zaginięcie tej miłej kobiety... I jeszcze to ona widziała ją ostatnia. A potem ten detektyw próbował ją zmusić do zeznania, że miała... romans z mężem, jeszcze przed zniknięciem żony. Oddana dzieciom Loganów czy nie, Steffi musiała się stamtąd szybko zabierać, zanim policja zaczęłaby się zastanawiać, co ją tam trzyma.

– Zanim zaczęliby ją podejrzewać – dodałam.

– Właśnie! – powiedziała Andy Leeds.

Około trzech minut później, gdy wykręciłam z podjazdu w lewo, zapytałam siebie, czy powinnam się zacząć na skrzyżowaniu Old Farm Road i West Pequot Drive, by czekać na powrót Steffi z Manhattanu. W ten sposób mogłabym ją skonfrontować w kwestii tego, co powiedziała o Gregu swojej nowej pracodawczyni i policji (lubieżna gnida) z tym, co powiedziała mnie (cichy, miły, bardzo uprzejmy).

Zaczajenie się na pewno bardzo by pasowało do mojej roli detektywa. Z drugiej strony chyba byłoby nudne. A bez obowiązkowych rekwizytów, które znałam z filmów noir i książek (pączki z cukrem pudrem, papierowy kubek z kawą, słoik do sikania, co zresztą, ponieważ nie byłam mężczyzną, niewątpliwie skończyłoby się obrzydliwym upaskudzeniem mnie, siedzenia i torby z pączkami) pewnie już po piętnastu minutach zapragnęłabym się stamtąd zabrać. Zresztą, jeśli Steffi mnie oszukała, gdy rozmawiałam z nią za pierwszym razem, to czy nagle się otworzy przede mną, gdy wyskoczę z samochodu na środku West Pequot, zmuszając ją do gwałtownego hamowania?

Pojechałam więc do domu. Czekając na chwilę, gdy będę mogła wyjąć pranie z całego tygodnia, zanim zostanie spalone przez moją piromańską suszarkę, zabrałam puszkę dietetycznej coli na patio i jeszcze raz przeczytałam notatki z wszystkich rozmów, które przeprowadziłam. Zastanawiałam się, jaki powinien być mój następny krok, gdy zadzwoniła Nancy.

– Jak tam nasza mała *Liebchen**? [*Liebchen* (niem.) – kochaneczka, kochanie.] – ojej, Nancy mówiła wyjątkowo wolno. – Wyznała coś o Gregu? – Na ogół, gdy Nancy rozciągała sylaby tak, jakby nigdy nie miała się z nimi rozstać, to raczej nie oznaczało to, że z rozrzewnieniem wspomina rodzinne Południe, tylko że wypięła setkę albo dwie. Albo trzy.

– Możesz logicznie myśleć? – spytałam, pogryzając krakersa bez tłuszczu, który, jak było do przewidzenia, smakował jak solony styropian.

– Oczywiście, że mogę myśleć. Może byś się odczepiła od mojego picia.

– Ostatnie zdanie było bardziej rozkazem niż prośbą.

– Może lepiej włóż słomkę do butelki absoluta i pij od razu – poradziłam.

– To ci oszczędzi żmudnego nalewania.

– Może się wreszcie zatkaś?

Z westchnieniem, które, miałam nadzieję, było na tyle pełne zirytowanej rezygnacji, by wywołać u Nancy poczucie winy, wróciłam do właściwego tematu.

– Steffi nie było. Rozmawiałam z panią domu, która miała spódnice w żabki. Powiedziała, że Steffi się załamała i rozplakała, gdy opowiadała, jak Greg się do niej dobierał w kilka dni po zaginięciu Courtney.

– Musi być *tres stupide** [*tres stupide* (fr.) – bardzo głupi.]. Nie mówiąc już o tym, że *tres* obleśny.

– Nie rozumiem tego. Greg nie jest głupi. Ani obleśny. I nie wygląda mi na typa, który dałby się porwać namiętności. – Potem żartem dodałam: – Ale co ja tam wiem o namiętności?

– Niewiele – parsknęła Nancy. Gdy piła, robiła się trochę drażliwa. – Szczerze mówiąc, ja też nie rozumiem wszystkiego – przyznała. – Chcesz, bym podała ci przykład?

– I tak mi go podasz, więc tak, chcę, byś podała mi przykład.

– Na przykład, nie rozumiem tych wszystkich kobiet, z którymi rozmawiasz, przyjaciółek Courtney, tej babki w żabki z Connecticut. Co one robią? Mają po trzydzieści pięć lat, maksymalnie czterdzieści. Co się stało z ich pracą? Judith, pamiętasz, co to jest praca? Pamiętasz tych wszystkich idiotycznych mężów w 1972 roku, z twoim i moim włącznie, którzy mówili: „Moja żona nie będzie pracować” i jak zbuntowałyśmy się przeciwko nim i tej idiotycznej mentalności. Więc co te wszystkie kobiety robią w domu?

– O czym ty mówisz? – spytałam. – Wychowują dzieci.

– Rozumiem. A czy wolno mi spytać, po co była walka o prawa kobiet, po co starałyśmy się poszerzyć świadomość o naszych prawach? Żeby nasze córki mogły siedzieć na ławce przy piaskownicy i gadać o tym, co lepiej trzyma kake, huggiesy czy pampersy. Tak właśnie mówią, przysięgam na Boga. Kaka i sisi. Cztery lata studiów, studia podyplomowe, cały świat stoi przed nimi otworem. .. A one wybierają siedzenie na ławce w parku i rozmowy o gównie.

– Walczyłyśmy, by nasze córki mogły wybierać...

– Walczyłyśmy, by naszym córkom pozwolono wykonywać pracę, która im odpowiada. I co się teraz dzieje? Idą na studia prawnicze, medyczne, ekonomiczne, zostają prawniczkami, lekarkami, analityczkami na jak długo? Trzy

czy cztery lata. Ale jak tylko zobaczą, że są jednymi z wielu analityków i tak dalej, że nie jest im fajnie, cokolwiek to oznacza, że lecą do Milwaukee z kolanami pod brodą i nigdy nawet się nie zbliżą do lotów w klasie biznes, to co robią? Zwijają się i odchodzą.

– A kto ma wychowywać ich dzieci? – spytałam. – Nielegalna imigrantka, która nie mówi słowa po angielsku, której za mało płacą i zbyt wiele wymagają? Weźmy kobietę taką jak Courtney Logan...

– Courtney Logan! – prychnęła Nancy. – Daj spokój.

– Prowadziła firmę – argumentowałam.

– Firmę bez perspektyw – odparła Nancy. – StarBaby wcale nie było strzałem w dziesiątkę, a Courtney nie była geniuszem biznesu. W swoich najlepszych chwilach była w trzeciej lidze. Założę się, że pracując w banku, nawet się nie otarła o kierownicze stanowisko.

– Nancy, nie każdy odnosi zwycięstwo. Ja też nie jestem etatowym profesorem na Harvardzie.

– Ale pracujesz. Mnie też nikt nie błaga, bym została zastępcą redaktora naczelnego „New York Timesa”. I co z tego, do cholery. Ale pracuję.

– Ale ja wychowywałam dzieci, zanim napisałam doktorat. I jeśli jesteś w stanie sięgnąć pamięcią tak daleko, to ty pracowałaś na zlecenie, a nie na pełny etat.

– Ale my nie miałyśmy wytyczonej ścieżki. A one mają. Myśmy ją przetańczyły.

– Może ta droga im się nie podoba?

– Może za kilka lat mężczyźni zaczną mówić: „Dlaczego te wszystkie kobiety, takie jak Courtney Logan, są przyjmowane na studia prawnicze i medyczne, potem do świetnej pracy na Wall Street, skoro pracują tylko trzy lata i odchodzą? To nie w porządku. Dlaczego nie przyjąć na te miejsca mężczyzn, którzy popracują dłużej?” I będą mieli rację.

– Kobiety takie jak Courtney są lepszymi, bardziej zaangażowanymi matkami niż my – powiedziałam.

– Kobiety takie jak Courtney rzucają dobrą pracę i lądują na zajęciach dla przedszkolaków, gdzie walą się tamburynem po głowie. Pieprzą się ze swoim instruktorem golfa i robią wszystko, by uniknąć porządnej pracy. Kobiety takie jak Courtney są jak dzieci we mgle. Co ona zamierzała robić, gdy skończy lat czterdzieści pięć? Pięćdziesiąt? To nawet lepiej, że ktoś ją zastrzelił, by nie musiała się męczyć.

Wygłosiwszy tę tyradę, Nancy oznajmiła, że musi umyć głowę, choć z postukiwania kostek lodu o szklanekę, niestłumionego przez żaden płyn wywnioskowałam, że chce zejść na dół i nalać sobie następnego drinka. Nie była rozbawiona, gdy zapytałam ją, jaka jest pierwsza litera alfabetu, potem zasugerowałam, by ją powtórzyła i zgłosiła się tam na najbliższy mityng.

Straciłam pół godziny na tak skrupulatne składanie bielizny i ręczników, że można by je było umieścić na wystawie „Pranie w Ameryce” w Instytucie Smithsona. Potem złamałam się, zadzwoniłam do Lulusia Phila i streściłam mu to, co Steffi powiedziała policji. Spodziewałam się gangsterskiej reakcji, gromkich „O kurwa!” i walenia pięścią w ścianę. A tymczasem po długiej ciszy spytał mnie tylko, co powinien zrobić. Więc mu powiedziałam.

Okolo jedenastej zadzwonił dzwonek do drzwi. Luluś Phil. Nie żeby mnie obudził. Byłam pochłonięta artykułem weterana wojny koreańskiej, który został historykiem i zajął się rolą drugiej dywizji piechoty w walkach na Heartbreak Ridge. (I myśleniem o Nelsonie. A to ci niespodzianka.)

Noc była chłodna, kilkanaście stopni. Phil miał na sobie bawełnianą bluzę. Uniwersytet Browna. Rozciągnięte na jego brzuchu „WERS” wydawało się większe niż pozostałe litery. Uznałam, że pożyczyl ją od syna, choć złoty, egipski amulet na grubym łańcuszku ewidentnie

należał do niego.

– Rozmawiałem z Gregorym – oznajmił głosem na tyle donośnym, bym zrozumiała, że wie, że mieszkam sama. Wolałam nie myśleć, jak się o tym dowiedział. Zaprosiłam go do środka. – Masz teraz czas? – spytał, ale siedział już wtedy na kanapie w salonie i zerkał z żalem na miseczkę potpourri na stoliku do kawy, najwyraźniej spostrzegłszy, że to nie przekąska.

– Pytałeś Grega o Steffi Deissenburger? – rzuciłam.

– Tak. Wiesz, nie cierpię pytać dzieciaka o tę jedną rzecz, o której nie chce mówić. Ale powiedziałem mu: „Słuchaj, Gregory, wiem, że masz aż nadto kłopotów. Ale musisz przestać mi tu pieprzyć, *pardon* za wyrażenie, bo przysięgam na Boga, ja się do niczego nie wtrącam. Tyle że wiesz, moi przyjaciele, wysoko postawieni przyjaciele, słyszą różne rzeczy. I ja tu nagle słyszę, że gliniarze sądzą, że coś tam było między tobą i tą Niemką, która pilnowała dzieci. I to dlatego oni myślą, że ty... no wiesz, załatwiłeś Courtney”.

Smutnym, choć pełnym nadziei spojrzeniem zerknął znów na potpourri, więc przeprosiłam go na chwilę, poszłam do kuchni i przyniosłam talerz z kiścią czerwonych winogron i paroma śliwkami.

– Co Greg miał do powiedzenia? – spytałam.

– Trochę to trwało. – Zaczął od winogron. – Mężczyźni nie lubią rozmawiać o... rzeczach, o których nie chcą rozmawiać. Wiesz, o co mi chodzi?

– O uczuciach – podsunęłam.

– Właśnie. No to mu powiedziałem tak: „Gregory, jestem twoim ojcem. Cokolwiek zrobiłeś, ja zrobiłem to sto razy już wcześniej”. No i w końcu mi powiedział. Kilka dni po zniknięciu Courtney siedzi z tą Niemką i ona mu pokazuje listę. Żeby mogła pójść po zakupy. Pewnie nadal kupowała te zdrowe płatki o obrzydliwym smaku, które Courtney wmuszała w dzieci. Nieważne. Ni z tego, ni z owego w trakcie czytania tej listy Gregory się załamał. Zaczął płakać.

Szlochać, jakby mu pękło serce, bo nagle zaczęło do niego docierać, że być może Courtney nigdy się nie odnajdzie. Więc ta Niemka klepie go po ręce w ten sposób. – Lalus Phil ujął moją rękę i parę razy poklepał ją demonstracyjnie na pokaz, co niewątpliwie zaowocuje siniakami. – A Gregory zaczął płakać jeszcze bardziej. – Lalus Phil pokręcił głową. – Możesz sobie wyobrazić, ile go kosztowało, by mi to powiedzieć, mimo że jestem jego ojcem? Chodzi mi o płacz i te rzeczy. Ale powiedziałem mu: „Słuchaj, dziecko, ja też szlochałem jak wariat, a przecież nie zniknęła mi żona”. Nie dodałem już „niestety”, bo moja pierwsza eks to jego matka. W każdym razie Gregory oparł głowę na ramieniu tej dziewczyny, żeby się wypłakać. Wiesz, jak to się mówi: „Wypłakać się na czyimś ramieniu”? – Lalus Phil odchylił się do tyłu, opierając głowę na oparciu kanapy. Zębami oderwał kilka winogron z gałązek. – Nagle ta dziewczyna się odsunęła! – ciągnął. – Jakby Gregory zaczął się do niej dobierać albo co. Więc Gregory też się odsunął. Skończyli przeglądać tę listę, jakby nic się nie stało. A potem ona poszła po zakupy.

– I? – spytałam.

– I on przysięga, że to wszystko. Nic, absolutnie nic więcej się nie wydarzyło. Nawet jej

palcem nie tknął. Tylko na chwilę się załamał i oparł głowę na jej ramieniu.

– Phil.

– Co?

– Wierzysz mu?

– To śmieszne – mówił wolniej niż zwykle, ale być może dlatego, że miał w ustach winogrona. – Gdyby ktoś inny opowiedział mi tę historię, stwierdziłbym: „Gówno prawda”. Ale ja jestem jego starym. Znam swoje dziecko. Wiem, kiedy kłamie. Wszystkie dzieciaki kłamią. Ale on w tej chwili nie. Gdy Gregory był mały, wystarczyło, że powiedział trzy pierwsze słowa kłamstwa i uszy mu się robiły wściekle czerwone. Dawałem mu klapsa i mówiłem: „Tylko mi nie kłam, szczyłu!” Moja była żona wołała wtedy: „Philly, na litość boską, daj spokój z tym szczyłem!”

– I sądzisz, że Greg mówi teraz prawdę?

– Sądzę, że ktoś powinien dorwać tę Niemkę... – Pokręciłam głową. – Nie chcę jej zrobić krzywdy – wyjaśnił Lulu Phil. – Chcę tylko pomóc jej...

– Nie – powiedziałam cicho.

– Wiesz, nie musisz do mnie szeptać. Nie jestem świrem, który odstrzeli ci głowę, więc nie musisz mnie uspokajać.

– Nie szeptałam – odparłam. – Tylko cicho mówiłam. Znasz Theodore’a Roosevelta? On radził: „Mów cicho i noś ze sobą wielki kij, a daleko zajdziesz”.

– Ty chcesz mnie uczyć historii? – Lulu Phil pokręcił głową jak nad beznadziejnym przypadkiem.

– Nie zaszkodzi.

– Dobra. Historia. – Oparł ręce na kolanach i, stękając ze zmęczenia, podniósł się z kanapy. – Tak się składa, że znam historię. Theodore Roosevelt był przed Franklinem Rooseveltem.

– Racja.

– Słuchaj, zadzwoń do mnie, jak tylko czegoś się dowiesz. Powiedziałam, że zadzwonię i tak, oczywiście, może zabrać ze sobą resztę winogron i śliwki.

Było już prawie wpół do dwunastej. Za późno, by dzwonić do kogokolwiek. Nie miałam też siły, by zacząć nową książkę, wypożyczoną z biblioteki. *Przybyszów o zmierzchu* widziałam już przynajmniej trzy razy, więc telewizja odpadała. Miałam do wyboru albo najeść się lodów, albo zrobić sobie pedikiur. Akurat gdy wsuwałam bibułki, by rozdzielić palce, zdałam sobie sprawę, że na Zachodnim Wybrzeżu, w rodzinnym mieście Courtney Bryce Logan, jest dopiero ósma trzydzieści. Jeszcze nie tak późno.

Przejrzałam swoje papiery, znalazłam notatkę wydrukowaną ze strony internetowej „Olympian” i minutę później rozmawiałam przez telefon z niejaką Lacey Braun, koleżanką Courtney z klasy maturalnej, która wypowiedziała się o Courtney, że była „cwana”. Dziwne określenie. No dobrze, może nie takie znów dziwne, ale nie miałam żadnych innych punktów zaczepienia.

Lacey mamrotała pod nosem przez minutę czy dwie i w końcu przyznała, że to z powodu incydentu, który wydarzył się w ostatniej klasie liceum. To coś, co zaszło między Ingrid, jej

najlepszą przyjaciółką, i Courtney. Nie, nie chce o tym mówić. Hm, hm, jeszcze raz hm, ostatecznie podała mi imię i nazwisko, Ingrid Farrell, i numer telefonu.

– Cwana – powtórzyła Ingrid. – Cóż, Lacey ma rację. Courtney taka właśnie była. – Usłyszałam dwa dmuchnięcia i siorbnięcie. – Aj, ale gorąca! Przepraszam, tuż przed twoim telefonem zrobiłam sobie herbatkę rumiankową z goździkami.

– Ingrid, czy mogłabym zadać ci parę pytań o Courtney?

– Nie widziałam się z nią od czasów liceum.

– Ale może wiesz coś, co okaże się pomocne – rzuciłam.

Ingrid westchnęła z powątpiewaniem. W końcu wydusiła cztery słowa:

– Czemu to ma służyć?

– Zostałam wynajęta, by zbadać przeszłość Courtney. By się upewnić, że niewłaściwa osoba... – głos zaczął mi cichnąć, bo obcowanie z Lacey, potem z Ingrid wydało mi się grą niewartą świeczki. – Że o jej morderstwo nie zostanie oskarżona niewłaściwa osoba i... – nagle byłam zbyt senna, by odmalować wizję niewinnej ofiary gazowanej, rażonej prądem czy jak to się tam robi w stanie Waszyngton.

– Nie jesteś reporterką?

– Nie.

– Nie należy mówić źle o zmarłych – oświadczyła Ingrid. Chyba usłyszałam w jej głosie nutkę żalu.

– Pewnie nie. Chyba że może to pomóc żywym.

– To się wydarzyło w liceum.

– Co takiego?

– Widzisz, Courtney Bryce ciągle coś robiła. Wiesz? – Głośno i długo pociągnęła łyk herbaty. – Przewodnicząca różnych klubów. Pomagała nauczycielom. Courtney Bryce była bardzo bystrą, wspaniałą, najmiłą dziewczyną w całej szkole.

– Tak. – Zdławiłam ziewnięcie.

– Wszyscy zawsze mówili: „Och, Courtney jest cudowna”. – Czekałam. – Ona kierowała kiermaszem ciastek. Zbieraliśmy fundusze. Sprzedawaliśmy ciastka czekoladowe. Teraz się robi odżywcze batony z orzechami z lasów tropikalnych i takimi różnymi cudami. Każdego roku uczniowie z klasy maturalnej robią to, by zebrać pieniądze na uroczystą kolację podczas balu maturalnego.

– Aha – powiedziałam. Moje plecy i ramiona nagle zatęskniły za łóżkiem. Pomasowałam sobie kark.

– Courtney ukradła osiemset dolarów gotówką, uzyskanych ze sprzedaży ciastek. I uszło jej to na sucho.

– Co takiego?

– Miałyśmy mnóstwo gotówki. Ja byłam skarbnikiem. Musiałam włożyć pieniądze do koperty, zakleić i oddać kierownikowi, panu Cooperowi. I tak zrobiłam. Courtney była ze mną, gdy poszłyśmy do gabinetu pana Coopera. On otworzył sejf. To było w czwartek po południu, tuż przed czwartą, więc on powiedział, że odda pieniądze do banku w piątek z samego rana.

– To był sejf w ścianie?

– Nie. Taka duża szafa na podłodze. Zadzwoił telefon, więc on go odebrał, a Courtney i ja tam stałyśmy. Poszłam obejrzeć zdjęcia maturalne wcześniejszych roczników, by spróbować odnaleźć mojego tatę. A Courtney oglądała książki pana Coopera. Byłam odwrócona do niej plecami. On też. W każdym razie on skończył rozmowę i zamknął sejf. Następnego rana gotówki nie było.

– Czy to możliwe, że zabrał ją kierownik?

– Oczywiście, że nie! Przecież on robił to co roku. Przechowywał pieniądze maturzystów, bo często po kiermaszu jest już za późno, by iść do banku. Wezwał Courtney i mnie, każdą osobno. Zgadnij, kogo obciążono winą?

– Co za okropna historia! – powiedziałam.

Przez dłuższą chwilę Ingrid milczała. Potem powiedziała:

– Wiesz, co było z tego najgorsze? Wezwał Courtney pierwszą. Gdy przyszedłam ja, był całkowicie, absolutnie przekonany, że ona by tego nigdy nie zrobiła. Że zrobiłam to ja. Nie, najgorsze było to, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent uczniów też uważało, że ja byłam winna, z wyjątkiem Lacey i jeszcze jednej dziewczyny. Wszyscy inni uwierzyli Courtney. Szkoła zmusiła moich rodziców, by zwrócili pieniądze, i nawet moi rodzice... Niby minęło już tyle czasu, nie? Ale moje nazwisko zupełnie zmieszano z błotem. Takie sprawy ciągną się za człowiekiem latami. Nigdy mnie nie zaproszono na żadne spotkanie klasowe. Albo, wiesz, pracowałam jako wolontariuszka w okręgowym schronisku dla zwierząt. Któregoś dnia przychodzę tam, to było dwa czy trzy lata temu i nikt nie odezwał się nawet słowem, ale wiedziałam, że ktoś gdzieś usłyszał o tej sprawie. I opowiedział ją wszystkim, a oni w nią uwierzyli, ludzie, którzy zawsze mieli o mnie dobre zdanie. Kłamstwo, historię jeszcze z czasów liceum!

– Czy Courtney cię unikała do końca klasy maturalnej? – spytałam.

– Nigdy nie trzymałyśmy się razem. Ale ilekroć ktoś był w pobliżu, stawała na głowie, by być dla mnie miła, jakby mi współczuła, że jestem taka podła. Wszyscy myśleli, czyż to nie wspaniałe ze strony Courtney, że jest dla Ingrid tak niesamowicie miła, po tej okropnej rzeczy, którą Ingrid próbowała zrobić. I niemal jej się udało.

Rozdział 10

Ostrożnie skubałam brew, a wielkie brązowe oko patrzyło na mnie z powiększającego lusterka. Kilka miesięcy po śmierci Boba uznałam, że nadszedł czas, by znów zacząć wyglądać jak człowiek. Wyciągnęłam swoją starą pęsetę. Niestety, gdy skończyłam, jedna brew była o wiele wyżej niż druga, tak że przez kilka tygodni wyglądałam dziwnie ironicznie. Wkrótce potem kupiłam to lusterko.

Była szósta rano, a ja, obudzona i rześka, zamierzałam w pełni wykorzystać dla zdrowia i urody całą godzinę. Co mnie obudziło? Hałaśliwe świergotanie ptaków za oknem, a może rozterki związane z Courtney Logan. W każdym razie wzięłam prysznic i zrobiłam tak solidny peeling, że chyba mogłabym włożyć sukienkę mniejszą o jeden numer. Potem tak się skupiłam na odbiciu mojej brwi w powiększającym lusterku, że gdy podniosłam bezprzewodową słuchawkę, leżącą na brzegu umywalki, nie zrozumiałam pierwszych słów porannego ataku szału Steffi Deissenburger. Zresztą chyba i tak nic nie straciłam. Ilekroć próbowałam się wtrącić, ona gdakała:

– Jak, jak, jak mogłaś przyjechać do Leedsów, gdy ja miałam dzień wolny? Jak? – Wciąż i wciąż od nowa, z każdym kolejnym „jak” coraz głośniej.

Przypomniałam sobie, jak Nelson jakieś dwadzieścia lat temu mówił mi coś, co usłyszał na szkoleniu dla policjantów, o technice radzenia sobie z ludźmi, którym nagle odbiło. Coś w stylu „Uspokajanie psychopaty, który w jednej ręce ma karabin, a w drugiej garść plastiku”. Cała sztuka polegała na tym, by nie iść do zwarcia i nie mówić tekstów w rodzaju: „O co ci chodzi, dupku?”. Należało ignorować szaleństwo i prowadzić miłą rozmowę. Na przykład: „Ojej, ty też lubisz uzi kaliber 9 milimetrów!” Zawołałam więc z entuzjazmem:

– Steffi! Tak się cieszę, że zadzwoniłaś. Jaka szkoda, że się rozminęłyśmy wczorajszego popołudnia. – Dopiero w tej chwili przyszło mi do głowy, że Steffi wcale nie zachowywała się irracjonalnie, że miała prawo się wkurzyć. Poza tym Nelson mówił też coś, że taktyka serdeczności jest skuteczna tylko w trzydziestu procentach przypadków i jeśli nie zadziała, to jesteś trupem (wprawdzie o życzliwym usposobieniu, ale jednak trupem).

Już miałam ją prosić o wybaczenie i zacząć się tłumaczyć, gdy Steffi odpowiedziała:

– Byłoby lepiej, gdybyś zadzwoniła. – W jej głosie nadal dźwięczało zdenerwowanie. Mówiła z silnym niemieckim akcentem, jakby nie mieszkała w Ameryce przez cały ostatni rok. W każdym razie przestała gdakać.

– Masz rację – rzuciłam szybko. – Wybacz mi, że nie zadzwoniłam. Po prostu byłam przypadkiem w Connecticut i pomyślałam, że wpadnę na chwilkę. – Moja wielka powieka zamrugła w lustrze na to kłamstwo. – Wiesz, zastanawiałam się nad czymś, co powiedziałaś o Courtney.

– Może nie wyraziłam się jasno, gdy rozmawiałyśmy. – Steffi była już tylko lekko obrażona. – Courtney była moją pracodawczynią. Nie znałam jej dobrze.

– Mieszkałaś w tym samym domu.

– Tak, to prawda. Ale gdy była w domu, prawie przez cały czas siedziała w swoim

gabinecie. Całymi godzinami. Ja byłam z dziećmi. A ona przy komputerze albo na telefonie. Za zamkniętymi drzwiami.

– Tak z ciekawości... – rzuciłam (odwracając się od lusterka, żeby nie widzieć w porannym słońcu kurzych łapek, które w powiększeniu wyglądały jak ślady pozostawione przez pterodaktyla). – Skąd wiedziałaś, że Courtney tak długo siedziała przy komputerze?

– Dioda na telefonie.

– Może z kimś rozmawiała?

– Może. – W jej odpowiedzi słychać było jeszcze cień rozdrażnienia. Steffi chyba jednak nie potrafiła długo chować urazy. Chwilę później wyjaśniała, jak to Stefan, jej chłopak, studiuje ekonomię w Dusseldorfie, i jak to piszą do siebie emaile kilka razy dziennie, a jej tak trudno było czytać jego odpowiedzi, bo Courtney ciągle zajmowała linię... To chyba niemożliwe, że cały czas rozmawiała, przez wiele godzin? A jednak upierała się, by Steffi pozostawiła drugą linię wolną, w razie gdyby ktoś dzwonił. Stefan był trochę podobny do Dave'a Grohla. Perkusisty Foo Fighters.

– Musi być cudowny. – Zakryłam usta dłonią, by nie usłyszała mojego ziewnięcia. A Steffi mówiła dalej. Udało mi się jej przerwać akurat, gdy zaczęła szczegółowo opisywać, jak Stefan zaplanował swoją karierę. Mimo wszystko jej oczywista samotność, życie w obcym kraju, na trzech hektarach z dwójką trzylatek i ich rodzicami, zasmuciły mnie. Z drugiej strony może gdy mieszkała na Long Island, jej samotność zainspirowała fantazje na temat Grega Logana. Czy na tyle sugestywne, by chciała zamordować Courtney Logan? To byłoby sensowne wyjaśnienie. Luluś Phil na pewno by się ucieszył. Kłopot w tym, że to raczej do mnie nie przemawiało. – Steffi i Stefan, jak to ładnie razem brzmi – dodałam wesoło.

– Dziękuję.

Teraz, gdy znów byłyśmy kumpelkami, spytałam:

– A przy okazji, Steffi, czy Courtney pracowała przez cały dzień codziennie? Czy kiedykolwiek wychodziła spotkać się z przyjaciółmi albo oni przychodzili do niej z wizytą?

– Tak. Od czasu do czasu. Jej przyjaciółki.

– Czy przypadkiem wiesz, jak się nazywały?

– Kellye Ryan. Ona przychodziła często. Widziałaś ją? Wysoka, chuda jak supermodelka. Bardzo piękna. Naprawdę fajne ubrania. I miła. Bardzo uprzejma.

– Ktoś jeszcze?

– Tak, trzy albo cztery osoby. Nie pamiętam ich imion i nazwisk, ale widziałam je. Zawsze się ze mną witały, to były miłe kobiety, choć nie tak przyjazne jak Kellye. Courtney często prosiła mnie, żebym zabrała dzieci z domu i gdzieś z nimi poszła, żeby ona z przyjaciółką mogła w spokoju porozmawiać.

– Rozumiem. Och, a przy okazji, pamiętasz, jak rozmawialiśmy o Gregorym Loganie? – Steffi odpowiedziała milczeniem. – Że Courtney poleciła, by mówić, że poszła na zakupy, gdyby dzwonił, jak jej nie będzie w domu. Bo nie chciała, żeby się o nią martwił. Bo miał i tak dość spraw na głowie.

– Tak. – Ostrożnie powiedziane. Rozciągnęła tę sylabę do maksimum. Przyciskając słuchawkę do ucha, zesłałam z zimnych kafelków łazienki na przyjemną puszystość dywanu w

sypialni.

– Czy Greg na takiego wyglądał? Zestresowanego?

Czekałam. Hm, powiedziałam w duchu, nie odpowiada impulsywnie, to pewne. Usiadłam po turecku na łóżku i sięgnęłam za siebie, by podłożyć sobie pod plecy parę poduszek. Poszukałam na stoliku nocnym czegoś do pisania, znalazłam dawno zaginioną konturówkę do ust i na reklamie mleka w „Entertainment Weekly” zrobiłam notatki z tego, co do tej pory powiedziała Steffi. Steffi w końcu się odezwała:

– Nie. Pan Logan wydawał się, nie wiem, jak to dokładnie powiedzieć, taki sam jak wszyscy. Oczywiście, nie znam tak dobrze amerykańskich mężczyzn, chyba rozumiesz. Po zniknięciu Courtney, chyba można powiedzieć, że wtedy był zestresowany. Bardzo, bardzo nieszczęśliwy. Przychodziła policja. On często dzwonił do swojego ojca. Wiesz o jego ojcu?

– Coś tam słyszałam – odpowiedziałam wykrętnie. – To podobno jakiś gangster, tak? Luluś czy co tam.

– Tak. Luluś Phil Lowenstein. Człowiek w klejnotach. Bardzo serdeczny. Powinnam powiedzieć, na luzie. Powiedział do mnie: „Mów mi, Phil”. On sam często zwracał się do mnie: „Kochanie”, ale to pewnie dlatego, że nie mógł zapamiętać mojego imienia.

– Czy po zniknięciu Courtney Greg Logan rozmawiał z kimś jeszcze poza swoim ojcem?

– Chyba z matką. I siostrą. Przyjacielem ze studiów. Oczywiście ze swoim adwokatem.

– Czy w tym czasie troszczył się o dzieci?

– O tak. Był dla nich bardzo dobry. Zawsze taki był. I przed, i po.

Ciszę wczesnego poranka za oknem sypialni przerwało skrzeczenie sójki, idiotycznie brzmiące „Cuoooo?”, jakby ptak nie mógł pojąć tego, co było oczywiste dla wszystkich innych stworzeń.

– Wiesz, Steffi, z tego, co słyszę tu, w Shorehaven, policja uważa, że Greg, hm, był tobą zainteresowany. – Nie zaśmiała się z absurdalności tego przypuszczenia, więc brnęłam dalej.

– Przypuszczam, że to jeden z powodów, dla których go podejrzewają. – Nadal żadnej reakcji. – Wiesz, sama mam dwoje dzieci niewiele starszych od ciebie. Wręcz nie potrafię sobie wyobrazić... To musiała być dla ciebie okropna sytuacja.

– Tak.

– Podziwiam cię, że zostałaś tak długo.

– Bardzo lubiłam te dzieci – wyjaśniła Steffi. – Gdy ich matka zaginęła... To było bardzo smutne.

– Byłaś im bardzo oddana. W domu musiała chyba panować ciężka atmosfera, zwłaszcza po tym, jak Greg Logan...

– Tak. On... On cały czas mnie obserwował. Gdy czytałam dzieciom albo oglądałam z nimi telewizję. Pozwolił im oglądać telewizję. Courtney by się to nie spodobało.

– Ale cały czas czułaś na sobie jego wzrok.

– Tak.

– To okropne. Czy on cię jakoś dotykał? – Gdy nie odpowiedziała, rzuciłam: – Przepraszam, Steffi. Ale po prostu się martwię. Czuję niemal, jakbyś była jednym z moich dzieci.

– Płakał któregoś popołudnia, z powodu Courtney. Dotknęłam jego ręki, tak współczująco, rozumiesz, tylko lekko. On mnie objął. I przyciągnął do siebie.

– Mój Boże! I co zrobiłaś?

– Próbowałam się odsunąć, ale on mi nie pozwolił. Powtarzał w kółko: „Chcę... Chcę...” ale tak ciężko oddychał. Czułam jego łzy, a może... , jak jest *Schweiss* po angielsku, a tak, pot. Czułam wilgoć na szyi. Powiedziałam: „Niech pan przestanie!”, ale on nie przestawał. Powtórzyłam głośniejsz, bardzo głośno, aż się bałam, że dzieci usłyszą, ale musiałam się uwolnić.

– Oczywiście! Zrobiłaś to, co należało. I potem on cię puścił?

– Tak.

– Ale nadal cię obserwował.

– Przez cały czas.

Ponownie skierowałam rozmowę na Stefana. Już po minucie znów była wesoła i opowiadała mi o ich wspólnym hobby, czyli zbieraniu pamiątek związanych z Monty Pythonem. Choć jej opowieść o tym, jak Stefan polował na koszulkę z *Żywotu Briana* była wciągająca, jakoś udało mi się zakończyć rozmowę.

Dzieląc w kuchni pomarańczę na cząstki, byłam niemal pewna, że Steffi nie byłaby w stanie dwa razy strzelić Courtney Logan w głowę i wrzucić jej ciała do basenu. Poza tym z porównania obu wersji o płaczącym Gregu, między relacjami Lalusia Phila i Steffi nie było wiele rozbieżności. Może Greg ją objął, a może nie. Może szukał pocieszenia, a może seksu (choć ja głosowałabym za pocieszeniem). W każdym razie niezręczna sytuacja trwała niecałe sześćdziesiąt sekund. Czy potem przez cały czas nie spuszczał z niej oczu? Jeśli tak, to nie potrafiłam zdecydować, czy z pożądania, czy ze wstydu.

Gdy zauważyłam, że układam pestki z pomarańczy w rzędzie, zorientowałam się, że błędę gdzieś myślami. Analizowałam ramy czasowe zachowania Courtney, opisane przez Zee Friedman. Z tego co mówiła Zee, interes w lipcu szedł jak zwykle, jednak Courtney była „przygnębiona”. Zee zauważyła też, że wczesną jesienią Courtney była obojętna, myślami gdzie indziej, nie przy StarBaby. Jak przedtem próbowała za Zee niemal oddychać, tak teraz zostawiła ją, by radziła sobie sama. Powoli podeszłam do lodówki i wyjęłam nieotwarty pojemnik ananasowego twarożku bez tłuszczu, który dotąd z powodzeniem omijałam. Sprawdziłam, siedemdziesiąt dwie godziny po terminie przydatności do spożycia. Nie mając dość odwagi, by go otworzyć i zmierzyć się z tym, co zobaczę w środku, wyrzuciłam go do śmieci.

Teraz, gdy się chwilę zastanowiłam, informacja Zee, że Courtney była nieobecna myślami we wrześniu i październiku, została potwierdzona przez Kellye Ryan. We wrześniu Courtney nie koncentrowała się już na StarBaby. W takim razie na czym? Machlojkach? Pieniądzach? Czy oddalała się od Grega, kochając lub pożądając kogoś innego? Czy też po prostu zajęła się nowym przedsięwzięciem, bardziej atrakcyjnym dla konsultantki banku inwestycyjnego niż StarBaby?

Od kiedy zostałam wdową, bardzo się starałam nie oddawać się ulubionemu zajęciu osób samotnych, czyli rozmowie z samą sobą. Mniej więcej rok temu, stanęłam skołowana w

drogerii, pomiędzy stojakiem z prezerwatywami i półką pełną baterii i zaskoczona usłyszałam własny głos, jak pyta donośnie: „Co ja tutaj robię?” Jednak teraz skapitulowałam i uciłam sobie pogawędkę ze sobą.

To dlatego, że mój tok rozumowania nigdy nie opierał się tylko na logice. Na moje procesy myślowe składało się kłębowisko przypadkowych pomysłów, podszepty intuicji i nieprzewidziane wtrącenia podświadomości. Teraz potrzebowałam logiki, więc zapytałam na głos: „Czy jest jakiś sposób, by ustalić, czy to seks, pieniądze... czy też absolutnie nic nie pochłaniało uwagi Courtney?” Jedna z cząstek pomarańczy uśmiechnęła się do mnie. Zjadłam ją, a potem odpowiedziałam sobie: „Czego się dowiedziałam o Courtney? Że każdemu wydawała się inna. Była miła, bardzo miła, naprawdę miła, miała romans, była aseksualna, mogłaby sprzedawać cyklon B. Ach, racja, i była idealną istotą ludzką. Martwa okazała się dyskusyjna jak test Rorschacha. Czy za życia też była taką zagadką?”

Skończyłam pomarańczę i zaczęłam chrupać zeschnięty precelek z zarodkami owsianymi, czekając, aż zaparzy się kawa. Ponieważ nie mogłam jednocześnie przeżuwać i mówić, wróciłam do myślenia. Jak ludzie reagowali na Courtney? Steffi, która u niej pracowała i mieszkała w jej domu, chyba nie tylko ją lubiła, ale także szanowała. Greg albo ją kochał (a przynajmniej na tyle mu na niej zależało, że pozostał w małżeństwie), albo nienawidził do tego stopnia, że ją zabił. Łatwiej było mi uwierzyć w miłość, zwłaszcza że Laluś Phil wynajął mnie, bym oczyściła jego syna z zarzutów. Poza tym przyjemniej było wyobrazić sobie samotnego rodzica dwojga małych, biednych dzieci jako jeszcze jedną ofiarę zamordowania Courtney niż potwora, który mógł się dopuścić takiej zbrodni.

Mój klient, Laluś Phil, nie lubił swojej synowej. Ale nie wygląda na to, że jej nienawidził. Porównał jej osobowość do *lukschen*, co w jidysz znaczy „kluchy”, coś sflaczałego, mdłego i bez smaku. To określenie na pewno nie może być uznane za komplement. Z drugiej strony bycie mdłym to chyba zbyt drobny występki, by umieścić kogoś na liście zleceń dla mafijnych zabójców.

Dlaczego ktoś miałby chcieć ją zabić? Czy Courtney Logan była naprawdę mdła, naprawdę miła, naprawdę supermamą i pracowitą, młodą bizneswoman? Czy też ukryła pewne aspekty swego życia przed tymi, którzy podobno znali ją najlepiej? Czy jej brak zaangażowania oznaczał, że pochłaniała ją miłość lub pieniądze, coś, co wzbudziło w kimś pragnienie, by ją zgładzić? Może w wieczór Halloween pojechała spotkać się z kochankiem na szybki numer? Czy on (albo też ona, na przykład zazdrosna żona rzeczonoego kochanka albo kochanka Courtney) ją zabił/zabiła? A jeśli tak, to jakim cudem jej ciało wylądowało w jej własnym basenie? Czy jakiś włóczący się w okolicy psychopata, zamiast podarować słodycze, zdecydował się zrobić jej psikusa?

– Do licha, nie mam cholernego, zielonego pojęcia – oznajmiłam głośno i nalałam sobie kubek kawy.

I czy zabójca nie podejmował ogromnego ryzyka? Transportować trupa nie wiadomo skąd do domu Loganów na Bluebay Lane, przenieść przez trawnik, przez furtkę w wysokim ogrodzeniu z kutego żelaza na teren przy basenie? A może zabójstwa dokonano w domu Loganów lub tuż koło niego? Czy dwa strzały w głowę w garażu albo na podwórku, nawet z

pistoletu z tłumikiem, nie narobiłyby trochę hałasu? Poza tym odwiązanie porządnie umocowanej pokrywy basenu, by wrzucić do niego ciało, nie było chyba łatwe. No dobrze, może to miało nawet sens, by ją tam wrzucić. Glonobójcze chemikalia w wodzie mogły wykluczyć okropny smród, podczas gdy zakopanie ciała w lesie na tyłach domu było najprostszym sposobem, by zainteresował się nim wyszkolony pies z komendy policji hrabstwa Nassau. Ale pomyślmy, jakie to niebezpieczne! Przecież Greg mógł wrócić do domu wcześniej. Jakieś dziecko polujące na słodczyce mogło tamtędy przechodzić. Steffi, Morgan albo mały Travis mogli akurat wyjrzeć przez okno.

No dobrze, powiedzmy, że zabójca czaił się na zewnątrz domu, czekając, aż Courtney wróci. Wjechała do garażu i... Bęc! Tyle że jeśli wróciła ze sklepu, to gdzie były jabłka, po które pojechała? Choć nie było to niemożliwe, to jednak z trudem wyobrażałam sobie zabójcę, jak wciska do jednej kieszeni pistolet, a cztery niepryskane koszele do drugiej.

Kolejna myśl. Kolejny kubek kawy. Mleko jeden procent tłuszczu. Czyli prawie nic. Usiadłam z powrotem przy stole kuchennym. Czy ciało Courtney zostało wrzucone do basenu, by skierować podejrzenie na Grega? Jeśli tak, to dlaczego zabójca zawiązał pokrywę tak mocno? Przypomniałam sobie słowa Macka Dooleya, konserwatora basenu u Loganów, które usłyszałam w radiu w maju. Powiedział, że pokrywa wyglądała w porządku, „naprawdę dobrze umocowana”, tak jak ją zostawił w połowie września, gdy zabezpieczał basen.

Czy zabójca chciał, by wszyscy myśleli, że Courtney po prostu zaginęła? Jeśli tak, to po co ryzykował i wrzucił ciało do basenu? Żaden morderca nie liczyłby na niekompetencję oficerów z wydziału zabójstw policji hrabstwa Nassau, że nie zajrzą pod pokrywę basenu. Bo ten wydział cieszy się dobrą opinią. Oczywiście można założyć, że jest tam parę ustosunkowanych oferm albo leni jak ten facet, który prowadzi sprawę Courtney. Większość śledczych ma jednak dobre kwalifikacje. Albo wręcz świetne, takie jak Nelson.

Włożyłam szare spodnie (bardzo się ucieszyłam, bo zapięły się bez wciągania brzucha) i białą bluzkę. Wokół ramion zawiązałam jak pelerynę żółty kaszmirowy pulower, w tym modnym stylu, który sprawia, że dojrzałe kobiety wyglądają, jakby brały udział w konkursie na dziewczynę Supermana. Wsunęłam nogi w mokasyny Gucciego, które kupiłam w Rzymie w 1985 roku. Wyglądałam tak *comme ilfaut** [*comme ilfaut* (fr.) – jak należy, jak trzeba, w dobrym tonie.], że sprawiałam wrażenie swojej własnej dalekiej, sztywnej kuzynki. Wybrałam się do Susan Viniar i Kellye Ryan. I to wszystko już o dziewiątej rano.

Gospoia Susan zaprowadziła mnie na górę do domowej sali gimnastycznej wyłożonej lustrami od sufitu do podłogi. Zobaczyłam Susan siedzącą okrakiem na złowrogo wyglądającej maszynie, jak ciągnie w dół drążek, przypominający krzywą ramę od roweru. Drążek był przymocowany linkami do... wysiliłam wzrok... O rany! Do ciężarków ważących pięćdziesiąt kilo. Najwyraźniej ten ciężar nie stanowił dla Susan problemu.

U Kellye, gdy zadzwoniłam do drzwi i podałam swoje imię, z ociąganiem otworzyła mi ona sama. Aha, nie ma gospoia na stałe. Jeszcze nie wyglądała jak supermodelka. Czarne włosy miała nawinięte na ogromne wałki z pianki. Do nosa, czoła i podbródka miała przyklejane kawałki pergaminu, pewnie jakaś kuracja kosmetyczna, a nie kompletny odpał. Cokolwiek robiła z resztą ciała musiało bez wątpienia być jeszcze mniej apetyczne, bo

kurczowo przytrzymywała wokół szyi kołnierz długiego do ziemi, bawełnianego szlafroka, tak bym nie zobaczyła nawet skrawka skóry.

– Lunch w Fundacji Pomocy Dzieciom i Rodzinie w Northshore – wyjaśniła. – Z przyjemnością zaprosiłabym cię na filiżankę kawy, ale no, sama rozumiesz...

Rozmawialiśmy w drzwiach przez dziesięć minut.

Pojechałam potem do Starbucks i usiadłam na parkingu z kubkiem mrożonej bezkofeinowej kawy. No dobrze, czego się dowiedziałam? Niewiele. Żadna z nich nie zmieniła opinii. Susan nadal trwała w przekonaniu, że Courtney była aseksualna. Kellye Ryan, najlepsza przyjaciółka, wyczuła, że Courtney była czymś pochłonięta, tak jak kobieta, która ma kochanka. Kellye dodała też, zaciskając niebieski szlafrok jeszcze bardziej, by to dziwne mazidło, które miała na szyi, pozostało niewidoczne, że Courtney „aż promieniała, jeśli wiesz, o co mi chodzi”.

Cóż, przynajmniej obie podały mi listę w sumie około dziesięciu kobiet, które mogły nieźle znać Courtney. Większą część dnia i wczesny wieczór spędziłam na składaniu wizyt lub telefonach do dobrze sytuowanych trzydziestokilkulatek.

Po kolacji, około siódmej trzydzieści, zadzwoniłam do mojej córki prawniczki. Co mogła kombinować Courtney? Czy to możliwe, że zrobiła pieniądze na operacjach giełdowych online – setki tysięcy? miliony? – ktoś się o tym dowiedział i chciał położyć łapę na tych pieniądzech?

Podobnie jak ten okropny Dan Steiner Kate uważała, że nie można tego wykluczyć, choć jest to raczej mało prawdopodobne.

– Mamo, nawet w sprzyjających okolicznościach, nie jest łatwo być geniuszem dłużej niż miesiąc czy dwa. Nie wiem. Może Courtney miała szósty zmysł i postawiła na właściwe spółki informatyczne. Wiesz, słyszy się niesamowite historie o tym, że ktoś zbił na tym fortunę, ale przypuszczam, że większość tych opowieści jest wyszana z palca.

Ze wstydem to mówię, ale w odpowiedzi głośno westchnęłam. Takie westchnienie ma wywołać w potomku poczucie winy wobec rodzica. W każdym razie Kate poświęciła mi jeszcze jedną minutę, mimo możliwego do przewidzenia szaleństwa w kancelarii (partnerzy walący pięściami w stół, wrzeszczący klienci) z powodu jakiejś tam fuzji czy przejęcia, nad którym akurat pracowała.

– Mamo, posłuchaj, jeśli ta Courtney całymi godzinami siedziała w internecie, to mogła czytać raporty o konkretnych papierach wartościowych albo przedsiębiorstwach. Albo obserwowała bieżące informacje o cenach akcji. Może wcale nie inwestowała, tylko się tym interesowała albo próbowała się tego nauczyć. A może inwestowała, ale na małą skalę. Z tego co słyszę, to potrafi nieźle uzależnić. A może to było coś w ogóle niezwiązanego z operacjami giełdowymi? Może siedziała na czacie i gadała z poznanymi tam przyjaciółmi. A może oglądała strony pornograficzne, uprawiała cyberseks albo licytowała karty z graczami w bejsbol. – Kate przerwała na chwilę, by zaczerpnąć tchu. – Słuchaj, a co powiesz na operacje giełdowe w oparciu o poufne informacje od którejś z jej dawnych koleżanek?

Co powiem? Jedno na pewno. Przez cały dzień nikt nie powiedział niczego, co poderwałoby mnie z okrzykiem: Eureka! Mój umysł, choć mocno pobudzony, był już bardzo

zmęczony. Jakies pomysły „kto to zrobił” i „jak to zrobił” pojawiały się niczym bańki mydlane, błyszczały przez chwilę, a potem znikwały bez śladu. Koło wpół do dziewiątej, akurat gdy zaczęło zachodzić słońce, pojechałam do Nancy. Przez jakiś czas siedziałyśmy w ciszy w jej gabinecie, patrząc na różowo-pomarańczowe czerwcowe niebo. Nasycone pastele, często obecne w propozycjach makijażu Estee Lauder.

– Ładne – zauważyła Nancy. Barwy nieba odbijały się od jej czoła i policzków, przez co kolor jej cery przypominał upierzenie flaminga.

Jak na osobę, która lubi patrzeć w lustro, wydaje fortunę na ubrania i planuje, jakie włoży kolczyki z tygodniowym wyprzedzeniem, Nancy miała gabinet zdumiewająco nieładny. Zabałaganiona przestrzeń ze starym bujanym fotelem z siedzeniem plecionym z sitowia, zapadniętą kanapą, stosami książek w roli podręcznych stolików i dwoma zakurzonymi dywanikami, pozostałymi z czasów, gdy Nancy przechodziła fazę zbliżenia do natury i kupiła używane krosna. Niemniej to było jedyne pomieszczenie w domu, które Larry nie poddał ostatniej renowacji. Ani śladu ostrych łuków czy gargulców.

Jedyną dekoracją była tablica na ścianie, na której Nancy przykleiła swoje artykuły na zlecenie, pisane na początku kariery dziennikarskiej: „Bąbelki, mydliny i problemy – co musicie wiedzieć o detergentach zawierających fosfaty” i „Sto sposobów, by powiedzieć mężczyźnie: Nie” (który to pomysł samej Nancy jakoś nigdy nie przyszedł do głowy). Artykuły były już pożółkłe i zetlałe, przytrzymywane zbrązowiałą taśmą klejącą. Drobinę pokruszonego papieru sypały się ze zwiniętych brzegów wycinków i pokrywały listwy przy podłodze i dywanik.

– I co? – spytała, sącąc małą wodę albo dużą wódkę.

– Cały dzień spędziłam na rozmowach z młodymi matkami – odparłam.

– I coś zyskałaś? Poza tym, że się koszmarnie wynudziłaś?

– Czy jak ty siedziałaś w domu z dziećmi, to byłaś nudna? Albo ja?

– Ja nie. Ty tak.

– Cicho bądź. Chcę porozmawiać o Courtney.

Kiwnęła głową. W mgnieniu oka jej mina zmieniła się z szyderczej w poważną. We wspaniałym stylu najlepszych przyjaciółek, Nancy przypominała jeden z tych wyjątkowo precyzyjnych instrumentów, które wyczuwają pomruk trzęsienia ziemi odległego o tysiące kilometrów. W przeciwieństwie do zwykłych przyjaciółek, koleżanek albo kumpelek, które mówią: „Hej, daj mi znać, jeśli będziesz czegoś potrzebować”, Nancy w ułamku sekundy wyczuwała zmianę mojej aktywności sejsmicznej i natychmiast odpowiednio reagowała.

– Zamieniam się w słuch – powiedziała.

– Parę osób, z którymi rozmawiałam, zauważyło na jesieni zmianę w Courtney. W lecie wydawała się przygnębiona, być może dlatego, że interes szedł gorzej, być może z innego powodu.

– Takiego jak na przykład mężczyzna? – spytała Nancy.

– Możliwe. W każdym razie jeszcze się starała, żeby StarBaby odniosła sukces. Ale już we wrześniu wydawała się na wszystko obojętna. W ciągu ostatnich paru tygodni przed Halloween kilka razy wyelegantowała się i wybyła z domu na cały dzień. Jej mąż wraca do

domu dopiero o ósmej. Poinstruowała au pair, że w razie gdyby dzwonił, ma mu powiedzieć, że poszła na zakupy. Jednak przez większość czasu siedziała w swoim gabinecie, całymi godzinami, bez końca, albo w internecie, albo na telefonie. Zee, jej kamerzystka, mówi, że jeśli chodzi o pracę przy StarBaby, to Courtney ją tylko odbębniała. Jej najlepsza przyjaciółka czuła, że pochłaniało ją coś innego, według niej konkretnie: facet. Courtney podobno aż promieniała. Z drugiej strony, kobieta z jej towarzystwa, która nie była z Courtney blisko, uważała Courtney za aseksualną.

– To skąd się wzięły jej dzieci? Z zapylenia?

– Ta jej najlepsza przyjaciółka jest supermodna. I bardzo atrakcyjna, jeśli pominąć nadzwyczaj długie kły. – Przez kilka sekund naśladowałam Belę Lugosiego w roli księcia Draculi, dopóki Nancy nie wzniosła oczu do nieba. – Zdaje się, że ma dobre serce. Jednak inna kobieta z jej grupy, o niebo inteligentniejsza, wychwyciła coś, co ja zauważyłam po rozmowach z wieloma osobami. Że Courtney była... jakaś nieprawdziwa. Ta kobieta, Susan, powiedziała, że Courtney przypominała jej obcą istotę z filmu *Inwazja pożeraczy ciał*.

– Super – rzuciła Nancy. – Kolejny wieczór z kulturą wysoką. Zawsze można na ciebie liczyć, że podniesiesz poziom dyskusji.

– Ale ja naprawdę rozumiem, co miała na myśli, mówiąc o tych obcych istotach. Courtney miała wszelkie atuty, by odnieść sukces – dobre wykształcenie, po studiach świetną pracę, przyzwoitego, a może nawet wspaniałego męża, pieniądze, śliczne dzieci.

– Ale nie odniosła sukcesu? Czegoś jej jednak zabrakło?

– Niezupełnie. Po prostu coś było nie tak. Słuchaj, niektórzy lubili ją albo uważali za fajną kobietę. Au pair ją podziwiała. Jednak z wyjątkiem najlepszej przyjaciółki, nikt nie uрониł nad nią ani jednej łzy. Nikt nie wydawał się wstrząśnięty do żywego okropnością morderstwa.

– Hm, od chwili odnalezienia ciała minęło już trochę czasu.

– Dzisiaj będzie trzy tygodnie – powiedziałam.

– Ale zaginęła trzydziestego pierwszego października. Po kilku dniach ludzie chyba zaczęli podejrzewać, że stało się coś złego. Zatem znalezienie ciała nie było dla nikogo szokiem.

– Słuchaj, wyobraź sobie, że coś podobnego stało się z kimś, z kim tylko trochę się przyjaźnimy, powiedzmy Mary Alice. To raczej koleżanka. Czy nie byłabyś wstrząśnięta?

– Nie. Tańczyłabym na ulicy – powiedziała Nancy.

– Nieprawda.

– Na przykład tango na Northern Boulevard.

– Nie. Byłabyś wstrząśnięta.

– Dobra. Skoro tak mówisz.

Milczałyśmy przez minutę. Nancy czytała teksty na okładce niedawno kupionej książki, a ja rozczesywałam frędzle brązowo-złocistego dywanika.

– Cały czas myślę o tym, co powiedziałaś – rzuciłam. – O tym, że Courtney była w trzeciej lidze, a StarBaby wcale nie było strzałem w dziesiątkę. Czy to coś, co usłyszałaś w „Newsday”?

Nancy odrzuciła głowę do tyłu gestem urażonej Piękności z Południa i wymamrotała:

– O Boże! – Ponieważ jedyną moją reakcją było dalsze rozczesywanie frędzli, dodała: – Nie, ty głupia. To coś, co podpowiedziała mi intuicja. Courtney Logan odeszła z pracy po urodzeniu pierwszego dziecka. Czy słyszałaś chociaż słówko o tym, że straszliwie pragnęła wrócić na Wall Street, czy gdzie tam ona pracowała? Albo że za tym tęskniła?

– Nie.

– Prowadziła w domu ładną firemkę, która jak na razie niczego nie osiągnęła. – Zanim zdążyłam zaprotestować, dodała: – Przysięgam ci, że się nie czepiam. Jeśli ta firma miała potencjał, to ona nie potrafiła go wykorzystać. Ambicja to piękna rzecz, ale potrzebne jest też coś, co w Georgii nazywamy „chodzeniem wokół interesu”.

– To dlatego, że nikt tam u was nie słyszał o słowie „wytrwałość”.

– Chcesz usłyszeć moje zdanie czy nie? – zapytała.

– Jasne.

– Courtney sprawia wrażenie jednej z tych osób... które mają wszystkie potrzebne atuty, a ostatecznie idą przez życie oburzone, że zamiast być na przykład dyrektorem generalnym agencji J. Walter Thompson, kierują drugą co do wielkości agencją reklamową we Florence, w stanie Alabama. Tylko na nią spójrz. Śliczna jak laleczka. Z dołeczkami w policzkach, dzięki którym wygrała pewnie niejeden konkurs piękności w rodzinnym mieście. Inteligentna. Ukończyła z wyróżnieniem Princeton. Mąż po Ivy League i MBA. Pracowała w dużym banku inwestycyjnym.

– Patton Giddings – powiedziałam cicho. – Słuchaj, Nance, chyba już czas, żebym zrobiła następny krok.

– To znaczy? – spytała nastroszona i wojownicza. – Spotkała się z tym twoim gliniarzem?

– Nie! Mówię dosłownie „następny krok”. Jeśli Courtney miała jakiegoś faceta, jak utrzymuje jej najlepsza przyjaciółka, to nikt tutaj w mieście nie ma pojęcia, kto by to mógł być. A przynajmniej nikt z osób, do których dotarłam. Jeśli tu, w Shorehaven, była jakaś afera albo interes, który się wykoleił i z tego powodu ktoś chciał ją zabić, to nikt nawet nie pisał o czymkolwiek, co mogłoby mnie do tej sprawy doprowadzić. A nie wyczułam, że ktokolwiek coś przede mną ukrywał. Szczerze mówiąc, jak na tak aktywną osobę, to zrobiła na ludziach tylko powierzchowne wrażenie.

– I stąd twoja teoria o obcych istotach.

– Nancy, ona mogła być po prostu ostatnią oferą. A może skrywała jakiś paskudny, mroczny sekret. Ale chyba wcześniej czy później będę musiała pojechać do Nowego Jorku, bo tu, na miejscu, powoli dochodzę do ściany.

– A co jest za tą ścianą? – spytała Nancy.

– Nie pytaj.

– Pytam.

– Lалуś Phil.

Rozdział 11

Co jest? – Lalus Phil Lowenstein spojrział przez stół z żółtego laminatu w naszym kącie Coffee Heaven. Choć nieco lepsze niż garkuchnia, miejsce to stanowczo wydawało się obskurne w porównaniu ze stojącym po drugiej stronie ulicy niedawno odnowionym, wyjątkowo uroczym, białym drewnianym budynkiem stacji kolejowej, jakieś dwanaście kilometrów od Shorehaven.

Kilku wyluzowanych podróżnych, ubranych w drelichowe spodnie albo garnitury z gniecionego lnu, zgiętych pod ciężarem neseserów i plecaczków, dyskretnie zerkało w naszym kierunku, by sprawdzić czy... Tak! Mafioso z Long Island we własnej osobie siedział przy tym stoliku co zwykle. Hm, dzisiaj miał na sobie – o Jezu! – gigantyczny medalion w kształcie słońca, zawieszony na złotym sznurze i opiętą na brzuchu szarą sportową koszulkę w szerokie czerwone pasy. Koszulka była tak obcisła, iż ujawniała, że Phil ma wypukły pępek. Zanim Lalus zdążyłby zauważyć, że się na niego gapią, odwracali się, by popatrzeć na ofertę dnia: sok pomarańczowy, dwa jajka w koszulkach na toście, kawa 2, 20\$.

Ci mieszkańcy przedmieść pławiący się w blasku sławy Lalusia Phila nagle wydawali się bardziej ożywieni. Jak zamierające rośliny wystawione na słońce, odzyskiwali siły w jego blasku. Prostowali ramiona. Oczy im błyszczały. „Dwa jajka, lekko ścięte, na chrupkim bekonie!” – zamawiali z wielką pewnością siebie, jakby przebywanie o kilka kroków od źródła władzy nagle czyniło z mężczyzn i kobiet szczwane lisy. Poranek nie mógłby już być ciekawszy, chyba że jakaś prawdziwa, o wiele ważniejsza osobistość, powiedzmy Larry King albo Madeleine Albright, wpadłaby do Coffee Heaven na bajglu z twarożkiem.

– Nie smakuje ci śniadanie, pani doktor? – spytał mój klient. Niedojedzony omlet z białek leżał przede mną na talerzu jak zmęczony bezkręgowiec.

Ja sama byłam pełna energii.

– Nie, omlet był w porządku – odparłam.

– Bo jeśli chcesz, mogę poprosić Monte, żeby zrobił ci gofry. Albo prawdziwy omlet, z tym żółtym. – Phil właśnie skończył jeść jajecznicę ze wszystkimi szykanami. Nie zostało ani odrobiny smażonych ziemniaków, ani okruszka z góry tostów, którą mu podano. Po stole wałały się puste plastikowe pojemniczki po galaretkie z winogron i dzemie truskawkowym, a także tłuste kwadratowe papierki, które Phil zdarł z porcji masła. – Może naleśniki? – Chwycił kilka serwetek z pojemnika i otarł już wcześniej wytarte kąciki ust. – Mają też gorącą owsiankę. Taką jeszcze lekko chrupiącą, a nie rozgotowaną paczkę.

– Nie, dziękuję, Phil. Słuchaj, chcę z tobą porozmawiać o pieniądzach. – Miał kamienny wyraz twarzy, ale niemal niezauważalne chlupnięcie kawy w jego filiżance wskazywało na to, że chyba coś usłyszał. – Nie, nie – pospieszyłam z wyjaśnieniami. – Nie dla mnie. Robię to gratis, tak jak zapowiadałam. Chodzi mi o pieniądze Courtney. Muszę ci zadać parę pytań i proszę, zrozum, nie chcę, byś uznał to za brak szacunku...

– O czym ty mówisz? Szacunek? Myślisz, że jestem jakimś ojcem chrzestnym, którego musisz całować w pierścień?

– Nie, ponieważ nie zamierzam całować cię w pierścień ani w cokolwiek innego. Przejdźmy więc do rzeczy. Jeśli miałbyś określić, co było siłą napędową twojej synowej, to co by to było? Miłość, w tym także i seks, czy pieniądze?

Laluś Phil nie zawahał się nawet na symboliczne „hm”.

– Pieniądze.

– Skąd ta pewność?

Dał sobie czas na przemyślenie tego pytania, wołając do mężczyzny za kontuarem:

– Hej, Monte, co trzeba zrobić, żeby dostać więcej tostów? – Monte uśmiechnął się, niewątpliwie znając swoją rolę w tej sztuce, i zasalutował słuźbiście. Laluś Phil, również utrzymując się w roli, łaskawie pokiwał głową. Potem odwrócił się do mnie. – Spójrzmy na to tak. – Pogłaskał pierwszy z podbródków. – Wyobraź sobie jakiś interes, dobrze? Spotykasz się z facetem. Wygląda w porządku i mówi to, co trzeba. Ale ty wyłapujesz drobne szczegóły. Powiedzmy, że rozmawiasz o interesie. Aż tu nagle obok przechodzi dziewczyna i on się zaczyna na nią gapić. Potem odwraca się do ciebie i mówi: „Przepraszam, co pan powiedział?” No, facet stracił koncentrację tylko na chwilę, ale ty już wiesz, że on nie ma... odpowiedniego podejścia, więc nie chcesz robić z nim interesów. Dziewczyna to dziewczyna, a interes to interes. Tak samo z Courtney. Podejście. Gdy mowa o biznesie, to mimo że była dobrą żoną i matką, robiła cielece oczy do Gregory’ego i mówiła do dzieci „rybeńko”, to w głębi serca wiem... – Laluś Phil wałnął się powyżej brzucha, by pokazać, gdzie ma serce – że zapomniałaby o całym tym pieszczotliwym gównie, *pardon* za wyrażenie, gdyby ktoś z odległości kilometra szepnął coś o arkuszu kalkulacyjnym i analizie danych.

– Co jej się bardziej podobało w biznesie? – drażyłam dalej. – Planowanie i operacje? Czy pieniądze?

– Hm, wiedziała, jak je wydawać, to pewne. Ubrania. Ten dom, samochody, wakacje. Ostatnie na Bali. Zmuszać Gregory’ego, by jechał przez pół świata, żeby poleżeć na plaży? A także antyki. Pozwól, że coś ci powiem. Jak na dwójkę dzieciaków, które postępują uczciwie...

– Przez uczciwie rozumiesz zgodnie z prawem? – wtrąciłam.

– Tak. Zgodnie z prawem. Legalnie. Jak na dwójkę dzieciaków, które grały uczciwie, Courtney i Gregory’emu nieźle się wiodło. Dobrze im się żyło. Może nawet aż za dobrze, bo Courtney ciągle przepuszczała pieniądze. Któregoś razu zamówiła projekt ogrodu zimowego. Naciskała na Grega, by kupił dom obok nich, gdy został wystawiony na sprzedaż. Mogliby go zburzyć i mieć więcej ziemi. Więcej ziemi? Oni już mieli prawie hektar. Kim ona, do cholery, była? Panną Scarlett O’Hara?

Skończyłam czyścić serwetką wierzch solniczki i pieprzniczki i powstrzymałam się, by nawet nie spojrzeć na oblepioną keczupem krawędź stołu. Rzuciłam pytanie:

– Więc to raczej pieniądze, to, co można za nie kupić, a nie planowanie i działanie interesowały Courtney?

– Nie, to też nie tak. Bo gadała o biznesie na okrągło, gdy zaczynała ze StarBaby. Ple, ple, ple. A gdy już wszystko powiedziała dwa razy, to mówiła o cudzych firmach. Jakby relacjonowała artykuły z „Wall Street Journal”. Nudne, korporacyjne gówno. „Kwartalne

zyski Dupola SA przekroczyły wszelkie prognozy”. Jakbym naprawdę nie miał... no wiesz gdzie... Dupoli SA. Jednak po jakimś czasie, gdy StarBaby nie przynosiła krociowych zysków, to już nie miała nic do powiedzenia o swoim i cudzych biznesach. Można chyba powiedzieć, że planowanie i operacje interesowały ją tylko wtedy, gdy ona była na plusie.

– Te pieniądze, które wzięła ze wspólnego konta – wspomniałam. – Mówiłeś, że część zwróciła. Ale ostatecznie zatrzymała dla siebie dwadzieścia pięć tysięcy dolarów z ich wspólnych pieniędzy.

– Tak – powiedział Lalus Phil. – Zgadza się. Potrzebowała ich dla StarBaby.

– Pamiętasz, kiedy było to całe zabieranie i zwracanie?

– Niech pomyślę. Gregory powiedział mi o tym... chyba w drugim tygodniu listopada, dwa tygodnie po jej zniknięciu, gdy gliny zaczęły go wypytywać o te czterdzieści tysiąków, które zabrał ze wspólnego konta i przelał na swoje własne.

– To te pieniądze, które miały uspokoić bank, udzielający mu kredytu, tak?

– Właśnie. Jeśli prowadzisz uczciwy interes, potrzebujesz otwartej linii kredytowej, nie chcesz, żeby bank zaczął się niepokoić – urwał, wydał wargi i splunął (na szczęście nie w moim kierunku), jakby zjadł coś wyjątkowo obrzydliwego. – Tyle że te gliny z wydziału zabójstw to głupie kutafony! Oni uznali, że te czterdzieści tysiąków, które Gregory przelał, by zabezpieczyć Soup Salad Sandwiches, świadczy o tym, że to on się przyczynił do zniknięcia Courtney, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

– Chcesz powiedzieć, że według policji Greg chciał położyć łapę na wspólnych pieniądzach i pokłócili się o to z Courtney. Dlatego ją zabił.

– Słyszałaś kiedyś takie gówno? W każdym razie Gregory powiedział mi, że poważnie porozmawiał z Courtney gdzieś tak około Dnia Matki, nie wiem, kiedy to jest.

– W maju.

– No więc w maju porozmawiał z nią o podbieraniu pieniędzy ze wspólnego konta na to głupie StarBaby. Później rozmawiał z nią jeszcze raz, zdaje się w lecie. Wtedy, gdy znów po kryjomu wzięła pieniądze jak swoje. Co za tupet. Powiedział, że przestała pobierać pieniądze jakoś tak wtedy, gdy Morgan poszła do przedszkola, czyli na początku września albo trochę później.

Courtney powiedziała, że bardzo przeprasza i Greg też powiedział, że przeprasza, ale musi mieć odpowiednią kwotę na koncie, by bank się go nie czepiał. Powiedział, że potem już wszystko było ślicznie i różowo. Odetchnęłam głęboko i zapytałam:

– Na ile jesteś pewny, że twój syn mówi prawdę?

– Na ile to tylko możliwe – odparł Lalus Phil tak szybko i tak spokojnie, że postanowiłam mu uwierzyć.

– Z tego co słyszałam... – Przerwał mi Monte, który przyniósł z bufetu chyba cały bochenek chleba przerobiony na tosty oraz miskę pojemników z dżemem i masłem w porcjach. Gdy w końcu przestał się uśmiechać i wrócił za kontuar, ciągnęłam: – Wygląda na to, że zachowanie Courtney zmieniło się we wrześniu. Straciła zainteresowanie StarBaby. Według jej najlepszej przyjaciółki oraz młodej kobiety, która dla niej pracowała na pół etatu, Courtney myślami była gdzie indziej. To wszystko zgadza się z tym, co ty mówisz.

– Chcesz kawałek? – wyciągnął do mnie trójkątny tost.

– Nie, dziękuję. Słuchaj, Phil, jesteś rozsądnym człowiekiem interesu. Co ci to mówi, jeśli ktoś, kto się naprawdę pasjonuje pieniędzmi i biznesem, nagle zaczyna zaniedbywać ten właśnie biznes, który miał być dla niego kluczem do sukcesu?

– Powiedziałyby mi to parę rzeczy – zaczął ostrożnie.

– Na przykład?

– W przypadku kobiety? Że mogła mieć kochasia. Ale tu nie sędzę. Nie Courtney. Mogła cierpieć na, no wiesz, depresję czy co, jakieś załamanie nerwowe. A może narodziła się na nowo, Jezus i te rzeczy. Ale też mi się to nie widzi. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że znalazła inny biznes, no wiesz, ciekawszy niż ten, który już miała.

– Czy mogła się zaangażować w jakieś podejrzane interesy? I skończyło się na tym, że ktoś zaczął ją szantażować? A może to ona kogoś szantażowała?

Laluś Phil pokręcił głową, jakbym zasugerowała coś absolutnie niedorzecznego.

– Gdy człowiek ma kłopoty, to jakby... wisiała nad nim niewidzialna czarna chmura. Może się śmiać milion razy dziennie, ale ktoś taki jak ja... no, wiesz, ktoś, kto wie, co to naprawdę są kłopoty, potrafi to wyczuć. A Courtney nie miała takiej no, aury, jakby się bała czy znalazła w sytuacji bez wyjścia, albo robiła jakiś szwindel, który jej nie wyszedł.

– A w drugą stronę? Czy mogła znaleźć jakiś inny biznes, bardziej lukratywny niż StarBaby?

– Lukratywny – zarechotał niewesoło. – Wiem, co znaczy „lukratywny”.

– Jestem pewna, że wiesz. Dlatego użyłam tego słowa. Nie traktuję cię z góry, Phil. Oboje jesteśmy na to zbyt mądrzy.

– Tak, wiem, pani doktor. W każdym razie, jeśli masz rację, podkreślam Jeśli”, to tak, jakiś inny, lukratywny biznes wydaje mi się bardziej sensowny niż facet albo szantaż. Ale to naprawdę duże „jeśli”. Równie dobrze to może być fałszywy trop. Zapamiętaj moje słowa.

– Ale czasem musisz zaufać swojemu instynktowi, prawda?

– Prawda – zgodził się.

– Zatem wracając do rozważań miłość kontra pieniądze – ciągnęłam. – Gdybym wierzyła, że jej siłą napędową była miłość, to szukałabym dalej w Shorehaven. Ale gdy chodzi o pieniądze, to muszę zbadać kontakty Courtney w świecie finansów. Chciałbym więc, żebyś sprawdził, czy możesz się czegoś dowiedzieć od Grega...

Laluś Phil wygarniał zawartość pojemniczka z dżemem truskawkowym na grubo posmarowany tost. Dżem wyglądał jak skrzepnięta krew.

– Zrobione – oznajmił.

– Ależ nie wiesz jeszcze, czego chcę.

– Cokolwiek chcesz, ja to zrobię – powiedział, starannie rozsmarowując dżem po całym toście.

A chciałam poznać nazwiska kolegów i koleżanek Courtney. Laluś Phil dostarczył mi je, tak jak obiecał. Zadzwoił tuż przed południem i podał listę nazwisk i numerów telefonów. Numer na wyświetlaczu wskazywał, że dzwonił z Shorehaven. Doszłam do wniosku, że chyba mogę spokojnie założyć, że udał się do domu Loganów, podczas gdy jego syn był w

pracy, i się rozgościł, może wręcz w gabinecie Courtney. Na zaproszenie Grega, albo, co bardziej prawdopodobne, bez. Dla Lalusia Phila jego własna potrzeba wystarczała za zaproszenie.

Prawie nie mogłam uwierzyć, że to ja, we własnej osobie, działałam tak szybko. O czwartej tego popołudnia dzielnie maszerowałam ulicą w centrum Manhattanu, dwa kwartały od Wall Street, mimo że skórzane buty strasznie mnie uciskały, niemal powodując martwicę małych palców u nóg. Sama czułam się trochę zmartwiała. Mimo że byłam w sercu dzielnicy wielkich finansów, okolica przyprawiała mnie o gęsią skórę. Chodnik tkwił w wiecznym mroku cieni rzucanych przez wysokie, zimne i posępne wieżowce, które zdawały się nachylać ku sobie z obu stron wąskiej jezdni. Budynek z szarego kamienia pod numerem 22 zionął odorem pleśni, jakbygnił od – zerknęłam na fasadę – drugiej dekady XX wieku. Pokonawszy okropnie ciężkie, obrotowe drzwi ze szkła i mosiądzu, stanęłam przed strażnikiem o długich rzęsach, który przypominał mi jednego z tych nastoletnich gwałcicieli z *Mechanicznej pomarańczy*. Przyglądał mi się podejrzliwie spod przymrużonych powiek nawet wtedy, gdy Cecile Rabiea, wiceprezes banku Patton Giddings, do której zadzwonił, powiedziała, że może spokojnie skierować panią Singer na trzydzieste czwarte piętro.

Patton Giddings był jedną z tych instytucji na tyle czcigodnych, że swoim obskurnym wyglądem wzbudzały jeszcze większy szacunek. Dywan w recepcji miejscami poprzecierał się niemal na wylot, a to, co zostało, wyglądało na nieprane od zwycięstwa Franklina D. Roosevelta nad Hooverem w wyborach w 1932 roku. Podeszła sekretarka i poprowadziła mnie słabo oświetlonymi korytarzami. Nie byłam pewna, jak powinien wyglądać bank inwestycyjny. Stanowczo nigdzie nie widziałam histeryków w zarekawkach, wrzeszczących: „Kupuj!” albo „Sprzedaj!” Większość drzwi była zamknięta. Korytarze wyłożono dywanami. Nie słyszałam nawet własnych kroków.

Poza ciasnymi butami miałam na sobie kilkuletni czarny garnitur, wyglądający na Armaniego, gładką bluzkę z kremowego jedwabiu i złoty zegarek, który dostałam od Boba na pięćdziesiąte urodziny. Jeśli nawet nie wyglądałam na kobietę sukcesu, czułam się całkiem pewna, że nikt z miejscowej finansjery nie wybuchnie szyderczym śmiechem na mój widok. Niestety, gdy zostałam wprowadzona do wspaniałego, supernowoczesnego gabinetu Cecile Rabiea, od razu zrozumiałam, że poduszki na ramionach mojego żakietu (które spokojnie mogłyby pokryć dwie bazy na boisku do bejsbola) w XXI wieku były raczej nie na miejscu.

Za to Cecile jak najbardziej była na właściwym miejscu. Miała chyba metr osiemdziesiąt wzrostu. Czułam, że nigdy nie była jedną z tych wysokich, niezgrabnych dziewcząt z XX wieku, które chciałyby być drobne i urocze. Nie. Gdy wstała, by uścisnąć mi rękę, jej postawa wyraźnie świadczyła: cieszę się, że jestem wysoka od urodzenia! Wyglądała na trzydzieści kilka lat, mniej więcej w wieku Courtney, choć miała gładką, zdrową cerę i długie do brody, ciemne, gęste i lśniące włosy, dzięki którym ludzie prędzej czy później zaczną określać jej urodę jako ponadczasową. Na prawym policzku miała pieprzyk dokładnie w tym miejscu, gdzie madame de Pompadour przykleiłaby sobie muszkę.

– Pani Rabiea, dziękuję pani za spotkanie.

W grafitowych spodniach i zapinanej na suwak tunice z golfem, wyglądała bardzo

nowocześnie. Wydawała się dostatecznie kompetentna, by dokonać wrogiego przejęcia firmy produkującej paluszki rybne albo równie dobrze pokierować wyprawą NASA na Uran. Jediną jej biżuterią była platynowa obrączka, tak skromna, że nagle poczułam nieprzewartą chęć, by zdjąć swój zegarek.

– Mów mi Cecile – poprosiła, zachęcając gestem, bym usiadła na krześle, które przypominało kwadratowy, skórzany sedes, choć zapewne było jakimś błyskotliwym dziełem jednego z tych wychudłych, mediolańskich projektantów, w okularach w czarnych oprawkach, których się widuje w „Timesie”, w dodatku „Styl”.

– Judith – odpowiedziałam. – Wspominałam już przez telefon, że występuję w imieniu rodziny. Jak dotąd policja niewiele ustaliła w śledztwie.

– Jesteś detektywem? – spytała Cecile.

Szczerze mówiąc, wolałabym, żeby jej brwi nie zaczęły się unosić, gotowe wyrazić niedowierzanie, gdybym odpowiedziała: „tak”.

– Nie. Z wykształcenia jestem historykiem. Rodzina chce, żebym zbadała tę sprawę. – Jej brwi znów wyglądały, jakby miały się unieść w górę, więc dodałam: – Badania historyczne często oznaczają poszukiwanie sensu ukrytego w przeszłości, więc w jakimś stopniu jest to praca detektywistyczna. – Obyło się bez szyderczego śmiechu, czy parsknięć pełnych niedowierzania, więc ciągnęłam dalej: – Chcę sprawdzić, czy w przeszłości Courtney Bryce Logan jest coś, co mogło odegrać jakąś rolę w jej zniknięciu i morderstwie.

Zamiast dalej poruszać brwiami, Cecile zachęcająco kiwnęła głową.

– To ma sens – powiedziała. – Jak przez mgłę przypominam sobie powiedzenie „Badaj przeszłość... „

– „Badaj przeszłość, jeśli chcesz poznać przyszłość” – zacytowałam. – To słowa Konfucjusza.

– Kiedy żył Konfucjusz?

– Około V wieku przed Chrystusem.

Albo zabrzmiałam wiarygodnie, albo miałam rację, bo zdaje się, że zdałam ten test. Cecile spytała:

– Czego chcesz się dowiedzieć o Courtney?

– Jak dobrze ją znałaś?

– Nie byłyśmy przyjaciółkami, jeśli o to ci chodzi – powiedziała Cecile, odchylając się w wysokim, rodem ze Star Trek, fotelu z czarnego zamszu. – Słuchaj, bankowość inwestycyjna to dziedzina, w której trzeba ostro walczyć o swoje. Kto by chciał mieć bliską przyjaciółkę, która zna twoje najskrytsze myśli i słabe punkty, jeśli być może będziesz musiała z nią rywalizować? Z drugiej strony nie czułyśmy do siebie wrogości, a przynajmniej ja na pewno jej nie czułam. Byłyśmy koleżankami z pracy, ale nie przyjaciółkami.

– Jak oceniłabyś jej umiejętności? – spytałam.

– Trudno powiedzieć – odparła ostrożnie. – Skończyłyśmy studia i zaczęłyśmy pracę w Pattonie mniej więcej w tym samym czasie. Jeśli przychodzisz tu bez kursu MBA, tak jak my, kierują cię na dwuletni program dla analityków. To trochę taki obóz przetrwania. Spędzasz potwornie dużo czasu, mieląc dane, przygotowując komputerowe modele przedsiębiorstw i

tak dalej. Pracujesz sama lub w zespole, czasem ze współnikami, po dwanaście, czternaście, szesnaście godzin na dobę, czasem całą noc, tyle, ile akurat trzeba. – Cecile nie starała się być miła, ale zachowywała się tak bezpośrednio i powściągliwie, że od razu kojarzyło się z nią słowo „przyjazna”. Ale także „silna”. – Więc właściwie nigdy jej dobrze nie poznałam – ciągnęła. – Pewnie znalazłabym ją jeszcze mniej, gdyby nie była kobietą. Trzydzieści lat temu, gdy zaczynałyśmy w Pattonie, kobiety nie były tu już nowością. Ale też nie były jeszcze oczywistym faktem. Raz na jakiś czas spotykałyśmy się małą, damską grupą na kolacji lub drinku, by nawzajem poprawić sobie samopoczucie.

– Jaka była Courtney?

– Taka jak my wszystkie. Skupiona na karierze. Ambitna. Z początku wszystkie byłyśmy dosyć beznadziejne. Courtney skończyła chyba psychologię, ja matematykę, ale – mówię tylko za siebie – przyszedłam tutaj, nic właściwie nie wiedząc o bankowości inwestycyjnej.

– Czy Courtney sprawiała wrażenie, że wie więcej od ciebie? Mniej?

– Nie mam pojęcia. W tym biznesie cała sztuka polega na tym, by udawać, że wiesz, co się dzieje i starać się uchwycić kolejny szczebel drabiny. A przynajmniej nie okazywać paniki, którą czujesz. Oczywiście musisz się wspinać po drabinie jak najszybciej albo ktoś ją odsunie.

– Gdybyście pracowały w różnych branżach, jeśli ona byłaby, powiedzmy, prawnikiem, czy mogłabyś się blisko przyjaźnić z Courtney Logan? – spytałam.

Cecile Rabiea najwyraźniej przyszła na świat bez nerwowych nawyków. Po prostu siedziała bez ruchu w swoim wspaniałym fotelu z czarnego zamszu. W końcu powiedziała:

– Nie sądzę. Jak na mój gust była zbyt entuzjastyczna. Super, super, Patton, Patton, drużyna, dalej, dalej. Była absolutnie w porządku. To po prostu kwestia tego, co komu odpowiada.

– Rozumiem. – Rozejrzałam się po jej prosto, ale kosztownie urządzonej gabinecie. – Wygląda na to, że osiągnęłaś sukces. – Cecile nie miała w zwyczaju skromnie wzruszać ramionami albo bąkać nieśmiało „Eee tam, no co ty”.

– Czy Courtney, zanim odeszła, by zająć się dzieckiem, podobnie jak ty odnosiła sukcesy?

– Nie. – Policzyłam powoli w myślach, dając jej tyle czasu, ile potrzebowała. Cecile powie tylko to, co zechce powiedzieć. Wyczułam, że naciskanie albo trajkotanie, by pokryć ciszę, będzie miało wręcz przeciwny skutek. Gdy doliczyłam do dziesięciu, podjęła wątek: – Przez pierwsze dwa lata szło jej tak dobrze jak mnie. Większość pozostałych osób usłyszała: „Dziękujemy za pracę u nas, powodzenia, życzymy wszystkiego najlepszego na przyszłość”, a nas dwie poproszono, byśmy pracowały dalej. Ale potem...

Zakołysała się w tył i w przód, co, jak wyczułam, było wstępem do wstania i powiedzenia „Miło było cię poznać”. Pochyliłam się więc i powiedziałam:

– Słuchaj, masz moje słowo, że cokolwiek mi powiesz, nie zostanie przekazane, że wyszło od ciebie. Jesteś jedną z pięciu osób, z którymi będę rozmawiać i zamierzam zrelacjonować to, co zostało powiedziane bez wymieniania nazwisk.

W końcu kiwnęła głową na znak, że mi wierzy.

– Wielu ludzi nie rozumie, że na Wall Street każdy jest naprawdę bystry – zaczęła. – Nie znalazłam się tu, gdzie jestem, dzięki najwyższemu IQ, bo go nie mam. Jestem tak bystra jak cała reszta. W tym biznesie można zająć daleko dzięki wytrwałości. Chyba właśnie tego Courtney nie mogła zrozumieć. Nie ma żadnych czarów. Wykonujesz pierwszorzędną robotę. Tak jak Courtney, z tego co słyszałam. Ale potem trzeba być wytrwałym. Gdy w końcu pozwolą ci się zbliżyć do klienta, albo potencjalnego klienta, oferujesz mu swoją wiedzę i spostrzeżenia. Potem dzwonisz, by złożyć mu życzenia z okazji urodzin. Wypytyujesz go o jego wyprawę na ryby. Pomagasz mu znaleźć nowe biuro. Przekazujesz mu najświeższe informacje o zyskach jednego z jego konkurentów. Zabierasz go na kolację, wraz z jego żoną i twoim mężem. Wkrótce jesteś stale obecna w jego życiu. Gdy potrzebuje banku inwestycyjnego, to do kogo się zwraca? Do ciebie. Tyle że Courtney najwyraźniej była przekonana, że sama jej praca wystarczy.

– Czy nikt jej nie powiedział, że to za mało?

– Jestem pewna, że dawano jej do zrozumienia. Ale jeśli nie masz dobrego wyczucia do ludzi, jeśli nie potrafisz czytać między wierszami, to i tak nic nie zrozumiesz. I stanowczo nie będziesz potrafiła zaspokoić potrzeb klienta. Potrzeb, których być może on sam jeszcze sobie nie uświadamia.

– Courtney była więc jakby ślepa na... – zawahałam się. – ... aspekt ludzki?

– Nie ujęłabym tego tak mocno. Zawsze mi się wydawało, że po prostu czegoś jej brakowało. Może głębi. Może wrażliwości. Nie, żeby była niemiała.

– Ale nie miała właściwych cech? – spytałam.

– Jeśli jesteś cheerleaderką, albo żoną i matką, bycie miłą, ładną i bystrą stanowczo wystarczy. Ale nie gdy się jest konsultantką lub doradcą inwestycyjnym. Klienci oczekują zaangażowania. Stałości. Teraz na minus zapisz fakt, że po wykonaniu analiz i obliczeń, napisaniu raportów i odbyciu spotkań z klientami Courtney uważała, że zrobiła dość. Że to wystarczy, by zdobyć klienta, by zarobić duże pieniądze. – Cecile wstała. Ja również. – Nigdy nie pojęła, że w tym momencie jej praca była wykonana dopiero w połowie – odprowadziła mnie do drzwi. – Courtney nie umiała poprowadzić sprawy do końca. Zatrzymywała się w pół drogi. Jestem pewna, że w którymś momencie zrozumiała, że nie da rady. Pamiętam, że czułam z jej powodu smutek, ale wiedziałam, że jej odejście jest nieuniknione. I rzeczywiście, po urodzeniu dziecka, nawet nie próbowała wrócić do tego świata.

Odfajkowałam pierwsze nazwisko na liście Phila. Dwa kolejne dni spędziłam, podróżując na Manhattan i rozmawiając z dawnymi znajomymi Courtney. Tu z bankierem banku inwestycyjnego, tam z grubą rybą na rynku nieruchomości, a także z dyrektorem generalnym jakiejś ogromnej korporacji, która najwyraźniej odruchowo kupowała wszystko, co kojarzyło się z komunikacją szerokopasmową. Właściwie byłam zdziwiona, że wszyscy ci ważniacy chcieli się ze mną spotkać bez sprawdzenia, kim jestem, a przynajmniej nie zadawszy mi kilku dociekliwych pytań. Domyślałam się, że wszyscy w mniejszym lub większym stopniu postrzegali siebie jako osoby handlujące informacją, plotkami w takim samym stopniu jak wiedzą o finansach, i sami chcieli się przy okazji czegoś dowiedzieć.

Przesiadywałam więc na fikuśnych skórzanych krzesłach i piłam dietetyczną colę w

kryształowych szklankach, podawaną przez osobiste sekretarki o łagodnych, matczynych głosach. Ostatecznie jednak wszyscy ci ważni ludzie w szytych na miarę garniturach opowiedzieli mi w sumie to samo, czyli że Courtney była bystra, ambitna i miła, ale profesjonalnie nie najlepsza. To znaczy, dopóki nie odwiedziłam Joshuy Kincaida.

– Słuchaj, mów mi Josh! – nalegał, zanim zdążyłam dokończyć słowo „panie”.

Uśmiechnięty mężczyzna, ubrany w koszulę z luźno tkanego lnu, wyglądającego jak ekran w oknie o zmierzchu, wetkniętą w czarne jedwabne spodnie. Z osób na liście Phila on najmniej wyglądał na pracownika banku inwestycyjnego. Nic dziwnego. Po roku w Patton Giddingsie poproszono go, by poszedł pracować gdzie indziej. Ostatecznie wylądował w rodzinnej firmie i teraz był prezesem „Kincaid, Kincaid & Kincaid, Kredyty hipoteczne”.

Siedzieliśmy na kanapie w jego biurze w śródmieściu i pałaszowaliśmy słupki cukinii i lodygi selera, przyniesione przez jego sekretarkę.

– Będę miał czym zająć usta, gdy ty będziesz mówić – wyjaśnił. – Inaczej w ogóle się nie zamknę. Straszny nawyk, mówienie. Jedzenie nawet pomaga, tylko że późnym popołudniem... Czy muszę ci mówić? – najwyraźniej uważał, że musi. – Gazy. Mógłbym być alternatywnym źródłem energii dla Detroit.

– Aha – zdołałam wtrącić.

– To dlatego co wieczór wracam do domu piechotą. – Josh był jasnowłosy, miał jasną cerę, chude ramiona i nogi, które wydawały się jeszcze dłuższe i chudsze, ponieważ był taki tyczkowaty. Im dłużej mówił, tym bardziej wyglądało na to, że z powodzeniem przeszczepiono mu osobowość od jakiegoś niższego, rubasznego dawcy w typie Falstaffa. – Niech pomyślę, zdaje się, że ostatni raz widziałem się z Courtney mniej więcej rok temu. Maj, czerwiec, zapomniałem.

– Czego ona...

– Potrzebowała dofinansowania swojej firmy, jak ona ją tam zwała. – Nawet nie próbowałam wtrącić StarBaby. – Powiedziałem jej więc: „Courtney, jeśli potrzebujesz dużego kredytu hipotecznego, to dobrze trafiłaś. Ale nie jesteśmy bankiem”. Oczywiście piętnaście, dwadzieścia minut przerzucaliśmy się tam i z powrotem tekstami w rodzaju „bardzo cię lubię, ale to moja ostatnia propozycja”. Szczerze mówiąc, gdyby ten jej pomysł z filmami o dzieciach miał ręce i nogi, to może zainwestowałbym w niego trochę swojej własnej forsy, ale wyglądało na to, że jeszcze nawet dobrze nie wystartowała, a cóż dopiero mówić o wysokich lotach. Bo nie mówimy o drobnej kwocie. O nie. Courtney chciała grubych tysięcy, a absolutnie nie była jeszcze gotowa na tak wielki krok i każdy z ilorazem inteligencji większym niż u myszy by to wiedział. Wiesz, co było naprawdę żalosne?

– C... – zdołałam chyba bąknąć.

– Że Courtney, którą znałem w Patton Giddingsie, odrzuciłaby własny wniosek w dwie sekundy. Może nawet w jedną. I chyba o tym wiedziała. To takie dziwne. Wszyscy zawsze o niej mówili, że ma taką entuzjastyczną osobowość i tak zresztą było. Ale tym razem, gdy rozmawialiśmy, aż się gotowała z tego entuzjazmu. Mówiła o tym swoim pomysle z taką przesadą, że w głębi serca – nienawidzę tego zwrotu „w głębi serca” – wiedziałem, że Courtney chyba ma świadomość, że jej się nie uda. Ale w każdym razie desperacko walczyła,

to trzeba jej przyznać. Tyle że właściwie nie potrafiła ukryć własnej desperacji, a ktoś, kto jest naprawdę dobry, kogo chciałbym dofinansować, powinien być dobry w ukrywaniu desperacji. A wiesz, co jest jeszcze dziwniejsze?

– Co? – spytałam, zdając sobie sprawę, że zanim on skończy kolejne zdanie, ucieknie mi pociąg o szesnastej czterdzieści trzy do Shorehaven.

– Wiesz co się stało akurat wtedy, gdy zniknęła Courtney? Inna kobieta, z banku w New Jersey, również zniknęła bez śladu.

Najdziwniejsza była moja reakcja. Nic, nawet najlżejszego przeczcucia: „Dobry Boże!” Ani jednego westchnienia. Mogę się tylko domyślać, że to dlatego, że nie mam ani skłonności, ani charakterystycznej urody, by odgrywać dramaty. Kusiło mnie, by powiedzieć: „Tak, Josh, racja, to dziwne”. A może powściągałam podniecenie, bo nie chciałam w sobie rozbudzać fałszywych nadziei. W każdym razie, nawet jeśli choćby przez sekundę jakieś podejrzenie związku między tymi dwoma sprawami przemknęło przez moją świadomość lub podświadomość, naprawdę nie pomyślałam, że to może być niebezpieczne. Żadnego „O Boże, seryjny morderca atakuje inteligentne kobiety w Nowym Jorku i okolicach”. Albo „To chyba jakiś potworny spisek złowrogich typów, muszę się trzymać od tego z daleka”. Gdybym poczuła choćby najlżejszą obawę, to w przeciwieństwie do wszystkich tych dziarskich bohaterek z filmów, zostawiłabym sprawę Courtney Logan, wsiadła do pociągu o siedemnastej trzy na Long Island i zaczęła się uczyć gry na gitarze. Albo zapisała się na kurs gotowania, na przykład dań kuchni chińskiej. Albo zrobiła sobie operację plastyczną i przez resztę życia udawała żydowską ciotkę Cindy Crawford.

Jednak w tej chwili myślałam tylko o tym, że spędziłam dwa dni na rozmowach z ludźmi ubranymi w szyte na miarę ciuchy i dowiedziałam się jedynie, że Courtney była energiczna, bystra, ale jeśli chodzi o profesjonalizm, niezupełnie w pierwszej lidze. Więc gdy sekretarka Josha po cukinii i selerze przyniosła mrożoną herbatę z gałązkami prawdziwej mięty i talerzyk markiz czekoladowych, uznałam, że ten wątek może być wart zbadania.

– Ojej – rzuciłam w odpowiedzi. – Jeszcze jedna zaginiona kobieta. Znałeś ją?

– Spotkałem ją tylko raz. Przygotowywaliśmy dla jednego z głównych klientów Red Oak kredyt hipoteczny na dom. Red Oak National to mały, zbankowany bank z trzema oddziałami. Emily reprezentowała Red Oak i dbała, by klient się nie zdenerwował, nie żebyśmy coś w tym względzie robili.

– Jak ona się nazywała?

– Emily coś tam. Hiszpańsko brzmiące nazwisko. Albo łacińsko. Nie jestem pewien. A czy w ogóle jest jakaś różnica? Zawsze się boję, że użyję niewłaściwego określenia i ktoś się obrazi. W każdym razie ona była w porządku. Dla banku to chyba nie był ogromny interes. Ale ona często obsługiwała tego klienta i on najwyraźniej miał do niej zaufanie.

– Pamiętasz, co to był za klient?

– Taki facet z angielskimi zębami. No wiesz, setka zębów w małej gębie, jak to mają Anglicy. Ale on nie był Anglikiem. Chyba raczej z Nowej Anglii. Albo uczył się w prywatnej szkole. Pamiętam, że mówił przez nos, choć miałem wrażenie, że tylko udaje, by brzmiało to arystokratycznie.

– Pamiętasz, jak się nazywał?

Josh zamyslił się i posłał kostkę lodu. Potem ją pogryzł i rzucił:

– Richard Gray? Gray Richards? Odziedziczył pięćdziesiąt jeden procent udziałów w firmie, która produkuje opakowania dla przemysłu farmaceutycznego. Jego siostra ma pozostałe czterdzieści dziewięć procent. Bardzo duże pieniądze. Bardzo głupi facet.

– A ta Emily była jego osobistym doradcą, jego osobą kontaktową w Red Oak? – Josh kiwnął głową, ale zanim zaczął mówić, zdążyłam zapytać: – Dlaczego ten bank nie udzielił mu kredytu hipotecznego, skoro to taki ważny dla nich klient?

– Przepisy nie pozwalają pożyczać jednej osobie prawnej czy fizycznej więcej niż piętnaście procent kapitału, więc przy małym banku, takim jak Red Oak, który ma pewnie jakieś dwieście milionów w aktywach... – zaśmiał się. – Sama możesz sobie policzyć.

Tak, jak będę miała ze dwa dni i kalkulator.

– Opowiedz mi ojej zniknięciu – poprosiłam.

– Niewiele wiem. Pracowała, a potem któregoś dnia pojechała na wakacje i już nie wróciła. Nikt nie wiedział, co się z nią stało.

– Ile ona miała lat?

– Niewiele ponad trzydziestkę. A przynajmniej takie odniosłem wrażenie. Mogę się mylić, he, he. Jak tak chwilę o niej pomyślę, to przypominam sobie, że przedstawiła się jako zastępca kierownika oddziału, a przecież prowadziła za rękę ważnego klienta, faceta od opakowań dla farmacji. Pomyślałem wtedy:

Tylko zastępca? I wiesz, co zaraz przyszło mi do głowy? Szklany sufit. Widzisz więc, że jestem wrażliwym facetem.

– Czy sprawdzono, że ona nie zdefraudowała jakichś...

– Oczywiście – odparł. Powstrzymał się od chichotu, że zadaję aż tak oczywiste pytania, ale z trudem. – Nie zdefraudowała. Co jeszcze mogę ci powiedzieć? Ta Emily była zero przecinek zero procent podobna do Courtney. Ten, kto do mnie dzwonił, by mi o niej opowiedzieć, mówił, że była samotna i okropnie serio, a z tego co pamiętam, raczej nieładna. Nie miała wyrazistej osobowości, bo jej nie pamiętam. Wiesz, o co mi chodzi? Totalna pustka w głowie. Nie, niezupełnie totalna. Pamiętam... – zamknął oczy i kiwał głową jak wróżka – ...wrażenie, że to lekka idiotka. Jeśli myślę o właściwej osobie. Chociaż nie. Nie idiotka. Ofiara losu.

– Czy drogi jej i Courtney mogły się skrzyżować?

– Wszystko jest możliwe – odparł Josh. Rozdzielił markizę i górnymi, przednimi zębami zdrapał nadzieję. – Z jakim prawdopodobieństwem? Statystycznie rzecz biorąc, powiedziałbym dwa do stu. Red Oak jest hen tam, w South Jersey, a ten, kto mi opowiadał ojej zniknięciu, wspominał też – chyba, ale nie przysięgnę na Biblię – że Emily mieszkała gdzieś w okolicy Cherry Hill. A Courtney już od dawna nie ma do czynienia z bankowością, tyle lat ile ma jej starsze dziecko. Poza tym wątpię, czy małe, nikomu nieznaną bank, taki jak Red Oak, robił jakieś interesy z Patton Giddingsem, choć wszystko jest możliwe, zwłaszcza że Patton Giddings w zasadzie powiedział mi, że gównie wiem o inwestycjach bankowych. Więc z tego co wiem, być może Emily i Courtney były najlepszymi

przyjaciółkami.

– Czy natrafiono na jakiś jej ślad? Albo znaleziono ciało? – spytałam.

– Raczej nie jestem na liście pierwszego kontaktu dla policji czy kogo tam, kto się napatoczy na ciało Emily jakiejś tam – odparł Josh. – Ale nic więcej nie słyszałem.

Dopiero gdy pociąg z Manhattanu wyjechał z tunelu, pozwoliłam sobie zdrzeć z podniecenia. Jak wiele młodych kobiet w Nowym Jorku i New Jersey, które miały jakiś związek z finansami, może zniknąć bez śladu, a w przypadku Courtney wylądować w przydomowym basenie? Jasne, odpowiedź mogła brzmieć: czterdzieści siedem. Ale czułam instynktownie, że gdzieś tam jest jakiś związek pomiędzy Courtney Logan i – prosto ze stacji w Shorehaven popędziłam do mojego komputera – Emily Chavarria.

Bingo? Być może. Według „CourierPost” Emily Chavarria, lat trzydzieści jeden, absolwentka Wharton School na Uniwersytecie Pensylwania, zastępca kierownika oddziału banku Red Oak National w Cherry Hill w New Jersey wyjechała w piątek dwudziestego drugiego października na trzytygodniowe wakacje do Nowej Zelandii i Australii. Dziewięć dni przed zniknięciem Courtney. Nikt jej już potem nie widział. W poniedziałek piętnastego listopada prezes banku zaniepokojony tym, że Emily nie tylko opuściła zebranie sekcji funduszy powierniczych o jedenastej, ale też że nie zadzwoniła, by się usprawiedliwić, a były to dwa zdarzenia kompletnie sprzeczne z jej dotychczasowym wizerunkiem wzorowej pracownicy, wysłał swoją sekretarkę do domu Emily, odległego od Cherry Hill o piętnaście minut jazdy samochodem. Gdy nikt nie zareagował na dzwonek do drzwi, sekretarka wezwała policję, po czym, uzyskawszy klucz od administratora osiedla, ona i dwóch policjantów weszli do domu. Ani śladu włamania czy szamotaniny. Ani śladu bagaży czy Emily. Od tamtej pory wszelki ślad po niej zaginął.

Rozdział 12

Bogu niech będą dzięki za internet. Znalezione przeze mnie artykuły z lokalnych gazet z New Jersey wspominały, że Emily Chavarria należała do organizacji bankowców z New Jersey i oddziału regionalnego na południowe Jersey ogólnokrajowej organizacji KPF – Kobiety w Przedsięwzięciach Finansowych, choć równie dobrze mogłyby się nazywać KDB, Kobiety dla Bankowości, ale to mogłoby się kojarzyć z KGB.

Zadzwoiłam do Phila i przydzieliłam mu zadanie ustalenia, czy Courtney była członkinią KPF. Znów mamrotał coś o pogoni za cieniem, na co ja odmamrotałam, że nawet jeśli jest to pogoń za cieniem, to za moje własne pieniądze. Mruknął: „Odezwę się”. Poczulałam ulgę, słysząc te słowa, a nie na przykład „Dorwę cię”. Pewnie nie czułabym podobnego niepokoju, gdyby moim pierwszym klientem był na przykład ortopeda. Potem wróciłam do artykułów w prasie. Emily pochodziła z małego miasta Leesford w Oklahomie. Sprawdziłam Leesford w internetowej książce telefonicznej, znalazłam tylko jednego Chavarria. Zadzwoiłam do „Chavarria, Pete”, odebrała jego żona.

– Pani Chavarria – zaczęłam, mając nadzieję, że w Oklahomie jest to właściwa forma zwracania się do zamężnych kobiet. – Nazywam się Judith Singer. Prowadzę dochodzenie na Long Island. To sprawa, która pod pewnymi względami jest podobna do zniknięcia pani córki.

– Aha odparła.

– Przepraszam, że panią niepokoję, zwłaszcza w tak trudnym dla pani czasie...

– Nie wiemy... gdzie Emily... jest – przerwała mi, robiąc przerwę po każdych dwóch słowach. Nie wyglądało to na rozpacz, raczej na niechęć do rozmowy, ale nie potrafiłam ocenić, czy przyczyną była małomówność, czy smutek.

– Rozumiem. Chciałabym zadać tylko kilka pytań, być może znaleźć jakieś analogie między kobietą, która zaginęła na Long Island i Emily. – Nie odezwała się, więc mówiłam dalej: – Wiem, że Emily planowała podróż do Australii i Nowej Zelandii. Czy dzwoniła stamtąd do państwa, przysłała jakąś pocztówkę albo list?

– Nie.

– Rozumiem.

– Policja z New Jersey... Oni powiedzieli, że nie wygląda na to, by Emily w ogóle wyjechała.

Zdecydowałam się nie pytać, skąd wiedzieli, bo jej odpowiedź mogłaby wyczerpać jej chęć rozmowy. Domyślałam się, że policja pewnie ustaliła, że Emily nie wsiadła do żadnego samolotu czy coś takiego. Zapytałam więc tylko:

– Czy Emily ma jakichś bliskich przyjaciół na Wschodnim Wybrzeżu?

– Chyba tak. Ale nie znam ich nazwisk. – Pani Chavarria mówiła z typowym dla Oklahomy akcentem, który na ogół sprawia, że rozmówca wydaje się szczerzy i prostolinijny. Nie w jej przypadku. Jak się domyślałam, przeżywała tragedię, a jednak było w niej coś – a może we mnie – co nie wzbudzało odruchowo współczucia. To z kolei spowodowało, że

poczułam się winna, ale też czujna. Pomyślałam, że moja reakcja musi coś znaczyć, bo mimo że Greg Logan tamtego wieczoru, gdy go odwiedziłam, wydał mi się zimną rybą, to jednak czułam się okropnie z powodu jego straty. – To samo powiedziałam policji – dodała.

– Aha. Czy wie pani, czy Emily miała chłopaka?

– Nie wiem. Przyjechała do domu na Boże Narodzenie, ale została tylko dwa dni.

– Więc może nie zdążyła opowiedzieć pani, co u niej nowego.

– Może – zgodziła się pani Chavarria.

– Czy zamierzała gdzieś wyjechać?

– Nie. Boże Narodzenie i Nowy Rok to w banku bardzo pracowity okres.

– Wie pani może, czy Emily kiedykolwiek jeździła do Nowego Jorku albo na Long Island?

– Nie.

– Czy wspominała może przyjaciółkę o imieniu Courtney? Courtney Logan.

– Nie.

– Jej panieńskie nazwisko... – musiałam bardzo uważać, by nie mówić o Courtney w czasie przeszłym – ... brzmi Bryce. Courtney Bryce.

– Nie.

– Pozwoli pani, że zapytam, kiedy rozmawiała pani z Emily ostatni raz?

– Parę dni przed jej wyjazdem na wakacje. Ale policja mówi, że ona nie wyjechała. Zadzwoiła, żeby się pożegnać – przy słowie „pożegnać” głos jej nawet nie zadrżał. Ani śladu emocji.

– Czy Emily sprawiała wrażenie, że czymś się niepokoi?

– Nie.

– Czy cieszyła się na tę podróż?

– Chyba tak.

– Czy powiedziała, że nie może się jej już doczekać?

– Nie.

Zauważyłam, że nawijam sobie sznur od telefonu na palec i zmusiłam się, by przestać, bo palec zrobił się prawie siny z braku dopływu krwi.

– Czy policja z New Jersey pytała panią jeszcze o coś, o co ja nie zapytałam? – rzuciłam w końcu.

To trwało bardzo, bardzo długo, ale w końcu pani Chavarria odpowiedziała:

– Chcieli się dowiedzieć, gdzie trzymała pieniądze.

– A wiedziała pani?

– Nie.

– Czy powiedzieli, dlaczego o to pytają?

– Bo ona zabrała swoje pieniądze z banku.

– Wszystkie pieniądze?

– Tak powiedzieli. I z akcji, i z udziałów w funduszach inwestycyjnych też. Podałam jej swój numer i poprosiłam, by zadzwoniła na mój koszt, jeśli coś jeszcze się jej przypomni. Przerwałam połączenie i gapiłam się na telefon, jakbym mogła coś wywróżyć z przewodów i

układów scalonych. Gdybym tylko mogła zadzwonić do Nelsona, to była moja pierwsza myśl. Przestań! – to była druga. A w trzeciej kolejności przypomniałam sobie, jak wiele lat temu Nelson powiedział mi, że większość pracy śledczej jest nudna, to głównie przechodzenie kolejno od A, przez B do C i tak dalej, w ogłupiającej, żmudnej sekwencji. A jednak na niego ta drobiazgowość działała uspokajająco. Nawet jeśli się miało dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności co do G, nadal trzeba było przejść przez D, E i F. Z niewyjaśnionych powodów ten czasochłonny proces często przynosił nowe, genialne pomysły i niemal zawsze pomagał zebrać solidniejszy materiał dowodowy.

Łatwo jest być drobiazgowym, gdy się jest policjantem, pomyślałam. Ma się dostęp do A, B, C, D i tak dalej. Można przeszukać dom zaginionej osoby, sprawdzić jej konto w banku i rachunek maklerski, pokazać odznakę i zadać pytania. Ja nie miałam nakazu sądowego ani licencji detektywa. Nawet wizytówki.

Ale miałam Lalusia Phila, który okazał się całkiem niezłym śledczym. Zareportował, że Courtney należała do oddziału KPF na Wall Street, choć Greg wątpił, czy w ciągu ostatnich pięciu lat, mieszkając na Long Island, wychowując dwójkę dzieci i prowadząc StarBaby, miała czas, by wybrać się na jakieś spotkanie. Zamknęłam oczy i spróbowałam sobie wyobrazić jakiś wspólny podwieczorek/zjazd/koktajl z udziałem członkiń KPF z Manhattanu i z południa New Jersey, ale jakoś nie bardzo mi się to widziało. Zapewne wydałam z siebie ciężkie westchnienie, bo Lalus Phil spytał:

– Co jest?

– Nic – odparłam. – Nie mógłbyś spytać Grega, czy Courtney kiedykolwiek aktywnie działała w tej organizacji, czy jeździła na jakieś konferencje, na których mogłaby spotkać członkinie z innych oddziałów? Znalazłam kobietę z KPF w New Jersey, która zaginęła na przełomie października i listopada.

– A czemu miałbym go nie spytać? – rzucił Phil nieco zrzędlwym tonem.

– A temu, że na przykład może się zdziwić, dlaczego zadajesz mu takie szczegółowe pytania – odparłam.

– Zdziwić? – powtórzył Lalus Phil. – Jestem jego starym. Jeśli Gregory nie może ufać mnie, to już nikomu nie może. Jeśli myślisz, że on tego nie wie, to chyba jednak nie myślisz.

Doszłam do wniosku, że powinnam przestać obsesyjnie doszukiwać się związku między Courtney i Emily. Niestety, nie mogłam zadzwonić do Nancy, która nakazałaby mi, żebym natychmiast przestała robić z siebie idiotkę. Nancy pojechała z mężem na kolację u któregoś z dyrektorów „Newsday”, przekonana, że Larry będzie tam głądził o architekturze gotyckiej, szydził z jej komentarzy na temat polityki, rozlewał czerwone wino i śmiał się jak rżący osioł, skutkiem czego Nancy straci pracę. Poszłam więc na werandę i skakałam po kanałach telewizyjnych, dopóki nie natrafiłam na *Dylizans* z Johnem Wayne’em i Claire Trevor w roli dziwki o złotym sercu, jeden z moich ulubionych filmów. Rozsiadłam się wygodnie, podkładając sobie poduszkę pod głowę i szyję. Jednak nie mogłam się skupić, bo ciągle myślałam o tym, jaki mógł być związek między Courtney i Emily.

Najpierw zaczęłam się uważniej zastanawiać nad sugestią Phila, że to pogoń za cieniem. Te kobiety należały do dwóch różnych oddziałów KPF, które było pewnie sporą organizacją.

Jakie są szanse, że mogły się znać? Ponieważ zawsze byłam świetna z testów z wiedzy ogólnej, ale beznadziejna z matematyki, nawet nie próbowałam policzyć, jakie jest prawdopodobieństwo, że dwie inteligentne, odpowiedzialne i osiagające jakie takie sukcesy kobiety w mniej więcej tym samym wieku zostaną zamordowane albo zaginą. Nieobciążona tą liczbą, pożegnałam hipotezę pogoni za cieniem.

Potem kombinowałam, że może jakaś osoba trzecia – wariat lub mordujący na zimno zabójca – załatwił je obie. Ten ktoś miał nie tylko zbrodnicze instynkty, ale był też niewiarygodnie okrutny, bo ukrył/ła ciało Courtney w basenie przy jej domu. A może jej/jemu po prostu bardzo się spieszyło, wokół szwendały się dzieci, wędrujące od drzwi do drzwi, a w domu Loganów byli domownicy. A może musiał/ła się szybko pozbyć ciała, bo potrzebował/ła dnia, tygodnia, a może nawet wielu miesięcy, by wydostać się z miasta? Ale kiedy dokonano zabójstwa? Steffi i dzieci widziały, jak Courtney odjeżdżała. Czy zginęła wtedy, gdy wróciła z zaginionymi jabłkami? Czy mogła zostać zamordowana na parkingu przed sklepem i przywieziona do domu jej własnym samochodem? Jeśli tak, to dlaczego nie było w nim śladów krwi z ran głowy? Czy może została porwana, uwięziona i zabita dzień albo tydzień później? Po tak długim leżeniu w wodzie, jak precyzyjne mogły być ustalenia koronera?

Wyłączyłam telewizor, poszłam do kuchni, wzięłam torbę młodych marchewek i zaczęłam je chrupać. Między tymi dwiema zabitymi/zaginionymi kobietami była wielka różnica, nawet jeśli coś łączyło Courtney i Emily. Kolczyki z szafirami, które Greg podarował Courtney na urodziny, były tam, gdzie zwykle, w skrytce w banku. Poza dwudziestoma pięcioma tysiącami dolarów, które podebrała między połową maja i początkiem września, jej pieniądze były tam, gdzie powinny, czyli na wspólnym koncie w banku, rachunku maklerskim i koncie firmowym StarBaby. I być może najważniejsza rzecz to brak jakiegokolwiek premedytacji. Courtney powiedziała po prostu: „Zapomniałam o czymś. Muszę na chwilę wyskoczyć do supermarketu” i wyszła.

Z kolei w przypadku Emily Chavarrii, która nigdy nie opuściła ani jednego dnia pracy, jej zaginięcie odkryto dopiero po trzech tygodniach wakacji, na które podobno się udała, gdy nie wróciła do banku Red Oak. Policja z New Jersey pytała jej rodziców o pieniądze, konkretnie: Gdzie one są. Ile tego było? Pięćset, pięć tysięcy, pięćdziesiąt tysięcy dolarów? Pięćset tysięcy dolarów? Kto wie? W końcu Emily była absolwentką jednej z najlepszych szkół biznesu w kraju. I być może sprytnym inwestorem. Z drugiej strony mogła wszystko stracić, kupując akcje niewłaściwej spółki z branży informatycznej.

Sięgnęłam po kolejną marchewkę, mimo lęku, że za szybko przełknę, zakrztuszę się, nie będę w stanie wykonać na sobie chwytu Heimlicha i umrę nie tylko bezsensownie, ale jeszcze o osiem kilo za ciężka, by zmieścić się w grupie „grubokościstych” w tabeli wagi. Nieważne. Różnica między tymi dwiema kobietami polegała na tym, że w zniknięciu i być może zamordowaniu Emily najwyraźniej był element premedytacji. Zniknęła lub została zabita po swoim ostatnim dniu w pracy, nikt jej więc nie szukał przez trzy tygodnie. Wyruszyła w podróż w piątek, ponad tydzień przed zniknięciem Courtney. Przpracować cały tydzień, to bardzo w stylu osoby, która była wzorową pracownicą, o stuprocentowej frekwencji,

dumałam. Ktoś tak skrupulatny na pewno miałby plan.

Mówiłam sobie, że powinnam przestać fantazjować i zacząć szukać konkretów, że winowajca, ów typ z nikczemnym planem, to najprawdopodobniej osoba trzecia. Albo też, rozmyślałam dalej, wracając do teorii Phila o pogoni za cieniem, może nie było żadnego planu. Zniknięcie Emily Chavarrii i morderstwo Courtney Logan nie mają ze sobą nic wspólnego. Zadzwoił telefon. Naraziłam swoje życie na niebezpieczeństwo, łykając nie do końca pogryzioną marchewkę, skutkiem czego zamiast powiedzieć: „Halo”, tylko zakaszlałam.

– Wszystko w porządku? – spytał Lalus Phil. Odkaszlnęłam jeszcze raz i powiedziałam:

– Nic mi nie jest.

– Gregory’emu wydaje się, że Courtney mogła pojechać na któreś spotkanie tego KPF jakiś czas temu. Pewnie jeszcze zanim była w ciąży z Morgan. A może gdy już była w ciąży, ale jeszcze zanim zdecydowała się zostać w domu i zająć się dzieckiem. Ale mogła to też być jakaś inna organizacja. Gregory nie jest pewien.

– Morgan ma pięć lat, prawda?

– Tak – powiedział. – Jemu się wydaje, że ona pojechała do Baltimore, ale równie dobrze mógłby to być Waszyngton. O co w tym wszystkim chodzi? A ta dziewczyna z New Jersey, która zaginęła? Naprawdę myślisz...

– Phil, być może to pogoń za cieniem. Nie wiem. – Przyszło mi do głowy, że może zabrzmiało to trochę opryskliwie, ale, zerknęłam na zegar, zrobiła się już prawie jedenasta i byłam zbyt zmęczona, by się tym przejmować. – Ale czy nie chciałbyś, żebym sprawdziła Emily Chavarrię, by wyeliminować tę możliwość?

– Rób, co chcesz, do cholery – odparł Lalus Phil. Ułamek sekundy później się rozłączył.

Gdy kładłam się do łóżka, poklepałam się w myślach po plecach. Masz odwagę, powiedziałam sobie, że nie przeraża cię irytacja, gniew czy wściekłość Lalusia Phila, czy co tam oznaczało to jego walnięcie słuchawką. Oczywiście mniej więcej dwadzieścia minut później, akurat gdy oderwana od rzeczywistości dryfowałam między snem a jawą, usiadłam nagle czujna, dysząc ze strachu. Na zewnątrz usłyszałam szum silnika zwalniającego samochodu. Akurat przy moim domu. Ten, kto siedział w samochodzie, być może chciał się tylko pozachwycać kontrastem między fioletowymi i amarantowymi bratkami, posadzonymi wokół mojej skrzynki pocztowej. Tyle że było na to trochę za ciemno. A może kierowca po prostu zmienił biegi, choć tego nie mogłam być pewna, bo sama jeżdżę samochodem z automatyczną skrzynią biegów. Z drugiej strony nie znałam dokładnego adresu Lalusia Phila, ale mogłam chyba z dużym prawdopodobieństwem założyć, że Phil potrzebował ze dwadzieścia minut, by przejechać ze swojego miasta do mojego. Gdy wstałam, zamknęłam na klucz drzwi sypialni i odchyliłam brzeg zasłony, by wyjrzeć przez okno. Zobaczyłam tylko parę tylnych czerwonych świateł ginących w mroku nocy.

Jednak już dwa dni później Phil i ja znów byliśmy przyjaciółmi, choć nie na tyle bliskimi, bym mogła oczekiwać uczciwej odpowiedzi na pytanie: „Czy to ty przejeżdżałeś koło mojego domu w czwartek, po jedenastej w nocy?” Więc go nie zadałam. Zamiast tego kiwałam z podziwem głową, gdy opowiadał:

– No to powiedziałem Gregory’emu tak – wyjaśniał Phil. – „Hej, Gregory, może byłoby dobrze zabrać Morgan i Travisa oraz tę brzydką nianię na popołudniowe przedstawienie *Ulicy Sezamkowej*. Nie uwierzysz, ile zaśpiewał ten cholerny konik, ale warto było. Nikt nie będzie nam przeszkadzał. – Ciężka bransoleta ze złotego łańcucha na jego prawym przegubie i gładko oszlifowany szmaragd, osadzony w złotej plecionce w jego sygnecie bynajmniej nie stukwały o pokrytą skórą kierownicę, tylko błyszczały w słońcu.

W tym momencie wielki jak żaglowiec samochód Phila skręcił na podjazd przed domem Loganów i podjechał pod same drzwi. Laluś Phil otworzył zielone drzwi kluczem, wstukał czterocyfrowy kod na klawiaturze od alarmu i cofnął się o krok jak skończony dżentelmen, by przepuścić mnie do środka. Hm, gdy ma się do czynienia ze skończonym dżentelmenem, nie należy marudzić o strzale w plecy lub ciosie w głowę mosiężnym kastetem. Z drugiej strony najwyraźniej wystarczało mu dotrzymanie mi towarzystwa.

– Kto gotował? – spytałam, gdy skierowaliśmy się do kuchni. – Au pair czy Courtney?

– Courtney. Trzeba jej to przyznać, robiła doskonały klops. – Cmokał przez chwilę, zapewne bardziej nad utratą klopsa niż synowej. Ja tymczasem rozejrzałam się dookoła. Kosztownie. Podłoga z terakoty w stu subtelnie różnych odcieniach, która niemal krzyczała: ręczna robota! Blaty z ciemnego granitu z niebieskim połyskiem. Drewniane szafki z przeszklonymi drzwiami, prezentujące białą-niebieską zastawę stołową, po części komplet w klasyczny wzór z serii Royal Copenhagen, po części chyba prawdziwe antyki. Duży wybór szkła, począwszy od szklanek do soku, a skończywszy na kieliszkach do brandy. Skomplikowana kuchenka. Lodówka z podwójnymi szklanymi drzwiami, przez które widać było Loganów kolekcję musztard i rodzinne upodobania co do jogurtów. Wysoki do sufitu regał z kolekcją książek kucharskich, od *Jabłka, jabłka i jeszcze raz jabłka* do *Eleganckiej kuchni wegetariańskiej*.

Wyjęłam parę przezroczystych gumowych rękawiczek, które kupuje się w pudełkach (zwykle używam ich przy czyszczeniu kuwety, ilekroć opiekuję się obmierzłym, rozsiewającym alergeny perskim kotem Kate, o imieniu Świrus). Nie wiedziałam do końca, dlaczego zwracałam sobie głowę rękawiczkami, ale miało to w sobie pewien element pracy detektywa, który mi się podobał, a poza tym gdy zobaczyłam, jak Laluś Phil kiwa z uznaniem głową, jakby pochwalał moją przebiegłość, uświadomiłam sobie, że przynajmniej był to niezły chwyt marketingowy.

Szuflada po szufladzie, szafka po szafce, kuchenka, lodówka, po kolei przejrzałam całą kuchnię, ale znalazłam tylko małą kupkę czarnej, twardej spalenizny na dnie piekarnika, co uznałam raczej za przypalone jagody niż ważną wskazówkę, oraz imponujący zbiór blaszek do zamykania plastikowych torebek, trzymany w osobnej torebce. W końcu Laluś Phil i ja przekartkowaliśmy wszystkie książki kucharskie i jeszcze każdą mocno potrząsnęliśmy, co jemu najwyraźniej bardzo się spodobało. Nic nie wypadło. Żadnych starych kwitków ze sklepu, przedśmiertnych list zakupów czy notek „zadzwoń do takiej owakiej”.

Powoli zaczynałam czuć zmęczenie, podobnie jak w muzeum przy zbyt ambitnym programie zwiedzania, więc darowałam sobie resztę parteru. W towarzystwie Phila poszłam na górę do gabinetu Courtney. Ładny, urządzony w malinowym i bladozielonym kolorze,

kobiecy, ale nie frywolny. Bez wątpienia kosztowny. Lambrekin przy zasłonach został udekorowany drobnymi frędzelkami. Włączyłam komputer, IBM o ekstrawaganckim wyglądzie, z ogromnym, płaskim monitorem, jakiego nigdy dotąd nie widziałam na oczy. Obłoki Windowsów wyglądały naprawdę spektakularnie. Super, nie było zabezpieczenia hasłem. Pięć sekund później, gdy próbowałam wejść w jej program finansowy, QuickBooks, pokazało się puste okienko z miejscem na wpisanie hasła. Wstukałam po kolei: „Courtney”, „Court”, „Gregory”, „Greg”, „Logan”, „Bryce”, „Lowenstein”, „Olympia”, „Princeton” i tak dalej, tak jak to robią na filmach, ale dałam spokój, gdy nie pasowały nawet jej data urodzenia i imiona dzieci.

– Czy Courtney i Greg zwracali się do siebie jakimiś pieścizotliwymi imionami? – spytałam.

Siedzący na parapecie okna, które wychodziło na tyły domu i basen, Laluś Phil odpowiedział zmęczonym tonem:

– A skąd ja mam to, do diabła, wiedzieć? Skończyłaś?

– Nie. Słuchaj, chcesz zejść na dół i poczytać? – Z jego kwaśnej miny wywnioskowałam, że ta propozycja nie wydała mu się interesująca – Albo pooglądać telewizję?

– Nie. Popatrzę sobie na ciebie. – Dziwne, ta uwaga zabrzmiała figlarnie, a nie groźnie, więc puściłam ją mimo uszu i kliknęłam na terminarzu Courtney. Bez hasła! Przejrzałam jej kalendarz od maja do grudnia, po drodze mijając trzydziesty pierwszy października, kiedy zniknęła. Spotkania dzieci, zabawy z dziećmi w przedszkolu, co tydzień manikiur, co miesiąc fryzjer, w sobotnie wieczory spotkania z ludźmi z lokalnymi numerami telefonów. Podobnie terminy „Filmowanie”, „Spotkanie nr 1”, „Spotkanie nr 2”. Numery kontaktowe z okolicy, Shorehaven i miasta wokół – Port Washington, Manhasset, Great Neck i Roslyn. Zee Friedman wpisana w weekendy, kiedy pracowała. Nie znalazłam jednak ani śladu drugiego pracownika, owego faceta z Wesleya, który podobno przechowywał dla Courtney sprzęt filmowy.

Steffi Deissenburger powiedziała, że w ciągu paru tygodni przed zniknięciem Courtney wychodziła ubrana w kostium, w butach na obcasie, wyglądała bardzo ładnie i oficjalnie, jakby szła na spotkanie w interesach. Była poza domem przez cały dzień, wracała krótko przed spodziewanym powrotem Grega. Kazała Steffi mówić, gdyby Greg zadzwonił, że poszła na zakupy, w co ten łatwo by uwierzył, bo lubiła chodzić po sklepach. Ani śladu tych spotkań, kontaktów, wypraw na zakupy czy cokolwiek to było.

– Skończyłaś już? – spytał Laluś Phil z umiarkowaną cierpliwością.

– Nie – odparłam, może nawet zrzędlwym tonem. Ręce mi się pociły w tych gumowych rękawiczkach.

Cofnęłam się dwa lata przed narodzinami Morgan, gdy Courtney pracowała jeszcze w Patton Giddingsie. Tu było łatwiej, więcej pustych dni. Najwyraźniej nie trzymała na tym komputerze kalendarza, w którym wpisywała swoje spotkania i sprawy z pracy. Znalazłam jednak w 1994 roku, ósmego, dziewiątego i dziesiątego kwietnia, w weekend po Wielkanocy: „KPF Wsch. – Baltimore”.

– Kurde balans! – zawołał Phil. Włączyłam drukarkę i wydrukowałam ten miesiąc, a

także cały rok 1999 (Courtney zaginęła w październiku), aż do maja 2000 (wtedy odnaleziono jej ciało). – Dobra robota.

– Dzięki, ale będzie to dobra robota, dopiero gdy ustalę, czy Emily Chavarria też była na tej konferencji.

– A jak to ustalisz? – spytał.

– Nie mam pojęcia. Ale coś wymyślę.

– Chcesz wyskoczyć na drinka, pani doktor? – spytał.

– Nie, dzięki. Chcę sprawdzić sypialnię. Jej komodę czy co tam jest i szafę. Zejdź na dół i nalej sobie coś do picia. Możesz mi zaufać, nie ukradnę jej rajstop.

– Nie. Dotrzymam ci towarzystwa – upierał się Lalus Phil.

Streszczę pobieżnie następne półtorej godziny. Przejrzałam każdą szufladę w garderobie, wszystkie torebki leżące każda na osobnej półeczce – wśród nich wiele z firmy Kate Spade New York i jedna granatowa, która kosztowała aligatora życie. Przeszukałam każdą kieszeń w każdym ubraniu i zajrzałam w każdy pantofel w rozmiarze sześć, stojący na pochyłych półkach na buty, wśród nich pięć par od Manolo Blahnika. Spytałam raz o cenę butów tego projektanta, gdy spodobały mi się brązowo-czarne szpilki z piękną kokardką. Usłyszałam taką kwotę, że omal się nie zakrztusiłam.

Postanowiłam nie wykorzystywać Lalusia Phila jako mojej sekretarki i sama zapisałam, z którego ubrania i z której torebki pochodziły rzeczy, które szumnie uznałam za dowody: składana szczotka do włosów, dwie szminki Clinique w odcieniu miedziany róż, puder prasowany Clinique, kulka jagodowej gumy, przeżuta zapewne przez Morgan, a nie Courtney, zawinięta w jakiś kwitek, pióro Montblanc, kwitek za świecę wartą osiemdziesiąt pięć dolarów i błyszczak do ust za czternaście, kupione w sklepie Barneys w Manhasset. Banknot dwudziestodolarowy, znaleziony w szarych, wełnianych spodniach. Innymi słowy, w przeciwieństwie do pół tony śmieci, które można by znaleźć w mojej szafie i komodzie, Courtney Logan pozostawiła po sobie niewiele. Była porządniejsza i lepiej zorganizowana niż ja, choć jeszcze nie obsesyjnie systematyczna.

– Chcesz pójść na koktajl? – spytał Lalus Phil, wahając się chwilę przed słowem „koktajl”, jakby szukając słowa odpowiednio wyrafinowanego dla damy.

Nie mogłam zrozumieć, skąd u niego to nagłe pragnienie, by przebywać w moim towarzystwie, ale uznałam, że muszę wymyślić coś innego niż moje poprzednie „Nie, dzięki”.

– Phil, żałuję, ale nie mogę. Mam randkę i muszę wykonać wszystkie te damskie sztuczki, by się przygotować.

Wyrafinowanie nie było już potrzebne, więc Phil wytarł nos wierzchem dłoni.

– Kim jest twój facet?

– To profesor angielskiego w college’u, w którym uczę.

– Profesor? – powtórzył, najwyraźniej powstrzymując wszechogarniający odruch, by się wzdrygnąć nad okropnością takiego związku czy też na myśl, że mężczyzna uczy angielskiego. Nie potrafiłam określić. – Wyjdiesz za niego?

– Boże, mam nadzieję, że nie – rzuciłam nieco przerażona, a Phil krótko, ale szczerze się roześmiał. Potem powiedział:

– Niezła z ciebie babka, pani doktor.

Tak naprawdę nie miałam żadnych planów na sobotni wieczór. Postmodernistyczny Geoff znalazł sobie kogoś innego, skłonnego dzielić się wydatkami, i na szczęście był hen, daleko w Anglii. Jak dobrze pójdzie, będę go miała z głowy do końca lata, a może i na zawsze. Podczas sesji egzaminacyjnej zauważyłam, jak szedł przez dziedziniec z Rozpustną Patti z katedry muzyki (ocierali się ramionami w dosyć wymowny sposób), i podejrzewałam, że to pewnie ona towarzyszy mi w wyprawie do Lake District. Osoby, z którymi miałabym ochotę się spotkać, były akurat zajęte, a nie miałam cierpliwości, by wysłuchiwać poznanych po śmierci Boba, samotnych znajomych, jak powtarzają swoje opowieści „wszyscy mężczyźni to dranie/wszyscy mężczyźni to tylko mali chłopcy/wszystkim mężczyznom chodzi o to samo”.

Z drugiej strony byłam zbyt podekscytowana ewentualnym związkiem między Courtney i Emily, by obejrzeć film czy przeczytać książkę. Ponieważ w pobliżu nie było Nancy, która mogłaby mnie powstrzymać, zadzwoniłam więc do Nelsona Sharpe’a i zostawiłam wiadomość na jego poczcie głosowej. Oddzwonił niecałe pół godziny później.

O siódmej wieczorem siedzieliśmy naprzeciw siebie przy stoliku na tarasie restauracji Fisherman’s Folly i wdychaliśmy zapach słonej bryzy z cieśniny Long Island i opary spalin z łodzi na pobliskiej przystani.

– To nie jest spotkanie towarzyskie – oznajmiłam Nelsonowi, gdy kelner z ogoloną głową i malutkim, skręconym warkoczykiem, tak niechłujnym, że nie zdziwiłabym się, gdyby zaczął kwiczeć, postawił przed Nelsonem gin z tonikiem, a przede mną campari z wodą sodową.

– Powiedziałaś to już przez telefon – parsknął. – Nie musisz się powtarzać. – Odłożył cząstkę limonki na brzeg serwetki.

Kiedy byliśmy kochankami, spotykaliśmy się w ciągu dnia, gdy moje dzieci były w szkole, więc widziałam go tylko w garniturze i krawacie, albo nagiego. Teraz, w czerwonej, kraciatej koszuli z krótkim rękawem i spodniach khaki wyglądał, jakby wykonywał zupełnie inny zawód – majstra na budowie albo nauczyciela wuefu. Ręce miał bardziej muskularne niż dawniej. Staralam się nie wyobrażać sobie, jak jego druga żona przesuwając dłońmi po jego ramionach, gdy się kochają. Postanowiłam nie myśleć o tym, że być może ćwiczy na siłowni, by zrobić na niej wrażenie, ale raczej że musiał się podporządkować jakimś wymaganiom sprawnościowym w swojej jednostce.

– Dziękuję, że spotkałeś się ze mną bez wcześniejszego umawiania się – powiedziałam ciepło.

– Daruj sobie te bzdury, Judith. – Uśmiechnęliśmy się do siebie i zaczęliśmy sączyć drinki. Nie spytałam: „Co powiedziałaś swojej żonie, by móc wyjść w sobotni wieczór?” Zerknął na mój pozbawiony obrączki palec, potem spojrzął mi w oczy i spytał: – Co chcesz wiedzieć?

– Czy słyszałeś coś więcej o sprawie Courtney Logan? Od jakiegoś czasu nie ma o tym nic w gazetach ani w telewizji. Czy faceci z wydziału zabójstw tylko markują robotę, bo są przekonani, że to mąż? – Zanim zdążył się odezwać, dodałam: – Nie proszę cię, byś złamał policyjną przysięgę albo zdradzał mi ściśle tajne informacje ze śledztwa.

– Gładko ci to wyszło – zauważył.

– Dziękuję.

Nadal patrzył mi w oczy. W ciągu lat, które upłynęły od naszego rozstania, wspominałam wiele szczegółów związanych z Nelsonem, ale ten, że potrafi wytrzymać każde spojrzenie, zapomniałam. Nigdy zresztą nie traktował tego jak rozgrywki. Nelson nie patrzył w oczy, jakby stawał do konfrontacji, tak jak zwierzęta patrzą się na siebie, by narzucić swoją dominację. A przynajmniej wtedy tak to nie wyglądało. Jego aksamitne, brązowe oczy zawsze wydawały mi się łagodne i nieco smutne. Pamiętam, jak dawno temu pomyślałam, że patrzy w ten sposób, bo szuka czegoś, czego rozpaczliwie potrzebuje. Siedząc teraz na tarasie, słuchając cichego plusku fal o drewniane słupy pomostu, powiedziałam sobie, że takie romantyczne pomysły powinnam była wyrzucić na śmietnik już w wieku dojrzewania, wraz z pluszowymi misiami i zasuszonymi wianuszkami. Oderwałam oczy od Nelsona i zajęłam się swoją cząstką limonki, wyciskając ją w czerwone bąbelki mojego campari z wodą sodową. Oczywiście zapomniałam, o co go spytałam.

Na szczęście on pamiętał.

– Od czasu do czasu słyszę coś o tej sprawie.

– Czy w związku z nią słyszałeś coś o zaginionej kobiecie z południowego New Jersey?

Nelson pokręcił głową.

– Kim ona jest?

– Pracownicą banku. Planowała trzytygodniowe wakacje w Australii i Nowej Zelandii. Wyjechała nieco ponad tydzień przed Halloween, kiedy to Courtney wyszła kupić jabłka i już nie wróciła.

– To może nie mieć żadnego znaczenia.

– Wiem. Ale może jednak ma. Wyjął wizytówkę z futerału i rzucił:

– Jak ona się nazywa?

Trochę za późno oświeciło mnie, że jeśli podam mu nazwisko Emily, to w ciągu dwóch sekund policja hrabstwa Nassau popędzi autostradą, by przepytac sąsiadów oraz koleżanki i kolegów Emily, albo poprosi o to policję z New Jersey. Ja już niczego się nie dowiem. Spojrzałam więc Nelsonowi prosto w oczy i skłamałam:

– Nie wiem.

– Kłamiesz.

– Nie jesteś miły. – Chyba rozděłam też nozdrza, by pokazać, jak przykry był jego zarzut.

– Judith, kiepska z ciebie kłamczucha.

– Nieprawda. Po prostu ty za dobrze mnie znasz. – Skończyliśmy drinki i zajęliśmy się przeglądaniem menu, podczas gdy ja opowiedziałam mu o KPF i Emily, nie zdradzając jej nazwiska. Podałam jednak nazwę banku Red Oak, by stworzyć atmosferę porozumienia.

Nawet jeśli nie tryskałam entuzjazmem, siedząc na tym tarasie w niebiesko-różowym świetle wczesnego czerwcowego wieczoru, to czułam się szczęśliwa po raz pierwszy od lat. Nie chciałam liczyć od jak wielu. Patrząc na menu, wmawiałam sobie, że to dlatego, że wreszcie mam szansę porozmawiać o tym, co mnie naprawdę pasjonuje, a do tego z zawodowcem. Jednak gdy w końcu zdecydowałam się na małą sałatkę Cezara, bez anchois,

oraz na grillowanego halibuta, uświadomiłam sobie, że uszczęśliwia mnie przede wszystkim przebywanie z Nelsonem. Nadal lubiłam na niego patrzeć, słuchać jego głosu, być w jego towarzystwie. Mój apetyt na seks, który, jak mi się wydawało, zgubiłam gdzieś przed pięćdziesiątką, stanowczo się odnalazł i był ogromny.

– Jak się dowiedziałas o istnieniu tej kobiety? – spytał Nelson.

– Rozmawiałam z dawnym kolegą Courtney, który pozostawał z nią w luźnym kontakcie. Nie wyglądał mi na geniusza. Z banku inwestycyjnego wylądował w swojej rodzinnej firmie, udzielającej kredytów hipotecznych czy coś takiego. W każdym razie spotkał tę kobietę z New Jersey tylko raz, przy załatwianiu kredytu dla kogoś tam. A potem ktoś mu powiedział o jej zniknięciu. On tylko rzucił coś w stylu: „To dziwne, dwie kobiety ot tak zniknęły”.

– Jak on się nazywa?

– A co dostanę w zamian? – spytałam.

– Wyrazy mojego uznania. Podaj mi jego nazwisko.

– Co ty sobie wyobrażasz, że ten facet zabił je obie? – Nelson nie odpowiedział. – Wierz mi, on nie jest mordercą. Jak na mój gust trochę zbyt gadatliwy. Niedojrzały.

– Dziękuję ci za nakreślenie profilu psychologicznego.

– Żeby było jasne, mimo że Courtney pracowała w bankowości i ta kobieta też, on nie potrafił znaleźć jakiegokolwiek związku między nimi – podałam mu imię i nazwisko Joshuy Kincaida, bo nie potrafiłam wymyślić powodu, by tego nie zrobić. Byłam prawie pewna, że skoro Nelson nie jest już w wydziale zabójstw, to te dane dotrą do policji najwcześniej w poniedziałek rano. Zostawała mi więc jeszcze niedziela. – Co to dla was oznacza, gdy ktoś znika bez śladu? Czy zakładacie, że ta osoba została zamordowana i szukacie zabójcy?

– W przypadku osób takich jak te dwie kobiety, prowadzące przykładowe życie? Nawet jeśli nie mamy do czynienia z psychopatą, który gwałci i zabija, to najczęściej są to jednak zabójstwa. Na ogół przestępcą okazuje się chłopak albo mąż. Gdyby ta Courtney albo tamta druga kobieta prowadziły burzliwe życie, miały furę długów albo zachowywały się ewidentnie po wariacku, wtedy myślelibyśmy w kategoriach ucieczki i próby rozpoczęcia życia z nową tożsamością. Te typy zwykle wszystko pieprzą, bo są nieostrożni. Nie jest łatwo zniknąć. – Nelson zamilkł na chwilę. Zbyt wielu inteligentnych mężczyzn robi z myślenia przedstawienie. Ściągają wargi, zamykają oczy, mruczą „hm”, masują podbródki albo obracają w palcach pióro, podczas gdy ty czekasz bez tchu na perły intelektu, które padną z ich ust. Nelsona natomiast cechowała naturalna swoboda myśli i wypowiedzi. Gdy musiał zrobić przerwę i pomyśleć, to po prostu przerywał. Bez żadnego cyrku i „hm”. – Nawet ci superbogaci – ciągnął. – Te złodziejskie asy, egomaniacy, kradnący miliony. Ilekroć uciekają, zwykle zostawiają za sobą mnóstwo wkurzonych ludzi. Ci ludzie w końcu zaczynają mówić i faceci zostają złapani.

– Więc myślisz, że ta druga kobieta też nie żyje?

– Tak jak tu siedzimy i rozmawiamy? Tak. Ale gdybym był gliniarzem z New Jersey i nie miał zbyt wielu spraw na głowie, to nadal bym szukał.

– Jakiegoś związku z Courtney?

– Pewnie. Ale przede wszystkim przyjrzałbym się całemu jej życiu.

- Więc nie uważasz, że to pogoń za cieniem?
- Powiedziałbym, że to coś, co powinniśmy sprawdzić.
- Mówiąc „my”, masz na myśli...
- Nie ciebie i mnie, Judith.

Na szczęście w tym momencie przyniesiono moją sałatkę i jego zupę z małży, bo nie potrafiłam wymyślić żadnej miażdżącej odpowiedzi. Nadziałam na widelec listek sałaty rzymskiej i zasugerowałam, że wśród tych wszystkich informacji, które słyszał o śledztwie w sprawie Courtney Logan na pewno jest jakiś drobiazg czy dwa, które nie mają adnotacji „ściśle tajne” czy jak tam policyjne szczyhy to określają, więc mógłby mi je przekazać.

– Na przykład, że faceci z wydziału zabójstw są najwyraźniej podekscytowani, bo Greg Logan wziął czterdzieści tysięcy ze wspólnego konta i przelał na swoje własne. Ale zrobił to tylko dlatego, że Courtney zabrała z ich wspólnych kont dwadzieścia pięć tysięcy i przepuściła na StarBaby, kaszmirowe szlafroki czy co tam jeszcze.

- Nie sądzisz, że jego adwokat już o tym wspominał? – spytał Nelson.
- No to co?

– No to to, że może ktoś już to sprawdził. – Poza nieczęstymi wybuchami gniewu Nelson zawsze był spokojnym, nieodkrywającym kart facetem. Dla obcej osoby ten „ktoś”, kto sprawdził, oznaczałby policjanta z wydziału zabójstw policji hrabstwa Nassau. Mimo jego spokoju ja wiedziałam dość o tym, jak Nelson prowadzi grę, by rozumieć, że mówiąc „ktoś”, miał na myśli siebie.

- I czego się dowiedziałeś?

Uśmiechnął się do mnie lekko z uznaniem i powiedział:

– Te dwadzieścia pięć tysięcy, które wzięła. Mój kumpel z zabójstw to sprawdził. Nie ma po nich śladu ani na koncie firmowym, ani osobistym. Nie znaleźli żadnego sprzętu fotograficznego czy filmowego, który mógłby tyle kosztować. Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów po prostu zniknęło.

Odłożyłam widelec na talerz, oparłam łokcie na stole i pochyliłam się do niego.

- Nelson, to ci chyba coś mówi?
- Niby co?
- Nie wiem – przyznałam.

– Słuchaj... – Chyba był bliski zwrócenia się do mnie „kochanie”, co często robił podczas naszego romansu. Ale powiedział tylko: – Judith, czasami coś, co wydaje się jakimś tropem, jest tylko zwykłym faktem. – Już miałam zacząć argumentować, że dwadzieścia pięć tysięcy dolarów to dosyć znaczący fakt, ale powstrzymał mnie gestem. – I czasami pewne sprawy pozostają niewyjaśnione. Niektórym zabójcom udaje się uciec.

- Wiem, ale nie sądzę, by Greg...
- Dlaczego nie?
- Jest zbyt inteligentny, by zrobić to tak głupio.

– Pozwól, że coś ci powiem. – Położył łyżkę obok talerza z zupą. – Wielu zabójców jest głupich. Takie sprawy niemal zawsze zostają rozwiązane w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin. Czasami zabija ktoś bardzo bystry, kto myśli, że się genialnie zabezpieczył, jak ten

złoczyńca w Sherlocku Holmesie...

– Profesor Moriarty.

– ... tyle że oni też zostają aresztowani w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin. Weźmy teraz twojego przyjaciela Grega Logana.

– Nawet się nie pofatyguję, by powiedzieć, że nie jest moim przyjacielem.

– To dobrze. Wygląda na to, że ma wszystko, czego mógłby pragnąć. Nie ma żony, żadnego zrządzenia. Cały majątek należy do niego, ma prawo opieki nad dziećmi, konto w banku i rachunek maklerski. W porządku, jest do tyłu dwadzieścia pięć kawałków, ale albo uznał to za koszty własne całej sprawy, albo znalazł je i gdzieś upchnął. W każdym razie tę sprawę też rozwiązalibyśmy w siedemdziesiąt dwie godziny, gdyby idiota, który ją prowadzi, zrobił, co do niego należało.

– To znaczy, zajrzał do basenu?

– Jasne. Wiesz, co się dzieje z ciałem po siedmiu miesiącach w basenie wypełnionym do trzech czwartych wysokości?

Odsunęłam od siebie talerz z sałatką i spytałam:

– Zamierzasz opisać mi to z detalami, by uświadomić, że tego typu sprawy są dla mnie zbyt potworne i powinnam jednak porzucić na historii?

– Postaram się.

– Czy do tej wody nie dodają chloru?

– Pięćdziesiąt pięć litrów chlorku i środków glonobójczych w płynie.

– Czytałeś raporty!

– Raporty, wyniki autopsji, spojrzałem też na wideo i zdjęcia z miejsca przestępstwa. Zrobiłem to dla ciebie, moje kochanie – powiedział to żartobliwie, ale nie udało mu się zachować zimnej krwi. Na policzkach pojawiły mu się rumieńce zakłopotania. – Wiesz, co się dzieje z ciałem po tak długim czasie, nawet mimo chemikaliów? – spytał wyzywająco. – Widzisz, ono rozkłada się od środka, a gazy powodują, że wypływa na powierzchnię. Po wielu miesiącach w zimnej wodzie wygląda naprawdę obrzydliwie. Powierzchnia ciała przybiera woskowy wygląd. Nie chciałabyś widzieć Courtney Logan po wyciągnięciu jej z tego basenu. – Zawiesił głos, czekając, bym mu przerwała. Gdy tego nie zrobiłam, ostentacyjnie zjadł parę łyżek zupy. – Oczywiście twarz była zmieniona nie do poznania, a część czaszki została roztrzaskana dwiema kulami. Ale mieliśmy dokumentację dentyścyczną. Wiesz, jak wygląda skóra na dłoniach i stopach, gdy długo siedzisz w wodzie? – Kiwnęłam głową. – To wyobraź sobie, jak by wyglądała po siedmiu miesiącach.

Przysunęłam do siebie talerz, nadziałam na widelec grzanekę i ją zjadłam. Nelson wydawał się zirytowany, że bynajmniej nie wyglądałam na bliską mdłości.

– Jak można stwierdzić, czy ofiara została zamordowana gdzieś tam, a potem przeniesiona w inne miejsce, jeśli ciało było w wodzie przez wiele miesięcy? Znaczący się, jeśli została zastrzelona tuż przy basenie, to czy wyglądałaby inaczej, niż gdyby zastrzelono ją gdzie indziej i dopiero potem przywieziono?

– Na miejscu, gdzie znaleziono ciało, byłyby ślady. No wiesz, ślady, że ciało przeciągnięto na pewną odległość. Albo jakieś drobiny, które sugerowałyby inną lokalizację.

Na przykład nietypowa próbka gleby, która pokazałaby, że ofiara nie została zabita na Long Island. Ale po siedmiu miesiącach jest to mało prawdopodobne, a w przypadku Courtney Logan nie miało miejsca.

– Czy z ciała zostało choć tyle, że udało się zdjąć odciski palców? – spytałam.

– Zdaje się, że uzyskali odciski dwóch lub trzech palców. Pasowały do odcisków znalezionych na jej rzeczach w domu.

Sięgnęłam po bagietkę.

– Przeczytałeś wszystko?

– Sporo – odparł ostrożnie.

– Czy w przeczytanym przez ciebie materiale dowodowym cokolwiek zwróciło twoją uwagę, wydało ci się dziwne i warte dalszego zbadania? – Powoli kiwnął głową z boku na bok, może tak, może nie. – Co takiego?

– Nie powiem ci.

– Ale ty jesteś w tym dobry, a facet, który prowadzi sprawę nie jest! – Wzruszył ramionami. – Nie chciałbyś, żeby ta sprawa została rozwiązana? Być może niewinny człowiek...

– Wiedziałem, że to powiesz.

– Więc jak brzmi twoja odpowiedź?

– Jeśli zauważę coś, co może wskazać zabójcę albo oczyścić z podejrzeń syna twojego przyjaciela, to na pewno wspomnę o tym któremuś z rozsądniejszych facetów prowadzących sprawę. W porządku?

– Nelson.

– Co?

– Jesteś wkurzony na siebie, bo powiedziałeś do mnie „kochanie”, czy też na mnie, że zajmuję się tą sprawą, mimo że kazałeś mi ją zostawić?

– Wiesz, co kobiety zawsze mówią? – powiedział w końcu. Uśmiechnęłam się.

– Co takiego zawsze mówimy?

– Czuję się wykorzystywana.

– Tak? Wiesz, że ja cię nie wykorzystuję.

– O tak, wykorzystujesz.

– Nelson, rozmawiam z tobą jak z... ze współpracownikiem.

– Nie. Zachodzisz mnie z różnych stron, by uzyskać informacje, których nie powinnaś mieć.

Pojawił się kelner ze świńskim warkoczykiem, z tacą w dłoniach i spojrzał na nas jak niezadowolony rodzic na dzieci, które nie zjadły wszystkiego z talerzy.

– Czy mam poczekać z podaniem dania głównego? – spytał z tak wyszukaną uprzejmością, że aż zabrzmiało to niegrzecznie. Nelson nadal patrzył na mnie wilkiem, więc dałam kelnerowi znak, że może zabrać mój talerz. Skorzystał z okazji i chwycił też talerz z zupą Nelsona. Na jej miejsce błyskawicznie postawił mu danie główne, smażone przegrzebki z frytkami. W końcu wzdychając, jakby był przyzwyczajony do obsługiwania bardziej wykwintnej klienteli, kelner podał moją rybę i zostawił nas samych.

– To może zrobimy tak – zaproponowałam. – Ja podzielę się z tobą moimi przemyśleniami, a ty zrobisz z nimi, co zechcesz.

– Na przykład?

– Na przykład najpierw sprawdziłabym, czy jest coś, co łączy tę kobietę z New Jersey i Courtney. Sam mówiłeś, że w ciągu tygodnia czy dwóch przed Halloween Courtney przejechała swoim samochodem tysiąc sto czterdzieści trzy kilometry. Mogła kilka razy przebyć trasę z Shorehaven do Cherry Hill i z powrotem.

– A może pojechała do Williamsburga w Wirginii.

– Może ta panna z New Jersey prowadziła z Courtney jakieś interesy. Znikły wszystkie jej pieniądze. A Courtney wydała nie wiadomo na co dwadzieścia pięć tysięcy.

– Nawet jeśli miały jakieś wspólne interesy, to i tak pewnie szukalibyśmy jakiejś osoby trzeciej.

– Ale ta kobieta mogła zabić Courtney – zaprotestowałam.

– A może to Greg Logan załatwił je obie, schował gdzieś pieniądze i teraz tylko musi odczekać.

– Gdyby Phil Lowenstein miał choćby cień podejrzenia, że jego syn mógł zabić Courtney, to czy sądzisz, że chciałby, abym się zajęła tą sprawą?

– Nie jesteś głodna? – spytał Nelson.

– Lubię wystygłą rybę. Posłuchaj mnie, Courtney Logan ukradła w liceum pieniądze z kiermaszu ciastek.

Nelson zaczął się śmiać.

– Za to grozi wyrok od piętnastu lat do dożywocia.

– Cicho bądź. Z Courtney coś było nie tak. Dziewczynie, która dla niej filmowała, powiedziała, że pracuje dla niej jeszcze jedna osoba. Ale absolutnie nic tego nie potwierdza. Courtney kłamała.

– Może chciała się wydawać ważniejsza.

– A gdy wychodziła z domu i au pair nie wiedziała dokąd, to miała mówić Gregowi, że Courtney wyszła na zakupy.

– A co ty mówiłaś swojemu mężowi trzy razy w tygodniu, gdy my popołudniami...

– Nie, nie zakupy, ale jakie to taktowne, że pytasz. – Nie przeprosił, więc ciągnęłam: – Courtney powiedziała au pair, że Greg ma i tak dość zmartwień. Tyle że nikomu innemu, włącznie z au pair, Greg nie wydawał się zestresowany czy przytłoczony kłopotami. A jeśli chodzi o romans, tylko jedna osoba, mianowicie jej najlepsza przyjaciółka, myśli, że Courtney mogła go mieć.

– Hm, ty jesteś historykiem – powiedział Nelson. – Ile razy w historii świata zdarzyło się, że kobieta nie zwierzyła się swojej najlepszej przyjaciółce?

– Właśnie o to mi chodzi. A Courtney nic jej nie powiedziała. Ta najlepsza przyjaciółka jest bardzo ładna i miła, ale rozgarnięta raczej jak kupa piachu. Powiedziała, że Courtney nigdy się jej nie zwierzyła z romansu. Ona tylko podejrzewała, bo Courtney była taka rozkojarzona. Tyle że to mi nie wygląda na bliską przyjaźń. We wszystkim, co Courtney robiła, był element powierzchowności. Nelson, co i rusz słyszę od różnych osób, że czegoś jej

brakowało. W pracy niby pełna ambicji, ale nie była w stanie zaangażować się na sto procent. StarBaby nie odniosła wielkiego sukcesu, więc Courtney przestała się firmą interesować. Próbowwała namówić Grega, by otworzył filie Soup Salad Sandwiches na Zachodnim Wybrzeżu, ale to były dla niego zbyt poważne plany. Tylko się domyślam, że Courtney uważała go za płótkę. Zachowywała się jak zamożna pani domu mieszkająca na przedmieściach, ale wycofała się z działalności we wszystkich organizacjach, w których była aktywna. Założę się, o co chcesz, że gdyby nie została zabita, rok 1999 byłby ostatnim, w którym upiekła ciasto na Halloween. Pieczenie ciast, dekoracja wnętrz, kupowanie butów, zabawy z dziećmi w przedszkolu. Ona pragnęła większych rzeczy. I założę się, że cicha, ofermowata, inteligentna panna z New Jersey dała Courtney szansę zaspokojenia jakiejś ambicji, która nie dawała jej spokoju.

– Opowiadasz mi bajkę: „Dawno temu żyła sobie dziewczynka imieniem Courtney, która pewnego dnia podsumowała plusy i minusy... „

– Przedstawiam ci teorię. Opowiadam ci coś, co do czego jestem w głębi duszy przekonana i proszę, nie wygłaszaj tekstów w stylu „O rany, prokurator okręgowy będzie naprawdę pod wrażeniem”.

– Jak się nazywa ta kobieta z New Jersey? – spytał Nelson.

Znów gapiliśmy się sobie w oczy, kto kogo przetrzyma. Przegrałam.

– Emily Chavarria – powiedziałam i jeszcze przeliterowałam mu nazwisko. Po powrocie do domu nastawiłam budzik na szóstą. Chciałam wyruszyć do New Jersey dosyć wcześnie, zanim na drogi wylegną niedzielni plażowicze.

Rozdział 13

Jadąc autostradą, przez cały czas odsuwałam myśli o Nelsonie. Bałam się, że w trakcie jakiejś erotycznej fantazji zjadę na sąsiedni pas i uderzę w jedną z tych strasznie długich, srebrzystych cystern z napisem „Łatwo palne”. Śpiewałam za to do wtóru kompaktu Dinah Washington i zastanawiałam się, dlaczego New Jersey, całkiem normalny przecież stan, postanowił uhonorować swoich notabli, nazywając ich nazwiskami stacje benzynowe, gdzie ludzie na ogół oddają moc i jedzą wątpliwej jakości frankfurterki.

Zjechałam na drogę numer 73 i wreszcie, trochę się gubiąc w ściągniętym z internetu opisie dojazdu, odnalazłam Meadows, kolonię domków na obrzeżach Cherry Hill, gdzie mieszkała Emily Chavarria. Nie przewidziałam, że będzie to osiedle zamknięte. Jak, do diabła, miałam się przemknąć obok strażnika? Opuszczając szybę dżipa, czułam, jak kropelka potu spływa mi za uchem i w dół szyi. W ustach tak mi zaschło, że wręcz zdziwiłam się, że mogę rozchylić wargi. Ochroniarz w białej koszuli ze złotą odznaką z napisem „Everalert” spojrzał na mnie gniewnie wylupiastymi oczami, a potem odwrócił wzrok. Poruszył grdyką.

– Tak? – Najwyraźniej doszedł do wniosku, że nie stanowią bezpośredniego zagrożenia dla Meadows.

– Cześć! – uśmiechnęłam się. On nie. Odchrząknęłam. – Hm, czy sierżant Wilson już tu dotarł? Do domu, gdzie mieszkała Emily Chavarria?

– Znowu? – ochroniarz westchnął ze znużeniem starego wyjadacza, który wszystko już widział i to nieraz. – Myślałem, że skończyli z tym wiele miesięcy temu.

– Chyba nie.

– Nie – powiedział w końcu. – Nikt jeszcze nie przyjechał.

– Och – powiedziałam, starając się wyglądać na zawiedzioną, ale mój występ przeszedł niezauważony, ponieważ facet wpatrywał się w jakiś monitor w swojej budce. – Mam mu oddać – poklepałam leżącą obok mnie na siedzeniu torbę z papieru pakowego, zawierającą ogryzek jabłka i pustą butelkę po wodzie. Koperta głośno, urzędowo zaszeleściła. – Z laboratorium.

– Nazwisko? – wymamrotał sięgając po kartkę na podkładce.

– Doktor Singer. – Jedną z korzyści bycia kobietą w pewnym wieku jest to, że często jestem postrzegana jako istota śmiertelnie nudna, a więc niezdolna do jakiegokolwiek interesującego występu, z oszustwem włącznie.

– Pani z laboratorium?

– Tak.

Patrzyłam już przed siebie. Osiedle składało się z budynków z drewna i kamienia, które wyglądały całkiem okazale jak na miejsce zamieszkania młodej zastępczyni kierownika banku. Zapisał moje nazwisko, udzielił wskazówek „pierwsza w lewo, pierwsza w prawo”, uniósł szlaban i nawet zasalutował jednym palcem.

Emily lub nowy właściciel Squirrel Court numer 807 postawił przy drzwiach wielką kamienną wiewiórkę, by witała gości. Mimo jej szerokiego uśmiechu przeszłam krok dalej i

zadzwoiłam do drzwi segmentu obok. Otworzyła kobieta około trzydziestki, z czerwono-rudymi włosami. Najwyraźniej skutek płukanek, która sprawia, że wszyscy, którzy jej używają, wyglądają jakby ich przodkowie pochodzili z tej części Wysp Brytyjskich, gdzie panują osobliwe warunki klimatyczne.

– Dzień dobry! – zawołałam ożywionym głosem osoby wpadającej z wizytą w niedzielę, o wpół do dziesiątej rano. Kobieta mocniej zawiązała pasek różowego pikowanego szlafroka. – Nazywam się Judith Singer. Zostałam wynajęta przez rodzinę, by zbadać zniknięcie Emily Chavarria. – Nie powiedziałam, którą rodzinę, co było znakiem mojej coraz większej przebiegłości. Muszę jednak przyznać, że poczułam wyrzut sumienia. Albo i dwa.

Być może kobieta wyczuła moje zmieszanie, bo otworzyła drzwi szerzej i cofnęła się, bym mogła wejść.

– Cześć, jestem Beth Cope. – W holu pojawił się mężczyzna mniej więcej w tym samym wieku. – Judith Singer – przedstawiła mnie. – Mój mąż, Roberto Anello. Kochanie, Judith jest detektywem. Bada sprawę zniknięcia Emily.

Roberto w podobnym, tylko niebieskim szlafroku zmarszczył nos, albo po prostu tylko tłumił ziewnięcie. Nie miał włosów, by zrobić sobie czerwono-rudą płukanę (czy w jakimkolwiek innym kolorze), więc tylko podrapał się po łysej głowie. Potem, najwyraźniej wiedziony jakąś myślą, spytał bardzo uprzejmie:

– Czy może się pani jakoś wylegitymować? Oj, pomyślałam.

– Pewnie – odparłam. Otworzyłam torebkę, wyjęłam kluczyki do samochodu, komórkę i palmtopa, i zaczęłam grzebać w pozbawionym jakichkolwiek dowodów tożsamości wnętrzu.

Ocaliło mnie rzucone przez Beth:

– Okej, nie ma sprawy.

Roberto w milczeniu powstrzymał mnie gestem. Już po kilku sekundach byłam w ich kuchni. Usiedliśmy naprzeciw siebie przy stole, na krytych czerwoną skórą małych kanapach, jakie widuje się w barach szybkiej obsługi. Ściany ozdabiał zegar z reklamą lodów Eskimo na cyferblacie i stare szyldy „Pepsi cola to napój dla ciebie!” i „Pyszne placki Obermayera”, doszłam więc do wniosku, że oboje są chyba entuzjastami lat pięćdziesiątych. Dobrze trafiłam.

– Mieszkaliście tutaj w październiku zeszłego roku, gdy Emily ponoć wyjechała na wakacje? – Oboje jednocześnie przytaknęli. – Czy coś wam o planach wakacyjnych mówiła?

– Niewiele – powiedział Roberto. – Było tak. Beth i ja spotkaliśmy się tego wieczoru po pracy, jak zawsze, i pojechaliśmy do sklepu. To nasze piątkowe zakupy. – Beth uśmiechnęła się promiennie na słowa męża. – Wróciliśmy około siódmej. – Energicznie pokiwała głową. Wydawali się tacy sympatyczni, najwyraźniej mili również dla siebie nawzajem. Nagle zapragnęłam, by moja Kate była w podobnym związku, a nie z tym Adamem z jego MTV i raperskimi garniturami.

– Pamiętamy pewnie dlatego, że opowiadaliśmy o tym wszystkim policji... gdzieś tak w listopadzie – dodała Beth. – To było dosyć przerażające. Przecież Cherry Hill to nie jest miejsce, w którym ludzie znikają bez śladu.

– Więc Emily pakowała walizkę do bagażnika samochodu... – ciągnął Roberto.

– Jaki to był samochód? – spytałam.

– Toyota jakaś tam – odparł. – Chyba avalon. – Zauważyłam, że nie był tak zupełnie łysy. Skórę głowy pokrywał mu jasny meszek, jaki często widuje się u noworodków. – Zawołałam: „Pomóc ci, Emily?”, bo walizka była prawie tak wielka jak ona sama i wyglądało na to, że z trudem sobie z nią radzi. Powiedziała, że nie, dzięki. Potem zapytaliśmy, dokąd jedzie. Powiedziała, że do Australii i Nowej Zelandii. Na trzy tygodnie. Pomyślałam sobie: O rany, ale fajna podróż!

– A wiesz, co ja pomyślałam? – wtrąciła się Beth. – Trzy tygodnie zjedna walizką? Jest lepsza ode mnie w pakowaniu. Włożyła do bagażnika tylko tę jedną walizkę i zatrzasnęła klapę.

– Pojechała własnym samochodem na lotnisko?

– Chyba tak – powiedział Roberto. – Ja osobiście nie jestem zwolennikiem zostawiania samochodu na parkingu na tak długo.

– Czy Emily wyglądała na podekscytowaną podróżą? – spytałam.

– Nie zauważyłem – odparł. – Była taka bezbarwna. Cicha. Nie cicha i dziwna, albo cicha i nerwowa. Po prostu cicha. Nie da się o niej powiedzieć, że buzia jej się nie zamykała.

– Szczerze mówiąc, byliśmy sąsiadami, witającymi się na odległość – dodała Beth. – „Cześć, jak leci, co u ciebie?”, coś w tym stylu.

– W porządku – powiedziałam. – Ale nawet jeśli nic nie mówiła, czy mieliście jakieś pojęcie, jak jej naprawdę leci mniej więcej w tym czasie kiedy wyjechała i nie wróciła?

– Ja tam nie wiem – powiedział Roberto. – Ale Beth ma pewną teorię. Spojrzałam na nią.

– Cóż – westchnęła znacząco. – Trochę głupio się czuję, gdy to mówię, ale ona naprawdę była bardzo nieciekawą osobą. – Kiwnęłam głową. – I wyglądała też nieciekawie. Żadnego makijażu, z wyjątkiem okropnej perłowej szminki w koralowym odcieniu, którą pewnie dostała gratis. Wiesz, o co mi chodzi. Jak firmie kosmetycznej coś się nie sprzedaje, to dokłada to do każdego zakupu jako prezent. W sumie Emily nie była brzydka, tylko niewiele mogła z sobą zrobić. Małe oczy, włosy dotąd – wskazała dłonią środek szyi. – Właściwie nijakie. Ale w ciągu ostatnich paru miesięcy zaczęła wyglądać lepiej. O wiele lepiej. Bez widocznego makijażu, ale chyba się trochę malowała, bo jej twarz nagle nabrała życia. Poza tym zapuściła włosy i, tak, stanowczo zrobiła sobie pasemka. Gdzieś tak około września, października jej włosy nie były już takie ciemne, zaczęły się robić coraz jaśniejsze.

– Nadal nie wyglądała jak laleczka – wtrącił Roberto.

– Ale ja powiedziałam do Roberta: „Założę się, że kogoś ma. Że ktoś zobaczył w niej laleczkę!”

Okazało się, że Beth i Roberto, to było najlepsze, co Meadows miało do zaoferowania. Jakaś kobieta skrzeczała zza zamkniętych drzwi: „Co? Co? Kto? Co?” Ja wrzeszczałam do niej: „Emily Chavarria!”, aż rozbolało mnie gardło i zaczęłam się niepokoić, czy ktoś o sześć domów dalej nie wezwie policji. Para po drugiej stronie ulicy знаła Emily, ale niejako sąsiadkę, tylko jako zdjęcie w gazecie, pod nagłówkiem: „Zaginęła”. Reszta albo modliła się w kościele, albo grała w golfa.

Nie wiedziałam, co mam teraz robić. Zapragnęłam nagle przewodnika „Śledztwo dla

nieinteligentnych”. Jeździłam po Cherry Hill bez celu. W końcu wylądowałam na parkingu wielkiego centrum handlowego, najwyraźniej z dużą ilością sklepów ze świecami zapachowymi, których aromatu nie powstrzymałoby żadne pudełko. Otworzyłam okno w samochodzie, wyłączyłam silnik i odchyliłam się na oparcie siedzenia. Zamknęłam oczy i rozmyślałam, co jest potrzebne, poza upodobaniem do torbaczy, by wybrać się w podróż do Australii.

Przygotowania. Czy Emily kupiła bilet, a potem po prostu nie wsiadła do samolotu? Czy Australia i Nowa Zelandia były tylko przykrywką dla innych planów, na przykład zmiany tożsamości i rozpoczęcia życia w innym, odległym miejscu? Może kupiła bilet do Limy w Peru albo Limy w Ohio i właśnie w tej chwili chichotała szyderczo nad kanapką z awokado albo talerzem płatków śniadaniowych, wspominając uwięzione powodzeniem morderstwo Courtney Logan. A może zbyt pochopnie wyciągam wnioski? Czy Emily też była ofiarą? Czy gdzieś czaił się złoczyńca atakujący członkinie KPF lub inteligentne kobiety, albo osoby wybrane według innego kryterium, którego jeszcze nie rozgryzłam? Czy jeszcze jakieś członkinie KPF zaginęły albo zostały zamordowane w tajemniczych okolicznościach? Czy może któraś działaczka KPF mordowała koleżanki w ataku szału? Czy Grega Logana i Emily Chavarrię łączyło coś, co przeoczyłam?

Zanim sformułowałam jedno pytanie, pojawiało się następne. Na chwilę otworzyłam oczy, by upewnić się, że żaden Hannibal Lecter nie smaży bobu przy moim dziupie. W porządku, jestem bezpieczna. Próbowałam sobie wyobrazić życie Emily. Przyjechała na uczelnię Ivy League z małego miasta w Oklahomie. Nieśmiała, ofermowata lub cicha. Wiodąca spokojne życie, rozjaśnione tylko szminką w koralowym odcieniu.

Jednak zdaniem Beth i Roberto ostatnio zaczęła wychodzić ze swojej skorupy. Dni stawały się coraz krótsze, a jej włosy coraz jaśniejsze. Twarz jej się ożywiła. Taka Emily nie wyglądała mi na przygnębioną. Co więcej, Beth wręcz zasugerowała, że mogło chodzić o mężczyznę. Tu akurat bym się zgodziła. Czy to przypadek, że na samą myśl, że Nelson mógłby się pojawić choćby na obrzeżach mojego życia, poszłam w zeszłym tygodniu do fryzjera, by zrobić się na nieco bardziej intensywną brunetkę? Gdybym miała skłonności do rozjaśniania włosów, tak jak najwyraźniej Emily, niewątpliwie ja też spędziłabym jesień, robiąc sobie pasemka czy balejaż.

Kim więc był ten jej facet? Absolutnie nie mogłam nic wymyślić w późny niedzielny poranek. W zasadzie jedyny mężczyzna, o którym mówiono w związku z Emily, to ten klient banku, nazwany przez Joshuę Kincaida facetem od opakowań dla farmacji. Jakżeż on się nazywał? W czarnych kryminałach detektyw dzwoni do sekretarki i mówi: „Słuchaj, ślicznotko, jak się nazywa ten taki owaki?” A ślicznotka dwoma palcami o długich paznokciach wyjmuje z ust gumę i mówi...

Aha! Richard Gray albo Gray Richards. Właściciel pięćdziesięciu jeden procent rodzinnej firmy. Czyżby Emily marzyła się taka oto scena: nieładna dziewczyna zdejmuje okulary, a bogaty facet, który dotąd jej nie zauważał, nagle wariuje na jej punkcie? Wydawała się zbyt poważnie zajęta karierą, by mieszać biznes z romanssem, ale Josh Kincaid wspomniał coś o szklanym suficie, więc nie zamierzałam tego wykluczać. Zwłaszcza, że nie miałam nic

innego.

Sprawdziłam swoją pocztę głosową. Cztery wiadomości! Dla wielu osób nic wielkiego. A dla mnie niesamowicie obfitujący w wydarzenia poranek. Luluś Phil donosił, że Greg nigdy nie słyszał o kimś, kto nazywa się Emily Chavarria. Mój syn Joey oznajmił, że dostał zlecenie z „New York Timesa”, by napisać artykuł o braciach Coen. Nancy z akcentem z Georgii, głosem słodkim jak melasa pytała: „Gdzie ty się, kurwa, podziewasz?” I wreszcie Nelson, obojętnym tonem policjanta: „Spotkajmy się dzisiaj, to jest w niedzielę, w południe... „ – zerknęłam na zegarek. Prawie jedenasta. Nawet samolotem nie zdołałabym wrócić na czas na Long Island. – „... . w Carlo’s Big Cheese Pizza, przy Donovan Street 47 w Cherry Hill”.

Cherry Hill?

Jeśli jest coś takiego jak atak żołądka, to ja właśnie go dostałam. Żołądek ścisnął mi się rytmicznie, aż w końcu skamieniał w bolesną kulę powyżej pępka. Skąd on, do diabła, wiedział? Spróbowałam relaksującego oddychania, które zapamiętałam z oglądanego dwa czy trzy razy filmu o jodze. Wciągnąć powietrze nosem, policzyć do trzech, powoli wypuścić przez ściągnięte wargi. No dobrze, zadzwonił o dziesiątej czterdzieści dwie, więc najwyraźniej był w Cherry Hill lub w pobliżu. Albo przypadkiem zauważył mnie jak jeżdżę bez celu swoim czerwonym dżipem z nowojorskimi tablicami rejestracyjnymi i kartą parkingową St. Elizabeuts College, albo on też pojechał czegoś się dowiedzieć w domu Emily i dowiedział się od ochroniarza albo od Beth i Roberta, że doktor z laboratorium/pani detektyw przysłana przez rodzinę odjechała krótko przed nim. Z tonu jego głosu wnioskowałam, że raczej nie mam co liczyć na miły lunch w jego towarzystwie.

Należę do kierowców, którzy potrzebują bardzo szczegółowych wskazówek – „zaraz za jasnoszarym, otynkowanym domem z pretensjonalną skrzynką na listy z dwiema dziewczynkami trzymającymi wianek skręć w prawo na North Peanut Street... „. Spędziłam więc większość następnej godziny, szukając Carlo’s Big Cheese, a potem próbując się zorientować w sieci jednokierunkowych uliczek, by się do niej dostać. Gdy wchodziłam do tego lokalu więcej niż wykończona nerwowo, cieszyłam się, że dla Nelsona południe zawsze oznaczało dokładnie dwunastą. Będę miała czas wybrać stolik w cieniu, sprawdzić czy toaleta jest znośna i lżejsza na ciele i pęcherzu usiądę i zdążę jeszcze trochę pooddychać.

Tyle że on już był na miejscu. Tym razem nie w sportowej, uwydatniającej muskuły koszuli z krótkim rękawem jak ubiegłego wieczoru. Szary garnitur, biała koszula, niebieski krawat. Ten ubiór nie wskazywał jednoznacznie na to, że Nelson jest policjantem, ale Carlowi, czy kim tam był facet w przyciemnionych okularach, stojący za kontuarem, powiedział dość, by posadził go przy dyskretnym stoliku w kącie.

– Usiądź, Judith.

Przyszło mi wprawdzie do głowy, by spytać „To rozkaz, czy zaproszenie?”, ale usiadłam w ciszy. Słowa, które w końcu udało mi się z siebie wydobyć brzmiały:

– Nie wspomniałeś wczoraj wieczorem, że wybierasz się do Cherry Hill.

Nie uzyskawszy żadnej odpowiedzi, wstałam i poszłam do toalety, zostawiając torebkę na krześle. Gdy mój powrót również nie wywołał żadnej reakcji, stanęłam obok krzesła i powiedziałam:

– Słuchaj, mam za sobą niezbyt udane małżeństwo i wiek dojrzewania obojga moich dzieci. Jeśli zamierzasz nadal urządzać mi tu ciche chwile, to wiedz, że to mnie straszliwie nudzi, więc będę zmuszona zjeść lunch gdzie indziej.

– Nie urządzą ci cichych chwil – odparł w końcu.

Usiadłam.

– To co to było?

– Zabrakło mi słów. – Nie byłam jeszcze w stanie się uśmiechnąć, na szczęście, bo on nadal traktował mnie lodowato. – Byłem zdumiony twoją głupotą – ciągnął. – Podjechałaś do tego faceta i powiedziałaś, że jesteś z laboratorium policyjnego.

– Dzięki temu udało mi się dostać do środka.

– Owszem, udało ci się, ale jeśli zamierzasz dalej wykręcać takie numery, to nie powinnaś podawać swojego prawdziwego nazwiska.

– Następnym razem przygotuję sobie jakieś zmyślane. – Nelson wstał. Myślałam, że wyjdzie, ale tylko przeszedł przez restaurację i powiedział coś do faceta za kontuarem. Gdy wrócił, rzuciłam: – Czy mogę założyć, że nie kazałeś mu wezwać policji z Cherry Hill, by przyjechali mnie aresztować za fałszywe coś tam?

– Zamówiłem pizzę z serem. – Kiwnęłam głową z aprobatą. – Nadal pijesz dietetyczną colę?

– Tak. Usłyszałeś o mnie od ochroniarza, czy też dane ci było poznać Beth i Roberta?

– Spotkałem się z nimi.

– To dobrze. Miła para. Wiesz więc, że Emily wyjechała zjedną walizką.

– Wiem – przyznał. Zaczepił palcem o krawat, rozluźnił węzeł i rozpiął górny guzik koszuli. – Powiedz mi, co ty o tym wszystkim sądzisz.

– A potem twoja kolej?

– Judith, daj spokój. Poświęciłem dzień wolny od pracy, by przyjrzeć się tej sprawie. Nie mam czasu na pieprzenie. – Bóg jeden wie jaki uśmiezek przemknął mi po twarzy, bo dodał: – Przestań się wygłupiać.

– Dobrze.

– Mów.

– Żałuję, że nie mam wiele do powiedzenia, ale zdążyłam tylko porozmawiać z sąsiadami – zaczęłam. – Ty pewnie usłyszałeś to co ja. Emily zachowywała się, jakby sprawy zaczęły się lepiej układać. Nie wiem, jak jej szło w banku Red Oak. Jak się nad tym zastanowić, nie wiem, jak jej szło również poza bankiem. Ale wygląda na to, że gdy kobieta zaczyna dbać o swój wygląd, to albo inaczej na siebie patrzy, albo otwierają się przed nią nowe perspektywy. Może poszła na jakąś terapię i miała większe poczucie własnej wartości, co przełożyło się na rozjaśnienie włosów i położenie różu na policzki.

– Że co?

– Nieważne. Szczegół makijażu. A może znalazła sobie mężczyznę. Facet od pizzy wyszedł zza kontuaru i w wielkich, czerwono-zielonobiałych papierowych kubkach ze spiralnym napisem „Oto pizza” dookoła, postawił dietetyczną colę przede mną i piwo przed Nelsonem.

– Udało ci się przypadkiem ustalić, czy był jakiś mężczyzna? – spytał Nelson.

– Nie. Idziemy łeb w łeb, czy też mnie wyprzedzasz?

– Łeb w łeb.

– Pomówmy o planowanej podróży Emily – zaproponowałam.

– Proszę bardzo – rzucił Nelson.

– Hm, miałam nadzieję, że po wczorajszym wieczorze, gdy rozmawialiśmy, że Emily poczyniła jakieś plany, a Courtney, poza kupieniem jabłek dla dzieci, nie, uzyskałaś jakieś informacje, dokąd Emily pojechała. Na podstawie kart kredytowych albo co.

– Judith, jesteś naprawdę detektywistycznym asem. – Po raz pierwszy od chwili, gdy weszłam do restauracji, uśmiechnął się. Szczerze, szeroko, jakby zapomniał, że jest na mnie zły. – „... kart kredytowych albo co”?

– Proszę bardzo – powiedziałam. – Pomówmy o czymś, o czym chcesz mówić.

Przez dłuższą, nieco krępującą chwilę wpatrywał się w pianę na swoim piwie.

– Wiesz, mam pewien problem, gdy z tobą rozmawiam. – Zaczęłam się uśmiechać, ale zaraz dodał: – Mówię poważnie.

Rzeczywiście.

– Jaki problem?

– Judith, muszę uważać na każde słowo. Mógłbym być, bo ja wiem, bardziej otwarty. Tyle że ciebie łączy gorąca linia z twoim przyjacielem Philem Lowensteinem.

Może nie powinnam poczuć się dotknięta albo zdumiona tą uwagą, ale się poczułam.

– Nelson, myślisz, że mogłabym zawieść twoje zaufanie?

– Nie. Nie myślę. Ale próbowałam ci kilkakrotnie wyjaśnić, że Phil nie jest miłym dżentelmenem. To niebezpieczny i czasem brutalny człowiek. Słuchaj, mimo że nie widzieliśmy się tyle lat, wiem... – Na chwilę dotknął dłonią serca. – Wiem, że w normalnych okolicznościach nigdy nie zrobiłabyś nic na moją szkodę. Nawet w nienormalnych okolicznościach. Ale jeśli ten facet przystawi ci pistolet do głowy? Wiesz, to całkiem w jego stylu. Jeśli przekażesz mu jakąś informację, a on będzie się chciał dowiedzieć, skąd ją masz? Powiesz: „Wybacz, Phil, to informacja poufna”. Myślisz, że Phil odpowie: „Okej, masz prawo chronić swoje źródła”. Czy może raczej chwyci cię za szyję i będzie dusić, dopóki nie wykrztusisz mojego nazwiska? – wyjął serwetkę z serwetnika, złożył ją na pół i jeszcze raz na pół. – Słuchaj, tu chodzi o moją pracę. Poza dziećmi, to właściwie całe moje życie. Jeśli jakoś by się to wydało, że informacje, które ci przekazałem, dotarły do Phila Lowensteina, straciłbym źródło utrzymania i reputację. Co tam hańba. Groziłoby mi więzienie.

– Chcę doczekać się wnuków – powiedziałam cicho. – Więc nie wiem, co bym zrobiła, gdyby mi przystawiono pistolet do głowy. Wobec tego najlepiej będzie, jeśli nic mi nie powiesz.

Siedzieliśmy w ciszy, która jest chyba możliwa tylko między starymi przyjaciółmi, albo dawnymi kochankami, tak pewnymi wzajemnej sympatii, że nie ma potrzeby się czarować czy nawet rozmawiać. Nie wiem, jak długo milczeliśmy. W końcu facet w przyciemnionych okularach pojawił się przy naszym stole i przyniósł pizzę. Właśnie walczyłam dzielnie z mozzarellą, gdy Nelson powiedział:

– Z pobieżnych ustaleń wynika, że po czwartku dwudziestego pierwszego października, przedostatnim dniu jej pracy w banku, Emily nie posługiwała się kartami American Express i Visa, wystawionymi na jej nazwisko.

– Nie musisz mi tego mówić.

– I zapomnij o tym, że nie wsiadła do samolotu. Nie ma śladu, że w ogóle kupiła bilet do Australii czy dokądkolwiek indziej od Bożego Narodzenia 1998, gdy poleciała z Filadelfii do Oklahoma City, by odwiedzić rodzinę. Więc jeśli sprawy zaczęły się jej lepiej układać, albo otworzyły się przed nią nowe perspektywy, to chciałbym się dowiedzieć jakie.

Siedzieliśmy w Carlo's, aż ser na pozostawionych kawałkach pizzy się zesechł. Porzuciliśmy sprawę Courtney Logan i rozmawialiśmy na bezpieczniejsze tematy. Mdlą debata Gore'a i Busha kontra elektryzujący pojedynek, który oglądaliśmy jako dzieci, gdy John Kennedy ścigał się z Nixonem. Polityka wydziałowa w policji i na uniwersytecie. Kto jest gorszy, chłopak Kate, czy narzeczona syna Nelsona (nazywana przez niego ździżą ze Syosset), która nosiła mikroskopijne skórzane spódniczki i zbyt ciasne koszulki na ramiączkach. Żadne z nas nawet nie zbliżyło się do tematu, że Nelson ma żonę.

Gdy wyszliśmy, na zewnątrz było nie tylko bardzo gorąco, ale też parno. Nie chciałam jeszcze jechać, ale też nie chciałam stać na dworze, czując jak włosy skręcają mi się w jeden wielki kołtun. Nelson dotknął mojego ramienia i powiedział:

– Pojedźmy moim samochodem.

Słowa „Chyba lepiej będzie, jeśli pojedę do domu” utknęły mi po drodze z mózgu do ust. Otworzyłam torebkę i wrzuciłam do niej kluczyki. Niewiele pamiętam z krótkiej jazdy, poza tym że gapiłam się na ciemny ekran GPS i myślałam: A jeśli on nie może? A jeśli ja nie? A jeśli to będzie okropne? A jeśli pokój w motelu, czy gdzie on mnie tam zabiera, będzie śmierdział środkiem owadobójczym? A jeśli jedno z nas (niewątpliwie on) nie będzie potem chciało się już widywać z tym drugim? Czy spotkamy się jeszcze raz dla zachowania pozorów? A jeśli on sobie mnie wyobraża taką, jaka byłam dwadzieścia lat temu? Co się stanie, gdy wyjdziemy z hotelu i ja pojedę samotnie do domu, a on wróci do wizyt w poradni małżeńskiej? W sprawach sercowych zawsze byłam skłonna widzieć tylko jaśniejsze strony.

Podjechał pod Holiday Inn. W dawnych czasach spotykaliśmy się w mieszkaniu jego przyjaciela, więc natychmiast zaczęłam się zadreć hotelową etykietą. Wynajmujemy pokój oboje? Ja czekam, a on podchodzi do recepcji? On płaci? Płacimy po równo, każde własną kartą kredytową? Zapewniającą anonimowość gotówką?

– Mam klucz – rzucił Nelson, gdy zatrzymaliśmy się na parkingu.

– To chyba znaczy, że jesteś optymistą.

– Jeśli chodzi o ciebie, tak.

Trzymał mnie za rękę, gdy szliśmy przez hol i jechaliśmy windą na górę. Jego dłoń wydawała mi się tak gorąca, że nawet biorąc pod uwagę jego podniecenie, wiedziałam, że mam lodowate palce.

– Judith – powiedział, wsuwając kartę magnetyczną w szczelinę zamka. – To nie będzie bolało. Znieczulenie nie będzie potrzebne. Rozluźnij się.

Stałam przy niskim, szerokim łóżku, które zajmowało większą część małego pokoju.

Promień słońca wpadał przez szparę między zasłonami i kładł się ukośnie na narzucie. Zaczęłam mówić:

– Boże, czy nie chciałbyś, żebyśmy mieli już za sobą te następne dwie minuty...

I wtedy on mnie pocałował, delikatnie i niespiesznie, by mi pokazać: Nie, nie chcę niczego mieć już za sobą.

Zdumiewające, nagle uświadomiłam sobie, jak bardzo pamiętam jego usta, klucie zarostu na brodzie, wodę po goleniu, pachnącą cytryną i oczarem wirginijskim. Nelson był ode mnie wyższy tylko pięć centymetrów, więc całowanie się z nim było najprzyjemniejszą rzeczą na świecie. Pomyślałam, że chcę się z nim całować w nieskończoność, ale nagle zorientowałam się, że ściągam z niego marynarkę, krawat, rozpinam mu koszulę. Gdy zdjął ze mnie bawełniany sweter, to ja szarpnęłam narzutę, zdarłam z Nelsona podkoszulek i pociągnęłam go na łóżko, nawet nie zdejmując pantofli.

– Proszę – szepnęłam.

– Posłuchaj – powiedział Nelson. – Nie wiem jak ty, aleja mam czas aż do jutra rana – przesunął rękę na moje plecy i jednym płynnym, niezapomnianym ruchem rozpiął mi stanik i odrzucił go na bok.

Przez całe popołudnie szeptałyśmy do siebie miłosne słowa, jak to kochankowie: „Spokojnie”, „Wolniej”, „Szybciej”, „Mocniej”, „Jeszcze”. Pod wieczór powiedział:

– Wiesz, jak to jest, że kobiety zawsze potrzebują słów, które poprawią im samopoczucie, a mężczyźni podobno nie są w tym dobrzy?

– Słyszałam coś takiego.

Podparł się na łokciu.

– To posłuchaj. Kochałem cię wtedy, dawno temu. Kocham cię teraz. I kochałem cię przez te wszystkie minione lata.

– Ja tak samo, chłopcze – rzuciłam.

– Nie. Musisz to powiedzieć wyraźnie. Więc tak zrobiłam.

Rozstaliśmy się godzinę później. Nie mogę powiedzieć, że myśl o intymnym zbliżeniu nie przyszła mi do głowy, bo jeszcze przed kolacją z Nelsonem wczorajszego wieczoru ogoliłam sobie nogi tak dokładnie, że przy okazji zdjęłam chyba dwie warstwy naskórka. Jednak nie chciałam spędzać z nim nocy. W New Jersey można oczywiście kupić szczoteczkę do zębów, dezodorant, tusz i puder, ale bałam się stawić czoła chłodowi samotnego poranka, po nocy w ciepłe jego ramion. Odwiózł mnie na parking przed Carlo's Big Cheese, gdzie pożegnaliśmy się, szepcząc cicho „Kocham cię”.

Wróciłam do Shorehaven jeszcze przed zachodem słońca i pojechałam do Nancy bez uprzedzenia. Być może podświadomie chciałam, by pogroziła mi palcem i wrzasnęła: „Cudzołożnica!” Obyło się bez tego. Zgodziłam się jednak zostać na przygotowane przez Larry'ego grillowane szaszłyki z miecznika, co było już dostatecznie dotkliwą karą, a potem zaciągnęłam Nancy na górę, do jej komputera. Poprosiłam, by połączyła się z Lexis i Nexis, bazami danych „Newsday”.

– Czyś ty oszalała? Nie, nawet się nie fatyguj, by odpowiedzieć. Masz pojęcie, ile to kosztuje? Jak ja to wytłumaczę...

– Nie musisz niczego tłumaczyć. Powiedz, że skorzystałaś z nich w prywatnym celu i zwróc pieniądze.

– Dlaczego nie pójdziesz do biblioteki?

– Bo jest piętnaście po siódmej w niedzielę wieczór, oto dlaczego.

– Zaczekaj do jutra.

– Teraz.

– O Boże! Ja nie mogę...

– Nancy, nie mam czasu na przedstawienie rodem z *Przeminęło z wiatrem*. Wiesz, jak to jest, że kobieta powinna być gotowa zaryzykować życie dla swej najlepszej przyjaciółki? No, to połącz się z Nexis i jesteśmy kwita.

Mamrocząc pod nosem „Cholera, dupa, kurwa”, Nancy otworzyła przeglądarkę i wpisała wszystkie możliwe kombinacje Gray lub Grey i Richard lub Richards, facet od opakowań dla farmacji. Wystarczyło kilka sekund, by przewinąć wstecz i odkryć, że w kwietniu 1998 Richard Grey i jego siostra Marlena Grey Eugenides zaproponowali nabycie akcji swojej rodzinnej firmy Saf-T-Close w ofercie publicznej.

– Niech pomyślę – powiedziałam. – To jest IPO, pierwsza oferta publicz...

– Wiem, co to znaczy, ty głupia. Ale o co ci chodzi? – spytała Nancy.

– Myślę... Nie jestem pewna na sto procent, ani nawet na siedemdziesiąt pięć, ale myślę, że Emily Chavarria wiedziała, że Saf-T-Close, duży klient jej banku, będzie wprowadzał akcje do obrotu giełdowego. Być może zapisała się na większą ilość i zarobiła spore pieniądze.

– Co w tym złego?

Prawda była taka, że nie miałam pojęcia.

– Szukaj dalej – rozkazałam jej dosyć obcesowo, bo stałam tam przy niej i aż się paliłam, by samej poszukać, a ona nie chciała oddać mi swojego krzesła ani myszy. – Nudy, nudy, nudy – mamrotałam, gdy klikała na rozmaitych pasjonujących pozycjach, na przykład, że Saf-T-Close zatrudniło Charlesa W. Swarskiego Jr. jako nowego dyrektora marketingu, a jej wskaźnik zysku na jedną akcję w ostatnim kwartale roku 1998 wzrósł o osiem procent. Nagle zawołałam:

– Spójrz! – Jedenastego października 1999 roku Chapman-Bohrer, jeden z największych producentów leków, ogłosił nabycie Saf-T-Close po pięćdziesiąt dolarów za akcję. – Na zamknięciu sesji w poprzedzający piątek kurs akcji Saf-T-Close na NASDAQ wynosił trzydzieści dolarów za sztukę – przeczytałam z ekranu.

– Eureka! – ucieszyła się Nancy. Niemal natychmiast jej entuzjazm opadł. – A co to ma wspólnego z Courtney Logan?

– Transakcje z wykorzystaniem poufnych informacji!

– Jakie transakcje z wykorzystaniem poufnych informacji? – nie ustępowała.

Gdy próbowałam jej wyjaśnić i nie znalazłam odpowiednich słów, uzgodniłyśmy, że przeprowadzimy rozpoznanie i spotkamy się ponownie za pięć minut. Nancy poleciała do telefonu w sypialni, by zadzwonić do swojego brokera, a ja zostałam przy komputerze i zadzwoniłam z drugiej linii do Kate. Na szczęście to ona odebrała, co zaoszczędziło mi

mnóstwa energii, które musiałabym zużyć na uprzejmość wobec Adama.

Kate wyjaśniła, że ten termin odnosił się kiedyś do sprzedaży lub kupna akcji przez pracowników spółki, ludzi którzy mieli poufne informacje o planach firmy. Obecnie, ciągnęła, dotyczy to też osób, którym ktoś przekaze poufne informacje, nawet jeśli nie pracują w spółce albo nie mają wobec niej żadnych prawnych zobowiązań. Pracownica banku taka jak Emily mogłaby być jedną z takich osób. Jeśli Richard Grey powiedział jej o sprzedaży firmy, nie wolno jej było kupić akcji Saf-T-Close po niższej cenie, a potem sprzedać ich następnego dnia czy tygodnia, by zarobić niemal drugie tyle.

Pożegnałam się ze swoją córką, usiadłam do komputera i wróciłam do komunikatu z kwietnia 1998. Cena akcji w pierwszej ofercie publicznej wynosiła jedenaście dolarów za sztukę. Jeśli Emily je kupiła, co pewnie było zgodne z prawem, mogła na Saf-T-Close zarobić całkiem niezłe pieniądze. A jeśli chciała więcej? A jeśli oprócz tego, co zarobiła na pierwszej ofercie, chciała zgarnąć jeszcze więcej pieniędzy na następnej pewnej operacji, czyli wykupie? Jak by to przeprowadziła?

Wróciła Nancy i pokazała gestem, że zdejmuję przede mną kapelusz.

– Mój broker mówi, że transakcja z wykorzystaniem poufnych informacji polega na tym, że namawiasz kogoś, by kupił akcje, aby nie zwrócić na siebie uwagi komisji nadzoru finansowego, czy jak to się tam nazywa.

– Więc Emily mogła namówić Courtney, by to ona kupiła akcje – dumałam na głos. – Ale co by to dało? Courtney miała tylko dwadzieścia pięć tysięcy.

– Jak na osobę inteligentną, jesteś cholernie tępą – powiedziała Nancy ze zwykłą u niej delikatnością.

– Co ty mówisz?

– Mówię, ty kretynko, że jeśli cokolwiek z tego jest prawdą, a nie wytworem twojej wybujałej wyobraźni, to Emily mogła dać Courtney forszę, naprawdę dużą forszę, aby ta kupiła za nią akcje Saf-T-Close i na przykład obiecała dać jej za fatygę ładny procent z zysku. I może, ty głupia, Courtney chciała zatrzymać wszystkie pieniądze dla siebie. Pomyśl, czego innego można się spodziewać po kimś, kto miał czelność ukraść pieniądze z kiermaszu ciastek? I może Emily się wściekła, obmyśliła sprytny plan... – Nancy nabrała tchu i ciągnęła – ... przyjechała na spotkanie z Courtney i dwa strzały później...

– Courtney nie żyje, a Emily jest wolna, by zacząć nowe życie gdzieś, gdzie nie ma szklanego sufitu!

Rozdział 14

Kobieta z KPF mówiła dziwnie nosowo, jakby specjalnie zatkała sobie nos, by w dziecienny sposób zniekształcić głos.

– Jest pani drugą osobą, która dzwoni dzisiaj w tej sprawie – powiedziała. Przez chwilę byłam zdezorientowana. Nie najlepszy stan umysłu w poniedziałkowy rano. Kto? Co? Jak? Kto jeszcze mógłby... ?

– Ach – rzuciłam. – Pewnie ma pani na myśli kapitana Sharpe’a z policji hrabstwa Nassau – Zdobyłam się na jak najlepszą imitację ciepłego śmiechu. – Widzę, że jest dzisiaj o krok przede mną.

– Jestem pewna, że uzyska pani od niego szczegóły, jeśli tylko zechce się nimi z panią podzielić – powiedziała pani Lovely; najwyraźniej mój śmiech ani jej nie przekonał, ani nie oczarował.

– Nie sądzę. Przekonanie go, by podał mi prawidłową pisownię nazwiska Emily Chavarria zabrało mi tydzień. – Wczoraj Nelson chętnie dzielił się ze mną informacjami (już nie mówiąc o tym, co jeszcze ze mną dzielił). Ale nie chciałam znów polegać na jego dobrej woli. Poza tym nie podobała mi się rola damy w opałach, która potrzebuje bohatera, by ją uratował. – Proszę posłuchać – ciągnęłam. – Robię to z upoważnienia rodziny. Oni wprost odchodzą od zmysłów. Potrzebuję tylko wiedzieć, czy panna Chavarria i pani Logan były kiedyś na tym samym zjeździe, czy mogły się spotkać. Proszę. Ze względu na rodzinę.

– No dobrze, dobrze. Powiedziałam kapitanowi... Były na tej samej konferencji w 1994 roku, w Baltimore. W kwietniu. KPF na region wschodni. Jak wytłumaczyłam kapitanowi, było tam przynajmniej czterdzieści delegatek. Ja osobiście nie potrafię powiedzieć, czy zamieniły ze sobą choćby dwa słowa. W 1994 jeszcze mnie tu nie było – gdy mówiła o kapitanie, głos jej mięknął, więc domyśliłam się, że Nelson czarował ją jak szalony.

– Czy panna Chavarria nadal jest aktywna w organizacji?

– Kapitan też o to pytał.

– Przypuszczam, że to pewien sposób myślenia, typowy dla prowadzących dochodzenie. – Uznałam, że zwrot „sposób myślenia” został stworzony w korporacjach, by uniknąć normalnego myślenia i na pewno przypadnie pani Lovely do gustu. – Czy była aktywna w organizacji?

– Tak, w oddziale na południowe Jersey i w KPF na region wschodni. W krajowym nie.

– A Courtney Logan?

W słuchawce rozległo się głębokie westchnienie.

– Płaciła składki. Czy była aktywna w oddziale na Wall Street? Obawiam się, że będzie pani musiała tam zadzwonić.

– Dobrze, do kogo?

– Nie mogę udzielać takich informacji.

W filmach prywatni detektywi zawsze ukradkiem podsuwają dwudziestkę, by uzyskać informację. Nie wyobrażałam sobie, że wyjadę z tekstem: „Pani Lovely, jeśli mi pani pomoże,

to wsadzę dwie dziesiątki w kopertę i prześlę do pani”. Więc tylko powiedziałam:

– Proszę posłuchać, wiem, że jest pani bardzo zajęta...

– Jestem i naprawdę muszę...

– ... i nie zawracałabym pani głowy, gdyby nie wzgląd na rodzinę. Jeśli mogłaby pani podać mi nazwisko szefowej oddziału na Wall Street... – Zanim zdążyła wtrącić słowo, dodałam: – I gdyby jeszcze mogła pani przesłać mi faksem listę osób, które były na tamtym spotkaniu w Baltimore, to jestem pewna, że cała rodzina byłaby pani wdzięczna.

Demonstracyjnie wypuściła powietrze, podała mi nazwisko i obiecała przysłać listę. Już miałam ją zapytać, czy kapitan Sharpe zadał jej jeszcze jakieś pytania, a jeśli tak, to jakie, ale w tym momencie zadzwonił u niej drugi telefon, więc błyskawicznie zakończyła rozmowę.

Przewodniczącą KPF na Wall Street była jakaś szychka z Merrill Lyncha, więc nie spodziewałam się zbyt wiele. Zgodziła się jednak ze mną rozmawiać i powiedziała mi, że nie, Courtney Logan nie była na żadnych zjazdach i imprezach, które pamięta. Oczywiście słyszała to nazwisko, a także o morderstwie, choć nie przypomina sobie, by kiedykolwiek się spotkały. Mimo to, chyba naprawdę powinna wysłać list z kondolencjami do męża. Biedny facet. Byłam niemal w szoku, że ta kobieta okazała się tak niesamowicie miła, mimo to zdołałam podać jej imię i adres Grega Logana.

Wkrótce potem nadszedł faks z listą nazwisk uczestniczek zjazdu w Baltimore. Teraz, gdy już ją miałam, nie bardzo wiedziałam, co z nią zrobić, poza wpisaniem każdego nazwiska do przeglądarki i sprawdzeniem, czy pojawią się jakieś informacje o seryjnych mordercach albo zaginionych kobietach. Doszłam do wniosku, że najpierw muszę załatwić ważniejszą rzecz, więc wcisnęłam tę listę do szuflady, gdzie trzymam papiery i wycinki, z którymi raczej nie chcę mieć do czynienia, ale też nie mogę się zdobyć, by je wyrzucić.

Potem chodziłam po pokoju całe siedem sekund, bo tyle trzeba, by go obejść. Gdy Bob i ja zdecydowaliśmy, że nie będziemy mieć więcej dzieci i poszłam na studia podyplomowe, zajęłam czwartą sypialnię na swój gabinet. Była tak mała, że ilekroć czułam wyrzuty sumienia, że mam tylko dwoje dzieci i nie sprowadziłam na ten świat jeszcze jednego Żyda w miejsce tych wszystkich, którzy zginęli, to pocieszałam się, że temu trzeciemu dziecku byłoby ogromnie przykro, że przypadł mu pokój, który w zasadzie był celą z białymi firankami.

Usiadłam przy komputerze i weszłam na stronę „CourierPost”, skąd ściągnęłam artykuł o tajemniczym zaginięciu Emily. Potem spędziłam pół godziny, mrużąc pod nosem „Cholera!”, aż w końcu wykombinowałam, jak wydobyć zdjęcie z artykułu. Dziesięć minut później wysłałam je emailem do Steffi Deissenburger. Cieszyłam się, że to całkiem sprytny pomysł, dopóki nie dopadł mnie znany mi już strach, że Lalus Phil miał jednak rację, gonię za cieniem i Emily okaże się w końcu ślepym zaułkiem. Zostanie ustalone, że zabójcą była Steffi, albo Steffi plus Greg. Spieprzywszy w ten sposób sprawę, narażę się na wściekłość Lalusia Phila i pogardę Nelsona Sharpe’a. Albo odwrotnie.

Gdy tak radośnie rozmyślałam, zadzwonił telefon.

– Mówi Steffi Deissenburger. – Podziękowałam jej chyba dwukrotnie. – Żaden kłopot – zapewniła. – Nie potrafię na sto procent powiedzieć, czy ta kobieta przyjeżdżała z wizytą. Ale – wstrzymałam oddech – to może być ktoś, kto odwiedził Courtney. Widziałam ją krótko.

Zaledwie przez minutę.

Dreszczyk podniecenia, a po nim ciepła fala nadziei, zbyt przyjemna, by mogła być menopauzalnym uderzeniem gorąca. Serce zaczęło mi mocno bić.

Chciałam jednak wydać się opanowana, więc z przesadną serdecznością niczym Judd Hirsch w roli psychiatry w filmie *Zwykli ludzie* poprosiłam:

– Opowiedz mi o tym.

– Czasami, gdy odwiedzała ją przyjaciółka, Courtney mówiła mi, bym zabrała dzieci z domu – powiedziała Steffi. – Żeby ona i ta przyjaciółka mogły porozmawiać w ciszy i spokoju. Czy już ci o tym mówiłam? Tak było tamtego dnia. Zabrałam Morgan i Trvisa do biblioteki, potem na lunch, a potem chyba na ten wielki plac zabaw w parku Christophera Morleya.

– Kiedy to było?

– Zdaje się... Nie pamiętam dokładnie. Gdzieś tak pod koniec lata.

– Proszę, mów dalej – zasugerowałam.

– Wróciłam z dziećmi wcześniej, niż poleciła Courtney. Travis... on bardzo płakał. Był bardzo zmęczony. Nie pospał w ciągu dnia, a zawsze tego potrzebował. Czasami spał trochę nawet rano.

– O której wróciłaś?

– Przed czwartą. Courtney poprosiła, by zabrać dzieci z domu aż do czwartej, żeby ona i jej przyjaciółka...

– Czy wspomniała jak przyjaciółka ma na imię?

– Chyba nie. Albo nie pamiętam. Nie jestem pewna.

– Przepraszam, że ci przerwałam. Proszę, mów dalej.

– Podjechałam pod dom i gdy parkowałam, przez drzwi frontowe wyszła kobieta. Courtney też tam była. Pocałowały się na pożegnanie.

– I przy tym uściśniły? – spytałam.

– Nie. Szybko się pocałowały jak to Amerykanie, którzy się dobrze nie znają. – Steffi cmoknęła krótko w zdawkowym pocałunku. – Ta kobieta zobaczyła dzieci, więc Courtney machnęła, bym podeszła bliżej. Powiedziała: „To jest Morgan, a to Travis”.

– Ciebie nie przedstawiła?

– Nie. Zdaje się, że była trochę zła, że wróciłam do domu przed czwartą, choć być może była po prostu zmęczona. Ta kobieta powiedziała coś w stylu „Jakie śliczne dzieci”, mimo że Travis płakał. Był bardzo marudny, to był dla niego wyjątkowo długi dzień. Potem ta kobieta wsiadła do samochodu i odjechała.

– Czy Courtney mówiła coś na temat twojego wcześniejszego powrotu?

– Nie. Zaczęłam przeproszać, ale powiedziała, że to nieważne, wszystko w porządku, spotkanie z przyjaciółką było bardzo miłe. – Wyobraziłam sobie wyraźnie Steffi w tamtej chwili. Jej skruszoną minę, mocno umalowaną twarz, spokojną postawę i nerwowe ręce.

– Courtney nie nazwała tej kobiety Jane albo Mary czy jakoś tak? Tylko „moja przyjaciółka”?

– Chyba tak. Nie pamiętam.

– W porządku, powiedziałaś, że ta kobieta wsiadła do samochodu. Pamiętasz jakiej był marki albo koloru?

– Nie. Raczej nie z Niemiec ani ze Szwecji. Byłam w obu tych krajach i rozpoznaję samochody stamtąd. A kolor... ? Nie pamiętam. Może ciemny.

– Zauważyłaś tablice rejestracyjne? – zaryzykowałam. – Z Nowego Jorku czy może z innego stanu?

– Chyba nie widziałam. Travis płakał, a ja, no wiesz, czułam się nie w porządku, że wróciłam do domu wcześniej. Courtney prosiła, by przetrzymać dzieci poza domem, a gdyby był z nimi problem, to iść do Baskin-Robbinsa i kupić im lody.

– To nie w jej stylu – zauważyłam. – Lody?

– Hm, ona wiedziała, jakie są małe dzieci. Chciała mi ułatwić zajęcie się nimi. Była bardzo przewidująca.

– Rozumiem. Powiedziałabyś, że ta kobieta była młodsza czy starsza, a może w tym samym wieku co Courtney?

– Trochę młodsza, ale niedużo. Trzydzieści albo trzydzieści jeden lat.

– A jak wyglądała?

– Jak ta kobieta na zdjęciu, które mi przesłałaś. Bardzo przeciętna. Włosy ciemny blond albo jasnobrązowe. Czesła je do tyłu, w kok, ale dosyć prosty, wiesz, o co mi chodzi. Niewysoka, ale nosiła buty na wysokich i bardzo ciężkich obcasach. Nie wiem, jak wyje nazywacie. I prosty szary kostium z białą bluzką. Niezbyt dobrze skrojony, nie tak jak kostiumy Courtney. Ta kobieta wyglądała jak mała, szara mysz, tak sobie pomyślałam. Ona... jakie to słowo? Aha, zachowywała się. Zachowywała się, jakby nie chciała, by ktoś ją zauważył.

– Powiedziałabyś: nieśmiała?

– Może nieśmiała, może ktoś, komu niełatwo się otworzyć wobec innych. Z wyjątkiem paru osób, które ją dobrze znają.

– Czy wobec Courtney zachowywała się swobodnie?

– Za krótko ją widziałam, by móc ocenić. – Zawahała się, a ja powstrzymałam się przed rzuceniem następnego pytania. – To było tak – ciągnęła Steffi. – Obserwowałam ją, gdy patrzyła na dzieci i pomyślałam: lubi je nie dlatego, że w ogóle lubi dzieci, ale dlatego, że ma bardzo dobre zdanie o Courtney, a to są dzieci Courtney. Więc ona podziwiała Courtney. Może się myłę i po prostu była nieśmiała, nawet wobec dzieci. Ale nie wyglądało na to, że wie, jak to jest z dziećmi, ani że je lubi. Patrzyła na Trávisa, jakby oczekiwała, że on ją zobaczy i zrozumie, że musi przestać płakać.

– Jakie ogólnie odniosłaś wrażenie?

– Może samotna – powiedziała Steffi ostrożnie. – Nie wyglądała na kobietę mającą męża lub miłego chłopaka. Wiesz? Taką, która wie, że jest na świecie ktoś, kto jej pragnie. Tyle że widziałam ją nie dłużej niż minutę. Mogę powiedzieć tylko tyle, że być może ta kobieta to ta sama co na zdjęciu z twojego emaila.

Po rozmowie ze Steffi nie umiałam znaleźć sobie miejsca, tylko po części dlatego, że nie wiedziałam, jaki powinien być mój następny krok. Jej rzucona mimochodem uwaga o tym,

jak wygląda kobieta, która ma męża albo chłopaka, która wie, że Jest na świecie ktoś, kto jej pragnie” ciągle plątała mi się po głowie.

O dziesiątej dwadzieścia (według wiecznie spóźniającego się zegara w prawym dolnym rogu ekranu mojego komputera) byłam na siebie bardzo zła. Nie potrafiłam się uwolnić od niepokoju o Nelsona: „Dlaczego on nie dzwoni”, a także od mojego zdroworozsądkowego pytania: „To dlaczego sama do niego nie zadzwonisz i nie skończysz tej gierki, że niby ci nie zależy (do której dodałam kopniaka w dupę w stylu: Idiotko, zasłużyłaś na to, bo sypiasz z żonatym mężczyzną)”. Przychodziły mi do głowy coraz ciekawsze pomysły, przy wymyślaniu scenariusza, w którym Nelson wczorajszego popołudnia wrócił z motelu do domu, pod wpływem poczucia winy albo pożądania kochał się z żoną, miał atak serca i właśnie w tej chwili był układany w trumnie, z kwiatem w butonierce, w jakimś domu pogrzebowym dla metodystów. Telefon zadzwonił akurat, gdy zamieniałam goździk na amerykańską flagę, bo przypominałam sobie, że Nelson służył kiedyś w lotnictwie i był przecież policjantem.

Nelson. Żywy. Na powitanie powiedział to, co zawsze mówił dwadzieścia lat temu, czyli „Kocham cię”, na co ja odpowiedziałam jak zwykle „Halo, kto mówi?” Powiedział, że chciałby wpaść, odparłam: „W porządku”. Trzydzieści pięć minut później stanął w drzwiach. Pocałował mnie długo i głęboko, a potem powiedział:

– Przyszedłem służbowo.

– Właśnie widzę – rzuciłam, starając się zignorować marynarkę w pepitkę, którą znów miał na sobie. Poprowadziłam go przez salon na oszkloną werandę, małego pokoju często spotykanego w budowanych w latach dwudziestych i trzydziestych domach w stylu Tudor, odpowiednika gabinetu pana domu. To tutaj oglądałam moje ulubione stare filmy, słuchałam muzyki, wyciągałam się na kanapie, by czytać kryminały i od czasu do czasu jakąś powieść, biografie, magazyny, czyli wszystko, co nie miało związku z moją pracą historyka. Wskazałam Nelsonowi miejsce na kanapie.

Usiadłam na ukos od niego, w starym skórzanym fotelu Boba, którego siedzisko wkrótce po śmierci mojego męża zaczęło wydawać zenujące, piskliwe dźwięki, niezależnie od tego, ile silikonu i oleju weń wcierałam. Gdy byłam w zwariowanym nastroju, myślałam że fotel jest nawiedzony, choć raczej nie przez złego ducha.

Zrelacjonowałam Nelsonowi, co Steffi powiedziała a propos przesłanego jej zdjęcia: że widziała jak ktoś podobny do Emily żegna się z Courtney i odjeżdża spod domu. Potem przedstawiłam mu to, czego dowiedziałam się o kliencie banku Red Oak, Richardzie Greyu, o sprzedaży akcji Saf-T-Close w ofercie publicznej w 1998 roku i wykupieniu tej firmy przez Chapmana-Bohrera jedenastego listopada 1999 roku.

– To niesamowite! – zawołał. – Jak do tego doszłaś?

– Łut szczęścia. I internet.

– Judith, jestem pod wrażeniem.

– Hm, teraz ja też jestem – powiedziałam. – Nelson, czy mógłbyś sprawdzić, czy Emily, albo, co bardziej prawdopodobne, Courtney kupiły te akcje? Jeśli zrobiłaby to Emily, to byłaby to ewidentna transakcja z wykorzystaniem informacji poufnych. Nie mogła więc tego

zrobić legalnie. Natomiast jeśli Courtney odpowiednio wcześniej dowiedziała się od Emily o sprzedaży Saf-T-Close, to może nieźle na tym zarobiła.

– Wykorzystując te dwadzieścia pięć tysięcy, które zabrała ze wspólnych kont? – spytał.

– Nie wiem. Cena akcji wzrosła z trzydziestu do pięćdziesięciu, co daje jakieś sześćdziesiąt sześć procent zysku. Myślę jednak, zakładając, że w ogóle coś łączy Emily i Courtney, że raczej Emily dała Courtney swoje pieniądze, by je zainwestowała.

– A potem?

– A potem być może Courtney zatrzymała je dla siebie. Więc Emily, która planowała zniknąć z banku, zboczyła z trasy i wstąpiła do Shorehaven. Nie wiem, czy odebrała pieniądze, ale może przynajmniej dobrała się do Courtney. – Nelson nie urządzał przedstawienia, by pokazać, że się właśnie zastanawia, ja jednak dobrze go znałam. – O czym myślisz? – spytałam.

– Myślę, że jeśli twoja historia okaże się prawdziwa, a wcale nie mówię, że tak się stanie, to cholernie trudno będzie ją rozwikłać. Te dwie babki nie były nauczycielkami czy policjantkami. Miały doświadczenie w finansach.

– A my nie mamy.

– Chyba że przy okazji doktoratu, udało ci się też zrobić MBA.

– Nie.

– Dobrze, teraz moja kolej. Być może ja też coś znalazłem. – Słońce późnego poranka wlewało się przez żaluzje na oknach i rozświetlało jego włosy. Z zadartym nosem i wielkimi, niewinnymi oczami ministranta wyglądał trochę jak cherubinek. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni na piersi i wyjął złożoną kartkę papieru. – Posłuchaj.

– Czy mogę na to popatrzeć, żebym wiedziała, o czym mówisz?

– Nie. Judith, posłuchaj... Absolutnie nie chcę zranić twoich uczuć, ale powiem wyraźnie. W tej sprawie nie jesteś moją partnerką.

– To dlaczego tutaj jesteś?

Rzucił mi jedno z tych swoich rozdrażnionych spojrzeń.

– By porozmawiać.

– Porozmawiać o rzeczach, o których tak naprawdę nie powinieneś rozmawiać?

– Właśnie. – Wydawał się całkiem niewzruszony tym wykroczeniem, choć przypuszczam, że każdy, kto tyle lat wykonywał pracę taką jak on, niełatwo tracił opanowanie. – Chcesz posłuchać?

– Oczywiście.

– To zostaje tylko między nami.

– Nelson, nie musisz mi tego mówić.

Zamiast rzucić jakąś gładką lub kąśliwą uwagę, co zrobiłby niemal każdy przeciętny człowiek, Nelson po prostu rozłożył kartkę i przejechał palcem w dół jakiejś kolumny. Naturalnie taka manifestacja luzu zrobiła na mnie kolosalne wrażenie.

– Sprawdziłem połączenia przychodzące do domu Emily i do jej pracy. Pięć z nich wykonano z tego samego numeru, z kierunkowym 917. Wiesz, co to znaczy?

– To kod dla wielu pagerów i telefonów komórkowych.

– Właśnie. Stosuje się go w rejonie Nowego Jorku. Tę komórkę kupiono siedemnastego września 1999 roku, w piątek, w sklepie AT&T na Zachodniej Trzydziestej Trzeciej Ulicy, na Manhattanie. To ponad miesiąc przed zniknięciem Emily Chavarria i Courtney Logan.

Pochyliłam się do przodu.

– Kupiono ją na nazwisko któregoś z nich?

– Nie. Została kupiona przez niejaką Vanessę Russell.

– Gotówka czy karta kredytowa?

– Karta Discover – odparł. – Kimkolwiek jest ta Vanessa, ona, lub ktoś, kto posługiwał się jej telefonem, wykonał te pięć rozmów do rejonu o numerze kierunkowym 856, czyli do...

– Cherry Hill – powiedziałam. – Jest tam ładny hotel Holiday Inn, z oknami wychodzącymi na... No dobra, dokąd w Cherry Hill dzwoniła Vanessa?

– Tylko na pocztę głosową Emily w banku. Zobaczmy teraz, jaka jesteś dobra w te klocki – rzucił Nelson. – Rozmowy różnią się długością, od nieco ponad minutę aż do niemal czterech minut. Co ci to mówi?

Zastanowiłam się chwilę.

– Masz zegarek z sekundnikiem? – spytałam. Kiwnął głową. – Dobrze, zmierz mi czas. „Cześć, Nelson. Mówi Judith Singer z Shorehaven, Oaktree 63. Dzwonię w związku z całą tą sprawą Emily Chavarria i Courtney Logan. Byłabym ci wdzięczna za jakiegokolwiek informację. Zadzwoń do mnie, mój numer 516-537-1409”.

– Dwadzieścia jeden sekund.

– Co oznacza, że albo zostawiała cholernie długą wiadomość, albo...

– Tak, zgadłaś. Odsłuchiwała wiadomości Emily.

– Co najprawdopodobniej musiała robić sama Emily, bo trzeba podać hasło, kod czy co tam jeszcze, by uzyskać do nich dostęp.

– Najprawdopodobniej – zgodził się. – Choć nie z całą pewnością.

– Czy któreś z tych rozmów były wykonane po zniknięciu Emily?

– Trzy.

– Jeśli telefon jest na Vanessę Russell... Jak się tego dowiedziałeś tak szybko?

– Nie trzeba dużo czasu, jeśli twój kontakt w telekomunikacji ma ochotę być miły. Wszystko jest skomputeryzowane. Prawie wszystkie z pozostałych połączeń na pocztę głosową Emily były wykonane z jej domu. Jedno z automatu w restauracji na Manhattanie. Reszta z tej komórki.

– Więc Emily gdzieś tu była po tym, jak nie pojechała do Australii, tylko zniknęła.

– Według mnie to pewne na siedemdziesiąt pięć procent – powiedział Nelson.

– Według mnie na dziewięćdziesiąt – odparłam.

– W dochodzeniu w sprawie morderstwa nie powinno się niczego stwierdzać z takim prawdopodobieństwem. Gdybyś była facetem, powiedziałbym, że za krótko jesteś w grze, by odróżnić kupę gówna od czekoladowego tortu.

– Aleja nie jestem facetem.

– Racja. Więc może zbyt optymistycznie oceniasz swoje zdolności dedukcji. Ciągle jeszcze nie doszedłem do najciekawszej części.

– To znaczy?

– Że ktoś posługujący się komórką Vanessy Russell dzwonił do domu Courtney Logan w niedzielę, dwudziestego czwartego października, i jeszcze raz w czwartek, dwudziestego ósmego, trzy dni przed zniknięciem Courtney.

– O mój Boże! To ostatecznie, definitywnie wiąże Emily z Courtney.

– Nie, to wiąże użytkownika lub użytkowników pewnej komórki zarówno z Emily, jak i z Courtney. Może to dzwoniła sama Emily. A może nie.

Zerwałam się z fotela i wymamrotałam:

– Przepraszam na chwilę. – Pobiegłam do kuchni. Wróciwszy z torbą selerów naciowych, opadłam na kanapę obok Nelsona i zaproponowałam, by się poczęstował. Spojrzał na mnie, jakbym podsunęła mu worek kamieni i pokręcił głową. Oderwałam jedną łydę i zaczęłam chrupać. – Jedzenie mnie uspokaja – wyjaśniłam.

– Myślisz, że o tym nie wiem?

– Och, zamknij się! Ta Vanessa od telefonu komórkowego i karty Discover. Myślisz, że taka osoba w ogóle istnieje?

– Jeszcze nie wiem. Telefon domowy, który podała na umowie z operatorem, numer w Brooklynie z kierunkowym 718, nie odpowiada. Dzwoniłem do miejsca, gdzie podobno pracuje, kierunkowy 212, ale nie ma takiego numeru. Ktoś sprawdza dla mnie jej adres domowy i numer telefonu, poprosiłem też Discover o historię jej rachunku, jeśli jakaś w ogóle jest. Ale nie mogę temu poświęcać zbyt wiele czasu. Courtney to zabójstwo, a Emily to zaginięcie w New Jersey. Nie moje sprawy.

Odłożyłam seler i wsunęłam dłoń w jego rękę. Zawsze mi się podobało, że przy jego dłoni moja wydawała się drobna.

– Chciałbyś, żeby to była twoja sprawa, prawda? – Kiwnął głową. – Nie możesz spróbować jej przejąć? Na przykład pod pretekstem, że łączy się z osobą zaangażowaną w przestępczość zorganizowaną, co do której prowadzisz już dochodzenie... czy z jakichś tam innych powodów. W końcu Laluś Phil to też Courtney.

– Już tego próbowałem, następnego dnia po wyłowieniu jej z basenu. Czynniki wyższe dokładnie wiedziały, o co mi chodzi, że chcę się wkręcić w śledztwo dotyczące zabójstwa. Powiedzieli mi, żebym się nie wtrącał.

– Czy to był rozkaz?

– Nie, tylko przyjacielska sugestia, której jeśli nie wezmę sobie do serca, to dobiorą mi się do tyłka i skończy się na wcale nie przyjacielskiej sugestii, że już czas zacząć wypełniać papiery do emerytury. – Wzruszył obojętnie ramionami, ale wypadło to zupełnie nieprzekonująco.

– Więc co zamierzasz zrobić? – spytałam.

– To, co już robię. Zerknę tu i tam. Posłucham. Głównie ciebie. I paru starych przyjaciół w wydziale zabójstw, choć nie prowadzą tej sprawy.

– Są częścią starego porządku i nie dostają ciekawszych spraw, tak? To jest polityka wydziału?

– Na to wygląda.

– Nelson, czy naprawdę sądzisz, że Phil Lowenstein miał coś wspólnego z morderstwem Courtney albo zniknięciem Emily?

– Niech mnie diabli, jeśli wiem.

– Wiesz – powiedziałam. Wstał z kanapy. Ja też.

– Dwadzieścia procent – powiedział.

– Dwa procent i nie będziemy się bawić w krakowskie targi. Nawet jeśli chciał się dowiedzieć, o co mi chodziło, gdy przyszedł do Grega i zaoferował swoje usługi...

– Naprawdę tak zrobiłaś? Judith, czyś ty oszalała?

– Tylko trochę. Ale jeśli Luluś Phil był ciekaw usłyszeć, co mam do powiedzenia, mógł zrobić dokładnie to, co zrobił, czyli ukryć się w kącie mojego garażu, aż wjadę samochodem i zamknę drzwi. A potem zawołać: „Cześć, chcesz zobaczyć mój nowy sygnet?”

– Zaskoczył cię w twoim własnym garażu?

– Taki z niego dowcipny gość. Słuchaj, gdyby chciał mnie wykończyć, to już dawno zostałabym przejechana przez betoniarke. Nie, on mnie zatrudnił. Ja dla niego pracuję, choć odmówiłam przyjęcia pieniędzy.

Nagle dotarło do mnie, że idę za nim do drzwi wejściowych i nawet nie zahaczyliśmy o sypialnię. Pocałował mnie szybko w czoło:

– Muszę lecieć. Zobaczymy się wieczorem?

– Nie mogę. – Chyba zamierzał poprosić mnie, bym zmieniła plany, więc dodałam: – To dawno umówione spotkanie z przyjaciółkami z liceum. Nie mam szans się z niego wyłgać.

Nie powiedziałam, że nie chcę się wyłgać. Gdy wyszedł, wróciłam na werandę i usiadłam tam, gdzie siedział Nelson. Poduszki były jeszcze ciepłe. Czy naprawdę nie chciałam się z nim zobaczyć? Nie, oczywiście, że chciałam. Cokolwiek w towarzystwie Nelsona było ciekawsze niż znoszenie nieustającego lamentu mojej przyjaciółki Marcy na temat tego, co medycyna alternatywna robi z jej praktyką lekarską albo wysłuchiwanie peanu Heleny na cześć gry w golfa w Boca Raton. (Podejrzewam, że moje opisy figli na wydziale historii w St. Elizabeths były dla nich równie pasjonujące). Bałam się jednak spędzić z Nelsonem noc, nie tylko dlatego, że potem wszystkie następne byłyby nieznośnie samotne, ale także dlatego, że w jakiś sposób stałabym się gwoździem do trumny jego ponoć kiepskiego małżeństwa. Jeśli coś miało się wydarzyć między Nelsonem i mną, to nie powinno mieć związku z tym, co dzieje się między Nelsonem i psychologiem z poradni małżeńskiej.

Naturalnie czułam niemal nieodparty impuls, by całą sprawę przedstawić Nancy, ale nawet bardziej, niż usłyszeć jej radę, chciałam uniknąć nieuchronnego kazania. Więc przez resztę dnia robiłam notatki na temat sprawy, wyszłam do ogrodu naciąć trochę róż i pojechałam na Manhattan na kolację z moimi kumpelkami. Tak jak się spodziewałam, nic nowego, poza następnym wnukiem u Marcy i rewelacyjną kuracją nawilżającą u Heleny. Wysłuchałam obu opowieści z licznymi szczegółami.

Wracałam tak wyczerpana, że nastawiłam w radiu głośny rap i przełączyłam klimatyzację na jak najniższą temperaturę, by nie zasnąć za kierownicą. Nigdy nie byłam wiecznie uwijającą się osobą, o której mówią: „pracowita jak pszczołka”. Dla mnie dzień pełen wrażeń to były zajęcia na uczelni, zrobienie sałatki z jajkiem i obejrzenie filmu z Bette Davis.

Wprawdzie pragnęłam ożywienia, które dawała mi sprawa morderstwa, jednak całe to radosne podniecenie i niepokój minionego miesiąca wyczerpało mnie bardziej, niż byłam skłonna przyznać.

Skręcałam w Oaktree Street. Jeszcze zanim podjechałam pod dom, zobaczyłam, że wjazd do garażu blokuje mi ogromny samochód. Natychmiast zrobiłam się czujna. Skręcając na podjazd, zauważyłam wielką, włochatą rękę z bransoletą w otwierających się w tym samochodzie drzwiach od strony pasażera. Laluś Phil. To było jak potężny zastrzyk z kofeiny.

– No i co, doktoru? – miał przynajmniej tyle przyzwoitości, by nie roześmiać się z własnego dowcipu.

Spojrzałam na jego kierowcę o wyglądzie neandertalczyka i zwróciłam się do Phila:

– Czemu zawdzięczam twoją wizytę o tak późnej porze?

– Wejdźmy do środka, to pogadamy.

Jego twarz o licznych podbródkach była jednym wielkim przyjacielskim uśmiechem. Na szyi zawiesił gwiazdę Dawida, wielką i na tle czarnego swetra krzykliwie złocistą. Mogłam jedynie przypuszczać, że miała nie tylko być zauważona, ale także uspokajać: „Jesteśmy z jednego narodu”.

– Nie w środku – powiedziałam, odwzajemniając uśmiech. – Noc jest taka piękna – wskazałam w niebo na coś, co było Wenus albo satelitą i głęboko odetchnęłam zapachem pnących róż i spalin. – Zostańmy tutaj – przeszłam ścieżką do trzech schodków prowadzących do drzwi wejściowych, usiadłam i poklepałam kamienną płytę obok mnie.

Laluś Phil powoli poszedł za mną trochę sztywnym krokiem, jak potwór Frankensteina tuż po ożywieniu. Nie usiadł.

– Co jest? Znów się mnie boisz? Myślałem, że już ci przeszło. Zawsze trudno jest wybrać, gdy instynkt mówi jedno, a głowa drugie.

– Phil, masz numer swojego kierowcy? – na wypadek, gdyby pomyślał, że pytam o jego numer identyfikacyjny w więzieniu stanowym w Ossining, dodałam: – Numer telefonu.

– Tak. Bo co?

– To powiedz mu, żeby sobie pojeździł przez pół godziny czy coś koło tego. Zadzwoń, gdy będziesz go potrzebował.

Zerknął na klucze do domu w mojej dłoni. Jeśli był choć w połowie tak inteligentny, jak myślałam, to na pewno domyślił się, że pilot wiszący na kółku uruchamia system alarmowy w domu. Rzucił mi spojrzenie, które wyraźnie mówiło, jaka to ja jestem niemila. Potem pomachał palcem wskazującym, a jego kierowca otworzył okno.

– Pół godziny – powiedział Phil. – Zadzwoń. – Cicho i zgrabnie wielki czarny samochód wycofał się i odjechał. Laluś Phil odwrócił się do mnie. – I co, zaprosisz mnie teraz do środka?

– Wolałabym pooddychać świeżym nocnym powietrzem.

Z jakiegoś powodu się nie bałam. Owszem, czułam niepewność. Może nawet niepokój. Ale nie chłód strachu albo dreszcz paniki.

– Pani doktor, co to za bzdury? Gdybym coś kombinował, to nie czekałbym w swoim samochodzie u ciebie na podjeździe, by wszyscy twoi sąsiedzi mogli zapamiętać numery

rejestracyjne. Myślisz, że nie możesz mieć do mnie zaufania?

– Myślę, że coś cię męczy i wolałabym to usłyszeć pod rozgwieżdżonym niebem.

Resztką uśmiechu zniknęła z jego twarzy, ale kucnął i z ledwie słyszalnym stęknieniem usiadł obok mnie na schodku. Jego białe lniane spodnie były tak napięte na udach, że wyglądały, jakby miały zaraz pęknąć wskutek zmęczenia materiału.

– No i? – rzucił.

– No i czego chcesz? – spytałam.

– Chcę usłyszeć wszystko, czego się dowiedziałas.

– Phil, nie zamierzam trzymać tego w tajemnicy. Opowiem ci wszystko, jak tylko będę umiała poskładać to w jedną, spójną całość. – Zauważyłam spojrzenie, które mi rzucił, ale też uświadomiłam sobie, że dokładnie zrozumiał, o co mi chodziło.

– Słuchaj, pani doktor. Bardzo cię lubię.

– To dobrze. Ja też cię lubię.

– Gdybym nie miał już żony i, no wiesz, dobrej przyjaciółki, to w rzeczy samej zaprosiłbym cię na randkę. A ponieważ bardzo cię lubię i podziwiam twoją bystrość, to nie chcę cię denerwować. Nie chcę, żebyś się na mnie gniewała. Albo wręcz, uchowaj Boże, się mnie bała.

– Phil, skąd pochodzisz?

– Co? Skąd? Z Brooklynu.

– Ja też. Mieliśmy tam takie powiedzenie: „Obszczekujesz nie to drzewo”.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– Ale rozumiesz, o co chodzi?

– Tak.

– Z kilku powodów, których tutaj nie omówię, byłoby dla ciebie najlepiej, gdybyśmy mogli wrócić do dawnych, dobrych, przyjacielskich stosunków i dać sobie spokój z tekstami w rodzaju „Uchowaj Boże, się mnie bała”, co ma znaczyć „Powinnaś robić ze strachu w gacie”. Czy teraz chcesz posłuchać, co robiłam?

– Tak. – Udawał, że podziwia precudne ciała niebieskie. – Czy możemy wejść do środka? Przysięgam, że nie zrobię ci krzywdy i nie będę się do ciebie zalecał. Ja się po prostu martwię i tyle.

Zwykle nie jest mądrze zignorować zarówno instynkt, jak i rozsądek i kierować się tylko zaufaniem, ale wyczułam, że właśnie przyszła na to pora.

– Chodźmy – zabrałam go do salonu, zapaliłam wszystkie światła i nie zaciągnęłam zasłon. Dom pachniał różami, które ścięłam przed wyjazdem do miasta. Resztki moich obaw zniknęły, gdy zobaczyłam, jak Phil spogląda od wazonu do wazonu na czerwone, herbaciane i żółte róże.

– Piękne – skomentował.

– Dziękuję.

Laluś Phil opadł na fotel i wskazał na podnózek.

– Czy mogę na tym oprzeć stopy, jeśli zdejmę buty?

– Pewnie, nawet jeśli ich nie zdejmiesz. – Już miałam usiąść na identycznym fotelu o

metr od niego, ale spytałam: – Chcesz coś do jedzenia? Albo picia?

– Nie – poklepał się po brzuchu, nie bez dumy. – Muszę zrzucić parę kilo. Masz jakieś landrynki czy co? – Zajrzałam do swojej przepastnej torby i znalazłam dwie miętówki w celofanowych papierkach, zabrane z restauracji, w której dopiero co byłam na kolacji i prawie całą paczkę gumy do żucia bez cukru. – Dzięki, pani doktor. – Zerwał celofan zębami i połknął miętówki w całości, zamiast je possać, i powiedział: – Słuchaj, nie miałem zamiaru cię przestraszyć. Chciałem się z tobą spotkać, jak tylko wrócisz do domu. Problem w tym, że czas ucieka. Zadzwonili do Gregory’ego i chcieli, żeby przyszedł na komendę i omówił swoje zeznania.

– Jeszcze raz?

– Tak.

– Faceci z wydziału zabójstw?

– Tak. Jego adwokat powiedziała im, wybaczyć wyrażenie, żeby spieprzali w podskokach. Ale ty wiesz, i ja wiem, że nie mają nikogo innego w kolejce, kogo mogliby przyskrzynieć za tę sprawę. To, że jeszcze nikogo nie aresztowali, to dla nich hańba. Ja... ja się boję, że lada moment wyciągną jakieś sfałszowane gówno, tylko po to, by przekonać wszystkich dookoła, że rozwiązali sprawę. Po tym, co Morgan i Travis już przeszli... Jak to zniosą, gdy ich ojca zabiorą w kajdankach?

– To byłby koszmar – zgodziłam się.

Nie chciałam myśleć o Gregu wsadzonym za kratki za zamordowanie Courtney i jego dzieciach widujących ojca w pomarańczowym kombinezonie podczas coraz rzadszych wizyt.

– Dobrze – dodałam. – Musimy rzucić im coś, co odwróci ich uwagę od Grega. Pozwól, że ci pokrótce opowiem, czego się dowiedziałam.

Rozdział 15

Była prawie pełnia. Za oknem, po drugiej stronie ulicy mgła nad trawnikiem mojego sąsiada jarzyła się w świetle księżyca. Wydawało się, że dom w stylu hiszpańskim wynurzył się z bagien w jakiejś nieziemskiej scenerii.

– Nie wiem jeszcze, dokąd to wszystko zmierza – powiedziałam Lalusiowi Philowi.

Zsunął białe zamszowe mokasyny i oparł bosc stopy na podnóżku.

– Widzisz? – rzucił, poruszając palcami dla większego efektu. – Czyściutkie.

Najwyraźniej do moich obowiązków gospodyni należało również wyrażanie uznania dla jego higieny osobistej, więc uśmiechnęłam się z aprobatą. Potem ciągnęłam:

– Brakuje nie tylko szczegółów odnośnie do tego, co stało się z Courtney. Nie widzę też całego obrazka. Jest mnóstwo białych plam do zbadania. Chcę ci przedstawić jakąś chronologię albo logiczny ciąg.

Ogromny różowy kamień oprawiony w nieładnym złotym pierścieniu na prawej ręce Phila zaśnił w stożku światła rzucanym przez lampę.

– Czyja wyglądam na faceta, który potrzebuje logicznego ciągu? – spytał.

– Może i nie, aleja właśnie tak pracuję.

Położył prawą rękę na wielkim brzuchu i ze zdumiewającym wdziękiem, jeśli wziąć pod uwagę, że siedział na kanapie, zgiął się w łaskawym ukłonie.

– Ty jesteś doktorem, pani doktor. Proszę, mów dalej.

– Dobrze. Zacznijmy od założenia, że był jakiś aspekt jej życia, który Courtney chciała ukryć przed Gregiem. Nie mówię, że był to jakiś poważny, mroczny sekret, taki jak romans albo duży przekręt finansowy. Mogły to być wizyty w domu przyjaciółki i palenie marihuany albo oglądanie filmów pornograficznych. Albo jeżdżenie do Bloomingdale'a i przymierzanie ciuchów przez cały dzień.

– Mam dla ciebie nowinę, mała. – Phil przekręcił pierścione, by lepiej mu się przyjrzeć.

– Nikt nie jest otwartą książką. – Zauważył, że przyglądam się jego pierścieniowi, więc wyciągnął do mnie dłoń, rozczapierzając mięsiste palce, by jak najwięcej światła padło na kamień i pokazało go w pełnej krasie. – Chodzi ci o pierścione, czy o co? – spytał.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

– Opal z kwincytem – oświecił mnie. Paznokcie miał bardziej wypiełgnowane niż ja i nawet pomalowane bezbarwnym lakierem o różowym połysku, podkreślającym barwę opalu.

– Te historie, że opal przynosi nieszczęście? To bzdury. Ale pewnie dzięki temu cena jest przyzwoita. Nie żebym się tym przejmował. Płacę godziwe pieniądze za dobrą jakość.

Rzuciłam mu spojrzenie, które, miałam nadzieję, powie mu, że niestety musimy porzucić temat jego bizuterii.

– Wróćmy do życia Courtney – powiedziałam. – Powiedziała Steffi, au pair, że gdyby Greg dzwonił, a jej nie było w domu, to ma mówić, że poszła na zakupy. Nic wielkiego. Drobne kłamstwo. Nawet jeśli Greg by je przejrzał, to nie zachwiałoby małżeństwem w posadach. Coś się jednak działo. W ciągu tygodnia czy dwóch przed Halloween Courtney trzy

czy cztery razy była poza domem przez cały dzień, od śniadania do siódmej czy w pół do ósmej wieczorem.

– To mi nie wygląda na marihuanę – stwierdził Laluś Phil. – Ani na Bloomingdale’a. Bo wiesz, co się dzieje, gdy przymierzasz ciuchy przez dziesięć godzin? Możesz wylądować na chirurgii, na wyciągu. Serio – odwinął kilka listków gumy, którą mu dałam, i wrzucił do ust.

– Pewnie masz rację – powiedziałam. – W każdym razie według Steffi w te dni Courtney ubierała się ładnie i elegancko. Nic seksownego, nic z rzeczy, które mogłaby włożyć, gdyby miała ognisty romans. (Dwadzieścia lat temu, gdy ja miałam romans, wkładałam dzinsy i sztruksy, choć przyznaję, że szalałam, jeśli chodzi o seksowną bieliznę.) – Wyglądało na to, że idzie na spotkanie w interesach.

– Może miała faceta, który lubi klasę, a nie cyce czy dupasę. – Laluś Phil uśmiechnął się zachwycony swoim rymem, choć takim dosyć dyskretnym, gangsterskim uśmiechem, który ledwo odsłaniał zęby.

– Naprawdę tak myślisz? – spytałam grzecznie. Gwałtownie pokręcił głową. Nie ma mowy. – To pozwól, że będę kontynuować. Według informacji od jednej z klientek StarBaby, gdy Courtney przyszła do niej na spotkanie, żeby omówić zlecenie, była ubrana w proste spodnie i jedwabną bluzkę. Nie w kostium i buty na obcasie, z włosami upiętymi do góry. Au pair to potwierdziła.

Laluś Phil pogładził włosy na piersi widoczne w wycięciu koszuli. Zadzwieczał przy tym złoty łańcuch i gwiazda.

– Courtney to uosobienie platynowej karty kredytowej. Już ci to mówiłem, pani doktor. Jak na kogoś, kto lubił prostotę, wydawała fortunę na ubrania. Gregory i ja rozmawialiśmy o tym w ostatni weekend. Przyszedł do nas z Morgan i Travisem na kolację. Moja żona zrobiła pizzę. Nie do wiary. Dla Morgan tylko z serem, bez dodatków, a dla nas z różnymi fikuśnymi grzybami. Świeżymi, nie z puszki. A dla Travisa macaroni. W każdym razie Greg nigdy nie żałował pieniędzy na ciuchy dla Courtney. Facet lubi, gdy jego żona wygląda jak milion dolarów.

– Choć niekoniecznie, gdy faktycznie tyle go kosztuje.

– Trafiałaś w sedno, kochanie. Słuchaj, jeśli masz pieniądze, to czemu nie? Kup swojej żonie futro do ziemi, bransoletkę z brylantami, którą widać z daleka, a nie taką tenisową cieniznę. Ale Gregory nie ma jeszcze takich pieniędzy. Być może nigdy nie będzie miał, skoro wszystko chce robić zgodnie z prawem. Na pewno nie pieniądze na wielkie wydatki, które marzyły się Courtney. Nie na wynajęcie na miesiąc domu we Włoszech, mało, że ze służącą, to jeszcze z kucharką. Kucharką? Powiedz mi, czy to takie trudne ugotować spaghetti? Ileż pieniędzy przepuściła ta Miss Prostoty, niech spoczywa w pokoju. Osiemset dolarów na parę spodni. Tak mówił Gregory, a to dopiero był początek.

– Pracowała w banku inwestycyjnym – zauważyłam. – Kto jak kto, ale ona powinna była lepiej zdawać sobie sprawę, jak stoją ich finanse.

Laluś Phil ze smutkiem pokręcił głową.

– Tu w zasadzie nie chodziło o Gregory’ego. Courtney była przekonana, że ja mam wszystkie pieniądze świata. Więc ilekroć chciała coś mieć, to zaczynała robić przy mnie

aluzje. I szczerze mówiąc, czasami papa Phil sięgał do kieszeni. Na przykład raz bąkała o nowym samochodzie, by mogła bezpieczniej wozić dzieci. Czy mogłem odmówić? Oczywiście, że nie. Kupiłem jej rovera. I jeszcze opuszczany z sufitu ekran telewizyjny z projektorem. Dla tego głupiego StarBaby. Gdy zauważyła, że mnie to nie rusza, powiedziała, że tak naprawdę chciała to kupić dla dzieci, by sobie oglądały *Ulicą Sezamkową*. No dobra, nazwij mnie durniem, ale jej to kupiłem. Ale jeśli chce futro z soboli? A ma już futro z norek. Robiła aluzje jak szalona. „Mąż jednej z moich przyjaciółek kupił jej na trzydzieste piąte urodziny przepiękne futro z soboli” – zapiszczał falsetem. – Właśnie tak Courtney dawała do zrozumienia. Nigdy nie powiedziała: ja chcę. Pomyślałem sobie: jak takie małe gównu włoży futro z soboli, to będzie wyglądała jak soból z torebką. I pomyślałem też: nie ma mowy. Ani soboli, ani lisów, ani nawet, *pardon*, pieprzonych królików. Nie chcę mojemu synowi odcinać jaj, kupując mojej synowej futro. Poza tym mam żonę. Już trzecią, a to taki typ kobiety, która myśli, że numer trzy oznacza, że dostanie trzy futra. – Wyspowiadawszy się, Lalus Phil powiedział: – Co ja ci tu opowiadam? Mów dalej. Jeszcze jakieś szczegóły sekretnego życia Courtney?

– Czternastego października oddała land rovera do warsztatu. Trzydziesty pierwszy to ostami dzień, kiedy w ogóle mogła nim jeździć, prawda?

– Tak? I co?

– Między tymi dwiema datami przejechała tym samochodem tysiąc sto czterdzieści trzy kilometry.

Po dwóch sekundach rozważań Lalus Phil spytał:

– Dokąd ona, do cholery, jeździła?

– Pamiętasz, jak rozmawiałam z dawnymi kolegami i koleżankami Courtney ze świata finansów? Jeden z nich na marginesie wspomniął o dziwnym zbiegu okoliczności, że pracownica banku z New Jersey, ktoś, z kim miał raz do czynienia, też zaginęła. Emily Chavarria.

– Tak. Ta, o którą na twoją prośbę zapytałem Grega. Nigdy o niej nie słyszał.

– Właśnie. Trzydzieści jeden lat, skończyła dobrą uczelnię. Podobno bardzo inteligentna, ale nie ekstrawertyczna tak jak Courtney. Cicha. A może tylko nieśmiała. Wnioskując z tego, co powiedział ten facet, który pracował z Courtney w Patton Giddingsie, Emily musiała być bardzo kompetentna, skoro opiekowała się jednym z największych klientów banku. Wygląda jednak na to, że miała nad sobą szklany sufit i to dosyć nisko. – Lalus Phil przekrzywił głowę na bok w niemym pytaniu, więc wyjaśniłam: – Szklany sufit oznacza dyskryminację. To przeszkoda, o której nikt w firmie nie powie głośno, a która uniemożliwia kobietom i przedstawicielom mniejszości osiągnięcie wysokich stanowisk. A jednak, mimo że była młoda i utalentowana, Emily nie znalazła sobie innej pracy i nie odeszła. Więc być może żywiła urazę. Może czuła, że należy się jej więcej niż to, co dostaje w banku.

Lalus Phil opuścił stopy na podłogę między kanapą i podnóżkiem i pochylił się do przodu.

– Tylko się tego domyślasz.

– Oczywiście.

– Zgaduj dalej. Przerwę ci, gdy zaczniesz to brzmieć głupio.

– Jak dotąd w porządku? – spytałam.

– Jak dotąd tak.

– Z Shorehaven do miejsca, gdzie Emily mieszka i pracuje, jest w obie strony jakieś trzysta czterdzieści kilometrów. A właściwie mieszkała/pracowała. Jeden z największych klientów jej banku to człowiek, który odziedziczył większościowe udziały w rodzinnej firmie. W którymś momencie zdecydował się wejść z firmą na giełdę, sprzedać akcje...

– Nie musisz mi tłumaczyć operacji giełdowych, pani doktor. Komisja nadzoru finansowego próbowała mnie kiedyś przyskrzytnić za manipulacje giełdowe. Głupie dupki.

– W każdym razie trochę później ta firma została kupiona przez dużą korporację. Oczywiście jeśli pracujesz w banku obsługującym tę firmę i wiesz, że coś takiego się stanie...

– Transakcje z wykorzystaniem poufnych informacji – wtrącił Phil. – Tak, tak. Komisja nadzoru finansowego podnosi przy tym straszny raban.

– Zdaje się, że uważają to za ciężkie przestępstwo – odparłam.

– Bo są głupi. A jak się nazywa firma tego faceta? – spytał.

– Nie mogę ci tego powiedzieć w tej chwili, Phil.

– No powiedz.

– Wolałabym nie.

– Dlaczego nie, do cholery? – wrzasnął nagle. Lalus Phil nie bawił się w kulturę by mówić cicho, bo sąsiedzi usłyszą.

Nigdy dotąd nie rozgniewał się na mnie ktoś z wyrokiem za przestępstwo, na które złożyło się między innymi uderzenie kogoś w twarz cegłą. Żołądek zaczął mi podchodzić do gardła na widok ognia w czarnych oczkach Phila. Twarz miał niebezpiecznie czerwoną i jej barwa jeszcze się pogłębiała. Musiałam się mocno wziąć w garść, by nie odwrócić wzroku od jego piorunującego spojrzenia.

– Dlaczego ci nie powiem? – odpowiedziałam pytaniem, zdumiona, że sama podnoszę głos. – W ramach polisy ubezpieczeniowej.

– Dość tych bzdur!

– Nie, Phil. To nie bzdury, jeśli wracam z miasta o późnej porze i... niespodzianka! Przed domem czeka na mnie Phil Lowenstein i jakiś potężnie umięśniony prymityw.

– Nie jest taki durny.

– Słuchaj, będę niesamowicie szczęśliwa, jeśli uda mi się pomóc Gregowi, byśmy mogli żyć w przyjaźni, gdy to wszystko się skończy.

– Ja już jestem przyjazny! – wrzasnął. Położył lewą dłoń na gwiazdzie Dawida, a prawą uniósł wysoko jak do przysięgi. – No, przecież siedzę tutaj z tobą, nie? I grzecznie słucham.

– Jesteś bardzo grzeczny. I bardzo inteligentny. Greg ma szczęście, że jesteś po jego stronie. Lubię cię, Phil. Nie chcę cię złościć ani ranić twoich uczuć. Ale gdy zobaczyłam twój samochód i przyjrzałam się twojemu kierowcy... Więc to tylko po to, bym mogła się czuć bezpieczniejsza.

– Nie będę się z tobą kłócić, mimo że się mylisz – pociągnął głośno nosem jeden raz, by pokazać mi, jak bardzo go zraniłam. – Mów dalej.

– Wygląda na to, że Emily i Courtney łączyło coś więcej niż jedna konferencja KPF, organizacji do której obie należały. Po zniknięciu Emily ktoś kilka razy dzwonił z komórki na jej pocztę głosową w pracy. Najwyraźniej jeszcze wtedy żyła i chciała sprawdzić swoje wiadomości, chyba że podała hasło komu innemu.

– Do kogo należała ta komórka?

– Nazwisko właściciela wydaje się fałszywe, ale ktoś to sprawdza.

– Nie cierpię, gdy smak gumy tak szybko się wyżuwa – wymamrotał Luluś Phil, dodając kolejny listek do pecyny, którą miał już w ustach. – Kto sprawdza nazwisko osoby, która kupiła tę komórkę?

– Ktoś, kto ma łatwiejszy dostęp do tego typu informacji niż ja.

– Co oznacza, że to kolejna rzecz, której nie chcesz mi powiedzieć – Mruknął, tym razem bez gniewu.

– Tak. Ale posłuchaj. Oto, co łączy Courtney z Emily. Osoba, do której należy ta komórka, dzwoniła też dwa razy do domu twojego syna, ostatni raz kilka dni przed zniknięciem Courtney.

– O kurde – sapnął.

– Właśnie. Być może tylko wymieniały się przepisami na pudding z ryżu. Ale instynkt mi podpowiada, że Emily i Courtney robiły razem jakiś biznes. Bo jest ta firma kupiona przez większą, a także zabrane przez Courtney dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, które zniknęły. Kto wie, co jeszcze? Gdybym miała zgadywać, to powiedziałabym, że Courtney wystąpiła w zastępstwie Emily przy kupowaniu akcji tej firmy. One wiedziały, dzięki poufnym informacjom, że cena akcji bardzo wzrośnie. Nie twierdzę, że właśnie o to chodziło. Jak dla mnie, to mógł być jakiś inny nieczysty, albo i czysty biznes. Pytanie: jak się tego dowiedzieć. Czy Courtney mogła mieć jakiś rachunek w domu maklerskim, o którym Greg by nie wiedział?

Luluś Phil wzruszył ramionami, że niby „któż to wie”, ale milczał. Czekałam, dopóki nie wypoleruje o swoje białe spodnie kamienia w pierścionku. Potem powiedział:

– Jeśli te dwie babki były w zмовie, a ta Emily na tyle cwana, by kupić komórkę na inne nazwisko...

– Karta kredytowa, którą zapłaciła, prawdopodobnie jest fałszywa.

– Pewnie – rzucił mimochodem, jakby takie sytuacje były dla niego czymś normalnym. – Więc jeśli ma dość rozumu, by kupić telefon, posługując się fałszywym nazwiskiem, to ona i Courtney z całą cholerną pewnością nie kupowały akcji na własne rachunki maklerskie.

– Właśnie. Czy domyślasz się, jak one mogły to zrobić? Jak mogły obracać akcjami? – doszłam do wniosku, że Luluś Phil się nie obrazi, jeśli uznam, że chyba trochę się orientuje w nielegalnych transakcjach.

– Nie obraził się.

– Może kupowały online z portalu, który nie zadaje zbyt wiele pytań. Tyle że to rozwiązanie dla amatorów.

– One nie były amatorkami – przypomniałam.

– Tak, chyba masz rację. Gdybym to ja miał to zrobić? Spółka w raju podatkowym.

– Czytałam o tym, ale chyba nie do końca rozumiem, o co chodzi.

– Możesz kupować akcje osobiście, jako doktor Judith Singer. Ale w tym przypadku to nie ma sensu. Chodzi przecież o to, by się ukryć. Słyszałem, że to się robi tak. – Nie przysięgnę, ale zdaje się, że mrugnął. – Zakładasz spółkę na Bahamach, Kajmanach albo na Wyspach Dziewiczych. W porządku? Wszystko jasne? Obowiązujące tam prawo mówi, że nie można podać tożsamości osoby czy osób stojących za tą spółką. Wierz mi, to się robi bardzo często. Dzięki temu te świnię z urzędu skarbowego nie mogą cię wyśledzić, a dranie z komisji nadzoru finansowego nie rzuca ci się do gardła. Widzisz, to spółka kupuje i sprzedaje akcje czy co tam innego. Żadnych nazwisk.

– Ale przecież Courtney została zamordowana. Czy policja albo FBI nie mogłyby dotrzeć do władz na tych wyspach, by udzieliły informacji, kto stoi za taką czy inną firmą?

– Kochanie, czyja wyglądam na prawnika? Ale odpowiedź brzmi: nawet jeśli uzyskają nazwisko czy nazwiska, to co im to da, jeśli ta Emily była na tyle cwana, że założyła spółkę pod fałszywym nazwiskiem?

– Czy przy zakładaniu spółki nie trzeba się jakoś wylegitymować?

– Tak, trzeba. Ale, pani doktor, jeśli panienka z banku, która skończyła dobrą szkołę, ma dość rozumu, by wymyślić, jak zdobyć fałszywą kartę kredytową i jeszcze ma czelność jej użyć, to czy nie sądzisz, że ma też fałszywy dowód tożsamości? Wystarczy skombinować w miarę przyzwoicie wyglądający akt urodzenia i masz nową tożsamość. Uzyskanie paszportu to już kaszka z mlekiem. To kosztuje, a jakże, ale da się zrobić.

– Więc jeśli nie wiemy, pod jakim fałszywym nazwiskiem Emily zdecydowała się założyć firmę, to wyśledzenie jej będzie bardzo trudne.

Kąciki ust Lalusia Phila wygięły się w dół. Wyglądał tak posepnie, jak ja się czułam.

– Trudne? Niemożliwe.

– Chcesz powiedzieć, że nawet bank, prawnik czy gdzie tam ona zarejestrowała tę fałszywą spółkę nie będzie wiedział, kim ona naprawdę jest? – spytałam. – Że naprawdę nie ma sposobu, by ją odszukać.

– Właśnie – potwierdził.

– Jeśli Emily założyła tę spółkę, by kupować akcje, i dała Courtney pieniądze, by zrobiła to za nią, pomijając własne pieniądze Courtney, które ta mogła zainwestować, czy obie miałyby dostęp do kont tej spółki?

– Może tak być – powiedział Lalus Phil.

– Dlaczego Emily nie miałyby wykorzystać rozwiązania ze spółką i w ogóle pominąć Courtney? – spytałam. – Gdyby założyła tę spółkę, posługując się fałszywym nazwiskiem i sfalszowanym dowodem tożsamości.

– Może nie była całkiem przekonana, że nie da się jej wyśledzić. Jeśli była nieśmiała, może bała się pojechać w takie miejsce jak Kajmany i rozmawiać tam z prawnikiem. Może Courtney miała większą wiedzę o takich sprawach niż ta Emily. Pracowała przecież w dużym banku inwestycyjnym, który obsługiwał międzynarodowe firmy. A tamta dziewczyna tkwiła w jakiejś dziurze w New Jersey. A może Emily omówiła swój plan z Courtney, a potem Courtney zaczęła na nią naciskać, by nie wyłączała jej z interesu.

– Naciskać, czyli na przykład szantażować? – zasugerowałam.

– Być może. Nie musiałyby mówić tego wyraźnie. Żadne tam „albo mnie uwzględnisz, albo doniosę FBI”. Ta Emily była chyba na tyle inteligentna, by zrozumieć bez słów. Wiesz, o co mi chodzi? A może były świetnymi współpracownikami, ale każda z nich założyła oddzielną firmę.

– Dlaczego?

– Bo po tym przekręcie Emily planowała zniknąć. Po co byłaby cała ta historyjka z Australią? A może dlatego, że nawet świetne współpracowniki mogą się zniechęcić. A może dlatego, że Emily miała dość rozumu, by nie ufać Courtney?

– Ale po co miałyby Courtney zabijać?

– Bo Courtney wiedziała.

– Wiedziała o czym?

Laluś Phil wyjął z kieszeni papiera i wypluł gumę.

– Courtney wiedziała, że te pieniądze z transakcji z wykorzystaniem poufnych informacji w ogóle istnieją, nie? Courtney wiedziała, że istnieje Emily. I może Courtney nie była zadowolona z tego, co dostała. Sama powiedziałaś, że pod koniec lata straciła zainteresowanie tą głupią StarBaby, że myślała, że gdzieś indziej. Być może próbowała wyciągnąć od Emily więcej. „Oddaj wszystko albo...”, – Phil dokładnie owinął gumę i wsadził do kieszeni spodni.

– Oczywiście jeśli twoja historyjka jest prawdziwa. „Pewnego razu żyła sobie niegrzeczna dziewczynka imieniem Emily, która grzeczną dziewczynkę imieniem Courtney wyprowadziła w pole”. Gdy tak to opowiadasz, to wydaje się całkiem możliwe, choć odnalezienie tej dziwki to beznadziejna sprawa.

– Może beznadziejna to trochę za mocne słowo – zasugerowałam.

– Powiedziałem „beznadziejna” i myślę „beznadziejna” – odparł Laluś Phil. – Cholera, nie mogę uwierzyć, że ta mała, blondwłosa gówniara Courtney mogła się wplątać w coś takiego.

– Phil, przynajmniej znamy ogniwo łączące te dwie kobiety. Możesz namówić adwokata Grega, by rzucił to policji. Ja ze swej strony będę próbowała wygrzebać coś więcej.

– Jak?

– Chcesz usłyszeć ode mnie, że mam swoje sekretne metody? Czy też, że na razie nie mam pojęcia, ale może coś wymyślę?

Laluś Phil oparł dłonie na kolanach i z wysiłkiem wstał z fotela.

– Mam nadzieję, że coś wymyślisz. Bo pamiętasz, jak się martwiłem, że to pogoń za cieniem? Ze względu na mojego Gregory’ego módlmy się, by nie okazało się, że oboje zaczęliśmy za nim gonić.

Po wyjściu Phila chodziłam po domu jak błędna, strzepując poduszki na fotelach, układając na nowo idealnie ułożone bukiety róż i gasząc lampy. Powiedział, że to beznadziejna sprawa. Nie mogłam uwierzyć, że to ślepa uliczka. Powlokłam się do kuchni, by przygotować ekspres do kawy tak, by rano wystarczyło tylko przycisnąć guzik.

Z czasem powróciły w miarę sensowne myśli, nadal jednak przypadkowe, oderwane od siebie. Żał, że zdecydowałam się na śledztwo w sprawie morderstwa, a nie na wykłady na

letnim kursie ze społecznej i intelektualnej historii Stanów Zjednoczonych, tematu, do którego byłam kompletnie nieprzygotowana (nie żeby miało to zniechęcić Śliskiego Sama). Lęk, że Nelson nie będzie dumny z tego, że tak daleko zaszłam, ale raczej rozczarowany, że okazałam się niezaprzeczalnie beznadziejna w jedynej sprawie, w której chciałam zabłysnąć.

Potem dręczyłam się aż do mdłości, że Emily Chavarria wyprowadziła w pole nie tylko mnie, ale także policję. Nadal mogło się skończyć na tym, że Greg Logan będzie przez resztę życia płacił za jej zbrodnię. Gdy położyłam się do łóżka (jak zwykle na mojej połowie, jakby leżenie po stronie Boba było aktem bezczelności), niemal natychmiast zapadłam w głęboki sen.

Wstałam o świcie z podświadomym przeczuciem, że w moim życiu może się zdarzyć coś parszywego. Trochę jak wtedy, gdy jako nastolatka budziłam się rano 209

i spóźniał mi się okres. Niemal słyszałam wypowiedziane przez Phila słowa „beznadziejna sprawa”, odbijające się echem po domu. Powlokłam się do łazienki i zaczęłam myć zęby, odwracając się od lustra, by oszczędzić sobie konfrontacji z własnym odbiciem. Kto wie, co się w tym momencie stało. Może wibracje ze szczoteczki do zębów podrażniły włókno nerwowe którejś komórki w moim mózgu, a może po prostu pomyślałam „zęby”. Od zębów przesłam do żucia, od żucia do gumy i nagle przywołałam z pamięci obraz Phila, jak wypłukuje przeżutą gumę na paperek, zawijają i wsadza do kieszeni swoich przyciasnych spodni.

Przeżuta guma skierowała myśli ku innej przeżutej gumie. Przypomniałam sobie wieczór, gdy odwiedziłam Grega i jak wyjmując z torby moje CV, przy okazji wyciągnęłam kulkę starej gumy miętowej, zawiniętej w skrawek papieru. Odrobina wilgoci w gumie przykleiła jądo mojego CV i omal nie podałam jej Gregowi razem z dokumentem.

Co to było z tą gumą? W tym momencie niemal starłam już emalię na zębach trzonowych, więc wyłączyłam szczoteczkę i wypłukałam usta. Guma? Odkręciłam wodę pod prysznicem, poczekałam, aż zleci lodowata, potem wrząca i gdy w końcu zaczęła płynąć jak zwykle letnia, weszłam do kabiny i stanęłam pod strumieniem wody. Dziwne, ale gęsta mgła mojej melancholii zaczęła rzednąć. Żadnego rozczulania się nad sobą pod prysznicem, z nadzieją, że woda zmyje moje strapienia, żadnego pochlipywania „Kap, kap, płyną łzy”, gdy zaczęłam się namydlać.

Dopiero gdy wycierałam nogi, nagle wyprostowałam się i zawołałam: „O mój Boże!” Rzuciłam ręcznik, ściągnęłam z wieszaka sfatygowany szlafrok i popędziłam na dół, na werandę. Tam, w jednym z monstrualnie wielkich, wiklinowych koszy, które dobrze wyglądają tylko w magazynach o dekoracji wnętrza, leżała moja płócienna torba na książki z biblioteki. To do niej włożyłam rzeczy z szafy Courtney, tak zwane dowody, zebrane tamtego dnia, gdy Lalus Phil zawiózł mnie do domu Loganów.

O właśnie. Jagodowa guma do żucia. Porcja jak dla dziecka, nie wielki kłęb, jaki przeżuwał Lalus Phil. Z tego co wiedziałam o Courtney, guma nie należała do przyjemności, na którą pozwoliłaby swojej córce. Gdyby odbierała Morgan z przedszkola i zauważyła, że jej dziecko żuje coś fioletowego, o słodkim zapachu, na pewno zażądałaby, aby to wypłuło.

O poranku weranda raczej nie tonęła w słońcu, więc pospieszyłam do kuchni i obejrzałam

moje znalezisko pod najjaśniejszą lampą. Pamięć mnie nie zawiodła. Guma była zawinięta w kwitek, potwierdzający obciążenie karty kredytowej. American Express. Cokolwiek zostało kupione, kosztowało 3 078, 62 dolary. Niestety, co to było i nazwisko kupującego były zaklejone gumą i niemożliwe do odczytania. Pomyślałam, że nie należy się jeszcze poddawać. Po wielu miesiącach spędzonych w należącej do Courtney torebce z hiszpańskiej skóry, guma mogła już stracić swoją ciągliwą naturę. Pociągnęłam lekko za papier. Nic z tego.

Włączyłam ekspres do kawy, przeszłam przez kuchnię i zaczęłam studiować artykuł wycięty wiele lat temu z gazety, jedno z pierwszych napisanych na zlecenie dzieł Nancy, który przykleiłam taśmą na wewnętrznej stronie drzwi szafki na szczotki i odkurzac. Plamy precz! – tak brzmiał jego tytuł. Artykuł zawierał porady, jak usuwać plamy, między innymi z wosku i, owszem, z gumy do żucia. Naturalnie z dzieciństwa Kate i Joeya pamiętałam sztuczkę z kostką lodu, by usunąć gumę przyklejoną do włosów. Nancy zalecała również włożenie przedmiotu z gumą do plastikowej torebki, następnie do zamrażarki, a potem odłupanie gumy. Albo wypranie w pralni chemicznej. Albo użycie masła fistaszkowego jako rozpuszczalnika.

Ale czy powinnam, czy wolno mi dłużyć przy dowodach? Poszłam zadzwonić do swojego prawnika. Kate odebrała pierwsza, chwilę później Adam podniósł drugą słuchawkę. Z ochrypłych głosów obojga zorientowałam się, że chyba dopiero co się obudzili. Mimo to zadałam moje pytanie. Najpierw oboje zrobili wielkie halo z tego, że „nie znają się na prawie karnym, więc nie powinnam prosić ich o poradę”. Potem rzucili przypuszczenie – „ale to tylko przypuszczenie” – że skoro zostałam wprowadzona do domu Loganów przez członka rodziny, który miał klucze i znał kod do systemu alarmowego i ponieważ nie myszkowałam w imieniu przedstawicieli prawa, to nie ma nic złego w tym, że kwitek znajduje się w moim posiadaniu. Nie widziałam powodu, by wspominać o gumie jagodowej. Gdy Adam się rozłączył, by zacząć szykować się do pracy, Kate powiedziała:

– Mamo. – Głos miała ciepły, matczyzny.

– Co?

– Zastanów się, by może tego nie robić.

– Nie robić czego?

– Postawmy tę sprawę tak – powiedziała cierpliwie. – W czasach gdy ja byłam w liceum i na studiach, powiedzmy, że dzwonię do ciebie, że mam w posiadaniu coś takiego jak ten kwitek. Gdybym zaczęła zadawać ci ogólnikowe pytania o legalność tej kwestii, a ty wiedziałabyś, że ten kwitek jest pośrednio lub bezpośrednio związany z dochodzeniem w sprawie morderstwa, to co byś powiedziała?

Jedyną szczerą odpowiedzią było:

– Powiedziałabym: „Kate, czyś ty zwariowała? Nie dotykaj tego!”

– Nie mam więcej pytań – powiedziała moja córka cicho.

Jednak jak tylko odwiesiłam słuchawkę, wróciłam do kwestii usunięcia gumy. Masło fistaszkowe, podobnie jak gorzka czekolada, to były substancje, których nie pozwalałam sobie mieć w domu. Nie żebym użyła czegoś tak ewidentnie lepkiego jak masło fistaszkowe do usunięcia gumy z papieru. Wsadziłam jednak kwitek do plastikowej torebki, włożyłam ją

do zamrażarki i zajęłam się obieraniem pomarańczy. Doszłam zaledwie do połowy, gdy z powrotem wyjęłam kwitek z zamrażarki.

Co powinnam zrobić z tym dowodem? Oddać go Nelsonowi, by mógł go zanieść do policyjnego laboratorium, jeśli uzna, że jest wart zbadania? To miało sens. Tyle że laboratorium mogłoby go przekazać do wydziału zabójstw, a faceci stamtąd, w swej patentowanej, już udowodnionej głupocie, mogliby dojść do wniosku, że Jane Smith, która kupiła etolę z sobola czy co tam, warte 3 078, 62 dolarów, nie ma absolutnie nic wspólnego z morderstwem Courtney Logan. Wskutek tego gliniarze będą radośnie szukać dalej jakiegoś sposobu, by móc przywoździć Grega.

Laboratorium, myślałam, wracając do pomarańczy. Laboratorium, do którego mogłabym mieć zaufanie. Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do Lalusia Phila, by zapytać, czy nie zna jakichś bossów od narkotyków, którzy mogliby mieć na swoich usługach jakiegoś szemranego chemika. Ale jeśli taki boss miałby jakieś porachunki z moim klientem? Albo jeśli zdarzyłby się jakiś nalot brygady antynarkotykowej na to laboratorium i kwitek zostałby znaleziony razem z czterdziestoma trzema tonami kokainy? Poza tym doszłam do wniosku, że jeśli szemrany chemik odkryłby coś wartego sprawdzenia, może nie zechcieć gawędzić z policjantem.

Dopiero kilka godzin później, gdy byłam w trakcie wykonywania najbardziej zniechęconego z domowych zajęć, to jest płacenia rachunków, olśniło mnie, że wprawdzie nie znam żadnego laboratorium, ale znam chemiczkę. Jenny McFarland i ja byłyśmy w komitecie, który próbował poprawić sytuację adiunktów i profesorów pracujących na kontrakcie. Zawsze czułam, że ona i ja mogłybyśmy być wspaniałymi przyjaciółkami, gdyby nie ogromna różnica wieku, przekonań politycznych i religijnych, stanu cywilnego i zainteresowań kulturalnych. Nie zgadzałyśmy się we wszystkim, poza tym, że ogromnie się lubiłyśmy. Zadzwoniłam więc do jej domu w Forest Hills Gardens, w Queens.) Podczas gdy ja opiekowałam się piątką jej dzieci (które były tak grzeczne, że zaczęłam się zastanawiać, czy Jenny nie dosypuje im jakichś środków uspokajających do czekoladowych płatków śniadaniowych), ona pojechała do St. Elizabeuts, by spróbować oddzielić kwitek American Express od gumy jagodowej. Nawet nie zapytała po co. Powiedziałam jej, że to bardzo ważne i potrzebuję tego z powodów osobistych. To jej wystarczyło.

Po trzech godzinach, sześciu pieluchach i niezliczonych razach czytania książki *Gdzie jest mój miś?* Jenny wróciła z szerokim uśmiechem i kulką gumy jagodowej w małym, przezroczystym pojemniku. A także z nieco podziurawionym, lekko tłustawym kwitkiem ze sklepu Louis'a Vuittona na Wschodniej Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy na Manhattanie za zakup toreb podróżnych] za ponad trzy tysiące dolców. Na moje oko równie dobrze mogła to być jedna I mała torba z uszami. Szczęśliwą posiadaczką nie była ani Courtney Logan, ani] Emily Chavarria, ani nawet Yanessa Russell. Stojąc obok Jenny i patrząc na 1212 kwitek, doświadczyłam, co znaczy, dotąd uważane tylko za zwrot literacki, powiedzenie „włosy stanęły mi dęba”.

– Kolejne nazwisko! Samantha R. Corby! – zawołałam triumfalnie przez komórkę, siedząc w moim dżipie przed domem Jenny. Gdy wyjaśniłam, kim jest Samantha R. i jak się

dowiedziałam o jej istnieniu, wskutek pójścia do domu Loganów, znalezienia kwitka i oczyszczenia go z gumy, Nelson dostał ataku szału i wyręczał wszystkie przekleństwa, których nauczył się od piątej klasy podstawówki. Obiecałam mu, że pojedę prosto do domu i dopóki on do mnie nie przyjedzie po pracy, nie będę do nikogo dzwonić, zwłaszcza do Lalusia Phila. Kazał mi położyć kwitek na kawałku czystego, białego papieru, nie ręczniku papierowym, nie gazecie i zostawić w spokoju.

Cóż, i tak musiałam wrócić do, jak mawiał ten dureń Warren G. Hardinge, „normalności”. Po powrocie do domu zajęłam się stosem rachunków z całego miesiąca i chwaliłam siebie za to, że w porównaniu z Samantha R. , jestem bardzo wstrzemięźliwa w wydatkach. Resztę dnia spędziłam na przycinaniu krzewów i drzew, które napatoczyły mi się przed oczy. Potem usiadłam na patio i słuchałam duetu Louisa Armstronga z Ellą Fitzgerald. Gdy doszli do *won 't dance** [won 't dance (ang.) – nie zatańczę.], zamyśliłam się, jak łatwo jest to powiedzieć w piosence, a jak trudno w życiu. Ja zatańczyłam. Z mężczyzną, do tańca z którym, czułam to, zostałam stworzona. Co mnie teraz czeka? Niekończące się pozamałżeńskie wirowanie? Grzeczne „dziękuję” na koniec piosenki i powrót do pani, z którą przyszedł na bal? Nie żebym unikała myślenia o kwitku. Prawda była taka, że po tylu bezbarwnych latach ogarnęła mnie taka ekscytacja, że nie byłam w stanie jasno myśleć.

Seks to ostatnia rzecz, na którą miałam ochotę, choć przyznaję, że około wpół do szóstej wzięłam prysznic i uperfumowałam się *Femme* w strategicznych miejscach. Zużyłam energię na rozważania o mojej przyszłości, jeśli w ogóle jakąś miałam. Nagle jednak znalazłam siłę, by znów obsesyjnie myśleć o sprawie morderstwa, próbując wykombinować, jak ustalić, czy Vanessa Russell lub Samantha R. Corby zostawiły jakieś ślady. Raczej nie wyobrażałam sobie, że zadzwonię do pracownika któregoś z banków na Bahamach i powiem: „Słuchaj, wiem, że w zasadzie nie wolno ci udzielać informacji o klientach, mających depozyty w waszym banku, ale może mógłbyś zrobić wyjątek w tym przypadku, bo jestem bardzo dobrą i miłą kobietą? Nie chcę wiele, raptem adres, pod który wysyłasz wyciągi”.

Krótko po szóstej otworzyłam drzwi Nelsonowi. Przesąpił próg i niespiesznie przyciągnął mnie do siebie. Nie musiałam się bawić w detektywa, by rozszyfrować ten gest. Już miałam zasugerować, że najpierw praca, a potem zabawa, ale wsunął mi ciepłą dłoń pod bluzkę i przesunął ją w górę pleców, co wystarczyło, bym zmieniła zdanie.

Gdy znaleźliśmy się na piętrze, nastąpiła krótka, niezręczna chwila. Uświadomiłam sobie, że nie mogę go zaprowadzić do swojej sypialni. Bóg jeden wie dlaczego. Racjonalnie rzecz ujmując, wiedziałam, że nie pojawi się tam nagle duch Boba w jego zwykłej pozie, z rękami skrzyżowanymi na piersi i ustami zaciśniętymi ze złości. A jednak stałam bez ruchu, dopóki Nelson nie zasugerował cicho:

– Może w którymś z pokoiów dzieci lub gościnnym?

Pociągnęłam go do mojego gabinetu i zdjęłam z kanapy *Wojnę pana Trumana: ostatnie zwycięstwa drugiej wojny światowej i narodziny powojennego świata*. Kochaliśmy się i było nam tak cudownie, że gdy wreszcie skończyliśmy, niemal sfrunęłam po schodach w dół do kwitka z American Express, leżącego na blacie kuchennym, na kawałku białego papieru.

Nie wspominałam, że zrobiłam już dwie kserokopie, z których jedną wysłałam pocztą do

Lalusia Phila. Jak nas w latach sześćdziesiątych pouczał „Cosmopolitan”, nie ma potrzeby mówić twojemu mężczyźnie wszystkiego. Spojrzeliśmy oboje na kwitek. Powiedziałam:

– Nie mów mi, że usunięcie gumy jagodowej jest ciężkim przestępstwem z wyrokiem minimum dziesięciu lat więzienia w zakładzie o zastrzonym rygorze, bo ci nie uwierzę.

Nelson mnie nie słuchał. Automatycznie zapinał koszulę i gapił się na kwitek.

– To miejsce, gdzie sprzedają drogie torebki, prawda? – spytał.

– Tak.

– A ty znalazłaś to w jednej z torebek Courtney Logan.

– Tak. W torebce na ramię. Nie od Vuittona. Ale z ładnej skóry, o ile dobrze pamiętam.

– Wróćmy do tego. – Nelson wskazał kwitek. – Karta, którą posłużyła się Courtney, była sfałszowana, skradziona lub uzyskana na fałszywe nazwisko. Chyba że okazałoby się, że to karta Emily, a Courtney tylko przypadkiem zabrała kwitek. A może Samantha R. Corby naprawdę istnieje i Courtney po prostu chwyciła ten kawałek papierka, gdy jej dziecko, czy kto tam, wypluwał gumę.

– To jest możliwe – zgodziłam się. – Ale posłuchaj, Nelson. Zazwyczaj dostajesz kwitek i wsadzasz go do torby, bo to twoja własność. Jeśli jesteś chorobliwie uporządkowaną kobietą, to go zatrzymujesz. Albo wyrzucasz po powrocie do domu. Ale w większości przypadków ten kwitek po prostu leży sobie zapomniany przez jakiś czas do chwili, gdy robisz przegląd torebki na wiosnę czy kiedy tam. Jeśli jesteś pochłonięta ważnymi sprawami, tak jak Courtney pod koniec lata i przyłapiesz swoje dziecko na żuciu gumy, odruchowo zawijasz ją w cokolwiek, co masz pod ręką, chusteczkę higieniczną lub kawałek papieru, który masz w torebce.

– Mówisz więc, że twoim zdaniem Samantha R. i Courtney to najprawdopodobniej jedna i ta sama osoba.

– Hm, sytuacja nie jest normalna. Dwie mieszkające na przedmieściach kobiety zaginęły lub zostały zamordowane, do tego mamy fałszywe karty kredytowe, podejrzane transakcje giełdowe i tak dalej, a mimo to, owszem, moim zdaniem to jedna i ta sama osoba.

– W takim razie dlaczego... – złamał się i pożyczyl ode mnie okulary do czytania. – Dlaczego tu jest napisane „torby podróżne”?

– Bo w tym sklepie sprzedają też torby podróżne – wyjaśniłam.

– Courtney została zamordowana trzydziestego pierwszego?

– Zgadza się.

– Czy nie wydaje ci się dziwne – zapytał Nelson – że sześć dni przed śmiercią, o tej porze roku, gdy mało kto jedzie na wakacje i jeszcze trochę za wcześnie na zakupy przed Gwiazdką, ona kupowała torby podróżne? Dokąd się wybierała?

Rozdział 16

Spojrzałam rozpromieniona na Nelsona.

– Ty możesz się dowiedzieć, dokąd ona się wybierała!

Staliśmy bez ruchu o pół metra od siebie przed szafką, w której trzymam miski i formy do pieczenia, i wpatrywaliśmy się w kwit z American Express. Nie jestem pewna, dlaczego nie mogliśmy się od niego oderwać, czy dlatego, że nadal byliśmy pod wrażeniem, że ten skrawek papieru może się okazać dowodem sekretnego życia Courtney, czy też każde z nas obawiało się, że to drugie złapie kwit i ucieknie z nim co sił w nogach, on na komendę, ja do Lalusia Phila.

– Co masz na myśli, mówiąc, że mogę się dowiedzieć?

– To, że chyba możesz gdzieś zadzwonić i zdobyć zestawienie wszystkich operacji na tej karcie?

Zmarszczył brwi. Nie mógł pojąć, dlaczego zadaję mu pytanie, na które odpowiedź jest tak oczywista.

– Oczywiście, że mogę. – Gdyby był w wieku swoich dzieci, dodałby: ty głupku.

– Nie rozumiem – rzuciłam. – Ja wiem, że to nie twoja jednostka i że jeśli ta sprawa zostanie rozwiązana, pewnie przypadnie ci za to niewiele uznania, jeśli w ogóle. Ale czy nie czujesz wszechogarniającej potrzeby, by się wszystkiego dowiedzieć? Już teraz, zaraz?

– Moje kochanie – powiedział Nelson słodko. Zawsze był dobrym człowiekiem. Troskliwym, przyjaznym, kierującym się intuicją, czułym i uczciwym. Ale nie słodkim.

– Jak brzmi ta zła wiadomość?

Objął mnie i przyciągnął do siebie, aż oparłam się głową o jego ramię. Taki przyjacielski uścisk jak między piłkarzami.

– Judith – powiedział tak serdecznie, że natychmiast zrozumiałam, dlaczego kryminaliści przyznają mu się do popełnionych przestępstw. – Zrobiłem już więcej, niż powinienem. Pojechałem do New Jersey, sprawdziłem rejestr rozmów na telefonach Emily i zakup telefonu komórkowego. I rozmawiałem z tobą o sprawie. Może z twojej strony tak to nie wygląda, ale poważnie nadstawiam karku.

Odsunęłam się od niego, nie tyle w złości, choć zachwycona nie byłam, ile dlatego, że nie mogłam rozmawiać z wyciągniętą szyją i głową opartą na ramieniu zdumiewająco kościstym jak na niezłe umięśnionego faceta.

– Wiem. I doceniam to. Jestem ci wdzięczna, że tak we mnie wierzysz. Na szczęście darował sobie słodycz i kumplowskie gesty.

– Nie powiedziałem swoim kolegom z wydziału zabójstw, dlaczego tak się interesuję sprawą Loganów. Oni myślą, że to w związku z Philem Lowensteinem albo z tęsknoty za nimi. Oczywiście nie pisałem słowa Carlowi Gevinskiemu. To ten dupek, który prowadzi śledztwo. Na razie wiesz ty i tylko ty.

Oparłam się o szafkę, na tyle daleko od kwitka, by czuł się pewny, że nie rzucę się i nie porwę go zwinnym ruchem, choć, jak podejrzewam, wiedział, że w odniesieniu do mnie

przymiotnik zwinny raczej nie ma zastosowania.

– Nelson, nie wiem, co powiedzieć. Ostatnia rzecz, której pragnę, to to, byś znalazł się w tarapatkach z mojego powodu. Rozumiem, że nie działa na twoją korzyść to, że zadajesz się z osobą powiązaną z Lalusiem Philem, facetem zamieszkanym w sprawie, nad którą pracujesz, choć oczywiście dałoby się to wytłumaczyć.

– Wytłumaczyć to jedno. Inna sprawa, czy ktoś w to uwierzy.

– Nie chcę, byś narażał na szwank swoje dobre imię czy ryzykował utratę pracy.

– Wiem o tym.

– Jedyne rozwiązanie, jakie przychodzi mi do głowy, to pozwolić ci dyktować kolejne posunięcia w tej rozgrywce, pod warunkiem że obiecasz mi uczciwe i rzetelne śledztwo w sprawie morderstwa Courtney. Jeśli nie, to mam obowiązek wobec Phila i jego syna... – nie spodobało mu się to ostatnie zdanie. Wcisnął ręce w kieszenie i zaczął tę swoją rozgrywkę, kto pierwszy spuści wzrok. – Jeśli nie możesz dzielić się ze mną informacjami, to spiszę wszystko, co udało mi się odkryć i oddam Philowi, by przekazał to adwokatowi Grega.

– Oczywiście nadal patrzył mi prosto w oczy. W tym gapieniu się mężczyznom zapewne chodzi o to, by ustalić, kto jest samcem alfa, ale ponieważ ja chętnie oddałabym Nelsonowi prawo do największego kawałka mamuta, nie musiałam wybałuszać oczu jak głupia. Zaprezentowałam więc mój status beta, zerkając z powrotem na kwitek. Niemniej nie zamierzałam zmieniać zdania. – Greg i jego adwokat mają absolutne prawo dowiedzieć się, co ustaliłam – oznajmiłam.

– Słuchaj, to jej się nie spodoba. Żaden adwokat w sprawie karnej nie byłby zachwycony, że Luluś Phil potajemnie zlecił równoległe śledztwo, chociaż jej detektyw niewiele zdziałał. Ale są szanse, że ten detektyw jest zawodowcem i ma kontakty w American Express, które albo są miłe, albo dadzą się przekupić. On może się dowiedzieć, co Samantha R. kupowała przed Halloween.

Nelson został w kuchni, by wykonać parę telefonów. Ja poszłam na górę, by przebrać się w coś wygodniejszego, co w moim przypadku oznaczało parę luźnych, granatowych szortów (nogi mam naprawdę całkiem niezłe od ziemi do dziesięciu centymetrów powyżej kolan), obszerną białą koszulę z podwiniętymi rękawami i klapki. Nie wiedziałam, czy Nelson wychodzi, czy zostaje, dopóki nie zeszłam na dół i nie zobaczyłam go stojącego przed otwartą lodówką z pęczkiem przywędłej pietruszki w dłoni.

– Pewnie nie uwierzysz, ale masz lepiej zaopatrzoną lodówkę niż większość samotnych kobiet – powiedział.

– To dlatego, że jem więcej niż większość samotnych kobiet. Będziesz gotował?

– Pewnie.

Zaraz po liceum Nelson wstąpił do lotnictwa i wylądował przy kotle, zamiast za sterami myśliwca. Chwalił się, że jego najbardziej, genialnym daniem był kurczak z grilla dla trzystu osób, choć zawsze twierdził też, że potrafi przygotować przyzwoity posiłek dla mniejszej grupy, na przykład dla dwojga.

– Co to będzie? – spytałam.

– Makaron z sosem zrobionym z tego, co masz. – Wyjął cebulę, zabłąkany ząbek czosnku

i czerwoną paprykę tak starą, że aż się skurczyła. Potem otworzył zamrażarkę i odkrył pół bagietki, choć nie przypominałam sobie, bym ją kiedykolwiek kupiła czy jadła.

– Skąd tyle wiesz o lodówkach samotnych kobiet? – spytałam.

– Z czasów pomiędzy jednym a drugim małżeństwem. I, no wiesz, dzięki pracy.

Z tą radosną myślą zajęłam się nakrywaniem do stołu.

– Wiesz, o czym myślę? – rzuciłam.

– Zaraz mi powiesz, prawda? Gdzie trzymasz pomidory w puszcze? Wskazałam spizarkę i powiedziałam:

– Myślę o Emily. Ten Josh Kincaid, o którym ci mówiłam. Ten, który pracował z Courtney w Patton Giddingsie, który spotkał Emily przy okazji kredytu hipotecznego. Sposób, w jaki ją opisał...

– Ją, to znaczy Emily?

– Tak. Z jego słów wydawała się tak cicha i bezbarwna, że musiała być niemal niewidzialna. Przypuszczam, że miała dobry kontakt z tym dużym klientem banku, facetem od Saf-T-Close. Ale nie wiem nic o jej kontaktach z innymi ludźmi. Gdy rozmawiałam z jej matką, ta nie wiedziała nic o przyjaciółkach Emily. Pewnie Emily nie miała ich zbyt wielu, jeśli w ogóle. A przy okazji, matka nie była zbyt błyskotliwa w mowie, delikatnie rzecz ujmując. Sąsiedzi Emily, ta miła, młoda para, z którą ty też rozmawiałeś, Beth i Roberto, oni opisali ją jako kogoś bardzo cichego albo wyjątkowo nieśmiałego.

Nelson zaczął otwierać puszkę pomidorów bez skóry. Pomyślałam, że tego rodzaju zażyłość w naszych kontaktach bardziej zagrażała mojemu spokojowi ducha niż seks. Taka przyjemna bliskość i to właśnie z mężczyzną, z którym pragnęłam bliskości przez większą część mojego dorosłego życia. Przypominałam sobie, że przez pierwsze lata po naszym rozstaniu często wymykałam się, gdy rodzina wieczorem oglądała razem telewizję, szłam na górę do łazienki, zamykałam się na klucz i płakałam.

– I co w związku z tym, że była cicha, nieśmiała, niepewna siebie albo co? – spytał. – Ile set razy widziałeś sąsiadów faceta, który właśnie zastrzelił dziesięć osób, jak w wywiadach mówią: „Zawsze był takim miłym, cichym człowiekiem”. Cisi ludzie zabijają. Nieśmiali też.

– Wiem. Ale wydaje mi się to strasznie dziwne, gdy muszę myśleć o tak niepozornej osobie jak o przestępczym geniuszu. Słuchaj, ona pogodziła się ze szklanym sufitem w pracy. Jej cała kariera zawodowa to ta jedna praca i nie wygląda na to, że było to szczególnie pasjonujące zajęcie.

– Nie każdy ma wielkie ambicje.

– Wiem. Mogłaby osiągnąć więcej, a jednak została w nudnej, bezpiecznej pracy. Jasne, może taka właśnie była, może nie lubiła wyzwań. Ale właśnie dlatego tak mnie zdumiewa, że wymyśliła cały ten przekręt z wykorzystaniem poufnych informacji. Courtney albo Courtney plus spółka w rajku podatkowym kupiła dla niej akcje po niskiej cenie i sprzedała po wysokiej.

Trzeba mu przyznać, potrafił słuchać i równocześnie błyskawicznie siekać cebulę jak szef kuchni w programie kulinarnym w telewizji.

– Przede wszystkim, moje kochanie, to tylko twoja teoria. Być może Emily Chavarria i Courtney Logan spotkały się na tym damskim zjeździe w Baltimore i zaprzyjaźniły. A powód,

dla którego Emily dzwoniła do Courtney kilka dni przed Halloween, to impreza, na którą się wybierała, bo nie mogła się zdecydować, czy przebrać się za Śnieżkę, czy któregoś z krasnoludków.

– Wiem, że to tylko teoria – przyznałam. – Courtney mógł zabić kogoś. Greg, au pair, koleżanka z liceum, na którą spadła wina za kradzież pieniędzy z kiermaszu ciastek, Laluś Phil albo jego pani, facet, który zbudował i konserwował basen u Loganów. Ale przedstaw mi inną teorię, która pasowałaby do tak wielu faktów jak moja. Z przyjemnością się nad nią zastanowię.

Odwrócił się, by dalej siekać i myśleć.

Pragnęłam tylko stać tam i patrzeć na niego, więc zmusiłam się, by pójść na górę do gabinetu. Weszłam w internet i zapuściłam wyszukiwanie danych osobowych. Znalazłam kilka osób nazywających się Vanessa Russell, ale czułam, że żadna z nich nie jest Emily, ponieważ zabójcy pewnie zwykle zastrzegają swoje dane. Na wszelki wypadek wydrukowałam to zestawienie.

Odsunęłam się od biurka, by uniknąć napadu internetowego szaleństwa. Zaczęłyby się od wejścia na stronę z muzyką, by zamówić kompakt z Sinatrą, a skończyłyby na czytaniu osobistych wspomnień Amerykanów japońskiego pochodzenia o ich życiu w obozach dla internowanych podczas II wojny światowej, po czym wyłączyłabym komputer, nie pamiętając, po co w ogóle go włączyłam. Skup się, nakazałam sobie. Nawet taki dzieciak jak Josh Kincaid dostał pracę w Patton Giddingsie. To prawda, że po roku powiedziano mu, by sobie poszedł, ale gdyby nie rodzinna firma od kredytów hipotecznych, do której mógł wrócić, zapewne wybrałby coś z kilku obiecujących, w miarę interesujących ofert pracy w finansach. Nie miałam pojęcia, jak duża jest dyskryminacja kobiet w tej branży, ale nawet przyjmując, że duża, Emily mogła przecież odejść z banku Red Oak i pójść gdzie indziej. Hm, może była szaleńczo zakochana w jakimś nieosiągalnym facecie stamtąd i nie mogła znieść myśli o rozstaniu. A może, mimo zadowolenia faceta od Saf-T-Close, była po prostu ciemną masą albo zgniłym jajem, którego nikt inny by nie zatrudnił.

Do pokoju napłynął zapach smażonej cebuli. Łzy stanęły mi w oczach. Nie, nie z powodu cebuli, tylko z zachwytu nad cudownością tego, że Nelson jest w moim domu i ze świadomości, że prędzej czy później wróci do siebie. Do swojej żony. Od jego żony jak zwykle przeskoczyłam do radosnych rozważań, że ona zdecyduje się na późne dziecko – „Kochanie, mam dla ciebie niespodziankę!”, w ten sposób gwarantując trwanie ich małżeństwa przez następne dwadzieścia czy ile tam lat.

Z powrotem przysunęłam krzesło do komputera i wpisałam „Samantha R. Corby”. Osiem S. Corby z adresami i numerami telefonów. Wydrukowałam również to zestawienie, a potem uruchomiłam normalną przeglądarkę i sprawdziłam „Samantha R. Corby”. Nic, co by mnie choć trochę poruszyło. Pamiętając o dosłowności traktowania haseł przez komputer, wpisałam jeszcze „Samantha Corby”. Pojawiła się jedna pozycja.

Kliknęłam na nią i znalazłam się na stronie gazety „Star” z Wiggins w stanie Idaho, przy której „Shorehaven Beacon” wydawał się tygodnikiem o naukach chrześcijańskich. I tamże, w wydaniu z dziewiętnastego października 1999 roku, w małej ramce zatytułowanej „Witamy

nowych sąsiadów!”, pomiędzy „Arlene i Arnoldem Chester” i „Doktorem Alwynem Rossi z żoną” była „Samantha Corby”. Nie miałam pojęcia, co dalej robić, ale ponieważ z dołu nie dobiegały donośne okrzyki „Kolacja!”, wyciągnęłam mapę Idaho i odnalazłam na niej Wiggins. Zaledwie kilka milimetrów nad nim, w kierunku powiedzmy północnym, obok miast nazwanych Bellevue, Hailey i Ketchum było Sun Valley. Kurort, pomyślałam. Znany kurort. Czy nie odbywała się tam jakaś olimpiada?

Zacząłam dzwonić. Kobieta w redakcji „Star”, która mówiła, jakby była całym personelem gazety, a może tylko ona tam jeszcze została o tak późnej porze, powiedziała, że nazwiska do rubryki „Witamy nowych sąsiadów!” pochodzą z lokalnych agencji nieruchomości. Podała mi kilka numerów telefonów. Dzwoniłam, dopóki Nelson nie zawołał z dołu: „Podano do stołu!”

Zeszłam na dół, opowiadając z entuzjazmem o odkryciu Samantha Corby.

– To może być ona – powiedział Nelson, nawet odsuwając dla mnie krzesło. Natkę pietruszki, której nie zużył, umieścił w szklance i postawił na stole jako dekorację.

– Gdy Steffi mówiła o kobiecie wychodzącej od Loganów, tej która mogła być Emily – odezwałam się kilka minut później, nabijając na widelec parę świderków – opisała ją jako małą, szarą myszkę. – Zajęty podziwianiem albo mojej koszuli, albo rowka między moimi piersiami Nelson kiwnął głową w grzeczny, obojętny sposób, niemal jak mąż. Pomyślałam, że zasługuję na więcej uwagi, skoro długo i z zapalem chwaliłam zrobiony przez niego sos pomidorowy, zresztą absolutnie szczerze. Nelson był urodzonym kucharzem, który w każdej kuchni czuł się jak u siebie. Odnalazł nawet moją grządkę z warzywami i zebrał trochę sałaty i rzodkiewek na sałatkę. – Nelson.

– Co?

– Chcę, żebyś w tej chwili poświęcił mi sporo uwagi. – Uśmiechnął się, kiwnął głową, ugryzł zrobioną przez siebie grzanekę z czosnkiem i dolał nam do kieliszków czerwonego wina z butelki, którą zawsze trzymałam na podorędziu dla Nancy, by nie popadła w delirium tremens lub żeby nie była wściekła czy co tam. – W porządku – powiedziałam. – Pamiętaj o małej, szarej myszce, ale na chwilę odłóż ją na półkę.

– Już odłożyłem. Słucham cię, Judith. Fascynuje mnie każde twoje słowo.

– Dobrze. – Demonstracyjnie długo odchrząknęłam, pewnie dlatego, że nie do końca wiedziałam, co powiedzieć, a chyba chciałam, by Nelsonowi spodobała się każda sylaba. Dziwne. Myślałam, że przychodzi w życiu taka chwila, gdy opinia innych osób nie ma już dla mnie znaczenia. Jestem, kim jestem, nie załamie się, jeśli ktoś mnie nie polubi albo wyśmieje moje pomysły. Wiedziałam, że się Nelsonowi podobam, że on mnie kocha i nie będzie się śmiał do rozpuku, jeśli stwierdzi, że się mylę. Powie wprost, że się ze mną nie zgadza. W najlepszym razie będzie miły. W najgorszym – uprzejmy. Pewnie jeśli powiem coś ewidentnie głupiego, zawoła: „Daj spokój!”, ale wiedziałam, że Nelson zdaje sobie sprawę, że nie jestem kompletną idiotką.

– No mów – rzucił zachęcająco.

– Według mnie, gdy szuka się sprawcy morderstwa, trzeba mieć konkretne fakty. Jeśli jednak fakty nie wystarczają, by móc rozwiązać sprawę, trzeba też poszukać prawdy

psychologicznej lub emocjonalnej. Cały czas myślę o tym, jaką osobą była Courtney i nie mogę się uwolnić od wrażenia, że z nią było naprawdę coś nie w porządku.

– Ofiary zabójstw nie żyją, bo ktoś dokonał na nich zbrodni – cierpliwie tłumaczył mi Nelson. – Nie są ani lepsze, ani gorsze od innych ludzi. Święci padają ofiarą morderstwa. Potwory też. Jeśli masz rację co do Courtney, to wpłatała się w poważną aferę. Była chciwa, arogancka i nie znała się na ludziach.

– Tak, ale pójdźmy dalej. Z początku uważałam ją za perfekcjonistkę, ale myślę, że w równej mierze chodziło o kontrolę. Chciała rządzić. To ona wyznaczała reguły. Nie dawać dzieciom słodyczy. Tylko godzina telewizji. Au pair musiała poczekać, aż dzieci zasną, by móc oglądać telewizję w swoim pokoju. Młoda kobieta, która filmowała dla StarBaby, powiedziała mi, że dopóki Courtney nie straciła zainteresowania firmą, to niemal za nią oddychała. Nie wynajęła dekoratora wnętrz, tak jak wiele kobiet o podobnym do jej statusie materialnym. Wszystko zrobiła sama. Perfekcjonizm czy kontrola, faktem jest, że dopracowała każdy szczegół. Na żyrandolu w holu wejściowym każda żarówka miała mały klosik z lamówką wyciętą w muszelki. Kosz na śmieci w łazience wyłożyła ozdobną papierową serwetką.

– Nie wierzę, by ktoś mógł uznać, że należy ją za to zabić – powiedział Nelson.

– Nie. To nie dlatego Mack Dooley przeżył szok, gdy zdjął pokrywę z basenu. Ale zanim do tego dojdziemy, porozmawiajmy, jak inni ludzie postrzegali Courtney. Greg? Nie powie, że jej nienawdził. Nie ma sposobu, by dowiedzieć się, co czuł. To samo z au pair. Wygląda na to, że szczerze podziwiała Courtney, ale jeśli namiętnie się w Gregu zakochała, z wzajemnością czy bez, to nie powie mi, że Courtney była upierdliwą, rozstawiającą po kątach babą.

– Czy ty się we mnie namiętnie zakochałeś? – spytał.

– Nie, tylko się z tobą zabawiam, dopóki nie znajdę sobie kogoś lepszego.

– Spodziewałem się, że tak odpowiesz.

– Courtney była ładna, na pewno sympatyczna, taka uniwersytecka mieszanek Sandry Dee i June Allyson. – Nelson roześmiał się, ale on zawsze w ten sposób reagował na moje analogie filmowe, więc machnęłam ręką, by go uciszyć. – Jednak wielu ludzi uważało, że coś z nią było nie tak. Przede wszystkim ta kobieta, z którą Courtney chodziła do liceum, Ingrid Farrell. Ingrid została obciążona winą, gdy Courtney ukradła pieniądze z kiermaszu ciastek. To naprawdę nie był szczeniacki żart, bo wszyscy uwierzyli, że Ingrid jest winna. Nawet jej rodzice myśleli, że ona to zrobiła, więc zwrócili pieniądze. Smród z tej sprawy ciągnie się za nią przez całe życie. To, co zrobiła Courtney, było okropne. Dalej Jill Badinowski, jedna z klientek StarBaby. Opisała Courtney jako lodowatą bizneswoman, której nie robi różnicy, czy sprzedaje film z dziećmi czy cyklon B. Luluś Phil powiedział, że gdy szukał w Courtney osobowości, to nic nie znalazł. Opisał ją jako *lukshen*, co w jidysz znaczy kluski.

– Kluski są niedobre?

– Dobrze, ale same, bez soli czy sosu są naprawdę mdłe. Luluś Phil postrzegał Courtney jako mdłą. Z drugiej strony widział, jak manipuluje, próbując skłonić go do kupienia rzeczy, na które jej i jej męża nie było stać: land rovera, superhipertelewizora. Próbowwała nawet

namówić Lalusia, by kupił jej futro z soboli.

– Co chcesz powiedzieć? – Nelson nie kwestionował moich słów, próbował się po prostu zorientować, dokąd zmierzam.

– Nie jestem jeszcze do końca pewna. A jak ci się wydaje?

– Nie wiem. Jak dotąd największe wrażenie robi ta sprawa z kiermaszu ciastek. Wiem, że sobie z niej żartowałem, ale to nie było miłe ani ładne. To absolutna podłość. Futro z soboli to manipulacja, ale jeszcze nie koniec świata.

– Pewna kobieta z grupy siedmiu czy ośmiu matek z małymi dziećmi nie знаła Courtney bliżej. Ale jest bardzo spostrzegawcza i przenikliwa, poza tym przy opisywaniu Courtney użyła analogii filmowej.

– To zawsze jest oznaką wysokiej inteligencji – zauważył Nelson.

– Wręcz geniuszu. Porównała Courtney do obcej istoty z *Inwazji pożeraczy ciał*, ludzkiej powłoki wypranej z wszelkiego człowieczeństwa – czekałam, aż się roześmieje albo dobrodusznie potrząśnie głową, ale sącył wino i czekał. – Zee Friedman, ta od filmowania, powiedziała, że gdy mały Travis wszedł do pokoju podczas ich rozmowy, Courtney miała na twarzy wyraz najwyższego szczęścia, jak Madonna. A gdy Greg wrócił do domu z partii golfa, Courtney zachowywała się, jakby był najbardziej ognistym facetem na świecie.

– I cóż w tym złego?

– Kocham moje dzieci całym sercem i duszą – powiedziałam. – Ale gdy były małe i wpadały do pokoju, przerywając mi to, co akurat robiłam, to, wierz mi, nie bawiliśmy się w Świętą Rodzinę. I w sześc, siedem, czy ile tam lat po ślubie, gdy jesteś ze swoją pracownicą, nie podniecasz się, gdy twój mąż wraca do domu. Au pair też to zauważyła. Powiedziała, że Courtney zachowywała się przy Gregu niczym panna młoda w dniu ślubu. Jej najlepsza przyjaciółka zwróciła uwagę na ten numer z „Och, czyż on nie jest superfacetem?” I nie dała się na niego nabrać. Przypuszczała wręcz, że Courtney ma romans, choć tylko ona jedna tak uważała. Niemal cała reszta postrzegała ją jako kompletnie aseksualną – odchyliłam głowę na oparcie krzesła. – Masz już jasny obraz Courtney?

– Nie.

– Cecile Rabiea, która zaczęła pracować w Patton Giddingsie w tym samym czasie co Courtney, powiedziała, że jej praca była dobra, ale Courtney nie potrafiła pójść dalej, zatroszczyć się o klienta i go poprowadzić. Nie żeby była leniwa, tylko jakoś nie potrafiła pojąć ludzkiej strony całego przedsięwzięcia.

– Dobrze. Ale nadal jej nie widzę.

– Courtney tak naprawdę nie rozumiała potrzeb drugiego człowieka. Może była niedojrzała albo mało wrażliwa. Z drugiej strony mogła być poważnie upośledzona lub wręcz pozbawiona uczuć. I jeszcze jedno. Nie pokazywała ludziom swojej prawdziwej twarzy. Może w ogóle jej nie miała. Zbyt wielu ludzi, opisując ją, stwierdziło, że coś z nią było nie tak. No wiesz, jak z całkiem niezłą aktorką, grającą rolę żony, matki, sąsiadki, konsultantki inwestycyjnej. Gdy mówisz o wnętrzu człowieka, całkiem niezła imitacja to za mało. To dlatego ludzie zauważali, że coś z nią jest nie tak.

– Judith, dokąd ty zmierzasz?

– A jak myślisz dokąd?

Zaczął mieszać widelcem w sosie pomidorowym, dookoła makaronu, a nie przez środek.

– Do tego, że Courtney była swego rodzaju... Jak to się dzisiaj mówi? Psychopatką? Socjopatką?

– Tak myślę. Wiem, że nie powinnam uznawać za znamienny tego jednego incydentu na kiermaszu w liceum, ale Courtney okazała przerażającą bezwzględność.

– Ale to niesprawiedliwe wobec Courtney. Nie żyje, więc nie może się bronić.

– Wiem. Ale jako socjopatką na pewno byłaby bardzo elokwentna i przygotowałyby sobie zgrabną obronę. Tak samo przekonała kierownika liceum, że to Ingrid Farrell ukradła pieniądze z kiermaszu ciastek. Courtney nie miała sumienia.

– Skąd wiesz? – upierał się. – Jeśli to ona ukradła pieniądze, to może dręczyło ją to przez te wszystkie lata. A co niby miała zrobić? Wrócić tam, skąd pochodziła, do Waszyngtonu czy co tam, i przyznać się? To nierealne. Miała męża, dzieci, pozycję w miejscowej społeczności.

– Wiem. Ustabilizowane życie rodzinne. I nie była gwałtowna czy agresywna, tak jak wielu świrów.

– Właśnie – przyznał Nelson.

– Skoro więc była taką dobrą osobą, pełną wyrzutów sumienia i skruchy, która jednak nie mogła przeprosić, nie przekreślając całego swojego życia, to jak to się stało, że wdała się w aferę z Emily?

Nelson sięgnął przez stół i położył rękę na mojej dłoni.

– Judith, ale to przecież tylko teoria. Jedyne, co masz, to fakt, że gdy Emily była rzekomo na wakacjach, ktoś, kto dzwonił z komórki do jej pracy, użył tej samej komórki, by zadzwonić do domu Courtney. A także to, że sześć lat temu obie były na tej samej konferencji w Baltimore.

Odłożyłam widelec i przykryłam drugą dłonią jego rękę.

– Kanapka z dłoni – powiedziałam. Uśmiechnął się. – Nelson, wiem, że starasz się być delikatny. Dziękuję.

Cofnęliśmy ręce.

– Okej – odezwał się łagodnie. – Słuchaj, nie bądź dla siebie zbyt surowa. Nikt, włącznie ze mną, nie chciałby przekazywać Philowi Lowensteinowi złych wieści.

– Chcę ci przedstawić jeszcze jedną teorię.

– Proszę bardzo.

– Chodzi o małe kobietki – zaczęłam. – Nie książkę...

– Film?

– Cicho bądź. Wiesz, widziałam zdjęcia Courtney w prasie i w telewizji. Nie była piękną, ale wyglądała całkiem przyjemnie. – Nelson przytaknął ostrożnie. – Potem poszłam do Grega, by spróbować go przekonać, żeby mnie wynajął. Nie kręć głową, nie mamroc „Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś”. Zrobiłam to. I już. Koniec dyskusji.

– Niezupełnie. Judith, byłaś idiotką, że zapukałaś do drzwi kogoś, kto jest na serio podejrzewany o morderstwo. Teraz to jest koniec dyskusji.

– Dobra. W każdym razie, siedziałam u niego w salonie i na stoliku obok mnie stała

oprawiona w ramkę fotografia Grega i Courtney w strojach do tenisa. Wyglądali razem cudownie. Oboje zgrabni, wysportowani, ładnie kontrastujący ze sobą. On ciemnowłosy, ona blondynka. On wysoki, ona nieduża. Pamiętam, że opierała mu głowę na piersi. On właściwie nie jest taki wysoki. To ona była niska. Zdaje mi się jakiś metr pięćdziesiąt dwa czy coś koło tego.

Nelson zakołysał winem w kieliszku.

– Okej.

– Pomyślałam o tym zdjęciu. Poza tym przeglądałam też jej szafę, nad czym nie chcę się rozwodzić, bo pewnie na samą myśl o tym, jeżą się wszystkie twoje policyjne instynkty, jeśli można tak powiedzieć. W każdym razie widziałam, że nosiła buty numer sześć.

– Cóż, to chyba rozwiązuje sprawę, prawda?

– Wiesz, kto też był niewysoki? Emily. Beth i Roberto w rozmowie o niej powiedzieli, że zabierała w podróż tylko jedną walizkę. On zaproponował, że pomoże jej włożyć ją do bagażnika, bo ona była, no wiesz, taką małą kobietką, ale odparła, że da sobie radę. A teraz przypomnij sobie tę małą, szarą myszkę, o której mówiła Steffi.

– Do czego zmierzasz? – spytał. – Myślisz, że Emily miała w tej walizce poćwiartowane zwłoki albo sztaby złota i nie chciała, by ktokolwiek wiedział, ile jej bagaż waży? Albo że wręcz wepchnęła tam ciało małej Courtney? Może Courtney wyszła kupić jabłka, a potem wyjechała do New Jersey, a Emily, która nie pojechała do Australii, zabiła ją, potem przywiozła ciało na Long Island i wrzuciła do basenu – nie mówił sarkastycznie, tylko bezkompromisowo. Przyjął rolę adwokata diabła.

– Nie, tego nie mówię.

– To dobrze.

– Nelson, zaraz do tego dojdę. Po prostu wysłuchaj mnie do końca. Emily miała dosyć krótkie, jasnobrązowe włosy. Ale pod koniec lata zaczęła je zapuszczać... I *voilà*. Stały się też jaśniejsze. Beth powiedziała, że twarz Emily nagle nabrała życia.

– Facet?

– Być może. A może była podekscytowana wizją nowego życia, które zacznie, dzięki pieniądzom z oszustwa, które zaplanowały razem z Courtney. Tak, Nelson, wiem, że to tylko teoria. Przedstawię ci jeszcze jedną: może to Courtney namówiła ją na zmianę wyglądu.

– Hm.

– Mała Courtney zmieniała małą Emily, by ta bardziej przypominała małą Courtney.

Patrzył wprost na mnie, ale tym razem nie chodziło o to, kto pierwszy spuści wzrok. Szukał odpowiedzi. Chyba był bliski zrozumienia, co usiłuję powiedzieć, ale spowalniało go to, że jednocześnie zmierzał do rozwiązania i wymyślał argumenty za tym, że się mylę.

– Co ty próbujesz powiedzieć? Co według ciebie się wydarzyło?

– Myślę, że Courtney tworzyła namiastkę Courtney. Myślę, że ciało w basenie...

– Niemożliwe!

– ... to Emily Chavarria.

Rozdział 17

Nie mów tak od razu „niemożliwe”. Pomyśl o tym – poprosiłam Nelsona. – Pomyśl, że Emily przyjechała do Shorehaven i zastrzeliła Courtney nie ma sensu.

– Ma cholernie więcej sensu niż...

– Mówię o jej charakterze. Osobowości. Czy jak tam zechcesz to nazwać. Gdy dowiedziałam się o istnieniu Emily i uznałam, że może mieć jakiś związek z Courtney, pomyślałam: „O cholera! To ona popełniła tę zbrodnię”. Jednak im więcej dowiadywałam się o Emily, tym mniej wydawało się prawdopodobne, że byłaby zdolna do dokonania takiego morderstwa i zatarcia śladów.

– A co z finansową stroną tej sprawy, jeśli taka istnieje? – spytał Nelson. – Czy Emily byłaby do tego zdolna?

– Intelktualnie bez wątpienia tak. Ale nawet tutaj założę się, że Courtney przejęła stery i dyktowała kolejne posunięcia. Do ustalenia jest to, co Emily miała, czy nie miała. Nawet jeśli wszystkie jej pieniądze zniknęły z konta w banku i z rachunku maklerskiego, można się dowiedzieć, ile ich miała i kiedy je zabrała.

– Myślisz, że wycofanie wszystkich pieniędzy przypadnie na moment przed wykupem Saf-T-Close przez tę większą firmę? – wydawał się nie tyle uważny, co pełen tolerancji, po prostu pozwalał mi się wypowiedzieć.

No to się wypowiedziałam.

– Jasne, że chciała wziąć wszystko, co mogła, by kupić te akcje, o których wiedziała, że sporo podrożeją. Ale na chwilę o niej zapomnij. Spójrz na Courtney. Była pewna siebie i ambitna. I wysportowana, na litość boską. Myślisz, że myszka Emily miałaby dość siły, by zabić Courtney gdzieś tam, nie wiadomo gdzie, a potem przenieść i wrzucić jej ciało do basenu? – Kręcił głową, że to przecież czysta spekulacja. – Nelson, przestań, daj mi szansę.

– Wierz mi, daję ci szansę. Ale czego ode mnie oczekujesz? Żeby odrzucił wszelkie racjonalne argumenty, które przyjdą mi do głowy, bo nie pasują do twojej teorii?

– Nie. Wcale nie. Po prostu daj mi więcej czasu. – Przyszło mi do głowy, że ta prośba o więcej czasu może zabrzmieć pokornie albo żałośnie jak „Nie wracaj jeszcze do domu, do żony”. By zatrzeć to wrażenie, popadłam w swój ton „jestem kobietą, posłuchaj mojego ryku”, który był tak donośny, że aż sama się przestraszyłam. – Posłuchaj mnie! Emily najwyraźniej nie mogła sobie dać rady z jedną walizką – trochę przycichłam. – To dlatego Roberto zaproponował, że jej pomoże. Nie była silna. A założę się, że jeżeli sprawdzisz Courtney, okaże się, że mogła podnieść przynajmniej... tyle, ile ważyła Emily.

Nelson odsunął się z krzesłem od stołu, rozparł się wygodnie i skrzyżował nogi w typowy dla mężczyzn trójkąt, który prezentuje ich intymne części ciała, na wypadek, gdyby ktoś miał jakies wątpliwości. Uniósł do góry jeden kącik ust, co, jak wiedziałam, znaczyło: „Przykro mi to mówić, ale... „

– Odciski palców, Judith. Pamiętasz o odciskach palców? Te w domu Courtney i samochodzie, które zdjęli, gdy zaginęła, pasują do odcisków, które udało im się uzyskać z

ciała. – Zaczęłam sprzątać ze stołu, nie żeby uciec przed rozmową, tylko by uporządkować myśli. – I jeszcze jedna rzecz – rzucił.

– Co? – otworzył usta i postukał palcem w zęby. Na oko były w całkiem niezłym stanie. – Zęby? – powiedziałam. – Ach, chodzi ci o dokumentację dentystyczną.

– Zdaje się, że pasuje do zębów ciała z basenu Loganów.

Troskliwie przełożyłam pozostały makaron do plastikowego pojemnika, by wiedział, że będę się nad nim rozczulać w nadchodzących dniach. Zaczynałam rozumieć, dlaczego roztropność sugeruje nie mieszać romansu z pracą. Trudno jest myśleć rozsądnie, gdy pożądanie miesza się z irytacją.

– Nie martw się – powiedziałam, trochę zbyt radośnie jak na mój gust. – Potrafię to wszystko wpasować w moją wspaniałą syntezę hipotez nie do udowodnienia.

Uniósł kieliszek w toaście.

– Jestem dobrym słuchaczem.

– Pomyśl jeszcze raz o małej, szarej myszce. Była w domu Courtney – widząc, że zamierza mi przerwać, dodałam: – Okej, mogła być w domu Courtney. Założę się, że jeśli by pokazać Steffi więcej zdjęć Emily, to zdołałaby ją zidentyfikować z większą pewnością.

– Więc co Courtney zrobiła? – spytał Nelson spokojnie. – Wytarła wszystkie powierzchnie w domu, by były tam tylko odciski Emily?

– Prawdopodobnie, choć założę się, że gdyby kwiat policji hrabstwa Nassau był bardziej skrupulatny, to znalazłby inne odciski należące do jakiejś niedużej dorosłej osobki. Nie zapominaj, że gdy zdejmowali te odciski, szukali osoby zaginionej, a nie ofiary morderstwa. I pewnie zrobili to wiele dni, albo i tygodni po zniknięciu Courtney.

– Nigdy się tego nie dowiemy, prawda?

– Pewnie nie.

– A co z samochodem?

– Samochód... – powiedziałam powoli.

– Bo przecież sama mówiłaś, że według słów au pair samochód tej szarej myszki, która mogła być Emily... Jej samochód stał na podjeździe.

– To nie znaczy, że nie prowadziła samochodu Courtney w tym czy innym momencie. Słuchaj, powiedzmy, że jestem Courtney, dobrze? Nie chcę, by w samochodzie były moje odciski palców. Wycieram więc bardzo, bardzo dokładnie kierownicę, guziki od okien, drążek zmiany biegów, pasy bezpieczeństwa i foteliki dzieci. Co jeszcze? Klamki drzwi w środku i na zewnątrz, klapę bagażnika. Potem za każdym razem, gdy czegoś dotykam, mam na rękach rękawiczki lub zakryte opuszki palców. Na przykład kawałkami plastra, albo co... – Wymamrotał coś jak „masz głowę” albo „pomysłowe” dosyć zgryźliwym tonem, który oczy – , wiście zignorowałam. – Mój mąż też jeździ tym samochodem – ciągnęłam. – Ale w którymś momencie proszę Emily, by wystąpiła w roli kierowcy. Może zamiast jechać po jabłka spotykam się z Emily w jakimś centralnym punkcie i mówię: i, „Ojej, jeździłam dzisiaj przez cały dzień. Chciałabym odpocząć, możesz poprowadzić” czy coś takiego. Więc dla policjantów, zajmujących się sprawą zaginionej osoby land rover wygląda jak normalny rodzinny samochód, bo z przodu są odciski rodziców, a odciski dzieci i ich przyjaciół

wszędzie z tyłu. Żadnych odcisków porywacza, napastnika czy kto tam ewentualnie zaatakował Courtney.

– To mi się podoba – powiedział. – Bardzo twórcze myślenie.

– Och, wypchaj się!

– Robisz z Courtney przestępcę doskonałego.

– Nie, nie doskonałego, ale cholernie dobrego. Nelson, czemu nie? Jeśli potrafię to wszystko sobie wyobrazić, to ona z pewnością była do tego zdolna. Ukończyła Princeton z wyróżnieniem. To znaczy, że w college'u była więcej niż niezła. Była dobrze zorganizowana. Skrupulatna. To widać w jej domu. Wszystko dopracowane. Każdy kłosek jest ideałem konkretnego rodzaju kłosa. Ryciny botaniczne oprawione w złoczone ramki i powieszono na wstążkach. Nie ma jednego pustego stolika, każdy drobiazg został przemyślany i zaplanowany, nie za dużo, nie za mało, wszystko dobrane pod względem rozmiaru i koloru. To idealny, bezduszny dom.

Wstał od stołu i pocałował mnie akurat, gdy skończyłam szarpać się z miską, która nie chciała się zmieścić na dolną półkę zmywarki.

– To wszystko, czy masz coś więcej? – spytał.

Ubiegłej nocy, gdy się na chwilę obudziłam i wstałam do łazienki, obiecałam sobie, że bez względu na to, co się wydarzy w tym związku, będę się zachowywać jak dorosła kobieta, a nie jak podłotek w średnim wieku. Żadnych podtekstów. Żadnych żalonych sugestii. Nie będę w zawołany sposób nawiązywać do jego małżeństwa, w nadziei, że odpowie deklaracją, zawierającą słowa „uzyskać rozwód” i „przemeblować twoją sypialnię”. Jeśli chcę dyskutować o jego sytuacji, obiecałam sobie, to muszę otwarcie poruszyć ten temat.

Dlatego zdławiłam cisnące mi się na usta „Jesteś pewien, że masz czas i nie musisz wracać do domu?” i powiedziałam:

– Mam jeszcze dużo więcej. – Usiedliśmy z powrotem przy stole, na którym została tylko szklanka z natką. – Talent Courtney do analizowania, do oceniania sytuacji pod każdym względem, udoskonalił się w Patton Giddingsie. Analizowanie danych, szacowanie inwestycji. Pamiętaj, że jej praca była w porządku. To jej umiejętność pracy z ludźmi pozostawiała wiele do życzenia.

– W porządku, ale co z dokumentacją dentystyczną? – Zauważył wyraz moich oczu. – O nie. Judith Eve Bernstein Singer, nie mów mi, że chcesz powiedzieć, że je zamieniła.

– Nelsonie LawrenceMe Sharpe, owszem, mówię ci, że je zamieniła. Zdjęcia rentgenowskie, które wsuwa w przegródki przy karcie? Zdjęcia Emily są w dokumentacji Courtney i vice versa. Założę się, że jeśli zlokalizujesz dentystę Courtney, znajdziesz u niego nową pacjentkę... Zapewne we wrześniu lub na początku października. Nową pacjentkę, która była mniej więcej wzrostu Courtney, z jasnymi pasemkami, nieco od niej młodszą. Czy to też uznasz za twórcze myślenie?

Rzucił mi irytująco czułe spojrzenie, jakim ludzie zwykle obdarzają ciapowatego, niezgrabnego szczeniaka.

– Tak.

– To dobrze – odparłam. – Możemy bardzo łatwo rozstrzygnąć tę różnicę zdań.

– Świetnie. Jak?

– Ściągnij dokumentację dentystyczną Courtney z Olympii w stanie Waszyngton. Założę się, że nie będzie pasować do zębów ciała z basenu. Albo dokumentację Emily z Leesford w stanie Oklahoma. Ta będzie pasować.

– Jezu Chryste, Józefie święty – powiedział cicho i poprawił się na krześle. Patrzył teraz nie na mnie, ale na ścianę, na której wisiała oprawiona w ramkę moja kolekcja etykiet ze skrzynek z owocami, choć nie sądzę, by ją widział. Po nieskończonej chwili, która zapewne trwała tylko minutę, odwrócił się do mnie. – Nie wiem, co powiedzieć. To jest teoria. Strzał na oślep.

– Jakie są minusy? Rozdrażnisz paru dentystów?

– Potrzebuję nakazu sądowego, by dostać tę dokumentację. A to sprawa międzystanowa.

– Nie możesz jakoś wycygnąć nakazu? Albo po prostu zadzwonić i trochę poczarować?

– Nie umiem czarować.

– Owszem, umiesz.

– Muszę o tym pomyśleć – oznajmił stanowczym tonem. Potem wstał.

– Tak na marginesie, Nelson, jest jeszcze inny sposób, by rozstrzygnąć naszą różnicę zdań.

Być może pomyślał, że jestem trochę zbyt kategoryczna albo że próbuję go zatrzymać, by jeszcze nie wychodził. Mimo to zachowywał się uprzejmie, wręcz wielkodusznie.

– Nadal słucham.

Nawet się uśmiechnął.

– Odciski palców i zęby są uważane za niepodważalne dowody, prawda? – spytałam.

– W bardzo wielu sprawach.

– W takim razie czy ktokolwiek zajmujący się sprawą Loganów zadał sobie choć odrobinę trudu, by porównać DNA ciała z DNA Morgan albo Trávisa?

Nelson usiadł z powrotem.

– O cholera!

Gdy wychodził, nadal się wahał. Choć zafascynowany tym, co powiedziałam, nie był całkiem przekonany, czy nie nabiera się na historyjkę, ciekawe zestawienie luźnych faktów. Niemniej zaintrygowało go to, co łączyło Emily i Courtney: konferencja w Baltimore, komórka, z której telefonowano do pracy Emily i domu Courtney, wstępna identyfikacja Emily przez Steffi Deissenburger. Umierał z pragnienia, by rozwiązać tę sprawę. Ja jednak dostatecznie długo studiowałam czasy Franklina D. Roosevelta, by mieć dobre rozeznanie w polityce. Rozumiałam, że Nelson na pewno nie nadstawi karku i nie będzie ryzykował, że się ośmieszy przed zwierzchnikami w policji i nowym szefem wydziału zabójstw.

Następne dwa dni były trudne. Nigdy nie byłam dobra w oczekiwaniu na wydarzenia, ale nie odważyłam się zrobić jakiegoś nierozważnego kroku. Starłam się panować nad sobą. By pokazać Lalusiowi Philowi, że nadal pracuję nad sprawą, umówiłam się z nim na kolejne śniadanie. Dla mnie płatki owsiane z rodzynkami i otrębami. Dla niego dwa stosy naleśników i talerz francuskich tostów. Poranną biżuterię stanowił pierścień z gigantyczną pieczęcią, która wyglądała na skradzioną z Watykanu, i podwójny, gruby, złoty łańcuch, na moje oko

skrzyżowanie biżuterii i akcesorium do praktyk erotycznych, których wolałam sobie nie wyobrażać. Teorię o Emily w basenie zachowałam dla siebie, jednak zaraportowałam Philowi, że śledzę tropy obu kobiet, zarówno w Shorehaven, jak i w Cherry Hill.

Po południu zadzwonił Nelson. Słyszałam w jego głosie z trudem skrywane podniecenie. Udało mu się od znajomego byłego policjanta, który pracował obecnie w dziale reklamacji American Express, zdobyć rejestr wydatków Samantha Corby. W październiku duże zakupy w najlepszych z najlepszych sklepów na Manhattanie, tamże wynajem samochodu, obiady w całkiem eleganckich restauracjach. Przez kilka minut zastanawiałam się, dlaczego nie robiła zakupów w okolicy, a potem zrozumiałam, że biorąc pod uwagę jej skłonność do wydawania pieniędzy, nie mogła się podawać za Samanthę Corby na północnym wybrzeżu Long Island, gdzie była już dobrze znana jako Pani Rozrzutna alias Courtney Logan. Wśród innych wydatków były bilety lotnicze w pierwszej klasie do Miami i tamże spory rachunek za hotel. Nie mogłam uwierzyć, że była tak bezczelna albo nieostrożna, że nie przejmowała się możliwością spotkania dawnego znajomego z czasów w Nowym Jorku. Potem – Bingo! – spędziła dwa dni w Nevis na Wyspach Dziewiczych. Spółka w rajy tym tamtym! Pławiłam się w zachwycie. Pojechała odwiedzić swoje pieniądze! Na co Nelson zareagował: „A może chciała ponurkować?” Po tym przerywniku Samantha Corby wróciła w okolice Miami, do Key Biscayne na dwa tygodnie, potem udała się do Boise w stanie Idaho, jakieś dwieście czterdzieści kilometrów od SunValley, gdzie wydała ponad cztery tysiące dolarów na sprzęt narciarski.

– Wydatki kończą się ostatniego dnia grudnia – powiedział Nelson.

– Co? – ponieważ nie chciał mi wysłać faksem listy wydatków, trzymałam słuchawkę między uchem i ramieniem i robiłam notatki najszybciej, jak mogłam. – Jak myślisz, co się stało?

– Nie wiem.

– Ale masz jakąś teorię.

– Daj spokój, Judith – powiedział. – Nie mogę z tobą rozmawiać. Mam mnóstwo roboty.

– Co to za teoria i nie wzdychaj cierpiętniczo, jaki to jesteś tolerancyjny. Dlaczego po trzydziestym pierwszym grudnia nie ma więcej wydatków?

– Jeśli faktycznie istnieje jakaś Samantha R. Corby, a jak dotąd nie ma po niej śladu, powiedziałbym, że przesadziła z wydatkami na Gwiazdkę i potrzebuje czasu, by dojść do siebie.

– Ale jeśli to Courtney?

– To może jest tak sprytna, jak myślisz. Wszystkie wydatki z American Express zostały spłacone.

– Dlaczego niby jest sprytna? – spytałam, dumając, że gdybym była socjopatką nie wzdragała się przed morderstwem, to pewnie jakoś bym przeżyła wykiwanie Neimana Marcusa lub innego domu towarowego.

– Bo jeśli chcesz zniknąć, to spłacasz wszystkie rachunki. Ścigający cię ludzie z windykacji lub komornik to ostatnia rzecz, której pragniesz. Oni pracują nad sprawami dłużej niż policja i mają pieniądze na poszukiwania.

– Co więc działo się po grudniu? – rzuciłam.

– Wiem tyle co ty.

– Nie, Nelson, wiesz więcej. Jesteś detektywem.

– Myślałam, że to ty nim jesteś.

– Nie drażnij się ze mną. Nie jestem w nastroju. Po prostu powiedz mi, co myślisz.

– Jeśli to Courtney? To albo nie żyje, albo, co bardziej prawdopodobne, posługuje się już innym nazwiskiem. A jeśli porzuciła tożsamość Samantha, co byłoby przejawem wielkiej ostrożności, ale również wielkiego sprytu, to prawdopodobnie opuściła również Sun Valley.

Przed rozpaczą uchroniło mnie tylko przekonanie, że nawet jeśli Courtney udało się uciec, to przynajmniej istniała możliwość oczyszczenia Grega z zarzutu morderstwa, który wisiał nad nim od chwili zniknięcia jego żony. Wystarczy test DNA. No dobra, drugą rzeczą, dzięki której nie wpadłam w panikę był telefon od Nelsona o wpół do ósmej wieczorem, z pytaniem, czy może wpaść na chwilę.

Tym razem kochaliśmy się w dawnym pokoju Joeya, pod plakatem z filmu *Metropolis*. Nelson poczekał, dopóki się nie ubrałam i dopiero wtedy przekazał mi informację, że ciało Courtney Logan zostało skremowane. Zanim zdążyłam zawyć z rozpaczy dodał, że biuro koronera zawsze zachowuje próbki tkanek do dalszych badań. W tym przypadku, gdy ciało było w stanie daleko posuniętego rozkładu po tylu miesiącach w basenie, zachowano zęby i kości, a nie tkanki miękkie. Miazga z zębów i szpik kostny zawierają komórki krwi, z których można pobrać DNA do badań. Przyznaję, że trudno to uznać za typowe postkoitalne słodkie głupstwa, ale byłam zachwycona, dopóki nie powiedział, że poczeka na dokumentację dentystryczną ze stanu Waszyngton albo Oklahoma, zanim nadstawi karku i będzie naciskał na test DNA. Poza tym zasypują go jego własne sprawy, więc żadnych nacisków, proszę.

Następnego rana próbowałam się skontaktować z Lalusiem Philem. Być może naprawdę zaczął nowy rozdział w życiu i właśnie studiował Talmud. Albo jeśli był tym samym, nienawróconym Lalusiem, to zajmował się jakimś nowym, wyrafinowanym przestępstwem lub starym, dobrze znanym wykroczeniem, czyli napaścią z zamiarem zabójstwa. W końcu po południu odpowiedział na wiadomość zostawioną na pagerze. By powstrzymać go przed zadawaniem zbyt wielu pytań, poprosiłam, by zdobył nazwiska ginekologa, dentysty i księgowego Courtney, domyślając się, że zęby (i wszystko, co się z nimi kojarzy) nie zostaną przez Lalusia Phila zauważone, jeśli znajdą się między pochwą i pieniędzmi.

Po rozmowie z Philem nie miałam zbyt wiele do roboty. Zadzwoiłam więc do banku Red Oak, powiedziałam, że pracuję dla „Dewey and Bricker” i poprosiłam o skontaktowanie z osobą, która pełniła funkcję sekretarki Emily Chavarria.

– Halouuuu – usłyszałam w końcu. Giną Berke świergotała tak wysokim głosem, że była pewnie lepiej słyszana przez gryzonie niż ludzi. – W czym mogę pani pomóc?

Opowiedziałam jej rzewną historyjkę, jak to Emily zaginęła już tak dawno temu, więc jej rodzina zebrała trochę pieniędzy i skontaktowała się z agencją detektywistyczną „Dewey and Bricker” w Oklahoma City. Czy przypadkiem zna nazwiska lekarza i dentysty, u których leczyła się Emily w New Jersey? Zanim kazała mi czekać, pomyślałam czy nie podziękować jej z odpowiednim, zachodnim akcentem, ale postanowiłam nie kusić losu. Gdy Giną

odezwała się ponownie, podała mi dane doktora Alana Jerrolda, lekarza stomatologii – „Nie do wiary, ale nadal mam go w komputerze” – i Jacka Goldberga, lekarza medycyny. Skoro już siedziała przy komputerze, spytałam, czy kiedykolwiek umawiała Emily na wizytę u fryzjera.

– O Boże, śmieszne, że o to pytasz. Dopiero w ciągu ostatnich paru miesięcy. Trzeba ci było widzieć ją wcześniej. Absolutnie bezbarwna kobieta. Bez wyrazu. Nie wyobrażałam jej sobie jako blondynki, ale zaczęła wyglądać naprawdę świetnie.

– Nowy facet czy coś takiego?

– Nie wiem. Emily niewiele mówiła o sobie. Towarzysko bardzo, bardzo, bardzo nieśmiała.

– A potrafiła mówić o sprawach bankowych?

– O tak. Pewnie. Była... zapomniałam to słowo, naprawdę bardzo dobra w tym, co robi. Robiła. Przepraszam.

– Słyszałam, że była blisko z Richardem Greyem – powiedziałam.

– Nie wiem, czy była blisko. On jest zaręczony.

– Miałam na myśli w interesach.

– Ach, pewnie, pan Grey miał do niej bezgraniczne zaufanie. Gdy nie wróciła... Wręcz nie mógł sobie miejsca znaleźć, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

– Aha. A ten jej fryzjer?

– Mane Magie. – Przeliterowała mi nazwę. I podała numer telefonu.

– A przy okazji, tak z ciekawości. Czy Emily była chorowita czy wątła? A może silna?

– Nigdy nie opuściła ani jednego dnia pracy.

– Tak właśnie słyszałam.

– Ale wyglądała, jakby mógł ją przewrócić najmniejszy powiew wiatru. Gdy Lalus Phil zadzwonił z nazwiskami księgowego, ginekologa i dentysty Courtney, chciał się dowiedzieć, po co są mi potrzebne. Greg też był ciekaw.

– Greg już o mnie wie? – spytałam.

– Słuchaj, pani doktor kochana, zadaję mu mnóstwo pytań, nie? Musi więc wiedzieć, że kazałem komuś zbadać sprawy, ale nie wie, że to ty. Czemu pytasz o jej ginekologa, dentystę i księgowego?

– Bez powodu. Chyba jak tonący, chwytam się brzytwy, Phil.

– Wiesz, to strasznie głupie powiedzenie „chwycić się brzytwy”. Nie żebym miał do ciebie pretensje. Ale kto, do diabła, wymyślił coś tak idiotycznego?

– Zabij mnie, nie wiem. – Zapiisałam nazwiska i obiecałam, że się do niego odezwę.

W Shorehaven dentystą Courtney był lekarz stomatolog Winslow Gaines. Jak przez mgłę pamiętałam, że słyszałam jego nazwisko od Nancy. Zakładając, że Gaines jedno pokolenie wstecz nie nazywał się Ginsberg i rozważając przynależność Millerów do określonej parafii i członkostwo Larry’ego w klubach żeglarskich i sportowych, doszłam do wniosku, że Nancy, ze wszystkich moich przyjaciółek, miała największą szansę znać Winslowa Gainesa. Zadzwoniłam więc do niej do redakcji „Newsday”. Najpierw dałyśmy upust naszym uczuciom w kwestii paskudnych ataków czterdziestu mężczyzn na kobiety i dziewczęta w

Central Parku i umówiliśmy się na kolację jeszcze tego wieczoru. Potem przeszliśmy do Winslowa. Nancy nie tylko знаła Wina, członka klubu żeglarskiego w North Bay, ale wręcz, he, he, znała go bliżej mniej więcej dziesięć lat temu. Czy nigdy o nim nie wspominała? Znajomość trwała niecały miesiąc z powodu jego upodobania do stomatologicznych dowcipów. Bez zbędnych ceregieli powiedziała: „Dobrze, zadzwonię do niego, na pewno się ucieszy, gdy się odezwę”. Jak zawsze w przypadku Nancy po prostu nie umiałam sobie wyobrazić amerykańskiego dzieciństwa i wieku dojrzewania, które mogłyby być źródłem tak ostentacyjnej pewności siebie. Gdybym miała kapelusz, tobym go przed nią zdjęła. Tak czy owak, kazała mi spotkać się z nią w jego gabinecie około szóstej. Spytałam, czy nie chciałaby najpierw uzgodnić z nim terminu. Odpowiedziała, bym dała spokój.

Jak na mężczyznę po sześćdziesiątce Winslow Gaines był całkiem postawny. W białej tunice, wysoki, szeroki w ramionach, z dołkiem w brodzie i jasnobrązowymi włosami o posiwiałych skroniach, był przystojny jak gwiazdor z opery mydlanej. Wydawał się całkiem przyjacielski, choć trudno było zwrócić jego uwagę, bo co i rusz kierował jąna Nancy, która, jak zauważyłam, przebrała się z koszuli i spodni, które zwykle nosiła do pracy, w sukienkę z beżowego lnu, lekko odsłaniającą ramiona i mocno nogi.

– Ostatnia wizyta Courtney? – rzucił, siadając do komputera przy biurku w recepcji. Personel już wyszedł. Poczekalnia, udekorowana zdjęciami jachtów, z rozrzuconymi na stoliku magazynami o żeglarskim i broszurami *Co nowego w kwestii wybielania zębów*, była pusta. Dentysta nie był urodzonym komputerowcem, więc powoli stuknął w klawiaturę dwoma palcami. Nancy stała za nim, poufale opierając mu dłonie na ramionach i przewracała oczami, że on tak się grzebie. Gdy jednak odwrócił się, by na nią zerknąć, obdarzyła go prowokacyjnym uśmiechem. – Popatrzmy – mruknął. Stuknął jeszcze kilka razy w klawisze i odwrócił się do mnie na obrotowym krześle. – Dlaczego dentysta ma katar? – spytał.

– Nie wiem – powiedziałam.

– Bo się przeziębził.

Parsknęłam śmiechem wraz z nim, a Nancy powiedziała:

– Och, Win, daj spokój. Szukamy danych Courtney Logan. W końcu wskazał na ekran.

– O, jest! Po raz ostatni przyszła dwudziestego szóstego października 1999. Narzekała na ból zęba, ale okazało się, że to tylko nadwrażliwość dziąseł. Pamiętam, mówiłem jej, że higiena jej jamy ustnej pozostawia wiele do życzenia i jeśli się nie poprawi, to skończy się na poważnej chorobie dziąseł.

– Pokręcił ze smutkiem głową. – Wiesz, po tym jak zniknęła, po całej tej aferze później, gdy ją znaleźli... Przypominają się takie rzeczy. Bardzo miła kobieta.

– A jak tam jej zęby? – spytałam.

– Całkiem niezłe. Ale jak większość ludzi z dobrymi zębami, myślała, że wszystko będzie w porządku wiecznie. Higiena jamy ustnej nie była dla niej szczególnie ważna. Tak nie można.

– W mniej więcej tym samym czasie mógł przyjść jeszcze ktoś inny, prawdopodobnie nowa pacjentka – powiedziałam. – Niewysoka jak Courtney. Włosy ciemny blond, z jasnymi pasemkami, dosyć nieśmiała i spokojna.

– Wiesz, jak się nazywa? – spytał. Zasugerowałam „Emily Chavarria”, „Vanessa Russell” i „Samantha R. Corby”. Wpisał je do komputera, ale nie zostały odnalezione w bazie danych.

– Spróbuj po datach – zasugerowała Nancy. Gdy odwrócił się do niej ze zdumioną miną, zgoniła go z krzesła, sama usiadła i zaczęła stukać w klawisze.

– Dlaczego dentysta rozstał się z żoną? – spytał mnie. Opierał się o ścianę z rękami skrzyżowanymi na piersi i wyglądał dosyć niestosownie, jak lowelas.

– Poddaję się.

– Cicho! – powiedziała Nancy. – Co to znaczy „NP”? Nowy pacjent? – Win kiwnął głową. – W październiku było siedmiu nowych pacjentów. Popatrz na ich nazwiska – rozkazała.

Szepnął:

– Bo była oziębła. – Mrugnął do mnie i pochylił się ku Nancy tak, że policzkiem dotykał jej twarzy. Wskazał na kolumnę „wiek” i natychmiast wyeliminował cztery osoby, ponieważ były to dzieci. W pozostałych trzech były dwie kobiety, w tym jedna w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat.

Ta druga miała dwadzieścia osiem.

– Polly Hastings – odczytała Nancy. – Jak dla mnie wygląda na fałszywe nazwisko. Win, pamiętasz Polly?

– Raczej nie.

– Dwadzieścia osiem lat, kochanie. Chyba musisz coś sobie przypominać.

– Z niczym mi się nie kojarzy – odparł.

– Spójrz! Przyszła z wizytą dwudziestego szóstego października! – zawołała Nancy.

– O której? – spytałam.

– O drugiej.

– A Courtney?

– Kwadrans później.

– O mój Boże! – powiedziałam. – Mogła na chwilę dorwać dokumentację Emily. Wystarczyło, że weszła do gabinetu, w którym siedziała Emily, by się przywitać.

– Albo gdy zdjęcia się suszyły – wtrąciła Nancy.

– O co chodzi? – spytał Win. – Kto to jest Emily?

– Albo wymyśliła sposób, by dostać się do pomieszczenia z kartoteką – powiedziała Nancy.

– Pacjenci nie mają dostępu do kartoteki – zaprotestował Win. Wydawał się mocno skonsternowany i zaniepokojony, mimo to nadal wyglądał atrakcyjnie. – Ta nowa pacjentka przyszła tylko na kontrolę. Wendy wyczyściła jej zęby i zrobiła zdjęcia rentgenowskie. – Wyjęłam zdjęcie Emily Chavarria, które ściągnęłam z internetu, i wysłałam emailem do Steffi. Przyjrzał mu się i potrząsnął piękną głową. – Cóż, nie jest specjalnie, hm, warta zapamiętania, prawda? Chociaż może to nie najlepsze zdjęcie.

– Spróbuj ją sobie wyobrazić nieźle odstawioną – zasugerowałam. – Dłuższe, jaśniejsze włosy. Makijaż. Wydaje ci się znajoma? – spytałam.

– Przepraszam, absolutnie sobie nie przypominam.

– No to przynajmniej daj nam kopię jej zdjęć rentgenowskich – podsunęła Nancy.

Już miał chyba powiedzieć coś o tajemnicy lekarskiej i poufności danych pacjenta, gdy Nancy wzięła go za rękę i pociągnęła w głąb recepcji. Uznałam, że idzie z nim do pomieszczenia z kartoteką, albo (jeśli miły doktor Gaines miałby jeszcze jakieś opory) do jednego z gabinetów na kilka czarownych chwil na fotelu. By czymś się zająć, usiadłam przy komputerze. Udało mi się znaleźć dane Courtney. Najwyraźniej w dobrym zdrowiu. Żadnych alergii. W ciągu czterech lat, gdy była pacjentką, tylko kontrole, prześwietlenia, czyszczenie zębów co sześć miesięcy, regularnie jak w zegarku i chyba jakiś taki dopasowany do szczęki gadżet, służący do wybielania zębów.

– Nie chcę nawet pytać, dlaczego trwało to tak długo – powiedziałam później do Nancy.

– To nie pytaj.

– Dobra.

Siedziałyśmy w doku i przyglądałyśmy się, jak powoli kończy się dzień. Za chwilę miałyśmy pójść na kolację, mewy też uwijały się przy swoim wieczornym posiłku. Wzlatywały w górę, szybowały z wiatrem i spadały w wodę po przekąskę.

– Roztaczałam wszystkie moje uroki, by wydobyć od niego te zdjęcia. Wiesz, co mi się przy okazji dostało od Wina? – spytała.

– Mam nadzieję, że nic, co wymagałoby leczenia.

– Nie sądzę. Usłyszałam: „Dlaczego na spotkaniu na szczycie należy zabierać dentystę?” Nie próbuj zgadywać. „By stosunki nie oziębły”. Ten facet po prostu nie może się powstrzymać. A jego żona. Widuję ją w klubie i zawsze wygląda na rozkojarzoną. Pewnie przekłuła sobie błonę bębenkową, by nie słuchać. Hm, w każdym razie... – pomachała szarą kopertą. – Mamy zdjęcia rentgenowskie Polly Hastings. Co z nimi zrobisz?

– Jeśli przysięgnie, że odda, albo zrobi dla mnie kopię, to dam je Nelsonowi, by sprawdził, czy pasują do dokumentacji Courtney u dentysty, który leczył ją w dzieciństwie w Olympii, w stanie Waszyngton. Założę się, że będą pasować, bo Courtney zamieniła zdjęcia swoje ze zdjęciami Emily. Jeśli Nelson nie da rady tego ustalić, dam je Lalusiowi Philowi i może Greg albo jego adwokat zdołają coś wyciągnąć od tego dentysty ze stanu Waszyngton.

– Niech to sobie ułożę. To nie są zęby Polly – wycodziła Nancy. – To znaczy Emily. To te, o których mówiłaś, po sprytnym podmianie, więc faktycznie należą do Courtney Logan. Tak?

– Tak. Jeśli nie, to robię z siebie straszliwą idiotkę. – Jej milczenie było aż nadto wymowne. – Nan, nie chcę przed nim wyjść na idiotkę.

– Nadal ten sam ogień?

– Nadal. I nie tylko ogień. Ja go kocham.

Przyglądałyśmy się, jak hen, daleko, w zatoce, ryba samogłów wyskakuje ze smugi piany pozostawionej przez dużą żaglówkę.

– To strasznie dziwny związek.

– Nancy, miłość do mężczyzny nie jest niczym dziwnym. Można by powiedzieć, że przespanie się z tyloma mężczyznami, że przestałaś liczyć, bo nie pamiętasz, czy to siedemdziesiąty pierwszy czy siedemdziesiąty drugi, jest nieco osobliwe.

– To nie jest osobliwe – odparła Nancy z pewną urazą w głosie. – Tylko rozwiążcie. A co nasz pan w mundurze powiedział o swojej żonie?

– Nie chciałam o niej rozmawiać.

– Dlaczego nie? Boisz się usłyszeć, że z nią zostaje? Oczywiście, choć nie powiedziałam tego na głos.

Następnego ranka, by oderwać się od Nelsona i kapitana Sharpe'a, którzy wywierali na moje życie nadmierny wpływ, wsiałam do samolotu odlatującego z lotniska La Guardia i poleciałam do Salt Lake City. Wczesnym popołudniem, według czasu Idaho, siedziałam w bardzo małym samolocie, pilotowanym przez stanowczo zbyt młodą kobietę, lecącym nad Górami Skalistymi. Wylądował w Hailey. Piętnaście kilometrów od Sun Valley. I dziesięć kilometrów od Wiggins, gdzie znalazłam domek wynajęty przez Samanthę R. Corby.

Rozdział 18

W czwartej agencji nieruchomości usłyszałam, że tak, wynajmowali dom Samancie Corby. Ale ona już dawno wyjechała.

– O Boże, wyjechała... Czy dobrze mi się wydaje, że coś koło Bożego Narodzenia? Jeśli w ogóle myślę o właściwej osobie. Rozumiesz, że w tej branży nie można liczyć na długotrwałe związki. Mam na myśli, w sensie wynajmu. – Doreen Brinkerhoff, agentka zajmująca się wynajmowaniem umeblowanych domków na osiedlu Knob Ridge Villas w Wiggins, stała obok szafy z aktami. Wbiła palec z rubinowym paznokciem w masę skłębionych, czarnych, długich do ramion loków i podrapała się w głowę. – A nawet w sensie kupna. Zwykle jest to inwestycja w nieruchomość, więc rzadko się ich widuje. – Zapewne nieco po czterdziestce, Doreen miała jędrne ciało i mocno opaloną skórę, w kolorze i fakturze przypominającą liść tytoniu na cygarze.

– Poczekaj, zajrzę jeszcze w jedno miejsce. – Wsunęła szufladę i mimo króciutkiej spódniczki i sandałów na koturnie przykucnęła, by zajrzeć do najniższej szuflady. Zrobiła na mnie wrażenie kobiety, której życie dostarczyło aż nadto powodów, by być cyniczną, a jednak jej twarz o ostrych rysach wyglądała życzliwie.

Wyjęłam zdjęcia Courtney, które ściągnęłam z internetu i dostałam od Lalusia Phila i pochyliłam się, by mogła je zobaczyć. Nie odważyłam się kucnąć, bo nie robię tego z zasady, a tym bardziej nie po tylu godzinach spędzonych w ciasnym samolocie. Dałam Doreen do wyboru Courtney w stroju tenisowym i ślubnym, Courtney w roli mamy z małą Morgan w ramionach i Courtney w kuchni z plackiem na kruchym spodzie w rękach.

– Czy ta osoba choć trochę przypomina kobietę, o której myślisz, że mogłaby być Samantha? – spytałam.

Jej turkusowe oczy, które kolor, jak podejrzewam, zawdzięczały nie naturze, tylko szkłom kontaktowym, przesunęły się po zdjęciach.

– Zdaje mi się... , że to... możliwe. Widziałam ją tylko jeden raz. – Wróciła do szuflady, która była tak wypchana teczkami, że chyba nic nie dałoby się w niej znaleźć.

– Dlaczego się wahasz? – spytałam.

– Szczerze? Nie pamiętam. Może... Krótsze włosy? Młodsza?

– Samantha Corby wyglądała młodziej niż ta kobieta?

– Chyba tak. Boże, jeśli miałabyś na mnie polegać, to przykro mi to mówić. .. Znalazłabyś się po szyję, wiesz w czym. Och, słuchaj! Zrób coś dla mnie. Widzisz ten napis „2SYP’99”? To domki z dwiema sypialniami wynajmowane w 1999. Wyciągnij to dla mnie. Ja dziś rano zrobiłam sobie paznokcie. – Musiałam się zdrowo naszarpać, ale w końcu udało mi się wyciągnąć gruby segregator. – Zależnie od pory roku i tego, jak idą interesy, czasami wynajmujemy nawet tylko na tydzień – powiedziała Doreen. – Stąd te grube akta. – Wstała szybko i zaczęła przerzucać kartki. – Jest! Alleluja! Popatrz, Judy. Samantha wynajęła aż do trzydziestego pierwszego grudnia, ale wyjechała już dwudziestego pierwszego. – Już dawno dałam sobie spokój z poprawianiem „Judy” na „Judith” u osób, z którymi raczej nie miałam

szansy się zaprzyjaźnić.

– Czy wiadomo może, dlaczego wyjechała wcześniej? – spytałam. Doreen pokręciła głową. – Okej, najważniejsze pytanie: czy zostawiła swój nowy adres?

– Hm... Nie. Tu jest napisane... – wyjęła kartkę z teczki i podała mi. Szkolnym, wyraźnym pismem ktoś zanotował: „Zadzwoń odnośnie do kaucji”.

Doreen mnie nie powstrzymywała, więc odwróciłam kartkę. Papier drżał. Trzęsły mi się ręce. Z tyłu była kserokopia czeku z banku Key Biscayne Bank & Trust, wystawionego przez Samanthę R. Corby na rzecz Wiggins Way Nieruchomości. A także prawo jazdy wydane na Florydzie. Ze zdjęciem.

Tu, w górach, dzień był chłodny, z otwartego okna zawiewał zimny wiaterek, ale zaczęłam się pocić. Wytarłam twarz chusteczką podaną przez Doreen, wyjęłam okulary i spojrzałam na twarz sfotografowaną *en face*. Nie potrafiłam ocenić, czy to Courtney. Było pewne podobieństwo, to fakt, ale jasne poprzednio włosy teraz były ciemnoblonde albo jasno brązowe, na ile można stwierdzić z biało-czarnej kserokopii. Były krótsze i podwijały się pod brodę. Odkryte poprzednio czoło teraz zasłaniała wystrzępiona grzywka. To mogła być Courtney. Albo jej młodsza, mniej atrakcyjna siostra, gdyby ją miała. Albo ktoś zupełnie niespokrewniony. Spisałam adres Samanthy w Key Biscayne, jej wzrost, metr pięćdziesiąt osiem i datę urodzenia, 08-04-71. Na dole prawa jazdy zaznaczono, że Samantha, wrażliwa duszyczka, zgadzała się być dawcą organów.

– Chcesz to dokądś wysłać faksem? – spytała Doreen. – Możesz skorzystać z mojego.

Przefaksowałam kopie obu stron tej kartki do siebie do domu i do domu Nancy, na wypadek gdybym potrzebowała przesłać to gdzieś dalej, zanim wrócę do domu.

– To naprawdę bardzo miłe z twojej strony – powiedziałam.

– Drobiazg. Nic się akurat nie dzieje, a poza tym to bardzo ekscytujące, że detektyw...

– Ja tylko zbieram dane.

– Och, Judy, daj spokój!

Kiwnęłam głową, akceptując jej znaczący uśmiech.

– Słuchaj, Doreen, skoro akurat nic się nie dzieje, może mogłabyś sprawdzić czy ten domek, który ona wynajmowała, jest teraz zajęty?

– Pewnie. Ale od chwili jej wyjazdu do tej pory mieszkało tam pięć, dziesięć, może nawet piętnaście osób. – Doreen chyba myślała, że mam jakiś ukryty, detektywistyczny cel, na przykład zdjęcie odcisków palców, albo poszukiwanie pieniędzy pod podłogą. Widziałam, że ta myśl bardzo ją ekscytuje, więc nie wyprowadzałam jej z błędu. Podeszła do komputera i wpisała adres. – Przykro mi, dom wynajęto na całe lato. Słuchaj, a może pokażę ci, gdzie to jest? To krótki spacer. A jeśli nie powiesz, że to ja cię przysłałam, mogłabyś zastukać do drzwi tu i tam.

Powinno mi być łatwiej się zorientować po muskularnych łydkach Doreen, że dla niej krótki spacer oznacza przynajmniej trzy kilometry. Po piętnastu minutach marszu sprężystym krokiem, na wysokości ponad tysiąca pięciuset metrów nad poziomem morza, byłam pewna, że zemdleję, albo co najmniej zasłabnę. Kwestia nie tylko w wysokości. Czułam się kompletnie oderwana od wszystkiego i wszystkich, których znałam. Jakbym weszła w inne

życie. Życie osoby, której praca polegała na dopadnięciu kobiety, podającej się za Samanthę Corby.

Okolica była jednak piękna. Bezchmurne niebo miało odcień jaskrawego błękitu, jakiego nigdy dotąd nie widziałam. Fioletowe góry wznosiły się majestatycznie na obrzeżach Wiggins. Powstrzymałam się jednak od nucenia ulubionego bluesa, bo z tego, co się zorientowałam, nie tylko było to chyba najbardziej białe miasto Ameryki, ale także bardzo dumne z tego wyróżnienia.

Gdy dotarliśmy na drugi koniec Wiggins, Doreen powiedziała:

– Słuchaj, Judy, tak między nami. Słowo harcerki? Przy kimś tak porządnym jak Samantha Corby, której bank zapewnia, że czek ma pokrycie, czasami nie zawracamy sobie głowy referencjami, zwłaszcza w momencie, gdy jesteśmy pod ścianą, tak jak w listopadzie, gdy zdecydowała się wynająć.

– Teraz, gdy o tym wspomniałaś, widzę, że masz rację – rzuciłam. – Nie zauważyłam żadnych referencji na tej kartce, którą mi pokazałaś.

– To dlatego, że ktokolwiek pokazywał jej domek, pewnie o nie nie poprosił. W końcu tutaj to przecież nie Nowy Jork, bez obrazy. – Zanim się pożegnałyśmy, podałam Doreen swój numer telefonu, choć obie zgodziłyśmy się, że jeśli Samantha od grudnia nie zadzwoniła w sprawie kaucji, to raczej mało prawdopodobne, że zadzwoni teraz.

Knob Ridge Villas to był szereg płaskich, białawych piętrowych domków z szarymi dachami, nic nadzwyczajnego, poza tym że pewnie na tle śniegu nie było ich widać. W czerwcu wyglądały po prostu nieciekawie. Nie wyobrażałam sobie, by królowa torebek od Vuittona, pani z land roverem, dama w kreacjach Armaniego mogła zamieszkać w willi na osiedlu Knob Ridge. Z drugiej strony jeśli wiele miesięcy temu Courtney planowała zniknąć, a nie chciała ukrywać się w przyczepie na jakimś obskurnym polu kempingowym w Południowej Dakocie, jeśli chciała jeździć na nartach czy wypić przyzwoite martini, być zaledwie kilka kilometrów od makaronu al dente i eleganckich mężczyzn, to tutaj była na właściwym miejscu.

Było już późne popołudnie, zaczynało się robić zimno. Ziewnęłam. Ale ponieważ nie wynajęłam samochodu, a chciałam wrócić do Wiggins Inn z poczuciem, że coś osiągnęłam, zaczęłam stukać mosiężnymi kołatkami do drzwi willi w Knob Ridge. Większość domków sprawiała wrażenie uspiomych, jak to w kurorcie poza sezonem, gdy skończy się śnieg, a napływ letnich turystów jeszcze się zaczął. Tylko cztery osoby otworzyły drzwi, choć zorientowałam się, że w jeszcze kilku domach ktoś był. Z tej czwórki dwie wynajmowały od końca kwietnia, gdy skończył się sezon narciarski.

H. Jurgen otworzyła drzwi na szerokość dziesięciu centymetrów, przytrzymując je nogą w bucie do wspinaczki, na wypadek gdybym próbowała wedrzeć się do środka siłą. Nie, nie miała pojęcia, dokąd Samantha się wyprowadziła. Parę razy jechały razem na wyciągu. Prawie nie знаła tej kobiety. Spojrzała na dwie fotografie Courtney, potem na mnie, pokręciła głową i bez słowa zamknęła drzwi. Usłyszałam, jak zamyka je na zasuwę.

Sąsiad H. , Victor Plummer, był chudym mężczyzną po siedemdziesiątce, z kilkoma kępkami białych włosów na głowie. Mieszkał o dwa domki dalej od tego, który wynajmowała

Courtney. Wprawdzie nie był dżentelmenem starej daty, ale zachowywał się odrobinę grzeczniej. On też nie wiedział, dokąd wyjechała Samantha, ale jego zdaniem to była miła dziewczyna. Słyszał dochodzącą z jej domu muzykę Vivaldiego, i to bynajmniej nie *Cztery pory roku*. Obejrzał wszystkie fotografie.

– Czy ta kobieta mogła być Samantha Corby? – spytałam.

– Trudno powiedzieć – odparł. Na jego wychudłej twarzy widziałam ślady dawnej urody, trochę jak na fotografiach Franklina D. Roosevelta z Jałty, choć trzeba by było wyobrazić sobie Roosevelta z głęboką opalenizną i w koszulce drużyny koszykówki z Denver. – Kto to? – spytał, wskazując zdjęcie palcem pokręconym artretyzmem.

Już niemal uznałam go za miłego, choć może trochę szorstkiego.

– To kobieta, która nazywa się Courtney Logan. Zaginęła...

– O co chodzi? – spytał ze złością. – Nie mam czasu na żadne bzdury.

– Panie Plummer, proszę posłuchać, rodzina bardzo się o nią niepokoi. – Wyciągnęłam notes i pospiesznie napisałam swoje nazwisko i numer telefonu. – Proszę, jeśli coś pan sobie przypomni o Samancie, albo coś pan usłyszy na jej temat, byłabym wdzięczna, ta rodzina również, gdyby zadzwonił pan do mnie na mój koszt. – On również zamknął mi drzwi przed nosem, ale przedtem chwycił podaną mu kartkę.

Gdy dotarłam do Wiggins Inn, trzęsłam się z zimna. Byłam wyczerpana. Długi dzień, zupełnie bez pożytku. W hotelu nie można było zamówić posiłku do pokoju. Zjadłam więc talerz całkiem niezłej zupy grzybowej oraz kanapkę i położyłam się spać.

W materacu na łóżku w moim pokoju poprzedni goście wygnietli dołek. Wiem, że spałam, bo otworzyłam oczy i ze zdumieniem zorientowałam się, że jest rano, ale miałam wrażenie, że przez całą noc nie zmrużyłam oka. Myślałam o tym, jaka jestem głupia, że za własne pieniądze poleciałam na drugi koniec kraju, by przekonać się, że Courtney Logan nie ma już w Wiggins, choć przecież wiedziałam o tym, jeszcze zanim wyszłam z domu, by pojechać na lotnisko. Czy mogła się przeprowadzić w inny rejon Sun Valley i mieszkać tu pod zmienionym nazwiskiem? A jeśli opuściła okolicę, to dokąd mogła się udać? Z powrotem do Waszyngtonu? Do jakiegoś innego kraju? Ile pieniędzy mogła zainwestować w swoje zniknięcie? I oczywiście, co będzie jeśli nic z tego nie wyniknie i okaże się, że goniłam za cieniem, jak to przewidywał Laluś Phil?

Przez pierwszą część drogi powrotnej skończyłam czytać książkę o Trumanie, a potem zasnąłam gdzieś tam nad Sioux City w stanie Iowa i spałam aż do Nowego Jorku. Gdy dotarłam do domu, czekały na mnie trzy wiadomości. Jedna od Nancy: „Zakładam, że albo szusujesz po górach z dupkiem o imieniu Chet, albo wróciłaś po cichu i pieprzysz się jak szalona z tym gliniarzem, który w końcu złamie ci serce, ty zadurzona, romantyczna idiotko. W każdym razie byłabym wdzięczna za telefon, żeby wiedzieć, jak poszło”. To znaczyło, że się niepokoiła, zwłaszcza że otrzymała faks z nazwiskiem i zdjęciem Samantha na prawie jazdy. Zadzwoniłam do niej i powiedziałam, że może i jestem zadurzona, ale nie jestem idiotką, ani romantyczną, ani jakkolwiek inną.

– Och, daj spokój! – westchnęła długo i gardłowo. – Równie dobrze mogłabyś nosić kostium trefnisia. W każdym razie przysłała mi do głowy pewna myśl.

– Czyż może być coś cudowniejszego? Pamiętasz ją jeszcze?

– Myślałam o tym, jak Courtney, czy raczej ta mała myszka, zginęła. Tylko dlatego, że znaleziono ją w basenie, można by pomyśleć, że się utopiła.

– A faktycznie została zastrzelona – zauważyłam.

– Tak, dwiema kulami. Im więcej o tym myślę, tym bardziej przypomina mi się rzucona kiedyś mimochodem przez ciebie albo przeze mnie uwaga, że ten drugi strzał był na wszelki wypadek. I pomyślałam, bo przecież jestem kobietą myślącą, do diabła, czy to nie pasuje do wszystkiego, co mi powiedziałaś o Courtney Logan?

– To znaczy?

– Skrupulatna i dokładna. Te klosiki, dekoracje, wszystko dopracowane. Wystarczyłby jeden strzał w głowę. No dobra, gdyby to był Lulu Phil albo któryś z jego koleśków, mógłby pomyśleć coś w stylu: pamiętasz jak w 1977 roku Vinnie Sęp został postrzelony w głowę, a mimo to, śliniąc się, zdołał wycedzić nazwisko napastnika? Ale gdybym to ja miała kogoś zabić strzałem w głowę... Judith, raz stanowczo wystarczy, zwłaszcza jeśli potem wsadzisz ciało do basenu, twarzą do dołu i porządnie umocujesz pokrywę.

– To rzeczywiście pasuje do jej charakteru – zgodziłam się.

– Więc idąc za tą myślą, wykorzystując czas i pieniądze „Newsday”, zadzwoniłam do liceum Summit w Olympii i kompletnie oczarowałam zastępcę kierownika. Podreptał dla mnie do archiwum i odnalazł kronikę – prawda, jaka byłam sprytna? – roku, w którym Courtney skończyła liceum.

– I? – spytałam.

– Bardzo, bardzo, bardzo aktywna ta nasza dziewczuszka, wiele nagród, jak sobie pewnie wyobrażasz. Włącznie z tytułem Mistrza Celności w NRA* [NRA (am.) – National Rifle Association (przyp. tłum.)], chodzi o Krajowy Związek Strzelecki, po kursie dla zaawansowanych. Nie mówię, że trzeba być Mistrzem Celności, by strzelić komuś w głowę z bliskiej odległości.

– No pewnie.

– Ale to wskazuje na pewien stopień swobody w posługiwaniu się bronią, gdyby przyszło pociągnąć za spust.

– O rany, dziękuję. Jestem ci naprawdę wdzięczna...

– Judith, nie szalej jeszcze z podziękowaniami. To nie wszystko. Nie udało mi się nic wyciągnąć od starej hetery w szkole Emily w Oklahomie. Ale zadzwoniłam do matki, choć nie jest to najsympatyczniejsza osoba w Ameryce. Udało się jej jednak złożyć do kupy kilka słów i powiedzieć mi, że Emily, cytuję: „Nigdy nie dotykała się broni”.

Przypomniałam sobie słowa Zee Friedman o usłyszonej rozmowie telefonicznej Courtney, na tydzień przed jej zniknięciem. Courtney powiedziała: „A twoja obietnica?” Zdaniem Zee zabrzmiało to desperacko. Czy dzwoniła Emily i doprowadziła Courtney do ostateczności?

Po wiadomości Nancy były jeszcze dwie od Nelsona: „Dzwonię tylko, by się przywitać. A przy okazji, dowiedziałem się czegoś ciekawego o tej babce z twojej okolicy. Zadzwoń do mnie do pracy, a jeśli mnie nie będzie, zostaw wiadomość”. W drugiej wiadomości wyczułam w jego głosie niepokój, bo starał się brzmieć obojętnie: „Hej, mam nadzieję, że się dobrze bawisz. Pracuję do późna, więc skontaktuj się ze mną na pager, jak tylko wrócisz”.

Wysłałam wiadomość na pager, a potem zabrałam telefon bezprzewodowy, postawiłam go na brzegu wanny i zanurzyłam się w gorącej kąpieli, gdzie zwykle przychodzą mi do głowy genialne pomysły. Tym razem było ich niewiele. No tak, sprawdzę adres w Key Biscayne – czy jest prawdziwy, i czy ktoś nazywający się Samantha R. Corby tam mieszkał i zostawił adres kontaktowy. Oczywiście dam Nelsonowi kopię faksu, by mógł, jeśli zechce, uzyskać nakaz i sprawdzić w Key Biscayne Bank & Trust, czy mają jakieś informacje o Samancie, jakie czeki i gdzie wystawiła, stan konta i tak dalej.

Wiedziałam, że gdyby Courtney popełniła zbrodnię doskonałą, to nigdy nie wpadłabym na to, że ciało w basenie to nie ona, tylko ktoś inny. Jak na zbrodnię, ta była jednak cholernie dobra. Dzięki dopracowaniu na tyle dobra, że zapewniła jej wolność. Szorując pięty pumeksem, uznałam, że mogę już ostatecznie porzucić hipotezę o pogoni za cieniem i zastanawiałam się, od jak dawna Courtney planowała wyrwać się z małżeństwa. Dlaczego nie mogła zwyczajnie powiedzieć Gregowi „dość”? Lub po prostu się ulotnić?

Zgadywałam, że pewnie taki był jej pierwotny plan. Bycie przykładną panią domu, żoną i matką w sumie jej się nie udało. Być może po ostatniej poduszce na kanapę nie zostało już nic do kupienia. Być może Greg, odmawiając otworzenia sklepów Soup Salad Sandwiches na Zachodnim Wybrzeżu udowodnił, że nie jest godzien jej tytanicznych wysiłków. Prawdopodobnie wychowywanie dzieci wydało się jej nie tylko męczące, ale i nudne, co byłoby naturalnym wnioskiem u kogoś, kto nie potrafił kochać.

Ale Courtney, jak to ona, nie mogła znieść myśli o porażce. Nowy Jork okazał się dla niej nie taki znowu przychylny. Najpierw poczucie, że nie dała rady w Patton Giddingsie, potem świadomość, że bycie panią domu nie przynosi pieniędzy i poklasku. Jediną nagrodą jest satysfakcja. Jak mogła się uwolnić? Z Patton Giddingsa mogła odejść lub poczekać, aż podziękują jej za współpracę, w każdym razie miałyby z nimi raz na zawsze spokój.

Ale jeśli rezygnujesz z bycia żoną, to nadal jesteś obciążona byłym mężem, co niemal zawsze stanowi kłopot. I dziećmi! Pozbądź się ich, przekaz Gregowi prawo do opieki nad nimi, jednak nadal masz obowiązek powracać na scenę swojej porażki, by je odwiedzać lub, co gorsza, mieć z nimi do czynienia w swoim nowym życiu. Mało tego, jesteś prawnie zobowiązana łożyć na ich utrzymanie.

A ludzie by się oburzali: „Jak ona mogła?” Gdyby udała się do Sun Valley, Milwaukee czy Pekinu jako Courtney Bryce Logan, ktoś z jej dawnego życia, widząc ją albo słysząc o niej, mógłby powiedzieć komuś w jej nowym życiu: „Wiesz, co ta kobieta zrobiła?” Nie miała więc wyboru, musiała zniknąć, zagać bez śladu. Emily Chavarria była częścią pierwotnego planu lub późniejszą koncepcją, ale w którymś momencie stało się jasne, że Emily, która wiedziała o transakcjach z wykorzystaniem poufnych informacji i Bóg wie o czym jeszcze, nie mogła pozostać przy życiu.

Wyszłam z wanny, otoczona obłokiem zapachu frezji i chwyciłam ręcznik. Jak dobrze mogła się Courtney ukryć? Czytałam niedawno artykuł, że nawet wykorzystując chirurgię plastyczną, nie można zupełnie zmienić wyglądu, do pewnego stopnia zawsze będzie się rozpoznawalnym. Z drugiej strony w ciągu ostatniego roku czy dwóch kilkakrotnie zdarzyło mi się minąć na mieście wieloletnie znajome po, jak to jedna z nich nazwała, „małej

przeróbce” i ich nie poznać. Musiały mnie klepnąć w ramię i powiedzieć: „Judith, to ja”. Karen, Linda czy Jean. Więc kto wie?

Telefon od Nelsona zastał mnie w szafie, gdzie dokonywałam dziejowego wyboru pomiędzy białą i beżową bielizną.

– Gdzie ty byłaś, na litość boską?

Ponieważ nie potrafiłam wymyślić zgrabnej odpowiedzi, która pokazałaby mu, jaką jestem niezależną kobietą, odpowiedziałam:

– W Sun Valley.

Zdecydowałam się na beżową i odsunęłam słuchawkę daleko od ucha, bo wrzasnął:

– Co ty, do diabła, wyprawiasz? – Przy tym kilkakrotnie w coś walnął, mam nadzieję, że w biurko. Bob niemal nigdy nie wrzeszczał, ale potrafił zachować urazę do siódmego pokolenia. Jeśli Nelson nadal miał taki charakter jak przed laty, to gniew szybko mu minie. – A jeśli Courtney by tam była?

– Widzisz? Sam wiesz, że już jej tam nie ma – zauważyłam. – Nie tylko dlatego, że ja żyję. Oboje wiemy, że prawdopodobieństwo, że jej tam nie będzie, wynosiło przynajmniej dziewięćdziesiąt dziewięć procent. W innym wypadku, wierz mi ja bym tam nie pojechała – powiedziałam mu o kserokopii czeku i prawa jazdy Samantha Corby, którą dostałam od Doreen w Wiggins, a także o chłodnym potraktowaniu przez H. i Victora, byłych sąsiadów Samantha. – Teraz ty – rzuciłam. – Wspomniałeś, że dowiedziałeś się czegoś ciekawego.

– Wpadnę do ciebie wkrótce. Żeby zabrać tę kserokopię. – Wróciłam do szafy i wyjęłam czarną bieliznę. Cóż, może i oczywiste posunięcie, ale skuteczne. – Mogę? – spytał, gdy chowałam beżową.

– Pewnie.

– Powiem ci, co ustaliłem, gdy się zobaczymy.

Zbliżał się najdłuższy dzień roku, więc gdy Nelson przyjechał, na dworze było jeszcze jasno. Ustawiłam na trawie wokół patio parę pochodni i zrobiłam sangrię z wina, które zostało sprzed kilku dni, gdy już je powąchałam i oceniłam, że nie zamieniło się w ocet. Zdażyłam wytrzeć ręce po pokrojeniu brzoskwini, gdy wszedł kuchennymi drzwiami.

– Cześć – powiedział i zza pleców wyciągnął ogromny bukiet margerytek, z których kilka wystawało mu ponad ramieniem. Były piękne. Weszliśmy do kuchni i przez kilka minut całowaliśmy się i szukaliśmy odpowiedniego wazonu. Gdy wyszliśmy na zewnątrz, światło dzienne już nieco przygasło i stało się złociste, niemal jedwabiste, jak zwykle o zmierzchu. Usiedliśmy razem na ławeczce i piliśmy sangrię z tej samej szklanki. – Zastanawiałem się, jak podejść do sprawy Courtney – powiedział.

– Chcesz powiedzieć, z jak najlepszym rezultatem dla ciebie.

– I dla ciebie też. Jeśli coś z tego wyjdzie, należy ci się uznanie ze strony twojego przyjaciela.

– Masz na myśli Lalusia?

– Tak. Pozwól więc, że najpierw opowiem ci, co robiłem, gdy ty nie odbierałaś telefonu i nie wiedziałem co... Judith, powinnaś była mi powiedzieć, że jedziesz.

– Hm, czyja wiem – powiedziałam ostrożnie. – Ale to temat, na który porozmawiamy

kiedy indziej – zdusiłam w sobie „Jeśli chcesz, żeby był następny raz i nie przyszedłeś się pożegnać”.

– Mówiłem ci, że nie jestem gotów pójść do zwierzchników i poruszyć kwestii badania DNA. Jeśli nie będę miał niczego konkretnego, to w ogóle nie mogę do nich uderzać.

– A gdybym ci powiedziała, że mam dokumentację dentystyczną Courtney od jej stomatologa tu na miejscu?

– Niemożliwe.

– Możliwe.

– Jak? Skąd?

– Zdobyła ją dla mnie moja przyjaciółka Nancy. Dentysta był kiedyś jej kochankiem, ale też kto nim nie był?

– Ja nie.

Spędziliśmy minutę czy coś koło tego, pijąc sangrię i całując się, po czym wróciliśmy do sprawy.

– Więc co zrobisz? – spytałam.

– Chcesz powiedzieć, co zrobiłem. Pomyślałem, by zadzwonić do rodziców Courtney w stanie Waszyngton, pod pretekstem, że potrzebuję jej dokumentacji dentystycznej w śledztwie i nie chcę tracić czasu na staranie się o nakaz.

– Ile trwa uzyskanie nakazu?

– W biurze prokuratora rejonowego dla celów dochodzenia? Kilka minut. Ale potem pomyślałem, nie, oni pewnie mają kontakt z kimś z wydziału zabójstw. Mogą zadzwonić i sprawdzić, kim ja jestem. Zresztą kto wie, jakim dzieckiem była Courtney? Może jej rodzice wiedzą o niej różne niemiłe rzeczy, których nie wie nikt inny. Mogą mieć dość przytomności umysłu i doświadczenia, by zanim cokolwiek zrobią, zadzwonić do adwokata.

– Więc co wymyśliłeś?

– Zadzwoniłem do domu Emily Chavarria. Odebrał ojciec...

– Mam nadzieję, że z nim poszło lepiej niż z matką.

– Wydaje się przyzwoitym gościem, który przeżył piekło. W każdym razie złożyłem wyrazy współczucia i powiedziałem, że absolutnie nie chcę go przerazić, ale gdyby mógł poprosić dentystę Emily tam u nich w Oklahomie, by przesłał mi jej dokumentację stomatologiczną i zdjęcia rentgenowskie, to pomogłoby nam wyeliminować Emily w jednej ze spraw.

– I?

– I dostałem je dziś rano.

– I?

– Zaniósłem je świetnemu gościowi z biura koronera, którego znam od wielu lat i poprosiłem o nieoficjalną opinię – czekałam. – Judith, te zdjęcia pasują do zębów ciała z basenu Loganów.

To tylko skutek ulgi, zbyt wielu nasączonych sangrią kawałków brzoskwini i jabłek i różnicy czasu z Idaho, ale oddałam Nelsonowi szklankę i zamknęłam oczy, zbyt wyczerpana, by powiedzieć coś więcej niż „Gratuluję”. Usłyszałam stuk szklanki odstawianej na ziemię.

Oparłam się o niego, a Nelson głaskał mnie po włosach, co, jak odkrył już wiele lat temu, było jedynym sposobem, by przywrócić mnie do życia, gdy byłam bliska zaśnięcia.

– Co teraz? – spytałam w końcu.

– Teraz pójdę do zwierzchników i powiem im, czego się dowiedziałem. Wspomnę też, że słyszałem plotki, jakoby adwokat Grega Logana miał pewne wątpliwości co do tożsamości denatki. A na wypadek, gdyby im to nie przyszło do głowy, bardzo delikatnie zasugeruję, że ktoś w tej sprawie myślał dupą, a nie głową, bo w ogóle nie zrobiono badania DNA.

– No i wreszcie je zrobią! – zawołałam z entuzjazmem.

– Nie. Nie od razu. Najpierw zaczekają dzień czy dwa, dopóki nie wykombinują, jak sobie osłonić tyłki. A może zaczną się pieniść i spróbują się mnie pozbyć. Więc byłbym ci wdzięczny... Cholera, przepraszam, że tak stawiam sprawę. Ale jeśli dasz Lalusiowi znać, że masz wątpliwości, czy to jest ciało Courtney, że może to być ktoś, kto nie miał nic wspólnego z Gregiem Loganem, to w poniedziałek, o siódmej rano w całym hrabstwie Nassau będzie słychać wrzask adwokata Grega, żądającego badania DNA.

Nieco później uświadomiłam sobie, że jeśli zrobię i/lub zjem kolację, to chyba umrę ze zmęczenia. Powiedziałam Nelsonowi, by sobie poszedł, że muszę iść się położyć. Chociaż byłam pewna, że od razu zasnę, tym razem wszedł ze mną na górę, zaprowadził do głównej sypialni i został godzinę. Nie nawiedził nas duch Boba, by zatruć nam miłosne zbliżenie, nie powstrzymała nas myśl o małżeństwie Nelsona.

– Kiedy porozmawiamy o nas? – spytał, zanim się pożegnaliśmy.

– Jutro – wymamrotałam. – Kiedy oboje tego zapagniemy.

– Zapagniemy czego? – rzucił ze zmysłowym pomrukiem, który chyba oznaczał, że chciałby to zrobić jeszcze raz.

Powiedziałam mu: dobranoc, wysłałam do domu i spałam, dopóki następnego rana nie zadzwonił telefon.

– Czy to Judith Singer? – spytał kobiecy głos.

Odchrząknęłam, by oczyścić głos z sennej chrypki.

– Tak, to ja.

– Witam, nazywam się Ellen Berman. Mieszkam w Garden City. Jedną z moich przyjaciółek w mieście kończyła Princeton razem z Courtney Logan. Słyszała, że pani prowadzi dochodzenie w jej sprawie. Podała mi pani numer telefonu. Naprawdę dziwnie się czuję w tej sytuacji. Ale pracowałam w Patton Giddingsie do końca ubiegłego roku. Znałam Courtney. Nie chcę się angażować, ale czuję... czyja wiem, obowiązek...

Usiadłam i pośpiesznie zapewniłam:

– Och, proszę, nie ma powodu się denerwować, że w coś się pani uwikła.

– Hm, być może to nic wielkiego. Nie chcę marnować pani czasu. Ale omawiałam z przyjaciółką moje rozmowy z Courtney i coś mi się skojarzyło. Może mogłybyśmy się kiedyś spotkać na kawę?

– Pewnie. Może dzisiaj, trochę później?

– Dzisiaj? Hm, chyba nawet będę w pobliżu Shorehaven. Muszę pojechać do tego dużego punktu oprawy obrazów. Proszę powiedzieć, gdzie możemy się spotkać.

– Zechciałaby pani wpaść do mnie? – spytałam. – Mogę pani obiecać całkiem przyzwoitą kawę.

– Jest pani pewna, że nie będzie to...

– Żaden kłopot! – Wyjaśniłam jej, jak dojechać z Main Street do mojego domu.

– Tak około jedenastej? Może być? – spytała Ellen. – Boże, mam nadzieję, że to będzie warte pani czasu i kawy. Ale wiem o Courtney parę rzeczy... – wahała się minutę – o których ktoś powinien usłyszeć.

Rozdział 19

Ellen Berman zadzwoniła do drzwi o dziesiątej trzydzieści, pół godziny wcześniej. Ucieszyłam się na jej widok, ponieważ przez następne trzydzieści minut i tak na zmianę snułam fantazje, że podsunie mi istotny trop, na przykład, że marzeniem Courtney było zamieszkać w punkcie o szerokości geograficznej 43 stopnie i długości 98, 6 stopni, albo obawiałabym się, że Ellen opowie mi nudną historyjkę o tym, jak Courtney ukradła w sklepie łyżeczkę w takim a takim wzorze.

– Jestem za wcześnie?

Była ładna, trochę podobna do Audrey Hepburn w *Wojnie i pokoju*. Audrey z grubymi brwiami. Miała wielkie, ciemne, sarnie oczy.

– Nie, wszystko w porządku – zapewniłam ją, otwierając szerzej drzwi. – Cieszę się, że wpadłaś. Nie obrysowałam jeszcze oczu kredką, ale jeśli to przeżyjesz, to pójde zrobić dzbanek świeżej kawy.

– Dzięki! – nie świergotała słodko jak Hepburn. Ellen była wyluzowana i naturalnie swobodna. Strój też na luzie, markowy, ale zreżymie mieszający style. Kuse, pomarańczowe spodnie, jaskrawo różowy, bawełniany sweter, odlotowe różowo-czerwono-pomarańczowe buty na korkowych koturnach. Z biżuterii miała tylko prosty złoty zegarek i cienkie, złote kółka w uszach. Zamiast poprowadzić ją przez salon na werandę, skierowałam się do właśnie posprzątej kuchni. W tym momencie zapytała:

– Czy mogłabym skorzystać z łazienki?

– Oczywiście. Jest tam prosto... – Gdy odwróciłam się, by wskazać jej kierunek, zauważyłam jeszcze jeden szczegół. W ręce trzymała pistolet.

Nieważne, ile widziałaś w filmach scen, gdy kamera patrzy prosto w lufę pistoletu, i tak nie przygotowuje cię to na okropność chwili, gdy spojrzysz w głąb tej długiej, metalowej rury z jednym okiem. To potwór z piekła rodem. Moje ciało sygnalizowało umysłowi, że nie zostało mi wiele życia. Siła, która utrzymuje razem komórki ciała, zaczęła słabnąć. Słyszałam, że w takich strasznych momentach ludzie tracą panowanie nad mięśniami i oddają moc lub kał. Inni po prostu mdleją. Moje ciało rozważyło wszystkie trzy możliwości i tylko osunęło się na ścianę tam, gdzie stałyśmy, tuż przy wejściu do kuchni. Mimo że odpowiedź była oczywista, spytałam z niedowierzaniem:

– Courtney?

Żadnej odpowiedzi. Spojrzeniem omiatała półtorametrowy korytarz między głównym holem a kuchnią. Rozejrzałam się dookoła i zrozumiałam, o co jej chodzi. Tak, idealne miejsce. Żadnych okien, nawet małego, witrażowego prześwietu. Nie ma okien, nie ma świadków.

– Czy to... – zaczęłam.

– Żadnych pytań – warknęła, nadal tym energicznym, pewnym siebie tonem. Nie była już pełną wigoru blondynką. Miała złocistobrązową opalenizną rasowej brunetki z pieniędzmi. Poza tym schudła i była szczupła jak modelka, choć jak na modelkę trochę za niska.

– Czy to ten pistolet, którego użyłaś do zabicia... tamtej osoby?

– Oczywiście, że nie – odparła lekceważąco.

Poruszyła kciukiem, a może to tylko moja głowa się zatrzęsła, nie przyjmując do wiadomości tego, co się działo. Niewiele wiedziałam o broni, poza tym że widziałam ją w kaburze u Nelsona i na westernach, ale czułam, że odsunęła ten dinks, który odbezpiecza pistolet.

– Nie tamtej osoby. Emily! – słowa wydobyły się z moich ust z taką siłą, że aż jej głowa odskoczyła. – Czy to tego pistoletu użyłaś do zabicia Emily?

– zero odpowiedzi. W chwili ciszy, która nastąpiła, pomyślałam, jakie to strasznie smutne, że nigdy się już nie dowiem, jak by mi się ułożyło z Nelsonem. To była przyszłość, której nie będę miała, niewiele mi już zostało bieżącej chwili, więc przesłałam ciche błogosławieństwo Kate i Joeyowi. Potem w myśli wypowiedziałam cztery pierwsze słowa *Szema*, modlitwy, którą Żydzi powinni odmawiać dwa razy dziennie, a także w godzinie śmierci. Ale potem się powstrzymałam. Przecież nadal żyłam, a dopóki żyłam, powinnam walczyć o życie. Myślenie, że już nie żyję skazywało mnie na pewną śmierć.

– Co wiesz o Emily? – spytała, jakby chodziło o naszą wspólną znajomą. Powoli, nie dlatego, że nie chciałam jej zdenerwować, ale raczej z braku sił, odepchnęłam się od ściany i wyprostowałam, żałując, że kiedyś tam wybrałam naukę szydełkowania zamiast taekwondo.

– Chodzi ci o Emily Chavarria, którą piętnastego maja znaleziono martwą w basenie przy twoim domu? – spytałam. W tym momencie przemknęło mi przez myśl. Jak ona mnie, do cholery, znalazła? Przecież nie rozwieszałam naokoło plakatów z napisem „Poszukiwana” i notką w lewym dolnym rogu „Skontaktuj się z Judith Singer”. – Ach – westchnęłam. – Dowiedziałaś się o mnie od tego faceta w Wiggins, któremu podałam swój telefon? Twojego sąsiada Victora?

– Tak, właśnie! – odparła radośnie. Nadal z trudem przychodziło mi myśleć o niej jako o Courtney Logan. Nie śmiałam patrzeć na nią otwarcie, tak samo jak nie odważyłabym się nawiązać kontaktu wzrokowego ze śliniącym się dobermanem. Jednak po kilku ukradkowych spojrzeniach zobaczyłam, że jej włosy zostały doskonale ufarbowane na bardzo ciemny brąz z rudymi refleksami. Mój kolor. Jej oczy też były podobne do moich, ni to ciemnobrązowe, ni to czarne. Oczywiście ja przypominałam kobiety na fotografiach z końca XIX wieku, zatytułowanych *Zamyślona Żydówka w chustce*, które można zobaczyć w muzeum imigrantów na Ellis Island, a ona wyglądała jak Audrey Hepburn. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego mężczyzna taki jak Victor był lojalny wobec Samantha/Courtney.

– Gdy się wprowadziłam, powiedziałam paru sąsiadom, że się ukrywam, uciekam przed mężem, który mnie maltretował – wyjaśniła Courtney, jakbym faktycznie zadała pytanie. Być może chciała, bym ją pochwaliła za to sprytne posunięcie. Milczałam, więc ciągnęła: – Powiedziałam, że jest bardzo bogaty. Że mnie prześladowuje. Wynajął detektywów. Rozповідаłam, że mnie bił i groził, że mnie zabije. Błagałam, by dali mi znać, gdyby pojawił się ktoś, kto o mnie rozpytuje.

– Jak mogli się z tobą skontaktować? Przecież się wyprowadziłaś, prawda?

– Koniec pytań.

Najgorsze było to jej miłe zachowanie. Trzymała w ręce pistolet i zamierzała mnie zabić. A jej oczy Audrey Hepburn nadal błyszczały. Głos był radosny. Życie jest po prostu cudowne! Jeszcze bardziej przerażała mnie świadomość, że ta pełna entuzjazmu kobieta z pistoletem, stojąca o pół metra ode mnie, uzyskała kiedyś po kursie dla zaawansowanych w NRA tytuł Mistrza Celności.

Następna chwila przyniosła odrobinę wytchnienia. Koniec pytań, ale najwyraźniej jeszcze nie koniec odpowiedzi.

– Podalam im numer w St. Louis, pod który mogą zadzwonić lub zostawić wiadomość – ciągnęła Courtney. – Oczywiście nie mieszkam w St. Louis. Ale regularnie dzwonię pod ten numer dwa razy dziennie. – Hm, sama nazwałam ją skrupulatną. – I będę to robić, aż do drugiej rocznicy mojego wyzwolenia, by mieć absolutną pewność.

– Wyzwolenia od czego?

– Od tego wszystkiego! Wierz mi, jedyne, co mogło mnie tu ściągnąć z powrotem, to konieczność rozprawienia się z tobą.

Zawsze wierzyłam, że lepiej jest znać prawdę. Postanowiłam więc zaaplikować Courtney sporą jej dozę. Nie dla jej dobra, ale dla mojego własnego.

– Courtney, twój problem sięga o wiele dalej niż ja. Twój teść wszystko o tobie wie. Gliny z hrabstwa Nassau już za tobą węszą. Lada moment artykuł o tobie ukaze się w „Newsday”.

Zachichotała teatralnie. Zapewne miał to być tak zwany „niewesoły śmiech”, charakterystyczny dla złoczyńców w filmach noir, których akcja toczy się w Los Angeles.

– Usiłujesz zyskać na czasie – rzuciła. – Wybacz, takie numery, to nie ze mną. Przegrałam walkę, by nie patrzeć na pistolet. Courtney widziała, jak bardzo strach pozbawia mnie sił.

– Wiedzą o tym, że zamieniłaś zdjęcia rentgenowskie w kartotece doktora Gainesa, że...

– Słuchaj no – rozkazała Courtney. – Nawet nie próbuj mnie przechytrzyć. Wiem o tobie wszystko. Byłaś zamieszana w sprawę tego dentysty z okolicy, kiedyś tam, sto lat temu. No i brawo. Za tę sprawę też dostaniesz piątkę, za wszystko, co sama odkryłaś.

Chciałabym powiedzieć, że gdy na nią patrzyłam, widziałam emanujące z niej zło czy szaleństwo. Ale prawda jest taka, że wyglądała ładnie i całkiem normalnie, choć bardziej w stylu „Elle” niż Long Island. Tylko jej oczom, mimo ich blasku, brakowało trochę życia, co sugerowało, że nie wszystko jest z nią w porządku. Przypuszczam jednak, że był to nie tyle przejaw zła czy oznaka patologii, ile skutek brązowych szkieł kontaktowych.

Modliłam się, by Lulu Phil nie mylił się w swojej teorii, gdzie można ukryć pieniądze i Courtney nie jeździła na Karaiby nurkować.

– Jak mogłabym się dowiedzieć o spółce w rajku podatkowym, w Nevis? Tym zajęły się władze federalne. – Nie powiem, że Courtney wyglądała na przestraszoną, ale po raz pierwszy wydawała się zaniepokojona. Palcem wskazującym wolnej ręki rozciągnęła dekolt różowego swetra, mimo że był na tyle luźny, że nie mógł jej uwierać. – A co ze zdjęciami rentgenowskimi? Policja hrabstwa Nassau sprawdza zdjęcia zębów z ciała Emily i te rzekomo twoje u doktora Gainesa i porównuje je z twoimi z Olympii w stanie Waszyngton.

– Co jeszcze wiedzą? – Nie mogłam uwierzyć, że nadal mówi tym lekkim, ożywionym tonem, jakby pytała, czy czytałam ostatnio jakąś dobrą książkę.

– Dlaczego miałabym ci powiedzieć?

– Bo ja mam pistolet – powiedziała Courtney rezolutnie. Energicznie, przepaszając wzruszyła ramionami. Wybacz. Złote kółka w jej uszach zamigotały w świetle lampy pod sufitem. – A ty nie masz. – Akurat gdy poczułam się trochę bezpieczniej, myśląc, że mam jeszcze minutę czy dwie życia, Courtney nagle zrobiła się wyższa w swoich butach na korkowym koturnie, bardziej zdecydowana. – Co jeszcze wie policja?

– Słuchaj, Courtney, w stanie Nowy Jork znów wykonuje się karę śmierci. Chcesz mieć na sumieniu kolejne morderstwo, by zagwarantować sobie taki wyrok, gdy cię złapią?

– Daj spokój – powiedziała z pobłażliwym uśmiechem. – Będę żyła długo i szczęśliwie. Niestety...

– Nie chcę słuchać o twoim życiu! – powiedziałam. – Nie chcę słuchać całego tego gówna, jaka to byłaś sprytna, bo nie byłaś.

– Posłuchaj mnie! – rozkazała. – Ja...

– Nie. To ty mnie posłuchaj, Courtney. Nie chcę słyszeć, jaki genialny plan wymyśliłaś. Ani że cała ta sprawa naprawdę nie była twoją winą. Zbyt wiele widziałam filmów, w których zabójca wyjaśnia, dlaczego to nigdy nie jest jego czyjej wina. To była twoja wina. Niestety, to jest życie, a nie film. Ty masz pistolet. Ja nie jestem na tyle zwinna, by kopnąć cię kolanem w jaja, nawet gdybyś je miała. Nie mam siły tak wykręcić ci ręki, byś w końcu sama się zastrzeliła. Ale musisz wiedzieć jedno: nie jesteś taka sprytna. Spieprzyłaś, ot co. Gdybyś nie spieprzyła, nie dowiedzielibyśmy się o tym, co zrobiłaś. A tymczasem twój mąż żyje w cieniu...

– Tak się składa – wysyczała – że już przed tą sprawą z Emily planowałam odejść zaraz po wyprawie po słodycze w Halloween. Nie chciałam Morgan rozczarować, musiałyśmy pójść. I specjalnie zrobiłam to trzydziestego pierwszego, bo wiedziałam z całą pewnością, że Greg będzie się spotykał w mieście na kolacji z Jimem Cooleyem z Upper Crust. Chciałam, żeby miał alibi.

Być może czekała, że powiem, jakie to troskliwe z jej strony, ale postanowiłam ją rozczarować. Miałam szansę uciec, tylko gdyby udało mi się wykonać jakiś sprytny ruch, chociaż to, że stała ode mnie jakieś pół metra z pistoletem wymierzonym gdzieś w okolice mojego serca i płuc, nie pozostawiało mi dużego pola do manewru. Musiałam zyskać na czasie, a jedynym na to sposobem było podtrzymywanie rozmowy, bo wątpiłam, czy należała do ludzi, którzy doceniają bergmanowskie efekty wymownego milczenia.

– Nie żebym miała cię krytykować – odezwałam się – ale czy nie przyszło ci do głowy, że Halloween już zawsze będzie się Morgan koszmarne kojarzyć, bo jej matka potem wyszła i nigdy nie wróciła?

– Widzisz? Właśnie dlatego nie ma sensu z tobą rozmawiać. – Próbowałam przelknąć, by się odezwać, ale omal nie zakrztusiłam się własną śliną.

– Tak się składa, że dałam z siebie wszystko. Ty i cała reszta nigdy się nie dowiecie, jak bardzo się starałam, by być jak najlepszą matką. Może i nie byłam najlepszą żoną na świecie,

ale tutaj też się starałam. Kwestia niestety w tym, że od początku nie miałam najlepszego materiału do pracy. – Nie musiałam pytać Courtney co ma na myśli, bo już się rozkręciła.

– On był największym rozczarowaniem. Przystojny, w pewien egzotyczny sposób, bardzo inteligentny i do tego urodzony sportowiec. Patrzysz na tych jego otyłych, rozlazłych rodziców i zastanawiasz się, jak to, u licha, możliwe, że wydali na świat kogoś z tak niesamowitą koordynacją wzrokowo-ruchową. I do tego taki szybki! Niby stoi hen, na końcu kortu, a nagle już jest przy siatce. No i pieniądze. Miał pieniądze, skończył MBA, to kombinacja nie do pobicia. Tyle że co on z tym zrobił? Prawie nic. Nie miał wizji i odwagi. Wpadł na całkiem niezły pomysł, niewolniczo nad nim pracował i wyszedł mu dosyć przeciętny biznes.

– Uznałam, że lepiej będzie nie podnosić kwestii StarBaby. – A wiesz, co jest w tym wszystkim najbardziej żałosne? Greg był całkiem zadowolony z tego, że jest w drugiej lidze. – Courtney zacisnęła usta tak jak się to robi po umalowaniu szminką. – Doskonale wiedział, że wybiera bezpieczeństwo i stabilność, zamiast szansy bycia wielkim graczem. I wiedział, że prędzej czy później przyjdzie ktoś, kto skopiuje jego pomysł i stworzy nowe Starbucks. Ale wiesz, co powiedział?

– Co?

Prawa ręka, ta z pistoletem, chyba zaczynała jej drętwieć, bo podtrzymywała nadgarstek lewą dłonią. Cały czas myślałam, co by tu, do licha, zrobić, żeby ją rozbroić. Po raz pierwszy cieszyłam się, że ważę osiem kilo więcej, niż przewiduje norma, ale nie potrafiłam wymyślić sposobu, by rzucić się na nią i odebrać jej pistolet, a jednocześnie pozostać przy życiu.

– Powiedział, że on to przeżyje. Rzuciłam niby żartem, że nie wiem, czy ja przeżyję. A on na to: „Cóż, Courtney, będziesz musiała się przyzwyczaić”. Też coś. I ta jego obsesja, by wszystko robić zgodnie z prawem. Wierz mi, gdy powiedziałam, że jestem dumna, że nie interesuje go rodzinny biznes i wartości, chyba wiesz, o co mi chodzi, to rzeczywiście tak myślałam. Ale to przenikało każdy aspekt jego życia. Panikował, że ktoś go uzna za ordynarnego. Dosłownie panikował. Gdy spotykaliśmy się z innymi ludźmi, bardzo sympatycznymi małżeństwami, ludźmi sukcesu, on prawie w ogóle się nie odzywał, bo taki był spięty. Jako wymówkę podawał, że jest po prostu zamknięty w sobie. Zamknięty w sobie? A w kwestii podatków, były pewnie dziesiątki ulg, które mógł sobie spokojnie, zgodnie z prawem odliczyć, ale nie pozwalał księgowemu, by to robił. Można okazywać zrozumienie, ale jak długo? A już coś zupełnie chorego? Rozmawiał z ojcem przez telefon przynajmniej raz dziennie, nawet w weekendy. Gadał o bejsbolu i giełdzie, jakby jego ojciec był normalnym człowiekiem. Greg chyba nie wiedział, co to znaczy trzymać kogoś na dystans.

Kusiło mnie, by spytać ją o dzieci, ale bałam się, że to ją rozwścieczy. Prędzej czy później, chyba że tymczasem mnie zastrzeli, będę musiała coś zrobić. Jednak nogi okropnie mi się trzęsły, więc tylko ze wszystkich sił starałam się nie upaść. W Courtney szczególnie przerażające (jakbym potrzebowała się jeszcze bardziej przerazić) było to, że jak na egocentryczną, oszalałą socjopatkę, czy jaką by tu postawiono diagnozę, miała aż tak dobrą intuicję.

Akurat gdy pomyślałam: „A co z twoimi dziećmi?” – powiedziała:

– Jeśli chodzi o dzieci, to lepiej im beze mnie. Wiem, że to brzmi jak wymówka, ale taka jest prawda. Zawsze bardziej kochały Steffi, naszą au pair, niż mnie. Trochę żałowałam, że nie mogę zostawić Steffi listu z jakimiś instrukcjami albo wskazówkami, ale to oczywiście było wykluczone.

– A co z Emily? – spytałam. Courtney znów zacisnęła usta, jakby chciała pokazać, że nie będzie mówić. – Wiem, że spotkałyście się w Baltimore, na zjeździe regionalnego oddziału KPF. Ale nie mogłam się zorientować, jak rozwinęła się ta znajomość.

Otworzyła usta.

– Ja bym tego nie nazwała znajomością. – Za każdym razem, gdy zaczynała mówić, czułam błyskawiczny przypływ nadziei, po którym następowała rozpacz i paraliż. Chwył psychologiczny, który zadziałał wcześniej, gdy przekornie powiedziałam jej, że moim zdaniem nie jest sprytna i nie chcę słuchać jej wersji wypadków, tym razem mógł nie poskutkować. – Zbyt wiele w tym było uwielbienia z jej strony – powiedziała. – Ta kobieta była jak *tabula rasa*, która czeka, aż ktoś coś na niej napisze. Pewność siebie poniżej zera. To smutne, bo miała całkiem niezłą głowę. Ale jeśli ja zaczynałam skakać na jednej nodze, to ona też. Kupiłam sobie torebkę Lany Marks i zgadnij, kto też ją sobie zaraz kupił? Któregoś razu powiedziałam jej: „Emily, możesz spokojnie nosić do pracy garnitur i nikt z szefostwa banku cię nie zwolni, gwarantuję”. Więc oczywiście musiała sobie kupić parę garniturów, a przy okazji dostałam sześćdziesiąt tysięcy emaili z pytaniami, gdzie powinna je kupić, którego projektanta wybrać i tak dalej.

– W twojej bazie danych nie było jej nazwiska – zauważyłam. Courtney roześmiała się, odrzucając głowę do tyłu, choć nie na tyle, by spuścić mnie z oka. Pistolet nie drgnął ani o milimetr.

– To dlatego, że na miesiąc przed ucieczką kupiłam nowy twardy dysk. Koszmarne się obawiałam, że Greg nie będzie oszczędził pieniędzy, próbując mnie odnaleźć i wynajmie informatyków, którzy potrafią odczytać nawet to, co zostało skasowane. – Ze znużeniem pokręciła głowę na to wspomnienie. – Nie uwierzysz, ile trzeba czasu, by zaimportować masę informacji, a część wpisać ręcznie. Nie tylko rzeczy z bazy danych. Także inne pliki, minus to, czego nie chciałam ujawniać. Przez wiele, wiele dni byłam swoją własną sekretarką.

– Nie zajmowałaś się obrotem akcjami?

– Chodzi ci o giełdę online? Nie. To dla dyletantów. Kompletnych oferm i paru geniuszy. Przyznaję, że nie jestem takim geniuszem. – Przez chwilę wyglądała melancholijnie. – To Emily kupowała akcje online, ale nie siedziała, gapiąc się w ekran przez cały dzień jak maklerzy giełdowi. Nie nazwałabym jej geniuszem, ale była w tym niesamowita. Zarobiła naprawdę niezłe pieniądze.

– Co było jej kapitałem początkowym? Pieniądze z pierwszej oferty publicznej Saft coś tam?

– Jestem pod wrażeniem – zauważyła Courtney. – Jak udało ci się to ustalić?

– Ktoś mi w tym pomógł.

– Kto? W porządku, graj w te swoje gierki. Nic mnie to nie obchodzi. Zobaczysz, dokąd cię to zaprowadzi. A właściwie – uśmiechnęła się szeroko – ściśle rzecz biorąc, nie

zobaczysz. – Przy tym pierwszym tego ranka prawdziwym uśmiechu dostrzegłam dołączki w policzkach jak u dawnej Courtney. – O czym to mówiłyśmy? Aha, o Emily. Emily weszła w tę ofertę publiczną na samym początku, zainwestowała oszczędności całego życia, trzydzieści pięć tysięcy. W ciągu pierwszego tygodnia podwoiła majątek. Potem sprzedała wszystkie swoje akcje Saf-T-Close i zaczęła zarabiać naprawdę duże pieniądze. Zaczynając od kwoty jakichś siedemdziesięciu tysięcy, do następnego lata dorobiła się na transakcjach online prawie siedmiuset tysięcy. Wracała z banku do domu i tylko tym się zajmowała, nie żeby miała mnóstwo innych możliwości. A za każdym razem gdy udało się jej zarobić większą forszę, dzwoniła do mnie i się przechwalała. W końcu ta nudziara z New Jersey była warta niemal trzy czwarte miliona! To wtedy powiedziałam: „Spotkajmy się na lunchu. Nie widziałyśmy się już całe wieki”.

– Kiedy to było?

– Nie wiem – odparła z irytacją. – Spotykałyśmy się przez jakiś czas. A potem ona mi powiedziała o wykupie przez Chapmana-Bohrera. Wszyscy sobie pomyślą: „Och, na pewno Courtney za tym wszystkim stała”, ale tak naprawdę to była sugestia Emily.

– Co takiego?

– No wiesz. Żebym kupiła dla niej akcje pod swoim nazwiskiem, a ona da mi piętnaście procent zysku. Co za naiwność, co za łatwowierność! Że w ogóle komuś zaufała, nawet mnie. Potem powiedziała, że jeśli chcę kupić też dla siebie, ile tam pieniędzy mogłabym zainwestować... Powiedziała: „Dlaczego nie namówisz rodziców, by kupili dla ciebie akcje”. Jakby małżeństwo, które zarabia około pięćdziesięciu tysięcy rocznie mogło kupić akcje Saf-T-Close warte dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Jak na kogoś tak inteligentnego, wcale nie była sprytna.

– To te pieniądze, które podebrałaś z waszych wspólnych kont?

– Znow trafiałaś. Bardzo, bardzo dobrze. Ale kupowanie przez kogoś innego podsunęło mi pomysł ze spółką w raju podatkowym. Więc wszystko zorganizowałam i dałam Emily do podpisania dokumenty, że jest współniczką, tylko zgadnij, co z tymi papierami zrobiłam.

– Dlaczego ją zabiłaś?

– Biorę za to pełną odpowiedzialność – powiedziała Courtney. – Po prostu nie przemyślałam dobrze czegoś, co powinnam była przemyśleć.

– Czego?

– Tego, że gdy ona wreszcie zrozumie, a trwało to całą wieczność, że nie jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami, że nie kupiłam dla nas biletów do Australii i nie ma absolutnie żadnej szansy dostać w swoje ręce tych pieniędzy, to nie przyjmie tego spokojnie i potulnie. Zaczęła mnie szantażować.

– Jak?

Courtney nie odpowiedziała wprost.

– Hm, nie chciałam, by wróciła do swojego banku i powiedziała: „Nie pojechałam do Australii i Nowej Zelandii, bo moja przyjaciółka Courtney zrobiła mnie w balona”. Chciałam, żeby wyjechała, jakby nigdy nic, by wszyscy myśleli, że zaginęła. Wynajęłam więc dla niej pokój w mieście i powiedziałam, że mamy pewien kłopot z tą spółką, bo nasz prawnik opuścił

wyspę. Poprosiłam: „Po prostu poczekaj w spokoju. Wyjedziemy na wakacje, jak tylko wszystko wyjaśnię. Pracuję nad tym dzień i noc”. Kupiłam dla niej komórkę, by nie dzwoniła do mnie do domu z hotelu. Powiedziałam: „Nie możemy pozwolić, by były jakieś ślady kontaktów między nami, na wypadek gdyby komisja nadzoru finansowego próbowała się kiedyś do nas przyczepić”. Ale potem ona wreszcie się zorientowała, że coś jest nie tak. I zaczęły się groźby: powie wszystko Gregowi. A potem zgłosi tę sprawę komisji nadzoru finansowego, choć osobiście wątpię, by to zrobiła. Ale to oczywiście rozpieprzyłoby moje plany ucieczki. A potem przyjechała do Shorehaven. Niestety, była u mnie kilka razy, więc wiedziała, gdzie mieszkam. Właściwie mogła tam trafić z zamkniętymi oczami.

– I?

– I powiedziałam: „Nie możemy tu zostać, Emmy. Robisz za dużo hałasu, tak się tu awanturując. Chodźmy na spacer”. A ona, oczywiście się zgodziła. Nawet poczekała grzecznie, gdy ja pobiegłam na górę, by wziąć pistolet. Powiedziałam jej, że muszę zmienić buty, a ona uwierzyła. I jeszcze namówiłam ją, by po raz ostatni poprowadziła mój samochód.

– Gdzie ją zastrzeliłaś?

– Gdzie? W głowę – powiedziała z przesadną cierpliwością, z jaką niemiła osoba zwraca się do kogoś, kto jest tępy.

– Chodzi mi o to, gdzie to się stało?

Courtney odetchnęła głęboko, jakby to wspomnienie ją wyczerpało.

– W parku Piney Woods, za starą rezydencją Fiske’a, na jednej ze ścieżek.

– Strzeliłaś do niej dwa razy.

– Drugi raz na wszelki wypadek. Po prostu, by mieć pewność. Taka już jestem. To stało się parę dni przed Halloween, na które zaplanowałam moją ucieczkę. Ale musiałam wszystko odłożyć na bok. No więc zastrzeliłam ją, przykryłam kupą liści i gałęzi i pomodliłam się krótko, by tego nie spieprzyć. Potem wróciłam do domu, wsiadłam w samochód Emily i pojechałam nim na złomowisko, gdzie stoi mnóstwo wraków aut. Czyż to nie zdumiewające, jak pracuje umysł? Chyba przejeżdżałam obok tego miejsca rok czy dwa temu, po drodze dokądś tam. I nagle, gdy jechałam z parku do domu, zaraz po tym jak ją zastrzeliłam, to mi się ono przypomniało. Potem jeszcze musiałam pozbyć się tablic rejestracyjnych. Wrzuciłam je do kontenera na jakiejś budowie.

– A jej ciało?

– Okropnie się denerwowałam. Szkoda, że mnie wtedy nie widziałaś! Ale wiedziałam, że nie mogę zostawić ciała tam, gdzie było. Więc w sobotę, gdy już się ściemniło, a Greg był jeszcze w pracy, powiedziałam Steffi, au pair, by zabrała dzieci do Roosevelt Field i poszła z nimi do sklepu z zabawkami F. A. O. Schwarz, a potem na kolację do któregoś z barów. Zawsze była taka dobra i zgadzała się pracować w weekend, gdy jej potrzebowałam. Więc zawinęłam ją, to znaczy Emily, w takie zielone, plastikowe coś, co kładzie się na podłodze podczas malowania. Jak to się nazywa? Płachta. Przełożyłam na Emily mój zegarek, obrączkę i pierścionek. Ubrałam ją w rzeczy podobne do tych, które zamierzałam włożyć w Halloween, zawinęłam ją w płachtę i położyłam na tylnym siedzeniu mojego samochodu...

– Ale przecież jej odciski palców były w twoim samochodzie. I w twoim domu.

Najwyraźniej wytarłaś swoje odciski, by policja myślała, że odciski Emily są twoje. To te odciski, które będą pasować do ciała. Odwiedziła cię przynajmniej parę razy, prawda? Gdy kazałaś Steffi zabrać dzieci z domu na cały dzień i potem, gdy pojechałyście do dentysty.

Pokręciła głową na to wspomnienie.

– Pewnie dałabyś się zabić, wybaczyć aluzję, żeby się dowiedzieć, jak to zrobiłam. Namówiłam ją, by zawiozła mnie do dentysty. Umówiłam ją na wizytę pod wymyślonym nazwiskiem i gdy tam dotarłyśmy, powiedziałam: „Och, chyba powinnaś zrobić sobie przegląd”. Sprytne, prawda? Nawet nie wiedziała, że ma umówioną wizytę. Powiedziałam tylko: „Wejdz, Emmy. Przyjmą cię od razu. Ach, słuchaj, umówiłam cię pod zmienionym nazwiskiem. Nie chcę, by ktoś mógł nas razem skojarzyć”. Steffi w tym czasie była z dziećmi.

– Myślę, że były jeszcze inne okazje, gdy Emily przyjeżdżała do ciebie do domu z wizytą.

– No to co?

– To, że moim zdaniem zaplanowałam... śmierć Emily o wiele dokładniej, niż to opisujesz.

– Znasz skrót PiZ? – spytała Courtney przesłodzonym tonem. Pokręciłam głową. – Nie? Używałyśmy go w szkole. – Po raz pierwszy wyglądała na wściekłą. – Pieprz się i zdychaj!

Odezwałam się od razu, starając się, by mój głos brzmiał uspokajająco:

– Czy nie przyszło ci do głowy, że basen to nie najlepsze miejsce? Że mogli ją znaleźć, zanim ciało – nie potrafiłam wymyślić eufemizmu, więc powiedziałam wprost – ulegnie rozkładowi?

– Oczywiście, że o tym pomyślałam. Planowałam wszystko trochę inaczej. Ale ona niespodziewanie przyjechała do mnie do domu i musiałam improwizować. Starłam się jak najlepiej wykorzystać sytuację. Musiałam ją zastrzelić na jakimś cholernym odludziu. A gdyby przypadkiem trafił się spacerowicz? Następnego wieczoru musiałam wrócić i ją zabrać, to było naprawdę straszne. Pewnie umieras z ciekawości, jak udało mi się wrzucić ją do basenu. – Kiwnęłam głową. – Podjechałam swoim samochodem, land roverem. Greg mówił, że rangę rover robi niewłaściwe wrażenie, to zresztą dla niego typowe. Po zmroku przejechałam z wyłączonymi światłami przez teren sąsiadów. Stałam trzy metry od basenu, a potem ją przeniosłam. W ciemnościach. Ależ była ciężka, jak to trup. Ale wyjęłam ją z samochodu, wrzuciłam do wody i z powrotem umocowałam pokrywę w niecałe pięć minut.

– Nie bałaś się, że po twoim zniknięciu policja zajrzy do basenu?

– Oczywiście. Strasznie się tym dręczyłam. Ale miałam już gotowy plan ucieczki. Gdyby przyszło do najgorszego, zdjęliby pokrywę i stwierdzili: „Ojej, to nie Courtney. To ktoś jej wzrostu, z jasnymi czy rozjaśnionymi włosami, ale, ojej, co się stało z Courtney?” Wiedziałam, że istnieje pewne ryzyko. Aleja wtedy będę już w innym mieście. Będę żyła nowym życiem! Niech sobie szukają Courtney. Nie znajdą jej.

Te jasne włosy. Czy Emily tylko zwyczajnie naśladowała kobietę, którą uwielbiała? Czy też to Courtney namówiła Emily, by ufarbowała się na blond? Jeśli tak, to zaplanowała pogrzeb w basenie nie pod wpływem chwili, tylko na początku września, gdy Emily zaczęła zmieniać kolor włosów.

– Jaki był twój pierwotny plan, zanim musiałaś się zdecydować na wariant z basenem?

– Piz. – Zaczynała się mną nudzić.

– Skąd miałaś pistolet?

– Och, załatwiłam to dwa, trzy lata wcześniej, gdy byliśmy na nartach w Utah. – Mówiła w zamyśleniu, jakby wspominała przyjemne wakacje. – Nerwy miałam w strzępach, gdy wysyłałam go do domu w bagażu, ale to było jedyne rozwiązanie, które przyszło mi do głowy. A na lotnisku nawet tego nie zauważyli. Pomyślałam jednak, że mając w rodzinie kogoś takiego jak Phil Lowenstein, powinniśmy być uzbrojeni.

– Czy on lub ktoś inny kiedyś ci groził?

– Nie. Ale czemu się nie zabezpieczyć?

– Greg nie wiedział, że masz pistolet?

– Oczywiście, że nie. Pewnie by pomyślał, że to ordynarne albo co, zresztą był zbyt wielkim mięczakiem, by mieć broń w domu. – Courtney lewą ręką odgarnęła włosy z twarzy. – Wiem, że grałaś na zwłokę, próbując wymyślić jakiś sposób ucieczki. Nie żebym ci się dziwiła. Jesteś sprytna, ale, jak powiedziałam, nie tak sprytna jak ja. Przykro mi to mówić, ale...

Lewą ręką pchnęłam jej dłoń z pistoletem, aż uderzyła o ścianę. Prawą szarpnęłam do dołu jej złoty kolczyk. Krzyknęła z bólu, gdy zaczął rozdzierać jej małżowinę, ale chyba również z przerażenia, i zakryła ucho obiema rękami. Pistolet celował teraz w sufit. Krew zaczęła jej spływać między palcami i w dół szyi. Wiedziałam, że liczy się czas reakcji. Ja byłam powolna, a ona szybka. Za sekundę czy dwie Courtney odzyska panowanie nad sobą na tyle, by oderwać prawą rękę od ucha, wycelować i strzelić.

Złapałam pistolet, ale ona wzmocniła chwyt. Nie mogłam jej go wyrwać. Już prawie chwiałam się na nogach, podczas gdy ona szarpała się i krzyczała:

– Moje ucho! Moje ucho! Rozerwałaś mi ucho!

Jedną ręką chwyciłam ją za przegub, starając się przytrzymać pistolet skierowany ku górze, mimo że rękę miała śliską od krwi. Nagle przypomniałam sobie coś, co usłyszałam na odczycie na temat samoobrony, podczas wiecu w miasteczku uniwersyteckim: jeśli chcesz rozluźnić czyjś chwyt, nie łap za kciuk. Chwyciłam więc Courtney za mały palec i odgięłam do tyłu, i jeszcze mocniej, aż jej kolejny krzyk uświadomił mi, że go złamałam.

Choć właściwie już to wiedziałam, bo wreszcie miałam w rękach pistolet.

Tyle że znalazłyśmy się w impasie. Ja miałam pistolet, ale potrzebowałam telefonu, który znajdował się w kuchni. Courtney na przemian łapała się za ucho i wyła: „Wykrwawię się na śmierć!” i „Mój palec!” lub machała rękami, próbując odebrać mi broń. Ramię i rękaw jaskrawo różowego swetra miała przesiąknięte krwią. Na chwilę stanął mi przed oczami kostium Jacqueline Kennedy po zastrzeleniu JFK. Zaczęłam szczekać zębami, więc mocno zacisnęłam usta.

Potem jednak musiałam je otworzyć.

– Courtney – zawołałam głośno, by przekrzyczeć jej skowyt – lepiej mnie posłuchaj. To nie demokracja. Ja tu rządzę. Albo przejdiesz do kuchni, albo do ciebie strzelę i przy odrobinie szczęścia cię zabiję.

Wyciągnęłam krzesło na środek kuchni. Musiałam mieć po temu jakiś powód, ale nie

pamiętam jaki. Usiadła. Rzuciłam jej ścierkę do naczyń, by obtarła ucho i chwyciłam telefon. Bóg jeden wie, co wykrzyczałam do operatora numeru 911. Potem zaczęło się ciągnące się w nieskończoność czekanie na przyjazd policji.

Wibracje z moich szczękających zębów roznosiły się na resztę ciała, aż w końcu cała drżałam. Nie wątpię, że ona to widziała, bo stałam niecałe półtora metra od niej. Jednak nie próbowała wykorzystać sytuacji, by zdobyć przewagę. Skuliła się na krześle, obiema rękami przyciskając ścierkę do ucha i jakby zamknęła się w sobie, by się w skupieniu namyślić. Koniec wrzasków, koniec prób odzyskania broni.

W końcu zjawiło się dwóch policjantów. Jeden ostrożnie wziął ode mnie zakrwawiony pistolet. To był dowód rzeczowy, a poza tym chyba wyglądałam na obeznanego z bronią westernowego rewolwerowca.

W tym momencie Courtney zaczęła płakać. Głośny szloch, hektolitry prawdziwych łez.

– Dzięki Bogu, że tu jesteście! – zawołała do nich. – Dzięki Bogu!

– Słuchajcie – zawołałam ostrzegawczo – to ona zabiła tę kobietę, którą znaleziono w basenie w zeszłym miesiącu!

– Nie słuchajcie jej – zaklinała Courtney. – Nazywam się Amy Carpenter i... – urwała, by załkać, ale tylko krótko. – Ona myśli, że mam romans z jej mężem, ale przysięgam na Boga, że tak nie jest. Patrzcie, co ze mną zrobiła! Proszę, pozwólcie mi pójść do lekarza. Och, proszę!

Spojrzała na nich. Jej sarnie oczy, lekko zaczerwienione, zalane łzami, były tak wzruszające, że nawet mnie nieomal ścisnęło się serce. Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie, a potem na Courtney. Pokazała im rozdarte ucho, a potem złamany, spuchnięty mały palec.

Zdałam sobie sprawę, że chyba widzę w ich oczach współczucie.

– Ona nie nazywa się Amy Carpenter – powiedziałam. – Używa wielu fałszywych nazwisk. To jest Courtney Logan, na litość boską!

Błąd.

Wysoki policjant warknął:

– Courtney Logan nie żyje.

– Nie, nie – zawołałam. – Ona żyje! Ta zabita kobieta to...

– O Boże! Błagam, nie każcie mi tu tak siedzieć. Proszę, zabierzcie mnie do lekarza – zapłakała Courtney. – Tak się boję, że się wykrwawię na śmierć. – Niższy policjant spojrzął na nią uważnie. Wyglądało na to, że jego współczucie przeradza się w miłość, z domieszką przerażenia, że ktoś umrze podczas jego służby i będzie musiał pisać sążniste raporty. Wyczuwając to, spojrzała mu w twarz. Śliczna, krystalicznie czysta łza wisiała na jej dolnych rzęsach, które, czy to przypadkiem, czy przezornie, umalowała wodoodpornym tuszem.

Przyjechał kolejny patrol. Drugi wysoki policjant skrzywił się na widok przesiąkniętego krwią ręcznika i nie nawiązał z Courtney kontaktu wzrokowego. Jego koleżanka spojrzała na tych dwóch, którzy przyjechali pierwsi i spytała:

– Hej, chłopaki, wezwaliście karetkę? Całkiem rozsądne pytanie, pomyślałam.

– Ta pani – wysoki policjant wskazał mnie palcem – mówi, że tamta... – Jego dosyć lodowaty ton odtajał, gdy skierował palec na Courtney. – Mówi, że ta tutaj to Courtney

Logan. Ta, której strzelono w głowę i wrzucono do jej własnego basenu.

– Jeśli posłuchacie mnie choć przez chwilę... – zaczęłam.

– Zamknij się, kobieto – warknął ten niski.

– Hej, chłopaki. Tak czy nie? Wezwaliście karetkę?

– Zaraz zwymiotuję – oznajmiła Courtney, a jej głos zabrzmiał, jakby naprawdę miała mdłości. – Proszę, czy ktoś mógłby mnie zabrać do łazienki, i to szybko?

Cała czwórka zrobiła krok w jej stronę.

– Najpierw któreś z was musi zadzwonić do kapitana Sharpe’a z komendy głównej! – krzyknęłam.

Cztery głowy zwróciły się w moją stronę. Na czterech twarzach o zmarszczonych czołach zobaczyłam miny, jakby tylko przez jeden semestr uczyli się języka, którym do nich mówię. Zaczęłam powtarzać swoje słowa, a tymczasem Courtney rzuciła się do ucieczki.

Sprytnie. Zamiast wstać, odwrócić się i rzucić pędem do drzwi kuchennych, jak każdy uciekinier, ona podniosła się z krzesła skulona. Niemal nie było widać, że się porusza. A potem pobiegła do drzwi. Zanim policjanci zorientowali się, że ona nie biegnie do łazienki, upłynęła dłuższa chwila. Za długa. Courtney wypadła przez drzwi i biegła już przez patio.

– Muszę się dostać do lekarza – zawołała. – Muszę! Boże, ależ była szybka!

Dobiegła już prawie do trawnika, gdy dwóch z nich ją dopadło. Zamiast, jak się spodziewałam, zacząć się szarpać, kopać i gryźć, by się uwolnić, Courtney padła na miejscu, osunęła się na kamienne płyty z bezwładnymi rękami, dotykając rozdartym uchem ziemi. Wysoki i Niski uklękli przy niej i w kółko powtarzali: „Proszę pani?” Po minucie, gdy nawet nie drgnęła, ujęli ją pod ramiona i próbowali pomóc jej się podnieść. Jednak, mimo że była szczupła i lekka jak piórko, zdołali ją podnieść tylko na kolana.

Zawołałam do policjantki:

– Czy mogłaby pani zadzwonić do kapitana Sharpe’a i powiedzieć mu, że jest w domu Judith Singer, wraz z Judith i Courtney Logan?

I w tym momencie Courtney popełniła błąd. Chwyciła się Niskiego, jakby usiłowała się podciągnąć, równocześnie spróbowała odpiąć mu kaburę, by wyjąć pistolet. Trzeba mu oddać sprawiedliwość. Zanim się obejrzałam, błyskawicznie ją trzasnął, tak że znów leżała na patio. Potem przewrócił ją na brzuch i skuł jej ręce kajdankami.

Policjantka weszła z powrotem do domu i zaczęła mówić o wezwaniu karetki i dodatkowych patroli, a poza tym jak się nazywał ten kapitan z komendy głównej? Nie pamiętam, co jeszcze powiedziała, bo gdy znów otworzyłam oczy, leżałam na kanapie w swoim salonie, a sanitariusz pogotowia, który mierzył mi ciśnienie, mówił:

– Wszystko w porządku, proszę pani.

Rozdział 20

I przykro mi to mówić, ale będziesz musiała wymienić fugę w terakocie. – Nancy popatrzyła na białe i czarne kafelki na podłodze w korytarzu. – Tyle krwi – spojrzała na mnie.

– Na pewno dobrze się czujesz?

– Jestem tylko trochę roztrzęsiona.

– Słuchaj, co powiesz na podwójną wódkę? Nie bój się, nie rozpijesz się.

– Połknęłam już podwójną dawkę relanium – powiedziałam. Wyszliśmy na dwór i usiadliśmy na starym ręczniku plażowym, który rozłożyłam na trawie przy domu. Dzień był trochę chłodny jak na piknik, ale niebo iskrzyło się słońcem. W tym blasku bladło widmo pistoletu, gapiącego się na mnie czarnym okiem. W kuchni i na patio kręcili się jeszcze policjanci, choć całość prac na miejscu przestępstwa chyba została już zakończona. Rozmawiali ze sobą niczym koledzy z pracy rankiem po wieczorze rozdawania Oscarów lub mistrzostwach w bejsbolu: „Nie uwierzysz, co się wydarzyło!”

– Czy Courtney wyglądała jak na fotografii, opublikowanej w mojej gazecie? – spytała Nancy. – Czy też bardziej jak na tym okropnym, pokazującym dziurki w nosie zdjęciu, które ukazało się w „Beacon”?

– Zupełnie inaczej. Ufarbowała włosy na ciemny brąz, włożyła bardzo ciemne, brązowe szkła kontaktowe i schudła. – Nancy uniosła brwi. – Nie wspominała, jaką dietę stosowała. I wiesz, takie buty na korkowych koturnach, które dodają parę centymetrów. Miała je na nogach, więc odniosłam wrażenie, że jest wyższa, jakiś metr sześćdziesiąt kilka.

– W co była ubrana?

– Jak zawsze zmierzasz do sedna – powiedziałam. – W taki pomarańczowo-różowy komplet. Być może od Ralph Laurena, ale ty pewnie powiesz, że nie.

– Opisz go. – Opisałam. Nancy ze znużeniem pokręciła głową. – Nie, nie, nie, ty nieszczęsna, ciemna maso. To mi wygląda na Escadę. A przy okazji, gdzie jest twój chłopczyk w mundurku? Czy też powinnam powiedzieć: mężczyzna w mundurze? Czy on już wie, co się stało?

– Oczywiście. Był tutaj przez jakiś czas.

– I oczywiście trzymał cię za rękę.

– Oczywiście. Pojechał jednak na komendę, by podyskutować nad przydzieleniem tej sprawy. Pracował nad nią, więc chce ją dostać. Dla samej sprawy, a także jako sposób na powrót do wydziału zabójstw. Ale ten śmondak z zabójstw, który spieprzył dochodzenie, nie chce jej oddać. Powiedział, że wróci. Choć Nancy nie zmieniła wyrazu twarzy, uznałam za stosowane dodać:

– Wróci. I nie tylko po to. – Gdy nie odpowiedziała, zmieniłam temat: – Nie mogę uwierzyć, że naprawdę zemdlałam.

– Jakie to wiktoriańskie z twojej strony.

– Wiem. A to jedna z najmniej lubianych przeze mnie epok.

– Zapominasz o Dickensie, ale jesteś jeszcze w szoku. Boże, byłeś tak niesamowicie

dzielna. Już nie mówiąc o tym, że skuteczna. Możesz jeszcze trochę o tym pogadać, czy też wolisz gapić się na drzewo?

– Szlachetny dąb – mruknęłam.

– Szlachetna sykomora, ty głupia. Jeśli chcesz tu sobie siedzieć w przyjemnej ciszy, to proszę bardzo, choć przyjechałam tu po to, byś mogła sobie ulżyć i publicznie dać wyraz swoim opiniom.

Nancy zjawiała się w oficjalnym charakterze najlepszej przyjaciółki i zdążyła usłyszeć większość moich zeznań, składanych przed stawiającym pierwsze kroki śledczym. Opowiedziałam o pretekście z Ellen Berman, o pistolecie w dłoni Courtney i wszystkim, co mi powiedziała, o rozdarciu jej ucha kolczykiem, złamaniu jej palca i odebraniu broni. Na dokładkę dorzuciłam jeszcze próbę ucieczki Courtney, szamotaninę i zakucie w kajdanki.

– W porządku – powiedziałam. – Chcę jeszcze porozmawiać o tej sprawie.

– Myślisz, że Emily zaskoczyła Courtney, przyjeżdżając tu przed Halloween, i dlatego została zabita? – spytała Nancy. – Czy też cała rzecz była zaplanowana?

– Przypuszczam, że zaplanowana – odparłam – choć nadal nie znam szczegółów planu, zwłaszcza odnośnie do Emily. Stanowczo Courtney nie zastrzeliła jej pod wpływem impulsu. Słuchaj, wszystko, co mówi Courtney, jest podejrzane. Może Emily rzeczywiście ją zaskoczyła. A może Courtney zaprosiła Emily do siebie, by ta zostawiła jeszcze więcej odcisków palców na przedmiotach i pojeździła jej samochodem, również zostawiając odciski. A potem zabiła ją w lesie. Ale wydaje mi się, że użyła swojego wpływu na Emily, by ta rozjaśniła włosy, z jakiegoś konkretnego powodu. Chodziło o to, by stanowiła lepszą namiastkę Courtney. Musiała więc myśleć o basenie już wcześniej, mając nadzieję, że ciało pozostanie w basenie do wiosny, aż do zdjęcia pokrywy i będzie w fatalnym stanie. A może planowała ukryć Emily w parku Piney Woods, ale wykopanie dostatecznie głębokiego grobu wymagało zbyt dużego wysiłku. Nie da się ukryć, że całą jesień spędziła na przygotowaniach. Zdobyła karty kredytowe i fałszywe dowody tożsamości, jeździła tam i z powrotem do Cherry Hill, być może wyszukała miejsce, gdzie mogłaby porzucić samochód Emily, kupiła Emily komórkę na nazwisko Vanessa Russell. I któregoś dnia wysłała Steffi z dziećmi z domu. Powiedziała jej, by poszła z nimi do Baskin-Robbinsa na lody, gdyby zaczęły kwękać. To zupełnie nie w jej stylu. Ale chciała mieć pewność, że nikt nie połączy jej osoby z Emily.

– Mogę dorzucić swoje trzy grosze? – spytała Nancy.

– Pewnie.

– Myślę, że jak tylko trafiła się jej okazja, by zarobić poważne pieniądze, dzięki talentowi Emily do transakcji giełdowych online i poufnym informacjom, Courtney zaczęła planować przejęcie pieniędzy i zamordowanie Emily. Mydliła jej oczy, ale jak tylko dostała w swoje łapy te wszystkie pieniądze, nie było mowy, że się nimi podzieli. Śmierć Emily była przesądzona z chwilą, gdy Courtney umieściła pieniądze na swoim ślicznym, nowiutkim koncie w raju podatkowym.

– Więc była to tylko kwestia czasu? – spytałam.

– Czasu i sprzyjających okoliczności. Courtney pewnie już dawno chciała uciec. – Nancy delikatnie zdjęła źdźbła trawy ze swoich brązowo-białych czólenek. – Można by pomyśleć, że

miała wspaniałe życie. A przynajmniej całkiem przyzwoite.

– Właśnie. Jednak dla niej to była porażka. Nie odniosła sukcesu w banku inwestycyjnym. Odmówiono jej kredytu na StarBaby. I samo StarBaby. Wprawdzie firmie nie groziła plajta, ale zdaje się, że nieprędko by do czegoś doszła. Jej najlepsza przyjaciółka, Kellye Ryan...

– Matka Boska od Prądy?

– Tak. Kellye i ta młoda kobieta, która kręciła filmy, Zee Friedman, ta, którą chętnie umówiłabym z Joeyem. Obie twierdziły, że w lecie Courtney wydawała się przygnębiona. A już na jesieni myślami była gdzie indziej. Na horyzoncie rysowała się jej wizja nowego życia, już bez StarBaby.

– Nie zapominaj o mężu – wtrąciła Nancy. – Założę się, że nie widziała w nim mężczyzny, który otworzył nową firmę i pracuje, by osiągnąć sukcesy.

– Oczywiście, że nie. Uważała go za oferę, faceta, który nie ma odwagi być wielkim graczem.

– Być wielkim to dla Courtney szalenie ważna kwestia – zauważyła Nancy. Przechodzący policjant w mundurze kiwnął jej obojętnie głową. Nagle olśniony wrodzonym urokiem Nancy próbował się uwodzicielsko uśmiechnąć. Oczywiście w tym momencie Nancy zapomniała już o jego istnieniu.

– Właśnie dlatego myślę, że Courtney coś chyba planowała, jeszcze zanim przygnębił ją brak sukcesu StarBaby – ciągnęłam. – Słuchaj, zeszłej wiosny i w lecie podebrała ze wspólnego konta i rachunku maklerskiego dwadzieścia pięć tysięcy. Jestem pewna, że policja sprawdzi wszystkie jej konta, ale na pewno nie przelała tych pieniędzy na konto StarBaby.

– Może wydała je na coś wartościowego, na przykład na ubrania – zasugerowała Nancy. – Słuchaj, a może inwestowała online na giełdzie i absolutnie wszystko straciła, obracając akcjami!

– To była jedna z moich hipotez. – Środki uspokajające zaczynały działać. Wyciągnęłam się na ręczniku i patrzyłam na liście, trzepoczące na wietrze. – A może część z nich spożytkowała na kupno fałszywych dowodów tożsamości i otworenie kont w bankach. Założę się jednak, że trudno to będzie ustalić. Do diabła, posługiwała się tyłoma różnymi nazwiskami. Nelson powiedział, że najwyraźniej miała świetne źródło fałszywych dowodów tożsamości. Z takimi dowodami mogła dostać karty kredytowe i prawa jazdy na różne nazwiska. Taki dobry dowód zwykle sporo kosztuje. Więc albo była skłonna wydać na to poważną kwotę, albo dostała jakiś rabat ilościowy.

– Gdzie można kupić taki dobry dowód? – spytała Nancy.

– Bo co? Kim chciałabyś być?

– Nie wiem. Kimś w wieku trzydziestu pięciu lat. Pamiętasz, jak byłam w tym wieku? Myślałam sobie: O cholera, jestem stara. Następny przystanek – cmentarz. A teraz? Zaczęłabym od nowa, podając się za trzydziestopięciolatkę... No dobra, za trzydziestopięciolatkę po przejściach. I nie w Sun Valley, którą powinno się nazwać Sen Valley. Pewnie zabrzmiałoby to banalnie, ale wybrałabym Paryż. Nie mogę jednak zrozumieć, gdzie mamusia z Shorehaven zdobyła doskonale podrobione dowody tożsamości. Przecież

nie była kryminalistką.

– Oczywiście, że była! I to sprytniejszą niż większość z nich. Jeśli chodzi o dowody tożsamości, podobno można je znaleźć w internecie – znalazłam.

– Tyle że Courtney wygląda mi na zbyt przebiegłą, by miała ot tak, zamówić w sieci akt urodzenia lub prawo jazdy, a potem starać się na ich podstawie o paszport. Mogłoby się to skończyć aresztowaniem, gdyby okazało się, że to prowokacja policji lub FBI. Ryzykowałyby też, że kanalia, która jej ten dokument sprzedała, będzie ją szantażować.

– Więc skąd je miała?

– Zapewne potrafiłaby podrobić akt urodzenia z wypukłą pieczęcią z jakiegoś hrabstwa w słabo zaludnionym stanie... Czy ja wiem, na przykład z Montany. Urzędnik w Nowym Jorku czy na Florydzie pewnie nie byłby w stanie stwierdzić: „Halo, akt urodzenia z Montany wygląda zupełnie inaczej”. A może po prostu postarała się znaleźć kogoś, kto sprzedaje dokumenty dobrej jakości. Pewnie niczym się to nie różni od narkotyków czy innej kontrabandy. Jeśli nie masz jakiegoś godnego zaufania źródła, to jest to okropnie ryzykowne.

– Więc tym źródłem mógł być jakiś łotr spod ciemnej gwiazdy... albo sama Courtney podrabiająca akt urodzenia? – spytała Nancy.

– Właśnie. Jeśli to Courtney, pewnie potrzebowałaby jakiegoś adresu do korespondencji lub skrytki pocztowej. Nie jestem jednak pewna, czy miejska administracja wysłałaby akt urodzenia na skrytkę pocztową. Na moje oko sytuacja może być taka sama jak w przypadku comiesięcznego zaświadczenia o dochodach dla osób handlujących na giełdzie online. Biorąc jednak pod uwagę wszystko, czego dokonała, przypuszczam że załatwienie adresu do korespondencji lub skrytki pocztowej nie przedstawiało dla niej żadnego problemu.

– Z pewnością miała poczucie własnej wartości – zauważyła Nancy. – Princeton.

– Daj spokój. Nie trzeba mieć zaliczenia z socjopatii, by skończyć Princeton. Ona była... jest... bardzo złym człowiekiem.

– Wyobrazasz sobie? Kraść ze wspólnego konta, gdy śpisz z mężem w tym samym pokoju? To w wyjątkowo złym guście. Najbardziej fascynuje mnie to, że gdy wszystkie jej wysiłki okazały się niewystarczające, to co zrobiła? Wzięła dupę w troki i stała się kimś innym.

– Bezbrzeżna hucpa – mruknęłam.

Nancy zwinęła włosy w węzeł na czubku głowy, a potem puściła je, by opadły na ramiona.

– Niestety, zaczęło jej odbijać.

– Chodzi ci o morderstwo?

– Tak, tej biednej szarej myszki. I o mały włos ciebie też!

– Ależ Courtney zawsze była skłonna zrobić wszystko, by osiągnąć własne cele. Pamiętasz, jak ukradła pieniądze z kiermaszu ciastek i zrzuciła winę na Ingrid Farrell?

– Zaczynam się zastanawiać, jakim facetem jest Greg Logan – zamyśliła się Nancy. – Nie tylko znosił podbieranie pieniędzy. W którymś momencie Courtney musiała pokazać swoją prawdziwą twarz. Nie wiedział, nie wyczuł, jaka jest podła?

– Niektóre osoby uważały ją za miłą. Kellye Ryan najwyraźniej była jej szczerze oddana.

– Kellye chyba nie jest osobą, której dotyczy powiedzenie: „Cicha woda brzegi rwie”.

– To prawda – zgodziłam się. – Facet konserwujący basen u Courtney miał o niej dobrą opinię.

– On, jak rzadko kto, zna się na ludziach.

– Podobnie jej au pair. I oczywiście Emily. Choć facet od basenu nie miał z Courtney zbyt wiele do czynienia. A Emily, niech spoczywa w pokoju, nie żyje. Au pair jest tak dobroduszna, że pewnie myśli...

– Co? – spytała Nancy. – Chciałaś pewnie powiedzieć, że myśli, że Hitler był miłym facetem, ale potem sobie przypomniałaś, że jest Austriaczką. Mam rację?

– Coś w tym stylu – wymamrotałam. – No dobra, tak. Ale wróćmy do tego, jak ludzie postrzegali Courtney. Wielu z nich uważało, że coś z nią jest nie w porządku, że nie jest do końca prawdziwa. Możliwe też, że Greg został oszukany, tak samo jak Emily. Słuchaj, to znamienne, że zdradziła dwoje ludzi, którzy obdarzyli ją uczuciem. Jedną zabiła, drugiej zrujnowała życie. Mało tego, choć Courtney twierdzi, że ze względu na dobro Grega zadbała o to, by miał alibi, to wrzucając ciało w basenu, uczyniła go głównym podejrzanym. Już nie wspomnę o jej dzieciach.

– Czy to właśnie więzi uczuciowe doprowadziły ją do szaleństwa? – spytała Nancy.

– Być może. Ona jest naprawdę zdrowo świrnięta. Nelson powiedział, że nieraz już miał z takimi do czynienia. Psychopatami, socjopatami czy jak ich tam zwał. Większość ludzi wyobraża ich sobie jako szaleńców, takich jak Charles Manson, albo jako opętanych jakąś obsesją nieudaczników, takich jak Timothy McVeigh. Nelson mówi, że jednak wielu z nich to osoby inteligentne, atrakcyjne i czarujące. Jak oszuści, którzy robią to nie tylko dla pieniędzy, ale zależy im, by wykręcić jakiś numer, zrujnować komuś życie. Myślę, że w przypadku Courtney jej szaleństwo...

– ... albo bezgraniczna chciwość...

– ... albo jakaś niezaspokojona potrzeba, cokolwiek to było, dawało jej siłę, energię, by być przekonującą. – Wstałam z ręcznika i obciągnęłam koszulę. – Wiesz co? – rzuciłam.

– Idziesz się zdrzemnąć.

– Skąd wiedziałaś?

– Daj spokój. A potem? On?

– Nie. Mój klient, Lalus Phil Lowenstein. I Gregory Logan. Opowiadanie Gregowi i Philowi wszystkiego, co się wydarzyło od początku sprawy, zajęło mi prawie dwie godziny. Siedzieliśmy w salonie Loganów, tak jak ostatnim razem, gdy tu byłam. Ani drobiny kurzu, frędzle przy dywanie idealnie wyrównane. Nie wyglądało na to, że od mojej ostatniej wizyty ktokolwiek korzystał z tego pokoju. Nadal był ponurym mauzoleum nienagannego, bezdusznego stylu urządzania wewnątrz przez Courtney. Gdy kończyłam swoją opowieść, zauważyłam jednak, że na stoliku obok starych, oprawnych w skórę książek i ciężkiego onyksowego wazonu nie było już szylkretowej ramki ze zdjęciem męża i żony, Grega i Courtney, uśmiechniętych i promiennych, w białych strojach do tenisa.

– Nie wiem, co powiedzieć – odezwał się w końcu Greg.

– Powiedz, że przepraszasz – zagrzmiał Lalus Phil ze swojego końca kanapy w paski.

– Tato, ty i ja zawarliśmy umowę.

– No to nie mów, że przepraszasz.

Laluś Phil ubrał się dosyć skromnie. Miał na sobie hawajską koszulę, z powtarzającym się wzorem Kobiet z Tahiti Gauguina. Zdobił go tylko szeroki na centymetr, płaski złoty łańcuch i bransoletka do kompletu.

Greg w spodniach khaki, białym bawełnianym swetrze i mokasynach siedział w tym samym fotelu, co poprzednio. Wyglądał na jeszcze bardziej zmęczonego niż miesiąc temu. Jego opalenizna zbladła, skóra przypominała pergamin. Może dlatego, że nie miał już z kim grać w golfa, a może dlatego, że cały wolny czas spędzał teraz w domu, z dziećmi.

– Przepraszam, że tak cię potraktowałem – powiedział.

– Posłuchaj, to ja zachowałam się niestosownie, przychodząc tutaj ni z tego, ni z owego – odparłam. – Czułam, że mam szansę coś odkryć w tej sprawie. Nie przyszło mi jednak do głowy, że zostanę uznana za kolejną wariatkę z długiej kolejki świrów, naruszających twoją prywatność. Powinnam była mieć więcej wyobraźni.

– Nie tylko przepraszam, ale jestem wdzięczny. Zawdzięczam ci... , hm, jeśli nie życie, to wszystko inne.

– To ja poszedłem do niej do domu i namówiłem, by się tym zajęła – oznajmił Laluś Phil.

– Cieszę się, że to zrobiłeś, Phil – powiedziałam. – Jesteś wspaniałym ojcem. Greg przytaknął.

– Jak twoim zdaniem udało się jej ulotnić w wieczór Halloween? – spytał. – Nadal nie mogę tego zrozumieć. Samochód stał przecież w garażu.

– Tylko zgaduję – odparłam. – Pewnie zostawiła otwarte drzwi garażu, wyprowadziła samochód i pomachała na pożegnanie. Jakiś czas później, gdy już zrobiło się ciemno, wróciła z wyłączonymi światłami. Tamtego dnia zachód słońca był przed piątą.

– I co, do diabła, zrobiła potem? Poszła piechotą do Sun Valley? – spytał Phil.

– Nie – powiedziałam. – Tydzień czy dwa wcześniej wynajęła samochód na Manhattanie. Na kartę kredytową Samantha R. Corby. Może nawet zaparkowała ten samochód w pobliżu. Przeszła piechotą ze dwie przecznice i ruszyła w drogę. Nie od razu do Sun Valley. Spędziła trochę czasu w Miami...

– To dziwka! – zawołał Laluś. Zanim jego syn zdążył odezwać się choć jednym słowem, dodał: – Przepraszam, Gregory. Dam już spokój. – Odwrócił się do mnie. – Zanim przyszedł, rozmawialiśmy. O wielu sprawach. O tym, co powinien teraz powiedzieć dzieciom. – Potem zwrócił się do Grega: – Cokolwiek im powiesz, chłopcze, twoja historyjka będzie równie dobra jak każda inna.

– Musiałabym sprawdzić ze Steffi Deissenburger – ciągnęłam. – Ale nie zdziwiłabym się, gdyby ta zabawa w pożegnanie mamy zaczęła się we wrześnie.

– Po co? – spytał Greg.

– By miała dorosłego świadka swojego odjazdu. Potem pojechała na Florydę. Zgaduję, że miała tam już przynajmniej konto w banku i jakiś adres do korespondencji albo skrytkę pocztową. Być może bywała tam już wcześniej, przygotowując wszystko, co potrzeba. Wiemy, że na kartę Samantha Corby kupiła bilety lotnicze do Miami. Mogła to załatwić w

ciągu jednego dnia, polecieć tam i z powrotem, i być w domu przed wpół do ósmej.

– Myślisz, że kogoś tam miała? – spytał cicho Greg. – Mężczyznę?

– Nie mam pojęcia. Przypuszczam, nawet zakładam, że pojechała tam tylko odpocząć i opalić się. Rozповідаła przecież, że mieszka na Key Biscayne.

– A co z... Emily Chavarią? No, co je łączyło?

– To pewnie przypadek ślepego uwielbienia ze strony samotnej, młodej kobiety, które Courtney wykorzystała. Jednak zamiast być wzorem do naśladowania, okazała się Svengalim.

Greg kiwnął głową. Lalus Phil zawołał:

– Czym?

– Jak długo... Jak myślisz, jaki wyrok dostanie? – spytał Greg.

– Nie mam pojęcia – odparłam. – Niestety, pewnie stać ją na dobrego adwokata. Miejmy nadzieję, że nie zdoła oczarować ławy przysięgłych.

– Myślisz, że ma szansę się wywinąć? – blady dotąd Greg, teraz wyglądał, jakby miał wymiotować.

– Gregory. – Lalus Phil pochylał się w stronę syna. – Nie martw się o ławę przysięgłych. Winna czy już się nie wywinie.

Na Long Island róże najpiękniej kwitną w połowie czerwca. Pod wieczór, gdy zjawił się Nelson, stałam przy krzewach, ścinając kwiaty. Pokazałam mu bladuróżowy pąk ze srebrzystymi zewnętrznymi płatkami.

– Nie pamiętam, jak się nazywa – powiedziałam. – Ale to bardzo stara odmiana, przywieziona z Francji na początku XIX wieku. Wiesz, mniej więcej w tym samym czasie, gdy pirat Jean Lafitte przestał napadać na statki. Zrobił sobie przerwę, by walczyć po stronie Stanów Zjednoczonych. Pomógł obronić Nowy Orlean podczas wojny w 1812 roku.

– To ma być lekcja historii czy też prosisz mnie, bym zobaczył też dobrą stronę Lalusia Phila?

– Chyba i to, i to.

– Jeśli cię to choć trochę pocieszy – powiedział Nelson – w tamtym tygodniu, gdy go śledziliśmy... Akurat wtedy chodziło nam o faceta, z którym Phil miał się podobno spotkać.

– Ale Lalus wcale się z nim nie spotkał, prawda? – starałam się, by mój głos nie zabrzmiał zbyt triumfująco.

– Nie wiem. Udało mu się zgubić ogon. On z gubienia ogona uczynił formę sztuki.

Ścięłam kolejną różę. Nelson wziął ją ode mnie i dołożył ją do reszty róż w wiaderku z wodą.

– Jesteś gotowa porozmawiać o nas?

– Dzisiejszy dzień był trochę stresujący, bo przecież musiałam komuś rozerwać ucho, chwycić zakrwawiony pistolet i jeszcze złamać palec.

– Chcę cię odstresować. Usiądźmy i porozmawiajmy. Zerknęłam na patio.

– Chcę pozostać na dworze, ale nie mam ochoty patrzeć na krew Courtney Logan.

– Może być tutaj – powiedział Nelson. – Słuchaj, wiem, że to był dla ciebie wyjątkowo męczący dzień. Będę się streszczał. Biorę rozwód.

– Posłuchaj, zanim...

– Judith, z tobą czy bez ciebie, i tak by się to stało. Chodzi nie tylko o to, że nie jesteśmy szczęśliwi. My nie... Jak mam to, do diabła, ująć? Nawet nie czujemy się dobrze w swoim towarzystwie. Ożeniłem się z nią, bo była ładna i przyzwoita, a ja miałem już dosyć umawiania się na randki. Wtedy myślałem, że to jest miłość. – Odwrócił na chwilę wzrok, potem znów spojrzął mi w oczy. – Przez jakiś czas byłem nieźle popieprzony.

– Ja też. Chyba od dnia, w którym się rozstaliśmy.

– Ja też – powiedział cicho.

– A może nawet wcześniej.

– Ja chyba też.

– Ale posłuchaj, Nelson. Znamy się tylko na jednej płaszczyźnie.

– To znaczy... ?

– Jako kochankowie w związku pozamałżeńskim.

– Boże wszechmogący! Myślisz, że nałogowo... pieprzę się na prawo i lewo?

– Wcale nie. Czy ty to samo myślisz o mnie?

– Nie – odparł. – Oczywiście, że nie.

– Mówię tylko, że jeśli w którymś momencie wreszcie będziesz wolny...

– To już załatwione.

– ... a to sprawa między tobą i twoją żoną, wtedy ty i ja możemy spróbować się przekonać, jak to naprawdę jest być ze sobą. Życ z sobą. Otwarciem, na poważnie.

– Zamieszkać razem? – spytał.

– Nie wiem. Tego chcesz?

– Tak.

– Hm, ja chyba też. Albo, żeby powiedzieć całą prawdę, kocham cię bardziej, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić. Chcę cię z duszą i ciałem. Ale zobaczymy, jak nam się ułoży na co dzień. Może nie spodobać mi się twoje gusty muzyczne. Ty znieawidzisz moich przyjaciół, albo twoi przyjaciele znieawidzą mnie. Może nawzajem pokochamy albo znieubimy nasze dzieci.

– Więc od czego zaczniemy? – Wsunął ręce do kieszeni i stanął w swobodnej pozie, żeby wyglądać na rozluźnionego, jak na początku negocjacji.

– Umówimy się na randkę. Spędzimy razem weekend. Będziemy niezwiązani. Wolni. Już nie potajemnie. Każde z nas będzie chodzić do pracy, będziemy do siebie dzwonić. O ile dobrze pamiętam, pewnie więcej będziemy rozmawiać o bejsbolu i drużynie Metsów niż o polityce, bo dyskusje polityczne nie najlepiej nam wychodziły. Mówię, że będziemy...

– Po prostu normalnie żyć?

– Właśnie. Normalnie.

– Judith, chcę się z tobą ożenić.

– Ja też chcę za ciebie wyjść. Ale zanim kupimy obrączki i **wyslemy** zaproszenia, powinniśmy pójść na spacer, wybrać się do kina.

– A potem coś więcej – szepnął.

– Może.

Podziękowania

Poprosiłam o radę i informacje niżej wymienione osoby. Wszystkie udzieliły ich chętnie i z radością. Dziękuję im za życzliwość i liczę na zrozumienie, że czasami, gdy podane przez nich fakty nie pasowały do mojej opowieści, wolałam się z nimi minąć. Michael Adler, Jennifer Stern Bernbaum, Paul Blackman, Kevin Caslin, Mona Castro, Gerard Catanese, Cesar Collier Jr, Teena Deocales, Jonathan Dolger, Frank Guidice, Lawrence Iason, Robert M. Kaye, Robert W. Kenny, Erica Johanson, Edward M. Lane, Susan Lawton, Chris McCandless, Alice T. McGillion, Robert Suridis, William Wald, Roger Widmann, Jay Zises i Susan Zises.

Jak zawsze jestem wdzięczna personelowi biblioteki publicznej Port Washington.

Owen Laster reprezentuje mnie od ponad piętnastu lat. Jest świetnym agentem i cudownym mężczyzną.

Mój redaktor Larry Ashmead to legenda. Ceniony za instynkt, podziwiany za umiejętności i uwielbiany za humanizm przez cały świat wydawniczy. Co za facet! Co za człowiek!

Następujące osoby hojnie wsparły instytucje charytatywne. W nagrodę (mam nadzieję, że tak to przyjmą) postaci w tej książce zostały nazwane na ich cześć: Susan Viniar, Celcie Rabiea, Andrea Leeds i Dana Friedman, z imieniem swej matki Zeldy Friedman. Beth Cope dostała swoją postać, bo jest pełna entuzjazmu, ma dobre serce i na czas dowiozła mnie na pociąg.

Historia zbierania przez Elizabeth J. Carroll materiału do tej powieści mogłaby stać się osobną książką i to całkiem niezłą. Liz jest nie tylko niesamowicie inteligentna, ale też pomysłowa, wytrwała i cierpliwa.

Moja asystentka Michelle E. Goldberg to błogosławieństwo w moim życiu. Lista pochwalnych przymiotników zajęłaby wiele stron, więc powiem tylko krótko, że jest miła, inteligentna, pełna intuicji, radosna, staranna, niezmordowana i dyplomatyczna. A poza tym bardzo zabawna.

Moje dzieci i ich drugie połowy obdarzają mnie miłością, ciepłem, wsparciem, humorem i redakcyjnymi uwagami. Nieskończenie nieskończone wyrazy wdzięczności dla Leslie Stern i Andrew Abramowitza za czystą radość.

I na koniec, wyrazy miłości i podziwu dla mojego pierwszego czytelnika, cudownego i jedyne Elana Abramowitza, Niezmiennie jest najlepszym człowiekiem na świecie.